OPINIA

KWARTALNIK
SPOŁECZNY I NAUKOWY

Redaguje zespół:
Marek Albiniak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny), *Karol Chylak, Andrzej Chyłek, Ryszard Czarnecki, Michał Janiszewski* (sekretarz redakcji), *Jan Józef Kasprzyk, Adam Lewandowski* (sekretarz naukowy), *Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew Śniadecki, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk, Piotr Wójcik*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:
Instytut Historyczny NN
im. Andrzeja Ostoja Owsianego
ul. Nowy Świat 48/11
00-363 Warszawa
e-mail: ihoo@o2.pl

Numer w KRS – 0000331920
PKO BP – 54 1440 1231 0000 0000 1075 6251

© Wszelkie prawa zastrzeżone
Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:
Akces, Warszawa

Spis treści

XIII KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA (24–26 MAJA 2024 ROKU) 5

Ks. dr Stanisław Tylus
Polski Kościół Katolicki wobec Europy w ujęciu historycznym. List do Episkopatu Niemiec 10

Dr Andrzej Anusz
Wpływ polskich środowisk za granicą na programy opozycji politycznej w kraju 37

Mirosław Lewandowski
Między Sowietami a NRD – kwestie europejskie w koncepcjach Leszka Moczulskiego i w programie Konfederacji Polski Niepodległej w latach 1979–1991 (z wyłączeniem tematyki Międzymorza) 88

Zbigniew Jacek Jackiewicz
Wspomnienie o Aleksandrze Piwońskim (1953 – 2026) 169

Ks. dr Stanisław Tylus SAC
Kącik kapelana 183

Ryszard Czarnecki
Twarze Azji: Indie 207

Krzysztof Wojciech Łoziński
Związek Radziecki lat międzywojennych w reportażach Stanisława Vincenza, Melchiora Wańkowicza i Aleksandra Janta-Połczyńskiego 223

Wojciech Włodarczyk
Wywiady z uczestnikami Powstania Warszawskiego 1944 r. cz. 1 261

Łukasz Perzyna
Thriller o maju 1926 337

Łukasz Perzyna
Poezja, prywatność i wspólnota 343

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia” 355

Dr Andrzej Anusz
Drugi obieg wydawniczy jako podstawowy element drugiego obiegu politycznego – perspektywa uczestnika 370

Polska w Europie w programach środowisk opozycyjnych w latach 1976–1989

XIII KONFERENCJA ŚWIĘTOKRZYSKA

(24–26 maja 2024 roku)

W roku 2024 odbyła się kolejna, trzynasta, Konferencja Świętokrzyska. Jej organizatorem był, jak co roku, Ośrodek Myśli Niepodległościowej Instytutu Historycznego nurtu niepodległościowego im. Andrzeja Ostoja Owsianego. W spotkaniach wzięło udział kilkadziesiąt osób – członków Instytutu i zaproszonych gości.

Konferencja odbyła się tradycyjnie w Centrum Edukacyjnym w Wólce Milanowskiej koło Kielc oraz tradycyjnie – w ostatni weekend maja.

Temat spotkania był kontynuacją kwestii, które były przedmiotem konferencji poprzedniej. W roku 2023 zajmowaliśmy się – z uwagi na wojnę w Ukrainie – koncepcją Międzymorza (ze szczególnym uwzględnieniem relacji polsko-ukraińskich). W roku 2024 przeszliśmy do tematyki ogólnoeuropejskiej.

Tym razem autorami referatów byli wyłącznie członkowie naszego Instytutu: nasz Kapelan ks. dr Stanisław Tylus, dr Andrzej Anusz oraz Mirosław Lewandowski.

Materiały pokonferencyjne zawierają teksty wszystkich referatów wygłoszonych w czasie konferencji oraz zredagowany i skrócony zapis dyskusji po wygłoszonych referatach.

Program Konferencji

I DZIEŃ (24 maja 2024 ROKU)

Rozpoczęcie Konferencji – modlitwa za Zmarłych

Ks. dr Stanisław Tylus
Polski Kościół katolicki wobec Europy w ujęciu historycznym. List do episkopatu Niemiec

Dyskusja

II DZIEŃ (25 maja 2024 ROKU)

Dr Andrzej Anusz
Wpływ polskich środowisk za granicą na programy w kraju

Dyskusja

Mirosław Lewandowski
Między Sowietami a NRD – kwestie europejskie w koncepcjach Leszka Moczulskiego i w programie Konfederacji Polski Niepodległej w latach 1979–1991 (z wyłączeniem tematyki Międzymorza)

Dyskusja

I DZIEŃ (24 MAJA 2024 ROKU)

ROZPOCZĘCIE KONFERENCJI

Andrzej Chyłek: Witam wszystkich na Konferencji Świętokrzyskiej, której tematem będzie Polska w Europie w programach środowisk opozycyjnych w latach 1976–1989.

Zanim rozpoczniemy konferencję, chciałbym, abyśmy upamiętnili naszych członków – którzy nie uczestniczyli w poprzedniej konferencji świętokrzyskiej ze względu na swoją chorobę, teraz zaś nie będą w niej uczestniczyć ze względu na to, że już nas opuścili: śp. Krzysztofa Lancmanna i śp. Bohdana Urbankowskiego. Gdy byli zdrowi regularnie uczestniczyli w każdej naszej konferencji, byli ważnymi członkami naszego Instytutu i naszych Konferencji Świętokrzyskich, dlatego złóżmy im hołd. Proszę ks. Stanisława o poprowadzenie modlitwy w ich intencji oraz w naszej intencji jako członków konferencji, którzy będą omawiali ważne sprawy.

Ks. dr Stanisław Tylus: Dzisiaj Kościół w Polsce i w świecie obchodzi wspomnienie Matki Bożej Wspomożycielki Wiernych. Do Maryi uciekają się wszyscy, w jakiejkolwiek potrzebie, oczekując pomocy. Chciałbym nawiązać do jednego wezwania. W Gliwicach, w kościele pw. Świętego Bartłomieja jest Matka Boża w obrazie, zwana Matką Bożą Dobrej Drogi.

Matka Boża Dobrej Drogi niech nas dzisiaj prowadzi, kiedy rozpoczynamy naszą konferencje. Niech wskazuje nam te obszary, które są ciekawe i niech pobudza nas do tego, byśmy zagłębiali się w nie, uczestniczyli w dyskusjach. Zmarłych – śp. Krzysztofa Lancmana oraz śp. Bohdana Urbankowskiego niech obdarzy prostą drogą do Chrystusa, niech wyjedna im życie wieczne. Do Maryi zwracamy się jak do Matki, która jest drogą prowadzącą do Syna.

Odmówimy modlitwę do Matki Bożej Dobrej Drogi: *Maryjo, Matko dobrej drogi, która powiedziałaś „Uczyńcie wszystko, co wam powie Syn" (Por. J 2, 5).*

Wypraszaj nam u Chrystusa łaskę dobrego wyboru. Niech Twoja modlitwa wyjedna zgodę i miłość w naszych rodzinach, opiekę i dary Ducha św. dla dzieci i młodzieży, pomyślność dla naszej Ojczyzny, błogosławieństwo dla Kościoła Świętego w chwilach trudnych, cierpieniach, wątpliwościach błagaj o Boże światło, które pozwoli nam rozpoznać wolę Chrystusa i o Jego moc, abyśmy umieli tę wolę wypełnić. Zawierzamy się Twojemu wstawiennictwu na wszystkich drogach naszego życia. Orędowniczko i doradczyni nasza, niech Twoja modlitwa wyjedna nam dar Bożej miłości i radość życia wiecznego. Przez Chrystusa, Pana naszego. Amen.

A zmarłych niech obdarzy radością nieba.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci. Niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen.

Ks. dr Stanisław Tylus

POLSKI KOŚCIÓŁ KATOLICKI WOBEC EUROPY W UJĘCIU HISTORYCZNYM. LIST DO EPISKOPATU NIEMIEC

„List biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusowym urzędzie pasterskim" z okazji zakończenia II Soboru Watykańskiego (znany jako Orędzie), został wystosowany, 18 listopada 1965. Był jednym z najważniejszych aktów w powojennej historii stosunków polsko-niemieckich.

Dopiero w konfrontacji z dzisiejszym językiem, zarówno polityków jak i historyków, po obu stronach Odry i Nysy widać, że poruszono w tym liście problemy, które wprawdzie jeszcze nie wówczas, ale przecież w ogóle miały wejść do rejestru głównych punktów dialogu polsko-niemieckiego. Należy tu w pierwszym rzędzie los ludności, zarówno polskiej jak i niemieckiej, rozważany na przestrzeni wojny, nie wyłączając jej następstw, a więc tego, co zdarzyło się po roku 1945. List był próbą moralnego rozrachunku, niemożliwego bez uwzględnienia przeszłości, podobnie jak nowennowy rachunek sumienia Narodu bez tego Nie miał szans powodzenia. Tymczasem komentarze, jakie mogły wówczas się w Polsce ukazać, bez wyjątku oceniły wystąpienie biskupów jako ingerencję w politykę, sprzeczną z polską racją stanu. Wrażliwość społeczeństwa na problematykę polsko-niemiecką, wówczas jeszcze bardzo znaczna, sprawiała że propaganda piętnująca Episkopat nie trafiała w próżnię. Z pewnością biskupi polscy pochopnie narazili się na pełną dystansu odpowiedź Episkopatu niemieckiego, w której, jak można było przewidywać, zabrakło akcentów pogodzenia się ze stratami terytorialnymi Niemiec na rzecz Polski w wyniku II wojny światowej. To wszystko sprawiło, że Orędzie nie spełniło ważkiego w założeniu celu. W czasie Wielkiej Nowenny nie włączyło w narodowy rachunek sumienia obopólnego pojednania narodów, które przedzielały zarówno dawniejsze wydarzenia, jak i ludobójstwo II wojny światowej. Orędzie było jed-

nak wówczas potrzebne, bowiem mieściło się całkowicie w programie odnowy moralnej narodu podjętym w czasie Wielkiej Nowenny. Jego treści historyczne były może mniej istotne, choć tendencyjna interpretacja orędzia przez władze i całkowicie im podległe media, a wręcz opuszczenia w tekście, pozwalały na manipulację obciążające Episkopat nawet zarzutem ewidentnego działania na szkodę Polski. Nie o historię jednak chodziło, a o fakt, że Kościół ośmielił się podjąć inicjatywę i to na forum międzynarodowym bez woli i wiedzy partii. Owoce Orędzia zaczęły dawać znać o sobie już w latach 70., kiedy stopniowo rozwijał się dialog między katolikami Polski i RFN. Stanowisko polskiej hierarchii nie wymagało wówczas korektur.

Prowizoryczna organizacja kościelna na tzw. Ziemiach Odzyskanych, była dla władz państwowych niezwykle wygodna, gdyż można było nią usprawiedliwić uwłaszczenie Kościoła na tych terenach, a ponadto wykorzystywać tę sytuację propagandową, wytykając zarówno hierarchii polskiej jak i Stolicy Apostolskiej proniemieckie nastawienie. Po Orędziu oskarżenia te chwilowo przybrały na sile. Jednocześnie w RFN brak było głosów pojednawczych pod adresem Polski, co zresztą polityka Gomułki odpłacała z nawiązką. Twarde stanowisko zachodnioniemieckie w sprawie granicy na Odrze i Nysie, aktywność ziomkostw domagających się jej rewizji, próby zrównania zbrodni hitleryzmu z cierpieniami wypędzonych Niemców, nadają ton historiografii niemieckiej. Można się zgodzić z Andrzejem Czubińskim, że sympozja historyczne polsko-niemieckie, organizowane w Lidenfels koło Darmstadt w latach 1964-70 nie kształtowały poglądów w kwestii polsko-niemieckiej, ponieważ brakowało tu dyskutantów z kraju, a tylko głos Polaków zza wschodniego brzegu Odry i Nysy mógł się tu liczyć, bez względu na ich przynależność polityczną. Do wiążących rozmów politycznych mogło zatem dojść dopiero z chwilę objęcia władzy w RFN przez socjaldemokratów i liberałów w październiku 1969. Oczywiście chodziło głównie o układ polityczny z ZSRR, który doszedł do skutku w sierpniu 1970. Otwierał on jednak drogę do rozwiązania politycznego, zastępującego w pewnym sensie stale nie zawarty układ pokojowy z innymi państwami ościennymi bloku sowieckiego. Z Polską podpisano układ uznający granicę na Odrze i Nysie 7 grudnia 1970. To, co nastąpiło w Warszawie w czasie wizyty kanclerza Brandta, było już tylko oprawą dla tego zasadniczego aktu.

W rzeczywistości zawarte z RFN porozumienie było tylko częściowo osiągnięciem politycznym ekipy Gomułki, który akcentowaniem zagrożenia niemieckiego łatał niepowodzenia w polityce wewnętrznej, coraz bardziej dające się we znaki społeczeństwu od połowy lat 60. Ostra kampania antykościelna rozpętana na kanwie Orędzia miała być może z powodu spadku popularności Gomułki mniejszy wydźwięk społeczny. Era wieców potępiających już minęła, zaś prasa w PRL zdecydowanie traciła w tym czasie na wiarygodności. Kurs wobec Kościoła jednak coraz bardziej się zaostrzał. Władze nie miały skutecznych, a przede wszystkim wystarczająco spektakularnych środków dla zneutralizowania efektów kościelnych obchodów milenijnych, więc podjęły akcję propagandową w celu przedstawienia tych uroczystości jako awanturnictwa politycznego.

W czasie, gdy były tak zaognione stosunki między państwem a Kościołem papież Paweł VI dokonał 23 marca 1967 nominacji czterech administratorów apostolskich dla Wrocławia, Gorzowa, Opola i Olsztyna. Było to rozwiązanie którego rząd się nie spodziewał i którego sobie nie życzył. Niwelowało ono w znacznej mierze pogląd reprezentowany nie tylko przez niechętne Stolicy Apostolskiej koła, ale nawet przez niektórych polskich hierarchów, o nieprzychylnym Polsce nastawieniu Pawła VI. Rozwiązanie problemu administracji kościelnej na „czterech wielkich obszarach kościelnych" zachodniej i północnej Polski nie mogło być rozumiane jako gest papieża w kierunku uznania polskiej granicy zachodniej, zatem dla rządu nie miało żadnej wartości. Doniosłości kościelno-kanonicznej tego kroku władzy nie chciały zauważać, bowiem rozwój Kościoła i życia religijnego na tych terenach był raczej solą w oku władzy komunistycznej.

Pod względem kościelno-organizacyjnym decyzja papieska stanowiła moment przełomowy w dziejach tamtejszego Kościoła. Przede wszystkim rządcy owych „czterech obszarów kościelnych" przestawali być wikariuszami generalnymi Prymasa Polski, a stawali się bezpośrednio od papieża zależnymi administratorami z uprawnieniami biskupów rezydencjonalnych „durante munere", zatem na czas sprawowania obowiązków. Nadto co wydaje się jeszcze ważniejsze owe „cztery obszary" zostały przez Stolicę Apostolską wyjęte w dawnych więzi diecezjalnych, zatem stawały się samoistnymi jednostkami kościelnymi,

które w odpowiedniej sytuacji politycznej, tzn. po ostatecznym ustaleniu się granic państwowych, automatycznie zyskują miano diecezji.

Decyzja Pawła VI uprzedziła zatem dokonania polityczne z grudnia 1970 i mogła uchodzić jedynie jako gest dobrej woli papieża, a także Prymasa, na którego prośbę Paweł VI dokonał tego kanonicznie dość niezwykłego posunięcia. Nie wpłynęło to wszakże bynajmniej na zmianę postępowania rządu, który nękał księży nakazami prowadzenia ksiąg inwentarzowych i zgłaszania punktów katechetycznych, nakładając wysokie kary na odmawiających zastosowania się do tych wymogów. Episkopat przejął całkowicie odpowiedzialność za takie postępowanie księży, wydając zakaz na piśmie rejestrowania punktów katechetycznych i prowadzenia ksiąg inwentarzowych (pro memoria z 16 czerwca 1967). Bezsensowną represją była odmowa wydania Prymasowi paszportu na wyjazd do Rzymu we wrześniu 1967 na Synod Biskupów. Paszporty otrzymali inni delegaci na Synod, kard. Karol Wojtyła i bp Piotr Kałwa. Paszporty dawano także innym biskupem, m.in. abpowi Kominkowi, przez władze raczej źle widzianemu. Chodziło jednak o zaakcentowanie wyjątkowego traktowania Prymasa, którego za „nielojalność" wobec rządu Cyrankiewicz pozbawił możności wyjazdu za granicę już w marcu 1966 aż do chwili zmiany jego stanowiska. Skutkiem takiej „polityki paszportowej" delegacja polska w ogóle się na Synodzie nie pojawiła. Papież bez ogródek stwierdził, że to władze polityczne udaremniły ich przyjazd. Eskalacja napięć między Episkopatem a rządem tym razem szkodziła zapewne więcej temu ostatniemu. Biskupi wydali księżom zakaz zastosowania się do wymogów państwa, więc stosowne represje były mało skuteczne. Nie miały one pozytywnego dla władzy oddźwięku społecznego, wręcz przeciwnie wierni gotowi byli zgromadzić fundusze na zapłacenie kar nakładanych na księży, aniżeli dopuścić do zgłaszania przez nich punktów katechetycznych. W prowadzeniu ksiąg inwentarzowych kontrolowanych przez państwo widziano niebezpieczeństwo sekwestracji majątku kościelnego przez władze, praktykę po wojnie dobrze znaną.

W 1968 władze działały ze szczególną nerwowością, co miało tę dobrą stronę, iż egzekwowanie takich spraw jak rejestracja punktów katechetycznych i kontrola ksiąg inwentarzowych często było opieszałe. Natomiast wypadki marcowe dały okazję do ponowienia prób różnicowania duchowieństwa. List

Episkopatu z 24 marca nie zawierał ocen politycznych, a tylko wezwanie do unikania brutalności. Brak zainteresowania większości biskupów a także księży wypadkami 1968 roku, leżał u podstaw dość pochodnych ocen w kierownictwie partyjnym. W jednej z analiz czytamy: „Kler już obecnie w większości urodzony i wychowany w Polsce Ludowej, wrósł w tę sytuację polityczną tak głęboko, że jego zainteresowania polityczne i społeczne pokrywają się z zainteresowaniami ogółu społeczeństwa. W odczuciu kleru, tak jak i całego społeczeństwa, najwyższą władzą w kraju jest partia, ponosząca odpowiedzialność za całokształt życia politycznego i gospodarczego. Ustrój socjalistyczny jest przez większość kleru przyjęty jako jedyna realna droga rozwoju polskiej państwowości". Ten sam analityk uważał, że po 21 marca większość księży zrezygnowała z własnych ocen, a powtarzała te zawarte w liście Episkopatu (Sprawozdanie urzędnika Urzędu ds. Wyznań z 16 kwietnia 1958, pt. „Próba oceny stanowisk kleru w sprawie wydarzeń w środowisku akademickim oraz całokształt ostatnich wydarzeń politycznych w kraju").

Ta, błędna zresztą ocena nastawienia duchowieństwa do ustroju i władzy w Polsce, a zwłaszcza do wydarzeń marca 1968, mogłaby jednak być zrozumiana jako akcent pewnego optymizmu, gdyby nie fakt, że żadna nawet najprzychylniejsza reżimowi postawa Kościoła nie mogła zmienić katastrofalnej w końcu dekady gomułkowskiej polityki wobec Kościoła. Była ona wynikiem pewnej jej bezradności, jak choćby w przypadku pielgrzymki ram obrazu jasnogórskiego w czasie jego uwięzienia na Jasnej Górze od 4 września 1966. Episkopat przedstawił w czerwcu 1968 premierowi Józefowi Cyrankiewiczowi dziesięciopunktowe przedłożenie, w którym niezwykle rzeczowo zobrazował bezsens orientowania całego postępowania władz wobec Kościoła wyłącznie według kryteriów dyktatu ateistycznego.

Lekceważenie, z jakim traktowano tego rodzaju interwencje, nie oddawało wszakże rzeczywistych nastrojów panujących w ekipie rządzącej. Świadczy o tym pilne śledzenie reakcji księży, zwłaszcza biskupów w sprawie inwazji Czechosłowacji. Ciekawe jest sprawozdanie kierownika Wydziału ds. Wyznań w Kielcach na temat zasłyszanej opinii kard. Wojtyły, że „hierarchia kościelna winna w tym okresie unikać jakiejkolwiek działalności o charakterze politycznym, aby nie dawać tym samym swym przeciwnikom argumentów, że kościół

miesza się do polityki. Uważa natomiast, aby wszystkie ogniwa kościelne w tym okresie dołożyły maksimum wysiłku dla umocnienia i rozszerzenia wpływu Kościoła na społeczeństwo środkami religijnymi a nie politycznymi" (Tamże).

Ta prawdopodobna wypowiedź nie mogła jednak usatysfakcjonować kierownictwa partyjnego, gdyż spełnienie dezyderatu Kardynała musiałoby być równoznaczne z fiaskiem 10-letniej pracy ekipy gomułkowskiej. Nic dziwnego, że trwała ona twardo na stanowisku udaremnienia wszystkiego, co umacniało Kościołowi grunt pod nogami. Nie tylko budowa kościołów wchodzi tu w grę, choć pod tym względem sytuacja była katastrofalna, ale uregulowanie własności kościelnej w przedmiocie nieruchomości, co na tzw. Ziemiach Odzyskanych od początku stanowiło problem, a po akcie papieskim z 1967 stało się papieskim papierkiem lakmusowym sprawdzającym minimum, jeśli nie dobrej woli, to choćby uznania racji stanu Polski na tych ziemiach.

Ustabilizowanie organizacji kościelnej na ziemiach zachodnich i północnych było przede wszystkim pilną potrzebą Kościoła. Zmiana w stosunkach między RFN a blokiem sowieckim po zwycięstwie lewicy w wyborach wrześniowych w RFN, pozwalała przypuszczać, że dojdzie do regulacji granicznych. Prymas Wyszyński jeszcze w grudniu 1969 udał się z kilkoma biskupami do Rzymu, gdzie przedłożył Pawłowi VI memorandum, podpisane przez 56 biskupów w sprawie regulacji kościelnych na ziemiach zachodnich i północnych. Papież, czego można było się spodziewać, obiecał działać w tej sprawie z rozwagą. W przeszłości ciągle obwiniane Episkopat o brak patriotyzmu i ślepe oddanie Rzymowi, który sympatyzując z Niemcami, nie chciał stworzyć stałej organizacji kościelnej na tych ziemiach. Episkopat jako pierwszy wystąpił w tej sprawie, w dodatku wyprzedzając traktat polityczny. Dawało mu to przewagę nad władzą PRL; do niej musiał należeć następny ruch. Nowy I sekretarz Edward Gierek i premier Piotr Jaroszewicz zainicjowali w styczniu 1971 rozmowy, które z ramienia Kościoła prowadził bp Bronisław Dąbrowski, od 1969 sekretarz Episkopatu Polski. Już w marcu kontynuował je z premierem osobiście ks. Prymas Wyszyński. Sprawa nie była jednak prosta, bowiem Stolica Apostolska musiała erygować nowe diecezje w miejsce istniejących diecezji niemieckich objętych nadal obowiązującym konkordatem z 1933. Tak poważny problem podejmowano w pewnej próżni prawnej. Episkopat zwracał

na to uwagę jeszcze premierowi Cyrankiewiczowi w kwietniu 1970, wykazując bezsensowny upór z jakim rząd odmawiał Kościołowi uznania go za osobę prawa publicznego. Prawem takim cieszyła się sekta baptystów, a pozbawiony był Kościół katolicki wszechobecny w życiu społecznym i kulturalnym, a także w innych dziedzinach życia około 90% populacji w Polsce. Jakby na potwierdzenie postulowanej przez Kościół jego roli w społeczeństwie, Episkopat skierował do rządu 18 czerwca 1970 memoriał w sprawie zagrożeń biologicznych i moralnych narodu polskiego. Wskazano przyczyny regresu demograficznego Polski mieszczące się w antyrodzinnej polityce państwa, w planowaniu rodziny poprzez praktyki aborcyjne i propagowaniu środków antykoncepcyjnych; oderwaniu życia seksualnego od małżeństwa i rodziny i postawieniu niemalże poza zasadami moralnymi głoszonymi przez chrześcijaństwo. Biskupów interesował również projekt postępowania w sprawach o wykroczenia, co było przypomnieniem, iż Kościół uznaje sprawiedliwość odwołującą się do prawa moralnego. W tym przypadku chodziło o ochronę człowieka przed nadużyciem wobec niego władzy przez organy państwowe.

Kościół zatem via facti zgłaszał swe stanowisko w sprawach dotyczących życia społecznego, co stawiało go w pozycji instytucji prawa publicznego de iure zanegowanego. Sytuacja taka wymagała układu na wyższym niż Episkopat szczeblu, czyli ze Stolicą Apostolską. Już w 1965 abp Casaroli kontaktował się z rządem polskim. Okazało się, że Gomułka życzyłby sobie ustaleń z Rzymem, ale bez udziału Prymasa Wyszyńskiego, a poza tym „conditio sine qua non" takiego układu, to regulacja kościelna na ziemiach zachodnich i północnych. To ostatnie było nie do urzeczywistnienia bez uprzedniego traktatu politycznego między RFN i Polską.

W przyszłym roku 2025 Gniezno będzie nie tylko świętować tysiąclecie koronacji Bolesława Chrobrego. Jak udało nam się dowiedzieć od 11 do 14 września odbędzie się też XII Zjazd Gnieźnieński.

To międzynarodowe i ekumeniczne spotkanie chrześcijan kościołów; katolickiego, prawosławnego i ewangelickiego.

Będzie dotyczyło pokoju jak i pojednania dla Świata, Europy jak i dla Polski. Jak my chrześcijanie możemy się odnaleźć w tej rzeczywistości i co to znaczy że będziemy ludźmi nadziei w świecie gdzie jest dużo wojen i dużo niepokoju.

Celem zjazdów gnieźnieńskich jest pokazanie jak my chrześcijanie możemy się odnaleźć w realiach współczesnej Europy jako chrześcijanie.

DYSKUSJA

Mirosław Lewandowski: Sprawę listu biskupów widziałem od strony kombatantów. Niestety, nie da się już z nimi porozmawiać, ale to było opisane w aktach bezpieki. Jest w aktach opis reakcji Kazimierza Pluty-Czachowskiego, szefa oddziału V Komendy Głównej Armii Krajowej w czasie wojny, a po wojnie lidera środowiska kombatanckiego. Pierwsza reakcja była zdecydowanie krytyczna.

Oni się spotkali u Kazimierza Pluty-Czachowskiego w jego domu przy ul. Filtrowej, gdzie często odbywały się takie spotkania. W spotkaniu brał udział agent, który był „aniołem stróżem" Pluty-Czachowskiego (bo każdy oficer AK miał takiego „opiekuna" – akowcy to akceptowali, bo wiedzieli, że jeden musi być, ale nie akceptowali, gdyby próbował dołączyć drugi; Pluta-Czachowski nawet lubił tego swojego „opiekuna", natomiast kiedy Rybicki tego gościa spotkał w Szczawnicy, to mu opowiadał, jak w czasie wojny likwidowano konfidentów Gestapo – Rozmowa trwała dwie godziny i tamten żalił się potem bezpiece, że musi tego wysłuchiwać).

Mamy relację tego człowieka. Czy jest możliwe, że Pluta-Czachowski, wiedząc, że on donosi, w coś grał? Nie sądzę. Jego pierwsza reakcja autentycznie była bardzo krytyczna. Ściślej, może nawet nie krytyczna, ile widać było niezrozumienie.

Najlepszym odzwierciedleniem tego niezrozumienia, po co to zrobili biskupi, był artykuł Leszka Moczulskiego w „Stolicy", na początku 1966 roku[1]. Sądzę, że tytuł był od redakcji, to nie był jego tytuł, bo nie sądzę, żeby on się zdecydował na otwartą krytykę Prymasa. Artykuł w zasadzie w ogóle nie był o liście. Wymieniał tylko straty Warszawy w czasie II wojny światowej (posło-

[1] Leszek Moczulski, *Czy może za Warszawę?*, „Stolica" nr 1 z 1966 r.

wi Mularczykowi bardzo by się ten artykuł spodobał). Moczulski pisał m.in., że straty ludnościowe stolicy Polski w czasie II wojny światowej były większe niż Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii razem wziętych w tej wojnie (550 tysięcy to łączne straty tych dwóch państw, 800-850 tysięcy – to straty Warszawy). Artykuł nie był zatem o liście, tylko o stratach, natomiast konfrontacyjny tytuł redakcja nadała: „Czy także za Warszawę?" (w domyśle – czy biskupi przepraszają Niemców także za Warszawę). I ten artykuł, a raczej jego tytuł, który nadała mu redakcja, i reakcja Pluty wskazywały na całkowite niezrozumienie tego, co zrobili biskupi.

Rozumiem, że Niemcy mieli za co przepraszać, ale za co my ich przepraszaliśmy dwadzieścia lat po tej straszliwej wojnie? Przecież biskupi przepraszali Niemców. Za co? Ten brak zrozumienia u Pluty-Czachowskiego, który walczył w II wojnie światowej, podczas której wielu jego kolegów zginęło, był bardzo wyraźny.

Potem coś się stało – co, tego nie znajdujemy w aktach SB – i ten wątek krytyki zniknął. Po pierwszej reakcji, o której „opiekun" doniósł bezpiece, nawet jak ktoś na ul. Filtrowej, w mieszkaniu Pluty próbował krytykować biskupów, temat był ucinany. Nie było wytłumaczenia. Nie mówiono, że my to akceptujemy, nie było wyrazów poparcia dla stanowiska Kościoła. Było ucięcie dyskusji.

Ale ja to pytanie chciałbym postawić księdzu Stanisławowi i wszystkim tu obecnym: za co biskupi polscy przepraszali Niemców nie tylko w imieniu Kościoła, ale i narodu? Pytanie jest trochę prowokacyjne i ja mam tu do ugrania swoją pieczeń. Moja pieczeń jest żółto-niebieska... Marzy mi się podobny list biskupów polskich do duchowieństwa ukraińskiego, w którym biskupi polscy zrobią wobec Ukraińców dokładnie to, co zrobili wobec Niemców w 1965 roku, to znaczy nie zaczniemy od wypominania im naszych krzywd, w tym Wołynia, tylko ich przeprosimy…

Piotr Wójcik: Za Wołyń?

Mirosław Lewandowski: Nie, nie za Wołyń, ale za to, co im zrobiliśmy. Znając historię, ja bardziej widzę, za co my winniśmy przepraszać Ukraińców. Nato-

miast tak, jak Pluta-Czachowski, mam duży problem z odpowiedzią na pytanie, za co my mieliśmy przepraszać Niemców. To jest główny temat pod dyskusję. Nie Ukraina – ona jest w tle. Chociaż też chciałbym zapytać, czy ksiądz Stanisław widziałby potrzebę takich przeprosin? Może toczą się jakieś prace w tym zakresie? Skoro politykom tak ciężko idą z Ukrainą sprawy polityczne, bo w sprawie wojskowej zarówno PiS, jak i Platforma ma dobre relacje, ale problemem w relacjach z Ukrainą jest historyczny węzeł gordyjski. Ten problem może nam wystrzelić jak granat w ręku. Jeżeli politycy nie umieją sobie z tym poradzić, to może Kościół powinien pomóc? Wiem, że w Ukrainie jest moskiewska cerkiew prawosławna (Ukraiński Kościół Prawosławny Patriarchatu Moskiewskiego), z którą nie ma co prowadzić dialogu. W Ukrainie słusznie uznano Cerkiew Moskiewską za agenturę i powoli jest z Ukrainy wypychana. Jest też cerkiew ukraińska (Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Kijowskiego), która dzięki Poroszence rośnie w siłę. Jest wreszcie Kościół unicki we Lwowie. Nie powinno zatem być problemu ze znalezieniem partnera do dialogu.

Ks. Stanisław Tylus: *Á propos* nomenklatury – nie ma Kościoła unickiego. Jest Kościół greckokatolicki, a nawet inaczej: Ukraiński Kościół Katolicki. To jest oficjalna nazwa. Termin Kościół unicki był używany do 1772 roku na terenach południowych w Galicji. Maria Teresa jeszcze tego roku, podczas rozbioru, wprowadziła termin Kościół greckokatolicki. Do tej pory był Kościół unicki. Na innych terenach Rzeczypospolitej nazwa Kościół unicki funkcjonowała aż do II wojny światowej.

Mirosław Lewandowski: Nie wiem, jakie dzisiaj są relacje w Kościele unickim, bo on, jak wiadomo, miał być próbą związania Ukrainy czy Rusi z Koroną, natomiast w XX wieku Kościół unicki jest ostoją nacjonalizmu ukraińskiego i był zdecydowanie antypolski. To jest dziwna ewolucja.

Ale wracam do pytania, za co biskupi polscy przepraszali biskupów niemieckich?

Drugie pytanie – jak widzielibyśmy dzisiaj podobną inicjatywę biskupów polskich, tylko skierowaną na Wschód, nie do Rosji, tylko do Ukrainy (pomijając kwestię, z którym z Kościołów należałoby ten dialog prowadzić)?

Trzecie pytanie: głównym autorem listu do biskupów niemieckich był wspominany przez księdza Stanisława abp Kominek. Czy zechciałby Ksiądz powiedzieć o nim coś więcej? Wybieram się do biskupa Andrzeja Jeża, prosić o pozwolenie na utworzenie zbiórki dla Ukrainy w kilku dekanatach. Chciałbym też, prawdopodobnie w bardzo bezczelny sposób, namówić biskupa Jeża, by się zaangażował w dialog polsko-ukraiński, tak jak abp Kominek zaangażował się w dialog polsko-niemiecki. Tarnów jest do tego predestynowany. W 1920 roku w Tarnowie Piłsudski porozumiał się z Petlurą. Bo kiedy wyrzucili Petlurę z Wschowa, przebywał w Tarnowie. Potem wyjechał do Paryża, gdzie w 1926 zabił go najprawdopodobniej sowiecki agent. Również na terenie diecezji tarnowskiej, gdzieś koło Nowego Sącza, po 1939 roku, jak wyszedł z więzienia w Brześciu nad Bugiem, mieszkał Bandera. Tarnów jest tą polską diecezją, która jest silnie związana z dwoma ukraińskimi wybitnymi politykami.

Jerzy Wawrowski: Czy to nie z Tarnowa wyszła rabacja galicyjska?

Ktoś inny: Przepraszam, mogę w uzupełnieniu do pytania Mirka? Albo się mylę, albo pamiętam, że najbardziej kontrowersyjne nie były te przeprosiny, tylko słowa „wybaczamy i prosimy o wybaczenie".

Mirosław Lewandowski: Wybaczamy, to zrozumiałe, bo było za co, ale co chcemy, żeby nam Niemcy wybaczyli?

Zbigniew Adamczyk: My wybaczamy i jeszcze prosimy o wybaczenie. To jest dalej niż przeprosiny.

Ks. Stanisław Tylus: To jest nie tylko kwestia polityczna, ale także religijna i duchowa. Zawsze mamy za co przepraszać. Na pewno w relacjach polsko-niemieckich zdarzały się sytuacje bolesne dla Niemców. Myślę, że biskupi to mieli na uwadze, kiedy mówili, że przepraszamy za krzywdy, które ewentualnie Niemcy doznali od Polaków. Tak trzeba by to rozumieć. Kiedy sami się spowiadamy, też przepraszamy za to, co uczyniliśmy, nie tylko za to, co ktoś nam uczynił, ale co my uczyniliśmy względem innych. To idzie w dwie strony.

Przygotowując mój referat, przeglądałem artykuły z „Tygodnika Powszechnego", w których był artykuły atakujący Księdza Prymasa za tę decyzję przeproszenia. To nie było zrozumiałe przez wszystkich. Świadczyło o tym wiele artykułów na łamach innych pism, jak również reakcja księży, hierarchów, biskupów, którzy nie do końca widzieli potrzebę pojednania i przeproszenia. Niestety jeśli człowiek dozna jakiejś krzywdy, to to w nim trwa, pamięć pozostaje. Natomiast chcemy przeprosić za to, co się stało, chcemy żyć w zgodzie.

Akt woli jest najistotniejszy, a nie sama pamięć czy uczucia, jakie się wydobywają, gdy spotykamy kogoś, kto nam wyrządził krzywdę, chcemy się pojednać, przeprosić, ale wszystko w nas zostaje. Kiedy zaś ktoś zostanie tylko na etapie pamięci i nie idzie dalej, to jest za mało. Episkopat Polski w 1965 roku poszedł dalej. Było to swoiste przewidywanie wydarzeń, które nastąpiły później. Ten list dla ludzi tamtych czasów był dziwny, z drugiej strony był krokiem do przodu, który wiele zmienił w relacjach z Niemcami.

Sami Niemcy też nie bardzo chcieli tego przeproszenia ze względu na to, że chcieli, by te granice wróciły stanu sprzed wojny. Poza tym Niemcy nie dyskutowali z Polakami. Polacy przed wydaniem listu wymieniali uwagi z biskupami niemieckimi i dopiero wtedy go opublikowano. Druga strona w ogóle nie kontaktowała się z Polakami. Owszem, lakonicznie podziękowali za zaproszenie na uroczystości milenijne, ale więcej nic konkretnego. Można powiedzieć, że Polacy nic na tym nie „ugrali".

Mirosław Lewandowski: A czy toczą się analogiczne ruchy z Ukrainą?

Ks. Stanisław Tylus: Był swego czasu list patriarchy arcybiskupa Większego Kijowsko-Halickiego Światosława Szewczuka, który nawiązywał do aktu przebaczenia i przeproszenia, ale bez większego odzewu. Nie poszło to głęboko w społeczeństwo ukraińskie i nie debatowano na ten temat. List został wydany i na tym się skończyło, ale nie było w nim słów: „przebaczamy i prosimy o przebaczenie", jak to sformułowali biskupi polscy.

Piotr Wójcik: Tam była formuła, że oni nam wybaczają.

Mirosław Lewandowski: Biskup Szewczuk reprezentował ukraińską stronę?

Ks. Stanisław Tylus: Tak.

Piotr Wójcik: Zabrakło drugiego kroku.

Mirosław Lewandowski: Kiedy ten list wyszedł?

Ks. Stanisław Tylus: Kilka lat temu.

Piotr Wójcik: 7 lipca 2013 roku.

Mirosław Lewandowski: Episkopat nie widzi żadnej potrzeby? Przecież z Niemcami było dużo trudniej niż z Ukraińcami.

Ks. Stanisław Tylus: W tym momencie nie ma rozmów w sprawie przeproszenia czy głębszych relacji między Kościołami. Może przyczyną tego jest wojna, w której wszystko jest zawieszone. Ale jeżeli mówimy o kwestiach pojednania, to była podejmowana próba z prawosławną Moskwą. Odbyło się spotkanie episkopatu polskiego i przedstawicieli cerkwi. Nie przygotowywałem się do tego typu zagadnienia, więc trudno mi powiedzieć, kiedy to było.

Piotr Wójcik: Polityka ikonowa.

Mirosław Lewandowski: Czy pisząc list do Niemców, biskupi polscy kierowali się wyłącznie motywami religijnymi, czy był zamysł jeżeli nie polityczny, to przynajmniej społeczny?

Ks. Stanisław Tylus: Społeczny na pewno – sprawa krzywd narodu polskiego i narodu niemieckiego, później podkreślano w liście ludobójstwo dokonane przez Niemców. Czy będą rozmowy między Kościołem ukraińskim i greckokatolickim, trudno powiedzieć. Czas pokaże.

Mirosław Lewandowski: Pamiętam po 13 grudnia w Krakowie…

Jerzy Wawrowski: Ale po którym 13 grudnia, bo teraz są dwa 13 grudnia?

Piotr Wójcik: Po pierwszym.

Mirosław Lewandowski: Wydział Prawa w Krakowie jest bardzo blisko kurii, przy Plantach. Pamiętam gigantyczne tiry z darami, które przyjeżdżały do kurii krakowskiej i były tam rozładowywane. To wszystko było niemieckie.

Piotr Wójcik: Aha, i za to mamy ich przeprosić?

Krzysztof Laga: Nie, to było w ramach przeprosin.

Mirosław Lewandowski: Nie, ale jeżeli mówimy o dalekosiężnych skutkach listu biskupów, że ten list jakoś utorował drogę do pojednania polsko-niemieckiego i moim zdaniem dopiero teraz nieszczęśliwa polityka poprzedniego rządu w kwestii relacji polsko-niemieckich wraca do stanu jak za Gomułki. Takie dziwne *déjà vu*.

Piotr Wójcik: Mamy powrót do Hitlera w Polsce.

Mirosław Lewandowski: Nie, jeśli chodzi o naszą politykę, mamy powrót do Gomułki.

Piotr Wójcik: Proszę przeczytać orzeczenia niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe.

Mirosław Lewandowski: W latach 80. dwa razy byłem w Niemczech Zachodnich na kilkumiesięcznych wyjazdach stypendialnych z UJ i ze strony Niemców nie czułem wobec siebie żadnych protekcjonalnych gestów czy zachowań itp. O ile moja mama, gdy widziała starego Niemca, mówiła: „widzę gestapowca", bo pamiętała wojnę, to ja, gdy widziałem Niemca, widziałem

Europejczyka Zachodniego, który z całej Europy Zachodniej jest wobec Polski najbardziej pozytywnie nastawiony. Pod koniec lat 80. była taka sytuacja, że Niemcy Zachodni byli najbardziej nastawieni pro-polsko z całej Europy Zachodniej. Widziałbym tu długi skutek tego listu.

Ks. Stanisław Tylus: Do tych skutków można by zaliczyć otwarcie Niemców po emigracji z terenów Polski do Niemiec. Ludność, która wyemigrowała z północy i zachodu, też oddziaływała pozytywnie na te relacje. W latach 1980–1986, zaraz po święceniach zostałem skierowany na wikariusza i pracowałem w Rynie. Stamtąd emigrowali jeszcze ludzie w ramach łączenia rodzin, którzy byli bardzo pozytywnie nastawieni do Polski. Nie wyjeżdżali z żalem. Utrzymywali kontakty listowne. W czasie stanu wojennego oni organizowali pomoc na tamtych terenach. To był na pewno długofalowy skutek poczynań tego listu.

Bp Kominek był predestynowany do tego, żeby się tym zająć. Raz ze względu na to, że zarządzał archidiecezją wrocławską, dwa że został kardynałem, co oznaczało, że doceniono jego zdolności. Prymas prosił go, aby się zajął tymi kwestiami i on układał główne punkty listu. Podejrzewam, że miał jakichś teologów czy ludzi, którzy zajmowali się tym w kurii wrocławskiej, ale odpowiedzialność bezpośrednia to jest jego. Wielki szacunek dla tego człowieka. Zresztą postawiono mu pomnik, u podnóża którego zostały wyryte słowa tego orędzia biskupów. Jako podziękowanie temu człowiekowi za dokonaną pracę na rzecz orędzia.

Mirosław Lewandowski: Myślę o mojej rozmowie z biskupem tarnowskim Jeżem. Czy biskup Kominek miał osobiste relacje z Niemcami? Był arcybiskupem Wrocławia, ale czy był obywatelem niemieckim?

Ks. Stanisław Tylus: Biskup Kominek jest Ślązakiem.

Mirosław Lewandowski: Nie wiem, czy wiecie, że masa księży tarnowskich pracuje w Ukrainie.

Ks. Stanisław Tylus: Skoro biskup Kominek jest Ślązakiem, to problem był mu znany i jak najbardziej nadawał się do prowadzenia tego typu spraw.

Piotr Wójcik: Pochodził z Radlina, obecnie część Wodzisławia Śląskiego.

Mirosław Lewandowski: Biorąc pod uwagę jego wiek, on się urodził w Niemczech, w zaborze niemieckim.

Ks. Stanisław Tylus: Rok 1903 to są jeszcze Niemcy, Rzesza Niemiecka.

Jerzy Wawrowski: W zaborze pruskim, gdyż w latach 1740–1742 król Prus Fryderyk II Wielki najechał i podbił Śląsk.

Krzysztof Laga: Urodził się w granicach Królestwa Polskiego, tylko pod zaborem pruskim.

Jerzy Wawrowski: Przypuszczałem, że powściągliwość Kościoła niemieckiego wynikała z tego, że nie chcieli dać do zrozumienia, że nawet w pośredniej formie uznają granice zachodnie.

Ks. Stanisław Tylus: Nie tylko to, nawet prawica niemiecka nie chciała rozmawiać na ten temat.

Jerzy Wawrowski: Stąd wydaje się ta powściągliwość. Wydaje mi się, że list biskupów polskich został nawet lepiej odczytany przez Niemców – w sensie tego, o co naprawdę w nim chodziło – niż przez nasze środowiska.

Ks. Stanisław Tylus: Zgadza się.

Jerzy Wawrowski: Biskupi niemieccy czytali między wierszami i wiedzieli, że jeśli odpowiedzą na list, to nawiążą kontakt z tymi, z którymi prędzej czy później będą musieli uznać granice. Ale biskupi niemieccy nie chcieli tego robić. Później mamy proces, który kończy się w grudniu 1970 roku podpisaniem traktatu uznania granicy zachodniej na Odrze i Nysie Łużyckiej. W naszej świadomości to jest przedstawiane tak jak to pamiętam z dzieciństwa: stoi Willy Brandt i Gomułka, podpisują, uznają granice, normalizują wzajemne

stosunki. Tymczasem ani Republika Federalna, ani PRL nie były państwami suwerennymi. W moim przekonaniu cały ten proces uznania to była gra między głównymi mocarstwami – Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim, które poprzez swoje marionetki wchodziły w proces, który w latach 70. przybrał obrót procesu odprężenia (z fr. *détente*). W 1965 roku był list biskupów polskich, potem trwają prace nad uznaniem itd., itd. Kiedy popatrzymy na to, jak na proces, to widzimy, że ten list był elementem rozkładu systemu, uruchomił proces rozkładu systemu komunistycznego.

Mirek Lewandowski mówił o przeproszeniu. Ja też to pamiętam i Zbyszek bardzo trafnie zauważył, że „wybaczamy i prosimy o wybaczenie". Najpierw wybaczamy i prosimy o wybaczenie, co wtedy było niezrozumiałe, bo za co my prosimy o wybaczenie? Nie dziwię się osobom, które Mirek przytoczył. Ja też pamiętam, że to było zupełnie niezrozumiałe w społeczeństwie.

Oczywiście „Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci kamieniem" (J 8, 7). To nie jest tak, że grzech był tylko po jednej stronie. Ale przy tej skali zbrodni, jaką Niemcy dokonali podczas II wojny światowej, „prosimy o wybaczenie" brzmiało niezrozumiale. Z drugiej strony, do kogo prośba o wybaczenie mogła być adresowana? Ksiądz Stanisław wspomniał, że do tych, którzy musieli opuścić nasze ziemie zachodnie, przy czym dla tych Niemców, w ich głębokiej świadomości, to były ich Kresy Wschodnie. Tak jak dla Polaka Wilno czy Lwów. Oczywiście wynikało to z dawnego przesunięcia granic państwowych, które nie pokrywało się z granicami etnicznymi. Niemieckie granice państwowe – nie było państwa niemieckiego, ale powiedzmy, różne państwowości niemieckie – przesuwały granice na zachód na linii i to bardzo głęboko na niemiecki obszar etniczny, ale na Połabiu żyli Słowianie, tylko zgermanizowani. My natomiast przesuwaliśmy swoje granice na obszar etniczny plemion ruskich, później Rusinów, stąd też wyrażenie „prosimy o wybaczenie" może odnosić się do faktu, że zmusiliśmy ich do opuszczenia tego obszaru.

Andrzej Anusz: To nie my ich zmusiliśmy.

Jerzy Wawrowski: To nie my ich zmusiliśmy, niemniej jednak my ten obszar zasiedlaliśmy. Jeśli chodzi o węzeł historyczny z Ukrainą, on jest oczywisty.

Oczywiście w naszym wyobrażeniu I Rzeczpospolita to była idylla, tymczasem rzeczywistość I RP była bardziej złożona. Musimy pamiętać, że I RP nie była tylko państwem polskim. To było państwo złożone. Np. Kancelaria Wielkiego Księstwa Litewskiego (WKL) posługiwała się językiem ruskim. Jeżeli ktoś czy to z terenu Wielkiego Księstwa Litewskiego, czy z Ukrainy, czy rusiński, czy ruski magnat, określał się jako Ruthenus w sensie etnicznym, a jako Polonus w sensie państwowym (*gente Ruthenus, natione Polonus*). Polonus, ponieważ nie było pojęcia Rzeczpospolitanin. Konstanty Ostrogski, zwycięzca spod Orszy, to jest „Ruski Scypion". Więc węzeł historyczny z Ukrainą nie jest taką prostą sprawą. Będzie trzeba to jakoś przezwyciężyć, moim zdaniem, dlatego że te kraje i te narody są na siebie skazane. Jeżeli kraje z pomostu bałtycko-czarnomorskiego nie stworzą swoistej architektury bezpieczeństwa regionalnego, to w perspektywie historycznej szans na istnienie jako państwo osi, a nawet jako narodu w tym tyglu nie mają. Skoro tak, to ułożenie stosunków z Ukrainą może być trudniejsze. A może, wbrew pozorom, łatwiejsze – z Białorusią i Białorusinami oraz tzw. krajami bałtyckimi.

Nawiązując do rabacji galicyjskiej, jeżeli mówimy „wybaczamy i prosimy o wybaczenie", to wewnętrzne wybaczenia w tej chwili nie zostały ziszczone, bo nie wiem, czy ktokolwiek po rabacji prosił kogoś o wybaczenie.

Ks. Stanisław Tylus: Można powiedzieć, że tak.

Piotr Wójcik: Czyli mamy odfajkowane.

Jerzy Wawrowski: Czyli z Małopolsce jest spokój.

Ks. Stanisław Tylus: Po rabacji całe południe było przeorane misjami, które prowadzili Jezuici i podnosili wówczas m.in. kwestie pojednania i przebaczenia.

Jerzy Wawrowski: Natomiast w relacjach między Kościołami polskim i ukraińskim jest duża praca do zrobienia. Chociaż z czysto politycznego punktu widzenia ktoś, kto dąży do zniszczenia Kościoła w Polsce – przepraszam, że

mówię tak instrumentalnie – jednocześnie niszczy istotny czynnik polskich interesów politycznych.

Ks. Stanisław Tylus: Kościół wrósł w tę świadomość.

Jerzy Wawrowski: Następna kwestia – co to znaczy pojednanie polsko-niemieckie? Zastanawiam się, bo często używa się tego określenia, a są różne pojednania. Na Zachodzie też są pojednania francusko-niemieckie, aczkolwiek skala miary między Francuzami a Niemcami nie ma porównania z tym, co się działo tu, na Wschodzie. Ale czy to nie jest tak, że my owijamy w ideologiczne pojednanie strategię odwracania przymierzy czy zmian przymierzy. Zmienia się układ sił – trzeba zmienić przymierza. Zmieniają się uwarunkowania i ten proces jakoś trzeba przeforsować w społeczeństwie i wtedy używa się formuł np. takich jak pojednanie. Nadaje się polityce, która jest praktyczną rozgrywką interesów, formę mistycyzmu. Czy w relacjach międzynarodowych można w ogóle mówić o czymś takim jak pojednanie, czy raczej tylko o sojuszach czy kontr-sojuszach, układach, przymierzach itd.

Michał Janiszewski: Interesach.

Jerzy Wawrowski: W momencie, gdy wchodzimy w taką terminologię, jak pojednanie, to musimy zadać pytanie – pojednanie może być między ludźmi, ale czy między krajami i między państwami może być pojednanie?

Ks. Stanisław Tylus: Między narodami.

Jerzy Wawrowski: Między narodami to jest troszeczkę inaczej. To nie to samo, ale to jest dla mnie niejasne.

Ks. Stanisław Tylus: Ciekawe spostrzeżenie. Nawiążę do sytuacji, kiedy Jan Paweł II mówił o wielkości unii polsko-litewskiej, która jest wzorem dla Unii Europejskiej. Prawa z czasów I Rzeczpospolitej były dostrzegane i podkreślane przez Jana Pawła II i mogą być też akcentowane w tym pojednaniu. Jest to możliwe.

Jerzy Wawrowski: W kwestii ukraińskiej tak jednak nie było. Elita ukraińska, ruska czy kozacka nie została dopuszczona do szlachectwa. Od tego momentu się zaczyna.

Ks. Stanisław Tylus: Ale generalnie szlachta przyjmowała herby.

Piotr Wójcik: Usynowili szlachtę w ogóle, przyjęli do swoich rodów.

Ks. Stanisław Tylus: Jeśli chodzi o Kozaków, to pewien limit Kozaków został dopuszczony, reszta została poza możliwością wejścia w kręgi.

Mirosław Lewandowski: Czytałem bardzo ciekawy tekst na ten temat. Nowoczesne narody powstały w XIX wieku. Rozbiory przerwały proces, który w XIX wieku doprowadziłby do powstania wieloetnicznego narodu Rzeczypospolitej, tak jak w Niemczech. W jakiś sposób odcienie Niemców (Północ – Południe, Wschód – Zachód) bardzo się od siebie różnią i gdyby nie rozbiory, to w XIX w. powstałby wieloetniczny naród polski i być może nie byłoby narodu ukraińskiego ani litewskiego, ani białoruskiego. Po prostu byłby naród Rzeczpospolitej.

Ks. Stanisław Tylus: Wszystko zaczęło się w II połowie XIX wieku, te tendencje.

Mirosław Lewandowski: W tym momencie nie było państwa polskiego, co było tragedią, bo ten naród się nie mógł ukształtować w ramach wspólnego państwa. Ukształtowały się narody osobne: polski, ukraiński, litewski, białoruski. Gdyby I Rzeczpospolita przetrwała, gdyby nie było rozbiorów, to może ukształtowałyby się nie trzy czy cztery narody (na temat Białorusinów możemy dyskutować, czy i kiedy powstali jako naród), ale może ukształtowałyby się jeden naród Rzeczpospolitej.

Jerzy Wawrowski: Te narody ukształtowały się w opozycji do Rosji.

Ks. Stanisław Tylus: Wtedy, kiedy nie mieli możliwości bycia w granicach Polski…

Mirosław Lewandowski: Wtedy ukształtowały się one jako odrębne twory...

Ks. Stanisław Tylus: Białorusini to był dopiero XX wiek.

Mariusz Olszewski: Krótko odniosę się do dwóch kwestii. Ile liczył Episkopat podczas wydania tego listu? Bo list podpisało 36. biskupów.

Ks. Stanisław Tylus: Podpisali też sufragani, biskupi pomocniczy.

Mariusz Olszewski: Był jakiś opór biskupów? Bo rozumiem, że gdyby wszyscy podpisali, to byłby podpis całej Konferencji Episkopatu Polski. Tymczasem zawsze pada liczba 36 biskupów, co daje do myślenia, że byli tacy, którzy sprzeciwiali się i nie podpisali.

Ks. Stanisław Tylus: Jest informacja. Konkretnie nie wskazuje się kto, ale nie wszyscy hierarchowie. Prawdopodobnie może chodzić o biskupów, którzy może byli tylko sufraganami, natomiast rezydencjonalni, nie mieli wyjścia i musieli podpisać.

Mariusz Olszewski: Znając żelazną rękę Prymasa, to ich los byłby straszny.

Ks. Stanisław Tylus: Tylko mało znaczący sufragan mógł sobie na to pozwolić.

Mariusz Olszewski: Zanim powstał list-orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich, taki ruch wystąpił wśród Kościołów w Niemczech. Kościół rzymskokatolicki strasznie chłodno, strasznie dyplomatycznie, prawie że został zmuszony do tego, żeby odpowiedzieć nam: dziękujemy, że coś do nas napisaliście. Zupełnie inna sytuacja była w Kościołach ewangelickich w Niemczech. Tam akcja zaczęła się od początku lat 60. Powstawały stowarzyszenia ewangelickie, które dążyły do pojednania. Oni wydawali kilka listów w międzyczasie.

W 1961 roku wezwali do uznania granicy Polski na Odrze i Nysie Łużyckiej. Potem wśród sygnatariuszy tego listu był późniejszy prezydent RFN Richard von Weizsäcker, który był przewodniczącym związku Kościoła ewangelickiego (Niemieckiego Zjazdu Kościoła Ewangelickiego – Deutscher Evangelischer Kirchentag), na którego czele stał w latach 1964–1970. Z tamtej strony bardziej ta akcja pojednawcza i uznaniowa granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej niż ze strony Kościoła rzymskokatolickiego. Rok temu przebywałem na Dolnym Śląsku. I jak zawsze w takich sytuacjach, zwiedzałem mnóstwo kościołów, a jest tam naprawdę bardzo dużo zabytków... [nieczytelny fragment]

Wspomnienia z lat 40. [...] są po prostu makabryczne, jeżeli chodzi o wspomnienia Kościoła. Ludność polska, wypchana z terenów Kresów Wschodnich, która przybywa na tamte tereny, zastaje także tamtych katolików, tamte siostry zakonne (tragedia polegała na tym, że wszystkie gwałcono – w Nysie te zakonnice są kandydatkami na ołtarze jako męczennice), tamtych księży, i przychodzą też nasi księża i nasze siostry zakonne...

Ks. Stanisław Tylus: Dziewięć sióstr elżbietanek...

Mariusz Olszewski: To są męczennice Armii Czerwonej. Stąd to doświadczenie na ziemiach zachodnich, na których się spotyka dwie strony tego samego Kościoła. Księża, zakonnice tego samego Kościoła musieli sobie jakoś z tym problemem poradzić. A problem był. Bardziej dotyczył na tamtych terenach Niemców czy też tych, którzy na terenach niemieckich zostali zastani w czasie ofensywy niż tych, którzy potem zostali deportowani z naszych Kresów.

Ktoś z sali: Już wcześniej…. [nieczytelny fragment nagrania]

Mariusz Olszewski: Nie w takim zakresie, bo jak Armia Czerwona szła, to wszystkich gwałciła.

Mirosław Lewandowski: Tam odbyła się swoista denazyfikacja. W zachodnich Niemczech Amerykanie robili podobnie, a ponieważ część wojska ame-

rykańskiego była Murzynami, więc był wyraźny ślad, gdy idzie o kolor skóry nowo narodzonych dzieci po dziewięciu miesiącach....

Mariusz Olszewski: Druga rzecz to kwestia prześladowania Kościoła. Chciałem w kilku zdaniach wspomnieć proboszcza Józefa Wójcika w parafii pw. Świętego Andrzeja w Suchedniowie. Stał on na czele grupy dwóch księży i dwóch sióstr zakonnych, którzy wykradli Obraz Jasnogórski z więzienia. Ks. Wójcik to był niezły kozak – w sumie dziewięć razy w więzieniu, osiemnaście razy aresztowany, wiele razy stawał przed sądem. To było od lat 50. do lat 90. Więzienie zaliczył w Kielcach, w Pińczowie, w Radomiu. Zaczęło się od tego, że w Ożarowie (jak będziemy w na Świętym Krzyżu, to na Północ widać Ostrowiec, a po prawej Ożarów), będąc tam wikarym, wygłosił kazanie, w którym powiedział, że Rosjanie mogli zdejmować krzyże u siebie, ale my jesteśmy w Polsce i należy to potępiać. To było wtedy, kiedy za Gomułki była druga fala już nie odwilży, ale zamrażania, kiedy z powrotem wyrzucało się religię ze szkół, zdejmowało krzyże itp. Wtedy po raz pierwszy został aresztowany i skazany na miesiąc więzienia. Myślę, że przez kogoś został ks. Wójcik zauważony i był kierowany na trudne placówki, bo był bunt parafian w Wierzbicach (obecnie powiat szydłowiecki), z kolei władze PRL chciały „wyjąć" stamtąd parafian i utworzyć parafię podległą PRL-owi. Ks. Wójcik pracował nad tym, żeby to zniwelować i odprawiał msze św. w prywatnych domach. Za każdą mszę św. dostawał kolegium w wysokości 4 tys. zł. W latach 60. to było bardzo dużo. Potem była akcja z uwolnieniem Obrazu Jasnogórskiego – powstał na ten temat film. W Wikipedii nie ma jednej ważnej rzeczy. Kiedy Lech Wałęsa został zwolniony z Arłamowa, został zaproszony przez Wójcika i przeszło przez miesiąc przebywał na parafii w Suchedniowie, żeby sobie odpocząć. Dla mieszkańców ziemi świętokrzyskiej jest to o tyle ważne, że zostawił tam jeden znak. Po 1989 roku, jak „Solidarność" doszła do władzy, to w Suchedniowie został utworzony przystanek PKP dla… pociągów pospiesznych, który ustanowił sam Lech Wałęsa.

Andrzej Anusz: Czyli Włoszczowa nie była pierwsza...

Mariusz Olszewski: Ale to wiąże się z Józefem Wójcikiem i obecnością Wałęsy w Suchedniowie.

Ks. Stanisław Tylus: Jeszcze można dorzucić dygresję do dygresji. Eks-pallotyn też miał swoje miejsce w tej Wierzbicy. On przeszedł do Kościoła narodowego, gdzie przez władze państwowe został mianowany proboszczem. Rozpoczął rozmowy z biskupem kieleckim Piotrem Jaroszewiczem i obiecał, że odda parafie Kościołowi łacińskiemu, katolickiemu, pod warunkiem że przywrócą go z powrotem do kapłaństwa rzymsko-katolickiego. Tak się stało. Ostatecznie oddał parafię, którą objął właściwy kapłan mianowany przez biskupa, a ten nic nie otrzymał z tego tytułu ani nawet nie został przywrócony. Ale jest pochowany w Radomiu.

Zbigniew Adamczyk: Wszystko, co chciałbym powiedzieć, odnosiło się do tego, o czym mówił Mirek jako pewnej prowokacji. Ważne, byśmy mówiąc o liście do biskupów, pamiętali, kiedy mówimy na poważnie, a kiedy w konwencji prowokacji intelektualnej. Jeśli na zasadzie prowokacji intelektualnej zadajemy sobie pytanie, czy list biskupów był, czy jest zrozumiały, to okej. Tylko pamiętajmy, że rozmawiamy w tej konwencji. Trudno jest ze ślepym rozmawiać o kolorach i z osobą niewierzącą rozmawiać o sprawach wiary i przykazaniach wiary. Mamy na bieżąco z tym do czynienia. Niewierzący nie wiedzą, po co jest krzyż na ścianie i uważają, że gapienie się na pustą ścianę jest dużo lepsze niż patrzenie na ścianę, na której wisi krzyż. Myślę, że w tym przypadku sytuacja jest tego rodzaju. Oczywiście ludzie niewierzący i małej wiary będą mieli ogromne problemy ze zrozumieniem, co to było, po co to było.

Uważam, że w pierwszej kolejności trzeba powiedzieć tak: pamiętam z autopsji lata 60., wizyty w kościele. Oczywiście ludzie poddani byli presji propagandy komunistycznej, która podrzucała ludziom myślenie typu: „Przecież wy nie macie za co przepraszać. Za co wy macie przepraszać?". Ale kto się na to dawał nabierać? Ludzie małej wiary. Pamiętam, że ta sprawa była dyskutowana na różne sposoby i wielu ludzi w Kościele, w parafii odnosiło się z pełnym zrozumieniem do tego wystąpienia. Myślę, że dzisiaj możemy być dumni, że

mamy do czynienia z tym faktem, że to my pierwsi w 1965 roku, że przywódcy naszego Kościoła pierwsi zdecydowali się na gest, który znalazł swoją kontynuację w całym szeregu faktów, łącznie z tym, że nie jesteśmy wrogami z Niemcami, tylko jesteśmy w jednej Unii Europejskiej. Pamiętajmy o tym, że to, co jest kwestią wiary, często rozwija się ze zdrowym i pospolitym rozsądkiem.

Kolejna kwestia to sprawa przywódców Armii Krajowej. Mam nadzieję, Mirku, że się ze mną zgodzisz, że to było środowisko zróżnicowane z punktu widzenia podejścia do wiary. Gdy mówimy o roku 1965, to przywódcy typu Pluta-Czachowski, Muzyczka, mogli sprawom wiary nie przydawać pierwszorzędnego znaczenia.

Mirosław Lewandowski: Wśród przywódców AK zdecydowanie byli też ludzie wierzący.

Zbigniew Adamczyk: Wiem, wśród nich należy wymienić gen. Abrahama, który był człowiekiem wiary, rzutującym na całe środowisko.

Mirosław Lewandowski: I przyjaciel Prymasa.

Zbigniew Adamczyk: Był przyjacielem Prymasa. Związki między środowiskiem AK a Kościołem zaczynają się coraz bardziej zacieśniać w II połowie lat 60. i w latach 70. Z tego, co wiem, (w dużo wiem z Twoich publikacji), nie ulega wątpliwości, że wszyscy w czołówce środowiska AK przekonali się do myśli o tym, że jeśli chodzi o nurt niepodległościowy, Kościół będzie tu siłą, która jest w stanie w tym nurcie przewodzić.

Mirosław Lewandowski: Z tym, że po tej pierwszej krytycznej reakcji, potem ucięło się z powodów, które nie są wytłumaczone w aktach SB?

Zbigniew Adamczyk: Ja myślę, że wszystko to, co zrobiło to środowisko i z jakim efektem, tłumaczy to, że nie chciało się wdawać w krytykę, która była prowokacją na środowisko społeczeństwa polskiego, bo społeczeństwo polskie, chrześcijańskie w swej absolutnie przeważającej masie nie miało powodu, żeby

krytykować swoich biskupów, którzy wystąpili w sposób jak najbardziej zrozumiały, szczególnie z dzisiejszej perspektywy.

Ks. Stanisław Tylus: Dzisiaj miałbym pewne skojarzenie. Zainspirowała mnie myśl podana przez Mariusza o tym, że Kościół protestancki był bardziej otwarty na pojednanie polsko-niemieckie niż Kościół katolicki. Gdzie należy szukać przyczyn takiego stanu rzeczy? Nie potrafię odpowiedzieć. Czy może ówcześni biskupi katoliccy rządzący Kościołem w Niemczech mieli takie a nie inne zapatrywania, podczas gdy Kościoły protestanckie nie były uzależnione od jednego zwierzchnika?

Mariusz Olszewski: Ja jestem jeszcze ciekaw jednego. Ksiądz Stanisław zauważył, że bardzo silny był wówczas ruch ziomkowski.

Ks. Stanisław Tylus: Owszem, ale głównie wśród katolików. Być może.

Mariusz Olszewski: Czy nie miało to znaczenia takiego, że ruch ziomkowski był powiązany jednak z terenem, na którym były parafie niemieckie i one też zostały wysiedlone? Czy takie działania nie miały wpływu na chłodne reakcje z tamtej strony?

Ks. Stanisław Tylus: Jest w każdym razie to pole do podjęcia dalszych badań.

Michał Janiszewski: Ja myślę, że trzeba by jeszcze zajrzeć do akt CIA. Dowiedzielibyśmy się, jaki wpływ mieli na protestantów, a jaki na katolików.

Jerzy Wawrowski: Kiedy czegoś nie wiemy, musimy pamiętać, że w tle jest interakcja między Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim, a to oznacza interakcje między CIA a KGB. Dlatego dochodzimy do pewnego momentu i dalej nie wiemy dlaczego.

Mirosław Lewandowski: Nie obraźcie się, ale jakbym słuchał RIA Novosti. Ten sam sposób patrzenia na świat, że to wszystko to jest gra interesów amerykańsko-sowieckich.

Ks. Stanisław Tylus: To jest uproszczenie.

Ktoś z sali: A nie gra PRL z RFN?

Jerzy Wawrowski: Na tym styku?

Mariusz Olszewski: Widzę, że słuchasz RIA Novosti, ja nie.

Jerzy Wawrowski: Dlaczego kwestionujesz, że PRL nie była państwem suwerennym i nie mogło samodzielnie podjąć takiej decyzji, bez pieczęci KGB.

Mirosław Lewandowski: Chciałbym wywołać Andrzeja Anusza, który się nie odzywa. Moim zdaniem, w kwestii dogadania się z Niemcami, Gomułka, który miał antyniemiecką szajbę, jednak 7 grudnia podpisał układ, na co zwrócił uwagę ksiądz Stanisław. Antoni Dudek uważa, że jednym z głównym powodów tego, że Gomułka został obalony w grudniu, było to, że dogadał się z Niemcami i doprowadził ich do uznania granicy. Aby Niemcy nie uznawali granicy na Odrze i Nysie, na tym szalenie zależało Moskwie. Moskwa była wtedy bowiem gwarantem tej granicy, natomiast z chwilą, kiedy Niemcy tę granicę uznali, wojska radzieckie w Legnicy okazywały się zbędne.

Andrzej Anusz: Kwestia uznania granicy polsko-niemieckiej i dyskusji na temat zjednoczenia państw niemieckich to jest fundament zjednoczenia Europy i Unii Europejskiej. Kościół odgrywa w tym fundamentalną rolę.

II DZIEŃ (25 maja 2024 ROKU)

Dr Andrzej Anusz

WPŁYW POLSKICH ŚRODOWISK ZA GRANICĄ NA PROGRAMY OPOZYCJI POLITYCZNEJ W KRAJU

Koncentrujemy się wokół tematu Europy. Moje wystąpienie podzieliłem na trzy elementy. Na początku chciałbym kontynuować wczorajsze wystąpienie księdza Stanisława o roli Kościoła w prowadzeniu polityki zagranicznej. To pierwszy element. Drugi to kwestia programów opozycji antykomunistycznej i relacji do Europy, do integracji europejskiej – tutaj skoncentruję się wokół ważnego dokumentu, który przedstawię w całości, ponieważ najpełniej pokazuje on stanowisko środowisk opozycyjnych wobec kwestii integracji europejskiej i wobec Europy. Trzeci element – ponieważ we wczorajszej dyskusji pojawiły się wątki współczesne, teraźniejsze, w tym elemencie chciałbym przedstawić różne scenariusze – do dyskusji – dotyczące tego, co się w tej chwili dzieje w związku z wyborami do Parlamentu Europejskiego i z ewentualnymi różnymi scenariuszami, które nastąpią po wyborach 9 czerwca. Odniosę się do przyszłości, do dyskusji, które w tej chwili odbywają się w Unii Europejskiej. Wszystkie elementy łączą się ze sobą, więc myślę, że będzie zachowana pewna ciągłość.

Rozpocząłbym od roli Kościoła w prowadzeniu polityki zagranicznej, dotyczącej kwestii Europy i integracji europejskiej. Punktem wyjścia będzie List biskupów polskich do biskupów niemieckich z 18 listopada 1965 roku. Pierwsza generalna uwaga. PRL było państwem niesuwerennym, podporządkowanym, de facto nieprowadzącym samodzielnej, suwerennej polityki zagranicznej. Politykę zagraniczną prowadził Związek Radziecki. Polityka

niesuwerennego państwa PRL była podporządkowana polityce Związku Radzieckiego. W związku z tym, w warunkach PRL, jedyną instytucją, która w sposób naturalny i rzeczywisty mogła prowadzić w taki czy inny sposób swoiście zdefiniowaną politykę zagraniczną, był Kościół katolicki w Polsce. Jest to pierwsza generalna uwaga. Zwłaszcza do 1976 roku Kościół katolicki w Polsce, z przyczyn oczywistych, poza funkcjami religijnymi, pełnił funkcję pewnej opozycji politycznej wobec ówczesnej rzeczywistości. Obejmowało to także kwestię relacji i budowania relacji w polityce międzynarodowej. To jest fenomen. Kościół miał, można powiedzieć, specjalną i specyficzną rolę z racji swojego funkcjonowania i możliwości prowadzenia działalności o charakterze międzynarodowym. Kościół powszechny, Stolica Apostolska z Watykanem na czele prowadziła relacje między państwami. Kościół w Polsce jest częścią Kościoła powszechnego. Watykan jest punktem odniesienia jako prowadzący politykę międzynarodową. W warunkach PRL-u Watykan był swoistym punktem odniesienia dla Kościoła w Polsce. W związku z tym poprzez Watykan była możliwość prowadzenia pewnych relacji międzynarodowych. To jest kwestia fundamentalna. Przechodząc do kwestii Listu biskupów polskich do biskupów niemieckich. W moim przekonaniu ten List i to, co się wydarzyło po tym Liście, ma fundamentalne znaczenie w procesie integracji europejskiej i w procesie odzyskiwania przez Polskę niepodległości. Dlatego że warunkiem odzyskania przez Polskę niepodległości, w sytuacji sowieckiej opresji, było oczywiście uzyskanie suwerenności, w sytuacji zjednoczenia Europy, odbudowy Europy. To było możliwe tylko w sytuacji, kiedy dwa państwa niemieckie NRD i Republika Federalna Niemiec, mogły się zjednoczyć. To jest podstawowy element polityki międzynarodowej. Warunkiem zjednoczenia Europy, warunkiem odzyskania przez Polskę niepodległości w zjednoczonej Europie, była kwestia zjednoczenia Niemiec. To ma fundamentalne znaczenie. Dlaczego? Dlatego że trzymanie Polski (i innych państw, ale koncentruję się na Polsce) w sowieckiej strefie wpływów było cały czas pokazywane w kontekście zagrożenia niemieckiego. Niemcy napadły na Polskę, a Związek Radziecki miał być obrońcą Polski przez złymi Niemcami, za którymi stały Stany Zjednoczone i cały obóz Zachodni. Podzielona żelazną kurtyną Europa mogła zostać odbudowana poprzez złamanie żelaznej kurtyny. Żelazna kurtyna, przypominam

1947 rok, słynne wystąpienie Churchilla, które definiuje podział Europy na bloki. Niemcy zostały podzielone na dwa państwa. Jedno pozostające w zależności od ZSRR i bloku wschodniego, drugie było elementem tworzącego się obozu zachodu pod przywództwem Stanów Zjednoczonych, które szykowało się na konfrontację z ZSRR, ale też z państwami bloku wschodniego, zależnego od ZSRR. Zjednoczenie Niemiec rozbijało układ, który po 1945 roku stał się faktem w Europie. W związku z tym wszystkie fakty, które szły w kierunku przełamania podziału Niemiec i wpisania zjednoczonych Niemiec w nową, odbudowaną Europę, stanowiły wyzwanie dla Polski. To zderzenie dokonywało się 20 lat po wojnie. Hekatomba wojenna zabrała Polsce 6 milionów ofiar i zostawiła świeże rany. Polska wyszła z wojny niezwykle poszkodowana. Niemcy cały czas jawiły się więc jako nasz prześladowca. W takiej sytuacji bardzo trudne psychologicznie do przyjęcia przez polskie społeczeństwo było uznanie owego niezwykłego aktu „wybaczamy i prosimy o wybaczenie". Ewidentnie ów akt wyszedł poza logikę tamtego czasu i w sposób niesamowity pogalopował w przyszłość. Jedną z książek o polityce Kościoła, którą napisałem razem z moją żoną, zatytułowaliśmy „Samotnie wśród wiernych". To jest pewien paradoks, że polski Kościół miał tysiące, miliony wiernych, a w sytuacjach decydujących tak naprawdę decyzję podejmował Prymas Wyszyński i kierownictwo Kościoła – w społecznej, psychologicznej samotności. I to była jedna z tych decyzji, bo to była decyzja wbrew ówczesnej rzeczywistości i logice. Oczywiście dzisiaj możemy mówić, jaki to miało wpływ, natomiast w 1965 roku to wywołało wstrząs. Dla Kościoła to było wielkie ryzyko. Dlaczego to się nie przełożyło na regres, krytykę czy wręcz kryzys Kościoła w Polsce? Przypomnijmy, że rok później mamy Tysiąclecie Millenium, 1965 rok to już jest de facto początek tych obchodów. Władze komunistyczne uznały, że wykorzystają ten list do z walki z Kościołem, do ograniczenia jego wpływów. Komuniści rozszerzyli wtedy atak. Odbyła się wielka konfrontacja. Z jednej strony wielkie uroczystości Tysiąclecia Chrztu, z drugiej strony komuniści zorganizowali własne, konkurencyjne obchody. Doszło do zderzenia dwóch narracji. Większość społeczeństwa wyczuła, że komuniści przesadzili, jak to młodzież mówi, przegięli z atakiem na Kościół. I paradoksalnie znaczna część społeczeństwa stanęła przy Kościele, broniąc tej instytucji i jej wartości. To był ewenement. W moim przekonaniu

gdyby komuniści nie poszli na tak ostre zwarcie, które chcieli wykorzystać, być może straty wynikające z trudnego problemu psychologicznego, który ten List przedstawiał, byłyby dużo większe. To jest pierwsza uwaga.

List był wystosowany po zakończeniu soboru watykańskiego II. W sposób oczywisty został sformułowany w porozumieniu ze Stolicą Apostolską, z Watykanem. Dlaczego został chłodno przyjęty przez Kościół katolicki w Niemczech? Dlatego że Niemcy zostali postawieni przez polski Kościół w bardzo trudnej pozycji psychologicznej. Mieli świadomość, że List ma poparcie w Stolicy Apostolskiej. Do 1965 roku w relacjach Kościół polski – Kościół niemiecki Watykan miał cały czas problem z nową administracją kościelną. Wiadomo że to było przeciągane. Komuniści to wykorzystywali. Komuniści cały czas mówili: dobrze, ziemie odzyskane, ale czy granica na Odrze i Nysie będzie uznana przez Niemcy? Tu Kościół, Watykan jest problem, bo Watykan cały czas utrzymuje i de facto uznaje administrację Kościoła niemieckiego na ziemiach polskich po 1945 roku. W związku z tym tak naprawdę było to ustawianie całej sytuacji. Watykan był przedstawiony w roli obrońcy niemieckiej granicy z 1937 roku. Tak to było przedstawiane. W 1965 roku, kiedy nastąpił ten akt, Kościół niemiecki był w dużo gorszej sytuacji w sensie psychologicznym. „Prosimy o wybaczenie" – to nie znaczy przepraszamy. W kategoriach wiary to jest wybaczenie, natomiast w kategoriach naszych relacji „prosimy o wybaczenie" oznacza: musicie przyjąć do wiadomości, że ziemie odzyskane należą do Polski już do końca. Kościół polski już nie będzie dyskutował i nie będzie elementem *via*-Watykan problemu dotyczącego uznania ziem zachodnich poprzez administrację kościelną. To jest zupełnie nowa sytuacja. Kościół niemiecki miał pełną świadomość, że ten element się kończy. Teraz oczywiście Kościół niemiecki był bardzo silnie związany z CDU. CDU w 1965 roku, a wcześniej Adenauer, cały czas trzymali kwestie uznania granicy z 1945 roku. Nie uznawali tego. Kościół był bardzo silnie katolicki, związany z CDU. Między nimi były silne napięcia. Dlaczego Kościół ewangelicki dużo lepiej się do tego odniósł? Bo ewangelicy nie byli tak silnie związani z CDU jak Kościół katolicki. Nie było tego powiązania, oni funkcjonowali w innej politycznej formule. Dlatego List ma fundamentalne znaczenie i ma pewne otwarcie. Kościół w PRL-u de facto przyjmuje rolę prowadzenia polityki, na ile to moż-

liwe, suwerennego społeczeństwa polskiego. Nieprzypadkowo mówiliśmy, że Prymas Wyszyński był nieformalnie okrzyknięty interrexem w kategoriach społecznych, kombatanci tak o nim mówili. W okresie bezkrólewia, kiedy Polska nie jest suwerenna i jest zależna od ZSRR, nieformalnym przywódcą narodu jest prymas, a tak naprawdę w sposób formalny jako przywódca polskiego Kościoła. On prowadzi suwerenną politykę w warunkach zależności PRL-u od Moskwy w tej sytuacji politycznej. Dlaczego komuniści tak ostro na to reagowali? Dlatego że doskonale sobie zdawali sprawę, że to jest wybicie ich monopolu na kwestie prowadzenia polityki zagranicznej. Wrócę jeszcze do relacji polskiego episkopatu z episkopatem Niemiec, bo to będzie miało dalsze, bardzo ciekawe wymiary. Nastąpią tu pewne, bardzo istotne dla nas zmiany. Myślę, że List miał fundamentalne znaczenie dla zmian, które nastąpią potem.

Co komuniści próbują robić kilka lat później? Następuje ofensywa w relacjach, bo komuniści widzą niezależną politykę w kategoriach polityki międzynarodowej i przyjmują to. Uznają: dobrze, my (państwo PRL) będziemy próbowali budować nasze relacje z Watykanem. (wtedy nastąpiło ustanowienie polskiego przedstawiciela PRL-owskiego przy Watykanie), ale chcemy to zrobić poza episkopatem i poza Wyszyńskim. Ustawiamy się w roli PRL – Watykan, a Watykan musi zrobić porządek z polskim Kościołem, żeby nam za bardzo nie podskakiwał. Później, przez kilkanaście lat, w drugiej połowie lat 60. i 70., cały czas trwa próba. Z jednej strony przedstawiciele Watykanu: bp Poggi, bp Casaroli przyjeżdżają do Polski i spotykają się z przedstawicielami władz PRL. Władze PRL również mają przedstawiciela przy Watykanie. Jest próba obejścia episkopatu, a przede wszystkim prymasa Wyszyńskiego. Prymas Wyszyński stawia kwestie jasno: poza polskim episkopatem, poza polskimi biskupami, Watykan nie może prowadzić tej polityki. To wcale nie jest takie proste, bo oczywiście papież ma poczucie, że to on decyduje, że jest dyplomacja watykańska, są różne interesy, gry interesów. Natomiast Wyszyńskiemu udaje się to, że nie nie dał się obejść. A to była polityka prowadzona przez wiele, wiele lat, żeby go obejść, żeby zbudować relacje PRL – Watykan, żeby Watykan dyscyplinował Wyszyńskiego w wielu kwestiach, w tym również polityki międzynarodowej.

Następuje 1970 rok, podpisanie umowy polsko-niemieckiej, Niemcy uznają granice. Mamy nową sytuację. Podpisuje rząd SPD, czyli Brandt. W 1969 roku zmienia się układ polityczny. Socjaldemokraci niemieccy dochodzą do władzy, to przecież nie chadecy podpisują. Sytuacja się zmienia. Efektem tego w 1972 roku mamy już w pełni zmienioną administrację na ziemiach zachodnich. Kościół, Watykan rozwiązuje tę sprawę. Nie ma już poczucia tymczasowości, nie ma poczucia, że administracja Kościoła niemieckiego jest de facto na naszych ziemiach. To w 1972 roku zostaje zamknięte. Ale to nam otwiera też na przyszłość budowanie relacji z Niemcami oraz kwestię zjednoczenia Niemiec.

Rok 1978, dochodzi do bardzo ważnej wizyty polskiego episkopatu. Nasz episkopat jedzie do Niemiec na spotkanie episkopatów Polski i Niemiec. Na spotkaniu obecny jest kard. Wyszyński i Wojtyła. Kard. Wojtyła jest już osobą rozpoznawalną w polityce międzynarodowej i kościelnej, która ma szansę zostać przyszłym papieżem. Tam dochodzi do przełamania tej sytuacji. Po latach wiemy, że na konklawe decydował sojusz kardynałów ze Stanów Zjednoczonych i Niemiec. To był pierwszy układ, kardynałem Wiednia był wówczas kard. König. Państwa: Ameryka i Niemcy stworzyły założycielską grupę poparcia dla Wojtyły w 1978 roku. W ten sposób nasz kardynał zostaje papieżem. Jan Paweł II jest, można powiedzieć, superinterrexem z punktu widzenia polskiej polityki niezależnej, międzynarodowej. W kategoriach historycznych i w kategoriach wiary wydarzył się cud polityczny z tego punktu widzenia, dlatego że szefem państwa watykańskiego zostaje Polski kardynał i jest punktem odniesienia dla polityki międzynarodowej, jest punktem odniesienia dla walki z systemem komunistycznym. Świadczą o tym jego specjalne relacje z Reaganem, Stanami Zjednoczonymi itp. Polska niezależna, niepodległościowa oraz jej polityka z tego punktu widzenia uzyskuje status przedstawiciela na najwyższym możliwym poziomie światowym. To jest ewenement w skali historycznej. W 1980 roku KGB napisało analizę, z której wynikało, że papież – jest Polakiem. Minister Spraw Wewnętrznych Francji Michel Poniatowski – jest Polakiem. Zbigniew Brzeziński – doradca ds. Bezpieczeństwa Narodowego USA – jest Polakiem. Musk też ma pochodzenie polskie. Polacy trzęsą zachodnią polityką w okresie przełomu. Mówiło się o nawet polskiej mafii.

Papież był naszym interrexem i superministrem spraw zagranicznych niepodległej Polski przez te wszystkie lata, aż do swojej śmierci. Zdążył jeszcze doczekać chwili, gdy w 2004 roku Polska przystępuje do Unii Europejskiej. Podczas referendum zatwierdzającym przystąpienie Polski do UE pojawiały się różne znaki zapytania. W dużym stopniu oczywiście jednoznaczne stanowisko i apel papieża zdecydował, że referendum zostało wygrane i Polska przystąpiła do Unii Europejskiej. Można powiedzieć, że papież zdążył zamknąć ten proces, bo półtora roku później zmarł. Z tego punktu widzenia jest to coś nieprawdopodobnego i niepowtarzalnego w naszej historii.

Z tego punktu widzenia relacje niemieckie, międzyniemieckie miały kluczowe znaczenie. W latach 70. i 80. relacje polskich środowisk niezależnych i Kościoła z Niemcami nabierają fundamentalnego znaczenia, dlatego że zjednoczenie państw niemieckich otwierało drogę do zjednoczenia Europy, a zjednoczenie Europy dawało szansę niepodległej Polsce utrzymania tego układu. List z 1965 roku z tego punktu widzenia jest aktem założycielskim.

Drugi element to stanowisko środowisk polskich, antykomunistycznych, niepodległościowych wobec Europy, wobec kwestii zjednoczenia Europy. Chciałbym powiedzieć o scenariuszu, który w historii Polski rzadko się zdarza. Rzadko tak bywa, żeby osoby zaangażowane w dany proces historyczny i polityczny, które w bardzo trudnej sytuacji brały udział w zapoczątkowaniu tego procesu, później doprowadziły do jego finału i zamknięcia. Musiałem wybrać środowisko, które moim zdaniem, w sposób najbardziej reprezentatywny pokazuje tę sytuację. Nie będę mówił o Konfederacji Polski Niepodległej. Chcę się skoncentrować na Polskim Porozumieniu Niepodległościowym. Osoby, które działały w tym środowisku, z punktu widzenia polityki międzynarodowej, dotyczącej przede wszystkim Europy, mają fundamentalne znaczenie.

W Polskim Porozumieniu Niepodległościowym, w grupie międzynarodowej działały takie osoby, jak: Zdzisław Najder (uważam, że on jest postacią niedocenioną), Władysław Bartoszewski, Jan Olszewski. Chciałabym przytoczyć dokument pt. „Polska i Europa", to jest dokument z listopada 1979 roku, czyli przed powstaniem „Solidarności" i dwa miesiące po powstaniu KPN-u. Całościowo i bardzo ciekawie prezentuje on stanowisko środowisk niezależnych, antykomunistycznych wobec kwestii Europy. Te osoby przedstawiły ten

dokument jako punkt wyjścia. W dużym stopniu miały możliwość zrealizować wizję, która w 1979 roku, przed powstaniem „Solidarności", wydawała się kompletną mrzonką, marzycielstwem, fantasmagorią, *political fiction*. 10 lat później, w 1989 roku już ta sytuacja się zmieniła, a następne lata przyniosły nowe sytuacje. Najder był doradcą do spraw międzynarodowych w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. Jego wizja zaczęła się realizować po 1989 roku, już w wolnej, niepodległej Polsce. Władysław Bartoszewski od razu po 1989 roku jest ambasadorem Polski w Austrii, a później, w latach 90. ministrem spraw zagranicznych. Jan Olszewski jest premierem rządu Rzeczpospolitej. W listopadzie 1979 roku ci faceci przedstawiają dokument „Polska i Europa", który przytoczę.

„Słowo Europa jest jednoznaczne w umownym sensie geograficznym. Inne jego znaczenia zależą od tego, co się chce od Europy odróżnić. Tak jest i z pojęciem Europy jako określonej formacji kulturowej, cywilizacyjnej, politycznej. Jednakże określenie europejskości przez kontrastowanie Europy z nie-Europą ma swoje wady i musi wywoływać nieporozumienia i spory. Nie chodzi o to, aby znaleźć taką formułę, która przeciwstawi Europę na przykład wschodowi albo Rosji – bo przecież i Rosja posiada w swoich tradycjach składniki niewątpliwie europejskie. Trzeba szukać określeń, które uchwycą istotę tego, co dla Europy charakterystyczne i niezbędne, co z Europy na świat promieniowało i promieniuje. Wówczas europejskość będzie sprawą stopnia. Nie będzie też paradoksem włączenie do tak pojętej Europy krajów spoza naszego kontynentu albo bardzo ściśle z nim powiązanych, jak Kanada, Stany Zjednoczone, Izrael. Czym jest dzisiaj Europa pod względem kultury, kultury duchowej i społeczno-politycznej? W zakresie duchowym europejskość to określone wyobrażenie hierarchii wartości. Wartości te wywodzą się z tradycji antycznej i chrześcijańskiej. Od 200 przynajmniej lat uzupełnianej tradycją najpełniej wyrażającą się w kolejnych rewolucjach, walki o prawa człowieka. Na czele owej hierarchii znajdują się wartości ponadczasowe, takie jak prawda, sprawiedliwość, godność człowieka. Ponadczasowe, nawet jeśli pojmowane całkowicie pozareligijnie, są bowiem trwalsze, donioślejsze i bardziej bezwzględne od wartości, jakie mogą być wyobrażone z wyłącznie jednostkowego punktu widzenia i przy braniu pod uwagę tylko biologicznych interesów jednostki lub zbiorowości.

Obok tych wartości na miejscu naczelnym znalazła się wolność jednostki w realizowaniu owych ponaddoczesnych ideałów prawdy, sprawiedliwości, godności człowieka, wolność ograniczona tylko minimalnymi ze względu na dobro ogółu niezbędnymi normami prawnymi. W zakresie społeczno-politycznym tym wartościom duchowym odpowiada wizja społeczeństwa liberalnego, a ustrojowo – liberalna demokracja parlamentarna. Niezależnie od zakresu i stopnia słuszności rozmaitych odmian krytyki szeroko pojmowany liberalizm (a więc nie tylko liberalizm jako pewien nurt w historii myśli politycznej i ekonomicznej) jest bez wątpienia jedynym systemem społecznym i ustrojowym umożliwiającym swobodne realizowanie wspomnianych wartości duchowych i praktycznie gwarantującym maksymalną wolność jednostki. Liberalizm tak pojmowany jest też niewątpliwie dziełem europejskim i stanowi istotę współczesnego życia społecznego Europy. Jest zbiorowym wynikiem i wyrazem faktu, że Europa jest ojczyzną tego, co dziś nazywamy ogólnie prawami człowieka. W świadomości Polaków istnieje cały zespół upowszechnionych, chociaż nie zawsze jasnych poglądów na temat przynależności Polski do Europy. Wyrażają je hasła, takie jak: przedmurze, wschodni bastion, łacińskość, przeciw bizantyjskości i tak dalej. Poglądy głoszące zachodniość, europejskość Polski, odwoływały się i odwołują przede wszystkim do genezy polskiej kultury i cywilizacji, do tego, że chrzest, a potem większość składników naszej kultury, były przejmowane z Europy dziś zwanej zachodnią, a nie z kultury wschodniobizantyjskiej. W mniejszym stopniu owa europejskość Polski stwierdzana jest w rezultacie rzeczowego porównania najszerzej pojętej kultury polskiej, społecznej, politycznej, duchowej, z istotą tego, co miałoby w zakresie kultury być Europą. Czy do Europy takiej, jaką ją powyżej określiliśmy, Polska rzeczywiście należy? [To jest 1979 rok!]. Ustrojowo nie, w treści swoich tradycji – tak. W rzeczywistości stosunków społecznych tylko częściowo. W aspiracjach większości jej mieszkańców, w znacznie większym stopniu. W swoich instytucjach, poza Kościołem katolickim i niektórymi stowarzyszeniami twórców kultury, prawie wcale. W codziennej działalności myślowej uczonych, artystów, pisarzy duchownych – w większej mierze. Orientowanie się na Europę nie zawsze było i jest uważane za słuszne i pożądane. Z rozmaitych przyczyn co pewien czas pojawiały się poglądy głoszące polską odrębność czy samoistność kulturalną, po-

stulujące swojskość zamiast naśladownictwa i cudzoziemszczyzny, nawet wręcz odrzucające tradycje Polski Zachodniej czy Europejskiej. Głosy takie bywały wyrazami zaniepokojenia nadmiernie mechanicznym przejmowaniem wzorów i ideałów z Zachodu. Często bywały skutkiem urazów wobec Europy obojętnej na nasze cierpienia i niewolę. Bywały też rzadko co prawda wyrazem nadziei, że włączenie Polski w nurt bizantyjsko-moskiewsko-wschodni dopiero zrodzi prawdziwą potęgę. Warto jednak zwrócić uwagę na fakt, że postulatom odrębności, swoistości „polskiej drogi" towarzyszył zwykle mniej lub bardziej chciany i świadomy odruch antydemokratyczny. Wprawdzie liberalna wizja życia społecznego jest tylko jedną z wielu istniejących we współczesnym świecie, ale wyłącznie w jej ramach możliwa jest realizacja wymienionych wyżej wartości. Można, nie odżegnując się programowo do europejskości, być przekonanym, że nie jest ona cechą przydatną kulturze polskiej raz na zawsze i w sposób niejako automatyczny kontynuowaną; że europejskość kulturalną, cywilizacyjną trzeba wciąż na nowo zdobywać i że droga do niej wjedzie przez pracę nad sobą, przez rozwój wewnętrzny polskiego społeczeństwa, a nie tylko przez przejmowanie i powierzchowne naśladowanie wzorów czerpanych z zewnątrz. Pogląd ten dotyczył i dotyczy nie tylko zakresu cywilizacyjno-kulturowego, ale przede wszystkim politycznego. Tak często przez polskich myślicieli podnoszone moralne prawo narodu do samoistnienia niepodległości jest niewątpliwie składnikiem tradycji europejskiej. Nie wynika z tego jednak wcale, aby Europa czuła się jakoś zobowiązana walczyć o naszą niepodległość. Musimy zdobywać ją sami i musimy dobrze zdawać sobie sprawę z tego, że to raczej my chcemy być europejscy, niż Europa chce, byśmy tacy byli. Niewątpliwe postawą związku Polski z Europą było i jest chrześcijaństwo, a zwłaszcza katolicyzm, ale także Kościół i wiara katolicka łączności tej automatycznie nie zapewniają ani z natury religii nie obejmują całego zakresu europejskości. Można więc przepowiedzieć tyle: wprawdzie Polska antychrześcijańska nie mogłaby na pewno być europejska, ale Polska katolicka jeszcze europejską automatycznie nie jest. Europa jest nie tylko ojczyzną człowieka, ale i ojczyzną praw narodów, poszanowania ich niezawisłości i integralności. Jest również ojczyzną idei, międzynarodowego porozumienia, współpracy, a przede wszystkim federalizmu. Proces zjednoczeniowy postępuje we współczesnej Europie stopniowo, z oporami, ale

coraz wyraźniej. Polska w tym procesie nie uczestniczy przede wszystkim dlatego, że jest pozbawiona pełnej niepodległości. Warto przypomnieć że podczas II wojny światowej generał Sikorski był jako premier aktywnym zwolennikiem idei federacyjnej, zaś po wojnie większość emigracyjnych działaczy politycznych, reprezentujących różne ugrupowania, uczestniczyła w działaniach na rzecz budowania wspólnoty europejskiej".

Tu ciekawostka. Lata 1940–1943 to apogeum tych idei. Sikorski z Benešem – próba budowania federacji z Czechosłowacją. Później jeden z najbliższych ówczesnych doradców Sikorskiego, postać bardzo kontrowersyjna, Józef Retinger, w latach 50. jest jednym z głównych twórców idei ruchu zjednoczenia Europy, zjednoczenia europejskiego. Jest osobą, która cały czas uczestniczy w relacjach, układach międzynarodowych.

„Czy jednocząca się Europa jest zainteresowana naszym ewentualnym przyszłym uczestnictwem? Trzeba jasno stwierdzić, że w ostatnich latach zainteresowanie to zdaje się minimalne. We wczesnych latach powojennych, kiedy wspólnota europejska była jeszcze tylko ideą, jej zwolennicy uważali za oczywiste, że kraje Europy Środkowej i Wschodniej nie mogą być ze wspólnoty wyłączone. W konferencji haskiej, w maju 1948 roku, gdzie uchwalono powołanie Rady Europejskiej, uczestniczyło wielu przywódców politycznych emigracji z krajów, które znajdowały się już pod dominacją radziecką. W 1950 roku utworzono przy Radzie Europejskiej specjalną komisję dla krajów w radzie niereprezentowanych. Komisja pod przewodnictwem Harolda Macmillana zajmowała się przede wszystkim krajami rządzonymi przez komunistów. W roku 1952 odbyła się specjalna konferencja międzynarodowa w sprawie Europy Wschodniej, zorganizowana przez ruch europejski. Jednakże w miarę, jak idea wspólnoty przybierała kształt wspólnych instytucji i urzędów, a przede wszystkim wspólnych przedsięwzięć gospodarczych i wojskowych, narody, które w nich nie uczestniczyły, zniknęły stopniowo z pola widzenia przywódców i działaczy politycznych. Zresztą od początku istnienia ruch europejski cierpiał na swoistą schizofrenię. Towarzyszyły sobie mianowicie, pozostając w mniej ścisłym związku, a czasem zupełnie rozdzielone, dwie tendencje i dwa typy argumentacji. Pierwszy odwoływał się do europejskiej wspólnoty wartości duchowych, do wielkości europejskiej tradycji i jej wciąż naczelnej pozycji w świe-

cie ducha i kultury. Drugi do wspólnoty bieżących interesów gospodarczych i militarnych. [Przepraszam, czy dzisiaj ten dylemat i swoista schizofrenia nie ma miejsca? To jest 1979 rok]. Kiedy przeważała tendencja duchowa, problem Polski mógł się w ruchu europejskim pojawiać i czasem rzeczywiście się pojawiał. Kiedy górę brała tendencja druga, rachuba interesów doraźnych, problem Polski i w ogóle problem krajów, które nie mogą wypowiadać się swobodnie na temat swojej polityki zagranicznej, zanikał. Jest to zrozumiałe. Europejskość Polska może wydawać się mało istotne dla polityków budujących mozolnie organizm wspólnej gospodarki, a wątpliwe dla generałów zaniepokojonych wzrostem sił paktu warszawskiego. Jest to zrozumiałe, ale błędne. Postawa ludności każdego kraju powinna być brana pod uwagę jako element międzynarodowego układu sił. W latach 1939-40 Francja była silna militarnie, ale Francuzi nie byli przekonani, że mają się o co bić. Wpłynęło to zasadniczo na przebieg II wojny światowej. W roku 1968 okazało się, że propaganda komunistyczna, strasząc niebezpieczeństwem niemieckim i rzekomą penetracją RFN w Czechosłowacji, tak ogłupiła większość społeczeństwa polskiego, że bez protestu przyjęło haniebny, rażąco sprzeczny z tradycjami narodowymi udział wojska polskiego w inwazji Czechosłowacji, kierowanej przez sowieckich generałów. Gdyby Gomułka wiedział, że krok ten spotka się ze społecznym potępieniem, tak jak potępiono w roku 1956 sowiecką interwencję na Węgrzech, zapewne odmówiłby udziału Polaków, co miałoby daleko idące konsekwencje polityczne. Postawa ludności krajów Europy Wschodniej nie będzie obojętna, kiedy po śmierci Tity ważyć się będą losy Jugosławii. Nie będzie wtedy można straszyć Niemcami. Trzeba będzie mówić o NATO i EWG. Tak więc nawet prosty rachunek polityczno-wojskowy nakazuje przywódcom państw zachodnioeuropejskich czynne zainteresowanie tym, aby ludność Europy środkowo-wschodniej miała bardziej swobodny dostęp do nieskażonych informacji i większą swobodę decydowania o własnym losie. Nic lepiej nie przyczyni się w sprawie pokoju niż utrudnienie autokratycznym władzom manipulowania poddanymi.

Czy gospodarka Polska zyskałaby na ścisłym powiązaniu jej albo włączeniu do gospodarki EWG? Na dłuższą metę niewątpliwie tak, bo gospodarka EWG mimo przeżywanych trudności jest gospodarką zasadniczo zdrową i efektywną. Świadczą o tym jej stała ekspansja i dodatni bilans handlowy. Świadczą i miliar-

dowe kredyty udzielane Polsce. Argument: albo partnerstwo ZSRR, albo partnerstwo z Zachodem, jest zupełnie fałszywy. Gdyby nasza gospodarka była gospodarką typu wolnorynkowego, to jest z konieczności bardziej sprawną, stalibyśmy się dla ZSRR znacznie ponętniejszym partnerem handlowym. Jest oczywiste, że przestawienie się naszej gospodarki na pełną konkurencyjność z producentami EWG, wymagałoby ogromnego wysiłku organizacyjnego oraz zmiany w samym stosunku do pracy. Mamy jednak potencjalnie dobrą, choć dziś niewykorzystaną kadrę inżyniersko-kierowniczą, mamy wykwalifikowanych robotników. Nie ma powodu, aby przemysł i rolnictwo polskie, które potrafiły być konkurencyjne w latach przedwojennych czy w okresie planu trzyletniego, nie miały znowu, po zmianie struktury zarządzania i wyzwolenia się od partyjnych kacyków-ignorantów, osiągnąć konkurencyjność wobec przemysłu i handlu i innych krajów Europy. Możemy powiedzieć ogólnie, że o ile wspólnota europejska kieruje się doraźnymi interesami gospodarczymi i politycznymi, o tyle Polska może ją interesować jedynie marginalnie. Partnerem jest obecnie bowiem tylko rząd PRL, a jego „europejskość" jest wątpliwa, chociaż nieraz podkreślana dla celów propagandowych. Jednak od pewnego czasu, szczególnie w związku z wyborami do Parlamentu Europejskiego, a także wystąpieniami papieża Jana Pawła II, europejska argumentacja sięgająca po tradycje duchowe zaczęła występować wyraźniej. [Oczywiście tu szczególna rola Jana Pawła II]. Jednocześnie argumentacja taka ujawniła się w wystąpieniach polskiego episkopatu, szczególnie podczas ostatniej wizyty w RFN. To względne »uduchowienie« ruchu europejskiego ma jednak zasięg szerszy niż o tym świadczą wystąpienia przywódców Kościoła lub wybitnych intelektualistów. Również decyzje podjęte przez EWG w sprawie przyjęcia Grecji, przyszłego członkostwa Hiszpanii, Portugalii, a także Turcji, nie są motywowane jedynie względami na korzyści materialne, ale przede wszystkim pojmowaniem tego, czym Europa być powinna. Po raz pierwszy w historii rządy odpowiedzialne przed swobodnie wybranymi parlamentami sprawują władzę w większości krajów Europy. Tylko w środkowej i wschodniej części kontynentu panuje »demokracja pozorna«. Władcy Kremla chcieliby utrwalić ten stan rzeczy i wysławiają przed światem zalety stabilizacji, ale jest to stabilizacja przynosząca martwotę, podobna do tej, którą w roku 1815 narzucił Europie Kongres

Wiedeński. Tamta stabilizacja też służyła utrzymaniu władzy nad podbitymi narodami. Dziś z dawnych potęg imperialnych została tylko jedna. Nie będzie trwała wiecznie i tylko frazesem mającym nas zastraszyć jest utożsamienie obecnego porządku międzynarodowego w Europie ze sprawą pokoju. Nie wszyscy jednak uważają za oczywiste, że dla Polski współpraca, a następnie przynależność do Zjednoczonej Europy, są pożądane czy to duchowo, czy gospodarczo i społeczne. Istnieje kilka wersji argumentacji przeciw takiemu włączeniu Polski do ogólnoeuropejskiej całości. Wyliczymy przykładowo: niechęć do znalezienia się w sytuacji »ubogiego kuzyna«, negatywny pogląd na ewentualne uzupełnianie się wzajemnie gospodarki polskiej i europejskiej, przekonanie, że nasze potencjalne rynki zbytu znajdują się raczej na wschodzie, przeświadczenie, że Europa przeżywa tak głęboki kryzys społeczny, gospodarczy i duchowy, że nie warto byłoby przyłączać się do rozpadającego się organizmu. [Czy to nie brzmi jakby znajomo dzisiaj?]. Obojętność wobec całego zagadnienia wywołana aktualnym brakiem praktycznych możliwości połączenia się z Europą, mniemanie, że związki powstałe w ramach RWPG są tak silne i trwałe, że zdecydowanie określają na przyszłość kierunek rozwoju Polski, dodajmy wreszcie najczęstszą i najbardziej powierzchowną argumentację tych, którzy uważają, że, owszem, ważny jest ogólny polot europejskości, ale nie łączą go z całością kultury cywilizacji i polityki. Zdawać się może, że z tym ostatnim argumentem nie warto nawet dyskutować. Stanowi on jednak milczące zaplecze prowadzonej obecnie polityki kulturalnej i gospodarczej, ale ci, którzy gotowi są naśladować włoski styl karoserii samochodowych, paryskie mody damskie, zachodnie salony gier zręcznościowych angielskie seriale telewizyjne i tak dalej, powinni się na chwilę zastanowić nad faktem, że wszystkie mody, wszystkie wynalazki wpływające na kształt naszego codziennego życia, formy rozrywek, sklepy samoobsługowe, wszystkie jeansy i pizze, campingi i dyskoteki, roboty kuchenne i minikomputery przychodzą do nas właśnie stamtąd, ze zdefiniowanej powyżej Europy i czy popularność tych innowacji powodowana jest podświadomymi tęsknotami za innym, swobodniejszym życiem, czy też wynika tylko z ich rzeczywistej przydatności? Faktem jest, że nawet oddzieleni od Europy barierami politycznymi, celnymi i cenzuralnymi czerpiemy z niej i soki, i pianki. I właśnie obecna sytuacja w kraju, skrępowanego w całym życiu

zbiorowym, pogrążonego w nieprzerwanych prawie kryzysach gospodarczych, zadłużonego na ogromne kwoty w krajach EWG, stawia nas w pozycji ubogiego krewnego. Mimo olbrzymiego wysiłku włożonego przez cały naród w odbudowę i modernizację naszej ekonomii, dystans między nami a krajami wspólnoty nie maleje, lecz rośnie. Usiłujemy go skrócić przy pomocy wielkich pożyczek i wielkich nakładów inwestycyjnych, które powodują trwałe wykrzywienie całego organizmu gospodarczego, ale wysiłki te okazują się nieskuteczne. Nasze wyroby sprzedawane są do krajów rozwiniętych po cenach i na warunkach typowych dla eksportu krajów zacofanych, zbywających tanio swoje towary, które na rynkach międzynarodowych są z reguły produktami drugiej klasy. Nasza wymiana handlowa w ramach RWPG jest znacznie łatwiejsza, ale jest to wymiana z innymi krajami stosunkowo zacofanymi, rzadko tylko wymiana towaru o światowej jakości, których wytwarzanie usprawnia i unowocześnia daną gałąź gospodarki. Wybrzydzanie na kryzys i rozkład Europy ma u nas charakter albo bezmyślnego ulegania propagandzie, albo krzywienia się lisa na winogrona, albo w najlepszym razie wynika z braku zrozumienia dla faktu że idealnych ustrojów i systemów gospodarczych nie ma. Demokracja parlamentarna i gospodarka wolnorynkowa mają swoje schorzenia. Są one bardziej widoczne od innych po prostu dlatego, że w krajach o tym ustroju i systemie można o tych schorzeniach swobodnie pisać i mówić. Czy stała niewydolność gospodarcza, brak odpowiedzialności czynników państwowych, narzucanie woli narodowi przez aparat partyjny, bezkarne niszczenie środowiska naturalnego, marnowanie potencjału ludzkiego, zanik moralności pracy, pijaństwo i zafałszowanie całego życia społecznego, są istotnie lepsze od takich objawów, jak bezrobocie (którego ofiary otrzymują na przykład zapomogi stosunkowo wyższe niż na przykład uposażenia młodych lekarzy w PRL), komercjalizacja kultury, wynikająca z rozgrywek między stronnictwami chwiejność rządów, to pytanie, na które odpowiadamy: wolimy schorzenia, które można swobodnie rozpoznawać i wspólnymi siłami leczyć, od schorzeń, które trwale okaleczają społeczeństwo i spychają je na poziom bezwolnego, ogłupianego tłumu. Narody i społeczeństwa mają w zasadzie prawo do swobodnego wyboru swojej przyszłości, może więc wybrać rozwój niezależny od jednoczącej się Europy. Oceniając jednak wszystkie szczegółowe argumenty za i przeciw, należy

zastanowić się nad tym, jaka to mogłaby być nieeuropejska przyszłość Polski. Kulturalna, duchowa, także gospodarcza pełna samodzielność jest, jak wiadomo, we współczesnym świecie albo niemożliwa, albo płaci się za nią olbrzymią cenę cofnięcia zegara historii (Albania). Polska od XVIII wieku – nic się nie zmieniło pod tym względem – może być albo europejska, albo moskiewska, tertium non datur. Rozważając więc tę sprawę, należy przede wszystkim pamiętać, że alternatywa tak się właśnie przedstawia. [Czy ta alternatywa w ostatnich dniach, godzinach nie jest przestawiana?]. Oczywiście jest alternatywa procesów rozwojowych, choć znajdujemy się dziś w orbicie moskiewskiej, zachowujemy w pewnym stopniu naszą europejskość, ale grozi nam jej zatracenie, jeżeli nie będziemy temu przeciwdziałać. Powtarza się sytuacja z okresu zaborów, kiedy obszary polskie, pozostające pod władzą caratu, stawały się coraz bardziej zacofane cywilizacyjnie, oświatowo, a zwłaszcza politycznie. W porównaniu z obszarami zaborów pruskiego i austriackiego Polska nieeuropejska byłaby to Polska, w której do reszty zanikłaby świadomość prawa jako zespołu norm porządkujących stosunki międzyludzkie, zrozumienie dla samorządności, poszanowanie godności jednostki ludzkiej, także poszanowanie własności publicznej jako podległej publicznym decyzjom i publicznej kontroli. Polska nieeuropejska traciłaby coraz bardziej więź z własnymi przez stulecia wzbogacanymi tradycjami narodowymi, wyrosłymi ze współdziałania wzorów starożytnych,chrześcijańskich i przejmowanych z Włoch, Francji czy Niemiec, z rodzimą twórczością i rodzinnymi instytucjami politycznymi. Wielonarodowa Rzeczpospolita Polska współtworzyła, zwłaszcza w okresie parlamentaryzmu, tolerancji, swobód obywatelskich i poszanowania godności jednostki, kulturę europejską. Polska nie tylko przejmowała od Europy myśli, instytucje i wynalazki, ale i własnymi na Europę promieniowała. Była też zawsze pomostem przekazującym treści europejskie sąsiadom, zwłaszcza wschodnim. Takim pomostem i źródłem promieniowania jest Polska i nadal w dziedzinie kultury umysłowej i aspiracji politycznych. O tej roli Polski winny stale pamiętać kraje wspólnoty europejskiej. Nie jest dla nich obojętna. Polacy zaś pamiętać muszą, że rola pomostu, pośrednika i krzewiciela jest jednym z podstawowych składników polskiej tradycji historycznej. Jest tym, co stanowi o jej niezbędności w zespole kultur europejskich. Nasz wysiłek, aby zachować własną tożsamość

narodową, a zarazem ciągłość tradycji historycznej i więź z krajami Europy ma wielkie znaczenie także dla innych krajów, obecnie zdominowanych przez ZSRR. Przede wszystkim dla Czechosłowacji i Węgier. Te kraje są również związane z Europą Zachodnią i przeszłością i treściami swojej kultury. Jednym z jaskrawych świadectw sztuczności systemu politycznego narzuconego naszej części świata przez sowiecki komunizm jest fakt, że nasze stosunki z tymi krajami naturalnymi, kandydatami do regionalnej federacji, są dziś tak luźne i czysto urzędowe. Co można dzisiaj uczynić dla przybliżenia Polski do jednoczącej się Europy?

Dopóki nie odzyskamy niepodległego bytu narodowego, dopóty starania nasze muszą się ograniczać do sfery myśli i twórczości kulturalnej, do wychowywania i oświecenia społeczeństwa. Być może jednak to ograniczenie ma nie tylko wady. Być może takie przygotowanie duchowe jest niezbędne, byle tylko dany nam czas odpowiednio wykorzystać. Obecny stan polskiej świadomości europejskiej wydaje się bowiem mizerny. Dotyczy to przede wszystkim takich podstawowych praw, jak wiedza o współczesnej Europie i o procesach unifikacyjnych. Do wychodzenia z tej niewiedzy, do całej pracy wychowawczo-uświadamiającej pomoc ruchu europejskiego i powoływanych przezeń instytucji jest bardzo potrzebna i całkowicie możliwa pomoc naukowa, oświatowa, stypendialna, wydawnicza. Potrzebne są informatory o założeniach historii, celach i funkcjonowaniu wspólnoty europejskiej. Byłoby bardzo pożądane, by parlament europejski zadbał o wydanie w języku polskim książki zawierającej podstawowe wiadomości o wspólnocie i zasadnicze dokumenty. Cenne byłyby audycje na temat jedności Europy nadawane przez radiostacje krajów członkowskich w języku polskim. Należy się spodziewać, że w miarę postępującej integracji wspólnoty powstanie także rozgłośnia europejska, byłoby dobrze, aby nadawała takie audycje informacyjne po polsku, choćby przez parę godzin tygodniowo".

Nieprzypadkowo mamy Radio Wolna Europa. Główny autor tego dokumentu był dyrektorem Radia Wolna Europa, za co między innymi dostał karę śmierci.

„Przygotowanie Polski do Europy powinno objąć także wiedzę o dziejach myśli europejskiej i o zasadach myśli europejskich, a więc liberalno-demo-

kratycznej polityki. Europeizacja polskiej świadomości oznaczałaby jej przygotowanie do życia w warunkach wolności politycznej, a więc na przykład niezbędne jest rozważenie zalet i wad dwu- i wielopartyjnych systemów politycznych, ingerencji planowania w gospodarkę wodorotlenkową, myśli i reguł rządzących współczesną dyplomacją. Przygotowanie to można za granicą prowadzić dwoma sposobami. Po pierwsze, inspirując i pomagając finansowo w opracowaniu odpowiednich wydawnictw, które w warunkach krajowych są niemożliwe do realizacji. Po drugie, udzielając stypendiów naukowcom, publicystom, literatom. Europejskie związki intelektualistów i twórców mogą wykazać więc więcej inicjatywy w pomaganiu kolegom, którzy borykać się muszą z trudnościami zawodowymi i politycznymi, a którzy stawiają czoło oficjalnej indoktrynacji i kontynuują tradycje niezależnej myśli europejskiej. Zrzeszenia prawników w krajach wspólnoty mogłyby włączyć do swoich planów działania zarówno śledzenie przestrzegania prawa w krajach komunistycznych, jak i pomoc w odbudowie kultury prawnych w tych krajach, przez akcję wydawniczą, informacyjną, stypendialną. Zrzeszenia studentów mogłyby powołać komisje dążące do rozszerzenia pozarządowej wymiany turystycznej oraz organizować opiekę nad przybywającymi z Polski studentami. To samo dotyczy związków zawodowych, które ze względu na swoje wpływy, zamożność i rozwiniętą siatkę organizacyjną mogą odegrać znacznie większą rolę w szerzeniu wzajemnego zrozumienia i poinformowania, na przykład przez inspirowanie indywidualnych zaproszeń, organizowania akcji uświadamiających i długoterminowej wymiany międzyśrodowiskowej. Ogromnie cennym gestem symbolicznym byłoby przyznawanie tym uchodźcom z Polski, którzy uzyskali prawo stałego pobytu w krajach wspólnoty, ale nie są obywatelami tych krajów, paszportów wspólnoty europejskiej, zamiast tak zwanych paszportów bezpaństwowych. Można mieć nadzieję, że w przyszłym rozwoju ruchu europejskiego wpływ argumentacji z zakresu idei, wartości i tradycji będzie coraz wyraźniejszy i że dzięki temu problem ewentualnego współuczestnictwa Polski będzie stopniowo przyciągał większą uwagę. Można też mieć nadzieję, że właśnie w zakresie idei wartości i wspólnej tradycji ruch europejski będzie gotów do udzielania pomocy i poparcia europocentrycznym dążnościom Polaków".

Dlaczego przytoczyłem ten dokument? Po pierwsze został kompletnie zapomniany, tymczasem dylematy ukazane w tym dokumencie tak naprawdę wychodzą dzisiaj w debatach o przyszłości Unii Europejskiej. Formuła: „Europy duchowej", „Europy pragmatycznej" i „Europy gospodarczej" zawarta w dokumencie, dzisiaj dokładnie się sprawdza. Dyskusja, która się toczy obecnie, jest według tego podziału, a przecież dokument powstał w 1979 roku, dlatego chciałem go naświetlić. Stanowisko Polskiego Porozumienia Niepodległościowego i innych środowisk wobec zjednoczenia Niemiec miało fundamentalne znaczenie. Z jednej strony mamy politykę PRL-u i całego bloku wschodniego jako gwarancji trwania władzy komunistycznej zależnej od ZSRR, po pierwsze związanej z ewentualnym zagrożeniem niemieckim, tym straszakiem niemieckim, z drugiej strony brak zgody na zjednoczenie państw niemieckich. To się potwierdziło w 1989 roku. Wszystko rozpoczęło się w Polsce przez „Solidarność", przez zmianę polityczną w naszym obozie, a domknęło się w kategoriach europejskich poprzez zjednoczenie Niemiec. Mamy narrację środowiska opozycji antykomunistycznej, która zdaje sobie sprawę ze wszystkich obciążeń relacji polsko-niemieckich, z obciążeń wynikających z II wojny światowej. Mimo tego idzie w kierunku ducha. W tym miejscu wrócę do Listu biskupów polskich do niemieckich z 1965 roku. Tu jest kilka bardzo precyzyjnych dokumentów, mówiących o tym, że środowiska niezależne powinny zgodzić się na zjednoczenie Niemiec, warunkując to z punktu widzenia polskich interesów. Idzie to dokładnie w kierunku tego, o czym napisali polscy biskupi w 1965 roku. To jest dokładnie ten sam kierunek podejścia do kwestii europejskich. Będziemy o tym dyskutować i na dyskusji postaram się pewne rzeczy dookreślić, doprecyzować. Teraz chciałbym przejść do trzeciego elementu mojego wystąpienia, to znaczy do kwestii bieżącej.

Chciałbym zaprezentować scenariusz bardziej optymistyczny. Miałem poczucie, że wieczorem rozstaliśmy się w bardzo minorowych nastrojach (choć oczywiście element rozrywkowy, kombatancki jak zawsze był na najwyższym poziomie. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości). W naszej dyskusji na temat przyszłości Unii Europejskiej i tego, co się będzie działo, nastroje były minorowe. Nie u wszystkich.

Chcę przedstawić pewien scenariusz, wchodząc w bieżącą sytuację. Znowu wrócę do przeciwstawienia obecnego w debacie na Europę duchową, Europę wartości i Europę pragmatyczno-biokratyczno-gospodarczą, umownie mówiąc. To przeciwstawienie w tym dokumencie już było i ono przez cały czas się toczy. Powiem o osobistym doświadczeniu. W 1997 roku byłem stypendystą Parlamentu Europejskiego w Brukseli, w Madrycie i w Luksemburgu. Byłem na dwutygodniowym wyjeździe studyjnym poświęcony kwestii, czym jest Unia Europejska, czym jest Parlament Europejski. To wszystko było związane z przygotowaniem polskiej akcesji do Unii Europejskiej. Rozmawialiśmy o tym, czym jest Unia Europejska. Chodząc od rana do nocy po wszystkich możliwych instytucjach, doszedłem do wniosku i tu jedna definicja do mnie trafiła, że Unia Europejska jest procesem. Unia Europejska nie jest zamkniętą formą instytucjonalną. To jest proces. Proces to jest żywy organizm, znajdujący się cały czas w pewnym ruchu i w nieustannym procesie stawania się. UE jest procesem, przybiera charakter, jak w naszej dyskusji, kategorii lewicowych, liberalnych, konserwatywnych. Jest permanentnym procesem, w związku z tym, chcąc wpływać na Unię Europejską, trzeba brać udział w tym procesie. W różny możliwy sposób. To jest pierwsza fundamentalna uwaga, bo wczoraj to wybrzmiało w naszej dyskusji.

Druga sprawa. W Parlamencie Europejskim toczą się debaty polityczne. 1/3 rządu, ministrów, po paru miesiącach tam ucieka, chce kandydować do Parlamentu Europejskiego, bo Parlament Europejski dobrze płaci i tak dalej. Kolega minister mówił, że to jest cmentarzysko politycznych słoni, teraz już mówi, że słoni bojowych. Tak czy inaczej można sobie definiować ten Parlament Europejski. Dlaczego tam następuje swoista korupcja polityczna? Wszystkie siły, wszyscy ludzie, wszystkie grupowania, wszystkie środowiska, europarlamentarzyści którzy tam są, są bardzo dobrze opłacani, mają znakomite warunki. Widzieliśmy, jak były układane listy w Polsce: to swoiste szaleństwo. Nawzajem wycinają się z tej kampanii, każdy chce tam być, bo tam jest tak dobrze. Dobrze płacą, wręcz przepłacają. Śmialiśmy się na początku lat 90., że w polskiej polityce dominował z styl barowo-restauracyjny. Politykę robiło się głównie w knajpach, w kawiarniach, bo nie było zaplecza finansowania, biur i tak dalej. Przy piwie, przy trunkach była układana polityka. W Parlamencie

Europejskim jest to doprowadzone do szaleństwa, to jest monstrum, to jest permanentny styl barowo-restauracyjny. Od wieczora do nocy, 24 h na dobę trwa permanentna obróbka w stylu barowym-restauracyjnym. Lobbystów jest kilka razy więcej niż parlamentarzystów, których jest ponad 730. Patrząc na to funkcjonowanie, zadawałem wielokrotnie pytanie, dlaczego tak jest i dlaczego tak musi być. Odpowiedź, która w zasadzie zawsze padała, była jedna: my świadomie chcemy najbardziej skrajne inne siły polityczne z całej Europy, całej Unii Europejskiej, mieć w Parlamencie Europejskim i ich wszystkich dobrze traktować, opłacać i tak dalej – bo to jest cena tego, że w Europie nie ma wojny. To znaczy lepiej zapłacić różnym radykałom politycznym, mówiąc wprost, przepłacić, wręcz ich tam ozłacać po to, żeby oni czuli się tutaj dobrze i żeby im zależało. Ja to nazywam korupcją polityczną. To jest cena za to, że w Europie nie ma wojen. Lepiej, żeby przywódcy od prawicy do lewicy tutaj siedzieli, pili i bawili się, gadali, niż w swoich państwach mieli toczyć wojny jeden przeciw drugiemu. I to jest właśnie ten fenomen Parlamentu Europejskiego i jego funkcjonowania.

Podsumujmy: Unia Europejska jako proces, w tym wszystkim opisany przeze mnie mechanizm funkcjonowania Parlamentu Europejskiego. Jaki scenariusz rysuje się tego z punktu widzenia Polski po wyborach do Parlamentu Europejskiego? Patrząc na sondaże europejskie głównych ugrupowań, które startują w tych wyborach, w sposób ewidentny widać, że dominująca koalicja w Parlamencie Europejskim socjaldemokratów, chadeków, liberałów i IPP, może nie mieć większości. Układ polityczny jest taki, że tak zwane ugrupowania, które się określa jako suwerennościowe, czasami prawicowe, konserwatywne – zyskują. To jest taki układ, że tamta koalicja traci około 80 mandatów, a te ugrupowania zyskują około 80 mandatów.

Teraz układ z punktu widzenia Polski. W zasadzie mamy dwa główne ugrupowania, czyli Koalicja Obywatelska i Prawo i Sprawiedliwość. One będą w tej głównej rozgrywce. Jaki scenariusz w tej chwili jest najbardziej prawdopodobny w moim przekonaniu?

Scenariusz pierwszy. W zasadzie Donald Tusk jest głównym rozgrywającym kandydaturę Ursuli von der Leyen na drugą kadencję szefowej Komisji Europejskiej. Cena polityczna, którą Komisja Europejska płaci za to, z punk-

tu widzenia podzielonej Polski, jest taka, że w zasadzie bez przeprowadzenia większej ustawowej reformy wymiaru sprawiedliwości w sensie ustawowym, który przez ostatnie lata był elementem wdrożenia artykułu 7 o praworządności wobec Polski, blokowanie pieniędzy z KPO – bez tego wszystkiego, bez wielkiej zmiany politycznej, ustawodawczej… Zmiana polityczna, która nastąpiła, czyli PIS w opozycji, a Koalicja Obywatelska z koalicjantami partią rządzącą, w której Tusk jest premierem, z punktu widzenia szefowej Komisji Europejskiej i jej przyszłości oznacza swoisty deal polegający na tym, że w najbliższych tygodniach, a po wyborach do Parlamentu Europejskiego Tusk będzie jednym z głównych gości, który będzie budował koalicję na rzecz von der Leyen. Nieprzypadkowo w Katowicach wspólnie ogłosili program do Europy. Tu jest logika, widać, że ten scenariusz się toczy. Polska ma odblokowane pieniądze z KPO, w ciągu kilku dni nastąpi symboliczne zdjęcie 7 artykułu. To będzie pokazanie, że następuje zmiana. Prasa niemiecka, holenderska, belgijska – sam czytałem omówienia i artykuły – wyrażała zbulwersowanie. Nie mówiąc o Węgrzech, którzy są w szoku, że nic się nie stało, a Polska została zwolniona ze wszystkich możliwych blokad. Stało się. Jest układ polityczny, to trzeba jasno powiedzieć. To są fakty. Układ polityczny polega na tym, że Tusk ma siłę polityczną. Z punktu widzenia Ursuli von der Leyen jest ważny jako budujący i uzupełniający ewentualnie brakujące głosy, żeby ona została na drugą kadencję. W zamian ona jako szefowa Komisji Europejskiej zdjęła wszystkie blokady. I to jest deal polityczny. Możemy go różnie oceniać z punktu widzenia funkcjonowania różnych instytucji, budżetu i tak dalej. To jest pierwsza strona.

Mamy drugą stronę, czyli PiS. Tutaj sytuacja jest bardzo ciekawa. Dlatego że PiS oczywiście wejdzie do tego układu konserwatystów i reformatorów. Według sondażu ta grupa się poszerzy, będzie większa. Główna rozgrywająca, na którą się kieruje, to jest von der Leyen i Tusk. Druga jest Meloni, wokół której będzie się koncentrowała pewna operacja polityczna polegająca na tym, że Meloni po pierwsze sama kandyduje do europarlamentu. W kategoriach włoskich Berlusconi, premierzy, to jest taka tradycja. Oni później nie obejmują mandatu, ale to pokazuje, że zbierają głosy, bo bardzo im zależy, żeby dostać dobry wynik. Ona kandyduje i taką politykę prowadzi już od dłuższego czasu. Określiłbym tę politykę jako pokorne cielę dwie matki ssie. Z jednej

strony jest w grupie konserwatywnej. Oczywiście ma duże problemy migracyjne, bo Włochy są na pierwszym froncie. Natomiast wobec Brukseli, Komisji Europejskiej prowadzi bardzo spokojną, wyważoną politykę. Włochy były tak ćwiczone jak Polska przez ostatnie lata. Kiedy był Berlusconi, dokładnie było to samo ćwiczenie: wstrzymywanie funduszy, to wszystko już było przerabiane. Ona ustawia się w pozycji pewnego pragmatyzmu. W co ona gra? I w co PiS będzie próbował grać i już gra?

Po pierwsze, cały czas utrzymuje z nią bardzo bliskie relacje Morawiecki. On jest wystawiony jako swoisty łącznik PiS-u z nią. Jeszcze za czasów, kiedy był premierem, zbudował te relacje i nadal je buduje. Ona z kolei jest w stałym kontakcie z szefem EPP, czy z Weberem. Deal może polegać na tym: żeby von der Leyen została szefową Komisji Europejskiej, będzie brakowało większości, bo zabraknie im 80 głosów, które przejdzie na drugą stronę. Meloni ustawia się w roli: dobrze, my możemy jako konserwatyści (w tym PiS) dorzucić się do nowego rozdania w Komisji Europejskiej, ale za konkretne warunki. W związku z tym sytuacja jest taka. Mówię o scenariuszu pozytywnym z nadzieją, z punktu widzenia Polski w całości, niezależnie od bolesnego podziału politycznego, który będzie trwał. Z jednej strony głównym rozgrywający po stronie von der Leyen będzie Tusk. Zabraknie głosów i brakujące głosy poprzez Meloni da PiS, ale w ramach szerszego rozdania. A to szersze rozdanie to jest Komisja Europejska. Po pierwsze zmiana Zielonego Ładu. Po drugie protesty rolników. To nie są tylko protesty naszych polskich rolników, tylko to są protesty ogólnoeuropejskie. Kwestia będzie ogólnoeuropejska, wobec czego nacisk będzie dużo większy. Poprzez Meloni ten układ będzie się zmieniał i będzie szedł w kierunku Europy wartości, przeciwko Europie pragmatyczno-biurokratyczno-gospodarczej. W związku z tym można powiedzieć, że dwa skłócone obozy polityczne polskie mogą dojść do pewnego rozwiązania z dwóch różnych stron, a na końcu tak naprawdę zagrać we wspólnym interesie. Nawiążę do tego, o czym Prawo i Sprawiedliwość chciałoby dzisiaj zapomnieć, ale tego się nie da zapomnieć. Przypomnijmy, że przy pierwszym podejściu von der Leyen została wybrana (za trzecim razem) głosami PiS-u. Pamiętamy, jak Merkelowa spotykała się z Kaczyńskim. Oczywiście PiS ma poczucie, że został oszukany, zdradzony i tak dalej, to wszystko wiemy. Natomiast to jest znowu

to okrążenie, które co pięć lat następuje. Uważam, że to jest scenariusz realny, który Polsce daje nadzieję wizji Europy bardziej duchowo-konserwatywej. Oczywiście będzie odwrót od federalizacji. Wejście Meloni i konserwatystów pokazuje przynajmniej zamrożenie tego, co jest, a tak naprawdę realnie odwrót. Dlaczego się spieszyli z paktem migracyjnym między innymi? Bo wiedzieli, że w parlamencie, po 9 czerwca, to kompletnie nie przejdzie. Dlatego przepchnęli to błyskawicznie, zresztą ledwo ledwo to przeszło. Ale zdążyli. Jest to scenariusz realistyczny, ale też dający nadzieję.

DYSKUSJA

Jerzy Wawrowski: Odniosę się do głosowania i von der Leyen. Jeżeli mowa o tyradzie, jeżeli PiS czy sam pan prezes czuje się zdradzony, podpowiem panu prezesowi, że „polityk nie zna słowa zdrada, a politycznych obyczajów trzeba strzec" – cytując Jacka Kaczmarskiego. Jeżeli pan prezes tego nie wie, to może niech zrezygnuje z uprawiania polityki. Dla mnie jest zdumiewające, że w rozgrywce politycznej można się czuć zdradzonym, podczas gdy gra z założenia polega na wzajemnym oszukiwaniu się.

Zgadzam się z tym, że UE jest pewnym procesem, który się staje, zmienia, przekształca się. Na poziomie najbardziej ogólnym można wyróżnić etapy. Początek procesu, nazwijmy to naiwny, później wzrost tego czegoś, co podlega procesowi, później spadek, uwiąd, później śmierć. Pytanie, na którym etapie tego procesu jest Unia Europejska? Czy na etapie rozkwitu, czy wzrostu, czy uwiądu. Odnoszę wrażenie, że ona nie wie, na jakim jest etapie. Można na ten proces spojrzeć także w ten sposób, że jest to sekwencja pewnych etapów, poprzez które to etapy, czynniki, nazwijmy to, sprawcze, realizują swoje długofalowe, historyczne cele, jak gdyby ciągi wydarzeń. Przyszło mi do głowy, że można wychwycić pewien ciąg wydarzeń rozumianych jako proces. Zacznijmy od pojednania, wobec którego episkopat niemiecki czy Kościół niemiecki najpierw był wstrzemięźliwy. Pierwszy etap – pojednanie. Drugi etap – zjednoczenie Niemiec. Bez tego zjednoczenia nie byłoby zjednoczenia Europy. Trzecim etapem procesu jest

zjednoczenie Europy z wejściem Polski i krajów Europy Środkowo-Wschodniej do zjednoczonej Europy. Z wejściem, uwaga, na zasadzie inkorporacji cywilizacyjnej, nie inkorporacji politycznej, tylko inkorporacji cywilizacyjnej Wschodniej części Europy do Zachodu. Wyobraźmy sobie teraz dalsze etapy. Mamy Unię Europejską, w ramach której dwa człony – Europa Wschodnia i Zachodnia są w ramach jednej organizacji europejskiej. Czwarty etap, przekształcenie części wschodniej w Mitteleuropę. Dalej można sobie wyobrazić piąty etap poprzez Unię Europejską tak skonstruowaną: rozciągnięcie hegemonii cywilizacyjnej zjednoczonej Europy, czytaj Niemiec na Rosję poprzez współpracę UE z Rosją. Szósty etap – Europa od Lizbony po Władywostok. Siódmy etap – finał, cywilizacyjna władza Niemiec nad całym interesem, globalna Rzesza. To, co Niemcy realizują w perspektywie długofalowej, czyli tworzenie superpaństwa globalnego, w którym cywilizacyjnie wiodącą nacją będą Niemcy. Czy na to też nie można tak spojrzeć i czy nie jesteśmy na pewnym etapie tego rodzaju procesu, który może się dopełnić bądź nie. Procesy mają to do siebie, że mogą się przelać w różne wydarzenia, a mogą się dopełnić do końca.

Rzeczywiście w naszej tradycji, w naszym postrzeganiu, rozumieniu roli historycznej Europy, funkcjonuje coś, co mi się nie za bardzo podoba. To znaczy przedmurze. Raz jest to przedmiurze chrześcijaństwa, przedmurze Europy, przedmurze cywilizacji. Zastanawiam się, co to jest przedmurze? Przedmurze to jest rodzaj pomocniczej fortyfikacji. Główną fortyfikacją jest mur, pomocniczą fortyfikacją jest przedmurze. Przedmurze ma na celu nie obronę przed najazdem, tylko pierwsze wytłumienie energii. Podczas ataku przez jakiś czas najpierw broni się przedmurze. Atakujący muszą poświęcić czas na zdobycie przedmurza, wytracić pierwszy pęd i wtedy murowi jest łatwiej obronić. Sytuując się w naszej mentalności jako przedmurze, sytuujemy się w relacji służebnej wobec muru. A co jest murem? W epoce nowożytnej była to monarchia Habsburgów. To był główny mur, to był główny rywal Porty Ottomańskiej, a my byliśmy przedmurzem. Ja osobiście nie lubię się sytuować jako element pomocniczy kogoś. Jestem sam sobie panem. I też nie lubię, kiedy moje historyczne państwo i mój naród się sytuuje jako element pomocniczy kogoś. A my się sami tak sytuujemy. Przyznaję więc, że formuła przedmurza mi się absolutnie nie podoba.

Krzysztof Laga: Zacznę od końca, to co powiedziałeś o manifeście PPN jest bardzo intertesujące. Co nas czeka w najbliższych dniach? [...]

Okazuje się, że XII czy XIII wybory z rzędu wygrał PiS. Najśmieszniejsze w tych wyborach, a były to najdziwniejsze wybory, w których uczestniczymy jako naród, jest to, że ci, co wygrają, nie będą mieli nic do gadania. Kiedy oglądaliśmy po kolei wszystkie wybory, bohaterstwo wylewało się z każdej strony. Mularczyk zapewniał, że załatwi miliardy za reparacje wojenne, natomiast on sobie skubał 80 koła miesięcznie i kilometrówki. I tyle jechał przez 5 lat. 60 miesięcznie – niezła kasa, będzie miał emeryturę 15 procent, taki socjal mu się przyda. My jako państwo i jako naród oczywiście będziemy z tego mieli nic. Sprawa się rozgrywa między ich potencjalnymi sojusznikami. Zgodzę się z tobą, że EPP, Lewica i liberałowie stracą, natomiast nie sądzę, żeby strata wymagała sięgania po innych. Prawda jest taka, że Meloni jest cały czas obrabiana. Meloni jest osobą z tej frakcji narodowej, która jest najbardziej podatna na wpływy EPP. Pytanie, czy sama wstąpi do EPP, czy będzie chciała grać całą swoją grupą z EPP np. przy wyborach, a wtedy ugrać więcej? To się okaże. Dostała na razie jedną dyktę w postaci paktu migracyjnego, jest to wielki ukłon w kierunku Włoch, nie ma co tego ukrywać, oczywiście kosztem m.in. nas, ale taka jest polityka toczona na innym poziomie niż ten, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Tak to będzie wyglądało.

Dobrze, że przeczytałeś ten Manifest w całości. Pamiętaj, że ważna jest data jego powstania – listopad 1979 roku. Gigantyczna fala entuzjazmu po pierwszej wizycie Ojca Świętego, która przyszła w czerwcu, zaskoczyła wszystkich: opozycję, a przede wszystkim władzę. Sama władza nie wiedziała, co z tym tak naprawdę zrobić. Ja uczestniczyłem wtedy we Mszy św. na Jasnej Górze jako młodzież i widziałem, co się działo. Dotknąłem po raz pierwszy czegoś zupełnie mi nieznanego, bo wcześniej informacje czerpałem z telewizji państwowej, czyli od „krwawego Maćka". To pokazało, jaka jest siła naszego narodu i jaka jest możliwa presja na tę władzę, która dla nas wszystkich była praktycznie władzą absolutną. Nie bez kozery nn, czyli nurt niepodległościowy też 1 września 1979 roku ogłosił akt konfederacji. Fala, która wezbrała po wizycie Ojca Świętego, po prostu szła. Myślę, że PPN-owcy, którzy byli odłamem nurtu,

to byli weterani związani z częścią nurtu. Bartoszewski ewidentnie był silnie powiązany z nurtem niepodległościowym.

Mirosław Lewandowski: Absolutnie nie.

Krzysztof Laga: O Teofilu opowiadają rozmaite rzeczy, ale tak się zdarza. Gloryfikuje się ojca, bo takie jest życie. Natomiast Władysław Bartoszewski był to człowiek, który był więźniem Oświęcima, był akowcem, był w czasie powstania. Suma jego doświadczeń w tym przekazie pokazuje, że były grupy, które chciały stworzyć wizje dla pokolenia, które będzie po nich następować, bo nikt w listopadzie 1979 nie przewidywał, że na taką skalę będzie „Solidarność". Zresztą z „Solidarności" po 1980 roku, nie przypominam sobie żadnej wypowiedzi poza posłaniem do narodów Europy Wschodniej.

Andrzej Anusz: To bardzo istotne.

Krzysztof Laga: Dobrze, ale to nie dotyczyło Unii Europejskiej.

Andrzej Anusz: Tak jest.

Krzysztof Laga: Nie było żadnych takich ruchów ani żadnych tego typu dokumentów. Wiadomo, że były nieformalne związki „Solidarności" ze związkami zawodowymi w Europie Zachodniej i dla „Solidarności", dla ludzi z „Solidarności", to było ważne, bo wiele osób wyjeżdżało, wymieniało się doświadczeniami, przenosiło te doświadczenia z Europy Zachodniej na grunt polski. Po 1981 roku to było niezwykle dla nas ważne. To jest trochę dla nas idealistyczne rozwiązanie. Wtedy było EWWiS, Euratom i EWG. Problem polegał na tym, że w latach 80.[...] już wtedy sobie chłopaki z wielkiej szóstki najbogatszych krajów w Europie, czyli Niemcy, Francja, Włochy, Beneluks, tworzyły klub dla bogatych. Potem była już decyzja bardziej polityczna, żeby jednak z Angolami się dogadać. De Gaulle tego nie chciał, póki jeszcze był prezydentem. Potem zrobiono referendum. W Anglii była dwa referenda. W pierwszym, odrzucili

wejście do EWG, dopiero w drugim przyjęli. Angole weszli, potem Dania. I to był finał. W latach 80. nastąpiło przyspieszenie, tj. przyjęcie tych najbiedniejszych, czyli Portugalii, Grecji i Hiszpanii, to w ogóle masakra.

W 1989 przyjechał George Bush senior. Jego słynne przemówienie we Frankfurcie nad Menem wszystkim nam umknęło. Bo w maju 1989 roku żyliśmy czerwcowymi wyborami. I on wtedy powiedział to samo, co Gorbaczow powiedział po naszej stronie muru: „Chłopaki, radźcie sobie sami". I on powiedział Niemcom: „Nie, my może będziemy się zwijać, a może nie i jak macie być największą europejską potęgą gospodarczą, musicie się wziąć politycznie również za Europę. I nie owijał tego w bawełnę. Bo oni nie byli intelektualnie przygotowani, że nagle się coś musi, bo nasza chata z kraja, mamy Deutsche Markę i tyle. I nagle się okazało, że trzeba coś z tym zrobić.

I zaczęli robić. Mitterrand był wtedy prezydentem Francji. Pierwszy pomysł był taki, żeby nie było Euro, tylko miała być Euromarka. Dopiero Francuzi to przyblokowali. Chirac sam kiedyś powiedział, że Unia Europejska jest jak wóz z koniem. Koniem pociągowym są Niemcy, a my jesteśmy woźnicą. Tak to Francuzi odbierali. Natomiast lata 90. pokazały, że musiały przekształcić EWG w związek państw, czyli w Unię Europejską z całymi tego konsekwencjami. To, że to jest płynne i że ta relacja się będzie zmieniać, to widać. Nawet to, jak działa ETS – Europejski Trybunał Sprawiedliwości. Tam, gdzie Komisja się nie wypowiada, wchodzi ETS (Europejski Trybunał Sprawiedliwości). ETS będzie interpretował przepisy traktatów na korzyść ETS i Komisji. My jako państwo, będąc w sporze z ETS, jesteśmy bezbronni. Nie jest tak, że oni są li tylko arbitrem [...]. Oni są również uczestnikiem tego sporu i jednocześnie arbitrem.

Andrzej Anusz: Czyli są stroną.

Krzysztof Laga: Tak to wygląda. Jesteśmy zdziwieni i zszokowani, bo nagle okazuje się, że wstąpiliśmy do czegoś innego, a w czymś innym jesteśmy. A ten proces jest płynny i jest procesem dynamicznym.

Co nas czeka? Amerykanie byli raz zachwiani, bo w 2020 roku dobiła ich pandemia i przywództwo Trumpa też. Ameryka zaczęła w paru frontach przegrywać, zaczęli robić biznesy *face to face* zamiast globalne. I Amerykanie się wy-

straszyli, że Europa dokona emancypacji. Po czym w latach 2021–2022 okazało się, że tego nie zrobi. W „New York Times" Amerykanie ukuli termin, że Unia Europejska to jest „dom spokojnej starości". Będą sobie ludzie tu żyli, będą mieli w miarę fajnie, będą mieli dużo lepsze możliwości funkcjonowania – bo nie rozwoju – w Europie tak jak w domu starców.

Mariusz Olszewski: Ciepła woda w kranie.

Krzysztof Laga: Tak. A dynamika pozostanie w Azji i Ameryce. Te dwa kontynenty będą decydować o rozwoju świata, a my zostaniemy rezerwuarem.

Andrzej Anusz: Nastąpi bałkanizacja Europy.

Krzysztof Laga: Dom spokojnej starości to nie jest bałkanizacja. Prawda jest brutalna: taki bajer, tylko bez tego domu spokojnej starości, jest sprzedawany Afryce Środkowej czy Subsaharyjskiej milionom ludzi, którym się wydaje, że Europa jest dla nich rajem.

Jerzy Wawrowski: Bo jest!

Krzysztof Laga: Dla mieszkańca Nigru czy Mali to czy on będzie mieszkał w Niemczech, czy w Albanii, jest mu obojętne, bo tu i tu dostanie zasiłek, mieszkanie, wikt i opierunek. To na różnych poziomach życia. Moim zdaniem przed Europą stoją tak potężne problemy, że dramatyczne historie pt. Zielony Ład, to jest coś do bicia. Coś musieli zaproponować w kierunku wyjścia poza bańkę, w której Unia funkcjonuje. To oczywiście lipa, to jest do kosza. Ale za chwilę co innego się zaproponuje. My musimy być gotowi. A dlaczego tak nie może być, że my coś zaproponujemy zamiast Zielonego Ładu? Dlaczego nie mielibyśmy tego zrobić? Czy intelektualnie jesteśmy mniej sprawni? Nie jesteśmy, tylko jeszcze trzeba chcieć i znaleźć do tego sojuszników w Europie. Uważam, że w tej chwili, jeżeli mamy uczestniczyć w Europie, to nie może być tak – bo to, co mówisz, rzeczywiście jest prawdą, że obecnie mamy 5 minut Tuska. On dilując w EPP i dilując na rzecz Ursuli von der Leyen, ileś rzeczy

ugra. Tylko problem jest taki: ugra, załatwi, temat się skończy i przyjdzie szara rzeczywistość. Natomiast problemem jest to, że trzeba wykreować nową wartość w oparciu o Trójkąt Weimarski i tworzyć nowy motor Unii: Polska, Francja i Niemcy. I rozdawać w trójkę karty.

Mariusz Olszewski: Jeszcze żeby Niemcy tego chciały.

Krzysztof Laga: Jeżeli my nie będziemy chcieli, to tym bardziej nikt inny nie będzie chciał. Ja nie jestem liberałem, jestem eurosceptyczny i uważam, że da się w oparciu o nasze zasoby i możliwości, o to, co osiągnęliśmy, m.in. dzięki 20 latom w Unii, zbudować zupełnie inną swoją pozycję, nie tylko polityczną.

Andrzej Anusz: Chciałem się odnieść do Władysława Bartoszewskiego. W moim przekonaniu on odegrał bardzo ważną rolę w latach 70. i 80. w relacjach polsko-niemieckich, niezależnych. Oczywiście przy wsparciu Kościoła, bo on funkcjonował po pierwsze jako człowiek związany z Kościołem poprzez to, że wykładał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Po drugie wykładał na uczelniach w Niemczech Zachodnich. Niemcy mieli kompleks, dlatego że on jako więzień Obozu Koncentracyjnego w Auschwitz, żołnierz AK, samą swoją osobą niejako podtrzymywała w środowiskach niemieckich kompleks – jako ofiara Niemców, z drugiej strony jako osoba zaangażowana na rzecz dialogu polsko-niemieckiego, z backgroundem Kościoła. Wypełniał bardzo ciekawą lukę, wchodził w to wszystko i rzeczywiście w latach 70., 80. jego pozycja bardzo była ciekawa. Oczywiście współpracował w Radiem Wolna Europa. Mówiłem o tym rok temu, że on miał propozycję objęcia stanowiska prezydenta na emigracji. Nie wchodząc w ocenę Bartoszewskiego później, bo o tym możemy różnie dyskutować, ale w tej chwili to nie ma znaczenia. W latach 70., 80., 90. odegrał bardzo ważną i pozytywną rolę i naprawdę trzeba mu oddać honor i zasługę w wymiarze polityki europejskiej.

Związki zawodowe zachodnie – trzeba tu przywołać nazwisko Jana Kułakowskiego. Jako młody żołnierz AK w 1946 roku ucieka na Zachód, w Belgii kończy studia, jednocześnie wchodzi w skład Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych o nastawieniu chrześcijańskim. Cały czas jest w ramach europej-

skiego ruchu bardzo aktywny. Później, po powstaniu „Solidarności" – bardzo aktywna rola i symbolicznie może o sobie powiedzieć – tak jak przywoływałem ludzi z PPN – że proces, w którym brał udział od młodości, później stał się jego współtwórcą. Przypomnę, wraca do Polski, w 1997 roku.

Przywołam teraz moje osobiste wspomnienie: ja w 1997 już z ramienia Akcji Wyborczej „Solidarność" byłem w delegacji do Brukseli i m.in. wtedy z kilkoma kolegami spotkaliśmy się w Brukseli z Kułakowskim. Było bardzo prawdopodobne, że AWS będzie szedł do władzy i m.in. miałem za zadanie zasugerować, czy on zgodziłby się wrócić i zająć się przygotowaniem do akcesji Polski do UE, z osobą, która kilkadziesiąt lat w instytucjach europejskich funkcjonała. On się zgodził, wrócił do Polski. Buzek powołał go na pełnomocnika rządu ds Unii Europejskiej. Warto tę osobę w tym kontekście zdecydowanie przywołać.

Jeśli chodzi o kwestię Niemiec i przyjęcia Polski do UE, tak naprawdę w latach 1989–1990, w momencie procesu zjednoczenia Niemiec, rozpoczął się taki proces, że to, że Polska w jakikolwiek sposób historycznie, politycznie przyjęła formułę i *de facto* przemiany, które się u nas rozpoczęły, doprowadziły do zjednoczenia Niemiec. Elementem politycznym później było to, że Niemcy w momencie przyjmowania Polski do UE, były za tym procesem, nie zablokowały nas. Tutaj znów chcę odwołać się do roli naszego papieża, który przez cały proces kilkudziesięciu lat, cały czas trzymał rękę na pulsie, był gwarantem całej sytuacji. Gdyby nie daj Boże papieża zabrakło w 1989 czy w 1990 roku, bardzo rożnie mogłoby się wszystko potoczyć. To samo, tylko wcześniej, on był gwarantem w relacjach specjalnych ze Stanami Zjednoczonymi, dzisiaj mówi się o pakcie Regan–papież.

Jerzy Wawrowski: Jeszcze z Thatcher.

Andrzej Anusz: Tak, ale to w kontekście NATO Stany Zjednoczony były gwarantem, żeby Polska była przyjęta do NATO. To było okienko czasowe, strategiczne i geopolityczne, które się otworzyło i my wykorzystaliśmy to i znaleźliśmy się w NATO i UE. Wykorzystaliśmy ten czas, bo rożnie mogło być. To też była taka sytuacja, że Jan Paweł II był, to była ciągłość, gwarancja i punkt odniesienia. O tym powinniśmy pamiętać.

Natomiast jeśli chodzi o scenariusze przyszłości UE, czy to jest uwiąd przed śmiercią – jak powiedział Jurek – chciałbym przedstawić jeden potencjalny scenariusz. Po pierwsze otwarcie się na proces przyjęcia Ukrainy do UE. Co on ze sobą niesie? To jest wielka dyskusja. Oczywiście zagrożenia, ale też i pewne szanse. To jest pierwsze. Drugie – w lipcu mamy wybory w Wielkiej Brytanii. Prawdopodobnie dojdzie do zmiany układu. Dziś 20% przewagi ma Partia Pracy nad konserwatystami. Zobaczymy, może konserwatystom uda się dużo nadrobić. Ale prawdopodobnie nie. W Wielkiej Brytanii Partia Pracy idzie prawdopodobnie pod hasłami powrotu do UE. Wyobraźmy sobie scenariusz, że za 10 lat równocześnie następuje przyjęcie Ukrainy i Wielka Brytania wraca. To jest jednoczesny proces. Jaka będzie ta UE? Co to implikuje, co zmienia? Z punktu widzenia Polski dla nas to oczywiste, że niestety doszło do Brexitu, dla nas to jest osłabienie Polski. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, bo byliśmy w ramach Unii naturalnym partnerem z Wielką Brytanią w sposób oczywisty. I to, że oni wyszli, to jest cała wieka dyskusja. Z punktu widzenia tworzenia koalicji procesu, jakim jest Unia Europejska, to oczywiście potencjał Wielkiej Brytanii z punktu widzenia naszej relacji z nimi w ramach Unii, tej możliwości już w tej chwili nie mamy. Oczywiście to jest na zasadzie spekulacji, ale pewne trendy i procesy się rozpoczęły, bo Ukraina otworzyła proces wejścia i Bruksela otworzyła proces negocjacyjny wejścia Ukrainy do Unii Europejskiej z jednej strony, a z drugiej strony pytanie, co nastąpi w Wielkiej Brytanii, czy nie będzie powrotu w perspektywie 10 lat czy więcej. To kompletnie zmienia geografię i ułożenie Unii Europejskiej. Uważam, że proces, jakim jest Unia Europejska, to nie jest stan przedzawałowy, czy stan zgonu, natomiast w którą stronę to pójdzie, nie wiemy. To jest proces. Ale różne furtki potencjalnie są pootwierane.

Ks. Stanisław Tylus: Odniosę się do pierwszej części. [...] W seminarium byłem słuchaczem wykładów z prawa kanonicznego. Według ks. Orszulika, co zresztą potwierdzają różnego rodzaju opracowania, kardynał Wyszyński zarzucał Casarolemu [nuncjusz papieski w PRL], że ulega komunistom. Zresztą nie bez powodu, bo przecież na Węgrzech spacyfikowano kard. Mindszentyego, z pomocą zresztą papieża. Kardynał Wyszyński mógł czuć, że zostanie w jakiś sposób wymanewrowany przez Casarolego. Ale także Casaroli przypominał

w rozmowach, że kardynał Wyszyński wstrzymuje normalizację między Kościołem a państwem. Obopólnie były takie niechęci o normalizację.

Z podwórka pallotyńskiego powiem, że w Gdańsku, po spotkaniu Casarolego z duchowieństwem, z biskupem Kaczmarkiem, z duchowieństwem gdańskim, jak i z inteligencją, bo wtedy był trend, że Casaroli jeździł po parafiach, przynajmniej niektórych, spotykał się, sondował, co poszczególne środowiska sądzą na temat relacji pPaństwa z Kościołem i to wykorzystywał. Przy ul. Elżbietańskiej, w naszym Domu Zakonnym się spotkano i debatowano na temat relacji Kościół – państwo. Dorzuciłbym jeszcze, że dopełnieniem listu z 1965 roku, o czym była mowa, była wizyta we wrześniu 1978 delegacji Episkopatu Polski, kardynała Wyszyńskiego, kardynała Wojtyły w Niemczech (RFN). Kard. Wyszyński mówił, że poza Włochami nigdzie nie wyjeżdżał, więc to był wyjazd precedensowy. Po raz pierwszy pojechał do innego kraju. Co ciekawe, wygłosił kazanie w katedrze kolońskiej w języku niemieckim, okazało się, że bardzo płynnie mówi w tym języku. Oczywiście wcześniej, w ramach studiów on wyjeżdżał do Niemiec.

Mirosław Lewandowski: Zacznę od końca, zrobię autoreklamę i będę mówił o biskupie Orszuliku również u siebie. Będę cytował fragment jego notatki. Podobno, kiedy brał udział w rozmowach z władzami, zawsze był w sutannie. Któryś z „czerwonych" mówił mi, że musiał mieć magnetofon, dlatego, że notatki z rozmów, które opublikował w wydawnictwie w Ząbkach, są super szczegółowe. To jest niemożliwe, żeby zapamiętał trzy-czterogodzinne spotkania, co kto mówił, tak jak jest zapisane. A formalnie nie nagrywał, czyli musiał nagrywać „pod sutanną", co nawiązuje do tego, o czym mówiliśmy.

Andrzej Anusz: A może dostał to nagranie od swoich rozmówców?

Krzysztof Laga: W celu upublicznienia...

Andrzej Anusz: I autoryzowania...

Wesołość na sali

Mirosław Lewandowski: Orszulika bardzo lubię, bo był na jednym spotkaniu, na które przyszedł Rakowski, gdy został premierem, już pod sam koniec komuny. Rakowski bardzo agresywnie się wypowiadał, ustawiał na „czarnych" i Orszulik potraktował go dosłownie jak burą sukę. Jest ta notatka w książce wydanej w Ząbkach. Pomyślałem sobie: „po KPN-owsku, zawsze taki wstrzemięźliwy, a teraz walił takimi tekstami!". Widać, że się zdenerwował, odgryzał i mówił bardzo ostro. Więc ksiądz Orszulik jest w porządeczku!

Ks. Stanisław Tylus: On potrafił być dosadny.

Mirosław Lewandowski: Co do Bartoszewskiego, oczywiście zgadzam się, że odegrał pozytywną rolę i to był wielki kapitał, on jako minister spraw zagranicznych, były więzień Auschwitz, zresztą człowiek, który jest dowodem na to, że można było z Auschwitz wyjść – on został zwolniony. Doszukano się drugiego dna w tym jego zwolnieniu, ale jak to często bywa z tego typu plotkami, niczego nie znaleziono. Natomiast to, co Krzysiek powiedział, że on był w nurcie niepodległościowym, jeżeli definiujemy nurt niepodległościowy nie jako pewną orientację (bo jak zdefiniujemy, że to jest pewna orientacja, nazwa orientacji, która mówi o niepodległości, to cały PPN jest w tym sensie częścią nurtu niepodległościowego), otóż jeżeli definiujemy nurt niepodległościowy jako środowisko piłsudczykowskie, które idzie od Piłsudskiego, potem Legiony, potem oficerowie w Komendzie Głównej AK, potem, po 1956 Pluta-Czachowski, Muzyczka, Szostak i cała ta grupa, o której pisałem, to tutaj Bartoszewski z całą pewnością do tak rozumianego nurtu niepodległościowego nie należał. Stąd ostro zaoponowałem przeciw temu stwierdzeniu.

Tam sytuacja była taka, że Ludwik Muzyczka za swojego życia napisał tylko jeden tekst. Tylko jeden jego tekst został opublikowany w oficjalnej prasie (wspólnie z Plutą-Czachowskim, ale to Muzyczka był głównym autorem). On jest niedoceniany, a to był główny mózg całego środowiska. Z pochodzenia Czech, jego matka była grekokatoliczką, czyli syn Czecha i Ukrainki intelektualnie kręcił całym nurtem niepodległościowym. W tym sensie bardzo ciekawa postać. W 1957 roku oni opublikowali w „Tygodniku Powszechnym" słynny

artykuł „Prawda i nieprawda Armii Krajowej. Polemika z Janem Rzepeckim". Artykuł zapomniany. Ludzie nie zdają sobie sprawy, że to był manifest nurtu niepodległościowego. Oni wprost nie mogli pewnych rzeczy napisać, ale to, co tam napisali, to była cała istota ich myślenia.

Po opublikowaniu tego tekstu Rzepecki zaraz na drugi tydzień i później bardzo ostro im odpowiedział. Rzepecki też nie jest przez nas postrzegany jako postać bardzo mętna, od 1946 roku zdecydowanie poza środowiskiem niepodległościowym. A ma opinię pozytywną.

Krzysztof Laga: Kawaler Virtuti nie może być mętny.

Mirosław Lewandowski: Ale Virtuti dostał wcześniej i za co innego.

Mariusz Olszewski: Jaruzelski też ma.

Mirosław Lewandowski: Natomiast Salmonowicz pisze, że w tysiąć dziewięćset sześćdziesiątym którymś roku Rzepecki spotkał się z Muzyczką nad morzem i że nastąpiła wymiana zdań w stylu legionowym (gdyby Muzyczka dał mu w pysk, wcale bym się nie zdziwił.) Salmonowicz tak to ujął, ponieważ Muzyczka miał bardzo złe zdanie o postawie Rzepeckiego, w czasie procesu pierwszej komendy WiN.

Co się stało? Kiedy Rzepecki bardzo szybko odpowiedział na artykuł Pluty-Czachowskiego i Muzyczki, oni przygotowali drugą część artykułu, którą ja w jednej z tych książek zamieszczam. Ale tego w „Tygodniku Powszechnym" już nie opublikowano, dlatego że w „Tygodniku Powszechnym" znalazł się człowiek, który tam wszedł i zaczął pisać artykuły o Armii Krajowej i „Tygodnik Powszechny" powiedział: „My panom pułkownikom, szefom oddziałów sztabowych Komendy Głównej AK już dziękujemy, mamy historyka Armii Krajowej, który będzie nam opisywał AK". Tym człowiekiem był Bartoszewski. O ile wcześniej z Bartoszewskim związane były duże nadzieje, w tym momencie relacje z nurtem niepodległościowym wąsko rozumianym, czyli niepodległośćiowym środowiskiem piłsudczykowskim, mosty zostały spalone. Jasno zostało zinterpretowane, że on to zrobił dla kariery, że kosztem starych, do-

świadczonych oficerów AK wszedł w „Tygodnik Powszechny", postanowił tam zabłyszczeć i spalił mosty.

Krytyka pod adresem Bartoszewskiego była taka, że o ile Muzyczka i Pluta-Czachowski pisali o kwestiach programowych, o tym, co się działo na najwyższym szczeblu Armii Krajowej, to kiedy do „Tygodnika Powszechnego" wszedł Bartoszewski, zaczął pisać o tym, co się działo na dole, o zwykłych ludziach, szarych bohaterach AK itp. W ten sposób pośrednio wpisał się w oficjalny nurt polityki historycznej po 1956 roku, który to nurt w zasadzie siłą rozpędu jest realizowany do dzisiaj. To znaczy: „kierownictwo Armii Krajowej oszukało młodych i historia wydała na nich wyrok – to są bankruci polityczni. Jedynymi bohaterami są ci na dole (porucznik, podporucznik). To jest polityka realizowana do dzisiaj. Konflikt, który wtedy powstał między Muzyczką, Plutą a Bartoszewskim, ten sposób pisania o Armii Krajowej w „Tygodniku Powszechnym" – tamci proponowali pisanie o kwestiach programowych, a ten zaproponował, aby zająć się zwykłymi żołnierzami. To znalazło tam swoje odbicie. Dlatego tak ostro zaprotestowałem.

Konflikt Bartoszewskiego z nurtem niepodległościowym znalazł swoje bardzo ostre odzwierciedlenie w latach 70. Jak wiecie, on współpracował z Wolną Europą, o czym mówił Andrzej. Razem z Salmonowiczem ich wtedy „dziabnęli". To znaczy zamknęli Salmonowicza, który siedział kilka miesięcy, zamknęli kobiety, które były ich łączniczkami. A Bartoszewskiego nie ruszyli. To już było dziwne. Prawdopodobnie była to gra bezpieki. Kiedy były te aresztowania, Salmonowicz siedział, u Bartoszewskiego bezpieka zrobiła dwutygodniowy kocioł, robili rewizje, przy czym było dziwnie, że u Bartoszewskiego zrobili rewizję tydzień-dwa po aresztowaniu Salmonowicza (który został zatrzymany, gdy wyszedł z mieszkania Bartoszewskiego). Jakby dali Bartoszewskiemu tydzień czy dwa czasu, aby on sobie „wyczyścił" mieszkanie i dopiero wtedy wjechali mu z rewizją. To była bardzo dziwna gra bezpieki. A do tego sytuacja była taka: jest kocioł u Bartoszewskiego, trwa rewizja, Salmonowicz siedzi, a w „Interpressie" odbywa się oficjalnie promocja książki Bartoszewskiego o kwestiach żydowskich, przyszli dziennikarze... I to było interpretowane, jako pewna rozgrywka między służbami, to znaczy wywiadem czy kontrwywiadem – bo, zdaje się, „Interpress" był interpretowany jako placówka wywiadu czy kontrwywia-

du – a bezpieką (pionem III). Tutaj była jakaś gra: jedni mu robili rewizję, a drudzy promowali jego książkę i to było w tym samym czasie! Sprawa miała ciąg dalszy, dlatego że Bartoszewski odbył jedno przesłuchanie i kilka rozmów nieoficjalnych, które prowadził z niejakim Jońcem, który był szefem gabinetu ministra Moczara. Odbyły się spotkania w hotelu między tym bezpieczniakiem a Bartoszewskim. Bartoszewski o tym napisał raz czy dwa razy, ale niekonkretnie – tylko że coś było. Ale w tym momencie zaczął się „smród" spowodowany tym, że bezpieka celowo rozsyłała – to jest sprawa opisana przez historyka, który był dyrektorem Muzeum II wojny światowej w Gdańsku (nie jest to osoba zawiązana z IPN, lecz bardziej z Tuskiem). On opisał w jakimś tekście tę grę, że bezpieka zaczęła rozsyłać informacje sugerujące, że Bartoszewski z nią współpracuje. Gdyby naprawdę współpracował, bezpieka nie rozsyłałaby takich informacji, więc raczej wygląda to na próbę skompromitowania Bartoszewskiego. Co jest ciekawe, w połowie lat 70. szef Kedywu Okręgu Warszawskiego AK kpt. Józef Rybicki odbywał rozmowy, pojechał do Salmonowicza, do Torunia i odbywał rozmowy z Bartoszewskim, żeby tę sprawę z punktu widzenia oficera AK rozstrzygnąć, jak to było z tym Bartoszewskim (o Rybickim powinniśmy zrobić odrębny wykład – moim zdaniem Rybicki miał kompleks związany z tym, że jego brat przyczynił się do wydania ważnych ludzi z Armii Krajowej)...

Wojciech Frazik: Donosił m.in. na Fieldorfa

Mirosław Lewandowski: Z Rybickim było tak, że w pierwszym procesie WiN on dostał taki sam wyrok jak Muzyczka – 10 lat. Potem nastąpiła amnestia i kary im zmniejszono. Muzyczka w 1948 roku wyszedł na wolność, potem go ponownie wsadzili i wyszedł na wolność dopiero w 1954 roku. Rybicki także wyszedł na wolność w 1954 roku, tylko że cągle odsiadywał ten pierwszy, zmniejszony wyrok (a dostał tyle samo, co Muzyczka). Jak to jest możliwe, że jeden wyszedł w 1948 roku, a drugi, który w tym samym czasie zaczął odsiadywać ten sam wyrok, wyszedł dopiero w 1954 roku?

Krzysztof Laga: Bo był z Kedywu.

Mirosław Lewandowski: Ponieważ Rybicki dostawał w odbywaniu kary urlopy na przełomie lat 40. i 50. To jest dodatkowo dwuznaczność, która się ciągnie za Rybickim.

Jest jeszcze sprawa pod kryptonimem „Defraudant", która wiąże się z oskarżeniami o przywłaszczenie środków finansowych ze zrzutów, za które miał on wybudować sobie dom w Milanówku.

Mariusz Olszewski: To jest podstawowy zarzut SB wobec niego.

Mirosław Lewandowski: Poza tym jego bliski krewny był rektorem uniwersytetu warszawskiego...

Wojciech Frazik: To był bratanek.

Andrzej Anusz: W 1968 roku.

Mirosław Lewandowski: Nie chcę zrzucać na Rybickiego złego cienia, tylko chcę powiedzieć, że Rybicki wyraźnie miał kompleksy i rodzaj szajby na punkcie współpracy z bezpieką. Reagował na to bardzo gwałtownie i był w tych sprawach niesłychanie pryncypialny. Tę pryncypialność odczuł Moczulski na swojej skórze, jak również Bartoszewski. Bo Rybicki, jak zorganizował rozmowy z Salmonowiczem, jedną z tych kobiet – łączniczek, która też siedziała i z Bartoszewskim (który nie siedział), to wedle dokumentów bezpieki wydał werdykt, że Bartoszewski w 1970 roku, jak było to aresztowanie, poszedł na współpracę z bezpieką.

Ale nie ma na to dowodu. Wydaje mi się to nieprawdopodobne. Raczej sądzę, że albo Rybicki się pomylił, albo celowo, czyli świadomie rzucił cień na Bartoszewskiego. Z jednej strony był to skutek jego frustracji, uczulenia i pryncypialności w sprawie współpracy z bezpieką, a z drugiej strony był to rewanż za to, że w 1956 roku Bartoszewski wygryzł z „Tygodnika Powszechnego" Muzyczkę i Plutę-Czachowskiego.

Dlatego przy wszystkich zaletach i zasługach Bartoszewskiego, nie można mówić, że on był z nurtu niepodległościowego tak rozumianego, jak my go definiujemy.

Na swoje nieszczęście cieszę się, że Andrzej na końcu referatu mówił o rzeczach współczesnych, bo większa część dyskusji była poświęcona sprawom bieżącym.

Krzysiek mówił o UE jak o ciemnych chmurach i gęstym dymie. Unia Europejska to jest najlepsze miejsce do życia na ziemi. To jest raj. Nie ma nigdzie na świecie – może są kraje bogatsze, np. USA czy Chiny – jak Unia Europejska, w sensie socjalu, wolności, swobody (także dla gejów, lesbijek i całego tego tęczowego towarzystwa). Dziwię się, że Jurkowi, który tak jest zanurzony w starożytnej Grecji, przeszkadza tęczowość. W tym aspekcie akurat Europa wraca do korzeni antycznych...

Krzysztof Laga: To zbyt daleko posunięcia insynuacja.

Andrzej Anusz: W antyku nie istniał problemem LGBT.

Mirosław Lewandowski: Ale gdy czytałem „Ucztę" Platona, to Platon wyraźnie podrywał gospodarza. Kiedy wprowadzają tancerki, oni mówią, że nie chcą tancerek. Biorą wino i do rana dyskutują o filozofii. Młody gospodarz jest jak Misiewicz (bo tamten gospodarz jest kimś takim...). Platon wyraźnie do niego „startuje" i na jego przykładzie tłumaczy ideę miłości – od fizycznego pożądania (gospodarza), aż do idei miłości absolutu.

Jerzy Wawrowski: To Sokrates przeżywał. Bohaterem „Uczty" jest Sokrates, a nie Platon.

Andrzej Anusz: Ale Platon to napisał.

Mirosław Lewandowski: Oczywiście, masz rację. Platon to opisał, a tym, który podrywał gospodarza był Sokrates[2].

[2] Uwaga osoby, któa przepisywała tekst i dokonała jego wstepnej redakcji: W „Uczcie" Platona nie sam filozof, lecz pijany Alkibiades podrywa gospodarza, którym jest ateński tragik Agaton. Alkibiades wprasza się w środek uczty i wdaje się we flirt z gospodarzem, by ostatecznie wygłosić słynną mowę wychwalającą cnoty i powściągliwość drugiego z obecnych gości — Sokratesa.

Gdy nastąpi powrót Wielkiej Brytanii do UE i Ukraina przystąpi do UE, to pod względem PKB – a to jest jakiś miernik – Unia Europejska prawdopodobnie znowu wyprzedzi Stany Zjednoczone.

Andrzej Anusz: Nie, nie nie. To już jest niemożliwe. Dystans jest zbyt ogromny.

Mirosław Lewandowski: Unia Europejska obecnie jest druga w tym rankingu. Jeżeli wróci Wielka Brytania. Ukraina ma rzeczywiście niskie PKB, najniższe w Europie...

Ktoś z sali: 96.

Mirosław Lewandowski: Zgadzam się. Ale to jeszcze nie jest koniec rozszerzenia, bo jeszcze będzie coś na Bałkanach. Może się zdecyduje Norwegia, może się zdecyduje Szwajcaria. Unia Eurpejska to jest pierwsze lub drugie mocarstwo ekonomiczne świata, natomiast pod względem komfortu życia, wolności, tolerancji, bezpieczeństwa socjalnego…

Krzysztof Laga: Debilizmu...

Mirosław Lewandowski: …bezpieczeństwa socjalnego, którego nie ma przecież w Stanach Zjednoczonych, to Unia Europejska jest najlepszym miejscem na świecie. Kiedy słucham, jak krytykujecie UE i widzicie nad nią czarne chmury…

Jerzy Wawrowski: Bo chcemy, żeby była jeszcze lepsza.

Mirosław Lewandowski: …to mi włosy dęba stają.

W kwestii Trójkąta Weimarskiego całkowicie zgadzam się z Andrzejem.

Trójkąt Lubelski. Jaka będzie Unia? Przecież świat się nie kończy, świat się rozwija. Pojawiają się problemy, które trzeba rozwiązywać. Polska w Unii Europejskiej jesteśmy już dzisiaj poważnym graczem. Ciekawie Andrzej zauważył, że tutaj PiS i Platforma paradoksalnie mogą iść wspólnie po wyborach...

Z tym że powiem tak – nie mam złudzeń, że PiS poprowadzi skuteczną politykę zagraniczną i że cokolwiek ugra dla Polski. Dlatego że dla PiS polityka zagraniczna jest jedynie narzędziem do gry wewnątrz. Toteż absolutnie w to nie wierzę; PiS zostanie kolejny raz zdradzony. Kogo PiS wysyła do Europarlamentu? Panią Kopacz, która nie zna języków...

Andrzej Anusz: PiS ją wysłał? To Platforma ją wysłała.

Mirosław Lewandowski: Macie rację. Całe „tapiry": Szydło, Rafalska, Kempa – kobiety, które nie mają o niczym pojęcia i nic nie znaczą.

Andrzej Anusz: „Wart Pac pałaca, a pałac Paca".

Mirosław Lewandowski: Kto idzie dalej? Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik, którzy także nie mają pojęcia o języku. Z Kamińskim będzie problem, bo jego choroba alkoholowa jest tajemnicą poliszynela.

Andrzej Anusz: Jak u Sienkiewicza.

Kobieta z sali: Plus narkomania.

Mirosław Lewandowski: I tam będzie…

Mariusz Olszewski: Tam będą ćwiczyć.

Mirosław Lewandowski: Tam będzie bardzo poważny problem. Dlatego że Rosjanie będą na Kamińskiego polować, bo Kamiński ma świeżą wiedzę. Moim zdaniem puszczanie Kamińskiego do Europy i wystawianie go tam na służby rosyjskie, jest bardzo dużym ryzykiem. Jeżeli Kamiński będzie prowadził jakąkolwiek politykę zagraniczną – nie wiem, w jakim języku on będzie z nimi rozmawiał. Owszem, w barze ma duże możliwości, tylko po jakiemu?

Andrzej Anusz: W barze głównie rozmawia się rękami i wszyscy się rozumieją.

Mirosław Lewandowski: Zobaczcie, kogo jeszcze PiS wysyła. Pani Krupka, która jest stąd, przy całym szacunku, bo była naszym gościem, ale przecież ona nie będzie rozgrywać w Unii Europejskiej! Brudziński – nic nie robił przez 5 lat w UE, w ogóle nie zaistniał. A liczyłem na niego.

Krzysztof Laga: Jak to? Przecież kupił sobie mieszkanie w Warszawie…

Mariusz Olszewski: Będzie słuchał Saryusza?

Lewandowski: Doktor Jaki – za chwilę mu uchylą immunitet i będzie tutaj zeznawał oraz prowadził grę z prokuratorem. Meloni rozegra PiS po prostu lewą ręką. Nie mam złudzeń, że nie będzie odwrotnie.

Co do Tuska. Andrzej powiedział, że Brexit był na niekorzyść Polski. Ale za Brexit w dużej mierze odpowiada Tusk. To jest jego odpowiedzialność. Więc Tusk z jednej strony wyrósł na jedną z głównych postaci w Europie jako ten, który był poprzednio we włazach unijnych i jeszcze ciągle funkcjonuje, chociaż się mocno postarzał. Pytanie, czy on nie jest chory, bo jak przyjrzeć się jego twarzy, moim zdaniem, on ma problemy ze zdrowiem. Natomiast z osób, które były razem z nim we władzach unijnych, to już nikogo nie ma. Pijaczka, szefa Komisji Junkera już nie ma, Timmermansa… nie ma. Ponadto autorytet Tuska bardzo wzrósł w Europie, bo faktycznie on ma jakiś patent na Kaczyńskiego. Ile razy jest konfrontacja Tusk – Kaczyński, z wyjątkiem pierwszej…

Andrzej Anusz: To Tusk przegrywa...

Mirosław Lewandowski: …To Tusk wygrywa. Tusk obecnie jest politykiem, który poskromił populistów. Mógłby więc być rozgrywającym w Europie. Problem z Tuskiem polega na tym, że on nigdy do tej pory nie dał dowodu na to, że potrafi coś ugrać w polityce zagranicznej. Boję się, że von der Leyen rozegra Tuska, Meloni rozegra Kaczyńskiego i niestety z naszej gry unijnej nic nie wyjdzie.

Ale jest oczywiście dobra perspektywa na przyszłość i dla całej Unii – w co gorąco wierzę – i dla nas. Naszą perspektywą nie jest Trójkąt Weimarski, tylko

Trójkąt Lubelski. Po wejściu Ukrainy do UE układ sił w Unii Europejskiej pod względem demograficznym, terytorialnym, a z czasem także pod względem PKB, będzie taki, że punkt ciężkości będzie w granicach Polski przedrozbiorowej, czyli Polska, Ukraina, kraje bałtyckie.

Pytanie, zaczynające się od słów: „Jeżeli mamy pozostać w Unii" – co to jest za powiedzenie? My mamy pozostać w Unii i tam mamy rozgrywać. Nie Niemcy, nie Francuzi, tylko my będziemy razem z Ukraińcami rozgrywać w Unii Europejskiej, czyli będziemy mieli decydujący wpływ na politykę supermocarstwa, które jest pierwszym lub drugim supermocarstwem gospodarczym świata i jest najlepszym miejscem na Ziemi do życia. Zajebista przyszłość przed nami!

Wojciech Frazik: Mówisz sam Jarosław Kaczyński, którego nie cierpisz.

Andrzej Anusz: Współrządzenie Polski z Unią Europejską i Ukrainą będzie mniej więcej wyglądała tak, jak polsko-ukraiński konflikt zbożowy wywołany przez Niemcy. Na pewno Ukraina będzie współpracować z Niemcami.

Mirosław Lewandowski: Jedno jest pewne. To, jak będzie wyglądać nasze miejsce w Unii w przyszłości, razem z Ukrainą, zależy od nas i od Ukraińców. Jeżeli to spieprzymy, to będzie nasza wina. Nie Niemców. Niemcy grają w swoją grę, Francuzi grają w swoją grę, my mamy grać w swoją grę i musimy być skuteczni.

Andrzej Chyłek: Mam uwagę, warto zapamiętać słowa ks. Piotrowskiego: nie określajmy LGBT jako tęczowych. Oni nie są tęczą. Tęcza pochodzi od Boga i ma 7 kolorów, oni posługują się sześcioma barwami. Co oznacza te 6 barw – można doczytać. Tęcza jest rzeczą świętą, oni nie są święci i nigdy nie będą.

Michał Janiszewski: Do Mirka, który ma bardzo prostolinijny obraz świata, i to jest jego zaleta.

Jeżeli chodzi o Kamińskiego i jego znajomość języków, przypominam sobie sprawę z ministrem Sobotką, który po pewnym czasie został oskarżony o to, że był agentem Stasi, na co odpowiedział: „Jak mogę być agentem Stasi, skoro nie umiem po niemiecku?".

Wszyscy pamiętamy film pt. „Pułkownik Kwiatkowski". Tam jest scena na stacji pociągu z repatriantami. Bohater pyta, dokąd ten transport jedzie. „Na zachód, panoczku, na zachód". Początki naszego wchodzenia do UE, naszej tam obecności, to jest fakt, że wsiedliśmy do tego pociągu. Po co jednak nim jedziemy, dlaczego? Bo na zachód. Nie mówię o elitach, tylko o świadomości i odczuciach społecznych – poparcie dla UE, niekrytykowanie błędów.

Zwracam się do Mirka: krytyka czegoś nie jest grzechem. To są dwie różne rzeczy. Można krytykować błędy, a być za. To się z sobą nie kłóci. Bycie kompletnie za kończy się zawsze totalniactwem. Jeżeli chodzi o procesy społeczne, przez ostatnie lata w polskim społeczeństwie rosło poczucie ważności. Byliśmy na Zachodzie, widzieliśmy, co się tam dzieje i mamy zupełnie inne aspiracje. Najlepiej obrazuje to spór wokół CPK, ale gdyby nie było CPK, byłoby coś innego. Chodzi o ambicje społeczne. Ludzie chcą zwiększenia pozycji Polski, zwiększenia jej roli.

Te aspiracje i opowieść, że PiS wygrywa dzięki 500+, to jest absolutnie błędna ocena. Ludzie w Polsce zaczynają mieć aspiracje zupełnie inne. To, że im jest dobrze, że skasowała się bieda, że nadrobiliśmy ten dystans – chcemy więcej. Mirek ma rację, że państwa, do których dodałbym jeszcze Białoruś, aspirują, ponieważ to są państwa z ambicjami. Odwrotną sytuację mamy w Niemczech. Tam panuje zastój gospodarczy, stąd miotanie pomysłami – a to Zielony Ład, a to z ruskim gazem, a jak z ruskim gazem nie wyszło, to może z wyjdzie Chińczykami. To wejdziemy w elektrykę. Chińczycy im podpierdolili technologię, robią lepsze, więcej, taniej. To jest takie miotanie. Oba zjawiska, czyli aspiracja społeczeństw krajów mniejszych i dynamiczniejszych, zderza się z kłopotami gospodarczymi i społecznymi w dużych państwach typu Francja, Niemcy. To może być zderzenie, które sprawi nie tyle, że będziemy chcieli wyjść z UE, tylko jak to rypnie, żeby nas nie przygniotło. Stąd to, co Mirek nazywa, że my chcemy wyjść z Unii, a ja nazywam krytyką. Takiej Unii, jaka ona jest, bo jeżeli ona się nie zmieni, to my nie będziemy musieli z niej wychodzić, bo jej nie będzie. Ona po prostu pod naporem tych trudności się zwinie.

Trzeci element to jest zjawisko omijania wszelkich zasad i praw. Wystarczy, że wygra Iksiński i już panuje praworządność. Cud się dzieje. Nie zmieniono ustawy, paragrafu, wystarczy, że jest w Polsce nowy premier i mamy praworząd-

ność. To też widzą ludzie, to widzi społeczeństwo. Widzą rolę TSUE, jego oceny i wyroki. To może Unię rozsadzić. To może być największy problem w UE, a na pewno przy pani Urszuli nic się nie zmieni. Jestem tu sceptyczny i uważam, że układ po wyborach się nie zmieni. Nie zmieni się, bo wszechobecna agentura rosyjska w Unii, na każdym szczeblu, nie będzie chciała do tego dopuścić. Bo to targanie się w Unii, nieporządkowanie spraw oczywistych, jest im na rękę. A jaka jest duża agentura samych Rosjan w Niemczech, to świadczy rozmowa dowódcy lotnictwa...

Krzysztof Laga: On się bawił jak Dworczyk na messengerze.

Michał Janiszewski: OK, tylko jak można to podsłuchać, to i można co innego podsłuchiwać. Jak z naszym słynnym Pegasusem – tak jakby wszyscy musieli być podsłuchiwani Pegasusem.

Wrócę jeszcze do roli Bartoszewskiego. Krzyś mówił o fali, która zaczęła wzbierać w latach 1979-1980. W 1980 roku samego terminu wybuchu społecznego nikt nie przewidział. Wszyscy się obawiali, nie tylko władze. Sam prymas się bał, żeby sytuacja nie wymknęła się z rąk. Oczywiście tutaj życiorys księdza prymasa mówi też za siebie, stąd jego obawy. Jako kapelan AK widział ogromne nieszczęścia wojenne okupowanej Polski. Rola Bartoszewskiego i ludzi, którzy negocjowali pierwsze nasze wstąpienie do UE, życiorysy im pomagały, co Andrzej podkreślał. Z drugiej strony ci ludzie trochę za miękko to wszystko rozgrywali, mogli grubiej. Uważam, że Olszewski, Mazowiecki itp. ze swoimi życiorysami na pewno mogli twardziej i dużo więcej wynegocjować. Ale obawa była. Słynne powiedzenie Bartoszewskiego, że jesteśmy panną bez posagu na wydaniu, mówi wszystko, świadczy o jego dużym minimalizmie. Można było więcej. Później ekipa SLD i ZSL, która negocjowała ostatnie etapy…

Andrzej Anusz: Ostatnie 10 procent...

Michał Janiszewski: To już w ogóle na kolanach zgadzali się dokładnie na wszystko, byle tylko nas wzięli. To jest mniej więcej tak jak z obecnymi kandydatami do parlamentu europejskiego.

Andrzej Chyłek: Dwie uwagi. Co do wyjścia Bartoszewskiego z Oświęcimia. Mój dziadek też „wyszedł", tylko przez… komin, bo zachorował, miał pecha. To uwaga, że z Oświęcimia swobodnie się nie wychodziło, chyba że się uciekło, ale oficjalnie się nie wyszło.

Krzysztof Laga: Z Auschwitzu wyszło ok. 2 tys. ludzi.

Mirosław Lewandowski: Ponad 2 tys., a Bartoszewski wyszedł w 1942 roku.

Andrzej Anusz: Tak, w pierwszej fazie.

Krzysztof Laga: Wtedy to nie był obóz zagłady, to był obóz koncentracyjny.

Andrzej Chyłek: Druga uwaga. Mówiłeś o cesarstwie rzymskim. Cesarstwo rzymskie rozpadło się od tego zła, jakim było pedalstwo. Trzeba jasno to powiedzieć. To nie było nic dobrego, ludzka słabość, która została wykorzystana.

Mirosław Lewandowski: Przepraszam, ale ja mówiłem o Sokratesie, nie o Rzymie.

Andrzej Anusz: Podtrzymuję wszystko, co powiedziałem, a moja obecna wypowiedź będzie rozbudowanym suplementem.

Odnosząc się do kwestii lat 70. i wejścia Polski do Unii i relacji polsko-niemieckich, symbolicznego początku listu biskupów i procesów, które znamy. Uważam, że mądrość tego listu i polityki Jana Pawła II polegała na tym, że zwłaszcza w relacjach polsko-niemieckich mieliśmy do czynienia z mądrą polityką transakcyjną polegającą na braku sprzeciwu Polski wobec zjednoczenia Niemiec (element pojednania był pierwszy), co w ogóle otwierało perspektywę jednoczenia i ewentualnie polskiej akcesji. W związku z tym polityka transakcyjna była kontynuowana później w taki sposób, że my za szansę modernizacyjną godzimy się na warunki podyktowane głównie przez Niemcy, których zyskiem z wejścia Polski do Unii, ich własnym zyskiem było to, że przestają być państwem buforowym, już są zjednoczeni. Bufor przesuwa się na wschód, mało tego – otrzymują wreszcie wymarzoną szansę realizacji koncepcji Mitte-

leuropy i tworzą warunki dla tych krajów, zwłaszcza Polski, rozwoju zależnego w ramach ich realizowanej koncepcji. Ten rozwój zależny Polski skończył się, moim zdaniem, symbolicznie po 2010 roku i przestał być rozwojem zależnym w rozumieniu naszych aspiracji, a nie widzenia Polski przez Niemcy w ramach UE. Chcę podkreślić, że ta kwestia była dobrym, obopólnym interesem polsko-niemieckim.

Jeśli chodzi o uznania granicy Polski na Odrze i Nysie, chciałbym zwrócić uwagę na orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego RFN, które w oczywisty sposób traktują ten układ i sytuację prawną Niemiec w taki sposób, że współczesne Niemcy od lat 50. są realną kontynuacją państwa niemieckiego sprzed 1939 roku. Kontynuacją prawną, polityczną – a ja dodaję – także moralną. W kontekście tych orzeczeń państwa niemieckiego, które godzi się i przyjmuje do wiadomości fakt istnienia na terenach Rzeszy Niemieckiej polskiej administracji, ale w kategoriach ciągłości prawno-konstytucyjnej uznanie granicy Polski na Odrze i Nysie to jest stan tymczasowy. Taki jest stan prawny naszych relacji z Niemcami, na podstawie publikowanych orzeczeń niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego. Pragnę dodać, że w ramach integracji trwa debata o federalizacjach, był projekt konstytucji europejskiej itd. Donald Tusk stwierdza podległość polskiego systemu prawnego wobec systemu unijnego, prezentując m.in. w ten sposób poziom kultury prawnej na poziomie średnio rozgarniętego klawisza z więzienia we Wronkach. Zapomina o sytuacji, że Unia Europejska jest traktatem międzynarodowym, który jest ufundowany i działa na zasadzie zgody suwerennych państw na przekazanie ściśle określonych kompetencji w ramach traktatu międzynarodowego. I prawo pochodne Unii, również dyrektywy, są tylko tego skutkiem. W związku z tym Trybunał Konstytucyjny RFN do dzisiaj w oczywisty sposób utrzymując zasadę legalizmu i wagę traktatów wchodzących do systemów prawnych krajów, które te traktaty podpisały, przyjmuje zasadę prymatu Konstytucji RFN nad prawem traktatowym i prawem pochodnym UE. To jest bardzo ważny aspekt, który wynika z całej dyskusji, rozpoczętej od listu przez proces zjednoczenia Niemiec po wejście Polski do Unii Europejskiej.

Á Propos Unii Europejskiej i oceny sytuacji, w której jesteśmy. Unia Europejska bezpowrotnie utraciła dystans rozwoju potencjału gospodarczego w sto-

sunku do Stanów Zjednoczonych i Chin. Za chwilę to samo będzie dotyczyło relacji Unia Europejska – Indie jako subkontynent indyjski. To jest dystans, biorąc pod uwagę rozwój chociażby sztucznej inteligencji – nie tylko samochodów elektrycznych – po prostu nie do odrobienia przy polityce niemieckiej głównie, deindustrializacji Europy i przenoszenia produkcji do Chin, do Stanów Zjednoczonych, do Indii, do innych krajów. I to jest element trwały, ponieważ produkcja w Europie jest już za droga. Dobiciem tego będzie Zielony Ład, jeżeli zostanie wprowadzony. Mam nadzieję, że nie i tu zgadzam się z przedmówcami.

Pozycja UE w przyszłości, czy będzie i czy jest rajem do życia, zależy od wyniku konfliktu światowego, który się teraz rozgrywa. Konfliktu, którego głównymi aktorami są Stany Zjednoczone, Chiny albo Chiny i Stany Zjednoczone z udziałem Korei Południowej, Japonii, Australii, Wielkiej Brytanii i Indii. To znaczy sprawczość konglomeratu traktatowego, którym jest Unia Europejska w zakresie odgrywania roli podmiotu w tym konflikcie, jest bardzo ograniczona. Komisarz, który zajmuje się polityką zagraniczną w Unii nie jest partnerem do rozmowy dla żadnego z przywódców wcześniej wymienianych krajów. Nie chodzi tylko o to, że Rosja sobie wybiera. Wszyscy to tak traktują. To jest rzeczywistość, którą możemy lubić lub nie lubić, ale powinniśmy ją brać pod uwagę.

Kilka zdań na temat naszego postrzegania i stosunku do Unii Europejskiej. Uważam, że nie należy mylić antyeuropejskości czy antyunijności w rozumieniu Polexit z krytyką UE w jej obecnym stadium rozwoju, który ewidentnie zmierza do budowania neomarksistowskiej, totalitarnej federacji globalnej IV Rzeszy Niemieckiej. To jest dzisiejszy konstrukt dominujący. Są na to dowody w postaci inspirowanego przede wszystkim Manifestem z Ventotene projektów federalizacji Unii Europejskiej. To można przeczytać: państwa narodowe w takim konstrukcie mają być pozbawione kompetencji w zakresie polityki zagranicznej, polityki obronnej, polityki granic, polityki zdrowotnej, polityki edukacyjnej i oczywiście podatkowej. Mają zrzec się podstawowych atrybutów suwerenności. Oczywiście można dyskutować, czym jest współcześnie rozumiana suwerenność, jakie ma atrybuty, jak można ją zdefiniować przy tym, jak oddaje część kompetencji do traktatu międzynarodowego i co jest takim *corem* –

sercem tego pojęcia. Generalnie ten projekt federalizacji oznacza koniec Europy, o której mówimy.

Przyszłość. Uważam za fałszywy paradygmat Europy od Władywostoku po Lizbonę, bo to jest paradygmat *de facto* współpracy Niemiec i Francji z Rosją i Chinami, który demoluje Europę, zwłaszcza Europę Środkowo-Wschodnią i Skandynawię. Po prostu ją anihiluje jako podmiot w grze geopolitycznej.

Co widzę optymistycznego? Jeżeli chcemy mówić o przyszłości i o koncepcjach, warto się zastanowić nad procesem, który uruchomiła wojna na Ukrainie, ale który był obserwowany już wcześniej. Mianowicie funkcjonowanie wewnątrz NATO formatów wewnętrznych, czyli koalicji chętnych, jak to się publicystycznie nazywa. Myślę, że to zjawisko zaczyna również istnieć w przestrzeni Unii Europejskiej, chociażby w postaci formatu Międzymorza czy Trójmorza. Istnieje możliwość i tendencja, aby w ramach tych struktur budowane był bloki czy formaty współpracy wewnętrznych tychże koalicji chętnych. Koncepcja Trójmorza taką koncepcją jest. Jeśli chciałbym widzieć optymistycznie przyszłość i rozwój Unii Europejskiej, jest on warunkowany zwycięstwem szeroko rozumianego świata euroatlantyckiego, który współpracuje z Japonią, Australią, Koreą Południową i Indiami, w kontekście konfliktu o to, czy uda się Chinom i Rosji przebić strategiczne okrążenie *heartlandu*, żeby użyć definicji sir Halforda Mackindera, w konflikcie z mocarstwem morskim, którym są Stany Zjednoczone. Przyszłość Europy od tego zależy i szansą Europy na rozwój jest tylko to, aby ten euroatlantycki, szeroki układ utrzymać i dopełnić. W tym kontekście widzę pozytywny scenariusz polegający na tym, że absurdalny i totalitarny projekt federalizacji budowy i powrotu Niemiec do dominującej roli w Europie zostanie zatrzymany, ponieważ Niemcy myślą w kategoriach tego, że mają szklany sufit, jeśli chodzi o swój rozwój w ramach obecnej Unii Europejskiej i jedyną realnie realizowaną koncepcją jest koncepcja wypchnięcia Stanów Zjednoczonych i porozumienia się z Rosją i Chinami.

Jerzy Wawrowski: Poszerzenia bazy rozwojowej.

Andrzej Anusz: Tak. Istnieje inny model rozwoju wewnątrz Unii Europejskiej, który zakłada na przykład budowanie wewnętrznych segmentów, z których

pierwszym byłby segment Europy Środkowo-Wschodniej ze Skandynawią, do którego zaliczyłbym także w przyszłości Unii, (a bliżej jako NATO) Ukrainę, państwa bałkańskie. To jest sytuacja, w której wojna ukraińska jest tak naprawdę przede wszystkim wojną o to, czy Europa Środkowo-Wschodnia uzyska, czy utrzyma poziom gracza geopolitycznego, czy też będzie tylko przedmiotem rozgrywki. Drugi obszar to jest obszar centralny – RFN, Francja lub nie, Beneluks, Węgry, Chorwacja. Trzeci zaś to Francja, Hiszpania, Włochy, Grecja, Portugalia. Myślę, że zbilansowanie i uzgodnienie interesów w tych formatach wewnętrznych, przy poszanowaniu zachowania suwerenności państw narodowych, co jest warunkiem niezbędnym, daje w przyszłości szanse Europie bycia realnym partnerem dla Stanów Zjednoczonych i innych graczy geopolitycznych. To jest element filozofii, któremu ja się przeciwstawiam, że albo Unia Europejska, albo Rosja. To jest całkowicie fałszywy paradygmat, wynikający z myślenia podległościowego, żeby nie powiedzieć niewolniczego. Potrzebny nam jest patron, bo bez niego nie damy rady – to jest myślenie, które sprzeciwia się tym aspiracjom, z którymi się zgadzam, oceniam sytuację podobnie jak mówił Michał o tym, że wyrośliśmy już z etapu rozwoju zależnego, w sensie mentalnym i społecznym.

Na koniec, odnosząc się do wypowiedzi Mirka na temat Rzepeckiego, chciałbym opowiedzieć anegdotę. Uważam – to jedna uwaga – że ten facet ma na sumieniu „Marcysię", czyli Emilię Malessę. Natomiast anegdotę o Rybickim zasłyszałem od Maćka Strzembosza, którą opowiadał mu ojciec Tomasz Strzembosz, który się z Rybickim dobrze znał. Chodzi o relacje Rybickiego z UB. Oczywiście był inwigilowany, Mirek to wszystko opisał, i był w jakimś sensie przez ubeków nękany. Ale doprowadził w tych relacjach do takiej sytuacji, że ciągle ich wychowywał i uczył ich podstawowych form kultury. Pod koniec zaczęli już nawet – wobec tego – do niego dzwonić: „Panie Józefie, czy jesteśmy w stanie się spotkać dzisiaj, na przykład w niedzielę rano?". Na co odpowiadał: „Nie, nie, proszę panów. Nie jesteśmy się w stanie spotkać, możemy się spotkać w poniedziałek w południe, bo będę właśnie po kąpieli, będę czysty i wtedy będą państwo mogli pocałować mnie w dupę".

[...] Ukraina ma więcej mieszkańców, pod tym względem jest zdecydowanie od nas mocniejsza. Co się dzieje? Dzieje się to, że Polska jest w NATO,

w UE, a Ukraina nie jest w NATO, nie jest w UE, jest ofiarą imperialnej Rosji. Wychodziliśmy z podobnego punktu widzenia, nawet Polska być może gospodarczo ze słabszej pozycji. Została przerobiona historyczna programowa praca formacyjna przez Kościół katolicki, o czym mówiliśmy i przez środowiska opozycyjne, różne ugrupowania, przez „Solidarność". Cała ta praca została na tyle wykonana, że Polska przez te kilka sprzyjających lat zdążyła przystąpić do NATO i została przyjęta do UE. Ta praca została wykonana, to zostało odrobione i moim zdaniem, powinniśmy być z tego dumni. O ile w naszej trudnej historii czasami te wielkie, ciężkie prace nie przynosiły takich efektów, to tu możemy powiedzieć, że jak wyjdziemy z symbolicznego dokumentu z 1979 roku oraz wychodzimy z listu biskupów polskich do biskupów niemieckich jako punktu odniesienia, to to zostało na tyle przerobione, że zdążyliśmy. Dzisiaj patrzymy, gdzie jest biedna Ukraina, której pomagamy jak możemy, a gdzie my jesteśmy. Mamy poczucie, że jesteśmy jakoś zabezpieczeni, żyjemy w UE, jesteśmy w NATO. Jet to pozytywne zamknięcie pewnego procesu historyczno-politycznego. Oczywiście on cały czas trwa, bo UE jest procesem i w tym procesie Polska dalej będzie brała udział.

Andrzej Chyłek: W nawiązaniu do Andrzeja chciałem powiedzieć, że niektóre państwa tak jak Ukraina czy Białoruś przegrały swoją szansę wcześniej.

Mirosław Lewandowski

MIĘDZY SOWIETAMI A NRD – KWESTIE EUROPEJSKIE W KONCEPCJACH LESZKA MOCZULSKIEGO I W PROGRAMIE KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ W LATACH 1979–1991 (Z WYŁĄCZENIEM TEMATYKI MIĘDZYMORZA)

Mirosław Lewandowski: Andrzej zaczął od lat 70., ja zacząłbym od XIX wieku, powstań, Legionów, września, AK. To wszystko zaprocentowało, że znaleźliśmy się tu, gdzie jesteśmy. Oni się bili, przelewali krew i przegrywali, ale dzisiaj jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. A Ukraina niepodległa, pomijając dwa państwa ukraińskie przez rok, powstała dopiero w 1991 roku.

Andrzej Chyłek: I niestety poszła złą drogą.

Mirosław Lewandowski: Stąd Niemcom tak łatwo jest ich zrobić w konia jakąś obietnicą, podpuścić ich. Bo oni są młodym narodem.

Andrzej Chyłek: To była konsekwencja ich negatywnego wyboru.

Andrzej Anusz: Nie do końca mogli tak wybierać.

Jerzy Wawrowski: O tym, który kraj wchodzi do NATO i UE decydowało porozumienie na linii Waszyngton – Moskwa.

Andrzej Anusz: Nie do końca się z tym zgodzę. Wykorzystaliśmy dobrą koniunkturę.

Jerzy Wawrowski: To prawda, tylko jest kwestia tego rodzaju, że na wejście Ukrainy do UE i NATO nie było zgody.

Andrzej Anusz: I tak decyzja Polski jako pierwszego kraju uznającego ich suwerenność była wtedy wyjściem przed szereg. Słusznym i potrzebnym, ale jednak.

Ks. Stanisław Tylus: Mieliśmy kiedyś takiego profesora, który na wykłady chodził z wypchaną teczką. Na pytania odpowiadał, że „kto nie ma talentu, ma dużo sprzętu". Dożył 102 lat.

Mirosław Lewandowski: Referat chciałbym zacząć od tego, że Misiek mi powiedział, mam mówić: „Polska polityka zagraniczna w programach środowisk niepodległościowych, w tym KPN". Ja pozwoliłem sobie troszeczkę zmodyfikować ten temat, do którego zostałem wynajęty i na który nie miałem żadnego wpływu. Po pierwsze – „w programach środowisk niepodległościowych". W pewnym momencie może nawiążę do polskiego porozumienia niepodległościowego, natomiast jeżeli chodzi o LDP „N", z mojej pamięci, z lat 80., oni mieli super opracowania teoretyczne. Program Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość" warto byłoby omówić, bo jest bardzo ciekawy, ale na dzisiaj nie mam przygotowanego tego tematu. Myślę, że najpierw trzeba by ich bibułę opracować, która była bardzo nieczytelna i była bardzo złej jakości.

Andrzej Anusz: To jest pretensja do mnie.

Mirosław Lewandowski: Moim zdaniem, gdyby uruchomić program i zebrać tę bardzo bogatą ich myśl polityczną, gdyż mimo że to było bardzo nieczytelne, ja to czytałem „od dechy do dechy". To było po prostu intelektualnie na bardzo wysokim poziomie. To, że oni sami nie dbają o swoje dziedzictwo i nie robią nic, żeby to zebrać – myślę, że trzeba by ich wyręczyć, bo szkoda ich wysiłku intelektualnego, żeby on poszedł w niepamięć. W każdym razie ja dzisiaj tego nie zrobię.

Myślę, że dobrze byłoby opracować myśl polityczną Solidarności Walczącej. Jak mówimy o myśli niepodległościowej, tutaj akurat nie uważam, żeby to było intelektualnie na wysokim poziomie. Pamiętam rozbrojeniowe teksty Kornela z pierwszej połowy lat 80. To były teksty raczej intelektualnie kompromitujące, dotyczące wycofania broni radzieckiej, a przede wszystkim broni amerykańskiej z Europy Środkowej. Był premier z Solidarności Walczącej i oni mieli wówczas nieograniczoną pulę pieniędzy. Dziwię się, że nikt nad myślą polityczną Solidarności Walczącej nie popracował.

Myślę, że jeśli chodzi o środowiska niepodległościowe, to KPN pod względem finansowym była chyba najbiedniejsza. LDP „N" w ogóle nie ma, ale w porównaniu do PPN i SW, środowisko KPN jest najbiedniejsze z racji tego, że nigdy nie uczestniczyło we władzy i nie miało dostępu do poważnych pieniędzy publicznych. Jednak nie mamy się czego wstydzić, jeżeli chodzi o teoretyczne opracowania. Sądzę, że braci z LDP „N" należałoby wyręczyć, a koledzy z Solidarności Walczącej muszą sami zadbać o swój dorobek.

To będzie pierwsza modyfikacja tematu referatu. To nie będzie o „programach środowisk niepodległościowych, w tym KPN", to będzie o KPN.

To będzie o KPN i to będzie o Leszku Moczulskim. Wprawdzie, parafrazując znane zdanie na temat Ludwika XIV, można byłoby powiedzieć, że Konfederacja Polski Niepodległej to Leszek Moczulski. Nie byłoby to 100 proc. prawdy, ale byłoby w tym dużo prawdy, zwłaszcza jeżeli chodzi o program...

Jerzy Wawrowski: Włodzimierz Majakowski: „Mówimy partia – myślimy Lenin, mówimy Lenin- myślimy partia"...

Mirosław Lewandowski: Jeżeli chodzi o działalność, to oczywiście nie można sprowadzić KPN-u tylko do Leszka Moczulskiego, ale jeżeli chodzi o program, to tu wpływ Leszka Moczulskiego jest olbrzymi. A ponieważ będę chciał mówić o analizach Leszka Moczulskiego dokonywanych jeszcze ponad 10 lat przed utworzeniem KPN, to w tym zadaniu, który Misiek mi zlecił, potrzebna będzie druga modyfikacja. To będzie nie tylko o KPN, ale to będzie o Leszku Moczulskim i o KPN.

Trzecia sprawa. W temacie miała być polityka zagraniczna. Podmiotem polityki zagranicznej jest państwo. Skoro mamy mówić o okresie, kiedy była jeszcze Polska Rzeczpospolita Ludowa, w tym okresie KPN żadnego wpływu na politykę zagraniczną państwa nie miała. Myślę, że trudno byłoby mówić o polityce zagranicznej w programie KPN. Możemy mówić o kwestiach międzynarodowych w programie KPN, ale nie o polityce zagranicznej. Wprawdzie w miarę jak ta niepodległość się zbliżała, tam się pojawiało coraz więcej elementów, które dotyczyły polityki zagranicznej niepodległego państwa i oczywiście że stosunek KPN i Leszka Moczulskiego do polityki zagranicznej niepodległego państwa był kontynuacją poglądów na kwestie międzynarodowe, które były głoszone wcześniej, ale jednak nie będę dziś mówić o polityce zagranicznej (w koncepcjach Leszka Moczulskiego i w programie KPN), ale będę mówił o kwestiach międzynarodowych (w koncepcjach Leszka Moczulskiego i w programie KPN).

Nie o wszystkich jednak kwestiach międzynarodowych, bo wyłączamy Międzymorze. O Międzymorzu mówiliśmy rok temu, więc to jest wyłączone.

Ale gdy popatrzymy na temat całej naszej konferencji, to tam jest mowa o Europie. A więc również nie będę mówił o roli Stanów Zjednoczonych i Chin w koncepcjach KPN i Leszka Moczulskiego. Tutaj zwłaszcza rola Chin była bardzo uważnie obserwowana. Całkowicie od Chin nie uda się abstrahować, ale generalnie tematyką dalekowschodnią, amerykańską czy globalną dzisiaj nie będę się zajmował.

Kwestia ram czasowych. W temacie, który Misiek mi zlecił, ram czasowych nie było, ale ramy czasowe mamy w temacie naszej konferencji. Kwestie międzynarodowe (czy też ściślej – problematyka europejska) w latach 1979-89. Pozwolę sobie powiedzieć o pewnych analizach Moczulskiego i jego publikacjach przed 1979 rokiem (ale to można jakoś zmieścić w tym temacie). Natomiast mój wielki sprzeciw budzi druga data – 1989. Nawet nie dlatego, że będę wychodził daleko poza tę datę (będę się powoływał na dwa dokumenty z 1990 roku).

Mój sprzeciw budzi, być może niesłuszne podejrzenie, że ograniczenie ram czasowych tematu naszej konferencji do 1989 roku jako daty granicznej kryje w sobie taki pomysł, że w 1989 roku Polska odzyskała niepodległość. Względem tego chcę zaprotestować. Zasadniczo nie zgadzam się z tym, że 1989 rok

to jest rok odzyskania niepodległości. Nieco szerzej o tym powiem, ponieważ bardzo leży mi to na sercu.

Rok 1989 jako rok odzyskania niepodległości jest lansowany przez obie strony kontraktu Okrągłego Stołu. Pamiętam – nie wiem, na ile podzielacie moją pamięć – że początkowo mówiło się, że momentem odzyskania niepodległości to był kontrakt Okrągłego Stołu. Rozmowy i podpisanie porozumienia w kwietniu 1989 roku. Potem dość szybko się okazało, że nie bardzo to pasuje, bo Okrągły Stół nie miał na celu doprowadzenia Polski do niepodległości, obie strony nie miały takiego celu. Łagodna, kompromisowa opozycja szła do rozmów po to, żeby zalegalizować Związek Zawodowy „Solidarność" i odbudować ten związek. Co – gdyby im się udało – to w połączeniu z reformami ekonomicznymi, które były w wyniku tych rozmów przeprowadzane, doprowadziłoby do niezłego bałaganu w kraju (tak to nazwę). Na szczęście stronie solidarnościowej nie udało się w wyniku rozmów Okrągłego Stołu doprowadzić do odbudowania silnego związku zawodowego opartego o jedną centralę. Z kolei strona komunistyczna szła do tych rozmów wcale nie po to, żeby zbudować Polskę Niepodległą, tylko po to, żeby wciągnąć „Solidarność" do władzy i żeby po prostu ona zaczęła firmować niezbędne reformy ekonomiczne. Plan był taki, że w wyniku tych rozmów prezydentem będzie Jaruzelski, premierem będzie Kiszczak, a „Solidarność" dostanie dwa czy trzy resorty i będzie firmować wobec zagranicy i wobec społeczeństwa bolesne reformy, które będą tu przeprowadzane. Taki był plan strony rządowej. Żeby ten plan zrealizować, komuniści przy Okrągłym Stole dążyli do tego, żeby elementem rozmów stała się kwestia wyborów sejmowych, któe miały być „niekonfrontacyjne" (czyli miała być jedna wspólna lista, na której mieli być także kandydaci „Sollidarności"). A jakie było stanowisko „Solidarności" wobec wyborów? „Solidarność" piętami się zapierała, żeby broń Boże przy Okrągłym Stole o żadnych wyborach nie było mowy i nie miała najmniejszego zamiaru w tych wyborach uczestniczyć. Jak to się stało, że ostatecznie kontrakt Okrągłego Stołu przewidywał, że odbędą się w PRL (jednorazowo) wybory sejmowe wolne w 35 procentach (w tym sensie wolne, że o 35 procent miejsc w Sejmie będą mogli się ubiegać dowolni kandydaci, którzy zbiorą odpowiednią liczbę podpisów) i że zostanie powołany senat, do którego wybory będą w 100 procentach wolne (w wyżej rozumianym sensie)? To jest

temat na osobną historię, która nie bardzo jest znana, bo temat Okrągłego Stołu i rozmów w Magdalence wbrew pozorom jest nieznany i zakłamany. Ale tak się w końcu stało, że ani jedna, ani druga strona nie chciała tych półwolnych wyborów, a los zrządził, że wynikiem tego kontraktu były właśnie owe półwolne wybory. Oni sobie dość szybko to wszystko uświadomili i potem, w zasadzie do dzisiaj obowiązuje dogmat, że Polska odzyskała niepodległość 4 czerwca, czyli w dniu tych wyborów. Ale przecież wybory do sejmu (a sejm był tu kluczowy) były wolne (w wyżej rozumianym sensie) jedynie w 35 procentach, a po tych wyborach prezydentem wybrany został (również głosami „Solidarności") sowiecki agent Jaruzelski,, a premierem miał zostać szef bezpieki Kiszczak.

Andrzej Anusz: Nie został premierem.

Mirosław Lewandowski: Został premierem, bo wtedy sejm wybierał najpierw premiera, a potem rząd. Wybrał Kiszczaka na premiera, natomiast nie udało się wybrać rządu. Wycofał się, bo nie stworzył rządu. Ale pierwszym premierem po Okrągłym Stole był Kiszczak.

Andrzej Anusz: Był desygnowany.

Mirosław Lewandowski: Nie było pojęcia desygnacji wtedy.

Andrzej Anusz: Jak to nie? Dostał misję utworzenia rządu, która się nie powiodła, w związku z czym premierem nie został.

Mirosław Lewandowski: Rządu, ale był premierem.

Andrzej Anusz: Nie, nie był premierem.

Mirosław Lewandowski: Musimy sprawdzić. Wedle mojej wiedzy Kiszczak był premierem[3]. Potem powstał rząd Mazowieckiego, który był rządem, ale nie

[3] Na 4 posiedzeniu Sejmu X kadencji, 2 VIII 1989 roku, Czesław Kiszczak został wybrany

koalicji „Solidarności" z ZSL i z SD, tylko był rządem Wielkiej Koalicji („Solidarność" z ZSL, SD i PZPR). Kluczowe resorty (obrona narodowa – Florian Siwicki, sprawy wewnętrzne – Czesław Kiszczak), były w rękach PZPR, która rozwiązała się dopiero w styczniu 1990 roku. A SB rozwiązano jeszcze później – w kwietniu 1990 roku.

Wojciech Frazik: 31 lipca skończyło się SB.

Mirosław Lewandowski: No to jeszcze gorzej. Jaruzelski był prezydentem do grudnia 1990 roku. Związek Radziecki istniał do grudnia 1991 roku. Jeszcze w sierpniu 1991 roku był pucz Janajewa. W momencie, gdy w Polsce prezydentem był Lech Wałęsa, stacjonowały tu wojska sowieckie. SB rozwiązano kilka miesięcy przed wyborem Wałęsy, ale nie wprowadzono opcji zerowej. Jednym słowem, nie ulega wątpliwości, moim zdaniem, że Polska odzyskała niepodległość dopiero w październiku 1991 roku i wielu z nas brało w tym udział, bo kandydowaliśmy i zostaliśmy wybrani w tych pierwszych wolnych wyborach do Sejmu. Pierwszym premierem niepodległej Polski był więc Jan Olszewski, a nie Tadeusz Mazowiecki – dla mnie to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Tym bardziej, że we wrześniu 1991 roku parafowano układ ze Związkiem Radzieckim ws. wycofania w Polski Armii Czerwonej. A Związek Radziecki rozpadł się w grudniu 1991 roku...

Andrzej Anusz: To był maj 1992.

---

przez Sejm bezwzględną większością głosów (237 – za, 173 – przeciw, 10 – wstrzymujących się) na stanowisko Prezesa Rady Ministrów. Jednocześnie Sejm powierzył mu przedstawienie wniosków, co do składu rządu (*Sprawozdanie stenograficzne z 4 posiedzenia Sejmu PRL, 31 lipca, 1 i 2 sierpnia 1989 r.,* s. 218-219). Zgodnie z art. 32 ust. 1 obowiązującej wówczas Konstytucji PRL z 22 VII 1952 r. (ze zmianami) Sejm najpierw powoływał premiera (na wniosek Prezydenta PRL), a następnie – na jego wniosek – członków rządu. Zob. też *Czesław Kiszczak wybrany premierem* oraz *Prezydent przyjął nowego premiera,* „Dziennik Polski" z 3 VIII 1989 r., s. 1, 4. Kiszczakowi nie udało się jednak sformować rządu, gdyż – pod wpływem protestów społecznych, w tym KPN-u – Wałęsa podjął działania w celu zbudowania alternatywnej koalicji, a klub ZSL cofnął swoje poparcie dla Kiszczaka. W rezultacie Kiszczak 14 lub 15 VIII 1989 r. podał się do dymisji.

Mirosław Lewandowski: Podpisany był w maju, w czasie słynnej wizyty Wałesy w Moskwie, ale parafowano go (czyli zakończono negocjacje), we wrześniu 1991 roku...

Andrzej Anusz: Iwo Byczewski go parafował na 2 miesiące przed podpisaniem przez Wałesę.

Mirosław Lewandowski: Sprawdzałem, jaką się podaje datę parafowania tego układu. Układ został parafowany…

Andrzej Anusz: …wiosną 1992.

Mirosław Lewandowski: Moim zdaniem we wrześniu 1991 roku, a w maju 1992 roku, po słynnej awanturze, Wałęsa podpisał.

Andrzej Anusz: Nie. Parafowanie było dużo później, bo podpisanie układu i to, że Kostrzewa-Zorbas, który był jednym z negocjatorów, wywrócił stolik (zresztą nie tylko on) i zaczął mówić o protokole dodatkowym oraz o tym, co Iwo Byczewski *de facto* parafował, to były najwyżej tygodnie od podpisania w Moskwie.

Mirosław Lewandowski: Nie wykluczam[4]. Parafowanie nie oznacza podpisania, tylko zakończenie negocjacji.

Andrzej Anusz: Nie. Parafowanie oznacza zgodę na tekst, który może być jeszcze zmieniony.

Mirosław Lewandowski: Brałem to ze strony internetowej IPN i daję sobie uciąć rękę, że parafowanie układu o wycofaniu wojsk sowieckich z Polski…

[4] Obydwaj nie mieliśmy racji. Układ parafowano w Moskwie 26 października 1991 r. *Układ o wycofaniu wojsk radzieckich w Polski. 2 lata na powrót do domu.* Dziennik Polski" z 28 X 1991 r., s. 1.

Andrzej Anusz: Nie. To były trzy rzeczy.

Mirosław Lewandowski: „W październiku 1991 r. w Moskwie doszło do parafowania polsko-sowieckiego porozumienia w sprawie wycofania wojsk sowieckich z Polski. Postanowiono wówczas, że do ostatniego kwartału 1993 r. kraj opuszczą wszystkie rosyjskie jednostki. Proces zakończył się 18 września 1993 r., kiedy Polskę opuścił ostatni rosyjski żołnierz stacjonujący nad Wisłą w ramach Północnej Grupy Wojsk (PGW)”[5].

Andrzej Anusz: Wejdę w słowo, bo to jest bardzo istotne. Ty mówisz o kwestiach prowadzonych wcześniej negocjacji nad układem o wycofaniu wojsk. Doktryna Falina-Kwicińskiego, która wtedy obowiązywała w Rosji, o kraju bliskiej zagranicy, jakim jest Polska, doprowadziła do postawienia przez Rosjan warunków, że układ polsko-rosyjski może być podpisany wtedy, kiedy jednocześnie będzie podpisany układ o wycofaniu wojsk i protokół dodatkowy do tego układu. Ja mówię o parafowaniu protokołu dodatkowego, które zamykało ten cały proces. Parafowanie całości nastąpiło kilka tygodni przed ostatecznym podpisaniem w Moskwie.

Mirosław Lewandowski: Rozumiem, z jakich przesłanek wynika, że chcesz to przesunąć na 1992 rok, natomiast jeżeli szukamy momentu odzyskania przez Polskę niepodległości, to tym momentem, moim zdaniem, jest październik 1991. Wtedy mamy parafowanie układu z Moskwą na temat wycofania wojsk sowieckich, z tym że tekst tego porozumienia potem jeszcze podlegał pewnym modyfikacjom. W każdym razie perspektywa wycofania obcych wojsk z terytorium Polski została zarysowana. Mamy wybory demokratyczne do sejmu i do senatu, prezydentem jest Lech Wałęsa, a za 2 czy 3 miesiące rozpadnie się Związek Radziecki. Moim zdaniem jest rzeczą oczywistą, że jeżeli w końcu zdecydujemy się ustanowić święto, które będzie odpowiednikiem 11 listopada,

[5] Strony IPN, z któej zacytowałem ten tekst w 2023 r. już nie ma. Natomiast tekst ten jest dosłownie przytoczony, choć nie jako cytat, na stronie https://wszystkoconajwazniejsze.pl/prof-marek-kornat-dlaczego-wojsko-rosyjskie-opuscilo-polske-dopiero-w-1993/ [dostęp 30 VI 2026 r.].

to znaczy święto odzyskania po raz drugi niepodległości, to to święto zostanie wyznaczone na jesień 1991 roku. Natomiast rok 1989, który jest nam suflowany przez obie strony Okrągłego Stołu, nie ma szansy się utrzymać. Natomiast zgadzam się, że Okrągły Stół, trochę wbrew intencjom z obu stron, i wybory 4 czerwca 1989 roku też, w zasadzie wbrew intencjom obu stron, miały bardzo duże znaczenie.

Andrzej Anusz: Suweren przemówił.

Mirosław Lewandowski: Ale mówienie o odzyskaniu niepodległości w roku 1989 to jakby mówić, że Polska po I wojnie odzyskała niepodległość na mocy Aktu 5 listopada. Akt 5 listopada niewątpliwie był ważnym krokiem, natomiast niepodległość nastąpiła 2 lata później.

Andrzej Anusz: Tu się zgadzamy.

Mirosław Lewandowski: 4 czerwca 1989 roku był niewątpliwie ważnym krokiem, ale niepodległość nastąpiła 2 lata później i myślę, że choćby z tego powodu, że wielu z nas weszło do sejmu, a potem powstał rząd Jana Olszewskiego, którego część z nas popierała (akurat wszyscy, którzy weszliśmy do sejmu, głosowaliśmy za Janem Olszewskim, za całym rządem już nie wszyscy, bo to wtedy było rozdzielone: osobno głosowało się za powołaniem premiera, a osobno – za powołaniem rządu). W każdym razie przy bliższym wejrzeniu, temat, który Misiek mi zlecił, nie brzmi: „Polska polityka zagraniczna w programach środowisk niepodległościowych, w tym w KPN", ale brzmi (dodałem jeszcze kilka słów na początek): **„Między Sowietami a NRD – kwestie europejskie w koncepcjach Leszka Moczulskiego i w programie Konfederacji Polski Niepodległej w latach 1979–1991, z wyłączeniem tematyki Międzymorza"**.

Jeżeli więc państwo przyszli dzisiaj wysłuchać tamtego referatu, to jesteśmy w sytuacji, jak na filmie, na który poszedłem, gdy byłem nieletni, bo kolega mi powiedział, że jest świetny szwedzki film pornograficzny pt. „Baba na żołnierzu". A potem się okazało, że nie szwedzki, tylko radziecki, nie por-

nograficzny, tylko panoramiczny i nie „Baba na żołnierzu", tylko „Ballada o żołnierzu".

[Wesołość na sali]

Andrzej Anusz: To już lepsze niż seminarium gejowskie.

Krzysztof Laga: Co wcale nie znaczy, że się tak nie skończy.

Jerzy Wawrowski: Skończy się tak, że będzie żołnierz na żołnierzu.

Andrzej Anusz: Mam pytanie. Sprecyzowałeś temat, jakie będą proporcje pozostałej części referatu?

Mirosław Lewandowski: Spróbuję zrobić to tak jak w filmach amerykańskich, w których początek jest szczegółowy i realistyczny, a potem akcja wartko się dzieje. W zasadzie kwestie międzynarodowe w czasach PRL-u, nawet w latach 70., były dość słabo rozkminiane. Na tym tle dokument PPN, który Andrzej odczytał, jeszcze dobitniej wybrzmiał. Rzeczywiście kwestiami międzynarodowymi zajmował się Kościół. Natomiast jeżeli chodzi o opozycję, zwłaszcza opozycję naprawiacką – mam na myśli KOR i okolice – wydaje mi się, że tam kwestie międzynarodowe, jeżeli w ogóle, był analizowane bardzo słabo.

Andrzej Anusz: Rybicki i analiza Aktu OBWE w kontekście legalności powstania KPN.

Mirosław Lewandowski: Być może. Gdyby ktoś przygotował referat, jakie były koncepcje KOR-owskie na temat kwestii międzynarodowych. Ja nie robiłem badań, opieram się tylko na swojej pamięci. Wydaje mi się, że opozycja naprawiacka kwestiami międzynarodowymi się nie zajmowała. Natomiast bardzo dobrze pamiętam, że w czasach PRL-u kwestie międzynarodowe sprowadzały się do trzech dogmatów, które w zasadzie był powszechnie przyjmowane przez społeczeństwo.

Dogmat pierwszy mówił, że Związek Sowiecki jest wszechpotężny, wszechwładny i jeżeli tylko ktokolwiek przeciwko niemu się zbuntuje, to Związek Sowiecki będzie z całą siłą i mocą interweniował. Na dowód tego był rok 1956 na Węgrzech oraz Czechosłowacja w 1968 roku. Przytoczę fragment mojej rozmowy z prof. Jerzym Wiatrem – w latach 80. dyrektorem Instytutu Podstawowych Problemów Marksizmu-Leninizmu, człowiekiem niewątpliwie dobrze poinformowanym. Wydaje mi się, że pogląd, który on przedstawia, był typowy dla 95 proc. społeczeństwa. Wszyscy tak myśleli.

Miałem obawy dotyczące zachowania Moskwy – mówi Wiatr – *obawy te bardzo wzrosły w 1968 roku. Do 1968 roku, czyli przez 12 lat, licząc od 1956 roku, byłem przekonany, że jeżeli nam się uda uniknąć wybuchu fizycznego, który miał miejsce na Węgrzech, to interwencja nam nie grozi. Tak uważałem bardzo długo. W 1968 roku interwencja w Czechosłowacji w tym sensie była dla mnie szokiem, że w odróżnieniu od Węgier, w Czechosłowacji nie było żadnych aktów przemocy. To była pokojowa zmiana. I na tę pokojową zmianę Moskwa zareagowała interwencją*[6].

Słowem to, że oni będą interweniować, uważano za pewnik. I nie podlegało to jakiejkolwiek dyskusji ani w kręgach kościelnych, ani w kręgach świeckich, jeżeli chodzi o pozycję naprawiacką. Ale jeśli chodzi o opozycję niepodległościową, to PPN – biorąc program PPN, dokument bardzo wczesny, z maja 1976 roku – to w temacie stosunków z Rosją jest mowa o krzywdach, że trzeba to oprzeć na prawdzie, że prawdziwa przyjaźń musi się opierać na innych wartościach, ale kwestia tego, czy oni będą interweniować, czy nie, jest ominięta szerokim łukiem. Oni nie próbują nawet z tym problemem się zmierzyć czy polemizować, że do interwencji sowieckiej może dojść. A przecież, jeżeli mówimy o niepodległości, ale także, gdy mówimy o naprawianiu PRL, to to zagadnienie było podstawowe. Jeżeli oni w Czechosłowacji nie zgodzili się na naprawianie socjalizmu i brutalnie zainterweniowali, to to było podstawowe pytanie, dlaczego mają się zgodzić czy to na niepodległość, czy na naprawianie PRL? To nas całkowicie paraliżowało i wiązało nam ręce.

[6] Mirosław Lewandowski, *Krótki kurs realizmu politycznego. Rozmowa z Jerzym Wiatrem* [w:] *Rewolucja bez rewolucji Leszka Moczulskiego z perspektywy 40 lat*, OrszulikWarszawa 2020, s. 160-161.

Wydaje mi się, że przynajmniej do 13 grudnia 1981 roku KPN i Leszek Moczulski to była jedyna grupa polityczna w kraju, która z tym problemem się mierzyła i która kwestionowała możliwość interwencji. Żadna inna grupa polityczna tego dogmatu, który nam wiązał ręce, nie próbowała podważyć. Moim zdaniem PPN też tego nie zrobiło. Nie pamiętam jak było z LDPN po 1982 roku. Ponieważ to już było po publikacjach Moczulskiego, wydaje mi się, że oni odnosząc się do Moczulskiego, temat wałkowali.

Niemcy. Temat niemiecki w Polsce traktowany był jednoznacznie. Kwestia zjednoczenia Niemiec – w liście biskupów nic o tym nie było, choć ten list otwierał perspektywę zjednoczenia. Natomiast w dokumencie PPN-u w 1979 roku była postawiona ta kwestia.

Andrzej Anusz: Były nawet dokumenty.

Mirosław Lewandowski: Ja mam przed sobą dokument PPN-u pt. „Polska a Niemcy" (nawet wcześniejszy, bo z maja 1978 roku). Najder z Bartoszewskim byli współautorami. Dokument jest dość obszerny. Kluczowa rzecz jest postawiona tak:

Zjednoczenie się Niemiec w ramach wspólnoty europejskiej sprawiłoby, że Polska uzyskałaby bezpośrednią styczność z Zachodem, z którym jest związana całą swoją tradycją i współczesnością kulturalną, możliwość współpracy ze wspólnotą europejską, wreszcie możliwość autentycznego wyboru sojuszów i związków gospodarczych.

Innymi słowy oni mówią: zjednoczenie Niemiec jest dla nas korzystne. Potem jednak mówią tak:

Polacy mogliby więc uznać, że zjednoczenie Niemiec leży w interesie polskim pod dwoma warunkami.

Pojawia się główna kwestia, o której mówił ksiądz Stanisław i Andrzej. Pierwsza – bezwzględne uznanie przez Niemcy naszej granicy zachodniej na Odrze i Nysie. Druga – zasadnicza integracja Niemiec w ramach wspólnoty europejskiej. Bo tu była obawa, że jeżeli Niemcy nie będą zakorzenione w Europie, to znowu im odbije i zrobią nam IV Rzeszę.

Andrzej Anusz: Rosja jak najdalej, Ameryka blisko, Niemcy…

Mirosław Lewandowski: Jak wyglądała kwestia niemiecka traktowana jako dogmat? To, co mówił PPN ten dogmat przełamuje, ale jak to wyglądało w oficjalnej propagandzie (w dużej mierze – w koncepcjach polityki naprawiackiej)? Było to potraktowane jako pewnik, że Niemcy dążą do rewizji granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, że prawnie mają drogę otwartą. Bo, przypominam, że układ poczdamski, który nie był umową międzynarodową, był spisany na piśmie, w przeciwieństwie do Jałty i Teheranu, które nawet nie zostały spisane na piśmie...

Krzysztof Laga: Traktatem pokojowym był Poczdam.

Mirosław Lewandowski: Poczdam nie był traktatem pokojowym. Poczdam nie był też umową międzynarodową...

Andrzej Anusz: Nie.

Mirosław Lewandowski: ...ale przynajmniej był spisany. Natomiast Teheran – przypomnę – Churchill z Rooseveltem na serwetce, na jakiej Majakowski pisał wiersze, pisali sobie: Grecja: 80 proc. Wielka Brytania, 20 proc. ZSRR. Jugosławia: 80 proc. ZSRR, a 20 proc. Wielka Brytania. Takie były ustalenia w Teheranie. W Poczdamie były przynajmniej spisane, ale to nie była umowa międzynarodowa. Stroną układu w Poczdamie nie były Niemcy. Powiedziane było jasno, że temat granicy będzie ustalony w traktacie pokojowym. Jak wiemy, w 1947 roku w Paryżu podpisano traktaty pokojowe z pięcioma państwami, w 1951 roku podpisano traktat z Japonią w San Francisco, w 1955 r. podpisano traktat państwowy (który nie był traktatem pokojowym) z Austrią, a traktat pokojowy z Niemcami nie został podpisany do dzisiaj. W tym sensie Piotrek miał rację, gdy mówił o orzeczeniach Trybunału Konstytucyjnego. W tym sensie nawet obecnie po zawarciu układu warszawskiego w 1970 roku (Gomułka – Brandt) i po zawarciu układu granicznego, który był elementem dobrej współpracy Mazowiecki – Kohl...

Andrzej Anusz: 1990 rok.

Mirosław Lewandowski: ...sprawa granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej prawnie jest otwarta.

Andrzej Anusz: Tak jest.

Mirosław Lewandowski: Z tego powodu nie ukrywam, że kiedy Jarosław Kaczyński podnosił sprawę żądania reparacji wobec Niemiec, słuchałem tego ze zgrozą. Na szczęście ze strony niemieckiej nikt się nie odezwał.

Głos z sali: Na razie.

Mirosław Lewandowski: Na razie. Bo za chwilę jakiś niemiecki polityk może powiedzieć: „Jak wy mówicie o reparacjach, to my zaczniemy mówimy o granicy".

Andrzej Anusz: Przepraszam, nieprawda. Odezwał się w swoim wykładzie uniwersyteckim, w Czechach, w Pradze kanclerz – za przeproszeniem – „Stolz". Wprost to powiedział.

Mirosław Lewandowski: Scholz?

Krzysztof Laga: *Stolz* po niemiecku oznacza dumny.

Mirosław Lewandowski: W każdym razie w PRL obawa o nietrwałość granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej była traktowana jako dogmat, zwłaszcza za Gomułki. Hupka, Czaja, wszyscy traktowali, że jest oczywiste, że oni chcą nam te Ziemie Odzyskane odebrać. Czyli całe Mazury, Gdańsk, całe Pomorze, Szczecin, Gorzów Wielkopolski, cały Dolny Śląsk z Wrocławiem, Jelenią i Zieloną Górą i większą część Górnego Śląska z Opolszczyzną. To było traktowane jako rzecz oczywista.

I to było uzupełnienie dogmatu pierwszego. Dogmat pierwszy mówił: Nie myślcie, Polacy, nie tylko o niepodległości, ale nawet o próbie poprawiania PRL-u, bo Sowieci będą interweniować, ale pamiętajcie też o tym, że obecność

wojsk sowieckich w Legnicy jest gwarantem waszej granicy na Zachodzie i Północy. „Jeżeli my się stąd wycofamy – mówili Sowieci – to przyjdą tutaj Niemcy, którzy o niczym innym nie myślą, jak tylko, by od nas te ziemie odzyskać". Kwestia niemiecka, dogmat dotyczący niemieckiego rewizjonizmu służył temu samemu, czemu służył dogmat dotyczący interwencji sowieckiej, to znaczy służył wpajaniu Polakom: „Macie zgiąć kark i macie być grzeczni. Po pierwsze dlatego że jeśli nie, to my tu wejdziemy, po drugie, musicie pokochać tę sytuację, bo bronimy waszych Ziem Odzyskanych". Takie było myślenie sowieckie.

Był jeszcze trzeci dogmat. W latach 70. on oddziaływał już dość słabo – dogmat o przekonaniu o tym, że Związek Sowiecki i cały obóz reprezentuje słuszną ideologię sprawiedliwości społecznej, a na Zachodzie jest zgniły kapitalizm, który się opiera na wyzysku człowieka przez człowieka.

To były te trzy dogmaty. Zasługą Moczulskiego i KPN, a w mniejszym zakresie też PPN, jest to, że została podjęta próba wysiłku intelektualnego, żeby z tymi dogmatami polemizować. Nawet nie z tym trzecim, bo Polacy oglądali filmy zachodnie, jeździli na Zachód i dobrze wiedzieli, że chcą żyć w zachodnim „systemie wyzysku człowieka przez człowieka", bo po prostu tutaj wszystkiego brakowało. Ale pierwsze dwa dogmaty, czyli dogmat, że interwencja sowiecka jest nieuchronna i dogmat, że Sowieci są jedynym gwarantem naszej granicy na zachodzie i północy, były w zasadzie przez większą część społeczeństwa akceptowane. Na dowód tego chciałbym przytoczyć fragment książki, której jestem wielkim wielbicielem, pallotyna, ks. bpa Alojzego Orszulika, pt. „Czas przełomu", w której ks. Orszulik przeniósł na papier to wszystko, co nagrał dzięki mikrofonowi, prawdopodobnie ukrytemu pod sutanną. W książce bowiem po dwukropku on po prostu cytuje: Macharski, Czyrek, Orszulik. Nikt mi nie powie, że ks. Alojzy Orszulik miał tak fenomenalną pamięć!

Andrzej Anusz: Ale to jest twoja teza, czy ubeków?

Mirosław Lewandowski: Myślę, że bardzo trudno jest z nią polemizować, aczkolwiek ks. Orszulik nigdy się do nagrywania tych rozmów nie przyznał.

Piotr Wójcik: Bo miał współpracowników w służbach PRL.

Mirosław Lewandowski: Czy to było nieuczciwe, że nagrywał? Chcę przytoczyć fragment rozmowy, która się odbyła 6 maja 1988 roku, w ministerstwie spraw wewnętrznych, w bardzo kameralnym gronie: Minister Spraw Wewnętrznych gen. Czesław Kiszczak, Wiceminister Spraw Wewnętrznych gen. Zbigniew Pudysz, ks. Alojzy Orszulik i mec. Jan Olszewski. Dzięki nagraniu mamy szczegółową relację[7]. Jaka była sytuacja? Jest po strajkach kwietniowo-majowych w PRL w 1988 roku (w Gdańsku strajk jeszcze trwał), kiedy przez Episkopat (w porozumieniu z władzami) wysłani zostali negocjatorzy do Nowej Huty (mec. Olszewski i Halina Bortnowska), a do Gdańska (Wielowiejski i chyba Mazowiecki). Każda z tych par zachowała się inaczej. Gen. Kiszczak bardzo krytycznie wyrażał się o misji mediacyjnej w Stoczni Gdańskiej i o Wałęsie, stwierdzając jedynie (raczej złośliwie), że dzięki Wałęsie stocznia musi zostać zreformowana, albowiem jest deficytowa. Ten krytycyzm Kiszczaka brał się stąd, że jak ci negocjatorzy przyjechali do Gdańska, złamać strajk, Wałęsa im powiedział: albo przystępujecie do Komitetu Strajkowego, albo – cytując marszałka senatu Annę Marię – „wypierdalaj", Żukowska – „wypierdalajcie". Jeden z nich wypierdolił, natomiast drugi został w Stoczni, przystąpił do Komitetu Strajkowego. I kiedy 10 maja oni opuszczali Stocznię, widzimy w pierwszym szeregu Mazowieckiego z Wałęsą i innymi. Tak się zakończyła misja mediacyjna w Gdańsku. Trudno się dziwić, że Kiszczak się wściekał. Natomiast misja mediacyjna Olszewskiego i Bortnowskiej w Krakowie, w Hucie im. Lenina zakończyła się zupełnie inaczej, m.in. dlatego że na czele strajku stali ludzie zupełnie nieopierzeni. To nie był cwaniak Wałęsa, tylko to był Szewczuwianiec, przecież zupełny naturszczyk, taki „Jan Himilsbach polskiej polityki". Kiedy przyjechał mediatorzy, to oni uwierzyli, że im nic nie grozi, bo są rozmowy, po czym 3 maja…

Wojciech Frazik: 4 maja.

---

[7] *Notatka ks. Alojzego Orszulika z poufnej rozmowy, 6 V 1988* [w:] ks. bp Alojzy Orszulik SAC, *Czas przełomu,*.

Notatki z rozmów z władzami PRL w latach 1981-1989. Warszawa-Ząbki 2006, s. 333-335.

Mirosław Lewandowski: W nocy z 3 na 4 maja wjechało ZOMO i rozpierdoliło cały strajk w drobny pył. Tam była niesłychanie brutalna interwencja – bicie, klęczenie robotników po wejściu ZOMO. To, co się działo w Hucie, to była nieprawdopodobna brutalność ze strony władz.

Wojtku, mówisz 4 maja, a mam notatkę z rozmów 6 maja, to znaczy niemal natychmiast po powrocie z Krakowa mec. Olszewski i ks. Orszulik rozmawiają z generałami SB: Kiszczakiem i Pudyszem. Oczywiście wszyscy są zbulwersowani tym, co się stało w Krakowie, czyli brutalnością tej interwencji. O czym mówią ci bezpieczniacy?

Gdyby w 1985 roku doszło do interwencji wojskowej naszych sąsiadów, to wojska NRD nigdy by się z naszych ziem zachodnich nie wycofały.

To mówi Kiszczak.

Kardynał Wyszyński w rozmowie z Jaruzelskim powiedział, *iż w sytuacji gdy Polska znajduje się między dwoma murami, tzn. Związkiem Radzieckim a Niemcami, to musi rękami oprzeć się o kraje słowiańskie, a nogami zaprzeć przeciwko krajom germańskim*. Prymas już od 7 lat nie żył, więc nie wiemy, czy tak powiedział, ale tak w tej rozmowie do Orszulika i Olszewskiego mówił Kiszczak.

Pod koniec rozmowy Kiszczak mówił o tendencjach w Niemczech Zachodnich, a także o coraz większych pretensjach w NRD do Szczecina i Świnoujścia.

W układzie poczdamskim granica na tym odcinku nie jest ustalona.

Nawiasem mówiąc to prawda, bo granica była ustalona na Odrze. Nasz jest brzeg wschodni, Niemców – zachodni brzeg Odry. A Szczecin leży na brzegu zachodnim. Szczecin zgodnie z układem poczdamskim powinien być niemiecki. To samo Świnoujście. Tunel, który PiS niedawno zbudował, powinien prowadzić do Niemiec, bo ta wyspa już powinna należeć do Niemiec.

Krzysztof Laga: Dlatego port kontenerowy będzie blokowany w Komisji Europejskiej przez Niemcy. Bo oni nie chcą tego, a to jest ich terytorium.

Mirosław Lewandowski: W każdym razie ten argument użył Kiszczak z tej rozmowy. Na uwagę Olszewskiego, że przecież NRD uznała granicę z Polską w układzie zgorzeleckim z 1950 roku, gen. Kiszczak oświadczył: *To jest tylko papier*.

To wszystko pokazuje, jak powinniśmy się skonsolidować i że należy odłożyć wszystkie spory wewnętrzne. Jednym słowem chcę powiedzieć, że ta rozmowa z 6 maja 1988 roku pokazuje, jak w kontaktach nie na zewnątrz, nie na pokaz, nie do społeczeństwa, tylko w rozmowach kameralnych dwóch na dwóch, czerwoni grali argumentem niemieckim. „Niemcy chcą zrewidować granice więc bądźcie grzeczni!" To jest maj 1988 roku! Bo jak nie, jak Związek Radziecki się stąd wycofa, a my będziemy skłóceni, to Kiszczak mówił, że nie tylko RFN, ale NDR – nasz przyjaciel – zajmie zachodnią Polskę.

Myślę, że udało mi się jakoś te dogmaty, o których mówiłem, pokazać.

Chciałbym przedstawić jeszcze jeden sposób myślenia. Kiedy w 1976 roku były wydarzenia w Radomiu i Ursusie, dziadek posła Platformy Obywatelskiej Romana Giertycha Jędrzej Giertych z Londynu wysyłał listy do różnych ludzi w kraju. Ludwik Muzyczka to dostał i Pluta-Czachowski to dostał, i dostali to dostojnicy kościelni. Co tam pisał Jędrzej Giertych?

Rozmaite siły w świecie rade by przysporzyć kłopotów Rosji. Polska jako największa państwo w sferze wpływów sowieckich, a do tego położone w samym środku Europy, nadawałoby się do tego celu wyśmienicie. Wywołanie konfliktu między Polską a Rosją byłoby w ramach światowej strategii odpowiedzią na lądowanie czołgów sowieckich i piechoty kubańskiej w Angoli. Godną zarazem potęgi amerykańskiej, światowej potęgi żydowskiej i odradzającej się potęgi niemieckiej[8].

Jednym słowem, narodowa demokracja zawsze twierdzi, że jakiekolwiek próby przeciwstawienia się przez Polaków „bratniemu słowiańskiemu narodowi rosyjskiemu" służą interesom światowego żydostwa i interesom germańskim i są związane z grą interesów. Zwróćcie uwagę, że te trzy dogmaty, o których powiedziałem, zostały poddane niewielkiemu liftingowi i w zasadzie obowiązują nadal. Jak słuchamy „Konfiderację" Bosaka czy Brauna, jak słuchamy ludzi z Solidarnej Polski, tam bardzo wyraźnie funkcjonuje ten odór siarki. Oni mówią, że opór Ukrainy przeciwko Rosji jest bezsensowny. Jest oczywiste, że Rosja zajmie Ukrainę. Trzeba zawrzeć pokój, czyli Ukraina ma paść na kola-

[8] J. Giertych, *List otwarty do społeczeństwa polskiego w kraju*, „Opoka" 1976, nr 13, s. 16–21. List doręczono kilkuset adresatom w kraju. Byli wśród nich uczestnicy nurtu niepodległościowego: Ludwik Muzyczka i Kazimierz Pluta-Czachowski, zob. M. Lewandowski, *Ludwik Muzyczka „Benedykt"*, s. 49–54.

nach. Oni to mówią bardzo wyraźnie: „Po co pomagacie Ukraińcom, po co im dajecie broń, po co ich wspieracie? Oni nie mają żadnych szans w starciu z potęgą rosyjską". To jest lifting pierwszego dogmatu, który mówił, że interwencja sowiecka jest nieuchronna w Polsce.

Jak wygląda lifting drugiego dogmatu, o tym, że Niemcy chcą nam zabrać Ziemie Odzyskane? Mówi się, że parcie ekonomiczne i polityczne dokonywane przez UE w stronę słabszych partnerów, czyli Europy Środkowej, jest niczym innym jak parciem germańskim. Dlaczego Francuzi nie robią interesów w Polsce – Auchan, Castoramy nie ma w Polsce. Jest tylko Allkauf i Lidl, nie mówiąc o Biedronce (która notabene nie jest niemiecka, tylko jest portugalska).

Krzysztof Laga: Masz jeszcze Albica.

Mirosław Lewandowski: Jednym słowem, dogmat straszenia Polaków Niemcami, również w czasie dzisiejszej dyskusji ten temat był obecny – że Unia to nic innego jak Niemcy. Oni wykorzystują Unię Europejską, żeby tu wejść, *Mitteleuropa*, koncepcja Fryderyka Neumanna. Co to oznacza? Kto nas obroni przed Unią Europejską, czyli przed Niemcami? Kto wyciągnie bratnią dłoń?

Jerzy Wawrowski: Stany Zjednoczone.

Głosy z sali: Tylko.

Andrzej Anusz: Mirku, nie Putin. *Mitteleuropa.*

Mirosław Lewandowski: Jest jeszcze dogmat trzeci, który uległ liftingowi, a który mówi o ideologii. Kto jest obecnie jedynym obrońcą konserwatywnych wartości chrześcijańskich rodziny?

Krzysztof Laga: Ordo Iuris.

Mirosław Lewandowski: Ordo Iuris finansowane z Rosji. Kto nas obroni przed zalewem gejostwa, LGBT, aborcji?

Andrzej Anusz: Kościół katolicki.

Mirosław Lewandowski: Nie, Putin. Te trzy dogmaty, które obowiązywały w PRL, obowiązują również dzisiaj i służą temu samemu, to znaczy związaniu nam rąk, żebyśmy byli wobec Rosji grzeczni i żebyśmy poddali się sile tego imperium.

W myśli Moczulskiego i KPN kwestie europejskie obecne były przede wszystkim w dwóch aspektach: kwestia niemiecka i kwestia sowiecka. Kwestia integracji Europy pojawiła się bardzo późno, w zasadzie dopiero w 1990 roku i później (ale poza rok 1990 nie będę już sięgał).

Moczulski zajmował się kwestią niemiecką jeszcze w latach 60. Efektem tych jego zainteresowań są trzy książki naukowe. „Polityka w stalowym hełmie”[9] jest jak najbardziej książką naukową, z pełnym aparatem naukowym, z bibliografią, indeksem przedmiotowym. Druga to „Miecz Nibelungów”[10] także o charakterze publikacji naukowej, trzecia to „Dylematy. Wstęp do historii Europy Zachodniej 1945–1970”[11]. Planowałem zacytować wnioski końcowe każdej z tych książek. Te wnioski nieco się od siebie różnią, bo książki powstały na przestrzeni 5 lat. Pierwsza gdy została napisana, w RFN jeszcze rządził Adenauer. Gdy druga została napisana, mieliśmy zmodyfikowany rząd Kissingera po upadku Adenauera. Gdy powstały „Dylematy” i popukarne „Szpony czarnego orła”[12] – do władzy doszedł już Willy Brandt. Wnioski końcowe każdej z tych trzech książek różnią się od siebie. W tych, które powstały w okresie, gdy Niemcami rządziła chadecja, nacisk położony jest na groźby niemieckiego rewanżyzmu i imperializmu, na to, że w kołach Bundeswehry dominują nastroje rewanżystowskie i że oni myślą o tym, żeby zrewidować naszą granicę zachodnią. Jeżeli natomiast chodzi o „Dylematy” oraz czwartą książkę, która ma charakter sensacyjny, a nie naukowy, czyli „Szpony czarnego

[9] Leszek Moczulski, *Polityka w stalowym hełmie (szkice o potencjale militarnym NRF)*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1965.

[10] Leszek Moczulski, *Miecz Nibelungów. Zarys historii armii pruskiej i niemieckiej 1618–1967*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1968.

[11] Leszek Moczulski, *Dylematy. Wstęp do historii Europy Zachodniej 1945–1970*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1971.

[12] Leszek Moczulski, *Szpony czarnego orła*, Wydawnictwo MON, Warszawa 1969.

orła" (wydane w ramach serii „Sensacje XX wieku"), to tu, we wnioskach końcowych Moczulski zmienia akcenty.

* * *

W tym miejscu uzupełnię zapis mojego wykładu o fragment przygotowanego referatu, aby doprecyzować i poszerzyć wywód.

Najpierw uwaga terminoloigiczna. Do około 1970 roku mówiło się w PRL o Niemczech Zachodnich – NRF, co nie było precyzyjnym tłumaczeniem oficjalnej nazwy państwa niemieckiego, nazwy istniejącej do dzisiaj, tj. *Bundesrepublik Deutschland*; nazwa używana pierwotnie była natomiast bliźniacza względem oficjalnej nazwy Niemiec Wschodnich – *Deutsche Demokratische Republik.* Gdyby tłumaczenie Niemiecka Republika Federalna miało być ścisłe, to oficjalna nazwa Niemiec Zachodnich winna brzmieć *Deutsche Bundesrepublik* a nie *Bundesrepublik Deutschland.*

Zmiana, która nastąpiła na poczatku lat 70. była konsekwencją zawaracia w 1970 roku układów państwowych RFN–ZSRR oraz RFN–PRL, a w 1972 roku – układu RFN–NRD. Wzajemne uznanie swego istnienia przez państwa niemieckie (co umożliwiło obu tym państwom przystąpienie do ONZ) spowodowało, że w PRL zaczęto używać polskiej nazwy będącej precyzyjnym tłumaczeniem oficjalnej nazwy Niemiec Zachodnich. Wcześniejsza nazwa używana oficjalnie w PRL była formą lekceważenia Niemiec Zachodnich, próbą ich deligitymizacji, także na płaszczyźnie językowej. Na tej samej zasadzie my dzisiaj, chcąc okazać komuś lekceważenie przekręcamy jego nazwisko lub też oficjalne określenie funkcji, którą piastuje.

Każda z tych publikacji kończy się odmiennymi wnioskami. Jakie były przyczyny tych zmian w konkluzjach na przestrzeni pięciu lat? – Przyczyny te były spowodowane sytuacją wewnątrz-zachodnioniemiecką.

Rok 1965 (data pierwszej publikacji), to czas względnie stabilnego rozwoju Nimiec Zachodnich pod rządami koalicji chadeckiej CDU/CSU. Moczulski pisze o remilitaryzacji Niemiec, bedącej konsekwencją traktatu paryskiego z 1955 roku, ale we wnioskach końcowych uznaje, że zagrożenie dla Polski wynikające z remilitaryzacji RFN będzie maleć w związku z upowszech-

nianiem się koncepcji pokojowego współistnienia Wschodu i Zachodu. We wnioskach końcowych zajmuje się perpsketywą wycofania wojska amerykańskich i sowieckich z terenów niemieckich (dając pośrednio do zoruzmienia, że Sowiecki mogliby się wycofać także z terytorium Polski) i rozważa skutki tego kroku dla bezpieczeństwa PRL. Podkreśla znaczenie trójkąta: PRL–NRD–CSRR, który – choć słabszy pod względem gospodarczym od RFN, miałby przewagę demograficzną i terytorialną. Uznaje jednak, że kluczową gwarancją naszego bezpieczeństwa byłby sojusz z ZSRR, zaznaczając jednak, że byłby on taką gwarancją także wtedy, gdyby wojska sowieckie stacjonowały na swoim terytorium[13].

Rok 1967 (data ukończenia pracy nad drugą książką, która została wydana w roku 1968), to okres następujący bepośrednio po ważnych wydarzeniach w Niemczech Zachodnich. W 1963 upadł rząd Adenauera (CDU/CSU-FDP), a kanclerzem został Ludwig Erhard, a ministrem spraw zagranicznich – Gerhard Schröder (ale nie ten późniejszy kanclerz z SPD, tylko polityk chadecki). Erhard przetrwał na fotelu kanclerza zaledwie 3 lata. W 1966 roku miało miejsce kilka ważnych wydarzeń dot. RFN:

- oficjalnie ogłoszono, że USA nie pozwolą RFN na uzyskanie dostępu do broni nuklearnej – ani własnej, ani też amerykańskiej – w ramach NATO Multi-Lateral Nuclear Force (Wielostronnych Sił Nuklearnych NATO). MLF to nic innego, jak znanynam dzisiaj z uwagi na inicjatywę prezydenta Dudy mechanizmu udostępniania broni jądrowej (nuclear sharing);
- Francja ogłosiła, że występuje z sił wojskowych NATO, co dla Niemiec oznaczało przekreślenie nadziei, na zbudowanie – wspólnie z Francją, w ramach NATO – potężnych sił konwencjonalnych, zdolnych do pokonania konwencjonalnych wojsk Układu Warszawskiego;
- latem 1966 roku doszło do tzw. „buntu generałów" przeciwko cywilnemu kierownictwu Bundeswehry, który był wyrazem frustracji zachodnioniemieckich dowódców wojskowych wobec w/w zmian politycznych, któe przekreślały plany powrotu Niemiec Zachodnich

[13] L. Moczulski, *Polityka w stalowym hełmie*, s. 415–419.

na drogę rozwiązań militarnych – bunt zakończył się dymisją trzech generałów, a następnie – kryzysem rządowym.

- nastąpiła dymisja kanclerza Erharda, w miejsce koalicji CDU/CSU-FDP powstała Wielka Koalicja CDU/CSU-SPD, nowym kanclerzem został Kurt Kiesinger, Schröder przeszedł z MSZ do MON, a nowym MSZ został Willy Brandt z SPD.

Te zmiany osłabiały, a nie wzmacniały ośrodki militarystyczne i nacjonalistyczne w RFN, spowodowały jednak, że Leszek Moczulski w drugiej książce zajął się właśnie nimi. Przewidywał, jak się okazało błędnie, że wahadło polityki zachodnioniemieckiej przechyli się w ich stronę i RFN bedzie podejmowała próby zarówno uzyskania dostępu do broni nuklearnej (własnej lub w ramach NATO), jak i będzie rozwijała plany błyskawicznej wojny konwencjonalnej przeciwko swym wschodnim sąsiadom. LM błędnie też uznawał, że polityka zagraniczna Brandta ma jedynie na celu wbicie klina między kraje bloku radzieckiego[14].

W roku 1969, kiedy ukazała się ta ostatnia, popularna książeczka (z notki wynika, że została ona oddana do druku w lipcu 1969, ale z jej treści wynika, że zakończenie zostało napisane po wyborach w RFN we wrześniu 1969 i po powstaniu nowej koalicji SPD-FDP i objęciu urzędu kanclerza przez Willy Brandta) nowy kanclerz zainicjował nową politykę RFN „zmiana przez zbliżenie" – Wandel durch Annäherung). Paradoskalnie, te dopiesane w ostatniej chwili wnioski, zawarte w tej popularnej publikacji, są – moim zdaniem – najbardziej wartościowe. Zacytuję:

Chociaż wielu nacjonalistycznym przywódcom z nad Renu, Wery i Izery to się nie podoba, następujące w Niemczech Zachodnich zmiany generacyjne w poważnym stopniu zaczęły wpływać na przekształcenie społeczeństwa, jego nastrojów i poglądów. Młodzi ludzie, wchodzący w dojrzałe życie, urodzeni i wychowani już po wojnie, w niemałym stopniu pozbawieni są tego zacietrzewienia, które cechowało przeważające części społeczeństwa NRF jeszcze kilka lat temu. Poza zakresem ich wyobraźni, co najmniej częściowo, znajdje się celowość rewizji granic, tym bardziej, że uważają ją w istniejącej sytuacji za nierealną. Jak wykazały badania

[14] L. Moczulski, *Miecz Nibelungów,* s. 420–422.

opinii publicznej w NRF przeprowadzone w 1970 roku, nieco ponad połowa ankietowanych uznała, że Niemcy zachodnie muszą pogodzić się z granicą na Odrze i Nysie; wśród ludzi młodych, poniżej 25 lat, pogląd taki wyraziło trzy czwarte ankietowanych.

Przekształcenia wewnętrzne w NRF oddziałały najsilniej na ESP i FDP. Jeszcze w 1968 roku obie te partie wystąpiły z programami postulującymi konieczność ułożenia stosunków z krajami socjalistycznymi, nawet jeśli przyjdzie za to zapłacić uznaniem status quo. SPD i FDP zyskały poparcie części wielkiego przemysłu, zainteresowanego otwarciem rynków zbytu na wschodzie. Działał ponadto przykład Francji, której polityka „otwarcia na Wschód", zainicjowana przez de Gaulle`a i kontynuowana przez Pompidou, przyniosła poważne i widzome rezultaty, wielce korzystne dla Paryża.

We wrześniowych wyborach 1969 roku chrześcijańskiej demokracji nie udało się zdobyć chociażby połowy mandatów. W ten sposób powstały warunki do przejęcia władzy przez opozycję. SPD i FDP sformowały nowy gabinet, sprawy obrony objął w nim socjaldemokratyczny działacz z Hamburga Helmut Schmidt, poprzednio ekspert militarny SPD i autor głośnej swego czasu książki poddającej krytyce amerykańskie koncepcje i doktryny nuklearne.

Jedną z pierwszych decyzji rządu Brandta – Scheella było podjęcie dialogu z krajami socjalistycznymi. Brandt przyjął wysuniętą wcześniej inicjatywę Władysława Gomułki normalizacji wzajemnych stosunków PRL–NRF. Rozpoczął też rozmowy z ZSRR i NRD, szykuje się do negocjacji z pozostałymi państwami socjalistycznymi. W chwili, gdy piszemy te słowa, podjęte już zostały ważne decyzje międzynarodowe. W sierpniu 1970 roku podpisany został w Moskwie układ ZSRR–NRF o wyrzeczeniu się siły we wzajemnych stosunkach, w grudniu podpisany będzie w Warszawie układ PRL–NRF o podstawach normalizacji wzajemnych stosunków.

W tej nowej sytuacji znaczenie i rola Bundeswery uległy wyraźnej dewaluacji. Świadczy o tym chociażby opracowana pod kierunkiem ministra Helmuta Schmidta „Biała księga w sprawach obrony", opublikowana na wiosnę w Bonn. Różni się ona zasadniczo od poprzednich zachodnioniemieckich dokumentów poświęconych polityce militarnej. Deklarując wprawdzie „nierozerwalne więzy" łączące NRF

z NATO[15] *i konieczność „zintegrowanej atlantyckiej obrony" – na plan pierwszy wysuwa inny czynnik: coraz lepsze perspektywy pokojowego rozwoju sytuacji w Europie. W układach: moskiewskim z ZSRR i warszawskim z PRL Niemiecka Republika Federalna zobowiązała się zresztą uroczyście do rezygnacji ze stosowania siły, czy też grożenia jej zastosowaniem. Jest to co najmniej obiecujące*[16].

Oczywiście sytuacja wewnętrzna w NRF jest skomplikowana, siły rewanżu są nadal jeszcze nad Renem silne, a jedną z ich baz pozostaje mimo wszystko Bundeswera. Nie wydaje się jednak, by mogły one odwrócić bieg wydarzeń i przekreślić fakty, które już zostały dokonane.

Ta książka nie ma zakończenia. Nie jest to wina autora. Zakończenia bowiem jeszcze nie napisała Historia[17].

Te oficjalne publikacje Leszka Moczulskiego są też dowodem, że kwestie niemieckie były szczegółowo analizowane przez niego dekadę przed założeniem Ruchu Obrony. Jeżeli więc w „Opinii" przez okres 12 miesięcy (od kwietnia 1977 roku do kwietnia 1978 roku) napisał on jedynie jeden krótki tekst nt. Niemiec, a w „Rewolucji bez rewolucji" kwestia niemiecka była w ogóle nieobecna, to nie dlatego, iżby Moczulski nie miał zdania na ten temat, ale dlatego, że – z przyczyn taktycznych – ujawniał on stopniowo swoje poglądy.

Po tej dygresji wróćmy do treści mojego referatu na Konferencji.

* * *

Wspominam o tym dlatego, że publikacje Leszka Moczulskiego po roku 1977 są nawiązaniem do tez sformułowanych (w sposób o wiele bardziej skrótowy)

[15] W czasach PRL-u propaganda komunistyczna często posługiwała się zwrotem o „nierozerwalnych więzach przyjaźni polsko-radzieckiej". Sformułowanie to zostało nawet zapisane w Konstytucji PRL w 1976 r. Moczulski tu wyraźnie kpi z tego sformułowania, odnosząc go do relacji RFN–NATO, w których to relacjach nie oznaczało ono całkowitego podporządkowania stronie silniejszej.

[16] W relacjach RFN – ZSRR wyrzeczenie się stosowania siły dotyczyło przede wszystkim strony silniejszej, czyli Sowietów. W relacjach z PRL-em oznaczało deklarację, że RFN nie będzie dążyła do rewizji granicy za pomocą siły.

[17] L. Moczulski, *Szpny czarnego orła*, s. 232–235.

w „Dylematach" i „Szponach czarnego orła". W tych wcześniejszych, wydanych oficjalnie publikacjach, Moczulski pisze bardziej szeroko. Analizuje to, co wynikało z faktu, że władzę w RFN objął Willy Brandt, a koalicja chadecką (CDU–CSU–FDP), zastąpiła koalicja SPD (socjaldemokraci) i FDP (czyli liberałowie). Willy Brandt rozpoczął rozmowy ze Związkiem Sowieckim, z którym w 1970 roku podpisał układ. Rozpoczął rozmowy z PRL i w roku 1970 – dosłownie 2 tygodnie przed upadkiem Gomułki – podpisał układ, który, jak niektórzy historycy podejrzewają, spowodował upadek Gomułki. Moskwa uznała, że jest to dla nich śmiertelne zagrożenie. Że Gomułce udało się wynegocjować z Willy Brandtem, że RFN uznaje nienaruszalność granicy na Odrze i Nysie, co podważało dogmat numer dwa, o którym mówiłem wcześniej (że gwarantem nienaruszalności granicy polsko-niemieckiej jest Armia Czerwona w Legnicy). To było bardzo ważne.

Jak to się stało, że władzę w Niemczech Zachodnich przejął Willy Brandt i że on prowadził taką własnie politykę, jak wyzej przedstawiłem? Jeszcze w 1965 roku, jak był list biskupów polskich do biskupów niemieckich, a w RFN rządził Adenauer, sami zauważyliście, że nastroje w Niemczech Zachodnich były zupełnie inne. Niemiecki Kościół katolicki musiał się z tymi nastrojami liczyć. Moczulski w tych książkach zwraca uwagę, że sytuacja w RFN pod koniec lat 60. w sposób zasadniczy się zmieniła. Nastąpiła zmiana pokoleniowa, do pełnoletności w Niemczech Zachodnich doszło nowe pokolenia Niemców, które akceptowało granice na Odrze i Nysie. Oni już nie pamiętali, nie mieli do tego sentymentu. Tak jak nasz stosunek do Lwowa czy do Wilna zmienił się z czasem. Póki żyło pokolenie, które to pamiętało, póty ten sentyment był bardzo silny. W momencie kiedy to pokolenie wymarło, on osłabł. Cieszę się, jeżeli będę mógł jeździć do Lwowa czy do Wilna tak, jak mogę teraz, to znaczy do Wilna na dowód osobisty, a do Lwowa bez większego problemu. Jeżeli do Lwowa nie jeżdżę, to dlatego, że się boję ruskich rakiet, ale kiedy wojna się skończy, bardzo fajne będą wycieczki w ukraińskie Karpaty. Mam zamiar np. zwiedzić tereny, na których walczył w I wojnie światowej Pluta-Czachowski...

Krzysztof Laga: Jak cię odetną, to cię odbijemy.

Mirosław Lewandowski: Koledzy z grupy „Limanowa dla Ukrainy" byli w Stanisławowie (który obecnie nazywa się Iwano-Frankiwsk). W nocy, kiedy spali, przeżyli rosyjski nalot rakietowy. Poderwane zostały samoloty nad hotelem, w którym spali. Namawiają mnie, żebym tam pojechał z kamerą, żeby przeprowadzić rozmowy z Ukraińcami, żeby opowiedzieli swoje historie wojenne. Ale ja się boję.

W każdym razie dla nas to, że możemy pojechać do Wilna i Lwowa – fakt, że miasta należą do Litwy i Ukrainy – nie jest już dzisiaj takim problemem. Podobnie dla Ukraińców nie jest problemem polski Przemyśl i Rzeszów. Dla nowego pokolenia Ukraińców i Polaków ten problem przestał istnieć.

W Niemczech to zjawisko wystąpiło już na przełomie lat 60. i 70. O tym Moczulski w swoich opracowaniach wydanych oficjalnie w ocenzurowanych wydawnictwach napisał. To, co w czasach opozycyjnych pisał o Niemcach, było kontynuacją wniosków, do których doszedł, jeszcze pisząc w oficjalnych wydawnictwach.

Teraz omówię poglądy Moczulskiego oraz stanowisko KPN w kwestii niemieckiej, a potem zajmę się kwestią sowiecką.

Pierwszy artykuł Moczulskiego w „Opinii", czyli piśmie Ruchu Praw Człowieka i Obywatela, wydany 1 grudnia 1977 roku, pt. „W poszukiwaniu dróg wyjścia. Jedność i podział Niemiec". To był numer, w którym były cztery publikacje poświęcone kwestii niemieckiej. Adam Wojciechowski pisał tam o kwestii granicy na Odrze i Nysie. Natomiast Moczulski (grudzień 1977 r.) pisał o kwestii zjednoczenia Niemiec i pisał chyba w sposób, w jaki nikt inny wtedy nie pisał. Nie pamiętam, czy żył jeszcze Gomułka.

Krzysztof Laga: Żył, umarł w 1982 r. Stan wojenny go dobił.

Mirosław Lewandowski: Jeżeli żył i to czytał, to musiała go krew zalewać, bo Moczulski pisał tak:

Każdy naród ma prawo do samostanowienia, również naród niemiecki. Jeżeli Niemcy chcą jedności, jest to zrozumiałe i sprawiedliwe. Nie można Niemców pozbawiać prawa przysługującego innym narodom. Likwidacji podziału Niemiec wymagają też względy bezpieczeństwa europejskiego. Utrzymywanie tego stanu

wbrew woli większości Niemców stanowi zarzewie konfliktu zbrojnego. Niemcy mają takie same prawa człowieka jak którykolwiek inny naród. Pozbawienie ich jakiegoś z tych praw, a co więcej, nadawanie temu sankcji międzynarodowej, jest niedopuszczalne.

Moim zdaniem nikt w opozycji tak dobitnie o sprawie zjednoczenia Niemiec nie pisał (w 1977 roku!), że mają do tego prawo, że jest niemoralne, nieuczciwe, żeby Niemców pozbawić prawa do życia w zjednoczonym państwie, jeżeli będą tego chcieli. Oczywiście później Moczulski przywołuje znane nam argumenty przeciwne.

Sprawa zjednoczenia Niemiec jest nie tylko sprawą wewnętrzną samych Niemiec, ale jest zagadnieniem kluczowym dla całej Europy. Mówiąc inaczej, zjednoczenie Niemiec wymaga w następstwie znanej przeszłości akceptu międzynarodowego, zwłaszcza ze strony najbliższych sąsiadów, bowiem mają oni prawo obawiać się, że utworzenie jednolitego państwa niemieckiego może być groźne dla ich bezpieczeństwa i dla pokoju na całym kontynencie.

Cały artykuł kończy się wnioskiem, w którym on sprytnie cytuje kogoś, kto w propagandzie PRL-owskiej był „czarnym ludem", tzn. szefa CSU Franza Josefa Straußa, który napisał: „Zjednoczenie Niemiec powinno stanowić ostatnią fazę procesu zjednoczenia Europy". To znaczy Moczulski uznaje polityczne, moralne, historyczne argumenty, że Niemcy mają prawo być zjednoczone, podkreśla, że sąsiedzi, w tym Polacy, mają prawo obawiać się zjednoczenia Niemiec, ale trzymając się poglądów Straußa, uważa, że zjednoczenie Niemiec trzeba połączyć z kwestią zjednoczenia całej Europy. To zresztą było obecne w myśleniu PPN, może z tą modyfikacją czy akcentem, którego tam nie było, to znaczy Moczulski mówił wyraźnie: najpierw zjednoczenie Europy, potem zjednoczenie Niemiec. Czyli zjednoczenie Niemiec jest ostatnim aktem zjednoczenia Europy. Nie pierwszym. Ta kolejność będzie miała znaczenie.

Potem mamy, w styczniu 1979 roku, już w „Drodze", a nie w „Opinii" artykuł pt. „Cel niepodległość". To jest 8 miesięcy przed powstaniem KPN-u, ale już jest jasna zapowiedź, że coś takiego powstanie i dopiero w tym artykule Moczulski odnosi się do tego PRL-owskiego dogmatu, że jak się Niemcy zjednoczą, będą chciały zrewidować granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej i że gwarantem tej granicy jest Armia Czerwona (więc robi się nam układanka, że

zostajemy w bloku sowieckim i uznajemy Armię Czerwoną na naszym terytorium). Moczulski nie powołując się *explicite* na swoje opracowania z przełomu lat 60. i 70., ale powtarza ich treść:

Oficjalnie twierdzi się, że Związek Radziecki jest jedynym gwarantem polskiej granicy zachodniej oraz bytu państwowego PRL, zagrożonego przez rewizjonizm zachodnioniemiecki. Możliwość rewizji granicy Odry i Nysy jest bliska zeru.

Wydaje mi się, że tu jest istotny akcent i różnica także z myśleniem PPN-u. W myśleniu Moczulskiego, a potem KPN-u kwestia rewizji granicy nie istnieje. Nie ma groźby, że oni tu wrócą. O ile w dokumencie PPN-u, jak czytałem, była mowa o tym, że jesteśmy za zjednoczeniem Niemiec pod warunkiem, że oni tę granicę potwierdzą prawnie – o tyle Moczulski analizując zmiany, które nastąpiły w postawach i poglądach czy opiniach społeczeństwa zachodnioniemieckiego – mówi: nie ma takiej groźby! Jak się zaraz przekonamy, on potem będzie mówił: trzeba prawnie sprawę granicy uregulować, ale nie ma groźby, nie wierzcie w to, że istnieje realna groźba, że oni będą chcieli dokonać rewizji granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. *Ergo*, Armia Czerwona może spokojnie wyjechać z Legnicy, bo nie jest gwarantem naszej granicy, jest gwarantem moskiewskich interesów z Polsce, a nie polskiej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Moczulski mówi: gwarancje Związku Radzieckiego są nam niepotrzebne.

Co więcej, Moczulski twierdził, że najpoważniejsze zagrożenie dla naszej granicy zachodniej istnieje ze strony Związku Radzieckiego. Chciałbym to rozwinąć. To jest bardzo ciekawe i moim zdaniem ta groźba istnieje dzisiaj również. Moczulski mówi, że istnieje niebezpieczeństwo, że do kwestionowania granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej zainspiruje Niemców Związek Radziecki (dziś – Rosja). Tak jak temat „odzyskania" Lwowa podpowiadał Polsce dwa lata temu Putin.

Andrzej mówił, że mają się ujawnić materiały sprzed dwóch lat dotyczące rozmów poprzedzających pełnoskalową agresję Rosji na Ukrainę. Bardzo bym chciał, żeby zostało ujawnione to, jak Rosja mówiła Polakom, że oni, Moskale, uderzają na Ukrainę od wschodu, a Polacy powinni wejść od zachodu i zająć tereny ukraińskie po Zbrucz (czyli zająć przedwojenny obszar Galicji Wschodniej) w celu „ochrony tamtejszej ludności". Oczywiście to byłaby kopia 17 Września, tylko *à rebours.* Zwracam uwagę, że było coś na rzeczy, to znaczy

takie plany były. W lutym i wcześniej 2022 roku była szykowana jakaś interwencja NATO (konkretnie – wojsk polskich, ale pod flagami NATO), któej celem miało byc to, żeby Moskale nie doszli do Bugu – wojska NATO (czyli wojska polskie) miały wejść do Ukrainy od zachodu i dojść po Zbrucz. Jeżeli Andrzej mówi, że mają być ujawnione dokumenty sprzed dwóch lat, to ja bym chciał wtedy ten aspekt przeanalizować. Z drżeniem i niepewnością jestem ciekaw, czy strona polska odpowiedziała na propozycję Kremmla kategorycznie „nie".

Andrzej Anusz: Nie ma obaw. Bardziej się bój tego, co Putinowi powiedział Tusk na molo.

Krzysztof Laga: Na molo w 2009 roku.

Mirosław Lewandowski: To, że do wejścia wojsk polskich nie doszło, jest wynikiem postawy Ukraińców, którzy w 2022 roku podjęli obronę Kijowa. Dzisiaj się uważa, że Ruscy od początku nie mieli szans zająć Kijów. Tymczasem zajęcie Kijowa było dosłowne o włos. A gdyby zajęli Kijów, byłoby po Ukrainie.

Andrzej Anusz: I co, jedną powietrzną brygadą desantową zajęliby Kijów, tak?

Mirosław Lewandowski: Oni chcieli zająć Hostomel, żeby stworzyć korytarz i tam by weszły wojska lądowe. Operacja Market Garden – wypuszczamy na zaplecze naszych spadochroniarzy, a potem oni robią torują drogę do wkroczenia wojsk lądowych.

Andrzej Anusz: Jedna brygada opanowuje lotnisko, jak sobie wyobrażasz przejście kilkuset kilkudziesięciu kilometrów.

Mirosław Lewandowski: Oni weszliby drogą lądową, nie powietrzną. To, o czym pisze Moczulski. Nie wykluczam, że tak jak Putin próbował zagrać Lwowem dwa lata temu, w relacjach z Ukrainą i jestem ciekaw, jak daleko byliśmy od tego, żeby się to udało. Mam nadzieję, że daleko.

Andrzej Anusz: Polski ambasador jako jedyny nie wyjechał z Kijowa. Byliśmy naprawdę najdalej, jak można było.

Mirosław Lewandowski: Ale pamiętam, że była mowa z naszej strony o tym, że interwencja NATO w Ukrainie, wejście NATO do Ukrainy od zachodu było rozważane. Mówili o tym nasi politycy[18].

Andrzej Anusz: NATO, czyli Amerykanie.

Mirosław Lewandowski: Nie, NATO, czyli my.

Andrzej Anusz: NATO to Amerykanie. Bez floty amerykańskiej żadnego NATO by tam nie było.

---

[18] Por. wypowiedź Jarosława Kaczyńskiego 15 III 2022 r. w Kijowie: *Na Ukrainie potrzebna jest misja pokojowa NATO lub szerszego układu międzynarodowego* (https://www.pap.pl/aktualnosci/news%2C1116575%2Cjaroslaw-kaczynski-w-kijowie-w-ukrainie-potrzebna-jest-misja-pokojowa-nato?utm_source=chatgpt.com; dostęp 2 VII 2026 r.), którą moskiewski minister spraw zagranicznych skomentował w sposób nastepujący: – *Polska inicjatywa sprowadzenia sił pokojowych NATO na Ukrainę jest demagogiczna, członkowie NATO zrozumieją, że muszą być realistami – mówił w sobotę* [19 III 2022 r.] *szef MSZ Rosji Siergiej Ławrow, cytowany przez agencję TASS. W jego opinii podstawą takich sił byłby polski kontyngent, który przejąłby kontrolę nad zachodnią Ukrainą, na czele z Lwowem* (https://www.polsatnews.pl/wiadomosc/2022-03-19/wojna-w-ukrainie-sergiej-lawrow-skrytykowal-pomysl-jaroslawa-kaczynskiego-ws-misji-pokojowej/?utm_source=chatgpt.com, dostęp 2 VII 2026 r.). Kaczyński później doprecyzował swoją propozycję: *To, co zaproponowałem w Kijowie, jest właśnie zrobieniem więcej, w warunkach całkowicie legalnych, przewidzianych przez prawo międzynarodowe. Nikt przecież nie planuje wejścia na teren Rosji, misja pokojowa byłaby na terenie Ukrainy, za pełną zgodą władz ukraińskich. I taka misja bardzo by pomogła w wymiarze humanitarnym i – nie ma co ukrywać – korzystnie zmieniłaby sytuację strategiczną na Ukrainie* (https://www.pap.pl/aktualnosci/news%2C1130630%2Cjaroslaw-kaczynski-misja-pokojowa-bylaby-na-terenie-ukrainy-i-pomogla-w?utm_source=chatgpt.com, dostęp 2 VII 2026 r.). 3 lata później nastąpiło kolejne doprecyzowanie: *To była propozycja misji pokojowej, oczywiście z udziałem armii amerykańskiej, która miała wkroczyć na tereny, gdzie nie toczyła się wojna, ale później rozwijać się i w ten sposób przekonywać Putina, że jego nadzieja na podbój Ukrainy jest całkowicie bezpodstawna. W ówczesnej sytuacji to by radykalnie poprawiło sytuację strategiczną wojsk ukraińskich* (https://wiadomosci.radiozet.pl/polska/kaczynski-chcial-misji-nato-na-ukrainie-co-mowi-dzisiaj-zupelnie-inna-sytuacja?utm_source=chatgpt.com, dostep 2 VII 2026 r..).

Głos z sali: A dzisiaj Zełenski prosi, żebyśmy strzelali… [do rosyjskich rakiet i dronów zmierzających w kierunku zachodniej Ukrainy z przestrzeni powietrznej Sojuszu].

Mirosław Lewandowski: To co innego.

Andrzej Anusz: To też jest wejście na teren i przestrzeń ukraińską.

Mariusz Olszewski: Aż po Zbrucz?

Andrzej Anusz: Tak, aż po Zbrucz.

Mirosław Lewandowski: W każdym razie, moim zdaniem, karta granicy zachodniej jest do rozegrania przez Putina w bardzo prosty sposób. Obwód Kaliningradzki (Królewiecki) – wystarczy, że on zaproponuje, że odda to Niemcom i bedziemy mieli „powtórkę z rozrywki", w nieco zmodyfikowanej wersji, czyli kwestię korytarza.

To był tekst z roku 1979. W maju Moczulski pisze „Rewolucję bez rewolucji" dość chaotycznie, pospiesznie, bo chce zdążyć przed I pielgrzymką papieża, co mu się udaje, ale to powoduje, że kwestii niemieckich w „Rewolucji bez rewolucji" nie ma w ogóle. Jest lekko muśnięta kwestia sowiecka. Kwestii niemieckiej nie ma.

W 1980 r. Moczulski trafia do więzienia i z pewnymi przerwami siedzi tam do 1984 r. W 1984 roku wychodzi na wolność.

W 1985 r. zostaje wydana praca „Geopolityka", która składa się z 3 części. Część I dotyczy kwestii sowieckiej, cz. II dotyczy Międzymorza, a cz. III dotyczy sprawy niemieckiej. Moczulski w ogóle kwestionuje całkowicie tezę endecką o niemieckim *Drang nach Osten*, historycznie od X wieku. Pokazuje, że to jest wszystko nieprawda. Nasza granica zachodnia i nasze sąsiedztwo z Niemcami na przestrzeni tysiąca lat było generalnie w 95% przyjacielskie. Myśmy na tych relacjach zyskiwali. W X wieku zyskaliśmy chrześcijaństwo, kulturę zachodnią, pismo, budowle murowane. W XIII wieku zyskaliśmy miasta. Przed XIII wiekiem, zanim Niemcy nie zaczęli zakładać miast, w Polsce nie było miast, tylko

podgrodzia. W XIII wieku, razem z Niemcami, przeniesiono na grunt polski miasta, trójpolówkę, umiejętność przetwórstwa artykułów rolnych(wyrobu serów, wina itp.). To wszystko przybyło z Niemiec. Nasze sąsiedztwo z Niemcami to są bardzo dobrze pamiętane w XVIII wieku czasy saskie (dzisiaj pamiętamy je źle, ale w I poł. XVIII wieku Polacy byli zachwyceni rządami Sasów – trudno się dziwić, że gdy przyszedł Napoleon, to zafundował nam trzeciego Sasa na tronie Księstwa Warszawskiego). W zasadzie na tle przyjaznych i korzystnych relacji polsko-niemieckich, II wojna światowa jest niezrozumiałą szajbą. Co Niemcom „odwaliło", żeby robić te straszne zbrodnie, których się dopuszczali? Moczulski przyznaje: te 5 – 6 lat nie znajdują usprawiedliwienia. Ale podkreśla, że to nie był przejaw *Drang nach Osten*, to był po prostu niemiecki imperializm, który szedł, rozlał się nie tylko na ziemie polskie. Szedł na wschód, na południe: Czechosłowacja, Austria, Francja. Hitler próbował podbić Wielką Brytanię, Daleki Wschód. Więc II wojna światowa to nie było *Drang nach Osten.* Swoją analizę kończy stwierdzeniem, że zjednoczone Niemcy stanowić będą ewidentnie zagrożenie, ale dla zachodnich sąsiadów (nie wschodnich). Zjednoczenie NRD z RFN będzie zagrożeniem dla Francji. Przed zjednoczeniem RFN była na tym samym poziomie, jeśli idzie o ludność, powierzchnię i gospodarkę, co Francja, Włochy i Wielka Brytania. Po zjednoczeniu z NRD RFN stała się hegemonem na Zachodnie. To zagraża przede wszystkim Wielkiej Brytanii, Francji i Włochom, bo to nagle burzy tam równowagę. Dalej pisze Moczulski, że po zjednoczeniu Niemcy będą potrzebowały co najmniej jednego pokolenia, żeby scalić NRD z RFN. W okresie tego pokolenia Niemcy nie będą wobec nikogo agresywne, bo będą zajęte wchłanianiem NRD przez RFN. Tu rzeczywiście to się sprawdziło.

Chciałem tu przytoczyć jeden fragment z „Geopolityki" z 1985 roku, który dotyczy kwestii, że to Rosja, a nie Niemcy będą grały granicą. Moczulski pisze:

Zimą 1918/19 komisja działająca przy białym rządzie admirała Kołczaka, opracowując postulaty rosyjskie na zbliżającą się konferencję pokojową w Wersalu, postanowiła domagać się przesunięcia zachodniej granicy polskiej jak najbardziej na zachód.

Zanim podpisali pokój brzeski, Kołczak planował, że przyjedzie na konferencję pokojową i będzie postulował, żeby Polska miała granicę przesuniętą jak najbardziej na zachód.

Krzysztof Laga: W 1918 r. jeszcze nie było Polski.

Mirosław Lewandowski: Ale zimą na przełomie 1918/19 już była.

Cel był prosty. Niemcy tego nie zaakceptują, co wywoła trwały konflikt polsko-niemiecki, a w konsekwencji zmusi Polaków do oparcia się o Rosję.

Potem Moczulski pisze, że to, co kombinował Kołczak, zrealizował Stalin. Stalin, dając nam ziemie północne i zachodnie, liczył na to, że to wykopie trwałą nienawiść i niechęć między Polakami i Niemcami i będzie mógł nas rozgrywać. Tak samo zostawiając Lwów przy Związku Radzieckim, miał tę samą perspektywę gry na wschodzie. My płaczemy za Lwowem, Niemcy płaczą za Breslau i Elbing. Na ten plan Stalina Moczulski zwraca uwagę.

Dalej mamy rok 1988, październik – rezolucja Rady Politycznej KPN. To jest praktycznie pierwszy dokument Konfederacji Polski Niepodległej na tematy niemieckie, bo wszystko, co mówiłem do tej pory, to był Moczulski, a nie KPN.

Krzysztof Laga: To było przyjęte przez Radę Polityczną?

Mirosław Lewandowski: Oczywiście, październik 1988 roku. On zajmuje się tematem rozbrojenia, które popiera, ale zwraca uwagę na dwa aspekty rozbrojenia, które są dla nas bardzo niebezpieczne, a które suflowali nam Sowieci.

Element pierwszy – żeby zacząć rozbrojenie od broni nuklearnej. KPN mówi: zaraz, zaraz, a kto ma przewagę w broni konwencjonalnej? Rosjanie. Broń nuklearna powstrzymywała Armię Czerwoną przed atakiem na Zachód. KPN mówi: Jeżeli zaczniemy rozbrojenie od usunięcia z Europy broni nuklearnej, w tym momencie dla Sowietów, dla Armii Czerwonej Zachód stanie otworem. Bo jeżeli chodzi o siły konwencjonalne, to oni mieli gigantyczną przewagę. Więc trzeba zrobić odwrotnie: zacząć rozbrojenie od sił konwencjonalnych, a potem dopiero zająć się bronią nuklearną. To jest pierwszy aspekt.

Drugi aspekt, na który zwracał Moczulski uwagę, to koncepcja rozbrojenia strefowego, to znaczy, żeby rozbrojenie przeprowadzać stopniowo i zacząć od państw niemieckich. Co się wtedy stanie, gdzie zostanie wycofana Armia Czerwona z terytorium Niemiec Wschodnich? Gdzie zostaną wycofani żołnierze

radzieccy z Niemiec Wschodnich? – Do Polski. Czyli my się znajdziemy jeszcze bardziej w strefie sowieckiej, będzie w naszych granicach jeszcze więcej Armii Czerwonej. A gdzie zostanie wycofana broń amerykańska z Niemiec Zachodnich? – Za Atlantyk.

KPN pokazywała na dwie pułapki sowieckie dotyczące rozmów rozbrojeniowych i zwracała uwagę, że jest za rozbrojeniem, ale należy uważać na te dwa niebezpieczeństwa.

Wreszcie mamy marzec 1990 roku, ukazuje się tygodnik „Opinia Konfederacji Polski Niepodległej" (w tej „Opinii" pisali m.in. Bartosz Węglarczyk, Tomasz Merta, Łukasz Perzyna, Andrzej Mazurkiewicz, czy Beata Michniewicz).

Michał Janiszewski: Pod przywództwem Bogusia Urbankowskiego...

Mirosław Lewandowski: ...ale też Marek Cichocki. Wszyscy debiutowali w „Opinii" KPN. Na stronie internetowej jest Internetowe Archiwum Konfederacji Polski Niepodległej, projekt został zrealizowany przez Instytut Historyczny przy wsparciu finansowym Urzędu ds Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Na tym portalu mamy również rezolucję uchwaloną na wiecu w marcu 1990 roku w Warszawie[19], która została dostarczona do ambasad czterech mocarstw: USA, Wielkiej Brytanii, Francji i Związku Radzieckiego. Jakie tam były punkty? Że KPN uznaje i popiera prawo Niemców do zjednoczenia, wyraża niepokój, że od udziału w rozmowach na temat zjednoczenia Niemiec zostaną wyłączone tylko cztery państwa (formuła „dwa plus cztery", czyli NRD, RFN i cztery inne państwa okupacyjne). W tej rezoluci pytano: a gdzie inne państwa europejskie? Śmierdziało to Monachium albo Jałtą, skoro sprawę zjednoczenia Niemiec próbowano załatwiać bez udziału innych sąsiadów Niemiec, w tym Polski. Było też powiedziane, że KPN się domaga, by sprawa zjednoczenia Niemiec była połączona z wycofaniem z całej Europy obcych wojsk, nie tylko z Niemiec. Na końcu było powiedziane, że najlepszą formą zjednoczenia Niemiec byłoby podpisanie traktatu pokojowego, tak jak zostało to zapowiedziane w Poczdamie.

[19] „Opinia" nr 2 z 18 III 1990 r., s. 4.

Puentą tych rozważań jest tekst Leszka Moczulskiego pt. „U progu niepodległości", z końca 1990 roku, gdzie on wypomina Mazowieckiemu, że nie wykorzystaliśmy szansy w kwestii niemieckiej. To znaczy mogliśmy być tym państwem, które (tego Moczulski nie pisze, to jest moja *licentia poetica*) tak jak biskupi w 1965 roku, wyciągnęli do Niemców rękę na zgodę, tak my moglibyśmy być tym państwem, które podniesie sprawę, że Niemcy mają prawo do zjednoczenia. Zjednoczenie i tak się dokonało, ale my nic na tym nie ugraliśmy. A mogliśmy na stawianiu sprawy zjednoczenia Niemiec ugrać. Co mogliśmy ugrać przede wszystkim? Poza dobrymi relacjami z Niemcami, poza tym, że oni potem będą popierać naszą integrację do Europy, mogliśmy ugrać traktat pokojowy. Trzeba było sprawę postawić tak – Polska jest za zjednoczeniem Niemiec, nie obawiamy się tego, ale załatwmy to w ramach traktatu pokojowego. Tymczasem w 1990 roku Mazowiecki blokował zjednoczenie Niemiec, za co Kohl był na niego wściekły, bo polski premier stał się pierwszym „hamulcowym" zjednoczenia Niemiec. Gdyby Polska ofensywnie była na czele państw dążących do zjednoczeniem Niemiec, można było tę sprawę załatwić traktatem pokojowym, co przy okazji „uwaliłoby" niemieckiemu Trybunałowi Konstytucyjnemu kwestionowanie granicy obecnej. Dla mnie nie ma zagrożenia, że Niemcy będą chcieli odzyskać Breslau, Danzig, Elbing, Marienburg itd., natomiast prawnie możliwości mają. Oczywiście jak zaczniemy podnosić żądania reparacji, nie wykluczam, że nagle jeden Niemiec z drugim przypomni sobie o Breslau, ale na razie zagrożenia nie ma.

Podsumowując – dorobek KPN i Moczulskiego na odcinku niemieckim jest znaczny. Moczulski poszedł w swych rozważaniach dużo dalej niż PPN. Bardzo odważną była teza, że nie ma się co obawiać, że Niemcy będą chcieli zabrać Ziemie Odzyskane i wynikający stąd wniosek, że nie są nam potrzebne gwarancje sowieckie. Jeszcze większej politycznej odwagi wymagało stanowisko KPN, że Niemcy mają moralne i polityczne prawo do zjednoczenia. Myślę, że była tu wykonana solidna robota intelektualna. Dzisiaj taka robota powinna być wykonywana w MSZ czy think tanki, typu Ośrodek Studiów Wschodnich. Ale jeżeli jest wykonywana, to jej efekty są bardzo skwapliwie ukrywane przed społeczeństwem. Brakuje mi dzisiaj myślenia o polskich interesach w relacjach z Niemcami, czy innymi sąsiadami, myślenia podobnego do tego, które tu zo-

stało zarysowane. Takie intelektualne podejście do polityki międzynarodowej wywodzi się z zresztą z tradycji piłsudczykowskiej. Zwracam uwagę, że Piłsudski głęboko analizował kwestie międzynarodowe przed I wojną światową. Te kwestie były uważnie analizowane przez niego, przez polski MSZ, przez Becka także po 1926 roku. Dzisiaj w polskim MSZ powinny by wyspecjalizowane komórki do analizy sytuacji w głównych państwach świata: Chiny, USA, Indie, państwa europejskie. Powinniśmy analizować ich sytuację wewnętrzną i to, co z tego może wynikać dla rozwoju sytuacji międzynarodowej, w tym dla nas.

* * *

Jeżeli chodzi o sprawy polsko-sowieckie, żadnych publikacji Moczulskiego w pierwszym obiegu, czyli w publikacjach ocenzurowanych nie było. To było niemożliwe.

W drugim obiegu pierwszy artykuł, który się ukazał w prasie (jeszcze przed-kpn-owskiej – w „Drodze" był autorstwa Zdzisława Błońskiego. Był to tekst z sierpnia 1978 pt. „ZSRR mocarstwo nierozwiązanych problemów. Przed odejściem Leonida Breżniewa". „Zdzisław Błoński" to pseudonim[20]. Autor pokazywał w nim wewnętrzne problemy Związku Radzieckiego, które utrudniałyby mu podjęcie decyzji o ewentualnej interwencji w Polsce. To jest polemika z tym dogmatem, że oni na pewno „wejdą". „Błoński" proponuje – popatrzmy najpierw, jaka jest ich sytuacja. Po pierwsze – w 1978 roku mieliśmy do czynienia z problemem „biologicznym" władz ZSRR. Całe to pokolenie gerontów musiało wymrzeć. To oznaczało nadchodzący kryzys związany z przejęciem władzy przez młodsze pokolenie. Jak wiemy, nastąpiło to dopiero w 1984 roku, jak Gorbaczow został generalnym sekretarzem KPZR. Od 1978 do 1984 roku, przez 6 lat Rosja była w marazmie. Umierający Breżniew, potem kolejni starcy, którzy szybko odchodzili (Andropow i Czernienko). Wszystko to powodowało problemy decyzyjne na szczytach władzy. Po drugie – „Błoński" wskazywał na

[20] W momencie, gdy wygłaszałem referat przypuszczałem, że to może być poseudonim Leszka Moczulskiego. Dziś, gdy autoryzuję tej tekst jestem już pewien, że autorem tego tekstu był Tadeusz Stański.

konflikt Związku Sowieckiego z Chinami, który angażował ich uwagę (i siły) w Azji.

Na konflikt sowiecko-chiński zwracał uwagę wielokrotnie także Leszek Moczulski przed rozpoczęciem jawnej działalności opozycyjnej, o czym mamy ślady w doniesieniach bezpieki. Przykładowo – mówił o tym w 1973 roku na jubileuszu „Więzi"[21] oraz w rozmowie ze Stanisławem Poznańskim[22] w oraz w 1976 roku w rozmowie z Jackiem Kuroniem[23]. Na konflikt sowiecko-chiński i jego wpływ na geopolityczne położenie Polski wielokrotnie zwracano też uwagę w dyskusjach liderów nurtu niepodległościowego[24].

Nic dziwnego, że Moczulski wrócił do tego tematu w 1984 roku na łamach „Drogi", a potem w roku 1985 w „Geopolityce"[25]. Moczulski wskazuje np. na kwestie demograficzne na Dalekim Wschodzie.

Przyrost naturalny u Rosjan spadł do 4%, gdy wśród narodów azjatyckich ZSRR przekracza 20%. Obecnie co trzecie dziecko rodzi się w rodzinach muzułmańskich, a 40% ogółu przyrostu naturalnego przypada na narody nieeuropejskie. W ciągu dwu pokoleń skład narodowościowy ZSRR, ulegnie zasadniczej zmianie: więcej niż połowę ludności stanowić będą narody azjatyckie, a Rosjanie spadną do najwyżej 1/3 ogółu. Czasu na przeciwdziałanie jest jednak dużo mniej: jeśli obecne tendencje nie zostaną powstrzymane, już około roku 2000 będzie ostatecznie zdeterminowane, że Azjaci zdominują ZSRR. Już dzisiaj potencjał demograficzny Rosjan jest zbyt słaby, aby wystarczyło ludzi do trzymania w ryzach Imperium.

---

[21] *Doniesienie* (źródło: „Woliński"), 3 V 1973 r.; BU 0204/1417, SOR „Watra", t. IV, s. 29–31.

[22] *Informacja* (źródło: TW „Słobudzki"), 10 IX 1973 r., BU 001043, TW „Słobudzki", cz. 6, s. 240–241.

[23] *Meldunek operacyjny*, 8 VI 1976 r., BU 0204/1417, SOR „Watra", t. VII, s. 84–85.

[24] Mirosław Lewandowski, *Ludwik Muzyczka „Benedykt". Działalność polityczna od 1956 roku w świetle zachowanych materiałów SB.* Warszawa 2018, s. 228 oraz Mirosław Lewandowski, *Kazimierz Pluta-Czachowski „Kuczaba". Działalność od 1945 roku w świetle zachowanych materiałów SB* Warszawa 2022, t. II, s. 370, 399–400.

[25] „Geopolityka" w całości została opublikowana w drugim obiegu po raz pierwszy w 1985 r. nakładem Wydawnictwa Polskiego. Składa się ona z trzech części, z których pierwsze dwie ukazały się po raz pierwszy w piśmie „Droga" (nr 14–15 z 1984 r.). Całość została napisana, w ciągu kilku miesięcy, po zwolnieniu Leszka Moczulskiego z więzienia na mocy amnestii w sierpniu 1984 r. a przed jego ponownym uwięzieniem w marcu 1985 r .

Gdy w Rosji carskiej praktycznie wszystkie stanowiska urzędników i oficerskie były obsadzane przez Rosjan, a armia i policja w ponad 90% była rosyjska, gdy jeszcze 20 lat temu przestrzegano zasady, że 80% funkcjonariuszy i 66% sił zbrojnych składa się z Rosjan – to dziś brakuje ludzi, aby utrzymać takie relacje. Coraz więcej pozycji oddawać trzeba innorodcom. Załamuje się kolonizacja rosyjska. Na macierzystym obszarze Rosji, z wyłączeniem aglomeracji Moskwy i Leningradu, mieszka dziś ok. 10% ludzi mniej, niż w 1950 r. Rezerwuar ludnościowy, który zapewniał kolonizowanie przez Rosję Syberii, ale na obszarach zamieszkałych przez nie-Rosjan – jest bliski wyczerpania. Procentowy udział Rosjan w zaludnieniu poszczególnych republik maleje, na Zakaukaziu i w Azji Centralnej w tempie zastraszającym. Zaludnienie wschodniej Syberii i Dalekiego Wschodu zostało zahamowane. Równocześnie gwałtownie rozwijają się narody azjatyckie. W ciągu ostatnich dwudziestu lat Kirgizi, Turkmeni, Uzbecy i Tadżycy podwoili swoją liczebność. Na obszarze zamieszkałym przez te cztery narody – cztery republiki środko-woazjatyckie, między Morzem Kaspijskim, a Chinami – tworzy się demograficzny punkt ciężkości całego ZSRR.

Próbowałem sprawdzić, czy to, o czym Moczulski pisał w połowie lat 80., dzisiaj jest aktualne. Nie mówię teraz o tekstach Moczulskiego czy Stańskiego, tylko dokonuję analizy demograficznej w oparciu o obecne realia. Otóż według oficjalnych danych ludność Rosji wynosi obecnie 143 milionów, z czego Rosjanie stanowią 80%, czyli nieco ponad 114 milionów. Jak dodamy Polskę, Ukrainę i państwa bałtyckie, to wyjdzie nam około 90 mln. A więc przewaga demograficzna Rosjan nad blokiem Trójmorza jest niewielka. Jeżeli rozwinie się Trójkąt Lubelski, Międzymorze nabierze realnych kształtów, stanie się realną przeciwwagą dla Rosjan pod względem demograficznym.

A jak wygląda sytuacja na Dalekim Wschodzie? Moczulski porównuje, ilu Rosjan i Chińczyków żyje po obu stronach Amuru.

Na 6 milionów mieszkańców radzieckiego Dalekiego Wschodu dziś przypada 90 mln. Chińczyków w Mandżurii, a w roku 2000 będzie ich w tej prowincji przynajmniej 150 mln. Jak długo może utrzymać się sytuacja, gdy na południe od Amuru ludziom brakuje przestrzeni do życia, a na północ nadal setki tysięcy kilometrów kwadratowych dobrych terenów osiedleńczych pozostaje prawie bezludne?

Sprawdziłem, jak to obecnie wygląda. Rosjan (przepraszam – obywateli Rosji, bo to w większości nie są Rosjanie) na Dalekim Wschodzie nadal żyje 6 mln. W Mandżurii, czyli po stronie chińskiej Amuru, mieszka obecnie 265 mln ludzi, a więc o prawie 80% więcej, niż prognozował Moczulski na rok 2000. Przewaga Chińczyków jest przygniatająca – na jednego obywatela Rosji na lewym brzegu Amuru przypada ponad 44 Chińczyków na brzegu prawym!

Moczulski pisał w „Geopolityce", że to, co decyduje o potędze Rosji, czyli Syberia jest zarazem ich przekleństwem. Pod dużym znakiem zapytania stoi, czy oni są w stanie utrzymać Syberię – całą Północną Azję z jej bogactwami: ropą, gazem i co tam jeszcze jest. Czy oni są w stanie to utrzymać, kiedy po drugiej stronie Amuru i nad rzeką Ussuri stoi gigantyczna armia Chińczyków, którzy szukają przestrzeni do życia? Jak to będzie wyglądało. On omawia niedobór siły roboczej w Związku Radzieckim.

Próbowałem szukać obecnie, przed wojną w 2022 roku (czyli przenoszę rozumowanie Moczulskiego, jego metodę analizy problemów Związku Radzieckiego, na współczesną Rosję) – obecny niedobór siły roboczej przed wojną, w której stracili ćwierć miliona ludzi, siły roboczej, wynosił 4,8 mln. Brakowało im 5 mln ludzi, obecnie możemy do tego dodać jeszcze 250 tysięcy w kamaszach i 250 tysięcy w trumnach. Rosyjskie problemy obecnie bardzo się nasiliły.

W ten sposób Moczulski patrzył na Związek Radziecki. Mówił – nie patrzmy na nich jako na wielkie mocarstwo, które nieuchronnie będzie interweniować. Patrzmy na nich jako na kolosa, który ma gigantyczne problemy wewnętrzne. Te problemy dzisiaj w Rosji są, jak sądzę, pod pewnymi względami jeszcze większe.

Jerzy Wawrowski: Czyli nie ma zagrożenia rosyjskiego.

Mirosław Lewandowski: Nie. Pamiętajmy, że Rosja może podejmować działania nieracjonalne. Agresja Rosji na Ukrainę była nieracjonalna, ale została dokonana. Więc jeżeli mówimy, że Rosja ma problemy, że ewentualna wojna Rosji z NATO byłaby z ich punktu widzenia katastrofą, to z tego wcale nie wynika, że Rosja tego nie zrobi. Bo oni po prostu są „inteligentni inaczej", ich

racjonalizm jest inny niż nasz. Z tego, że mogą zrobić coś, czym przyspieszą swój upadek, wcale nie wynika, że oni tego nie zrobią.

Moczulski też zwracał na to uwagę. Dokonywał analizy i mówił, że jeżeli będą działać racjonalnie, to nie nie będą interweniować. Nie mówił, że interwencja jest wykluczona, ale że jest mało prawdopodobna, bo jest nieracjonalna.

Zwracał uwagę na jeszcze jeden element. Moja pierwsza rozmowa z Leszkiem Moczulskim miała miejsce w Krakowie na rynku w 1984 roku, kiedy on był między jedną odsiadką a drugą, a ja byłem studentem IV roku prawa. W księgarni spotkałem Bociana, który wydarł się na pół księgarni: „A to, panie przewodniczący, jest Mirek Lewandowski, nasz kolega". Ja się odwracam, widzę Moczulskiego i wychudzonego pana z bardzo fajną czarną babką. Zbyszek Adamczyk wie, o kim mówię. Podszedłem do nich. Bocian mówi: „Panie przewodniczący – Mirek Lewandowski. Mirku, przestawiam ci Marię i Leszka Moczulskich". Tak go poznałem. Niedawno wyszedł z więzienia. Poszliśmy do kawiarni „Noworol", zamówiliśmy lody i kawę i gadaliśmy ze dwie godziny. Pani Maria pod koniec miała mnie już serdecznie dość. Rozmawialiśmy to może przesada: Leszek Moczulski mówił, a my słuchaliśmy, bo to była naturalna sytuacja.

Kiedyś dziennikarz radził się mi, że chciałby przeprowadzić wywiad z Leszkiem Moczulskim. Odpowiedziałem mu „Proszę pana, będzie pan miał okazję zadać jedno pytanie na początku rozmowy, a potem pan będzie słuchał i niech pan nie próbuje przerywać, bo będzie dłużej, a nie krócej".

Tak wyglądała moja pierwsza rozmowa z Leszkiem Moczulskim. Pani Maria co jakiś czas mu tylko dogadywała, bo była wyraźnie niezadowolona. Byli w Krakowie, mąż po czterech latach w ciupie wyszedł na wolność, spotkał nieznanego mu studenta prawa i przez dwie godziny mu nawija o tym, że Związek Radziecki nie będzie interweniował w Polsce. Bo o tym opowiadał. Mówił o tym, że oni nie planują tej interwencji, bo przenoszą infrastrukturę na Czechosłowację albo na promy łączące Związek Radziecki z NRD, które omijają Polskę. To, że ta infrastruktura omija Polskę, jest dowodem na to, że oni interwencji nie planują. Planują, że Polska może odpaść.

Muszę powiedzieć, że Moczulski wielokrotnie wypowiadał się na temat interwencji sowieckiej w sposób bardzo kategoryczny. Najbardziej ostro w wy-

wiadzie do „Der Spiegel", że Sowieci powinni ustąpić. Ten wywiad ma dwie wersje. To, co się ukazało w „Spieglu" i co potem było przedrukowywane przez pisma solidarnościowe i KPN-owskie i KOWzaP-owskie, to nie jest prawdziwy wywiad Moczulskiego. To jest wersja spreparowana. Ten wywiad przeprowadzał stary komuch i były agent bezpieki, a moim zdaniem ówczesny agent KGB Leon Szulczyński, który pracował dla „Spiegla". Fakt, że on przeprowadzał ten wywiad z Moczulskim, prawdopodobnie tak Moczulskiego wkurwił, że ten wywiad był niesłychanie ostry. Wiemy to, bo bezpieka go nagrała i w aktach SB jet opis szczegółowy tej rozmowy. Z akt SB wiemy, co naprawdę powiedział Moczulski Szulczyńskiemu przez telefon. Gdy porównamy tekst w aktach SB z tym, co ukazało się w „Spieglu", przekonuamy się, jak Szulczyński albo „Der Spiegel", albo KGB, albo bezpieka „podkręcili" tę rozmowę. Żeby było ciekawiej, ta wersja podkręcona była puszczana, drukowana w prasie solidarnościowej, KPN-owskiej i KOWzaP-owskiej. My znamy tę wersję podkręconą.

Ale oryginalna wersja była równie stanowcza. Teza Moczulskiego była jasna i bardzo racjonalna. Rosjanie muszą się z Polski wycofać, co w tym tytule było wybite. Chyba nikt ani wtedy, ani później do 1989 roku tak ostro kwestii wycofania wojsk sowieckich z Polski nie stawiał. Po 1989 r. było, żeby Sowieci się wycofali. Była okupacja baz sowieckich, robiona m.in. przez KPN i SW. W każdym razie nikt tak ostro wcześniej, w tym czasie ani wiele lat później nie postawił kwestii wycofania wojsk sowieckich, jak Moczulski w wywiadzie dla „Spiegla". Przy czym chcę podkreślić, że rola i zasługa KPN polegała nie tylko na tym, że stawiano kategorycznie konieczność opuszczenia Polski przez Sowietów, ale na tym, że stał za tym wysiłek intelektualny. Stalo za tym pokazanie, że ich obecność tutaj nie jest nam potrzebna do tego, żeby bronić naszej granicy zachodniej. Moczulski i KPN przekonywali, że Związek Sowiecki nie może rzucić wszystkich sił na Polskę, bo ma cała masę innych problemów.

Moczulski trafnie zauważył, że nie jest tak, że Polska ma przeciwko sobie 100% potęgi sowieckiej. My mamy przeciwko sobie powiedzmy 10% tej potęgi sowieckiej, bo reszta sił sowieckich była skupiona na innych problemach i na innych odcinkach. My musimy mieć siłę, żeby powstrzymać te 10%, a nie 100%. Takie było rozumowanie Moczulskiego.

* * *

Uzupełniając powyższe wywody należałoby jeszcze przypomnieć kilka wypowiedzi Leszka Moczulskiego, o których nie wspomniałem w czasie konferencji, a któe dotyczyły kwestii Związku Radzieckiego, a konkretnie – jego potencjalnej interwencji w Polsce.

W „Rewolucji bez rewolucji" z 1979 roku znajdujemy krótką wzmiankę poświęconą temu tematowi.

Eksplozja społeczna nie musi sprowokować zbrojnej interwencji radzieckiej. „Całkowita strata Polski to dla nich (Rosjan) upadek imperium" – napisał Jacek Kuroń. Nie jest to nawet stwierdzenie naiwne, lecz wręcz żenujące. Na usprawiedliwienie rzecznika lewicy laickiej trzeba jednak powiedzieć, że również inni zbadanie arcyważnego problemu groźby zbrojnej interwencji radzieckiej zastępują żonglowaniem paroma zmitologizowanymi tezami. Jeśli koszt takiej operacji (interwencji radzieckiej), politycznie przecież nie mały – napisał ostatnio Janusz Zabłocki – nie odwiódł ich (Rosjan) od jej przeprowadzenia na Węgrzech i w Czechosłowacji, które z punktu widzenia strategicznego mają charakter bardziej peryferyjny, to nie wiadomo doprawdy, na czym można by opierać przypuszczenie, że zawahają się w stosunku do Polski, która ma z tego punktu widzenia znaczenie wręcz kluczowe". Doprawdy – ale nie wiadomo, czemu Zabłocki nie wziął do ręki jakiegokolwiek ekonomicznego atlasu radzieckiego, aby się przekonać, że jest akurat odwrotnie. Cała infrastruktura radziecka i obozowa, – tak jak została przebudowana i rozbudowana w minionych dwudziestu latach – właśnie stara się omijać Polskę. Przez PRL obecnie biegnie tylko już boczne odgałęzienie – najstarsze – jednego radzieckiego ropociągu tranzytowego Wschód-Zachód, gdy przez Czechosłowację i Węgry – trzy, prowadzące do Austrii, RFN, NRD. Wszystkie tranzytowe gazociągi prowadzą (i są tam budowane nowe) przez Czechosłowację, podobnie jak centralne linie przesyłowe energii (gdyby np. rejon przemysłowy Górnego Śląska, czy nawet Gdańska miały otrzymywać radziecką energię, to przesyłana ona by była przez CSRS via Północne Morawy). Wystarczy myśleć przy czytaniu gazety, aby zauważyć, że główny łącznik systemu energetycznego ZSRR i europejskich krajów RWPG zbudowano od Winnicy (Ukraina) przez CSRS do Albertirsa (Węgry) dzięki czemu „sieć połączonych mocy energetycznych rozciąga się od Ułan-Bator do

Berlina". Połączenie to nie prowadzi przez Polskę – omija ją. Dodajmy wreszcie, że jedyna w całości zelektryfikowana linia kolejowa, łącząca Moskwę z Berlinem, czy Paryżem – biegnie nie przez Warszawę, lecz przez Pragę czeską. Skoro, ktoś nie zauważył tak podstawowych i łatwo dostępnych informacji, z których przecież coś wynika – lepiej zrobiłby, wstrzymując się od zabierania głosu w kluczowej kwestii groźby radzieckiej interwencji zbrojnej, gdzie każdy błąd w kalkulacji może mieć olbrzymie znaczenie.

Nie wchodząc w bliższą analizę tego bardzo skomplikowanego problemu, ograniczmy się do stwierdzenia, że bez względu na zakres przemian wewnętrznych w Polsce, zbrojna interwencja radziecka wydaje się w okresie kilku lub kilkunastu najbliższych miesięcy (tj. w tym przedziale czasu w jakim niektórzy przewidują społeczną eksplozję) – bardzo mało prawdopodobna. (Arcyważny problem groźby radzieckiej interwencji omówimy niebawem w „Drodze").

W świetle tych uwag, założenia, które stanowią podstawę katastroficznych rozważań, nie dają się utrzymać. Sytuacja w Polsce daleką jest od rewolucyjnej, a choć napór społeczny będzie się powiększał i przechodził od form biernych do czynnych, to żywiołowa eksplozja społecznego gniewu na skalę rzeczywiście masową wydaje się być stosunkowo odległa. Nie wybuchnie ona nagle, w sposób zaskakujący. Nie będzie miała wyłącznie niszczącego charakteru. Rewolucyjny tok wydarzeń w żadnym wypadku nie determinuje narodowej katastrofy. Wreszcie, co dla analizy taktyki politycznej jest ważne, władze PRL nie będą czekać, aż dojdzie do żywiołowej eksplozji i wcześniej starać się będą podejmować skuteczne przeciwdziałania[26].

W wywiadzie dla Aleksandra Pruszyńskiego z kanadyjskiego „Czasu" (7 października 1984 roku) Moczulski przedstawił tę kwestię w sposób następujący.

Związek Radziecki na pewno nie chce oddać Polski. Nie chce oczywiście oddać niczego, ale robi nie to, co chce, ale to, co musi.Wszyscy robią to, co muszą. Związek Radziecki nie zaryzykuje dla niego spraw podstawowych po to tylko, by bronić spraw, które mają dla niego znaczenie drugoplanowe i trzecioplanowe. Takie znaczenie dla niego ma Polska.

[26] *Rewolucja bez rewolucji Leszka Moczulskiego z perspektywy 40 lat,* Warszawa 2020, s. 176-177.

Jeżeli Związek Radziecki ma narazić się na bardzo poważne kłopoty, które mogą odbić się na jego istocie, na jego możliwościach rozwoju, na jego potencjale, na możliwości przetrwania państwa radzieckiego lub ma ustąpić z czegoś, oddać jakiś teren, to oczywiście odda ten teren.

Natomiast Związek Radziecki będzie interweniował tylko wtedy i tylko tam, gdzie będzie wiedział, że to mu w istocie nie zaszkodzi. Związek Radziecki mógł świetnie interweniować w Czechosłowacji i zrobił to. To też zresztą nie był ten Związek Radziecki, co dzisiaj, a Polska to też nie Czechosłowacja, a ówczesna Czechosłowacja w szczególności. Mógł interweniować w Czechosłowacji bo wiedział, że mu to w niczym nie zaszkodzi. Ryzyko interwencji w Polsce dla Związku Radzieckiego jest wielkie.

Związek Radziecki od lat liczy się z tym, że być może odda Polskę. Jestem tego pewien. Wystarczy przeprowadzić rzetelną analizę polityczną, geopolityczną i ekonomiczną, a z tego wynikają konkretne wnioski. Ja nie jestem genialnym człowiekiem, który 20 lat temu wiedział, że to nastąpi. Już o tym nawet pisałem w książce, która ukazała się dzięki „grudniowi" w Polsce pod tytułem „Dylematy", gdzie pisałem, że w najbliższej dekadzie zacznie się proces rozpadu europejskiej części Związku Radzieckiego.

Wystarczy usiąść i zrobić analizę. Tę analizę Rosjanie robią ciągle. To tylko wszelkiego rodzaju domorośli politycy kawiarniami uważają, że oni muszą interweniować tak, jak mówili przez cały rok 1981. Widać, jak Rosjanie interweniowali. Oczywiście interweniowali, ale nie bezpośrednio. Tego rodzaju mędrcy kawiarniami powtarzają stereotypy, ale każdy, kto chce się zająć zagadnieniem poważnie, a Rosjanie na pewno zajmują się nim poważnie, dochodzi do wniosku, że w pewnych sytuacjach trzymanie Polski, to ofiarowanie skórki za wyprawkę.

Chciałem zwrócić uwagę na pewne dwie decyzje rosyjskie podjęte w grudniu 1981 roku. Pierwsza, która wywołała szok na całym świecie, a szczególnie w Polsce, to interwencja, wprowadzenie stanu wojennego w naszym kraju. Możemy przyjąć, że Rosjanie co najmniej zaakceptowali tę decyzję. W tym sensie jest to decyzja rosyjska.

W tym samym czasie podjęta została jeszcze inna decyzja, na którą nikt nie zwrócił uwagi, a trzeba zwracać na wszystko uwagę. Rosjanie kosztem grubych miliardów przystąpili w alarmowym tempie do budowy połączenia promowego

między Kłajpedą a jakąś małą miejscowością na wyspie Rugia na zachód od naszej granicy. To połączenie ma stworzyć ostatni element infrastruktury przebiegającej przez Polskę. To połączenie ma mieć po pierwszym etapie 70% zdolności przewozów, jakie szły kolejami przez Polskę, a potem ma mieć jeszcze większą zdolność przewozową.

Od dawna już gazociągi, linie przesyłowe wysokiego napięcia itd, itd, wszystko to przesunęli już w poprzednich latach nad Czechosłowacją. W Polsce pozostał tylko jeden element, którego nie można było przesunąć do Czechosłowacji – linie kolejowe, które łączą Zachód z Rosją. Na jesieni 1981 roku podjęli tę decyzję, a potem ją ogłosili. Tworzą po prostu most promowy, gdzie olbrzymie promy będą co 6 godzin opuszczały porty i szły taśmowo między Kłajpedą a Rugią. Oczywiście oba te porty zostały połączone dodatkowymi torami z magistralami, które szły do Polski na terenie Związku Radzieckiego i NRD. Pierwszy etap tej budowy zostanie zakończony w 1985 roku. Budowa idzie dobrze i nawet wyprzedza plan.

Jeżeli ktoś mi powie, że Rosjanie wyrzucają pieniądze w błoto po to tylko, by ruda z Krzywego Rogu na Ukrainie [...] szła do Eisenhuettenstadt, takiej niemieckiej Nowej Huty znajdującej się nad Odrą na wysokości Zielonej Góry, bo to będzie taniej, to przecież nikt w to nie uwierzy. Jest to po prostu jeden z licznych dowodów, że Rosjanie będą prawie wszystko robić, by nie oddać Polski, ale liczą się z tym, że będą musieli Polskę oddać. Nie zrobią tego dlatego, że im Rraegan karze, choć jego rola jest olbrzymia, ale dlatego, że z Polską nie mogą sobie poradzić. Ileż jeszcze razy mogą wprowadzić stan wojenny? Może jeszcze raz, może jeszcze dwa. Ja nawet sądzę, że już drugie wprowadzenie stanu wyjątkowego byłoby mało poważne i byłoby nawet nieskuteczne, bo ludzie to znają i efektu szokowego nie będzie. Raczej nawet ośmieszenie władzy.

[...] Mogę tylko powiedzieć jedno – moje osobiste przekonanie, że Rosjanie bardzo niechętnie Polskę oddadzą, ale już wiedzą, że ją oddadzą i nie zrobią nic takiego, by jej bronić, co by naraziło ich istotne interesy.

Aleksander Pruszyński: Czy obóz socjalistyczny może istnieć bez Polski jako jednej z jego istotnej części składowej?

Leszek Moczulski: Obóz może istnieć bez Polski tak dobrze, jak może istnieć bez rozmaitych jego członów, które w różnych latach od tego obozu odpadły. Na

razie odpadła Albania, Jugosławia i Rumunia w znacznej mierze, potem Chiny i Korea.

Aleksander Pruszyński: Ale co się stanie z NRD i Czechosłowacją, gdy odpadnie Polska?

Leszek Moczulski: Po pierwsze, nie wiadomo jak długo się jeszcze utrzyma NRD. Na pewno do końca tysiąclecia nie przetrwa. Natomiast Czechosłowacja jest tym krajem, co do którego Związek Radziecki jest przekonany, że nie może go oddać. Są dwa kraje, które Związkowi Radzieckiemu są naprawdę potrzebne: Czechosłowacja a potem Węgry, zwłaszcza jednak Czechosłowacja. Jest to zresztą jedno z wytłumaczeń dlaczego oni sprowokowali sytuację w Czechosłowacji, by móc tam wkroczyć w 1948 roku. Czechosłowacja jest jedynym państwem, które graniczy z ZSRR i Europą Zachodnią. Czechosłowacja jest zwornikiem obozu. Czechosłowacja jest potrzebna, by móc się dostać do Zachodniej Europy nie tyle militarnie, ale gospodarczo, co jest teraz ważniejsze, jeżeli Rosjanie chcą mieć pod kontrolą infrastrukturę i korytarz, poprzez który chcą się dostać do Europy Zachodniej. Czechosłowacja jest korytarzem, który im to zapewni. Przez Czechosłowację idzie gaz, nie tylko do Europy Zachodniej i gaz oraz ropa do NRD. Czechosłowacja łączy Węgierską Republikę Demokratyczną i Austrię, daje wyjście na Bałkany i łączy z ZSRR. Łączy też z NRD i to militarnie, bo główna grupa wojsk radzieckich, która jest rozmieszczona w południowych częściach NRD zaopatrywana jest przez Czechosłowację a nie przez Polskę, a łącznikiem zasadniczym dla tych wojsk jest rejon lwowski. Tamtędy jest zresztą bliżej, są lepsze drogi. Z Polską to już inny kraj i trudny kraj pod każdym względem.

Węgry natomiast poszerzają ten wąski kanał, zwłaszcza tam, gdzie jest on najwęższy – na wysokości Słowacji. Węgry wprowadzają ich na całe Bałkany. I dlatego te dwa kraje są najważniejsze dla Rosjan.

W drugiej kolejności dla Rosji ważne są kraje, które oznaczają obrys obozu, a więc przede wszystkim NRD, która jest w środku Europy, a potem Bułgaria.

Natomiast najmniej ważne są te kraje, które są wewnątrz obozu, które są potrzebne tylko do eksploatacji gospodarczej: Polska i Rumunia. I dlatego inne zachowanie Rosjan wobec Rumunii, a inne wobec Czechosłowacji. Proszę przypomnieć sobie, co pisała prasa zachodnia w 1968 roku i co mówiono wtedy w Polsce, że Rosjanie za jednym zamachem załatwią Rumunię i Czechosłowację. Uważają,

że Rumunię trzeba doprowadzić do posłuszeństwa, bo jest tuż obok. Ale Rumunia jest już nie taka ważna. Zbudowano połączenie promowe z Krymu, które idzie do Bułgarii i omija Rumunię tak, jak będzie z tym nowym połączeniem między Kłajpedą a Rugią.

Rosjanie są bardzo niezadowoleni, że im Rumunia odpada od obozu. Raz po raz próbują ją tam z powrotem zapędzić. Natomiast Rumunia od kilkunastu lat, od czasu, gdy Breżniew został pierwszym sekretarzem, jest w zasadzie krajem niezależnym, prowadząc samodzielną politykę zagraniczną nie tylko w stosunku do Izraela. Dlaczego więc Rosjanie tam nie interweniowali, a dlaczego interweniowali w Czechosłowacji mimo, że im Dubczek przysięgał, że będzie posłuszny? Dlatego, że Czechosłowacja jest ZSRR jeszcze bardzo potrzebna, a Polska i Rumunia są potrzebne najmniej. Polska była niesłychanie potrzebna w latach czterdziestych i pięćdziesiątych, bo jeśliby doszło do wojny, to w tej wojnie brałyby udział olbrzymie armie radzieckie, które by musiały się posuwać na szerokość setek kilometrów, na całą szerokość kraju, od gór po Bałtyk. Natomiast dziś to już nie jest takie ważne. Proszę zważyć jeszcze jedną rzecz. Nie ma dziś pociągów radzieckich przewożących żołnierzy na urlopy z NRD przez Polskę do ZSRR. Dziś przez Polskę idą tylko transporty wojsk radzieckich do Legnicy, a transporty wojsk do NRD idą tylko przez Czechosłowację[27].

W rozmowie z Maciejem Szumowskim w 1985 roku kwestia potencjalnej interwencji sowieckiej w Polsce była przedmiotem dość obszernej polemiki.

Leszek Moczulski: *Jestem głęboko przekonany, iż interwencja radziecka w Polsce w bieżącym dziesięcioleciu (a także w dziesięcioleciu które minęło) jest (i była) mało prawdopodobna. Nigdy nic w polityce wykluczyć nie można, dlatego nie powiem, że jest całkowicie nieprawdopodobna. 13 Grudnia wszyscy doskonale pamiętamy. Ja się zgadzam, że stan wojenny był co najmniej zaakceptowany w Moskwie, a więc możemy w tym sensie powiedzieć, że to była też decyzja radziecka. Tylko, że pamiętamy 13 Grudnia a nie pamiętamy o drugiej decyzji, którą w tym samym czasie podjęto w Moskwie. Została ona ogłoszona i pisała o tym nawet „Trybuna Ludu". Postanowiono, aby biegnące przez Polskę radzieckie trasy tranzytowe wschód – zachód usunąć z Polski i przenieść na Bał-*

[27] „Droga" nr 19 z grudnia 1985 r. i stycznia 1986 r.

tyk. Przed sierpniem 1981 roku w ciągu lat infrastruktura obozu socjalistycznego (linie przesyłowe wysokiego napięcia, rurociągi i gazociągi itp.) konsekwentnie przenoszone były do Czechosłowacji. Czechosłowacja jest korytarzem, który łączy Związek Radziecki z Europą Zachodnią ale także z NRD. Jedyna część infrastruktury obozowej, która pozostała w Polsce i była łącznikiem pomiędzy Wschodem a Zachodem, to były linie kolejowe. Otóż w tym samym czasie, kiedy podjęto decyzję o stanie wojennym w Polsce, podjęto decyzję, żeby ten cały transport kolejowy przerzucić na Bałtyk. W tej chwili, w 1985 roku, kończy się pierwsza faza budowy wielkiej linii promowej między Kłajpedą a jakimś nowo wybudowanym portem na Rugii. Będą tam pływały ciężkie promy, z których każdy bierze 30 pociągów w tempie prom co 8 godzin. W pierwszym etapie budowy, który właśnie się kończy, promy w ciągu doby będą przerzucały 120 pociągów. 120 pociągów żeby przejechało przez Polskę potrzebnych jest 5 kolejowych linii tranzytowych. Czy Pan sądzi, że Rosjanie są szaleńcami, którzy wyrzucają pieniądze w błoto a raczej w Bałtyk?

Maciej Szumowski: *Pan sądzi, że Rosjanie przygotowują się do tego, aby Polskę oddać jako Polskę niepodległą? Oddać ją Zachodowi czy oddać ją samej sobie?*

Leszek Moczulski: *Rosjanie nic nie lubią oddawać ale co muszą, to oddają. Oni nie mają ochoty Polski oddać i zrobią wszystko żeby nie oddawać. Twierdzę natomiast, że Rosjanie przygotowują się do tego, że jeśli Polskę stracą (bo tego nie mogą wykluczyć), to żeby skutki utraty zminimalizować. Nie od Rosjan zależy czy oni Polskę oddadzą. To zależy od Polaków. Natomiast Rosjanie przygotowują się w tej chwili do sytuacji, w której być może Polskę utracą.*

Maciej Szumowski: *Pan tak to optymistycznie powiedział, że z tego wynika, iż Rosjanie już się nas boją i przerzucają swoje linie strategiczne poza Polskę.*

Leszek Moczulski: *Rozumiem, że Pan chce powiedzieć, że utrata Polski dla Rosjan byłaby wielką szkodą…*

Maciej Szumowski: *Ja nie sądzę żeby była aż tak wielką szkodą w skali tak ogromnego kraju. Natomiast nie sądzę, żeby oni byli skłonni cokolwiek oddawać a szczególnie nam niepodległość.*

Leszek Moczulski: *Proszę Pana wyobraźmy sobie taką teoretyczną historię. To jest całkowita abstrakcja. Przyjmijmy, że możemy narzucić całemu światu wolę. Gdyby Pan zaproponował Rosjanom żeby oddali wszystkie europejskie kraje obozu*

socjalistycznego a w zamian za to dostaną jako satelitę Chiny. Jak Pan myśli zgodziliby się? Dobry to byłby dla nich interes?

Maciej Szumowski: *W teoretycznej zupełnie grze jaką Pan tutaj zaproponował można przyjąć, że na pewno byłby to dla nich jakiś handel.*

Leszek Moczulski: *Otóż o to właśnie chodzi. Nich Pan zwróci uwagę, że przecież Rosjanie mieli Chiny i je stracili. A jeżeli stracili taką wartość jak Chiny i pogodzili się z tym – bo się pogodzili – to może mogą też stracić wielokroć mniejszą wartość – Polskę. Ja wprawdzie nie twierdzę, że stosunek wartości Polski do Chin to jest 37 milionów do miliarda, bo ja sądzę, że wartość Polski dla Rosji jest znacznie wyższa. Ale co do jednego musimy się zgodzić – Chiny są znacznie ważniejsze dla Rosji niż Polska.*

Maciej Szumowski: *Tylko jakim sposobem ma się to według Pana odbyć? Bo na przykład ideolog uważany przez nasze władze za największego ideologa antykomunizmu, czyli Zbigniew Brzeziński, wygłosił tuż po amnestii bardzo charakterystyczne przemówienie, czy też wywiad dziennikarski, w którym powiedział, że Polska powinna zabiegać wszelkimi sposobami o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim na takich zasadach, że Związek Radziecki będzie szanował specyfikę polską. W drugiej swojej wypowiedzi na temat Jałty Brzeziński twierdzi, że nie jest możliwe prawne zanegowanie Jałty, natomiast twierdzi, że cała nadzieja w jakiejś ewolucji Europy niezależnej. W jakiejś delikatnej długofalowej grze Europy Zachodniej, która zechciałaby po prostu wesprzeć Europę Wschodnią. Brzeziński wręcz twierdzi, że Stany Zjednoczone powinny się wycofać z pierwszoplanowej roli obrońcy Europy Wschodniej, bo jest to sytuacja niewygodna, niezręczna i drażniąca Związek Radziecki. Natomiast tę funkcję, którą pełnią obecnie Stany Zjednoczone, powinny przejąć kraje Europy Zachodniej. Czyli – widzi daleki i odległy niuansowy plan. Z tym, że jest to jego teoretyczny pomysł, bo nie wiadomo jak by się to miało politycznie realizować. W każdym razie jednoznacznie stwierdził, że w interesie Polski jest docenianie siły Związku Radzieckiego. Wręcz użył on słów – „zabieganie o tę przyjaźń na warunkach szacunku dla specyfiki polskiej". I to mówi ten pierwszy antykomunista! Natomiast Pan twierdzi, że przewaga Związku Radzieckiego – tego ogromnego przecież mocarstwa w stosunku do nas – jest abstrakcyjna, znikoma, no i taka, która daje szansę sama z siebie, że uzyskamy niepodległość i niezależność. Jakim sposobem ma to się stać?*

Leszek Moczulski: *Ja wcale nie twierdzę, że Związek Radziecki jest słaby. Jest potężnym mocarstwem, tylko ma swoje uwarunkowania – przede wszystkim swoje uwarunkowania wewnętrzne, które powodują, że gros radzieckiej energii w najbliższych co najmniej 20 latach zostanie skierowane na sprawy wewnętrzne. Po drugie – Związek Radziecki ma własną logikę rozwojową i ta logika, która go kiedyś pchała na zachód, teraz pcha go na wschód. Ja nie mówię, że Związek Radziecki jest słaby, że jest mały, że jest zniszczony, że jest to coś z czym się nie trzeba liczyć – bo jest to potężne państwo. Tylko, że to potężne państwo ma swoją przyszłość w Azji i ma ono tak wielkie problemy wewnętrzne, że na nich będzie musiało się skupić w najbliższych co najmniej 20 latach. To powoduje, że parcie rosyjskie, które w historii szło w różnych kierunkach, obecnie zwraca się w innym kierunku, nie na nas.*

Maciej Szumowski: *To znaczy, że Pan liczy na wewnętrzną ewolucję Związku Radzieckiego?*

Leszek Moczulski: *Ewolucja następuje wszędzie. Ja nie liczę na ewolucję. Ja po prostu wiem. A to jest coś innego – liczyć a wiedzieć. Ja wiem, że Związek Radziecki musi skupić się na problemach wewnętrznych i zabraknie mu sił i energii, żeby przeć w kierunku zachodnim. Będzie parł w innym kierunku.*

Maciej Szumowski: *Ja uważam, że Związek Radziecki potrzebuje coraz mniej energii, żeby nas trzymać w posłuszeństwie. Najlepszym tego dowodem było to, że stan wojenny został dokonany polskimi rękami. Coraz mniej wysiłku trzeba żeby nas opanowywać.*

Leszek Moczulski: *Przez całe lata 70-te, kiedy inni mówili, że nastąpi interwencja radziecka, mówiłem – po co interwencja radziecka? Po co czołgi? Wystarczy jeden telefon. Tylko, że ten telefon został już wykorzystany. To już historia. Może jeszcze będzie drugi, może trzeci, ale to się kończy. Natomiast wróćmy jeszcze do dwóch rzeczy. Związek Radziecki a właściwie Rosja, bo jest to państwo w dalszym ciągu głównie rosyjskie (może się to zmieni w przyszłości) jest potężnym mocarstwem. Kluczowym zagadnieniem dla Polaków jest ułożenie stosunków ze Związkiem Radzieckim. Jeżeli byśmy mogli sprowadzić do jednego zdania całą koncepcję Konfederacji Polski Niepodległej, czy moją, to jest to koncepcja ułożenia stosunków z ZSRR tak, jak kiedyś ułożył je Józef Piłsudski. To znaczy nie z pozycji radzieckiego funkcjonariusza, nie z pozycji bicia czołem o ziemię, nie z pozycji czołgania*

się w błocie – tylko z takiej pozycji, jak układał to w historii Piłsudski. Z pozycji, która będzie naszą polską pozycją. My te stosunki ułożymy prędzej czy później.

Maciej Szumowski: *Taka szansa była przecież w okresie „Solidarności". Na tą szansę strasznie liczono. Gdyby Związek Radziecki był skłonny w ogóle do takiego rozumowania, jak Pan, to by to mogło nastąpić w okresie „Solidarności" w sposób bardzo prosty…*

Leszek Moczulski: *Jeszcze tej szansy nie było. Polityka to jest relacja zwalczających się sił a polska w okresie „Solidarności" nie potrafiła wytworzyć tego rodzaju siły, także materialnej, która by pozwoliła na rozmowy ze Związku Radzieckiego. A poza tym – nie były załatwione polskie sprawy wewnętrzne. Powiedział Pan o Brzezińskim. Wracam do Brzezińskiego, bo to jest interesujące. O Ludwiku Mierosławskim mówiono, że to jest generał przegranych kampanii. Profesor Brzeziński jest bardzo inteligentnym człowiekiem, tak jak Mierosławski był bardzo dzielnym generałem. Ale Brzeziński jest człowiekiem przegranych koncepcji. Jego wszystkie koncepcje po kolei się nie sprawdziły. W czasie, kiedy Brzeziński był szefem doradców politycznych prezydenta Cartera, był faktycznym kierownikiem Krajowej Rady Bezpieczeństwa USA. Pod jego skrzydłami wychodziło pismo (wychodzi zresztą do dziś) wydawane przez Departament Stanu (on się nim zawsze interesował, bo to było w zakresie jego tematyki badawczej), a mianowicie „Problemy Komunizmu". To bardzo interesujący dwumiesięcznik. Chyba w drugim numerze tego pisma (z 1980 roku) ukazał się obszerny, udokumentowany artykuł o sytuacji w Polsce, który odzwierciedlał poglądy, które akceptował Brzeziński. W tym obszernym studium pisanym przez jakiegoś utytułowanego profesora, w którym omówiona była kwestia opozycji w Polsce, doszli nawet do koncepcji Moczulskiego i KPN. I tam napisano, że wprawdzie są w Polsce tacy ludzie, którzy stworzyli KPN i uważają, że – po pierwsze – Polska jest u progu eksplozji społecznej, po drugie – ta eksplozja przybierze postać masowych strajków czy też strajku powszechnego i – po trzecie – efektem tych strajków będzie utworzenie szerokich struktur związkowych. Komentarz był następujący – „Jest to fantazja, jest to oderwana od życia spekulacja". Brzeziński tak właśnie uważał. Uważał, że masowe strajki w Polsce to oderwana od życia spekulacja. Niech sobie tak uważa a rzeczywistość zadaje mu kłam*[28].

[28] Rozmowa została przeprowadzona w lutym 1985 r. dla Niezależnej Telewizji Mistrzejo-

Wreszcie 7 lipca 1988 roku (w międzyczasie Moczulski i pozostali liderzy Konfederacji Polski Niepodległej zaliczyli jeszcze jedną odsiadkę, która zaczęła się ich zatrzymaniem w marcu 1985 roku, a zakończyła amnestią latem 1986 roku) Rada Polityczna KPN wydała uchwałę przed wizytą Gorbaczowa w PRL (była to wizyta związana z brutalną interwencją ZOMO w Hucie im. Lenina na początku maja 1988 roku, któa to interwencja zepsduła Gorbaczowowi szczyt w Moskwie z Reaganem). Gorbaczow złożył wtedy krótką, niezapowiedzianą wizytę, w czasie któe powiedział Jaruzelskiemu, że musi dogadać się z opozycją i że nie może już lilczyć na „pomoc" sowiecką – „doktryna Breżniewa" nie obowiązuje.

W tych dniach przyjeżdża do Polski przywódca Związku Radzieckiego Michaił Gorbaczow. Jest to wizyta na zaproszenie władz PRL, a nie na zaproszenie narodu polskiego. Gorbaczow odwiedzi kilka miejscowości i spotka się ze zorganizowanymi audytoriami: robotniczym, młodzieżowym, intelektualnym, złożonymi wyłącznie z osób wyselekcjonowanych przez władze PRL i nie reprezentującymi społeczeństwa polskiego.

Rada Polityczna KPN, niepodległościowej partii, dążącej do uwolnienia Polski spod radzieckiej hegemonii, wielokroć już wypowiadała się na temat stosunków polsko-radzieckich. Z uwagą obserwujemy rozwój wydarzeń w Związku Radzieckim i postępy pierestrojki, a z sympatią odnosimy się do przejawów destalinizacji. Popieramy takie akty, jak wycofanie się wojsk radzieckich z Afganistanu, czy likwidacja rakiet SS-20. Zarysowują one dopiero wstępny kształt polityki radzieckiej, jaka odpowiadałaby interesowi pokoju i normalizacji sytuacji światowej. Być może będzie ona punktem wyjścia do niezbędnej normalizacji stosunków polsko-radzieckich, normalizacji zerwanej 23 sierpnia 1939 roku paktem Hitler – Stalin i od blisko pół wieku zastąpionej hegemonizmem sięgającym nawet do zbrodni. Normalizacja stosunków polsko radzieckich nie może być dokonana jednym aktem. Wymaga rozwiązania wielu problemów, a więc i czasu.

---

wice. Zapis tej rozmowy, spisany z taśmy VHS jest dostępny na portalu *Internetowe Archiwum KPN* w dziale *Leszek Moczulski/Varia.*

Warunkiem normalizacji stosunków polsko-radzieckich jest uznanie podmiotowości narodu polskiego jako czynnika odrębnego i niezależnego od komunistycznej władzy PRL. Im szybciej to nastąpi w praktyce, tym lepiej dla obydwu stron. Proces normalizacji powinien się zacząć od działań, które będą rzeczywistym dowodem szczerości intencji radzieckich. Rada Polityczna KPN proponuje i apeluje aby Związek Radziecki bezzwłocznie:

1. *Wycofał wszystkie wojska radzieckie znajdujące się na terytorium Polski. W obecnych warunkach międzynarodowych ich dyslokacja w Polsce straciła sens strategiczny i jest jedynie widomym znakiem, że Związek Radziecki nie zerwał z dążeniem do panowania nad Polską.*
2. *Udzielił wiążących zapewnień, że nie będzie interweniował w wewnętrzne sprawy Polski, także z użyciem środków militarnych, gospodarczych, czy jakichkolwiek innych.*
3. *Aby Związek Radziecki wyjaśnił wszystkie ukrywane dotychczas fakty z przeszłości, w tym zbrodnie dokonywane na obywatelach Polski w czasie II wojny światowej i po wojnie, metody i narzędzia narzucenia Polsce hegemonii i utrzymywania jej, eksploatację gospodarczą Polski itd. oraz w porozumieniu ze stroną polską wyprowadził z tego odpowiednie konsekwencje moralne, polityczne i prawne*[29].

* * *

Myślę, że w tym myśleniu o kwestii niemieckiej, tak samo w myśleniu o kwestii sowieckiej, zasługą Moczulskiego i KPN był wysiłek intelektualny. Nie tylko samo mówienie, co jest dobre z moralnego punktu widzenia, żeby się stało, ale próba analizy gospodarczej, ekonomicznej, demograficznej, która podbudowywa wnioski moralne i polityczne. Jeżeli chodzi o jakość tej analizy, to KPN i Moczulski wielu konkurentów w latach 70. i 80. nie miało...

---

[29] Gazeta Polska nr 11 (42), 10 lipca 1988 r.

DYSKUSJA

Zbigniew Jackiewicz: Mirek zaczął wykład od problemu 4 czerwca. To oczywiste, że wobec tego może liczyć na moją natychmiastową ripostę. Dzięki, Mirku, że zacząłeś w tak nieoczekiwany sposób. Po pierwsze do 4 czerwca niedaleko, wszyscy będziemy mogli przyjrzeć się świętowaniu tej daty, jak dziwaczny, nieprawdziwy przekaz będzie towarzyszył temu 4 czerwca. Opowieści o demokracji, wolności i niepodległości, rzeczy, których być nie powinno, a które się zdarzają. Pisałem o tym dwa razy, łącznie z kwartalnikiem „Opinia".

Co jest elementem tej nieprawdziwej narracji? Po pierwsze „Solidarność". Jak usłyszycie rozmowy o 4 czerwca, zobaczycie, że pojawiają się tam różne symbole, ale symbol „Solidarności" pojawia się rzadko. Wszyscy, którzy pamiętają 1989 rok, wiedzą, że wydarzenia, których finałem był 4 czerwca dziejące się w krótkiej perspektywie między kwietniem a 4 czerwca, to było nic innego jak wielka akcja wyborcza „Solidarności". Ja ten czas dobrze pamiętam, spędziłem go w Warszawie, w przestrzeni zamykającej się między placem Konstytucji, gdzie była siedziba historycznej kawiarni „Niespodzianka" a gmachem Politechniki Warszawskiej, gdzie działała bardzo aktywna wtedy Komisja Zakładowa „Solidarności" Politechniki. Dlaczego tak się dzieje? Dlatego, że kiedy się chce wykoślawić wizję tego, co się działo w Polsce w 1989 roku, to zaczyna się od nieprawdziwej opowieści o 4 czerwca. Charakterystyczne dla tego święta jest to, że zapomina się, że 4 czerwca to była tylko pierwsza tura wyborów i zapomina się o tym, co się działo dalej. Ja uważam, że żeby opowiedzieć prawdziwą historię tego, co się działo w Polsce w czerwcu 1989 roku, trzeba opowiedzieć o wynikach wyborów 4 czerwca, o tym, co było 8 czerwca, a tam zaczęła działać dziwna komisja porozumiewawcza. Moglibyśmy porozmawiać, co to za ciało, skąd to ciało, kogo reprezentowało. O 12 czerwca, gdzie pojawił się dość niesamowity Dekret Rady Państwa modyfikujący wybory pod drugą turę, żeby komuniści dostali to, co uważali, że im się należy, a co im się nie należało i było wbrew woli wyborców wyrażonej w pierwszej turze wyborów. Nikt nie mówi o drugiej turze wyborów, bo to też haniebne wyniki, poczynając od frekwencji, jaka wtedy była i rozdziale mandatów dla komunistów na zasadzie, która obowiązywała przez cały PRL. To, co się działo 4 czerwca pokazuje,

że komuniści działali według reguł, które stosowali w PRL od samego początku aż do samego końca.

Teraz kwestia – kiedy ten koniec? Na pewno nie 4 czerwca, na pewno nie 14 czerwca. Mirek proponował październik 1991 roku. O tym możemy sobie podyskutować. Ja tylko przypomnę, że jest wersja, moim zdaniem dyskusyjna, bo nie przekręcająca faktów, że 22 grudnia 1990 roku prezydent Kaczorowski przekazując insygnia władzy, w sposób symboliczny pokazał, że niepodlegli Polacy mogą uznać ten moment za moment odzyskania niepodległości. Ale oczywiście ten 22 grudnia 1990 roku specjalnie się w świadomości Polaków nie utrwalił. To my mówiliśmy o przezydencie Kaczorowskim, przypominaliśmy tę datę i to, że był to ważny symbol, jeśli chodzi o kwestię odzyskiwania niepodległości.

Reasumując, 4 czerwca 1989 roku – wielki triumf wyborczy „Solidarności" i rozpoczęcie otwartej walki o wolność i demokrację. Jest rzeczą ważną, żeby w sposób rzetelny i prawdziwy opisywać, jak ta walka już jawna, oficjalna o wolność i demokrację w Polsce wyglądała i kiedy się kończyła.

Kolejny temat – „Solidarność".

Mirosław Lewandowski: Co do 4 czerwca nie różnimy się?

Zbigniew Jackiewicz: Nie różnimy się, obaj bronimy tego, żeby unikać tego fałszywego opisu, że to było jakieś święto wolności i demokracji, nie wiadomo czyje, bo nikt nie mówi, że to jest święto „Solidarności".

Mirosław Lewandowski: To nie jest pierwszy dzień niepodległości, ale bardzo ważny krok.

Zbigniew Jackiewicz: Drugi temat, o którym mówiłeś, Mirku, to temat „Solidarności". Będę tego bronił. Będę bronił tego, żebyście jednak zechcieli spojrzeć na „Solidarność" jako na wielki nurt niepodległościowy. Dzisiaj pokażę wam symbol, którym posługiwała się struktura „Solidarności", nie wiem, na ile ją znacie, nazywa się Sekcja Kombatantów NSZZ „Solidarność", oficjalna struktura „Solidarności" utworzona na początku 1981 roku, a jej symbolem jest krzyż z hasłem: „Bóg – Honor – Ojczyzna – Solidarność". Pokażcie mi

drugą organizację działającą w 1981 roku, która w sposób tak ewidentny i zasadniczy odwoływałaby się do symboli patriotycznych i niepodległościowych.

Jerzy Wawrowski: Konfederacja Polski Niepodległej.

Zbigniew Jackiewicz: Bóg. Honor. Ojczyzna?

Jerzy Wawrowski: Też.

Zbigniew Jackiewicz: Dobrze. Ja jako członek Instytutu Historycznego Nurtu Niepodległościowego dorobek KPN w tym zakresie szanuję, nie chcę go umniejszać, ale mówię też o tym, że KPN nie był jedyny i nie był sam.

Piotr Wójcik: Pierwszą.

Głos z sali: 90 proc. członków KPN należało do „Solidarności".

Zbigniew Jackiewicz: W przyszłym roku mamy 45. rocznicę powstania „Solidarności", więc jako Instytut, myślę, że świetnie byśmy się znaleźli, gdybyśmy zorganizowali konferencję poświęconą właśnie „Solidarności" i omówieniu spraw, które dla nas są najciekawsze. Na ile miałem możliwość wniknąć w historię kombatantów Armii Krajowej i ich związków z „Solidarnością", to będę chętnie dyskutował na temat, jak dalece „Solidarność" zaangażowała się w tę ideę, jak dalece ją wsparła i czy bez otwartej przez „Solidarność" przestrzeni działalność ta byłaby możliwa.

Kolejna rzecz, o której chciałbym powiedzieć, czym była sekcja Kombatantów NSZZ „Solidarność". Sekcja kombatantów to było środowisko Armii Krajowej, które istniało w 1980-81 roku, w takim stanie organizacyjnym, w jakim ono istniało. W działalność tej sekcji zaangażowali się najwybitniejsi żyjący przedstawiciele środowiska akowskiego. Tam powstało środowisko akowskie, które włączyło się i przekaz od Sekcji Emerytów był taki, że środowiska Armii Krajowej widzi „Solidarność" jako kontynuację walki o niepodległość prowadzone przez to środowisko.

Michał Janiszewski: Wszyscy mnie uważają za zakapiora z KPN, tymczasem w stanie wojennym siedziałem dwa razy za „Solidarność", więc to są dowody tej wspólnej drogi.

Teraz kilka wyjaśnień. Po pierwsze data, o której Mirek mówił. Wiedząc dokładnie o tym, że największym darczyńcą dzisiejszej konferencji jest Urząd ds Kombatantów i Osób Represjonowanych, a w ofercie na sprawy historyczne graniczną datą jest 1989 rok, więc tego nie przeskoczysz. Jak piszesz 1990, to oferta wypada, bo już mówisz o historii, której nie obejmują przepisy. Tu masz rację.

Jeżeli chodzi o LDPN i jego dorobek, podejrzewam, że tego nie ma tylko dlatego, że sami kurierzy, z którymi miałem do czynienia, byli o pokolenie ode mnie starsi. Podejrzewam, że ci, którzy pisali teksty i je redagowali, byli jeszcze starsi. To mogli być ludzie w wieku Leszka i ze względu na odejście biologiczne ten dorobek po prostu nie został w żaden sposób opracowany. Na szczęście on został i to jest pole do popisu dla młodych naukowców. Jeżeli chodzi o SW, to słyszałem, że wokół Andrzeja Kołodzieja, który skończył studia na Akademii Marynarki Wojennej, zgromadziła się grupa, która pracuje nad myślą polityczną na bazie dokumentów. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

Mirosław Lewandowski: Swój czas przespali. Mieli 8 lat i furę pieniędzy.

Krzysztof Laga: Nie martw się, kasy mają.

Michał Janiszewski: Kasy im nie zabraknie, a pewnie dlatego, że mają za dużo pieniędzy, więc się pierdołami nie zajmują.

Piotr Wójcik: Wydawali głównie na baloniki, kiełbaskę, długopisy i było bardzo hucznie.

Michał Janiszewski: Jeżeli chodzi o „Geopolitykę", o którą zahaczyłeś, to nie ja ją drukowałem, drukowało ją Wydawnictwo Polskie, które wtedy istniało tylko w Łodzi pod dowództwem Pawła Wielechowskiego. Z tą „Geopolityką" związana jest anegdota. Kiedy Paweł dostał tekst „Geopolityki", przeczytał ją,

to kurierem zwrotnym do Moczulskiego zapytał się: „To może być fałszywka". W dwóch przypadkach tak było. Raz z „Drogą", którą dziś cytowałeś i z „Geopolityką". Dwa razy Paweł w ten sposób zareagował, że żądał potwierdzenia treści przez swojego kuriera, bo bał się, że to fałszywki.

Była mowa o zjednoczeniu Niemiec. Chciałem zwrócić uwagę na jedną rzecz: koszty, które RFN musiało ponieść, żeby łyknąć NRD. Podejrzewam, że najpierw było zjednoczenie, a potem rozszerzenie Unii, ze względu na to, że ani Francja, ani inne kraje nie chciały w tych kosztach partycypować. Nie mówiąc o tym, że i tak partycypują.

Jeżeli chodzi o Putina i ten podział, przypominam, że niejaki obecny minister Sikorski powiedział, że premierowi Tuskowi proponowali na Kremlu wprost podział. Dementi nie słyszałem, więc podejrzewam, że to jest stała gra Rosji. Oni każdemu, na każdym etapie, proponują to samo.

Piotr Wójcik: Bierzcie Lwów.

Michał Janiszewski: Dzisiaj dotyczy to Ukrainy, jutro będą mówić o Litwie, a pojutrze powiedzą nam: Niderlandy.

Mirosław Lewandowski: Albo zaproponują Niemcom Wrocław...

Piotr Wójcik: Że mamy iść na Królewiec.

Michał Janiszewski: O, tego to nie! Mirku, mówisz o nieracjonalności postępowania Rosji, z czym się zgadzam, a jednocześnie jesteś w kontrze do tego, że decyzje UE też są nieracjonalne. Niektóre są po prostu absurdalne. Obawa, którą wyrażamy, ta część, którą uważasz, że są przeciwko Unii, to jest ta obawa, że oni postępują nieracjonalnie i zrobią następną głupotę. Mówimy o władzach UE.

Przedostatnia rzecz to rok 1988. Nakładają się w Polsce dwa zjawiska. Wchodzi w życie młodzież, nowe pokolenia, pojawia się nowe ciśnienie, trwa gra rozmontowywania buntów społecznych, a jednocześnie Leszek Moczulski wraca z objazdu po Zachodzie, gdzie rozmawia w Anglii, w Stanach Zjedno-

czonych i w Kanadzie. To był w poligrafii okres małej stabilizacji. Drukowało się książki, znaczki, kolportaż itd., a Leszek wpadł i to wszystko zdjął z maszyn. I nakazał drukowanie ulotek dla strajkującej Stoczni Gdańskiej, kolportowanych poprzez struktury Torunia (m.in. była posłanka z Chełma ś.p. Ela Michalak była zaangażowana w przewożenie tych ulotek jako kurier). Oni kursowali, a na maszynach były same ulotki, druki ulotne, dwustronicowe gazetki, żeby podtrzymać ducha strajkowego. Z rozmów na Zachodzie Leszkowi wynikało, że w zasadzie to jest jakoś poukładane, że „Solidarność" się jakoś wpasuje w ten układ, że PRL ustąpi, a „Solidarność" wejdzie. I on chciał to przerwać, czując to, że narasta ciśnienie nowych pokoleń. Organizacje FMW wówczas rosły jak grzyby po deszczu, NZS był dla nich nauczycielem, a my to już prawdopodobnie byliśmy staruchami. Atmosferę 1988 roku tak trzeba odczytywać. Z jednej strony działania i w kraju, i za granicą w tych strukturach politycznych były takie, żeby to uśmierzyć, uspokoić, żeby się dogadali, żeby nie było szumu, bo Rosja jednak jeszcze jest silna.

Dwie rzeczy, jedna anegdota. Mówiłeś o możliwościach rozmowy Leszka Moczulskiego z partnerami. Była taka konferencja w Łodzi, na której był m.in. Kropiwnicki, Wojciechowski i Leszek Moczulski. Ona była na temat: suwerenność a niepodległość albo odwrotnie, żeby sobie odświeżyć te pojęcia. Po konferencji spotkaliśmy się w kawiarni, w gronie KPN-owców z Leszkiem. Wchodzi Kropa. Zaprosiliśmy go na kawę, usiadł i mówi: „A teraz wam coś opowiem o Moczulu". Bo on na Leszka mówił „Moczul". Leszek się na to nie gniewał. „Byliśmy w Barczewie, coś się zgadało o Rosjanach na Alasce. Któryś z więźniów zapytał: »Jak to Rosjanie, a co oni tam robili«? Leszek na to: »Jak chcecie, to wam opowiem«".

Piotr Wójcik: Byli właścicielami.

Michał Janiszewski: „Jak zaczął – było po obiedzie. Mówił do kolacji, po kolacji przerwaliśmy. Na drugi dzień mówił po śniadaniu – do obiadu i od obiadu do kolacji. Jak zadzwonił dzwonek na kolację, Leszek skwitował: »To tyle by było, pokrótce«".

Ostatnia dygresja: Gdybyś, Mirku wybierał się do Lwowa, pamiętaj o tym, że we Lwowie jest kwatera główna Legionu Polskiego. Oni zapewnią ci pełną ochronę.

Mirosław Lewandowski: Zanim zacząłem prowadzić rozmowy z Leszkiem Moczulskim, które są na YouTube, raz w tygodniu do niego dzwoniłem, rozmawialiśmy sobie, które to rozmowy za zgodą Przewodniczącego nagrywałem. (Podkreślam, za zgodą). Rozmawialiśmy na tematy historyczne, niektóre wątki mamy przedyskutowane pięć razy, bo Przewodniczący nie pamiętał, że już to mówił i leciał kolejny raz z tym samym tematem, a ja grzecznie słuchałem. Pewnego razu zagadnąłem go o masonerię, chyba w związku z Janem Olszewskim. O jednej z lóż, ale chyba nie o lożę „Kopernik", tylko o innąj, Moczulski opowiadał mi przez 2 godziny. Myślałem nawet o tym, żeby zrobić konkurs *live* na YouTube, a kto go wygra, będzie mógł zadać Leszkowi Moczulskiemu dowolne pytanie, a Moczulski mu „pokrótce" na nie odpowie…

Kiedy Moczulski miał 85 lat, przyjechał do Krakowa, do Łenyka, który ma szkołę językową i powiedział, że chce sobie poćwiczyć angielski, wymowę. Słówka umie, ale w mowie chce poćwiczyć. W wolnych chwilach zaproponowałem: „Panie Przewodniczący, przejedźmy się do Pieskowej Skały". Akurat odremontowali zamek i można było tę nową wystawę w Pieskowej Skale oglądać. Ale nie mieliśmy przewodnika. Wziąłem drukowany przewodnik, który zamierzałem czytać na głos. Ale nie było to potrzebne. Do dzisiaj nie mogę odżałować, że tego nie nagrałem. Chodziliśmy po tej Piaskowej Skale 2–3 godziny, podziwiając komnaty od średniowiecza do XVIII wieku, sztuka użytkowa, piec kaflowy, naczynia – rzeczy kompletnie nieinteresujące. Moczulski „pokrótce", po 20–30 minut w każdej sali opowiadał mi o sprzętach, stylach, kontekstach historycznych itp. Nie ukrywam swojego zafascynowania tym człowiekiem, ale jedna rzecz jest u niego nieprawdopodobna: wiedza. Mogę pozazdrościć takiej pamięci i erudycji.

Andrzej Chyłek: O LDPN i niepodległości. Wydawało nie KPN, tylko MPS „Unia" i w latach 1982-84. Później oni zdobyli własny sprzęt drukujący i sami

się wydawali. MPS „Unia", czyli Międzyzakładowe Porozumienie Solidarności „Unia" – tak się wtedy nazywaliśmy. Jak opisujemy, w większości przeszło później do KPN, ale początki były takie.

Piotr Wójcik: Jeżeli chodzi o dłuższy wywód Mirka i Zbyszka, dotyczący 4 czerwca, on jest bardzo istotny, bo mamy do czynienia z realnym zamazywaniem realnych faktów decydujących o odzyskiwaniu niepodległości. Całkowicie się zgadzam. Wygumkowanie „Solidarności" nie tylko jako związku, ale także jako ruchu niepodległościowego, na rzecz lewicy KOR-owskiej jest po prostu fałszerstwem. Co do tego absolutna zgoda.

Druga zgoda jest co do oceny poglądów i analizy spraw międzynarodowych Leszka Moczulskiego, które referowałeś. Ja zresztą miałem taki passus w „Opinii", w której odnosiłem się do jego oceny Powstania Warszawskiego, decyzji o jego wybuchu. Pisałem, że się z tym w pełni zgadzam. Zgadzam się także z tą oceną, o której mówiłeś, zwłaszcza z jego dobrze przygotowanym widzeniem wprzód oraz o tym, jaka powinna być ta kolejność. Że najpierw zjednoczą się Niemcy, a potem Europa czy odwrotnie. Uważam, że podkreślenie, że Niemcy powinny zjednoczyć się po zjednoczeniu Europy, było absolutnie słuszne i nawet profetyczne.

Teraz polemicznie, chciałem się odnieść do kwestii, w której całkowicie się różnię z Mirkiem. Są to dwie zasadnicze kwestie, które, jak rozumiem, są Twoją interpretacją na użytek dzisiejszej polityki, oceny sytuacji politycznej czy poglądów politycznych, tematu, który referowałeś. Pierwsza kwestia że są odświeżone dogmaty, że Rosja jest gwarantem polskiej granicy zachodniej, że to teraz jest odświeżane w celu budowania antyniemieckich fobii. Nie zgadzam się z tym, nie mam żadnych związków z tym środowiskiem, ale nie zgadzam się z tym, że można to przypisać Solidarnej Polsce. Sam fakt tego, że popierają kwestie reparacji, jest logiczny. Jeżeli chcemy mówić o prawdziwym polsko-niemieckim pojednaniu, to ta kwestia jest jednym z głównych tematów. Teraz już pewnie za późno, ale jeżeli chcemy mówić o tym, że powinien był być zawarty układ pokojowy, który by nam rozwiązywał te wszystkie kwestie, to kwestia reparacji byłaby niewątpliwie kwestią centralną, jeżeli patrzymy pod kątem polskiej racji stanu i polskiego interesu, a także pewnego porządku mo-

ralnego, który w wyniku układu pokojowego powinien być ustanowiony. Co do tego uważam, że to jest całkowite zafałszowanie rzeczywistości w tych interpretacjach, które nie przystaje do tego, co się dzieje itd.

Druga teza, którą Mirek wygłosił, jest taka, że mamy nieprawdziwy obraz relacji polsko-niemieckich w wymiarze tysiąclecia i że II wojna światowa jest w nich tylko jakimś dziwnym, niezrozumiałym ekscesem. Ja bardzo przepraszam, ale powiem tak: wojny Bolesława Chrobrego – Głogów, Niemcza, krzyżactwo, Grunwald, rozbiory, Hakata, I wojna światowa, II wojna światowa – nie da się obronić takiej tezy, że mieliśmy tysiąc lat minus sześć przyjaznych stosunków z Niemcami. Przepraszam Cię, Mirku, za mocne sformułowanie, ale to jest teza absurdalna. Tak samo absurdalna jak teza o tym, że nie było czegoś takiego jak niemieckie *Drang nach Osten*. Przypominam to, co powiedział Bismarck: „Francja nigdy nie będzie naszym wasalem, jeśli będzie istniała Polska". Istnienie polskiej państwowości na przestrzeni historii jest wbrew niemieckiemu interesowi, tak jak on to rozumiał. Wywodziłeś od Fryderyka II, interpretowałeś, dlaczego powstał imperializm niemiecki itd. On jest po prostu faktem. Musimy przyjąć to do wiadomości. Nie możemy być ślepi, że te interesy niemieckie dzisiaj są takie same i mamy z nimi fundamentalną sprzeczność interesów egzystencjalnych.

Dwa powody, dwie kwestie bardzo ważne. Europa od Władywostoku po Lizbonę to koncept niemiecki, podobnie jak kwestia restauracji czy powrotu do koncepcji Mitteleuropy. To jest dowód na „pakt dwóch czarnych orłów". Powiem mocniej: niemieckie rządy i CDU, i CDU–SPD, i obecne dzisiaj SPD z Zielonymi i z FDP ponoszą odpowiedzialność polityczną i moralną za Monachium 2014, czyli za Mińsk, za budowanie przez wiele lat zdolności Rosji do agresji na Ukrainę. Przykładem klinicznym jest budowanie przez Rheinmetall AG w Rosji największego poligonu pancernego w Mulino w tym czasie.

Głos z sali: Z centrum dowodzenia.

Piotr Wójcik: Niemcy ponoszą odpowiedzialność za przygotowanie zdolności Rosji do tej wojny. Powiem więcej: politycy niemieccy (nie mówię o całym narodzie) mają krew na rękach. Krew dzieci, cywilów i żołnierzy ukraińskich.

Jerzy Wawrowski: Mam też kilka uwag dotyczących niektórych wypowiedzi Mirka. Oczywiście jak wszyscy zacznę od 1989 roku. Nie ma żadnego aktu niepodległości. Nikt nigdy tego nie ogłosił. Aktorka ogłosiła, że skończył się komunizm. Kto chce, niech wierzy. Ale nikt nigdy nie ogłosił, tego, że rozpoczęła się niepodległość, my się tego domyślamy.

Mirosław Lewandowski: Był projekt ustawy.

Jerzy Wawrowski: Był, ale nie przeszedł.

Piotr Wójcik: Był wymuszony. Ja na niego głosowałem.

Jerzy Wawrowski: Nie było komunikatu państwowego ogłaszającego niepodległość, w związku z tym my się domyślamy, że mamy niepodległość. Generalnie domyślamy się z enuncjacji medialnych w jednej czy innej gazecie. Mówi się, że Polska jest państwem niepodległym, ale ten fakt formalnie nie został w żaden sposób stwierdzony. Ale można się domyśleć innych rzeczy. Np. takiej oto sytuacji, że do 1989 roku Polska w ramach imperium sowieckiego była częścią imperium sowieckiego. Imperium sowieckie przegrało zimną wojnę i po 1989 roku rozpoczął się proces przekazywania terytoriów, któe w okresie zimnej wojny były zależne od imperium sowieckiego na rzecz zwycięzcy. A zatem z tego można się domyśleć, że jesteśmy w jakiejś formie zależni od Zachodu, może nie konkretnego państwa, ale tego, co np. Rosjanie nazywają „kolektywny Zachód", więc może jesteśmy jakąś formą tego „kolektywnego Zachodu". W ramach tego „kolektywnego Zachodu" ten nadzór protektoralny nad Polską mają sprawować Niemcy. Być może taki jest nasz stan faktyczny. W każdym razie państwowo niepodległość Polski nie jest ogłoszona, więc proponowałbym, żeby z ustanawianiem święta niepodległości wstrzymać się, aż zostanie to oficjalnie ogłoszone i datę tego aktu państwowego proklamującego niepodległość uznać za dzień odzyskania niepodległości.

Jeszcze jedna uwaga. Musimy zdawać sobie sprawę, że słowo i pojęcie niepodległość działa jak czerwona płachta na byka na środowiska lewicy laickiej, które odegrały tak istotną rolę w kontrakcie magdaleńskim i okrągłostołowym.

Środowiska lewicy laickiej są ze wszech miar internacjonalistyczne, a zatem są wrogiem wszelkiej narodowości i wszelkiej państwowości tego typu. A zatem – jak wszelkiej, to i naszej. Dlatego słowo niepodległość podobnie jak naród i państwo w mediach lewicowo-liberalnych są wręcz pojęciami wyklętymi.

Kwestia traktatu pokojowego z Niemcami. My żyjemy w prowizorce traktatowej. Nie ma rzeczywiście traktatu pokojowego z Niemcami. A skoro nie podpisano traktatu pokojowego, to co jest? Czy mamy przez to rozumieć, że jest stan wojny, tylko stan wojny w jakiejś formie zawieszenia, np. takiej, że jest jakiś rozejm? Czy jest jakiś rozejm?

Krzysztof Laga: Nie ma żadnego rozejmu.

Jerzy Wawrowski: Nie ma. Czy to jest stan wojny w takiej formie zawieszenia, że wróg stanął na linii Odry, Nysy Łużyckiej. Tak się jakoś ustaliło i tak zostało, wszyscy się przyzwyczaili. Jeżeli tak jest, to nasza sytuacja jest bardzo nieciekawa...

Piotr Wójcik: Była Konferencja w Poczdamie.

Jerzy Wawrowski: Ale słyszeliśmy o Traktacie Pokojowym, o orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego Republiki Federalnej Niemiec, więc jest, czy nie jest? Musimy wiedzieć, czy wojna się skończyła, czy się nie skończyła? Formalnie, bo wiem, że faktyczne działania się skończyły.

Krzysztof Laga: Formalnie skończyła się 8 maja 1945 w Europie…

Piotr Wójcik: Kapitulacją.

Krzysztof Laga: …A 2 września 1945 r. na świecie.

Jerzy Wawrowski: Mirek zdaje się wysuwać taki wniosek, że jesteśmy zagrożeni przez Rosjan czy też że Rosja jest naszym wrogiem, w tym sensie, że Rosja stanowi zagrożenie dla naszej niepodległości. Z tego faktu nie wynika

jednak, że Niemcy są naszym przyjacielem. Niemcy też mają swoje interesy pozostające w istotnej kolizji z naszymi fundamentalnymi interesami na wielu poziomach. W związku z tym nie możemy tak zakładać, zwłaszcza że doświadczenie historyczne powinno nas uczyć, że wrogość Rosji nie oznacza przyjaźni Niemiec. Bo wrogość Rosji w XVIII wieku nie oznaczała przyjaźni Prus. Wrogość Rosji w 1939 roku nie oznaczała przyjaźni Niemiec, więc nie możemy wykluczać, że nie może tak być w przyszłości albo nawet teraz. Dlatego tutaj byłbym ostrożny.

Kwestia ewolucji Niemiec. Szczególnie ostatnio wprowadza się narrację, że Unia Europejska *versus* Rosja, czytaj UE, w podtekście Niemcy *versus* Rosja. Otóż nie. Nie ma czegoś takiego. Rosja nie jest przeciwieństwem Niemiec. Rosja zasadniczo jest dopełnieniem Niemiec, które to dopełnienie nie zawsze wyraźnie, ale stale było dążenie z jednej czy drugiej strony, żeby to dopełnienie się wreszcie trwale zrealizowało. Jeżeli spojrzymy na to w ten sposób, że Rosja jest dopełnieniem Niemiec, to wtedy być może spojrzymy też na to, w jakiej pozycji jesteśmy i uprzytomnimy sobie, że cały czas jesteśmy w pozycji między Rosją a Niemcami, niezależnie od tego, o którą stronę zapieralibyśmy się nogami, a o którą rękami, to obie strony i tak będą nas ściskać. Więc tu musimy szukać trzeciego wyjścia. Trzecim wyjściem jest wyjście, o którym rozmawialiśmy, tj. Europa Atlantycka, euroatlantycka konstrukcja wielkoeuropejska z udziałem Stanów Zjednoczonych. W układzie europejskim udział USA dla nas, dla naszego bezpieczeństwa jest absolutnie fundamentalny.

Powiedziałeś, że Putin jest zwolennikiem wartości konserwatywnych, a więc rodziny, związków heteroseksualnych itd. Ja nie wiem, czego zwolennikiem jest Putin, bo nie śledzę jego życia prywatnego. Ale jeżeli nawet tak jest, to czy z tego wynika, że gdy wrócę do domu, mam teraz wystąpić przeciwko rodzinie, skoro jej broni Putin? Czy mam zacząć uprawiać seks z kolegami i koleżankami, bo Putin jest hereto? Teoretyzuję, oczywiście. Po prostu jest rzeczą absurdalną, bym system swoich wartości uzależniał od tego, że jakaś osoba trzecia ma takie albo inne wartości, nawet jeżeli ta osoba sama w sobie jest zła. Na tej zasadzie możemy powiedzieć, że nie wybudujemy w Polsce autostrad, bo autostrady wymyślił i zbudował Mussolini, a Hitler budował drogi asfaltowe. Takie myślenie jest totalnie absurdalne.

Andrzej Chyłek: Za Hitlera rozpoczęto także budowy autostrad betonowych.

Jerzy Wawrowski: Absurd polega na tym, że jesteśmy faszystami, bo budujemy autostrady. To jest rozumowanie Mirka. Nie da się tego obronić.

Co do naszych granic. Proszę państwa, od dłuższego czasu pada słowo niepodległość itd. Jak można być niepodległym, jeżeli potrzebujemy gwaranta granic. Kraj, który sam nie jest w stanie sobie zagwarantować i potrzebuje zewnętrznego gwaranta granic – nie jest niepodległy. Podstawowa kwestia – kwestia bezpieczeństwa narodowego jest fundamentalna i my musimy pracować nad tym, żeby naszą zdolność obronną rozwijać możliwie maksymalnie na różnych poziomach. Nie tylko jeśli chodzi o rozwój armii itd., ale również jeśli chodzi o rozwijanie gotowości społecznej społeczeństwa czy narodu do obrony. Pewien ekspert zauważył, że jeżeli chodzi o sprzęt, wyposażenie społeczeństwa afgańskiego, to ich zdolności obrony nie były jakieś wielkie, ale gotowość tego społeczeństwa do obrony była tak potężna, oczywiście w grę wchodziły też warunki terenowe itd., że żaden wróg nie był w stanie Afganistanu trwale podbić. Nie chcę snuć dywagacji, jaka jest gotowość naszego społeczeństwa do obrony, bo to temat na odrębne seminarium.

Jest tutaj także naiwne spojrzenie na politykę, że ktoś temu podpowiada, co ma robić, ktoś Niemcom podpowiada, że mogą naruszyć nasze granice. Niemcy są jednym z tych narodów, które dobrze uświadamiają sobie swój krótkofalowy i długofalowy interes polityczny i raczej nie kierują się tego rodzaju podpowiedziami, tylko własnym interesem politycznym i własną kalkulacją sił. Oczywiście popełniają błędy. Przeliczyli się w czasie I wojny światowej, przeliczyli się w czasie II wojny światowej. Trzeba wziąć pod uwagę, że to były przedsięwzięcia na wielką skalę. Natomiast jeżeli Niemcy skalkulują, że jest korzystne dla ich interesów zakwestionować nasze granice zachodnie i odebrać te terytoria, to zrobią to bez niczyjej podpowiedzi. Jeżeli skalkulują tak, że to jest niekorzystne, to tego nie zrobią. Naszą rzeczą jest, żeby tworzyć taką sytuację, tak wpływać na naszą siłę, żeby im się to nie kalkulowało i to jest jedyna gwarancja, która zabezpieczy nasze granice zachodnie. Zgadzam się z tym, co Piotrek powiedział, tylko to uzupełnię. Od X wieku Niemcy ze swoich granic etnicznych, czyli germańskiego żywiołu, ze swoich granic etnicznych przebie-

gając na linii Łaby, przesunęli się bardzo daleko na Wschód i jeżeli to nie jest *Drang nach Osten*, to co to jest?

Widzę błędne rozumowanie. Jeżeli jest zagrożenie naszej niepodległości ze strony Rosji, to czy z tego wynika, że my, żeby uratować się przed zagrożeniem naszej niepodległości ze strony Rosji, mamy się stać się państwowością podległą Niemcom? Jak to ma być, bo w tym momencie zacząłem się zastanawiać: ok, chcemy być niepodlegli, Rosja nam zagraża, musimy się obronić, więc mamy podlegać Niemcom? Nie. Oczywiście możemy zawrzeć sojusz z Niemcami, ale nie na zasadach podległości, bo to jest absurd. Cały czas powtarzam: musimy na wszelkie sposoby próbować sił własnych. Ja nie widzę, żebyśmy siłę akurat przez okres III RP budowali.

Jeśli chodzi o zajmowanie terytorium, patrzymy anachronicznie. Zajmowanie terytorium było nagminną przyczyną konfliktów między państwami, kiedy kluczowym dobrem była ziemia i ludzie. Podstawową formą gospodarki było rolnictwo i o sile państwa decydowała ilość ziemi i ilość ludzi, co miało wpływ na wielkość wpływów podatkowych i ilość wojska. Dzisiaj zajmowanie terytoriów zastępuje osiągnięcie dominacji gospodarczo-finansowej na czyimś terenie. Jeżeli ktoś w ręku będzie miał nad częścią naszych ziem zachodnich kontrolę finansową, kontrolę gospodarczą i kontrolę technologiczną, to jemu nie potrzeba tego wyjmować spod administracji w Warszawie, bo i tak będzie tam rządził. Więc Niemcy nie muszą tego zajmować, wystarczy że ustanowią tam swoją kontrolę gospodarczo-finansową i tyle.

Co do gerontokracji. Było takie lekceważenie Rosji, w temacie rosyjskiego zagrożenia pojawił się wątek, że tam jest gerontokracja. Przyjrzałem się gerontokracji w czasach Breżniewa i jest tak: Leonid Breżniew (1906–1982), gdy umarł miał 74 lata. Dziś (w roku 2024) Putin (urodzony w 1952 roku) ma 72 lata. Gerontokracja może być groźna. Również gerontokracja w wykonaniu Kaczyńskiego może być groźna dla Platformy Obywatelskiej. Nie bagatelizowałbym gerontokratów z uwagi na to, że oni mogą być bardziej groźni niż juniorzy.

Zauważyłem też u Ciebie, Mirku, dziwną sprzeczność. Skoro Rosja wtedy miała i dziś ma takie problemy, to dlaczego się tej Rosji boimy? A jednak się boimy, skoro mówimy, że musimy się chronić w Unii Europejskiej przed

Rosją, musimy być w Unii Europejskiej na zasadach państwa „uszy po sobie", słuchać się wszystkiego, co nam powiedzą, bo Rosja nam zagraża. A z drugiej strony mówimy, że Rosja nam nie zagraża, bo ma wielkie problemy. Mimo doświadczenia historycznego jest w Polsce ciągle wielki błąd niedoceniania tego, że Rosja po okresie klęsk może się podnieść ze smuty, odrodzić i zadać potężny cios. Ja nie wiem, czy ten charakter już się skończył, czy nie, ale tak długo, jak długo będzie istniała Rosja – wielkie państwo – ze swoją ideologią imperialną będziemy stale musieli się liczyć z tym, że się podniosą i będą chcieli restytuować imperium. I będą restytuować naszym kosztem, bo jesteśmy kluczową prowincją. Byliśmy najwspanialszą prowincją dawnego imperium cara.

Mirosław Lewandowski: Ja zostałem źle zrozumiany. Jurek zrozumiał, że z faktu, że propaganda Kremla przedstawia Putina jako obrońcę konserwatywnych wartości w Europie (co zresztą jest bardzo widoczne, bo sojusz Meloni, Le Pen, w który niestety wdeptuje PiS, jest właśnie pod tym hasłem – „bronimy konserwatywnych wartości"), to Jurek zrozumiał, że w takim razie, aby być przeciwko Putinowi, to powinien spać z kolegami. Nie, po trzykroć nie!

[Wesołość na sali]

Piotr Wójcik: Panowie, jestem szczęśliwy, że wreszcie sobie to wyjaśnimy.

Krzysztof Laga: Konfederacja Polski Niepodległej była pierwszą partią niepodległościową założoną 1979 roku, ukonstytuowaną 1 września 1979 roku. Od początku Konfederacja Polski Niepodległej mówiła, że celem jej członków, całej instytucji i organizacji jest stworzenie niepodległej, suwerennej Trzeciej Rzeczpospolitej, w której my, jako naród, będziemy mieć suwerenne prawo w wolnych, demokratycznych, nieskrępowanych wyborach wybrać własnych przedstawicieli. Koniec, kropka. Potem w 1980 roku, jak powstała „Solidarność", my jako Konfederacja włączyliśmy się momentalnie do tego ruchu, chcąc mu nadać kierunek niepodległościowy. Nie udało w wielu wypadkach, w innych się udało, na Śląsku np. się udało. Ja mogę powiedzieć o doświadczeniach śląskich, bo jestem ze Śląska. Wracając do relacji Konfederacji Polski

Niepodległej z „Solidarnością". W stanie wojennym, działaliśmy, jak ludzie poszli siedzieć do kryminału. Konfederacja pomagała w kościelnych instytucjach i organizacjach, które wspomagały internowanych, zatrzymanych, skazanych. To Konfederacja tworzyła siatki obiegu kurierów, łączników, druku, dostarczenia bibuły, o organizowaniu demonstracji, manifestacji nie mówiąc. Tak to było. „Solidarność" w podziemiu tak naprawdę bez nas by nie funkcjonowała.W 1989 roku, jestem tego świadkiem, odmówiono między innymi mnie wjazdu na zjazd „Solidarności", dlatego że uznano, że ja nie jestem reprezentantem „Solidarności", bo jestem członkiem KPN. Dlatego nie dopuszczono mnie do głosowania, wiadomo, jakie to było głosowanie. Niby przyjechały chłopaki z Okrągłego Stołu, czego byłem świadkiem, żeby przekonać delegatów do tego, co ustalił Kuroń z Michnikiem w Magdalence. Nie, nie było takiej możliwości. Dopiero po usunięciu naszych delegatów – mnie nawet do zjazdu nie dopuścili, ale ludzi wyrzucali z sali, członków Konfederacji, którzy byli działaczami „Solidarności". Andrzej Andrzejczak, który był liderem strajku w jednej z kopalń na Śląsku, najpierw na Morcinku, potem na Manifeście LIpcowym, jego też tak samo wyrzucili z tego zjazdu. To, że ten, który prowadził ten zjazd, dzisiaj wielki Lider Prawa i Sprawiedliwości, mnie publicznie przeprosił, okej, przyjmuję. Co nie zmienia faktu, że taka rzeczywistość miała miejsce. Ja nie twierdzę, że to byli agenci czy coś. Dali się ogłupić i obałamucić chłopakom z Warszawy i tyle. Uznali, że droga, którą wytyczyła centrala łącznie z Wałęsą jest dla „Solidarności" najważniejsza, najsłuszniejsza, a my tylko szkodzimy, chcemy swoje ugrać, robić podjazdy, knucia, intrygi, w tym wypadku służymy peerelowskiej propagandzie, a tak naprawdę bezpiece i partii. Tak nas zbajerowali, że w końcu nie wystawiliśmy kandydata do sejmu w 1989 roku, w moim okręgu wyborczym, co było naszym osobistym wielkim błędem – moim i Tomka Karwowskiego. Bo trzeba było zebrać podpisy, wystawić i walczyć z przedstawicielami „Solidarności", bo oni nie zasługiwali. Zresztą zostali potem posłami, skompromitowali „Solidarność" zupełnie. Pierwsze, co zrobił kolega, który został posłem z ramienia „Solidarności", to… dostał mieszkanie od komitetu Zakładowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Taka to była „Solidarność", z takimi ludźmi. Dzisiaj ktoś opowiada, że oni walczyli o niepodległość. O żądną niepodległość nie walczyli. Walczyliśmy my.

Taka jest brutalna prawda. Oczywiście rok 1989, to, co się stało później, był rząd i ludzie tak naprawdę poszli w zupełnie inną stronę, zaczęli zajmować się zupełnie innymi sprawami. „Solidarność" zbałamuciła ludzi, tłumaczyła im, że trzeba robić biznesy, że jesteśmy u siebie i mamy robić to, co najlepiej, co mówi Lech Wałęsa. Taka jest brutalna prawda. To się odbija do dzisiaj, bo działacze „Solidarności", którzy wtedy byli, uważają się za wielkich bohaterów, którzy są w Regionalnej Radzie do Spraw Kombatantów. Nie chcą nikogo z KPN, żeby wszedł do Rady, bo jak tylko słyszą KPN, to dostają białej gorączki i gęsiej skórki, bo wiadomo, że na spotkaniu od razu będzie pytanie: „A co, kolego robiłeś po 4 czerwca?". „No, kręciłem lody z PZPR-owcami". Bo co on miał robić w zakładzie pracy? Nie wywoził ich na taczkach. Ja się z wieloma sprawami i rzeczami z Adamem Słomką nie zgadzam, natomiast tu ma niestety rację. Nie może być tak, że dzisiaj ktoś wstanie i powie, że on walczył o niepodległość, a ci z KPN to tam… Wstaje teraz taki gościu, który teraz zrobił sobie życiorys, że był w SW. Do SW wstąpił – ja wiem kiedy – w styczniu 1989 roku, a ma napisaną taką historię, że ja po prostu zgłupiałem, bo facet nie wiadomo, co robił. I wszystko ma przystemplowane, ma kwit, ma dokumenty – życie! Tak widocznie musiało to funkcjonować, tak to funkcjonuje, co wcale nas nie zwalnia z odpowiedzialności, żeby z takimi postawami walczyć i starać się przedstawiać naszą prawdziwą opinię, nieistniejącą historię, również Konfederacji Polski Niepodległej i naszego wkładu w odzyskanie przez Polskę niepodległości. Bo jak tego nie będziemy mówić... Zresztą kawał roboty robi nasz Instytut, nie ma tu o czym gadać. Ja mówię o tym, z czym się spotykam, jak słyszę, gdy ktoś z „Solidarności" walczył o niepodległość. Może i walczył, ale powiem szczerze, że tych, co walczyli na Śląsku, mogę wymienić na palcach jednej ręki, a jakbym się bardzo uparł, to dwóch, łącznie z tymi, co zmarli.

Chciałem jeszcze powiedzieć o Niemcach. Moje stanowisko jest takie i będę tego bronił: nie uważam wcale, że Niemcy są naszym zagrożeniem numer jeden. Niemcy oczywiście w UE mają swój wyznaczony cel i ten cel będą się starali osiągnąć. Ten cel jest również naszym kosztem, natomiast my możemy minimalizować straty i próbować z nimi walczyć. I trzeba to robić. Moim zdaniem nie są w stanie walczyć o to ani PiS-owcy, ani Konfederacja. Jedyną formacją, która musi wziąć na siebie pełną odpowiedzialność za to, jest Koali-

cja Obywatelska i Donald Tusk. On musi na siebie wziąć odpowiedzialność za to, z pełną konsekwencją, jeżeli tego nie zrealizuje. Ja będę go z tego rozliczał, a nie z tego, czy posadzi do kryminału trzech czy czterech posłów Solidarnej czy Suwerennej Polski (jak zwał, tak zwał – to są po prostu złodzieje). Bo i tak pójdą siedzieć, bo już są na nich takie kwity, że daj im Panie Boże zdrowie. Chodzi o to, żeby rząd, koalicja i nasza reprezentacja w Unii Europejskiej i potem w Komisji działała autentycznie w interesie naszego państwa i żeby ten interes przeprowadzać wspólnie z Francuzami. Musimy próbować przekonać Niemców do wspólnych działań. Bo inaczej się tego nie da, moim zdaniem, zrobić, a wyzwania mamy naprawdę wielkie. Za chwilę będą wybory w Stanach Zjednoczonych i nie wiemy, jak się wykreuje scena polityczna w Stanach Zjednoczonych w listopadzie, po wyborach. Nie wiemy, kto wygra. Wiemy, że kto by nie wygrał, chłopaki muszą się zmierzyć z poważnym zawodnikiem, jakim są Chiny. I tak większość energii, siły, pieniędzy, inwencji zostanie skierowana na Azję, a nie na Europę. Jako mieszkańcy Europy musimy się liczyć, musimy o tym pamiętać i mieć w tyle głowy, że tu nie będzie tak, że na każdy nasz pstryk wujek Joe z Ameryki przyleci na samolocie albo przypłynie statkiem. Takiej historii nie będzie.

Andrzej Chyłek: Króciutko w ripoście. Krzysiu, nie możesz sprowadzać wszystkich wydarzeń do Śląska, bo niestety środowisko śląskie jest specyficzne i o tym wszyscy wiemy. Tu się nie da ani zaprzeczyć, ani wykluczyć, ale w innych terenach Polski było zupełnie inaczej.

Jeżeli chodzi o KOWzaPy, o czym tu była mowa, powstawały głownie w oparciu o kadry „Solidarności".

Krzysztof Laga: Wrócimy do źródeł. Dojdziesz do śląskiego KOWzaPu, zobaczysz skład śląskiego KOWzaPu i wszystkich innych KOWzaPów, które istniały na Śląsku – wszystkie zakładali członkowie KPN. Byli liderami. KOWzaP to byli ludzie, którzy upominali się o więźniów politycznych i też nie było tak, że przyjeżdżali na zakład pracy, tworzyło się komórkę KOWzaPu i rozdawało się pod zakładem pracy, pod bramą ulotki o Moczulskim, o Stańskim, o Szeremietiewie.

Andrzej Chyłek: Na Śląsku wychodziła bardzo dobra gazeta uświadamiająca wielu ludziom, w tym członkom „Solidarności", co się działo, jacy ludzie, jak i za co byli więzieni. Stąd niektórzy ludzie przekonywali się później do działań politycznych. Nie wszędzie KPN istniało od 1981 roku w takich wymiarach jak na Śląsku. W niektórych były tylko szczątki, które później się dopiero odbudowywały.

Mirosław Lewandowski: Bardzo króciutko. Jurek mówił o Magdalence i wymieniacie Michnika, Lewicę, a pomijacie Lecha Kaczyńskiego. Chciałem się upomnieć, żeby nie pomijać roli Lecha Kaczyńskiego w Magdalence, to jest także jego zasługa.

Krzysztof Laga: Ja go nie pomijam, ja go traktuję jako kierownictwo „Solidarności", on był w kierownictwie „Solidarności".

Piotr Wójcik: Ale nie pił wódki.

Mirosław Lewandowski: Pił, bo jest na filmie.

Krzysztof Laga: Pił, ale nie rzygał.

Piotr Wójcik: Skąd wiesz?

Krzysztof Laga: Tak mówili podobno.

Mirosław Lewandowski: Na Śląsku było tak, że najpierw powstały KOWzaPy, a potem ci ludzie z KOWzaPów założyli KPN. Jak powstawały KOWzaPy łącznie z Baranowską…

Krzysztof Laga: Teresa najpierw była w KPN, a potem założyła KOWzaP.

Mirosław Lewandowski: Sama o tym mówiła, że werbowała ludzi do KPN, nie będąc w KPN.

Krzysztof Laga: Teresa mówi to, co chce powiedzieć temu, kto ją słucha, różnie z nią bywa...

Mirosław Lewandowski: Tak mi mówiła. Co do „Solidarności", nie chciałbym, żeby powstało wrażenie, że nikt nie skontrował Twojej opinii.

Krzysztof Laga: Andrzej skontrował.

Mirosław Lewandowski: Jedną rzeczą było to, co ludzie mówili i rzeczywiście „Solidarność" o niepodległości nie mówiła, a część „Solidarności" na KPN miała wysypkę. Inną rzeczą jest, obiektywnie patrząc, stwierdzenie, że nikt nie zrobił tyle dla odzyskania przez Polskę niepodległości, co „Solidarność". To jest poza dyskusją, że ona odegrała rolę kluczową. Więc my jako mniejsza grupa próbowaliśmy nadać im pewien kierunek, wesprzeć, pomagaliśmy, ale nie ma wątpliwości co do roli „Solidarności".

Krzysztof Laga: Kreowaliśmy w wielu przypadkach.

Mirosław Lewandowski: Ja się podpisuję pod tym, co mówił Zbyszek Jackiewicz.

Kazimierz Wilk: Co do kwestii, o której mówił Krzysiu Laga. Szanowni Państwo, my nie wypinamy piersi do odznaczeń, tylko Krzysiu chciał powiedzieć, że pierwszą partią polityczną była Konfederacja Polski Niepodległej. Ja sam byłem delegatem Regionu Śląsko-Dąbrowskiego „Solidarności", śp. Tomek Karwowski, ty też byłeś w Ustroniu-Polanie na zjeździe. To nie jest tak, że to się przenikało. Jeżeli mówimy o faktach, fakty są takie, że pierwszą partią polityczną, która mówiła o odzyskaniu niepodległości była KPN.

Kolejną rzeczą, do której się odniosę, są słowa Jurka Wawrowskiego. Zastanawiam się – do Mirka też mówię – może ustanowilibyśmy Święto Transformacji Ustrojowej? Słyszy się do dnia dzisiejszego o „transformacji ustrojowej". Wszyscy się boją jak jeża niepodległości. Czy ktoś mi wyjaśni, co się stał z Konstytucją Kwietniową? Zamietliśmy ją pod dywan, wywieźli? Jeżeli zaczyna się

budować dom od dachu, to wszystko się wali. Nie chciałem zabierać głosu, ale Mirek każdego sprowokuje. Mówię Ci po raz drugi lub trzeci i więcej już nie zwrócę Ci na to uwagi. Proszę Cię bardzo, żebyś się nad tym zastanowił.

Jeżeli chodzi o Unię Europejską, nie będę się wypowiadał na temat eurokołchozu. To jest jeden wielki eurokołchoz, lewactwo jest tam wszechwładne. Jeżeli państwo mają dobry nastrój, jeżeli wierzą, że to idzie w dobrym kierunku, to trudno, ja nie będę nikogo przekonywał. Natomiast muszę oponować, bo powiedziałeś, że wszyscy zgodzimy się co do Lwowa i co do Wilna. Przepraszam bardzo, ja się nie zgadzam. Jeżeli nie zabiorę głosu, to znaczy że się z tym zgadzam. Już raz zwróciłem Ci uwagę, żebyś nie zapominał o Kresach w tym o Zaolziu. Z Cieszyna do Krakowa nie jest daleko.

Co jest naszą tragedią? Według mnie to, że my się boimy powiedzieć prawdy. Albo mówimy półprawdy, albo tego lepiej nie dotykać, bo się sąsiady pogniewają. Druga strona wali jak w płot. A my jesteśmy w takiej sytuacji – czego doświadczyłem w Komisji Łączności z Polakami za Granicą – albo jesteśmy nieprzygotowani do rozmowy, albo jesteśmy nieprzygotowani do dyskusji i wtedy tamci mają rację, bo jeżeli człowiek jest nieprzygotowany, to o czym będziemy rozmawiać?

Co do kwestii niemieckiej. Może nie wszyscy wiedzą, ale w latach 90. mniejszość niemiecka za zgodą ministerstwa edukacji narodowej rozpropagowała między rodzicami takie oto oświadczenie: Jeżeliś podpisał to oświadczenie, nie płaciłeś za naukę języka niemieckiego.

Krzysztof Laga: Rząd dofinansował naukę języka niemieckiego.

Kazimierz Wilk: Dokładnie. „Wyrażam zgodę, żeby mój syn/moja córka uczyła się języka niemieckiego jako ojczystego". Szanowni Państwo! Ministerstwo edukacji narodowej wyraża zgodę na coś takiego?

To nie jest tylko ta kwestia. Kolejna kwestia: jeżeli się dyskutuje na temat II wojny światowej. Ja nie mam pretensji do Słowaków, ale, do jasnej cholery, czemu się nie mówi prawdy? Mirek mówi i boleje nad losem Ukrainy. Może bardziej zainteresowałbyś się historią Śląska Cieszyńskiego? Co było w podziemiach Domu Narodowego? Więzienie. My umiemy nad wszystkimi boleć, ale

jeśli chodzi o naszą kwestię – cicho, bo się pogniewają. Jeżeli ktoś chce mieć sentymenty w polityce, to niech idzie do babci, a nie do polityki.

Zaskoczę państwa, kiedy ja walczyłem w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej" i „Kronice Beskidzkiej", żeby stanął pomnik Ślązaczki na Wzgórzu Zamkowym (dzisiaj on stoi), to Leszek Mazan napisał, że to jest pomnik Polski idącej na Zaolzie. Myślałem, że krew mnie zaleje.

Piotr Wójcik: Ale Czechy wcześniej wkroczyły, w 1921 roku.

Kazimierz Wilk: Ale to nie o to chodzi. Zmierzam do tego, że dobrze by było, żeby niektórymi kwestiami, które są dla nas, Polaków, ważne... Ja nie mam nic przeciwko Czechom czy Słowakom. Alde proszę mi powiedzieć, dlaczego się o tym nie mówi? W lutym/marcu, w rocznicę napaści czeskiej czy cokolwiek było o tym w telewizji, czy ktoś o tym powiedział? Nie.

Jerzy Wawrowski: O wielu rzeczach się nie mówi.

Kazimierz Wilk: Jeżeli masz pretensje, to miej pretensje do siebie, że jesteś miękki, nieprzygotowany, a przeciwnik cię obrobi każdej sytuacji.

Do Mirka mam prośbę, żeby się zainteresował historią Zaolzia, Śląska Cieszyńskiego, jak to było, jak się odbywało. Byłbym za to wdzięczny. Niedaleko jest z Krakowa do Cieszyna, łączy je historia.

Ostatnie zdanie. Słyszę wielokrotnie od Krzysia, że była rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości. Słyszałem to od premier Szydło, od historyka Morawieckiego w stulecie niepodległości. To nie jest jakiś skrót myślowy. Albo używamy właściwych terminów, albo dajemy argument komunistom, że jest ciągłość. Ale nie, to są skróty myślowe. Stosujmy dalej skróty myślowe. Jesteśmy nieprzygotowani do niektórych sytuacji, a potem mamy pretensje.

Piotr Wójcik: Ale film o Bitwie Warszawskiej zrobiliśmy.

Kazimierz Wilk: Ja nie proponuję filmu, jeżeli chodzi o Zaolzie. Opracowanie tego tematu to jest zadanie dla Mirka. Sięgnij do 1945 roku, po którym rządzi-

li już komuniści. Konflikt między Czechami a Polakami był na ostrzu. Wojska stały po jednej i po drugiej stronie, gdyby nie interwencja Stalina.

Krzysztof Laga: Nie tak do końca, ale tak było.

Zbigniew Adamczyk: Okrągły Stół, to wątek, który był poruszany. Ja nigdy nie zmienię swojego zdania, które miałem, mam i będę miał. Wielu próbowało mnie przekonać, że nie mam racji. Nie dam się w tej sprawie przekonać, dlatego że dla mnie Okrągły Stół, wzięcie udziału w nim przedstawicieli „Solidarności" to była czysta zdrada. Zdrada wszelkich ideałów „Solidarności", idei niepodległości, wszystkiego. Z wrogiem nie siada się do takich rozmów, wrogów takich jakim była PZPR albo się izoluje, albo eliminuje. Do dzisiaj płacimy za to, jak oni się podzielili władzą w Polsce, wpływami w gospodarce, przedsiębiorstwami i wszystkim innym, łącznie ze sfałszowanymi wyborami 4 czerwca, które dzisiaj wszyscy chcą uznać za święto. Jak można czcić święto zdrady, wybory zmanipulowane, 30–35 proc. dla „Solidarności", 65 proc. dla PZPR. Jaka to okazja do radości? To była hańba, sam udział w takich wyborach. Tym bardziej, że w tamtym okresie w różnych wyborach i samorządowych, i parlamentarnych na przykład listy Konfederacji Polski Niepodległej nie były rejestrowane. W wielu miejscach kraju ludzie chcieli organizować wybory, ale się nie dało. KPN izolowano, nie dopuszczano.

Wracając do wypowiedzi Zbyszka Jackowskiego. Zbyszku, masz dużo racji, to trzeba przypominać, bardzo dużo powiedział na ten temat Krzysio Laga, że około 95% członków KPN należało do „Solidarności". Moja droga do KPN szła najpierw przez „Solidarność". W odwrotną stronę rzadko do nas przychodzili już doświadczeni działacze, do KPN, chyba że czuli w tym jakiś interes. „Tygodnik Mazowsze" na ten cel naprędce nosiłem, narażałem się, roznosiłem w różne miejsca. A przecież „Tygodnik Mazowsze" nie był pismem KPN, był pismem typowo solidarnościowym. Kiedy zaczął się Okrągły Stół, wybory, w moim środowisku ochrony zdrowia poczułem, że wielu znanych kolegów odwraca się ode mnie, twierdząc, że nie da się płynąć pod prąd. Ja nawet kiedyś w solidarnościowym piśmie Huty Warszawa CDN napisałem tekst, który mi wydrukowano. Postuluję, żeby poświęcić konferencję nt. 50. rocznicy powsta-

nia „Solidarności". Ale z drugiej strony chcę przypomnieć, że mieliśmy już taką konferencję na 40-lecie.

Opracował i zredagował Mirosław Lewandowski

Wydarzenia i Uroczystości

Zbigniew Jacek Jackiewicz

Wspomnienie o Aleksandrze Piwońskim (1953 – 2026)

OPOWIEM WAM O ALKU… JAK SIĘ RODZIŁA SOLIDARNOŚĆ REGIONU MAZOWSZE W 1980R.

Jak się rodziła Solidarność Regionu Mazowsze to Aleksander Piwoński przy tym był. Był, bo miał tą umiejętność albo dar, by być w samą porę tam, gdzie trzeba.

31 sierpnia 1980 r., data wiadomo …wszystkim znana, **31 sierpnia ’80r. Alek był w Hucie Warszawa.** A tam właśnie odbywało się misterium, triumf ducha nad materią, na terenie Huty Warszawa, za poleceniem księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego, ksiądz Jerzy Popiełuszko odprawił pierwszy raz dla strajkujących robotników mszę świętą. To symboliczna data powstania Solidarności Regionu Mazowsze.



Jest jeszcze jedna data znacząca dla powstania Solidarności Regionu Mazowsze związana, z osobą Prymasa Wyszyńskiego. **19 X 1980 r.** Prymas Polski zaprosił do siebie przedstawicieli Solidarności – Mazowsza. Prymas,

w tym czasie tytułowany INTERREX-em, zaproszonym gościom – początkującym dopiero związkowcom, przedstawia się jako przedwojenny związkowiec Chrześcijańskich Związków Zawodowych, kierownik Chrześcijańskiego Uniwersytetu Robotniczego. Prymas związkowcom daje wykład o etyce pracy, uczy, że praca może być modlitwą, daje związkowcom z Mazowsza wskazanie: – **by modlili się wykonywaną pracą.**

To słowa, które wiele znaczą, są zaczynem budującym **podstawy etyki i kultury Solidarności Regionu Mazowsze.**

Aleksander Piwoński miał trzech wyjątkowych nauczycieli. **Alek zapamiętał te słowa księdza Prymasa o modleniu się podejmowaną i wykonywaną pracą i szybko nauczył się tak modlić**. To znowu umiejętność albo dar by zdobytą wiedzę wykorzystać od razu w praktyce, w życiu. To pozwala zrozumieć w czym tkwi jego tajemnica, dlaczego Alek, Aleksander dzisiaj jest przez wszystkich wspominany jako ten, który pracował więcej niż inni, zawsze był gotowy do pomocy, lubił pracować, nie bał się pracy, nigdy nie odmawiał współpracy, tylko dlatego, że jest zmęczony. Dlaczego 42 lata temu, jak inni stał na straży i czuwał przy grobie księdza Jerzego!!!??? Bo to była jego modlitwa w intencji kapłana Solidarności. Od Alka można się było uczyć. Mówię teraz o sobie. Im dłużej się znaliśmy, tym częściej mówiłem, że **kultury Solidarności to ja się nauczyłem od Alka.**

WALKA O WOLNOŚĆ I SOLIDARNOŚĆ (GRUDZIEŃ 1981 – LUTY 1989).

W powstałej Solidarności rządzący w PRL-u komuniści widzieli tylko wroga i przeciwnika, którego chcieli zniszczyć. Oni, historia o tym dziwnie milczy, w czasie kiedy powstawała Solidarność rozpoczęli przygotowania, a w grudniu 1981r. dokonali zamachu na wolność i Solidarność. **Z brakiem wolności, bezprawnym zakazem działania Solidarności nie dało się żyć, trzeba było z tym walczyć**. **Dla Alka zaczął się okres 7 lat walki. Walki, bo walka w słusznej sprawie to też jest dobrze wykonaną pracą. Jak to dobrze brzmi WALKA ALKA!!!**

Walkę o wolność i Solidarność trzeba opisywać ze zrozumieniem, a nie zestawiać tylko informacje wybrane z prasy, radia i telewizji. Ta walka to była praca ryzykowna, mordercza, często narzędzia pracy trzeba było sobie znaleźć

albo zbudować .Bardzo mi zależy na tym, by w opowieści o Alku uciec od historii powierzchownej, historii liściastej, która pisze elaboraty o liściach a nie widzi drzewa, z którego liście spadły.

Walka Alka o wolność osobistą i niepodległość Ojczyzny była zajęciem wspólnym, nie indywidualnym. Tu dotykam bardzo czułej sprawy. Alek walczył całym sobą, wszystkim co miał, swoim życiem i zdrowiem, swoim domem, swoją rodziną i ze swoją rodziną !!!

ALKA WALKA Z SAMYM SOBĄ, SWOIM DOMEM, RAZEM Z RODZINĄ (GRUDZIEŃ 1981 – LUTY 1989R.)

O walce Alka, ja mogę wspomnieć tylko o tym, co najważniejsze, A o wszystkim co można napisze kiedyś młody zdolny historyk zafascynowany historią Solidarnością Regionu Mazowsze, tych którzy tą historię budowali, w tym historią Aleksandra Piwońskiego.

Ja piszę tylko to, co najważniejsze w tej historii:

– Alek współorganizował pielgrzymki na Jasną Górę członków mazowieckiej Solidarności.

Pielgrzymki to faktycznie było w latach 80. bardzo ważne narzędzie walki o wolność i Solidarność. Kościół katolicki, i obyczaj pielgrzymowania to był nasz **„korytarz wolności”**, bo komuniści w czasie zamachu na początku zabronili wszystkiego z wyjątkiem niedzielnych mszy w kościele. Brudna, o czerwonych paznokciach, przemocowa władza nie odważyła się zamachnąć na Kościół.

Szanując Kościół i nie wciągając Kościoła do bezpośredniej walki siłowej i politycznej organizowaliśmy działania w tym „korytarzu wolności”, pobycie w **„sferze oddechu wolnego od czerwonej zarazy”,** opowiedzieć może lepiej ode mnie **Zbigniew Andrzej Adamczyk** , bojownik Solidarności Regionu Mazowsze, który z Alkiem był i współorganizował wyjazdy w kierunku, w kierunku Matki Boskiej Częstochowskiej.

– Rodzina Alka ukrywała przed SB w swoim domu Seweryna Jaworskiego.

Seweryn Jaworski był liderem hutniczej Solidarności pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Regionu Mazowsze. Był ścigany przez SB ze szczególną zawziętością i musiał szukać schronienia poza własnym domem. Tylko naiwny historyk skrótowo opisze, że „… w okresie… Alek… coś tam wspólnie z Sewerynem Jaworskim". A my, kreśląc zarys historii Solidarności Regionu Mazowsze, powiedzmy sobie, w tej walce z opresyjnym reżimem cała Rodzina Alka w swoim mieszkaniu ukrywała i opiekowała się Sewerynem Jaworskim, wiceprzewodniczącym zarządu Regionu Mazowsze.

Relacja między Aleksandrem Piwońskim a Sewerynem Jaworski przybrała w późniejszych czasach szczególny kształt. Kiedy Seweryn Jaworski wycofał się od aktywności publicznej było powszechnie wiadome, że Seweryn z mało kim będzie chciał rozmawiać, **no z Alkiem, to może tak.**

– Z domu Alka i Jego Rodziny nadawało audycje Radio Solidarność.

Poważne wydawnictwa, nawet o statusie encyklopedycznym piszą, że Aleksander Piwoński współpracował z Radiem Solidarność. Tak pisząc uprawiają historię, którą wcześniej nazwałem powierzchniową, historią spadłych liści, historii. która nie mówi prawie nic.

Radio Solidarność to była jedna z ważniejszych bitew wygranych w czasie wojny o Wolność i Solidarność. Autorstwo dzieła należy do Zofii i Zbigniewa Romaszewskich i całej kompanii tych, którzy w realizację tego projektu włożyli swoje serce, odwagę, wiedzę i umiejętności. by mieszkańcy Warszawy mogli zobaczyć i usłyszeć, że: „Solidarność żyje" i nie podda się reżimowej władzy.

W mieszkaniu Alka ulokowane były i uruchamiane nadajniki do emisji audycji Radia Solidarność. Nikt nie mógł nic o tym wiedzieć, nikt nie mógł nic zobaczyć, co by dawało przypuszczenia, podejrzenia, że „to tu". Po Warszawie jeździły milicyjne „suki" z wystawionymi radarkami i węszyły i tropiły: „skąd nadaje Radio Solidarność. Jak emisja była z mieszkania to uczestniczyła w tym cała Rodzina Alka i cała Rodzina solidarnie ryzykowała odpowiedzialnością karną. **Rodzina Alka wspólnie z nim dzieli zasługi w walce z komunistycznym okupantem, w wygranej bitwie pod nazwą Radio Solidarność.**

– Milicja z bronią i kajdankami w domu Alka, po Alka.

W żadnej encyklopedii, podręczniku historii nie napiszą o tym wydarzeniu, a to był spektakularny moment walki o wolność i Solidarność. Zapytajcie o to Matkę Alka, żonę Alka, całą Rodzinę jak przeżywały to walenie w drzwi, to wtargnięcie do mieszkania i wyprowadzanie Alka z domu, skutego w kajdankach. To była swoista wojna psychologiczna, wojna na emocje, wojna o to kto wygra: ich tępa nienawiść czy nasz **Solidarny gniew, gniew Solidarności** *(powtarzam, bo ten gniew to nasz wspólny znak, Alek urodził się w miejscowości GNIEW, a ja mam na jedno imię ZbiGNIEW)* gniew bijący się z myślą: „żebyśmy tylko nie poddali się temu by, chcieć im wszystkich zabić". Nie poddaliśmy się, nie chcieliśmy, nie tylko my dwaj, cała Solidarność. Na szczęście Alek wychodził z domu w asyście milicji i wracał. W całej wojnie psychologicznej też wygraliśmy bo walcząc o wolność osobistą i zbiorową chcieliśmy pokonać naszych agresorów, ale nie chcieliśmy ich zabijać. Gdybyśmy chcieli, to…???: wiem, co dopowiedzieć, myśmy to mieli z Alkiem wielokrotnie przegadane w czasie długich, wieczornych rozmów, ale takie niedopowiedzenia czasem są przydatne i dają dobry powód do dyskusji.

Kawał dobrej historii Regionu Mazowsze, kawał dobrej roboty Alka czyli historia Polsko – Amerykańskiego Centrum Szkolenia Budowlanych (PACSB).

Władze państwowe USA, amerykańskie związki zawodowe bardzo pomagały Solidarności:

– w czasie zamachu na Wolność i Solidarność (grudzień 1981r. – kwiecień 1989r.), kiedy Solidarności odebrano przemocą prawo do istnienia i działania,
– w okresie po czerwcu 1989r. , kiedy po wyjściu z 7 lat działalności podziemnej (konspiracyjnej), Solidarność na nowo musiała odbudować swoje struktury i zdolność do publicznej działalności. Ta pomoc po roku 1990 powinna być pamiętana szczególnie w Regionie Mazowsze, który zbudował dzięki tej pomocy istotną część swojej organizacyjnej siły i pozycji.

Amerykanie z swoim zmysłem praktycznym postanowili pomóc Solidarności Regionu Mazowsze finansując i przekazując organizacyjne now-khow ośrodek ekspercki (BKN) i szkoleniowy (PACSB). Zrobili to profesjonalnie, ale i od nas oczekiwali profesjonalizmu. Najpierw finansowali oba ośrodki

w 100%, potem oczekiwali, że pokażemy zdolność do częściowej, a dalej 100 % samodzielności finansowej i organizacyjnej. Pokazaliśmy to i zrobiliśmy to. **Alek przy tym był. W szczególny sposób pracował nad projektem przyzwoitej (społecznie odpowiedzialnej) restrukturyzacji PACSB, przekształceniu wewnętrznej z początku struktury organizacyjnej Regionu w spółkę prawa handlowego i strategią dalszego działania spółki.** Opowiedzenie całej historii Polsko – Amerykańskiego Centrum Szkolenia Budowlanym i pracy Alka dla i w Centrum nie należy do mnie, tylko do **Piotra Sosnowskiego**, który przez kilkadziesiąt lat byłm Dyrektorem Polsko-Amerykańskiego Centrum Szkolenia budowlanych, łączy go kilkadziesiąt lat przyjaźni z Aleksandrem Piwońskim i – jak sam mi powiedział, chce sam opowiedzieć o historii Centrum i swojej przyjaźni z Alkiem.

ALEK W AMERYCE.

Na fali dobrych kontaktów polsko–amerykańskich przedstawiciele NSZZ Solidarność Regionu Mazowsze byli często zapraszani do USA. Było to w latach 90., kiedy Polacy na wyjazd do USA potrzebowali wiz my, reprezentanci Solidarności dostawaliśmy wizy o 10-letnim okresie ważności. To był duży gest ze strony Amerykanów, ale oni nie raz pokazywali nam, ze naprawdę cenią Solidarność.

Na jeden z wyjazdów do USA wybrała się delegacja w składzie: Aleksander Piwoński, Jacek Gąsiorowski i ja. Polecieliśmy najpierw do Waszyngtonu, potem do las Vegas.Do Las Vegas nie dla zabawy czy hazardu tylko dla nauki, bo tam amerykańska centrala związkowa ma ulokowaną sieć swoich ośrodków szkoleniowych.

W USA Alek robił furrorę. On pasował Amerykanom do wizerunku człowieka Solidarności. Pasowały jego dłonie, mieśnie przedramienia, bicepsy. Jak widzieli Alka w realu i Alka na historycznych fotografiach w albumach, jakie od nas dostali, albumach z okazji 10- lecia Solidarności to zauważalnie pionowali, wciągali powietrza do klatki i nabierali widocznego respektu, takiego w amerykańskim tego słowa znaczeniu. Śmialiśmy się z Jackiem i mówiliśmy do Alka: - No weź coś zrób bo za chwilę to oni ci zaczną mówić: Mister albo Sir a nie Brother… („ zaczną Ci mówić zamiast Bracie, Proszę Pana albo z gruba

-Ser). Jest taki sympatyczny zwyczaj międzynarodowy, że związkowcy tytułują się Brother/ Sister

Alek postarał się i amerykańskich braci związkowców oswoił iośmielił i bardzo żeśmy się zaprzyjaźnili.

ALEKSANDER PIWOŃSKI I ELA PACUŁA, CZYLI HISTORIA JEDNEJ SOLIDARNOŚCIOWEJ PRZYJAŹNI WARTEJ PAMIĘCI.

Alek i Ela znali się od dawna, od połowy lat 90., kiedy trafili do składu Komisji Krajowej NSZZ Solidarność. Elżbieta Pacuła Przewodnicząca Sekcji Krajowej Pracowników Telekomunikacji, Aleksander Piwoński, wtedy Wiceprzewodniczący Regionu Mazowsze. Jak się zabiera do współpracy jedna z najprężniejszych struktur branżowych z drugą co do wielkości strukturą regionalną to moc rośnie i wiele da się zrobić**, nawet Bastylię można spalić, ponownie.**

O wyczynie spalenia makiety Bastylii na ulicy Pięknej w Warszawie, przed siedzibą ambasady warszawskiej chce opowiedzieć w pierwszej kolejności, bo to była triumfalna akcja i miała swój, bliski naszemu duchowi solidarności, styl.

Do akcji został doproszony Kazek Grajcarek, dobry przyjaciel tak Alka jak i Eli, Przewodniczący Sekretariatu Górnictwa i Energetyki. Górnicy i energetycy to była najlepiej wyszkolona i doświadczona wówczas ekipa demonstrantów i protestantów. Trójka liderów Solidarności, Alek, Ela i Kazek urządzili w Warszawie związkowy show, jakiego nie powstydziłaby się żadna europejska stolica, z Paryżem na czele. Związkowcy trzech struktur trąbili, bębnili, krzyczeli i śpiewali, jak należy, tak że było wszystko dobrze słychać nie tylko w ambasadzie francuskiej, ale w polskim Sejmie na sąsiadującą z Piękną ulicy Wiejskiej też. Przy paleniu Bastylii dochowaliśmy przepisów p.poż i bhp, strat w ludziach po naszej stronie i po stronie francuskiej. Potem Ela w rozmowie ze mną i z Alkiem relacjonowała nam, że ambasador Francji w prywatnej rozmowie prosił ją by przed ponownym paleniem Bastylii albo Wersalu dała mu znać to on się podejmie roli mediatora między Solidarnością a francuskimi pracodawcami i przedsiębiorstwami.

Takich akcji, kiedy Alek pomagał Eli było więcej. Jedną z nich, strajku okupacyjno-głodowego na ulicy Twardej w Warszawie, opisałem w książce „Pamiętnik Solidarności(1): ELA", więc nie będę jej tu powtarzał.

Elżbieta Pacuła zmarła w 2016 roku. We Wpisie do Pamiętnika Solidarności Alek wpisał się Eli jednym zdaniem:

„Elu. Znasz mnie, to wiesz, co zrobię, zrobię co mogę, żeby ocalić w sobie Ciebie!!!

Alek dbał o pamięć o Eli przez 10 lat. Kiedy, w imieniu Regionu Mazowsze żegnałem Alka w trakcie mszy żałobnej 10 września 2026 roku w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu, podziękowałem Alkowi za jego solidarnościowy dorobek, w tym pamięć o Eli i powiedziałem wprost do Alka trzymając się Jego niedawnych słów:

„**Alek, znasz mnie, to wiesz co zrobię, dopóki starczy sił, będę się starał ocalić pamięć o Tobie."**

Kulturą Solidarności – nazywam to, To w czym Ela i Alek byli do siebie podobni, to w czym lubiłem ich najbardziej, czym różnili się od wielu tajnych bądź jawnych fałszywych niby-współpracowników, a w rzeczywistości przeciwników Solidarności, nieszczerze łaszących się i przyklejających się do logo Solidarności.

ALEK I KSIĄDZ JERZY – NAJWAŻNIEJSZA I NAJTRUDNIEJSZA Z OPOWIEŚCI.

Są historie, które chce wam opowiedzieć o Alku i nawet mam przekonanie, że to są historie, które właśnie ja mogę Wam opowiedzieć. Z tą historią jest inaczej. Tę historię powinien **opowiedzieć ks. Banaszkiewicz, ks. Sikorski, ks. Maj.**

Matka ks. Jerzego mówiła nam, ks. Jerzy został wybrany do walki o wiarę, ojczyznę, prawdę, wolność, aż do męczeństwa.

Alek też wybrał. Chciał być obserwatorem i uczestnikiem tej walki, którą prowadził ks. Jerzy. Chciał być obecnym, a miał ten dar bycia w samą porę we właściwym miejscu.

Czuwaniem przy grobie ks. Jerzego Alek Piwoński spłacał dług, jaki Solidarność zaciągnęła wobec ks. Jerzego. To czuwanie, zgodnie z nauką księdza Prymasa Wyszyńskiego o modleniu się wykonywaną pracą, było modlitwą w intencji ks. Jerzego.

* * *

Osobny wątek, niecodziennej, niestandardowej działalności Alka Piwońskiego to **opieka nad Rodzicami, Rodziną ks. Jerzego.** W latach 90. Alek systematycznie jeździł do Suchowoli. Na te wyjazdy zabierał przedstawicieli zakładowych organizacji Regionu Mazowsze. Z mojej rekomendacją pojechała z Alkiem delegacja KZ P.O.C Dipservice. Po wizycie koledzy z Dipservice, opowiadali jak wzruszające było spotkanie i jak niezwykły dar otrzymali od Matki Księdza Jerzego. Do Rodziny ks. Jerzego jeździła z Alkiem z Warszawy **Grażyna Rudnik**, nasza tyleż solidarnościowa, co Akowska Koleżanka. Do niej należy, bardziej niż do mnie opowieść, jak to na tych wyjazdach było. Co ja jeszcze mogę w tej sprawie powiedzieć to to, że brat ks. Jerzego, Józef serdecznym przyjacielem Alka był. W czasie wyjazdów na Podlasie, w czasie pobytów w Augustowie padało hasło: „***...to odwiedzimy Rodzinę ks. Jerzego...*** i Alek prowadził na te odwiedziny.

MAZOWIECKA SIEĆ SOLIDARNOŚCI

Nieformalna struktura „Sieć" to osobny temat w historii NSZZ Solidarności. Tradycję Sieci kultywują do dziś koledzy z Krakowa prowadząc stronę internetową „Stowarzyszenie Sieć Solidarności w Krakowie". Krakowska sieć Solidarności to Środowisko pracownicze krakowskiej huty. Nieformalna struktura ogólnopolska to solidarnościowa reprezentacja największych zakładów przemysłowych w Polsce. Jacek Gąsiorowski, Przewodniczący Regionu Mazowsze i Aleksander Piwoński, Wiceprzewodniczący Regionu Mazowsze, obaj byli z Huty Warszawa, odgrywali w sieci znaczącą rolę. Często, jadąc na posiedzenia Komisji Krajowej do Gdańska najpierw odbywały się rozmowy i uzgodnienia w ramach sieci, które były przenoszone na dyskusje na „Krajówce". W Solidarności i w latach 80 i 90 trwały debaty o realizację solidarnościowych wartości, o kierunek transformacji ustrojowej, instytucjonalnej i gospodarczej Polski. Tu Solidarność miała swoje zwycięstwa, ale miała swoje porażki i niespełnienia.

Sieć to był – na pewno – w całej mozaice światopoglądowej zdrowy nurt Solidarności, a z upływem czasu jego ocena rośnie nie maleje, jak niektórym.

KRAJOWY ZJAZD DELEGATÓW NSZZ SOLIDARNOŚCI W WARSZAWIE 2002.

W 46-letniej historii Solidarności odbyło się kilkadziesiąt Krajowych Zjazdów Delegatów (KZD), a tylko jeden z tych zjazdów odbył się w Warszawie. No to cieszyliśmy się, że wreszcie KZD odbędzie się na Mazowszu. Jacek Gąsiorowski, przewodniczący Zarządu Regionu Mazowsze, wszystkie sprawy organizacyjne zjazdu powierzył do przygotowania swemu zastępcy – Aleksandrowi Piwońskiemu. Alek do zespołu organizacyjnego zjazdu zaprosił mnie. Razem uznaliśmy, że w sprawach ochrony i bhp niezbędny nam **będzie Andrzej Niedek** i **Stasiek Zając**. W składzie osób wymienionych zabraliśmy się do pracy.

Zjazd dla kilkuset delegatów, drugie tyle osób towarzyszących, gości, do tego obsługa mediów to poważne przedsięwzięcie logistyczne. Myślałem sobie: niby jest nas tylko pięciu, ale Alek potrafi pracować za trzech, reszta nas za dwóch, to w sumie mamy sporą ekipę wykonawczą.

Ten zjazd był bardzo ważny, bo musiał zająć się podsumowaniem i rozliczeniem okresu działalności Akcji Wyborczej Solidarność. Miał dokonać zmiany przywództwa w związku. Region Mazowsze był za zatrzymaniem reelekcji dotychczasowego Przewodniczącego NSZZ Solidarność, nowego lidera widział w **Kazimierzu Grajcarku** dotychczasowym Przewodniczącym Sekretariatu Górnictwa i Energetyki NSZZ Solidarność..

Pierwszym przedsięwzięciem organizacyjnym był wybór miejsca zjazdu. Szukaliśmy po całym Mazowszu i w pewnym momencie wybraliśmy Dom Polonii w Pułtusku mieszczący się w zamku książąt mazowieckich. Komisja Krajowa nie zaakceptowała naszego wyboru uznając, że będzie za mało miejsca dla mediów i gości zjazdu. W końcu wybraliśmy kampus akademicki Prywatnej Wyższej Szkoły Biznesu i Administracji przy ul. Bobrowieckiej w Warszawie.

Zjazd Regionowi Mazowsze udał się połowicznie: udało się nie dopuścić reelekcji dotychczasowego przewodniczącego, nie udało się wybrać na nowego przewodniczącego Kazka Grajcarka. Bezapelacyjnie udała się oprawa artystyczna Zjazdu, występ Małgorzaty Ostrowskiej i zespołu Lombard.Jacek Gąsiorowski oklaskiwał gwiazdę Lombardu z widowni, ze sceny, za kulisami, pogratulował Alkowi celnego wyboru i powiedział, że: – był na wielu zjazdach

Solidarności, ale jeszcze nikt, tak jak my takiego ostrego koncertu nie zaserwował. Tu się zgadzam z Jackiem to był czadowy polski rock.

ALEK W KLUBIE DAM I KAWALERÓW KRZYŻA WOLNOŚCI SOLIDARNOŚCI.

Aleksander Piwoński – Kawalerem, Oficerem czy Komandorem Krzyża Wolności i Solidarności?

Niedawno ustanowione odznaczenie Krzyż Wolności i Solidarności to odznaczenie w sam raz dla nas. Alek i Ja podobnie kwitowaliśmy dorobek naszego życia: zawsze byliśmy i jesteśmy związani z Solidarnością, mówimy o sobie wprost, że jesteśmy ludźmi Solidarności. A o co walczyliśmy? To co robiliśmy mieści się w nurcie walki o wolność zbiorową, wolność naszej ojczyzny, wolność obywatelską pracowniczą albo wolność i godność osobistą.

Krzyżem Wolności i Solidarności zostaliśmy niejednocześnie (a byłoby miło, gdyby to była jedna uroczystość), obu nas odznaczał Prezydent RP – Andrzej Duda.

W grudniu 2022 roku Alek Piwoński uczestniczył w uroczystości instalacji i poświęcenia repliki Krzyż Wolności i Solidarności w Bursztynowym Ołtarzu kościoła św. Brygidy w Gdańsku. **Ksiądz Henryk Jankowski**, jeden z niezłomnych kapelanów Solidarności uczynił z kościoła św. Brygidy ważne miejsce historii Solidarności. To zadecydowało, że chcieliśmy pierwszą replikę Krzyża Wolności i Solidarności umieścić w Gdańsku, a nie w Warszawie.

Co do pytania jakie postawiłem na początku: dla mnie Alek jest nie tylko kawalerem i oficerem, spełnia wszelkie wymogi wedle **kryterium zalet i zasług** by Go tytułować Komandorem Krzyża Wolności i Solidarności.

O NADZIEI.

Nadzieja jest bardzo ważna i potrzebna. Tak ważna i potrzebna jak wiara i miłość. Aleksander Piwoński należał do tych, którzy nie dają sobie odebrać nadziei.

– ... nie dawał sobie odebrać nadziei,

– ... walczył o to co trzeba i z kim trzeba, by nie stracić nadziei...

O nadziei Adam Asnyk pisał:

„lecz nie przestańmy czcić świętości swoje i przechowywać ideałów czystość, do nas należy dać im moc i zbroję by z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość".

A my to tak komentowaliśmy:

– nasi poprzednicy, pokolenie żołnierzy Armii Krajowej swoją świętość w dewizie: Bóg – Honor – Ojczyzna

– no a myśmy to utrzymali a nawet dziedzictwo wzbogaciliśmy, wołamy: ***Bóg – Honor – Ojczyzna – Solidarność***

Słowa Wielkiego Polskiego Poety pasują do Alka. Zawsze upominał się o czystość idei solidarności. W pokoleniu Solidarności, w swoich przyjaciołach i rówieśnikach widział tych, do których należy mieć moc i zbroję i spełniać, realizować marzenia. Doświadczał ataków i przeszkód ze strony fałszywych przyjaciół i wrogów dlatego jego bilans jest złożony; zwycięski z porcją niespełnienia. Dlatego we wspomnieniu opublikowanym przez Kurier Mazowsze 9 września 2026 r. nr 31–32, nazwałem Aleksandra Piwońskiego **„Reprezentantem Solidarności zwycięskiej, ale nie w pełni spełnionej..."**

PO DRODZE….. OSTATNIE SPOTKANIA, PIERWSZE WSPOMNIENIA

Uczmy się życia, niezawodny w tych sprawach nauczyciel ks. Jan Twardowski podpowiada nam:

„Ładne rzeczy, gdybyśmy stanęli, jak dwa świstaki i zapomnieli, że trzeba stąd odejść".

Ksiądz Twardowski w swym uduchowieniu uczy nas łagodnego, świadomego przejścia przez życie od początku do końca. Nie boję się porównań. Potrafię sobie wyobrazić jak rozmawiamy z Alkiem, w naszej tysiąc pierwszej rozmowie o wszystkim i śmiejemy się z siebie, że:

– …przecież nie jesteśmy zapominalscy jak te dwa świstaki…

– …no i raczej, jeśli mamy wybór, to nie chcemy być – akurat – świstakami…

I tak bez końca, nasze rozmowy nigdy nie miały końca, przerywaliśmy je z powszedniego natłoku innych spraw do zrobienia.

Z **Andrzejem Chyłkiem** po zakończeniu ceremonii pogrzebowych na Cmentarzu Komunalnym Północnym 10 września br. wracaliśmy razem, siłą



rzeczy rozmawialiśmy o tym, kogo widzieliśmy z dawnych znajomych, kto z Polski przyjechał, żeby uczcić Alka. Podsumowując Andrzej powiedział: – Na Mazowszu to my mamy jasny przegląd sytuacji i kadr, **Alek był ze szczepu solidarności najszlachetniejszego gatunku** i ci z tego szczepu przyjechali. Innych, z innych, gorszych jakościowo szczepów, odszczepieńców i plew nie było, ale to może nawet dobrze, bo z nimi od dawna nam nie po drodze.

Każdy z uczestników ceremonii na cmentarzu otrzymał na pamiątkę plakietkę cmentarną z oznaczeniem **nr kwatery Alka (E – IV -7 – 8 -4) i** sło-

wami modlitwy do Boga: – Od Niego człowiek wychodzi i do Niego musi wrócić. W takim nastroju i w takim duchu łączmy się z Alkiem i Jego Rodziną w smutku i bólu. W tym duchu, jak Rodzina zawiadomiła mnie o śmieci Alka, pierwsze, co pomyślałem. Powiedziałem i napisałem brzmiało tak:

„Niech Cię dalej, Bóg poprowadzi Przyjacielu. Amen."

Te słowa sobie powtarzam, kiedy zaczynam wspominać i opowiadać o Alku.

„Niech Cię dalej, jak dotąd, Bóg poprowadzi, Przyjacielu. Amen."

ks. dr Stanisław Tylus SAC

Kącik kapelana

„NIEUGIĘCI ŚWIADKOWIE – OD PUSTEGO GROBU DO WOLNEJ POLSKI". KONFERENCJA DUCHOWA WYGŁOSZONA 11 KWIETNIA 2026 NA SPOTKANIU WIELKANOCNYM ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU ŻOŁNIERZY ARMII KRAJOWEJ OKRĘGU OPOCZNIK, GODZ. 12.00 (CENTR. PRZYSTANEK IPN MARSZAŁKOWSKA 107)

Wstęp: Światło w mroku historii

Wprowadzenie: Drodzy Bracia i Siostry, ludzie „Solidarności" i Niepodległości! Jezus Chrystus Zmartwychwstał! Prawdziwie Zmartwychwstał! To nie jest tylko historyczne wydarzenie sprzed 2000 lat. To jest nasza siła. Dziś, gdy patrzymy na te teksty Ewangelii o Zmartwychwstaniu, widzimy most między porankiem wielkanocnym a naszą polską historią walki o godność i prawdę.

Gromadzimy się w kolejny dzień Oktawy Wielkanocnej – tego czasu wielkanocnego, który w polskiej duszy zawsze splatał się z nadzieją na wolność. Dla Państwa, którzy przez lata walczyliście o podmiotowość człowieka i niepodległość Ojczyzny, słowo „zmartwychwstanie" nie jest tylko teologicznym terminem. To treść Waszego życia. To wiara w to, że kamień, choćby najcięższy, musi zostać odrzucony.

I. Odwaga przed Sanhedrynem (Dz 4, 13-21)

Dzisiejsze czytanie z Dziejów Apostolskich ukazuje Piotra i Jana przed Sanhedrynem. Uczeni w Piśmie „dziwili się, widząc odwagę" tych prostych ludzi. Skąd brała się ta siła? Oni widzieli Zmartwychwstałego.

Dla Państwa to doświadczenie jest bardzo bliskie. Gdy stawaliście przeciwko systemowi kłamstwa, wielu pytało: „Skąd biorą w sobie tę moc?" Odpowiedź była ta sama: z wewnętrznej pewności, że prawda ostatecznie zwycięża. Podobnie jak Apostołowie na groźby tamtego systemu odpowiadaliście: „Nie możemy nie mówić tego, cośmy widzieli i słyszeli".

To była postawa, o której pisał Zbigniew Herbert w „Przesłaniu Pana Cogito": „idź wyprostowany wśród tych co są na kolanach / wśród odwróconych plecami i obalonych w proch / ocalałeś nie po to aby żyć / masz mało czasu trzeba dać świadectwo".

II. Wielki Tydzień Solidarności (Kontekst historyczny)

Wspominając Waszą drogę, widzimy w niej też strukturę Paschy. Były chwile „Wielkiego Piątku" – grudzień 1981 roku, przesłuchania, internowania, poczucie osaczenia. System próbował narzucić milczenie, pieczętując grób polskiej wolności. Ale Wy wiedzieliście, że prawda nie daje się pogrzebać.

Wasza walka w strukturach Solidarności była żywym komentarzem do słów Psalmu 118: „Prawica Pańska moc okazała... nie umrę, lecz będę żył". To była strategia zmartwychwstania narodu poprzez „zwyciężanie zła dobrem".

Jak pisał Ernest Bryll w tamtych mrocznych latach: „Wołamy Cię Chryste... / Przez mury, przez kraty, przez noce / Przez wszystko, co nas rozdziela".

I to wołanie zostało wysłuchane, bo system oparty na kłamstwie musiał runąć w zderzeniu z Prawdą, która zmartwychwstała.

III. Przezwyciężyć niedowiarstwo (Mk 16, 9-15)

Ewangelia Marka pokazuje nam trudną drogę do wiary. Uczniowie z początku nie wierzyli świadkom – ani Marii Magdalenie, ani wędrowcom z Emaus. Jezus musiał wyrzucać im „zatwardziałość serca".

W ruchu niepodległościowym też bywały chwile zwątpienia – gdy wydawało się, że „kamień jest zbyt ciężki". Ale Chrystus przyszedł mimo drzwi zamkniętych. Tak samo wolność przyszła, choć wielu w nią zwątpiło.

Jak pisał Krzysztof Kamil Baczyński: „Trzeba nam teraz zmartwychwstać, / choćbyśmy nie wiedzieli jak". Państwo wiedzieliście jak – poprzez solidarność, która jest społecznym wymiarem miłości chrześcijańskiej.

IV. Posłanie: Nieście to światło

Ostatnie słowa dzisiejszej Ewangelii to nakaz: „Idźcie na cały świat i głoście". Dzisiejsza Polska, często zagubiona w relatywizmie, w tym chaosie pojęciowym – gdy sami nie wiemy, co jest prawdą, a co fałszem, gdy obserwujemy dowolność interpretacji – bo każdy ustala własne reguły – potrzebuje Waszego świadectwa o tym, że warto cierpieć, tzn. poświęcać życie dla wartości wyższych. Zmartwychwstanie to nie wydarzenie sprzed 2000 lat – ono dzieje się wszędzie tam, gdzie człowiek wybiera wolność zamiast lęku.

Modlitwa: Panie Jezu, dziękujemy za świadków Solidarności. Prosimy, daj nam odwagę Piotra, siłę psalmisty i wiarę Marii Magdaleny, byśmy w naszym życiu świadczyli, że Ty żyjesz.

Życzenia i zakończenie

W aklamacji (Ps 118, 24): „Oto jest dzień, który Pan uczynił, radujmy się nim i weselmy!". Niech prawda o Zmartwychwstaniu będzie fundamentem waszej pamięci i działania. Jesteście ludźmi nadziei.

Drodzy Świadkowie Niepodległej! Niech ten czas Paschy będzie dla Was umocnieniem. Niech Chrystus, który „skruszył więzy śmierci", napełnia Wasze serca pokojem, którego świat dać nie może.

Z okazji Świąt Zmartwychwstania Pańskiego życzę Państwu, aby blask pustego grobu rozświetlał każdą codzienną trudność. Życzę zdrowia, byście mogli dalej nieść pochodnię pamięci, oraz tej niezachwianej radości, która towarzyszyła apostołom, gdy zrozumieli, że miłość i prawda są silniejsze niż śmierć.

Wesołego Alleluja!

* * *

Modlitwa przed poświęceniem jajka wielkanocnego:

Wszechmogący Boże, Panie Życia i Historii, stajemy dziś razem – ludzie „Solidarności" i Niepodległości – przy wielkanocnym stole, by łamiąc się jajkiem, świętować Twoje zwycięstwo nad śmiercią.

Dziękujemy Ci za dar wolnej Polski i za wszystkich, którzy swoją pracą, ofiarą i wiernością Bogu oraz Ojczyźnie budowali jej fundamenty. Prosimy Cię, pobłogosław te pokarmy, a nas napełnij radosną nadzieją.

Umocnij naszą jedność, abyśmy z tym samym zapałem, jaki jednoczył pokolenie „Solidarności", budowali przyszłość Polski opartej na prawdzie, sprawiedliwości i wzajemnym szacunku. Niech Zmartwychwstały Chrystus, który jest Królem naszych serc i Ojczyzny, prowadzi nas prostymi drogami.

Boże, błogosław Polskę! Matko Najświętsza, Królowo Polski, miej nas w swojej opiece.

Świętujmy w pokoju Chrystusa – nie w chwilowym wytchnieniu, lecz w stałej obecności Tego, który zwyciężył świat. Trwajmy w Jego miłości, bo On jest naszym pokojem.

==========

SŁOWO BOŻE WYGŁOSZONE 21 SIERPNIA 2026 NA MSZY ŚW. NA CMENTARZU W GRAINVILLE-LANGANNERIE (DO CZYTAŃ EZ 37, 1-14; PS 107 (106), 2-3. 4-5. 6-7. 8-9; MT 22, 34-40).

Gromadzimy się dziś na modlitwie, aby w świetle Bożego Słowa wspominać polskich żołnierzy poległych na obcej ziemi w walce o wolność. W tę narodową pamięć wpisuje się dziś żywa obecność i modlitwa Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność", który wiernie strzeże dziedzictwa naszych bohaterów. Prośmy o Boże tchnienie życia dla poległych pancerniaków i o siłę dla nas, abyśmy pod znakiem Solidarności potrafili budować świat oparty na miłości i prawdzie.

* * *

Temat kazania: Dolina nadziei: od suchych kości Normandii do zmartwychwstania wolnej Polski

Na polskim cmentarzu wojennym w Grainville-Langannerie w Normandii, wśród rzędów białych krzyży, stajemy dziś z Biblią w dłoniach, by usłyszeć proroka Ezechiela, który widzi dolinę pełną wysuszonych kości. Bóg pyta proroka: „Synu człowieczy, czy kości te powrócą znowu do życia?". Dziś te słowa brzmią echem tysięcy polskich serc, które tu, na obcej ziemi, oddały swoje życie za wolność.

1. Dolina suchych kości na obcej ziemi

Kiedy prorok Ezechiel patrzy na rozsypane kości, widzi obraz całkowitej klęski. Śmierć zabrała nadzieję. Kiedy my patrzymy na cmentarz w Grainville-Langannerie, widzimy groby młodych żołnierzy 1. Dywizji Pancernej generała Stanisława Maczka. Oni zginęli daleko od rodzinnych domów. Od Polski dzieli ich ponad tysiąc kilometrów.

Wydawało się, że ich los zamknął się w sierpniu 1944 roku, w krwawej bitwie pod Falaise [fa-lez]. Śmierć wbiła ich w normandzką ziemię jak ziarno. Ale Bóg patrzy inaczej. Bóg mówi do Ezechiela: „Oto otwieram wasze groby i wydobywam was z grobów, ludu mój, i wiodę was do kraju Izraela". Dla Boga nie ma grobów ostatecznych. Te mogiły nie są miejscem zapomnienia. Są jak uśpione ziarno, które czeka na wiosnę zmartwychwstania.

2. Przywrócone imiona i pamięć

Psalmista przypomina nam dzisiaj: „Tak niech mówią odkupieni przez Pana, / których wybawił z rąk przeciwnika". My jesteśmy tym głosem.

Przychodzimy tu z Polski, aby być głosem tych, którzy sami już nie przemówią. Przez lata wielu z nich leżało pod tabliczkami z napisem „Nieznany Żołnierz". Jednak dzięki ludzkiej pamięci i staraniom, po latach, ci chłopcy odzyskują swoje imiona.

Dziś, idąc tymi alejkami, możemy podejść do grobu starszego ułana Henryka Czochara albo podporucznika Kazimierza Stafija. Przez dekady bezimienni, dziś wołają do nas swoimi własnymi nazwiskami.

Wielki polski poeta, Cyprian Kamil Norwid, pisał wiersz o tych, co odeszli z dala od ojczyzny, zostawiając jedynie czyny: „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej... / Nie jakieś tam coś, gdzieś,

Gdzie nigdy ludzie nie bywali!..." /

Ci żołnierze nie są przeszłością, która zbladła w starych podręcznikach. Oni są naszym „dzisiaj". Ich wierność zakorzeniła się w tej francuskiej ziemi, ale ich duch należy do Polski. Pamięć o nich to nasz moralny obowiązek.

3. Miłość i odnowienie w Chrystusie

W dzisiejszej Ewangelii faryzeusze pytają Jezusa o najważniejsze przyka-

zanie. A On odpowiada jednym tchem: miłość Boga i miłość bliźniego. Czy można wyobrazić sobie większą definicję tego, co stało się tu, w Normandii? Ci chłopcy w polskich mundurach nieśli na swoich ramionach przykazanie miłości ojczyzny i bliźniego aż do skrajnej ofiary. Oddali życie, aby inni mogli żyć. Nie ma większej miłości niż ta, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół.

Dzisiejszy patron dnia, święty papież Pius X, zostawił Kościołowi prorocze zawołanie: „Instaurare omnia in Christo" – czyli „Odnowić wszystko w Chrystusie". Stojąc na tym cmentarzu, rozumiemy te słowa głębiej. Wojna, nienawiść i śmierć niszczą świat, ale to właśnie przez ofiarę miłości tych żołnierzy oraz przez moc Chrystusowego zmartwychwstania, zdeptany świat zostaje na nowo odnowiony i podniesiony z ruin. Ich mogiły są cichym, ale potężnym świadectwem, że miłość i prawda ostatecznie zwyciężają.

4. Obietnica tchnienia

Ezechiel słyszy, jak kości zaczynają się do siebie zbliżać, jak oblekają się ciałem. Ale nie ma w nich jeszcze życia, dopóki nie przyjdzie Duch. Bóg wzywa wiatr: „Z czterech wiatrów przybądź, duchu, i tchnij w tych pobitych, aby ożyli!".

To tchnienie Ducha Świętego jest dzisiaj nam wszystkim potrzebne. Stojąc nad grobami polskich bohaterów, czujemy chłód śmierci, ale nad nami rozpościera się niebo nadziei. Bóg nie zostawia nikogo w popiołach.

Zakończenie

Drodzy Przyjaciele, Ludzie „Solidarności"! Zakończmy te rozważania słowami wieszcza Juliusza Słowackiego. Poeta, stojąc w obliczu przemijania i powstańczych mogił, pisał o niezniszczalnej sile ludzkiego ducha. „Lecz zaklinam: niech żywi nie tracą nadziei / I przed narodem niosą oświaty kaganiec; / A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei, / Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec…"

To wezwanie rzucone w przeszłości stało się przecież fundamentem także Waszej drogi. W tych wersach kryje się cały etos Waszego ruchu. To nie tylko nakaz trwania w nadziei wbrew mrokom historii. To przede wszystkim wezwanie do niesienia światła prawdy, edukacji i wolnego słowa, które pod-

ziemna „Solidarność" realizowała każdego dnia. Gdy przychodził czas próby, potrafiliście z godnością przyjąć los kamieni rzucanych na szaniec ojczyzny. Robiliście to z głęboką wiarą, że ta ofiara wyda plon. Niech ten poetycki testament przypomina nam wszystkim, że wolność karmi się wiernością zasadom i solidarnością serc.

Henryk Czochar, Kazimierz Stafij i setki ich towarzyszy broni zostawili najczystszy ślad – ślad krwi przelanej za wolność i honor. Prośmy dzisiaj, aby Bóg, który wskrzesza z martwych, obdarzył ich wiecznym pokojem, a nam dał siłę, byśmy ich dziedzictwo niesienia miłości, wolności i wierności podtrzymali w naszych sercach i w naszej Ojczyźnie. Amen.

==========

KAZANIE DLA DZIAŁACZY „SOLIDARNOŚCI", WYGŁOSZONE WIECZOREM 22 SIERPNIA 2026 W PARYŻU, W KOŚCIELE POLSKIM (MATKI BOŻEJ WNIEBOWZIĘTEJ) DO CZYTAŃ Z XXI NIEDZIELI ZWYKŁEJ

Temat kazania: Panie, poruszaj nasze sumienia!

Drodzy Bracia i Siostry, Ludzie „Solidarności"!

Słowa Ewangelii, które przed chwilą usłyszeliśmy, przenoszą nas pod Cezareę Filipową. Jezus zadaje tam swoim uczniom dwa pytania. Pierwsze: „Za kogo ludzie uważają Syna Człowieczego?". I drugie, znacznie trudniejsze, osobiste: „A wy za kogo Mnie uważacie?". To drugie pytanie Jezus zadaje dzisiaj każdemu z nas. Zadaje je Wam – ludziom, którzy od dziesięcioleci nosicie na swoich sztandarach jedno z najpiękniejszych słów świata: Solidarność.

Co to znaczy odpowiedzieć Jezusowi: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego"? To znaczy uznać, że Jego Ewangelia jest fundamentem, na którym budujemy nasze życie, naszą pracę i naszą Ojczyznę. To nie jest tania deklaracja. To zobowiązanie.

1. Klucze odpowiedzialności i ciężar władzy

W pierwszym czytaniu z Księgi proroka Izajasza słyszymy o urzędniku

Szebnie, który zawiódł. Zostaje pozbawiony urzędu, a jego miejsce zajmuje Eliakim. Prorok mówi o „kluczu domu Dawidowego", który spocznie na jego ramieniu. Klucz to symbol władzy, ale przede wszystkim – ogromnej odpowiedzialności za drugiego człowieka.

Wy, jako „Solidarność", doskonale wiecie, czym jest ten ciężar. Wasz ruch narodził się przecież z buntu przeciwko niesprawiedliwości, przeciwko traktowaniu człowieka jak bezdusznej śrubki w państwowej machinie. Chcieliście kluczy, które otwierają drzwi do wolności, a nie zatrzaskują ludzi w celach więziennych czy w klatkach biedy i wyzysku.

W literaturze pięknej motyw odpowiedzialności za wspólnotę i moralnego czujnika wspaniale opisał nasz wielki poeta, Zbigniew Herbert. W swoim słynnym wierszu „Przesłanie Pana Cogito" pisał słowa, które brzmią jak definicja etosu Waszego związku: „Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu / po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę / idź wyprostowany wśród tych co na kolanach / wśród odwróconych plecami i obalonych w proch / [...] bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny / w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy".

Iść wyprostowanym, gdy inni klęczą przed konformizmem, przed pieniądzem czy przed niesprawiedliwym systemem – to jest właśnie chrześcijańskie powołanie i to jest fundament „Solidarności".

2. Skała, która nie pęka pod naporem fal

W odpowiedzi na wyznanie wiary Szymona, Jezus mówi do niego: „Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję mój Kościół, a bramy piekielne go nie przemogą".

Skała kojarzy się nam z czymś twardym, niezmiennym, bezpiecznym. Kościół trwa od ponad dwóch tysięcy lat, bo stoi na Chrystusie i na wierze Piotra. Ale wiemy też, że Piotr był tylko człowiekiem – słabym, który potrafił się zaprzeć, który uciekał przed krzyżem. Skąd więc ta siła? Z łaski Boga.

W historii Polski, zwłaszcza w mrocznych latach komunizmu i stanu wojennego, „Solidarność" też musiała być taką skałą dla narodu. Oparciem, o które rozbijały się fale kłamstwa i przemocy. Dlaczego daliście radę? Bo Wasza skała miała głębokie fundamenty w Kościele, w zawierzeniu Matce Bożej, w naucza-

niu świętego Jana Pawła II i w męczeńskiej wierze błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki.

W tym kontekście warto przypomnieć poruszający wiersz Juliusza Słowackiego „Pośród niesnasek Pan Bóg uderza...", który Jan Paweł II tak bardzo kochał i który stał się proroctwem jego pontyfikatu. Słowacki pisał o papieżu, który: „...nie ucieknie przed szablami, / Jak ten Italczyk, / W mężny jak Bóg się oporze podeprze / Światami ludu..."

I dalej o tym Słowiańskim Papieżu: „A trza przerazić ten świat, by wierzył, / Że Bóg jest wielki; / [...] Głos jego będzie jako dzwon we dzwonie, / Boży – nie z gliny".

To ten dzwon, głos Jana Pawła II, obudził w Was w 1979 i 1980 roku siłę skały. Przypomniał, że człowiek ma swoją godność, której żadna władza nie ma prawa mu odebrać.

3. Niepojęte bogactwo i codzienna solidarność

Święty Paweł w Liście do Rzymian woła dzisiaj pełen zachwytu: „O głębokości bogactw, mądrości i wiedzy Boga! Jakże niezbadane są Jego wyroki i nie do wyśledzenia Jego drogi!".

Boże plany często nas przerastają. Kto w latach 70. przypuszczał, że bezkrwawa rewolucja robotników w Polsce zmieni mapę Europy i obali nieludzki system? To były właśnie te „niezbadane drogi" Opatrzności. Bóg posłużył się prostymi, uczciwymi ludźmi pracy, by upomnieć się o prawdę.

Jednak etos „Solidarności" nie należy tylko do przeszłości. To nie jest eksponat w muzeum. Wyzwania się zmieniają, ale ludzka bieda, niesprawiedliwość, samotność i próby skłócenia nas trwają nadal. Dziś solidarność pisana małą literą jest potrzebna tak samo, jak ta pisana wielką literą w sierpniu 1980 roku.

Wielki poeta Cyprian Kamil Norwid, w swoim genialnym utworze „Promethidion", zostawił nam definicję pracy, która idealnie pasuje do chrześcijańskiego i solidarnościowego etosu: „Bo piękno na to jest, by zachwycało / Do pracy — praca, by się zmartwychwstało."

Praca nie może być tylko środkiem do zarabiania pieniędzy za wszelką cenę. Ma być przestrzenią, w której człowiek „zmartwychwstaje" – czyli rozwija się,

pomaga innym, buduje wspólnotę. Solidarność zawodowa to obrona słabszych, to dbanie o to, by nikt w zakładzie pracy nie czuł się poniżany czy odrzucony.

Zakończenie

Drodzy. Jezus pyta dzisiaj każdego i każdą z Was: „Za kogo Mnie uważasz?".

Odpowiedzmy Mu dzisiaj naszą modlitwą, ale i naszym codziennym życiem. Bądźmy jak Eliakim – odpowiedzialnymi stróżami powierzonych nam kluczy. Bądźmy jak Piotr – skałą wartości, na której mogą oprzeć się młodsi, zagubieni, poszukujący prawdy. Bądźmy wierni tamtemu dziedzictwu, pamiętając, że – jak pisał św. Paweł – „z Niego i przez Niego, i dla Niego jest wszystko".

Niech Bóg błogosławi Waszemu Związkowi, Waszym rodzinom i naszej Ojczyźnie. Amen.

==========

KAZANIE WYGŁOSZONE 26 SIERPNIA 2026 DLA DZIAŁACZY SOLIDARNOŚCI NA MSZY ŚW. NA POLSKIM HONOROWYM CMENTARZU WOJSKOWYM W BREDZIE W UROCZYSTOŚĆ NAJŚWIĘTSZEJ MARYI PANNY CZĘSTOCHOWSKIEJ (DO CZYTAŃ: PRZ 8, 22-35; PS 48, 2-3AB. 9. 10-11. 13-15; GA 4, 4-7; AKLAMACJA ŁK 1, 28; J 2, 1-11).

Temat kazania: Słowo z Kany Galilejskiej: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie"

Bracia i Siostry, Drodzy Działacze „Solidarności" Telekomunikacji Polskiej!

Stoimy dziś na polskim cmentarzu wojskowym w Bredzie. To miejsce uświęcone krwią żołnierzy generała Stanisława Maczka. Łączy ono w sobie dwie wielkie miłości: miłość do Boga i miłość do Ojczyzny. Przynosicie tu dzisiaj wasze solidarnościowe sztandary. Przynosicie historię walki o ludzką godność. Przynosicie też Wasze osobiste losy.

Dzisiejsza Uroczystość Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej to dla nas, Polaków, moment szczególny. Matka Boża z Jasnej Góry to nie jest daleka Królowa z obrazu. To Ktoś, kto od wieków idzie z naszym narodem przez każdą noc dziejów. Zna smak naszych zwycięstw i ciężar naszych porażek.

Polecajmy Bogu wszystkich zmarłych kolegów i koleżanki, którzy tworzyli historię „Solidarności" w Telekomunikacji Polskiej, dziękując za ich trud i wierną służbę. Prośmy również o błogosławieństwo dla nas tutaj zebranych. Niech Matka Boża Częstochowska, nasza Patronka i Przewodniczka, dodaje nam sił i prowadzi naszą wspólnotę do wyznaczonych celów.

Polecajmy modlitewnej pamięci zmarłego wczoraj Mariusza Łukomskiego producenta, dystrybutora filmowego (Pasja Gibsona; znanego z „Białej odwagi", „Kamienie na szaniec", „Kołysanka"). Prośmy o zdrowie dla działacza Aleksandra Piwońskiego.

Część 1: Słuchamy dziś Ewangelii o weselu w Kanie Galilejskiej.

Zabrakło wina. Skończyła się radość, stała się niezręczność, groziła rodzinie weselników cisza klęski i wstyd. Wtedy pojawia się Ona – Matka. Zauważa brak. I wypowiada zdanie, które jest testamentem dla każdego pokolenia: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie".

To samo zdanie brzmiało w sierpniu 1980 roku w Stoczni Gdańskiej, w tysiącach strajkujących zakładów w całej Polsce, kiedy rodziła się wielka Solidarność. Wtedy też wielu mówiło: „Nie da się, zabraknie sił, przemoc jest zbyt wielka, system jest wieczny". A Matka i Jej Syn mówili: zróbcie to, co dyktuje prawda, solidarność, miłość bliźniego. Nie przemoc, lecz godność.

Wielki poeta polski, Adam Mickiewicz, w inwokacji do Pana Tadeusza zapisał słowa, które każdy Polak nosi w sercu: „Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy / I w Ostrej świecisz Bramie! [...] / , co gród zamkowy / Nowogródzki ochraniasz z jego wiernym ludem!/ Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem, / (Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę /Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę / I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu / Iść za wrócone życie podziękować Bogu), Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono..."

Cud w Kanie zaczął się od posłuszeństwa prostym słowom Chrystusa. Cud Solidarności zaczął się od odrzucenia lęku.

Wolność jako dar i zadanie

W drugim czytaniu św. Paweł przypomina nam prawdę zadziwiającą: nie jesteśmy niewolnikami, ale dziećmi. „Gdy nadeszła pełnia czasu, posłał Bóg

Syna swego, zrodzonego z niewiasty [...], abyśmy mogli otrzymać przybrane synostwo".

Działacze Solidarności podjęli ten trud przybranego synostwa – trud odpowiedzialności za dom, za Ojczyznę, za drugiego człowieka. Wolność nie jest dana raz na zawsze. Ona jest jak dzban z Kany – trzeba ją napełnić wodą ludzkiego wysiłku, by Bóg mógł uczynić z niej wino wolności.

I tu przypomina się myśliciel i poeta, Cyprian Kamil Norwid, który o polskiej historii i wierności pisał tak: „Przeszłość jest to dziś, tylko cokolwiek dalej:/ Za kołami to wieś, /Nie jakieś tam coś, gdzieś,

Gdzie nigdy ludzie nie bywali!...".

Ta przeszłość żołnierzy generała Maczka, którzy wyzwalali Bredę, nie minęła. Ona przesączyła się w dno naszej tożsamości. Oni wyzwalali to miasto z bronią w ręku, a wy, pokolenie Solidarności, wyzwalaliście Polskę bez broni, siłą ducha, pieśnią i różańcem w dłoni. Jedni i drudzy zaufali Tej samej Matce.

Część 2: Pełnia czasu i wolność

Święty Paweł w Liście do Galatów pisze o „pełni czasu". Bóg posłał swojego Syna, zrodzonego z Niewiasty, abyśmy wykupili wolność. Abyśmy stali się przybranymi synami, a nie niewolnikami. Wolność to słowo klucz dla każdego z Was. Dla ludzi „Solidarności". Walczyliście o nią w kraju. Dzisiaj wspominacie tych, którzy walczyli o nią tutaj, na ziemi flamandzkiej.

Żołnierze Maczka nie szli po łupy. Szli pod hasłem: „Za naszą i waszą wolność". To jest właśnie chrześcijańskie pojęcie wolności. Wolność, która nie jest egoizmem. Wolność, która staje się darem dla drugiego człowieka.

Właśnie z takiego ducha zrodziła się „Solidarność". Z buntu przeciwko kłamstwu, z pragnienia wolności, która szanuje godność każdego człowieka. Maryja na Jasnej Górze jest strażniczką tej wolności. Ona pokazuje, że prawdziwa wolność rodzi się z czystego serca. Serca wolnego od nienawiści i chęci odwetu.

Część 3: W Kanie Galilejskiej – „Czyńcie, co Wam mówi"

Ewangelia prowadzi nas dzisiaj do Kany Galilejskiej. Widzimy tam Maryję, która jest niesamowicie uważna. Widzi ludzki brak, ludzkie zakłopotanie. „Nie

mają już wina" – mówi do Syna. To nie jest tylko troska o wesele. To troska o to, by w ludzkim życiu nie zabrakło radości i nadziei.

Potem padają te najważniejsze słowa, które są Jej testamentem dla każdego pokolenia: „Zróbcie wszystko, cokolwiek wam powie". To jest program dla „Solidarności" na dzisiejsze czasy. Czasem wydaje się nam, że tamte wielkie ideały z lat 80. już się zatarły. Że świat poszedł dalej, stał się bardziej cyniczny. Ale słowa Jezusa się nie zmieniły. Prawda, sprawiedliwość, miłość bliźniego – to są wciąż te same stągwie wody, które On chce przemienić w wino nowej nadziei.

Adam Mickiewicz w „Księgach narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego" pisał słowa, które idealnie pasują do tego miejsca i do Waszej misji: „A im więcej będziecie mieli miłości i poświęcenia w sobie, tym większa będzie wasza Rzeczpospolita, i tym prędzej odzyskacie ją, i tym mocniej utwierdzicie".

Te słowa pisał emigrant, pielgrzym. Wy dzisiaj też jesteście tu jako pielgrzymi pamięci. Przybywacie do Bredy, by uczyć młodsze pokolenia, że wolność i solidarność kosztują. Że nie dostaje się ich za darmo.

Zakończenie

Drodzy Przyjaciele, starsi i młodsi,

Stoimy przy grobach bohaterów. Śpiewaliśmy w Psalmie: „Bóg w swoich zamkach okazał się twierdzą". Tą twierdzą dla nas była zawsze wiara i pamięć.

Patrząc na Obraz Jasnogórski, widzimy na twarzy Maryi dwie rysy. To ślady po ranach, ślady po cięciach miecza. Ona nosi na sobie ślady ludzkiego cierpienia. Dlatego tak dobrze nas rozumie. Rozumie trud robotnika, niepokój ojca i matki o przyszłość dzieci, tęsknotę emigranta za domem.

Idźcie stąd dzisiaj z podniesionymi głowami. Niech te sztandary „Solidarności" przypominają światu, że dobro ostatecznie zwycięża. Bądźcie wierni testamentowi z Kany Galilejskiej. Róbcie to, co mówi Chrystus. Bądźcie solidarni w codzienności – w rodzinach, w pracy, w Waszych społecznościach.

Matko Częstochowska, Królowo Polski, Pani z Bredy – módl się za nami i prowadź nas do wolności, której źródłem jest Twój Syn. Amen.

==========

KAZANIE WYGŁOSZONE 27 SIERPNIA 2026 DLA DZIAŁACZY SOLIDARNOŚCI W DZIEŃ ŚW. MONIKI NA MSZY ŚW. NA CMENTARZU WOJENNYM W ARNHEM-OOSTERBEEK (ZNANYM TEŻ JAKO CMENTARZ SPADOCHRONIARZY, ANG. AIRBORNE CEMETERY). DO CZYTAŃ: 1 KOR 1, 1-9; PS 145 (144), 2-3. 4-5. 6-; AKLAMACJA MT 24, 42A. 44; MT 24, 42-51.

Temat kazania: Słowa Bożego: Wierność w godzinie próby

Wstęp

Drodzy Bracia i Siostry, członkowie i przyjaciele wielkiej, niezłomnej „Solidarności"! Szanowni Zgromadzeni na tej holenderskiej ziemi, przesiąkniętej polską krwią!

Stoimy dziś na cmentarzu wojskowym w Arnhem. Wokół nas równo ostrzyżone trawniki i rzędy białych krzyży. Kiedy sierpniowe słońce kładzie długie cienie między mogiłami, zdaje się, że szumią one opowieścią o sierpniu i wrześniu 1944 roku, o deszczu spadochroniarzy gen. Stanisława Sosabowskiego, o dramacie i heroizmie, który nie miał sobie równych.

Dziś wspominamy św. Monikę matkę św. Augustyna, wdowę (†387 w Ostii), patronkę trudnej miłości rodzinnej. Niech jej cierpliwa modlitwa i niezłomna nadzieja towarzyszą nam w codziennych zmaganiach o pokój i miłość w naszych własnych domach.

1. Wolność nie jest prezentem

Słuchaliśmy dzisiaj słów Apostoła Pawła do Koryntian: „W Nim to bowiem zostaliście we wszystkim wzbogaceni […] tak, iż nie brakuje wam żadnego daru łaski, gdy oczekujecie objawienia naszego Pana Jezusa Chrystusa" (1 Kor 1, 5.7). Paweł mówi o wierności Boga. Bóg jest wierny. Ale Bóg powołuje też ludzi wiernych.

W Ewangelii słyszymy zaś to naglące wezwanie Jezusa: „Czuwajcie więc, bo nie wiecie, w którym dniu Pan wasz przyjdzie" (Mt 24, 42). Czuwać – to znaczy być gotowym. Ci tutaj, spoczywający pod tymi krzyżami chłopaki z 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej, czuwali i poszli. Nie pytali, czy świat

jest sprawiedliwy. Oni wiedzieli, że wolność nie jest danym raz na zawsze prezentem, ale zadaniem.

A Psalmista woła: „Pokolenie pokoleniu głosi Twoje dzieła i zwiastuje Twoją potęgę" (Ps 145, 4). My jesteśmy tym właśnie pokoleniem, które ma obowiązek zwiastować i pamiętać.

2. Krew i wolność Europy – bez kompleksów

Gdy stajemy tu jako Polacy, jako ludzie „Solidarności", którzy po latach komunizmu podnieśli z kolan naszą Ojczyznę, musimy wyrzucić z serc wszelkie kompleksy. O tak! Często patrzymy na Zachód z podziwem, czasem z poczuciem niższości. A przecież, drodzy bracia i siostry, to my – Polacy – jesteśmy współfundatorami wolności tej części świata.

Nie tylko tu, pod Arnhem, gdzie polska krew mieszała się z holenderską ziemią. Pomyślcie o szlaku generała Stanisława Maczka i jego 1. Dywizji Pancernej – od wylewających się łez radości w wyzwolonej Gandawie, Bredzie i dalej, aż po Wilhelmshaven. Pomyślcie o milionach Polaków, którzy na wszystkich frontach II wojny światowej krwawili za to, by inni mogli żyć.

A potem przyszła połowa XX w. i czerwień znów zalała nasz kraj. Ale nie poddaliśmy się. Narodziła się „Solidarność" – wielki, pokojowy zryw sumienia, który rozbił Mur Berliński od środka.

Jakże pasują tu słowa Cypriana Kamila Norwida, który pisał: „Gorzki to chleb jest polskość – ale bez tego chleba nie ma życia dla duszy narodowej".

Nasi zmarli z 1944 roku i wysiłek „Solidarności" z 1980 roku to jedno i to samo pasmo polskiej troski o wolność – nie tylko naszą, ale i cudzą. Jesteśmy narodem ludzi wolnych, a nie dłużników, którzy muszą się przed kimkolwiek tłumaczyć. Nie mamy żadnych kompleksów! Polska dała Europie lekcję ofiarności i moralnej czujności, której Zachód często nie potrafił pojąć.

3. Czuwanie, odpowiedzialność i trudna miłość

Zastanówmy się dzisiaj, patrząc na te groby: co to znaczy „czuwać" dla nas, ludzi pokolenia „Solidarności", dziś – kiedy starzejemy się, a wokół nas rosną nowe, młode pokolenia?

W tej drodze i w dzisiejszym dniu patronuje nam w szczególny sposób świę-

ta Monika – patronka trudnej miłości rodzinnej. Przez lata, ze łzami w oczach i na kolanach, wymodliła nawrócenie swojego syna, św. Augustyna. Nigdy nie straciła nadziei. Nigdy się nie poddała, choć sytuacja wydawała się po ludzku beznadziejna.

Kiedy myślimy o św. Monice tutaj, na cmentarzu w Arnhem, przed oczami stają nam natychmiast kobiety polskiej Solidarności z ponurych lat stanu wojennego. Pomyślcie o tych wszystkich matkach, żonach i siostrach, które w grudniowe, mroźne noce 1981 roku i przez kolejne lata stały pod bramami więzień i obozów internowania. One niosły w sobie dokładnie tę samą, cichą i heroiczną miłość św. Moniki.

Gdy mężowie i synowie siedzieli w celach, one organizowały podziemną pomoc, roznosiły paczki, pukały do drzwi komitetów prymasowskich, walczyły o leki i – co najważniejsze – nie pozwalały, by w polskich domach umarła nadzieja. To była miłość niezwykle trudna. Miłość okupiona strachem o jutro, rewizjami o świcie, płaczem dzieci budzonych przez milicję. A jednak te kobiety, wzorem św. Moniki, nie zrezygnowały. Nie powiedziały swoim mężczyznom: „odpuśćcie sobie tę Solidarność, dajcie spokój". One trwały. Stały się fundamentem, bez którego tamta walka o wolność skończyłaby się klęską.

Czyż nasza miłość do Ojczyzny – ta, którą żołnierze Sosabowskiego i Maczka nosili w sercach, i ta, która pchnęła Was do budowania „Solidarności" – nie jest właśnie taką trudną miłością? Pełną troski, czasem nieporozumień między pokoleniami, lęku o przyszłość naszych dzieci i wnuków. Czuwać dzisiaj to kochać tę naszą wielką polską rodzinę miłością św. Moniki i kobiet stanu wojennego: cierpliwą, niezłomną, ale nigdy nie rezygnującą z drugiego człowieka.

4. Zakończenie

Zbigniew Herbert w swoim genialnym „Przesłaniu Pana Cogito" przypominał nam: „Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach, / wśród odwróconych plecami i spalonej tarczy […] / Bądź wierny Idź".

Idź wyprostowany. Bez kompleksów, ale i bez pychy. Czuwać dzisiaj to znaczy nie pozwolić ukraść pamięci. Czuwać to znaczy przekazać tę pałeczkę

wolności i trudnej, odpowiedzialnej miłości naszym dzieciom i wnukom. Powiedzieć im: patrzcie na te groby w Arnhem, patrzcie na Gdańsk, na robotników w kaskach – wolność ma imię, a tym imieniem jest odpowiedzialność za drugiego człowieka.

Drodzy moi! Niech ten cmentarz w Arnhem będzie dla nas nie tylko miejscem żałoby, ale miejscem dumy. Kiedy wrócicie do domów, do swoich rodzin, niech nikt z Was nie patrzy w ziemię ze spuszczoną głową. Jesteśmy spadkobiercami gigantów – tych, co skakali tu na spadochronach w ogień, i tych, co w 1980 roku podpisali postulaty strajkowe z wiarą silniejszą niż czołgi.

Pan jest blisko. Syn Człowieczy przychodzi w najmniej oczekiwanym momencie, ale, jak słyszeliśmy w psalmie, „Pan jest wierny we wszystkich swoich słowach i łaskawy we wszystkich swoich dziełach" (Ps 145, 13b). Bądźmy wierni w naszych dziełach. Amen.

==========

KAZANIE WYGŁOSZONE 4 WRZEŚNIA 2026, W ROCZNICĘ BITWY POD PECYNKĄ (DO CZYTAŃ: 1 KOR 4, 1-5; PS 37 (36), 3-4. 5-6. 27-28B. 39-40; AKLAMACJA J 8, 12; ŁK 5, 33-39. 82).

Temat kazania: „Bądź wierny. Idź"

Wstęp

Drodzy Kombatanci, Stróże Narodowej Pamięci, Członkowie Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej Okręgu Opocznik, Drodzy Bracia i Siostry!

Stajemy dziś na tej ziemi, która ponad osiem dekad temu spłynęła krwią najlepszych synów i córek naszej Ojczyzny. Przeszłość spotyka się z teraźniejszością w dziękczynieniu i zadumie, gdy wspominamy 82. Rocznicę Bitwy pod Pecynką. W tym wyjątkowym dniu przynosimy przed ołtarz Pański nie tylko ból tamtych dni, ale i dumę z męstwa partyzantów struktury AK.

Kiedy słuchamy dzisiejszych czytań liturgicznych, odkrywamy, że Słowo Boże rzuca potężne światło zarówno na ofiarę żołnierzy spod Pecynki, jak i na nasze codzienne zmagania o wierność wartościom, wolności i prawdzie w obliczu współczesnych wyzwań.

1. „Bądź wierny. Idź" – depozyt sumienia i krwi.

W pierwszym czytaniu święty Paweł pisze do Koryntian słowa niezwykle mocne: „Bracia: Niech uważają nas ludzie za sługi Chrystusa i za szafarzy tajemnic Bożych. A od szafarzy już tutaj się żąda, aby każdy z nich był wierny". Wierność. To słowo klucz. Żołnierze Armii Krajowej nie szukali poklasku ani ludzkiej chwały. Wielu z nich ginęło w bezimiennych grobach, w gęstych lasach, skazani przez okupantów – a później przez komunistów – na zapomnienie. Byli wierni przysiędze, byli wierni Bogu i Ojczyźnie. Rozumieli doskonale to, co 40 lat później zamknął w strofach wybitny poeta Zbigniew Herbert w swoim „Przesłaniu Pana Cogito": „Idź dokąd poszli tamci do ciemnego kresu / po złote runo nicości twoją ostatnią nagrodę / idź wyprostowany wśród tych co na kolanach / wśród obróconych plecami i obalonych w proch / ocalałeś nie po to aby żyć / masz mało czasu trzeba dać świadectwo/ … czuwaj – kiedy światło na górach daje znak – wstań i idź/… Bądź wierny Idź".

Ci spod Pecynki poszli. Wyprostowani. Przeciwstawili się nawałnicy niemieckiej ekspedycji karnej, chroniąc ludność cywilną, walcząc o wolność do ostatniego ładunku, do ostatniego tchnienia. Dlaczego? Bo zaufali Panu. Jak słyszeliśmy w Psalmie 37: „Miej ufność w Panu i czyń to, co dobre, / a będziesz mieszkał na ziemi i żył bezpiecznie". Oni wiedzieli, że ziemskie bezpieczeństwo może zostać zniszczone, ale bezpieczeństwo ich duszy i sumienia leży w rękach Boga. Złożyli swoje życie w depozyt Najwyższemu.

2. Nowa szata pamięci, nowe bukłaki etosu.

Moi Drodzy, słuchaliśmy dzisiaj słów Jezusa o nowej szacie i starych bukłakach. Być może ktoś z nas pomyśli: „Ładne biblijne obrazy, ale co to ma wspólnego z moim życiem tutaj, w 2026 roku?". Ma – i to niezwykle dużo. Jezus nie mówi dziś o krawiectwie ani o winiarstwie. On mówi o tym, jak nie zmarnować swojego życia i jak mądrze budować naszą Ojczyznę, lokalną społeczność i rodziny.

Popatrzmy na pierwszy obraz: stare bukłaki. To są nasze fundamenty. To nasza wiara, wartości, polska kultura i pamięć o przodkach. Jeśli je wyrzucimy, staniemy się ludźmi bez korzeni. Z kolei nowe wino to czas, w którym żyjemy – świat nowoczesnych technologii, cyfryzacji i nowych wyzwań gospodarczych.

Mądry patriotyzm polega na tym, by nie bać się nowego wina, ale wlewać je w bezpieczne, sprawdzone, stare bukłaki wartości. Nie można budować przyszłości, odcinając się od przeszłości. Ale nie można też blokować rozwoju, kurczowo trzymając się skostniałych struktur.

Jezus ostrzega nas przed brakiem roztropności: jeśli wlejesz nowe wino do starych bukłaków, zniszczysz jedno i drugie. Co to oznacza dla nas? Odpowiedzialność. Łatwo jest przyjść i powiedzieć: „Wszystko, co było, jest złe, zburzmy to". Łatwo jest też rzec: „Nic nie zmieniajmy". Obie te postawy niszczą dorobek przodków. Dojrzałość obywatelska to mądrość, która potrafi odróżnić to, co niezmienne i święte, od tego, co wymaga dostosowania do współczesności.

W dzisiejszej Ewangelii Jezus odpowiada faryzeuszom obrazem wesela. Pyta: „Czy możecie nakłonić gości weselnych do postu, dopóki pan młody jest z nimi?" To jest wezwanie do radości i wdzięczności za wolność. My, Polacy, mamy skłonność do narzekania. A Jezus mówi dziś: „Zatrzymaj się. Żyjesz w wolnym kraju. Twoje dzieci nie muszą iść na front, nad Twoim domem nie latają rakiety. Doceń to". Ta Ewangelia uczy nas wdzięczności za pokój, w którym nie musimy przelewać krwi za Ojczyznę, ale możemy dla niej uczciwie pracować.

Zaraz potem pada jednak trzeźwiące zdanie: „Przyjdzie czas, kiedy zabiorą im pana młodego, i wtedy, w owe dni, będą pościć". To nie straszenie, to wezwanie do gotowości. Wolność i pokój nie są nam dane raz na zawsze jako darmowy abonament. Patriotyzm to także gotowość do wyrzeczeń, gdy przyjdzie kryzys. To solidarność, kiedy trzeba zrezygnować z własnego egoizmu, by pomóc słabszemu i ratować wspólnotę.

Stańmy dziś w cichości serca przed Bogiem. Podziękujmy Mu za wolną Polskę. I prośmy o mądrość: byśmy potrafili szanować stare bukłaki naszych wartości i mieli odwagę wlewać w nie nowe wino rozwoju, budując bezpieczną przyszłość dla nas i dla następnych pokoleń.

3. Sztandar jako sumienie i honor pokoleń.

Wy, drodzy członkowie Światowego Związku Żołnierzy AK, jesteście tymi nowymi bukłakami, w które zostaje przelane stare, szlachetne wino – wino

etosu Armii Krajowej. Widzę tutaj różne poczty sztandarowe - to nie są zwykłe kawałki materiału. Sztandar to świętość. To wokół niego skupia się wspólnota. Kard. Stefan Wyszyński przypominał wyjątkowe znaczenie symboli narodowych, podkreślając, że: „Sztandar to symbol, świętość. Jego miejsce tkwi gdzieś między hymnem narodowym a przysięgą wojskową".

Wy tych sztandarów nie zdradzacie. Wy je podnosicie wysoko, by widziały je młode pokolenia. Na tych sztandarach wypisane są często wartości: „Bóg, Honor, Ojczyzna", które rzeźbiły serca partyzantów z 1944 roku. W czasach, gdy świat próbuje nam wmówić, że nowoczesność wymaga odrzucenia tradycji, Ewangelia przypomina, że nowe wino potrzebuje solidnych, czystych bukłaków. Nasza tożsamość narodowa potrzebuje młodych serc, które będą gotowe przyjąć wartości przodków. Adam Mickiewicz w „Odzie do młodości" pisał: „Młodości! ty nad poziomy / Wylatuj, a okiem słońca / Ludzkości całe ogromy / Przenikaj z końca do końca". To właśnie ta młodzieńcza siła, połączona z wielkimi ideałami – oto lekcja spod Pecynki.

4. Światłość, która nie gaśnie. W 82. rocznicę walk pod Pecynką.

W aklamacji przed Ewangelią usłyszeliśmy słowa Chrystusa z Ewangelii według świętego Jana: „Ja jestem światłością świata. Kto idzie za Mną, [nie będzie chodził w ciemności, lecz] będzie miał światło życia". W mrokach wojny, w ciemnościach okupacyjnej nocy, żołnierze Armii Krajowej szukali tego Światła. Dla nich Bóg nie był pustym hasłem na sztandarach, ale realną siłą, która pozwalała przetrwać najgorsze chwile w leśnych obozowiskach, przed bitwą, w obliczu śmierci. To światło prawdy i wolności niosło ich przez ogień walki pod Pecynką.

Dziś, po 82 latach, to światło nie zgasło. Ono płonie w Waszych sercach, Drodzy Kombatanci i Przyjaciele. Płonie w tej corocznej modlitwie. Przekazujecie je dalej. Pamiętajmy o słowach naszego wielkiego wieszcza, Adama Mickiewicza, z III części „Dziadów", które są wiecznym memento dla każdego Polaka: „Jeśli zapomnę o nich, Ty, Boże na niebie, / Zapomnij o mnie".

My nie zapominamy. Dzisiejsza uroczystość, obecność pocztów sztandarowych – to wszystko jest dowodem naszej pamięci i naszej wierności. Niech będzie dla młodych lekcją patriotyzmu, a dla starszych – powodem do dumy,

że dzieło Waszego trudu Drodzy Kombatanci, Wasza walka i Wasze cierpienie, nie poszły na marne.

5. Bóg, Honor i Pamięć. Przesłanie wiary i patriotyzmu.

Święty Paweł uczy nas dzisiaj, że ostatecznym sędzią jest Pan. To On rozjaśni to, co ukryte w ciemnościach, i ujawni zamysły serc. Wierzymy głęboko, że nasi bohaterowie spod Pecynki odebrali już od Pana sprawiedliwą nagrodę chwały. Naszym zadaniem tutaj, na ziemi, jest trwać na straży ich dziedzictwa.

Niech każda uroczystość z udziałem pocztu sztandarowego będzie dla nas lekcją odpowiedzialności i szacunku do tradycji. To także wyraz wdzięczności dla ludzi, którzy go tworzyli i pod nim się jednoczyli. Niech każdy, kto na niego spojrzy, pamięta, że jesteśmy narodem, który potrafi pięknie żyć, mężnie walczyć i z nadzieją patrzeć w przyszłość – zawsze podążając za Chrystusem, jedyną Światłością Świata. Wierni tym świętym wartościom, wołamy dziś: Bóg, Honor, Ojczyzna! Amen!

Polska Współczesna

Ryszard Czarnecki

Twarze Azji: Indie

Mówiono o kontynencie azjatyckim, że to „kontynent przyszłości". Jednak już od dawna jest także kontynentem teraźniejszości i rozwoju gospodarczego znacznie szybszego niż ten w Europie, szybszego również od Ameryki Północnej.

Nie jestem oficjalnym ekspertem od Azji, ale jeśli jest się tam siedmiokrotnie w ciągu roku, jak mi się to ostatnio zdarzyło i kilkadziesiąt razy w sumie – to jednak mogę powiedzieć, że sporo wiem i mogę pokusić się o generalne uwagi o kontynencie, który staje się w XXI wieku „pępkiem świata". Przesada? Jeśli tak, to niewielka.

MÓJ PIERWSZY RAZ...

Właśnie wróciłem z Indii. To coś więcej niż państwo – to subkontynent. Byłem tam kilkanaście razy. Pierwszy raz niemal ćwierć wieku temu, na początku tego tysiąclecia. Spędziłem w tym kraju – subkontynencie miesiąc. Miałem czas: przestałem być posłem. To był jeden z kilku, nie za wielu plusów politycznego bezrobocia. Byłem wtedy w obu stolicach: historycznej – Agrze i aktualnej, od powstania niepodległych Indii po II wojnie światowej – New Delhi. Byłem w azjatyckiej „Krzemowej Dolinie" – Bangalore (to nazwa angielska i obowiązywała wtedy, gdy tam byłem, czyli w roku 2002, aby zostać zastąpioną cztery lata później przez lokalną nazwę „Bengaluru". Tak to jest w lokalnym języku „kannada", którym mówi się w tamtejszym stanie Karnataka. Tu uwaga: ostatnie dekady to intensywna „hinduizacja" nazw miast, które używane były przez brytyjskich kolonizatorów. Tak więc np. stary kolonialny Mumbaj stał się Bombajem. Nowe, oficjalne nazwy wyparły stare, anglosaskie. Oczywiście angielski dalej jest jednym z dwóch oficjalnych języków tego największego –

pod względem demograficznym – państwa na świecie. Drugim jest naturalnie hindi, choć olbrzymia cześć populacji używane własnych, lokalnych języków. Tak naprawdę angielski jest tu wciąż tutejszą „lingua franca".

Wtedy, w 2002 roku byłem też w indyjskim „Zakopanem" czyli w miejscowości Nanital u podnóża Himalajów. Rano wyszedłem z hotelu i po raptem niewiele więcej niż godzinie wspinania się zwykłą drogą byłem wyżej niż najwyższy szczyt Polski – Rysy.

W czasie kolejnych podróży odwiedzałem również Dżodpur, Dżajpur, Udajpur, stan Gudzarat (graniczący z Pakistanem) czy „miasto umarłych", gdzie dokonuje się pochówków Hindusów umierających, jak Indie długie i szerokie i przywożonych, aby tam właśnie je spalić, a to, co zostanie wrzucić do świętej rzeki Ganges. To Waranasi. To hinduska nazwa miasta, które za czasów kolonialnych nazywało się Benares, a w czasach „przed Anglikami" – Kisi. Byłem też w regionach oblężonych przez turystów, jak Kerala i Goa. Oba skądinąd zamieszkałe przez bardzo znaczącą mniejszość chrześcijańska, będącą pozostałością po katolickiej Portugalii. Lizbona oddała wyspę Goa – raj dla turystów dopiero w roku 1960. Goa przy poszanowaniu wszelkich proporcji była tym, co Makao dla Chińczyków, gdzie przecież też posługiwano się językiem portugalskim i to od początku XVII wieku aż po sam koniec XX wieku, gdy w 1999 roku Lizbona przekazała to jedno z najbogatszych terytoriów świata – Pekinowi. Jednak przez kolejne pół wieku Makao będzie miało sporą, być może tylko teoretycznie, autonomię z własną polityką imigracyjną i celną – czego jednak portugalska wyspa Goa nie umiała sobie wywalczyć od New Delhi.

ZNÓW BOMBAJ CZYLI MUMBAJ

Mumbaj. Sześć lat przed moją pierwszą wizytą tu (byłem tu w styczniu 2002 roku) oficjalnie przestał być Bombajem. Jestem tu czwarty raz. Jedna z najbardziej „europejskich" aglomeracji Indii. Idąc ciągnącym się kilometrami nadbrzeżem położonym nad Morzem Arabskim, które okala te stolicę stanu Maharasztra trudno wręcz poczuć, że jest się w Azji, jeśli nie liczyć tłumów śniadych ludzi. Rozmowa w biurze jednego z poważniejszych tutejszych biznesmenów z oknami na morze. Ma stażystę z Polski, z Wrocławia. Duża wiedza o Europie i polityce międzynarodowej. Narzeka na rząd i wszechogarniająca korupcje.

Liczy, że młode pokolenie Hindusów zrobi w końcu porządek. Nie za bardzo wierzy w siłę opozycji, czyli Kongresu rodziny Gandhi. Wierzy natomiast w jakąś nową siłę w indyjskiej polityce. Tyle, że na razie o niej ani widu-ani słychu. Był w Polsce i jeszcze się do nas niedługo wybiera. Słucham uważnie. Czyżby nawet wielki biznes w tym kraju miał poczucie jakiegoś sufitu nad głową? Sufitu niemożności? Kraj się przecież gospodarczo mocno rozwija. Tylko, że zapewne nie wszyscy, zwłaszcza młodzi korzystają z tego w tym samym stopniu, co inni. A co do politycznego trzęsienia ziemi to na razie niewiele na nie wskazuje. Narodowo-konserwatywna rządząca partia BJP (Bharatiya Janata Party) jest u władzy już od dwunastu i pół roku i raczej jeszcze dług porządzi. Tak przynajmniej uważa większość moich rozmówców. Charyzmatyczny premier Narendra Modi jest politykiem bardzo skutecznym. W tym roku jego prawicowa, istniejąca już od 46 lat partia po raz pierwszy wygrała wybory w stolicy stanu Kerala – Thiruvananthapuram (w języku malajalam oznacza ona „miasto świętego Ananthy"), wcześniej znanej jako „Trivandrum", gdzie „od zawsze" czyli od pierwszych w historii stanowych i municypalnych wyborów w 1957 roku rządzili komuniści naprzemiennie z Partią Kongresową. W stanie Kerala mieszka osiem milionów chrześcijan. Wyznawcy Chrystusa są tu blisko... dwadzieścia wieków, bo od ok. roku 50 p.n. Chr. i czasów św.Tomasza. W 2008 doszło tutaj do pogromów naszych braci w wierze i spalenia szeregu kościołów. Paradoksalnie jednak podczas niemal siedmiu dekad rządów komunistów oraz partii Indiri Gandhi było to – przynajmniej na taką skalę – zdarzenie wyjątkowe. Tutejsi komuniści byli zresztą dość barwni: w ostatnich kilkunastu latach zabronili produkcji i sprzedaży Coca-Coli pod pretekstem znalezienia tam pestycydów ,a także wystąpili przeciwko monopolowi Microsofta.

Na koniec wątku o chrześcijańskiej przecież w dużym stopniu Kerali uwaga smakosza: polecam tamtejszy wegetariański placek Uttapam – na kolację taki mało kaloryczny posiłek jest jak znalazł.

CHARYZMATYCZNY PREMIER MODI CZARUJE TŁUMY

Wracam jednak do BJP. To ewenement na skalę światową. Kilka miesięcy temu pogratulowałem jednemu z jej bardzo ważnych na szczeblu centralnych działaczy faktu, że mają aż 140 milionów członków. Oburzył się: „Przecież

mamy już 170 milionów". Cóż, to bezapelacyjnie największa partia globu! Jej atutem w wymiarze krajowym i międzynarodowym jest szef formacji i rządu, 76-letni Modi. Miałem okazję dwukrotnie się z nim spotkać, a nawet raz przemawiać ma tym samym spotkaniu. Było to w roku 2016 w New Delhi na cyklicznym (odbywa się co pięć lat) World Culture Festival. Widziałem wtedy, jak premier Indii potrafi „czarować" słuchaczy. Jeszcze nigdy wcześniej i nigdy później nie przemawiałem wobec trzech milionów ludzi (dane oficjalne) na otwartej przestrzeni! Byłem wtedy wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego. Poza nami mówił też b.premier Francji Dominique Villepin. A Narendra Modi niemalże hipnotyzował swoich rodaków. Ta cisza milionowych rzesz ludzi...

Drugie moje spotkanie z szefem rządu najliczniejszego państwa świata miało miejsce w roku 2020, także w New Delhi. Byłem wtedy przewodniczącym delegacji polskiej w ramach szerszej międzynarodowej delegacji europarlamentarzystów. W skład delegacji polskiej wchodziło sześciu posłów PiS do PE. Byliśmy też pierwszą delegacja zagraniczną, która po dłuższym czasie udała się z oficjalną wizytą do Kaszmiru. Zostaliśmy po tym zaatakowani w „Gazecie Wyborczej" artykułem na całą kolumnę z cytatami z ...indyjskiej opozycji, której oczywiście nie mogło się podobać, że premier z konkurencji uzyskuje międzynarodowe poparcie dla Kaszmiru jako stanu ich państwa w permanentnej wojnie między New Delhi a Islamabadem. No i oczywiście dla organu z ulicy Czerskiej nie było akceptowalna zagraniczna aktywność polskiej prawicy. Dla różnych polityków, „ekspertów", żurnalistów tworzących obóz kosmopolityczny jest naturalne, jak z premierem Indii spotyka się kanclerz Niemiec, prezydent Francji czy lokator Białego Domu, ale godne potępienia, gdy czyni to polski polityk.

Dodam, że czas mojej tam nagłośnionej wizyty był czasem „miodowego miesiąca" w relacjach USA–Indie. Skądinąd trwał on ...ponad dekadę. Ta ostatnia rzecz wymaga komentarza. Oto bowiem Amerykanie pokazali wówczas swój niebywały pragmatyzm. Zanim bowiem Narendra Modi został szefem rządu Indii był premierem stanu Gudżarat – i to całe trzynaście lat. Niedługo potem, jak został nim pierwszy raz wybuchły tam antymuzułmańskie rozruchy. Zginęło między 800 a 2000 wyznawców islamu. Modi do zamieszek

nie podburzał, ale zarzucano mu, że nie reagował na nie stanowczo. I wtedy administracja amerykańska wpisała go na „czarną listę" z zakazem wjazdu do Stanów Zjednoczonych Ameryki. Premier Narendra Modi nie tylko to jakoś przeżył, ale nie przejmując się tym specjalnie wygrał kolejne wybory stanowe w latach 2002,2007 i 2012, a więc w sumie triumfował czterokrotnie. I z pozycji szefa rządu Gudżaratu – jednego z dwóch najbardziej uprzemysłowionych stanów Indii (obok wspomnianego już tu stanu Maharasztra z Mumbajem), ale dopiero dziesiątego pod względem liczby ludności Narendra Modi został premierem Indii. I wówczas Waszyngton natychmiast zdjął go ze swojej „black list". Z punktu widzenia interesów gospodarczych USA „jedynkę" w jednym ze stanów można lekceważyć i stawiać pod pręgierzem ze względu na prawa człowieka, ale już premiera jednego z dwóch – wtedy jeszcze – największych demograficznie państw świata – na pewno nie. Potem Modi wiele razy odwiedzał USA i rozkładano przed nim czerwony dywan. Ba, Amerykanie umożliwiali premierowi z New Delhi spotkania na otwartych stadionach z dużą i bardzo wpływową w biznesie, ale też w polityce „Indian Community". Skończyła się ta idylla za Donalda Trumpa 2.0, gdy Biały Dom poszedł w ostry kurs antyindyjski ocieplając jednocześnie stosunki z wrogiem Indii – Pakistanem.

NAJBOGATSZA RODZINA AZJI

A w rodzinnym stanie premiera Modi – Gudżaracie właśnie dopiero co byłem. Nie w stolicy co prawda – Gandhinagarze, ale w największym mieście stanu – Ahmadabadzie. Zwiedzałem tam imperium najbogatszej rodziny Azji i jednej z najbogatszych rodzin świata – rodziny Ambanich. Zarówno imperium biznesowe, jak i to,co wyróżnia ją na całym świecie: największe prywatne ZOO na globie, a jednocześnie gigantyczne... hospicjum dla zwierząt. Wszystko to skrywa Vantara – bo taką nazwę nosi owe połączenie ogrodu zoologicznego ze szpitalem dla zwierzaków, ściąganych praktycznie z całego świata. Bardzo w tym pomogła pandemia COVID-19, podczas której szereg ogrodów zoologicznych w Europie zamykało czy bardzo ograniczało swoją działalność i marzyło o oddaniu choćby części fauny. Tak było również w przypadku Niemiec, skąd ściągnięto do Vantara kilka zwierząt. Warunki dla zwierzaków są tam fantastyczne – z własnym szpitalem i opiekunami – jeden przypada na jednego

słonia czy lwa! Łapię się na wrażeniu,że większość ludzi w promieniu wielu kilometrów, a pewnie i w całych Indiach mogłaby pozazdrościć regularnego odżywiania podopiecznym Vantary. Owe ZOO-szpital – hospicjum mieści się na olbrzymim terenie 3500 akrów w Motikhavdi, w Jamnagarze i zarządzane jest przez Reliance Foundation. Rzeczywiście, zgodnie z nazwą fundacji zwierzęta i ich obrońcy mogą polegać na rodzinie Ambanich. Rodzinie zresztą trzypokoleniowej, bo obejmującej matkę rodu, dwóch jej synów i troje wnuków. Założycielem rodu był Dhirubhai Ambani, który w wieku 26 lat stworzył pod koniec lat 1950 małą firmę tekstylną, która rozrosła się do przemysłowego imperium. Zmarł w roku mojego pierwszego przyjazdu do Indii – 2002. Jego żona Kokilaben Ambani żyje do dziś. Mieli dwóch synów: uważanego za najbogatszego człowieka nie tylko Indii, ale kontynentu – 62-letniego Mukesha Ambani, króla przemysłu petrochemicznego, telekomunikacyjnego (największa w tym sektorze indyjska firma JIO), energetycznego i sprzedaży detalicznej oraz młodszego o dwa lata Anila Ambaniego, przedtem szefa Realiance Group (Realiance ADA), żonatego z gwiazdą Bollywood aktorką Tiną Ambani.

Żona starszego z braci, Nita Ambani, szefowa wspomnianej wcześniej Realiance Foundation odpowiedzialnej za słynne ZOO, jest też właścicielką klubu krykieta Mumbai Indians (miałem okazję zwiedzać jego stadion na obrzeżach miasta, na którym pomieścić się może pięć tysięcy kibiców). Mukesh i Nita mają troje dzieci: bliźniaków – syna Akasha i córkę Ishę oraz młodszego syna Ananta. Akash zajmuje się telekomunikacyjnym biznesem rodziny, a Isha sprzedażą detaliczną za granicę oraz usługami finansowymi. Najmłodszy Anant kontroluje rodzinny sektor energetyczny, w tym odnawialnych źródeł energii, ale zasłynął ze swojego spektakularnego wesela przed dwoma laty ze swoją wieloletnią przyjaciółką Radhiką Merhant. Trwało ono... sześć miesięcy! Odbywało się w różnych częściach świata, a zakończyło w należącym do Ambanich centrum konferencyjnym w Mumbaju. Na weselu, które kosztowało miliony dolarów występowała Rihana i Justin Biber. Obecni byli na nim zarówno najwięksi biznesmeni, jak Mark Zuckerberg (META), Bill Gates, prezes Samsunga Han-Jong Hee, ale też siostry Kardashian, prezydent FIFA Gianni Infantino oraz b.premierzy Wielkiej Brytanii sir Tony Blair i Boris Johnson, wreszcie Ivanka Trump z mężem Jaredem Kushnerem.

INDIE, BRICS, ŚWIATOWA GEOPOLITYKA

Rodzinę Ambanich z premierem Narendrą Modi łączy miejsce, gdzie narodził się ich biznes i którym on rządził: stan Gudżarat. To dobry pretekst, żeby przerwać sagę o jednym z najbogatszych klanów świata i przejść do polityki. Warto, bo rola międzynarodowa New Delhi rośnie. To jeden z tych krajów, obok Chin i Turcji, które świetnie wykorzystały pierwsze ćwierćwiecze XXI wieku. Indie za czasów komunizmu były liderem tzw. krajów niezaangażowanych (a więc głównie tzw. Trzeciego Świata), które w sporze między Zachodem, a Wschodem formalnie zajmowały stanowisko neutralne, ale faktycznie były bliżej Moskwy. Indie to istotna część „Południa" na osi sporu z tradycyjnie bogatą „Północą". Należy dostrzec ciągłość w polityce międzynarodowej New Delhi z lat choćby 1970–1980, a tym co Indie robią w nowym tysiącleciu. Bo przecież to właśnie Indie były w roku 2006 jednym z czterech założycieli organizacji, która wpłynęła na światową geopolitykę. Chodzi o sojusz BRIC składający się obok New Delhi także z Brazylii, Rosji i Chin (nazwa od pierwszych liter tych czterech krajów). Po czterech latach organizację poszerzono o RPA i tak powstał BRICS (ostatnia litera: „S" od South Africa). Choć Indie przez zdecydowaną większość XXI wieku utrzymywały poprawne, a nawet dobre relacje z USA to jednak w oczywisty sposób BRICS jest swoistym anty – Zachodem. Obecnie jest to BRICS+ po tym jak do dotychczasowych pięciu państw dołączyło sześć kolejnych: Egipt i Etiopia z Afryki, Indonezja z Azji oraz Iran, Zjednoczone Emiraty Arabskie i Arabia Saudyjska spośród państw szeroko rozumianego Bliskiego Wschodu. Od 2024 roku jest też tam też trzynaście państw partnerskich, m.in. z Europy – Białoruś, z Azji Centralnej – Kazachstan i Uzbekistan, z Afryki – Nigeria i Uganda, z Azji Południowo- Wschodniej – Malezja, Tajlandia i Wietnam oraz Boliwia i Kuba z Ameryki Łacińskiej. Warto podkreślić, że BRICS+ gromadzi niemal połowę populacji świata (49,5%!), ma 40% światowego PKB oraz odpowiada za ponad ¼ światowego handlu (26%). Niewątpliwie jest to fortepian, na którym Indie grają swoje melodie w polityce zagranicznej, czasem zbieżne, a czasem rozbieżne z innymi „ojcami chrzestnymi" dawnego jeszcze BRIC, czyli przede wszystkim Rosją i Chinami.

Regionalnym, historycznym konkurentem Indii, także w wymiarze militarnym jest Pakistan. Jednak na „long term" w oczywisty sposób są nimi Chiny. Na tą rywalizację z Pekinem Indie są skazane zapewne do końca świata.

INDIE ZA PÓŁ WIEKU

Według raportu Międzynarodowego Funduszu Walutowego (IMF) przygotowanego przed dwoma laty wspólnie z amerykańska firmą Goldman&Sachs, w Polsce mało omawianego i mało znanego, a dotyczącego prognoz tego, co stanie się z gospodarką światową za pół wieku – w roku 2075 Indie będą drugą gospodarką świata: tuż za Chinami, ale jednocześnie tuż przed Stanami Zjednoczonymi Ameryki. Podczas mojej ostatniej wizyty w Indiach i spotkania z członkiem zarządu Reliance Group czyli firmie będącej jednym z głównych instrumentów gospodarczych rodziny Ambanich – Karanem Suri, Hindusem, który przeszło dziesięć lat pracował w sektorze bankowym w USA usłyszałem rzecz znamienną. Na moje pytanie o rywalizację nie tyle militarną – ta jest raczej bardziej znana, a gospodarczą Indii z Pakistanem odpowiedział, że dla New Delhi to nie Pakistan jest rywalem w obszarze ekonomii tylko inny światowy „playmaker" czyli Chiny. Nic dodać, nic ująć. A choć Pekin i New Delhi to konkurenci na „long term" to przed rokiem mogliśmy zaobserwować pewne zbliżenie między tymi państwami. Jego swoistym „ojcem chrzestnym" był... Donald Trump. 47, a wcześniej 45 prezydent USA niespodziewanie zerwał z dotychczasową formułą polityki zagranicznej Waszyngtonu, która w Azji Południowej po latach gry z Pakistanem stawiała na Indie. W swojej drugiej kadencji poszedł na zbliżenie z Islamabadem, co było o tyle zaskakujące, że Islamska Republika Pakistanu (oficjalna nazwa tego kraju) gospodarczo siedzi w kieszeni Chin i nawet niespecjalnie jest w stanie przeorientować swoja politykę na realnie proamerykańską. Jednak właśnie ten zwrot przez amerykańską rufę spowodował, być może czasowe, zbliżenie indyjsko-chińskie. Świadczy o tym fakt, że premier Modi pojawił się w Chinach po siedmiu latach (sic!) nieobecności. Pretekstem był szczyt Szanghajskiej Organizacji Współpracy, który odbył się w Tiencinie 31 sierpnia – 1 września 2025. Doszło tam do rozmowy między prezydentem Chin Xi Jnpingiem a premierem Modi, na którym oba kraje zobowiązały się do bliższej współpracy. Tu słowo o tejże, kolejnej już organizacji międzynarodowej, do której należą Indie – choć nie od początku jej istnienia. Ćwierć wieku temu założyły je Chiny, Rosja i cztery postsowieckie republiki Azji Środkowej: Kazachstan, Kirgistan, Tadżykistan i Uzbekistan. Indie dołączyły tam – podobnie jak Pakistan – w roku 2017 (sześć lat później

uczynił to Iran, a po kolejnym roku Białoruś). To kolejny instrument, na którym grają Indie choć sfokusowany jest przede wszystkim na kontynent azjatycki z dodatkowym państwem Euroazji, czyli Rosją i jej sojusznikiem Białorusią.

To tekst o Indiach, więc tylko na marginesie zauważę, że polityka Trumpa, oczywiście wbrew jego intencjom, doprowadziła nie tylko do zbliżenia Indii i Chin, ale także Unii Europejskiej i Chińskiej Republiki Ludowej (po wielu latach przerwy szczyt UE-ChRL w lipcu 2025), UE i Indii (umowa handlowa ze stycznia 2026, o czym szerzej za chwilę) oraz UE i Kanady (spektakularna wizyta premiera tego kraju w Parlamencie Europejskim w Strasburgu we wrześniu 2026 oraz zapowiedź specjalnej umowy handlowej Unia-Kanada). Polityka Waszyngtonu wojen dyplomatyczno-gospodarczych na wielu frontach przyniosła skutek odwrotny od oczekiwanego przez Biały Dom, czyli zacieśnienie relacji państw i organizacji międzynarodowych z którymi prezydent Donald John Trump wchodził na wojenną ścieżkę.

Słów parę o umowie handlowej Unia Europejska – Indie bez żadnych kontrowersji podpisanej z początkiem tego roku. Nie wzbudziła ona takich emocji jak umowa handlowa UE–Mercosur (Brazylia, Argentyna, Urugwaj, Paragwaj) z prostego powodu: to, co było przedmiotem najbardziej gorących konfliktów w kontekście umowy unijno–latynoamerykańskiej, czyli kwestia rolnictwa i eksportu produktów rolno-spożywczych na Stary Kontynent – zostało zupełnie wyłączone z umowy UE–Indie.

NEW DELHI CORAZ BLIŻEJ EUROPY

Jednak poza zasadniczym porozumieniem Indie–UE 27 New Delhi od lat intensyfikuje swoje relacje bilateralne z państwami Europy. Dobrą egzemplifikacją tego stanu rzeczy jest fakt podpisania umowy handlowej Indie–Republika Federalna Niemiec, a także wizyta kanclerza Friedricha Merza w Indiach w pierwszej połowie stycznia 2026, a więc co charakterystyczne tuż przed podpisaniem umowy UE–Indie. Tak jakby szef rządu w Berlinie chciał zasygnalizować, że to Niemcy wytyczają drogę Unii Europejskiej. Dodajmy do tego jeszcze znamienny fakt obecności aż dwóch tysięcy niemieckich firm w Indiach oraz kolejny, że właśnie w tym kraju szereg kluczowych firm RFN instaluje swoje centra informatyczne lub „call center", co ułatwia fakt powszechnej zna-

jomości angielskiego w Indiach oraz dobrej renomy hinduskich informatyków.

Indie na Starym Kontynencie grają gospodarczo na paru fortepianach. Obok formalnych ram współpracy z Unią Europejską oraz bilateralnych z poszczególnymi państwami jak choćby Niemcy, ale też Francja (wizyta prezydenta Macrona w Mumbaju 17 lutego 2026 roku i rozmowy z Modim) czy Finlandia (wizyta prezydenta Alexandra Stubba w Indiach 4–7 marca 2026) inwestują również mocno w handel i inwestycje z krajami Europejskiego Obszaru Gospodarczego (EOG). Warto zauważyć, że koncentrują się w tym kontekście szczególnie na Norwegii (w mniejszym stopniu na Szwajcarii). W październiku 2025 Indie zawarty „umowę o partnerstwie handlowo-gospodarczym" (TEPA) z krajami EFTA czyli Europejskiego Stowarzyszenia Wolnego Handlu (Norwegia, Islandia, Szwajcaria, Lichtenstein). To nie tylko otwiera nowy rozdział w relacjach z bogatymi państwami Starego Kontynentu, które nie są z własnego wyboru członkami Unii Europejskiej, ale jest też zwieńczeniem szczególnych relacji z Oslo. Oto w ostatniej dekadzie eksport z Indii do Norwegii wzrósł aż o 62,5%. Przekładając to na dolary amerykańskie: z 270 milionów USD w 2014 do 439 milionów USD w roku 2025. Eksport z Norwegii do Indii jest jeszcze większy: w 2024 roku wyniósł prawie 880 milionów USD. Sukcesem Indii jest uzyskanie w praktyce bezcłowego dostępu do części rynku europejskiego dla prawie 100% indyjskiego eksportu. To szczególnie ważne dla przemysłu chemicznego i tekstylnego Indii oraz wyrobów inżynieryjnych. Bardzo też ułatwi ekspansję mobilnych hinduskich firm informatycznych. Z drugiej strony Norwegia eksportuje bezcłowo do Indii zaawansowane technologie, zarówno te dotyczące przemysłów związanych z morzem, jak i energii odnawialnych – a to jest korzystne dla rozwoju przemysłu i gospodarki indyjskiej. Dodajmy do tego obustronne inwestycje. Norweski rządowy fundusz emerytalny GPFG ofensywnie zainwestował w indyjskie rynki kapitałowe i ma już udziały w indyjskich spółkach na solidnym poziomie 28 miliardów(!) USD. Z drugiej strona miała miejsce spora „inwazja" firm z Indii na rynek norweski. To kwiat gospodarki tego kraju: TATA – a konkretnie jedna z firm tego olbrzymiego „kombo" – Tata Consultancy Services (TCS), Infosys, ONGS, L&T Infotech, HCL Technologie, Mahindra, Cognizant czy wreszcie wspomniany już gigant rodziny Ambanich – Reliance Industries.

Indie biorą od Norwegii morską energetykę wiatrową, technologię wodorową, energetykę wodną. Z kolei New Delhi daje cenione modele zarządzania cyfrowego UPI, ważne z punktu widzenia zarządzania AI (sztuczną inteligencją), ale też cyberbezpieczeństwa.

Warto podkreślić, że Indie grają długofalowo. Już w 2018 roku przyjęły one wraz ze swoim skandynawskim partnerem Strategię Norwegia–Indie 2030. A teraz, mimo podpisania styczniowej umowy z Unią Europejską, starają się poprzez bilateralne relacje z państwami EOG, zwłaszcza z Oslo – lewarować UE...

MORDERSTWA W KANADZIE I DYPLOMATYCZNA WOJNA OTTAWA – NEW DELHI

Dodajmy jeszcze do tej panoramy ofensywy dyplomatyczno-gospodarczej Indii wizytę w New Delhi późną zimą tego roku premiera Kanady Marka Carneya w ramach jego dziesięciodniowej podróży do trzech ważnych państw na dwóch kontynentach: Indii, Japonii i Australii. To kontynuacja, bo jego poprzednik z tej samej opcji Justin Trudeau odwiedził Indie osiem lat temu. Ale też spektakularne zakończenie dużego kryzysu we wzajemnych stosunkach z roku 2023, gdy ówczesne władze w Ottawie oskarżyły New Delhi o powiązania ze śmiercią jednego z liderów kanadyjskich Sikhow – Hardeepa Singha Nijjara. Trzy miesiące po nim, we wrześniu tego samego roku zginął kolejny działacz wspólnoty sikhijskiej – Sukhdoll Singh. W kolejnym 2024 roku najpierw aresztowano w Kanadzie trzech obywateli Indii i oskarżono ich o morderstwo polityczne, a następnie uznano za „persona non grata" i wyrzucono z kraju sześciu(!) indyjskich dyplomatów. Jednak ta „epoka polodowcowa" w relacjach Indie–Kanada zakończyła się wielką odwilżą. I trwa międzykontynentalny „business as usual".

ONI I MY

Jak wyglądają relacje Indii z Polską, bo to nas powinno najbardziej obchodzić. Otóż bilans handlowy z New Delhi mamy fatalny: w 2025 roku sprzedaliśmy im towarów za 1,4 miliarda euro, ale importowaliśmy za 4,3 miliarda euro. Zatem nasz deficyt w handlu z Indiami wyniósł niemal trzy miliardy

euro! To katastrofalny bilans. Jednak wszelkie próby postawienia tej sprawy publicznie i intensyfikowania politycznych kontaktów z Indiami, aby zwiększyć nasz eksport spotykają się z histeryczną reakcją części polityków i dziennikarzy w naszym kraju, którzy od razu podnoszą „argument", że Narendra Modi spotyka się z Putinem i jego rząd jest „prorosyjski". Stwierdzanie faktu, że spotyka się i to jeszcze częściej z przywódcami państw i struktur międzynarodowych Zachodu (Unia Europejska, Niemcy, Francja, Kanada, Finlandia itd. itp., w tym z trzema ostatnimi prezydentami USA) zderzają się z reakcją „a to tym gorzej dla faktów". Skądinąd z premierem Modi dwukrotnie spotykał się w czasach rządów PiS wicepremier Piotr Gliński, który był tam wielokrotnie również prywatnie i to w czasach jeszcze przed swoim zaangażowaniem politycznym.

Wspomnę jeszcze o wspólnej polsko–indyjskiej historii. Są w niej piękne, godne przypominania momenty. Choćby ugoszczenie blisko 800 (spośród pięciu tysięcy w sumie) polskich sierot wyrwanych ze Związku Sowieckiego na mocy układu Sikorski–Majski. W 1942 roku dzieciaki te przez Persję przybyły do indyjskiego raju bez głodu i niebezpieczeństwa utraty życia tylko za to, że były Polakami. Między 650 a 740 z nich znalazło się w miejscowości Balachadi w księstwie Nawanagar, rządzonym przez „Dobrego Maharadże". Jam Saheb Digvijaysinghghji – bo o nim mowa – powiedział naszym małym rodakom: „Nie jesteście już sierotami. Jesteście obywatelami Nawanagaru, a ja jestem Wam Ojcem".

Największe polskie osiedle zlokalizowane było w Valivade koło Kolhapur i powstało w 1943 roku. Był tam polski kościół, polski teatr, polskie harcerstwo i nawet polskie spółdzielnie pracy. Nic dziwnego, że „lokalsi" nazywali to miejsce „Małą Polską". Po II wojnie światowej te polskie „wyspy" w Indiach zniknęły: nasi krajanie emigrowali do USA, Australii i Wielkiej Brytanii.

Oficjalne stosunki dyplomatyczne Indie nawiązały z ówczesna Polską (PRL) w 1954. Potem faktycznie stały na czele nieformalnego bloku „państw niezaangażowanych", które niby miały być „neutralne" w rywalizacji między Wschodem a Zachodem, ale faktycznie składając się z różnych postkolonialnych państw Afryki i Azji oraz ...komunistycznej Jugosławii Josipa Broz Tito wyraźnie bliżej były Układu Warszawskiego niż NATO.

Po Indiach latają polskie śmigłowce, sprzedawaliśmy tam też trochę broni.

Obecne są na tamtejszym ogromnym i bardzo perspektywicznym rynku polskie firmy. Chociażby znana ze sponsorowania żeńskiej koszykówki krakowska Can Pack – producent opakowań metalowych, który w Indiach zainwestował miliony rupii (to tamtejsza waluta). Jest również TZMO SA czyli Bella India Healthcare – producent artykułów higienicznych, który ma tam siedzibę firmy, a nawet prowadzi różne akcje charytatywne i edukacyjne. Mocno inwestuje także Polmor z Bytowa – firma z branży metalowej i komponentów. Jest wreszcie MB Pneumatyka, której siedziba znajduje się niedaleko miejsca, w którym przed ponad ośmioma dekadami mieszkały polskie sieroty. Produkuje tam elementy pneumatyczne i złącza. Z kolei inna polska firma Recykl wytwarza tam ekologiczne dodatki do mieszanek asfaltowych. Cieszy ekspansja naszych firm w tym państwie-subkontynencie, ale wszak to „kropla" w porównaniu z 2000 firm niemieckiego „morza" w tym samym kraju.

Indie wysyłają sputniki w kosmos, premier Modi przywiązuje olbrzymią wagę do unowocześniania swojej ojczyzny, ale przede wszystkim New Delhi dumne jest ze swojej bomby jądrowej. Indie są jednym z dziewięciu państw za świecie, które mają taką broń największego rażenia. Nie podpisały jednak NPT czyli Układu o Nierozprzestrzenianiu Broni Jądrowej, jak uczyniła to „Wielka Piątka" czyli te kraje, które miały te broń wcześniej.

Ciekawe, że ich skład pokrywa się ze składem ...Rady Bezpieczeństwa ONZ (Rosja, USA, Chiny, Francja i Wielka Brytania – kolejność zgodna z liczbą głowic). Indie uzyskały dostęp do broni jądrowej pięć lat po Pekinie, czternaście lat po Paryżu i piętnaście lat po Londynie. Głowic posiadają Indie do 180, a jego sąsiad i stały rywal – Pakistan do 170. Jednak są i takie analizy, które wskazują, że New Delhi mogą mieć mniej głowic (160) niż Islamabad! Prawdy trudno dociec. Tym bardziej, że w przypadku relacji obu tych krajów nie chodzi o statystyki, ale dumę narodowa i kwestie godnościowe.

Gdy 52 lat temu Indie przeprowadziły pierwsze udane próby ze swoją bronią jądrową to operacja ta miłą kryptonim „Uśmiechnięty Budda". Czy ów roześmiany religijny symbol Hindusów nie jest czasem patronem rozwoju tego kraju, który staje się już nie tylko regionalną ale też globalna potęgą?

Historia

Krzysztof Wojciech Łoziński

Związek Radziecki lat międzywojennych w reportażach Stanisława Vincenza, Melchiora Wańkowicza i Aleksandra Janta-Połczyńskiego

WSTĘP

Dzieje ZSRR lat międzywojennych przez wiele lat owiane były niejasnościami i pełne były również sprzeczności. Zaś fakty historyczne, stanowiące o ich całości były przedmiotem manipulacji w rękach rządzących elit politycznych w Rosji Radzieckiej.

Moim zdaniem okres międzywojenny w historii ZSRR zasługuje na szczególną uwagę. To w latach międzywojennych ugruntowało swoje podstawy pierwsze w świecie państwo socjalistyczne – ZSRR. Okres ten przyniósł Rosji Sowieckiej niespotykane dotąd zjawisko terroru politycznego, pierwsze w historii ludzkości obozy koncentracyjne – Łagry oraz tragedię milionów ludzi, pochłoniętych przez głód w wyniku brutalnie prowadzonej polityki bolszewików wobec wsi. Choć Leninowski NEP, wprowadzony w 1921 r. ożywił radziecką gospodarkę, to jednak zastąpienie go po śmierci Lenina, programem przymusowej kolektywizacji rolnictwa oraz przyśpieszonym procesem industrializacji kraju, doprowadziło do ukształtowania się państwa, w którym obywatele byli przedmiotem licznych industrialnych doświadczeń.

Przedmiotem badań w tym artykule są podmioty życia politycznego Rosji Sowieckiej, na tle zachodzących w niej procesów społecznych i ekonomicznych. Niniejsza praca została oparta na trzech reportażach historycznych, znanych, polskich autorów tzn: Stanisława Vincenza „Dialogach z Sowietami", Kraków 1966, Melchiora Wańkowicza „Opierzonej rewolucji", Warszawa 1934 oraz Aleksandra Janta-Połczyńskiego „W głąb ZSRR", Warszawa – Po-

znań 1933. W niniejszym artykulu pominąłem drugi z reportaży Aleksandra Janta-Połczyńskiego „Patrzę na Moskwę", Warszawa – Poznań 1933 r.

Stanisława Vincenza „Dialogi z Sowietami" są reportażem z pobytu autora na terenach Polski i Węgier, okupowanych przez Armię Czerwoną w latach 1939–1944. Vincenz przedstawił w nim osobiste uwagi na temat szeroko rozumianych stosunków społeczno-politycznych panujących w ZSRR, na podstawie działalności administracyjno-politycznej Armii Czerwonej, która według niego odzwierciedlała obraz Rosji Sowieckiej lat międzywojennych. Wszystkie spostrzeżenia zawarte przez autora, wynikały z obserwacji uczestniczącej.

Melchiora Wańkowicza „Opierzona Rewolucja", jest historycznym reportażem z pobytu autora w Moskwie 1934 r. Wańkowicz był w ZSRR jako turysta oraz jako obcokrajowiec, obiektywnie ustosunkowany do sowieckiej rzeczywistości. Jego ocena Rosji Sowieckiej w „Opierzonej rewolucji" wynikała również z obserwacji uczestniczącej. Jednak możliwości obserwacji przez niego wielu elementów sowieckiego systemu państwowego były skromne. Wynikały przecież, z umiejętnie prowadzonej polityki informacyjno-kulturalnej przez reżim bolszewicki. Tak więc, uwagi autora pochodziły z miejsc, gdzie mógł on dotrzeć w ramach planu wycieczki po Moskwie. Dotyczyły one problemów społeczno-ekonomicznych Moskwy lat trzydziestych, co autor interpretował jako odbicie sytuacji wewnętrznej Rosji Sowieckiej.

Aleksandra Janta-Połczyńskiego „W głąb ZSRR" jest reportersko-historycznym przekazem myśli autora z jego podróży po ZSRR w latach trzydziestych. Janta-Połczyński docierając do wielu republik ZSRR, np. do Uzbekistanu i wielu innych zdobył możliwość szerszego spojrzenia na państwo sowieckie lat międzywojennych. Jego reportaż charakteryzuje bezwzględność w ocenie rzeczywistości radzieckiej, oraz szczegółowe konstatacje pochodzące z obserwacji uczestniczącej. A. Janta-Połczyński dotyka swymi uwagami szeroko rozumianego problemu industrializacji kraju, w oparciu o istniejące stosunki międzyludzkie na terenach, gdzie ów proces zostaje wprowadzany.

W tym tekście oprócz literatury źródłowej wykorzystane zostały również opracowania historyczno-naukowe polskich i rosyjskich autorów. Mam na myśli prace historyczne: Józefa Smagi „Narodziny i Upadek Imperium – ZSRR

1917–1991", Kraków 1992, Mieczysława Smolenia „Stracone Dekady – Historia ZSRR 1917–1991", Kraków 1994, oraz Aleksandra Niekricza i Michała Hellera „Utopia u Władzy", Wrocław 1989

Zasadniczym celem artykułu było zobrazowanie oblicza Rosji Sowieckiej z punktu widzenia polskich reportaży stów, którzy jako nieliczni mogli w latach trzydziestych dotrzeć do ZSRR i w związku z tym odnieść się do porządku państwowego występującego w nim. Niebagatelny wpływ na strukturę mojej pracy miała pozycja niemieckiego autora Richarda Grunbergera „Historia Społeczna III Rzeszy", Warszawa 1987, T 1 i T 2. Jej znajomość pozwoliła mi na zrozumienie zasad systemu totalitarnego, występującego przecież i w ZSRR.

Artykuł został podzielony na cztery zasadnicze rozdziały z podrozdziałami. W rozdziale I pokusiłem się o syntezę dziejów społeczno-politycznych ZSRR, od poczęcia do jego upadku. W rozdziale II dokonałem ogólnej charakterystyki i opisu znaczenia partii bolszewickiej, zaś w podrozdziale przedstawiłem zjawisko kultu przywódcy w kontekście zrozumienia go przez społeczeństwo sowieckie. Rozdział III został poświęcony Armii Czerwonej, wraz z opisem jej ogólnie rozumianego znaczenia i zachowań na terenach okupowanych, zaś podrozdział scharakteryzował trzon państwa Sowieckiego – robotników – na tle uprzemysławiania Rosji Radzieckiej. Rozdział IV – zarazem ostatni jest przyporządkowany istocie prawa w odniesieniu do społeczeństwa lat trzydziestych Rosji Sowieckiej, a podrozdział istocie religii z uwzględnieniem prawosławia i mahometanizmu, w polityce przywódców radzieckich.

Stanisław Vincenz urodził się w Słobodzie Bułgarskiej 30 listopada 1888 r., zaś zmarł 28 stycznia 1971 r. w Lozannie. Jeszcze do niedawna nazwisko Vincenza znane było tylko wtajemniczonym, a jego wielkie dzieło – nikomu, bo oznacza jego część została wydana pośmiertnie[1]. Uważany był za pisarza, który tworzył znakomite dzieła w oparciu o sytuację historyczną. Jego twórczość otwarta była na metafizykę, na zasadnicze problemy dobra i zła. Piotr Kuncewicz sądził, że była ona głębsza i mądrzejsza od wszystkich naszych epopei razem wziętych.

[1] Włodzimierz Maciąg „Mały Słownik Pisarzy Polskich", Warszawa 1981, cz. 2, s. 261.

Vincenz pochodził z rodziny prowansalskiej, spolonizowanej i osiadłej na Pokuciu[2]. Stanisław Vincenz uczył się w Kołomyi, potem studiował we Lwowie i Wiedniu, zdobywając rozległą wiedzę w wielu dziedzinach. Przed wojną był przedsiębiorcą – nafciarzem, ale również intelektualistą, eseistą, redaktorem i tłumaczem. Uważany był za znawcę kultury Hucułszczyzny. Opublikował między innymi „Resztki archaicznej kultury Hucułów"[3].

Po wojennym etapie swej twórczości osiadł w Grenoble, później zaś w Lozannie. Jego eseje ukazały się na emigracji – „Po stracie pamięci" (Paryż 1965), „Dialogi z Sowietami" (1966), które przyniosły mu duży rozgłos i wniosły nowe spostrzeżenia na temat Rosji Sowieckiej oraz „Tematy żydowskie" (Londyn 1977). W 1980 r. z inicjatywy „Znaku", PAX-u i PIW-u opublikowano dzieła: „Na wysokiej Połoninie" (1980), „Z perspektywy podróży" (1980), „Po stronie dialogu" (1983), „Powojenne perypetie Sokratesa" (1985). Ostatnia książka była próbą kontynuacji „Dialogu platońskiego", wychodząca z założenia, że Sokrates został przed wypiciem cykuty wykradziony, że żył jeszcze, podróżował i dyskutował. Wszystko to można zrozumieć jako przedśmiertny sen Sokratesa[4].

Melchior Wańkowicz był jednym z najwybitniejszych polskich reportażystów. Urodził się w Kałużycach na Białorusi 10 stycznia 1892 r. Odbył studia prawnicze oraz studia z zakresu nauk politycznych. W latach walki o niepodległość Polski Melchior Wańkowicz nie posiadał wyraźnego oblicza politycznego, co w konsekwencji stawiało go w złym świetle wobec ugrupowań niepodległościowych. Lewica radykalna uważała go za konserwatystę i solidarystę, mimo jego sprzeciwu wobec polityki Romana Dmowskiego. Endecy sądzili, że zbyt daleko był Wańkowicz od idei współdziałania z Rosją, zaś członkowie Drużyn Strzeleckich uważali go za nazbyt postpozytywistycznego[5]. W czasie I wojny światowej Wańkowicz służył jako żołnierz Korpusu Polskiego w Rosji. W 1918 roku zaprezentował się jako krytyk polityki piłsudczyków, który jednak akcep-

[2] Piotr Kuncewicz „Leksykon Polskich Pisarzy Współczesnych", Warszawa 1995, T II, s. 384.

[3] W. Maciąg , op. cit., s. 261.

[4] P. Kuncewicz, op. cit., s. 384.

[5] Mieczysław Kurzyna „O Melchiorze Wańkowiczu – nie wszystko", Warszawa 1975, s. 49 i 50.

towałich program. W tym czasie Melchior Wańkowicz był również publicystą gazety endeckiej tzn. „Gazety Warszawskiej”[6]. W okresie międzywojennym pracował jako dziennikarz i był współzałożycielem Towarzystwa Wydawniczego „Rój”. W tym okresie pojawiły się swoiste cechy osobowości Wańkowicza tj. gotowość do służenia własnemu narodowi oraz niechęć do zajmowania stanowisk skrajnych[7]. W czasie II wojny pracował jako dziennikarz i korespondent na Bliskim Wschodzie i w Europie Zachodniej. W latach 1949–58 Wańkowicz przebywał w USA, po czym w 1958 r. wrócił do Warszawy[8]. Rozgłos przyniosły mu „Szczenięce lata” – wspomnienia chłopięce z raju utraconego dzieciństwa, który lokował się w dwóch majątkach kresowych, Nowotrzebach i Kałużycach. Książka poświęcona obyczajowi, nade wszystko jednak kuchni i anegdotom przedstawia tamten, to znaczy na przełomie stuleci, czas jako coś niezmiennie sielankowego. Polskie dwory współżyją ze wsią, a wokół kwitnie pełne, dostatnie życie chłopów i szlachty. Nie był to jednak obiektywny opis, lecz apoteoza ziemi rodzinnej i stosunków na niej panujących. Inną głośną powieścią był słynny reportaż „Na tropach smętka” z odbytej wraz z córką wyprawy po ówczesnych niemieckich Prusach Wschodnich tzn: Warmii, Mazurach, Olsztynie, Malborku i Królewcu. Było to znakomite i wstrząsające studium procesu germanizacji oraz prób oporu ze strony polskiej. Książka ta odegrała olbrzymią rolę polityczną. W Polsce, uzmysłowiła istotę problemu, zaś w Niemczech została przyjęta histerycznie i nazwana wręcz „polską prowokacją”[9].

Melchior Wańkowicz napisał mnóstwo artykułów, broszur i reportaży. W 1934 r. wydał „Opierzoną rewolucję”, reportaż w którym odniósł się do radzieckiej rzeczywistości. W 1940 r. wydał „Z generałem Sosnkowskim (dzieje X dywizji)”, a w 1944 r. „Dzieje rodziny Korzeniewskich”. Po powrocie do kraju w 1958 r. Wańkowicz opublikował m.in.: „Hubalczyków” i „Westerplatte” w 1959 r., „Tędy i Owędy” w 1961 r., „Od Stołpcówpo Kair” w 1971 r. oraz „Karafkę Lafontaine’a”[10] w 1973 r. Jednym z elementów powodzenia jego

[6] Tamże, s. 67.
[7] Tamże, s. 68.
[8] W. Maciąg , op. cit., s. 263.
[9] P. Kuncewicz, op. cit., s. 386.
[10] W. Maciąg, op. cit., s. 263.

książek był, swoisty styl o charakterze gawędziarskim i obrazowym. Czytelnik mógł bowiem bez trudu „wkomponować się" w wir opisywanych przez niego wydarzeń[11]. Melchior Wańkowicz legitymował się opinią człowieka, który lubił skandalizować opinię publiczną, wygłaszając wielokroć szokujące poglądy. Tkwiła w nim bowiem żądza patrzenia na każdą sprawę ze wszystkich stron[12].

Aleksander Janta-Połczyński urodził się w Poznaniu 11 grudnia 1908 r. Piotr Kuncewicz określił go mianem człowieka, który „prezentował obrotność nie tylko literacką". Janta-Połczyński był bowiem dziennikarzem mającym kontakt z Chaplinem i Ghandim, korenspondentem japońskim i antykwariuszem nowojorskim. Można by powiedzieć, że Janta był swego rodzaju ostentacyjnym obywatelem świata, przemierzającym kulę ziemską[13]. Aleksander Janta-Połczyński był przede wszystkim poetą, prozaikiem i historykiem. Po uzyskaniu matury w poznańskim gimnazjum G. Bergera w 1925 r., Janta studiował filologię na Uniwersytecie Poznańskim. W lipcu 1926 r. ukończył Szkołę Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu. W latach 1922–1928 Janta ponownie studiował na Uniwersytecie Poznańskim nauki ekonomiczne oraz współpracował z radiem[14]. Jako członek grupy literackiej „Loża" redagował dwutygodnik „Życie Literackie". Janta-Połczyński debiutował tomem „Śmierć białego Słonia" w 1928 r. Duży rozgłos przyniósł mu opublikowany w 1933 r, zbiór reportaży tj. „Patrzę na Moskwę", „W głąb ZSRR". Janta wydał również „Wielki Wóz", zaś w 1938 r. „Serce na Wschód". Okres wojenny upamiętnił Janta „Psalmami" z 1943 r., i „Psalmami z domu niewoli"[15] z 1945 r . W latach 1949–1955 Aleksander Janta-Połczyński mieszkał w Buffalo, gdzie w 1951 r , wystawił „Dziady" Adama Mickiewicza w angielskim tłumaczeniu. Pełnił wówczas obowiązki prezesa Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych[16]. W 1955 r. Janta przeniósł się do Nowego Jorku i prowadził tam antykwariat. Zabiegał również o przekazanie Polsce skarbów wawelskich prze-

[11] P. Kuncewicz, op. cit., s. 387.

[12] M. Kurzyna,po. cit., s. 50.

[13] P. Kuncewicz, op. cit., s. 378.

[14] Jerzy Topolski, Antoni Gąsiorowski „Wielkopolski Słownik Biograficzny", Warszawa – Poznań 1983, s. 287.

[15] P. Kuncewicz, op. cit., s. 379.

[16] J. Topolski, A. Gąsiorowski, op. cit., s. 287.

chowywanych do 1961 r. w Kanadzie. Janta-Połczyński zmarł w Southampton 19 sierpnia 1974 r.[17].

ROZDZIAŁ I

Powstanie i upadek Rosji Sowieckiej

Okres poprzedzający I wojnę światową był dla Rosji czasem burzliwego rozwoju gospodarczego. Zapoczątkowany po uwłaszczeniu chłopów, rozwój ten nabrał szczególnego znaczenia po klęsce w wojnie z Japonią. Konieczność odbudowy floty oraz potrzeba przezbrojenia armii zmusiły rząd do przeznaczenia olbrzymich sum pieniędzy na rozwój przemysłu[18]. Burzliwemu rozwojowi ekonomicznemu kraju towarzyszyły przemiany społeczne. Ludność imperium wzrosła z 7 do 20 milionów. Legła w gruzach hierarchiczna struktura państwa, upadały poszczególne stany. Pierwsza dekada 20-tego stulecia była okresem wspaniałego rozkwitu rosyjskiej kultury[19].

Jednak struktura państwowa Rosji zmieniała się bez porównania wolniej niż jej struktury ekonomiczne i polityczne. Rewolucja 1905 roku zmusiła cara do zgody na szereg ustępstw tzn., wprowadzenia konstytucji i wielu innych. Rosja stała się monarchią konstytucyjną, ze zgromadzeniem przedstawicielskim – Dumą Państwową, z zagwarantowaną wolnością słowa i stowarzyszeń. Chociaż prawa te były ograniczone to jednak istniały. W 1906 r. wprowadzono ustawę o przejęciu przez chłopów działek ziemi gminnej. Ciekawym stała się opinia Lwa Trockiego o owej reformie rolnej: „...gdyby została przeprowadzona do końca, rosyjski proletariat nie mógł by dojść do władzy w 1917 r."[20].

Między rewolucją 1905 r. i początkiem wojny światowej Rosja przeżyła polityczną ewolucję nieznaną dotąd w swojej historii. Niestety, wszystkie warstwy społeczne były z tego niezadowolone. Chłopi nie widząc poprawy swej sytuacji dążyli do likwidacji obszarnictwa, które miało rozwiać ich problemy. Robot-

[17] Tamże, s. 288.
[18] Michał Heller, Aleksander Niekricz „Utopia u Władzy", Wrocław 1989, s. 7.
[19] Tamże, s. 8.
[20] Tamże, s. 8.

nicy, których sytuacja uległa polepszeniu, bowiem otrzymali prawo do strajku ekonomicznego oraz od 1912 roku ubezpieczenia od chorób i wypadków przy pracy, walczyli o podniesienie własnej stopy życiowej i skrócenie dnia czasu pracy. Rosyjska inteligencja marzyła o rewolucji, która przyniesie wolność. Na domiar złego, rosyjskiemu rządowi wyrosła również opozycja w postaci Polaków, Finów i Żydów[21].

„Rosja wkroczyła w wojnę światową w okresie szybkiego rozwoju, w latach burzenia i budowy, powszechnego niezadowolenia i powszechnej nadziei, ze słabym rządem niepotrafiącym zapewnić sobie poparcia ludu"[22]. Pierwsza porażka rosyjskiej armii, już w pierwszym starciu w sierpniu 1914 r. ukazała stan państwa rosyjskiego. Po pierwszych walkach, armii zaczęło brakować uzbrojenia tzn. pocisków i karabinów[23]. Podobnie jak w innych krajach wynikało to z przekonania, że „...gdy opadną liście, żołnierz wrócą do domów".

Konieczność przebudowy całej gospodarki dla zaspokojenia potrzeb militarnych, pociągnęła za sobą trudności polityczne i ekonomiczne. Kryzys armii był zewnętrznym przejawem głębokiej choroby państwa. W Rosji sądzono, że przyczyną rozkładu państwowego była postępująca drożyzna oraz zakłócenie dostaw żywnościowych. Winą za to obarczano cara, carycę oraz szarą eminencję dworu – Grigorija Rasputina.

W 1915 roku Mikołaj II wziął na siebie całkowitą odpowiedzialność za wypadki, które przyniosła wojna[24]. W połowie 1915 roku wszystkie reprezentowane ugrupowania w Dumie Państwowej znalazły się w opozycji do cara. Opozycję stanowili: Kadeci – Partia Konstytucyjno-Demokratyczna, „Związek 17 Października", progresiści i nacjonaliści, socjaliści-rewolucjoniści, socjaldemokraci (bolszewicy i mienszewicy). Pod koniec 1916 roku niezadowolenie społeczne wywołane przez wojnę niepowodzeniami na froncie oraz wzrostem cen dodatkowo narosło, w związku ze zmniejszeniem dostaw żywności do Piotrogrodu i Moskwy. Problemy zaopatrzeniowe w miastach wynikały z nieudol-

[21] Tamże, s. 9.
[22] Tamże, s. 9.
[23] Tamże, s. 10.
[24] Tamże, s. 11 i 12.

ności władzy w organizacji skupu i transportu produktów rolnych. Chłopi nie chcieli sprzedawać zboża po cenach, które ciągle spadały w miarę wzrostu inflacji. Opozycja parlamentarna umocniła się w przekonaniu, iż należałoby zmusić cara do powołania odpowiedniego ministerstwa, w którym kluczowe pozycje zajęliby przedstawiciele bloku postępowego[25].

Chociaż sytuacja wyglądała groźnie, to partie rewolucyjne nie były jeszcze gotowe do ostatecznej rozgrywki politycznej, zaś car bagatelizował informacje o możliwości wybuchu społecznego. W pierwszych tygodniach 1917 roku Mikołaj II rozwiązał Dumę Państwową, która tego samego dnia tj. 27 lutego powołała Tymczasowy Komitet Dumy Państwowej. 2 marca car podpisał akt abdykacji w obecności przedstawicieli Komitetu Dumy. Sukcesji po Mikołaj II odmówił również wielki książę Michał Aleksandrowicz. W związku z tym, Komitet Dumy Państwowej powołał Rząd Tymczasowy Jerzego Lwowa[26]. We wrześniu 1917 roku Rada Piotrogrodzka przyjęła rezolucję bolszewicką, która mówiła o oddaniu władzy w ręce robotników i chłopów. Do decydującej rozgrywki politycznej przygotowywał się również Rząd Tymczasowy. Z jego inicjatywy na tzw. Naradzie Demokratycznej utworzono Przedparlament (Tymczasową Radę Republiki Rosyjskiej)[27]. W Naradzie Demokratycznej udział wzięli delegaci Rad Robotniczych, Żołnierskich i Chłopskich oraz organizacji zawodowych. Choć bolszewicy uczestniczyli przy powołaniu Przedparlamentu, to jednak na polecenie Lenina wycofali swoje poparcie dla nowo utworzonego organu państwowego. Włodzimierz Lenin oraz współorganizator mającego nastąpić przewrotu bolszewickiego – Lew Trocki, byli bowiem orędownikami zbrojnego powstania przeciw Rządowi Tymczasowemu. Według Lenina, sytuacja w Piotrogrodzie była ku temu dogodna. Bolszewicy dysponowali większością w Radzie Piotrogrodzkiej, wobec czego oczekiwanie na Konstytuantę było bezcelowe. Organizacją powstania zajął się Lew Trocki wraz z Komitetem Wojskowo-Rewolucyjnym. Komitet utworzyła Rada Piotrogrodzka do obrony rewolucji[28].

[25] Tamże, s. 15 i 16.

[26] Mieczysław Smoleń „Stracone Dekady – Historia ZSRR 1917–1991", Warszawa-Kraków 1994, s. 20.

[27] Tamże, s. 33.

[28] Tamże, s. 34 i 35.

Partie rewolucyjne utworzyły drugi ośrodek władzy w postaci Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich tzw. Radę Piotrogrodzka. W owym czasie mieliśmy do czynienia w Rosji z tzw. dwuwładzą. 18 kwietnia 1917 roku minister spraw zagranicznych zapewnił aliantów, że Rosja nie wycofa się z wojny i nie zawrze separatystycznego pokoju z państwami centralnymi. Oświadczenie strony rządowej wywołało kryzys gabinetowy w Rosji[29]. Tymczasem Rada Piotrogrodzka dezorganizowała pracę rządu. Wydała tzw. rozkaz nr. 1 na mocy, którego rozwiązano jednostki milicji i niektóre jednostki wojska[30]. Rząd Tymczasowy chcąc pozyskać sobie społeczeństwo zlikwidował carskie dekrety i instytucje państwowe. Wprowadził szeroko pojętą wolność słowa oraz prawo do strajku. Rząd Tymczasowy dotknął ważnego problemu Polski, mówiąc w „Odezwie do Polaków" o uzyskaniu przez nich niepodległości. Piotrogrodzka Rada Delegatów Robotniczych i Żołnierskich torpedując poczynania rządu była faktycznym ośrodkiem władzy[31].

W jej rękach znajdowała się gospodarka i przemysł. W lipcu nastąpiła zmiana na stanowisku premiera w Rządzie Tymczasowym. Nowym premierem został Aleksander Kiereński. 25 sierpnia wódz naczelny Armii Rosyjskiej generał Korniłow próbował przeprowadzić zamach stanu w chwili, gdy wojska niemieckie zajmowały Rygę. Korniłow działał na polecenie samego premiera, który pragnął odsunąć Radę Piotrogrodzka od władzy. Działania Rady Potrogrodzkiej były otwartym wyzwaniem wobec Rządu Tymczasowego. W nocy z 24 na 25 października doszło do ostatecznej konfrontacji sił bolszewików z rządem Aleksandra Kiereńskiego. W Piotrogrodzie bojówki Gwardii Czerwonej opanowały bez rozlewu krwi centralę telefoniczną, dworce kolejowe, pocztę główną i inne instytucje rządowe. Na zdecydowany opór sił rządowych bolszewicy natrafili w Moskwie, lecz i on wkrótce został złamany[32]. Przejęcie władzy w Rosji przez bolszewików w 1917 roku stało się możliwe nie tyle dzięki sile ich partii, ile w skutek braku konkurenta politycznego zdolnego się im przeciwstawić. W rezultacie w ciągu 1917 roku w Rosji powstała sytuacja,

[29] Tamże, s. 21.
[30] M. Heller, A. Miekricz, op. cit., s. 19.
[31] M. Smoleń, op. cit., s. 32.
[32] Tamże, s. 35.

w której niewielkiej grupie zawodowych rewolucjonistów udało się przechwycić władzę w tak ogromnym kraju[33].

Warto zauważyć, że „prawdziwa rewolucja" dokonała się w Rosji w 1918 roku, kiedy w wyniku sprowokowanej przez bolszewików walki klasowej na wsi, dokonano degradacji wielkich posiadaczy ziemskich, a w rezultacie nieudanego powstania lewicowych eserowców partia bolszewicka stała się jedyną siłą polityczną Lecz siła partii nie wynikała bynajmniej z liczby jej członków, lecz głoszonej przez nią mesjanistycznej wizji świata, w myśl której reprezentowała ona interesy ludzi pracy[34]. 23 stycznia 1918 roku III Ogólnorosyjski Zjazd Rad podjął uchwałę o utworzeniu Rosyjskiej Federacji Republiki Radzieckiej. W takich okolicznościach powstało pierwsze na świecie państwo robotników i chłopów.

ZSRR powstał formalnie 30 grudnia 1922 r. zaś jego rdzeniem była Rosja Sowiecka. Powstanie ZSRR, który istniał od 1922 r. do 1991 r. było związane z rozwianiem się nadziei bolszewików na szybki wybuch rewolucji światowej i koniecznością formalnego unormowania stosunków między Rosją Sowiecką, a znajdującymi się pod jej kontrolą sowieckimi republikami w Europie, na Zakaukaziu i w Azji Środkowej[35]. Początkowo ZSRR, formalnie będący państwem o strukturze federacyjnej, w istocie zaś skrajnie scentralizowanym przez rządy komunistycznej partii, tworzyły cztery republiki sowieckie: Rosyjska, Ukraińska, Białoruska i Zakaukaska. W 1936 r. republikę Zakaukaską podzielono na trzy dodatkowe republiki: Armeńską, Azerbejdżańską i Gruzińską. W latach następnych w skutek podnoszenia rangi republik autonomicznych do związkowych oraz podboju nowych ziem, skład ZSRR poszerzył się o: Uzbecką i Turkmeńską Republikę Radziecką (1925), Tadżycką (1924), Kazachską i Kirgiską (1934), Karelo-Fińską (1940), Mołdawską (1940), Litewską, Łotewską i Estońską (1940) Republikę Radziecką. W chwili powstania ZSRR miał 21760 tysięcy km powierzchni i około 170 min. ludności, zaś w momencie rozwiązania odpowiednio 22402 tysiące km i 289 mln. ludności[36].

[33] Tamże, s. 393.
[34] Tamże, s. 395.
[35] Józef Smaga „Narodziny i Upadek Imperium – ZSRR 1917-1991", Kraków 1992, s. 58.
[36] M. Heller , A. Niekricz, op. cit., TII, s. 5.

Historię ZSRR można podzielić na siedem głównych okresów. Okres pierwszy w latach 1922–1928 był czasem, w którym bezwzględnie realizowano wolę polityki Lenina tj. NEP-u i odbudowy ze zniszczeń, spowodowanych rosyjską wojną domową oraz komunizmem wojennym. Ograniczonej liberalizacji ekonomicznej towarzyszyło stopniowe zaostrzanie się terroru politycznego, który zaczął obejmować również członków rządzącej partii bolszewickiej. Było to związane z umacnianiem się dyktatury Stalina i pozbywaniem się przezeń oponentów to znaczy: Trockiego, Zinowiewa i Kamieniewa[37]. Warto wspomnieć, że w tym okresie ZSRR charakteryzował się tym, iż wprowadził na swoim terytorium ośrodki pracy przymusowej tzw. Łagry. Pierwsze z nich powstały w 1918 r. z inicjatywy Lenina i Trockiego. Kierowano do nich przeciwników politycznych oraz pospolitych przestępców. Ustawa z 19 lutego 1919 r. nakazywała uwięzienie w Łagrach elementów „...obcych i wrogich klasowo...", a więc przede wszystkim ludzi wywodzących się z arystokracji, burżuazji oraz bogatych chłopów – kułaków[38]. Liczba Łagrów stale rosła, w 1920 r. było ich 84 a w trzy lata później 355. W latach dwudziestych, do podstawowych zadań Łagrów należało wyniszczenie tych warstw społecznych, które ze względów ideologicznych zostały przeznaczone przez komunistów do likwidacji.

W końcu lat dwudziestych po odejściu przez Stalina od polityki NEP-u oraz proklamowaniu programu przyśpieszonej kolektywizacji i industrializacji, głównym zadaniem Łagrów, obok funkcji eksterminacyjnej, stało się dostarczanie taniej, niewolniczej siły roboczej. W 1929 r. wszystkie Łagry, których część podlegała dotąd władzom sądowym podporządkowano OGPU[39]. W roku następnym zorganizowano sposób zarządzania Łagrami, tworząc Główny Zarząd Obozów Pracy Poprawczej (Gławnoje Uprawljenije Łagieriej – Gułag). Gułag stał się szybko, w rezultacie masowych aresztowań związanych z procesem kolektywizacji, gigantycznym przedsiębiorstwem, realizującym wielkie inwestycje budowlane m.in. Kanał Białomorski, Kanał Wołga – Don, liczne drogi i linie kolejowe. Wspomniany przeze mnie Lew Trocki – współzałożyciel Łagrów, stał się obok wymienionych: Kamieniewa i Zinowiewa, ofiarą procesów politycz-

[37] M. Smoleń, op. cit., s. 80.
[38] Tamże, s. 88.
[39] Tamże, s. 99.

nych tego okresu. Mimo dużej popularności w partii, rola Trockiego spadła od 1922 r., kiedy to władzę w zastępstwie chorego Lenina zaczął sprawować triumwirat: Stalin, Zinowiew i Kamieniew. Lew Trocki – inicjator koncepcji permanentnej rewolucji, w 1925 r. stracił kluczowe stanowisko szefa armii i mimo podejmowanych prób stawienia czoła Stalinowi, został ostatecznie usunięty z Biura Politycznego partii, a następnie zesłany do Ałma-Aty. W 1929 r. wydalono go na rozkaz Stalina z ZSRR i pozbawiono obywatelstwa tego kraju[40]. Na arenie międzynarodowej ZSRR pozostawał w ścisłej izolacji, a jedynym liczącym się państwem utrzymującym przyjazne stosunki z Moskwą były Niemcy, co zapoczątkował układ w Rapallo (1922 r.)

Okres drugi historii ZSRR obejmował lata 1929-1941. Początek drugiego okresu wyznaczało proklamowanie przez Stalina likwidacji NEP-u, który zakładał rezygnację z przymusowego ściągania kontyngentów zbożowych i zastąpienie ich podatkiem w ratach, umożliwienie chłopom sprzedaży na wolnym rynku nadwyżek żywności oraz dopuszczeniem w ograniczonym zakresie, prywatnej inicjatywy w usługach i niektórych gałęziach przemysłu[41]. Stalin wyeliminował również z szeregów partyjnych Bucharina, który nie zgadzał się z nim w kwestii agrarnej. Natomiast lata 1930–1934 stały pod znakiem kolektywizacji rolnictwa, co doprowadziło do załamania produkcji żywności i głodu, w wyniku czego śmierć poniosło od 5–8 mln. ludzi. Kilka milionów chłopów zesłanych do łagrów, pracowało przy rozbudowie przemysłu ciężkiego, którego rozwój stał się głównym celem realizowanych od 1929 r. planów pięcioletnich[42]. W 1934 r. Stalin zapoczątkował okres procesów politycznych, aresztując Lwa Kamieniewa. Kamieniew w latach dwudziestych wraz z Zinowiewem i Trockim usiłował zorganizować opozycję wobec Stalina. Za działalność antyrosyjską skazano go na 10 lat więzienia. W lipcu 1936 r. Karnieniew został ponownie postawiony przed sądem w procesie przeciwko „...terrorystycznemu centrum trockistowsko-zinowiewskiemu...". W ramach Wielkiej Czystki został skazany na śmierć i stracony. Podobny los spotkał Grigorija Zinowiewa, byłego sojusznika Stalina w latach 1923–1924 w walce z Trockim. Aresztowany w 1934 roku,

[40] J. Smaga, op. cit., s. 106.
[41] M. Smoleń , op. cit., s. 85 i 86.
[42] Tamże, s. 92.

został w 1936 r. postawiony przed sądem, który skazał go na śmierć za przynależność do centrum trockistowsko-zinowiewskiego. W 1935 r. po zabójstwie Kirowa, Stalin zapoczątkował Wielką Czystkę, w ramach której aresztowano ponad 7 mln. ludzi, z których około 3 mln. zostało rozstrzelanych albo zmarło w łagrach. Wprowadzono też przepis umożliwiający stosowanie kary śmierci wobec dzieci powyżej 12 roku życia[43]. Punktem zwrotnym w dziejach Wielkiej Czystki była zmiana na stanowisku ludowego komisarza spraw wewnętrznych.

W 1936 r. Henryka Jagodę zastąpił Nikołaj Jeżów. Z nazwiskiem Jeżowa wiązał się okres największych represji, przypadających na lata 1937–38. Dla przykładu do końca maja 1937 r. zgładzono lub uwięziono 54% WKP (b) z okręgu kijowskiego[44]. Konsekwencją masowych represji było znaczne osłabienie większości instytucji państwa, szczególnie armii oraz uzyskanie przez NKWD faktycznego prymatu nad partią bolszewicką[45]. W sierpniu 1939 r., dążący do okupacji terytorialnej ZSRR zawarł z III Rzeszą układ tzw. Pakt Ribbentrop – Mołotow, dzięki któremu zajął wschodnią cześć Polski, Litwę, Łotwę i Estonię oraz Besarabię i północną Bukowinę.

Okres III w historii ZSRR przypadł na lata 1941–1945. W 1941 r. Niemcy Hitlerowskie zaatakowały ZSRR, zaś Stalin odwoływał się do tkwiącego w społeczeństwie nacjonalizmu, rzucając hasło „...wielkiej wojny ojczyźnianej..."[46]. Dzięki ogromnym ofiarom (zginęło ponad 20 mln. ludzi), pomocy materialnej USA (Lend – Lease act.), a także wskutek zbrodniczej polityki Niemców, ZSRR nie tylko zdołał wyjść zwycięsko z wojny, ale przesunął zasięg swoich wpływów do linii Łaby, czego wyrazem było powstanie państw satelickich w Europie Środkowo-Wschodniej.

Lata 1945-1953 były czwartym z etapów historii Kraju Rad. Uzyskanie przez ZSRR statusu supermocarstwa zapoczątkowało okres zimnej wojny z USA i ich sojusznikami, której wyrazem stał się kryzys berliński i wojna koreańska[47].

[43] Tamże, s. 105.
[44] Tamże, s. 106.
[45] M. Heller, A. Niekricz, op. cit., s. 28 i29.
[46] M. Smoleń, op. cit., s. 163
[47] J. Smaga, op. cit., s. 191.

W 1947 roku z inicjatywy Stalina utworzono Kominform tzn. Biuro Informacyjne Partii Komunistycznych i Robotniczych. Partiami założycielskimi były kompartie: sowiecka, polska, jugosłowiańska, włoska, francuska, czechosłowacka, rumuńska, węgierska i bułgarska. Oficjalnie celem powstania Kominformu miało być organizowanie doświadczeń między partiami i w miarę potrzeby, koordynacja ich działalności na zasadzie wzajemnego porozumienia. W rzeczywistości powstanie Kominformu było związane z poszukiwaniem przez Stalina, nowego narzędzia centralizacji działań europejskiego ruchu komunistycznego w obliczu rozpoczęcia zimnej wojny[48].

W 1948 r. w związku z narastaniem konfliktu sowiecko-jugosłowiańskiego, Kominform stał się główną platformą zwalczania Josipa Broz Tito i „titoizmu" przez Stalina. Eskalacja konfliktu jugosłowiańskiego doprowadziła do potępienia Tito przez wszystkich przywódców kompartii zrzeszonych w Kominformie. Kominform, stracił rację bytu po śmierci Stalina, a zwłaszcza po znormalizowaniu w 1955 r. stosunków sowiecko-jugosłowiańskich i 18 kwietnia 1956 r. został rozwiązany. W polityce wewnętrznej kluczowymi zagadnieniami były: odbudowa kraju ze zniszczeń wojennych oraz nasilający się wyścig zbrojeń, zwłaszcza w zakresie broni atomowej[49]. Nastąpił też nawrót, choć na mniejszą skalę niż w latach trzydziestych terroru politycznego.

V okres w dziejach państwa radzieckiego trwał od 1953–1964 r. Śmierć Stalina, walka o sukcesję po nim i objęcie władzy przez Nikitę Chruszczowa, otworzyła kolejny etap w historii ZSRR. Zerwano ze stalinowskim terrorem, usiłowano też złagodzić natężenie zimnej wojny. Równocześnie, bezwzględnie broniono integralności imperium, brutalnie dławiąc powstanie węgierskie, co jednak nie uchroniło Moskwy przed konfliktem z wcześniejszym, bliskim sojusznikiem – Chinami[50]. Próby zreformowania skostniałego systemu sowieckiego podejmowane przez Chruszczowa nie powiodły się i zakończyły się odsunięciem tego ostatniego od władzy.

Rok 1964 otworzył szósty z okresów państwa sowieckiego, który trwał do 1985 r. Okres rządów Breżniewa oraz krótkie panowanie Andropowa i Czer-

[48] M. Smoleń, op. cit., s. 196.
[49] Tamże, s. 203.
[50] Tamże, s 263-269.

nienki, niewiele zmieniły w sytuacji wewnętrznej Rosji. Porzucono próby reform, natomiast na szeroką skalę zaczęła szerzyć się korupcja, nepotyzm i nadużycie władzy dla własnych korzyści materialnych. Wolno i nierównomiernie, lecz systematycznie rosła stopa życiowa społeczeństwa, pozostając jednak przez cały czas daleko w tyle za poziomem życia na Zachodzie. W polityce zagranicznej, pomimo pozorów odprężenia w latach 70., kontynuowano kurs obrony zdobyczy imperium tzn. zdławiono Praską Wiosnę, oraz wywarto presję na Polskę w latach 1980–1981[51]. Co więcej, starano się poszerzyć granice imperium, czego najbardziej spektakularnym dowodem była wojna afgańska.

Ostatnim okresem istnienia Związku Sowieckiego były lata 1985–1991. Objęcie władzy przez Michaiła Gorbaczowa, a przede wszystkim zainicjowanie przezeń procesu pierestrojki ujawniło w przeciągu kilku lat głębokość kryzysu ekonomicznego, narodowościowego i politycznego w jakim znalazł się ZSRR[52]. Próba unowocześnienia anachronicznego imperium, której towarzyszyło złagodzenie kryzysu w polityce zagranicznej, zaowocowała najpierw oderwaniem się europejskich państw satelickich w 1989 r., a następnie pojawieniem się ruchów odśrodkowych w samym ZSRR. Równolegle coraz silniejsza stawała się społeczna krytyka monopolistycznych rządów partii komunistycznej. Narastający kryzys osiągnął apogeum w 1991 r., kiedy to grupa konserwatywnych funkcjonariuszy państwowych próbowała przywrócić stare porządki, drogą zamachu stanu[53]. Jego niepowodzenie rozerwało ostatecznie sztuczne więzy spajające ZSRR, w czym dużą rolę odegrał obecny prezydent Rosji – Borys Jelcyn. Od sierpnia do października 1991 r. kolejne republiki związkowe ogłaszały deklaracje niepodległościowe, a jako pierwsza uczyniła to Litwa 15 marca 1990 r.

Ponieważ próby podpisania przez rządy poszczególnych republik nowego układu związkowego zakończyły się niepowodzeniem, ZSSR stracił rację bytu i 24 grudnia 1991 r. został oficjalnie rozwiązany. W jego miejsce 11 z 15 republik byłego ZSRR utworzyło rodzaj luźnego sojuszu tzw. Wspólnotę Niepodległych Państw[54].

[51] Tamże, s. 326-333.
[52] Tamże, s. 338.
[53] Tamże, s 385.
[54] Tamże, s. 391.

ROZDZIAŁ II

1. Partia bolszewicka – wszędzie obecna

Dzieje partii bolszewickiej sięgały początków naszego stulecia, bowiem podwaliny ruchu bolszewickiego zapoczątkowała Socjalno-Demokratyczna Partia Robotników Rosji powstała w 1903 r. To w jej składzie znalazła się frakcja większościowców tzw. bolszewików. W pierwszej fazie swojego istnienia SDPRR (b) miała charakter elitarny, co stanowiło o jej atrakcyjności i tajemniczości zarazem w środowiskach rewolucyjnych. Choć w 1905 r. po rewolucji lutowej popularność frakcji bolszewickiej spadła, to jednak do partii zaczęli przystępować w miejsce zawiedzionych inteligentów, robotnicy, którzy nie zdawali sobie sprawy z sytuacji politycznej w kraju[55]. W atmosferze wojny domowej frakcja bolszewicka SDPRR zantagonizowana programowo z mienszewikami i eserowcami, oderwała się od partii macierzystej tworząc w 1918 r. Rosyjską Komunistyczną Partię (bolszewików). Oblicze RKP (b) zmieniło się zasadniczo po rewolucji 1917 r., gdzie partia elitarna powoli przeobrażała się w organizację o charakterze masowym, skupiając w swoich rękach w 1917 r. – 300 tys. członków, zaś w r. 1921 – 730 tyś członków[56]. Podane cyfry symbolizowały siłę oddziaływania RKP (b) w społeczeństwie porewolucyjnym, dla którego hasła o industrializacji kraju, reformie rolnej i nacjonalizacji przemysłu stanowiły źródło zasilania jej szeregów. W drodze dalszych przemian społeczno-politycznych, ostateczną nazwę partii ustalił XIV Zjazd Rad ZSRR w 1926 r., kiedy to RKP (b) przemianowano na Wszechzwiązkową Komunistyczną Partię (bolszewików)[57]. Wszechzwiązkową Komunistyczna Partia (bolszewików) była fundamentem na, którym opierało się pierwsze państwo robotników i chłopów – ZSRR. WKP (b) posiadała ekspansywny charakter działania, bowiem oddziaływała na powstanie i rozwój ruchów rewolucyjnych w Europie. Zasadnym stało się stwierdzenie, że istota państwa zawierała się w pojęciu partii, a partia była przecież cała gamą elementów społecznych, politycznych i kulturowych.

[55] M. Smoleń, op. cit., s. 26.
[56] Tamże, s. 58.
[57] Tamże, s. 81.

Zdaniem Melchiora Wańkowicza partia bolszewicka była obecna w każdym momencie życia obywatela Rosji Sowieckiej. Choć powstała na gruncie carskiej Rosji, nigdy w swej treści nie odwoływała się do przeszłości, kategorycznie wpajając to swoim członkom[58]. Co więcej, Wańkowicz zauważył, iż dla partii słowo Rosja oznaczało to o czym nie mieli ochoty mówić wodzowie nowego systemu politycznego, dla nich bowiem istniała tylko Socjalistyczna Republika Radziecka[59]. System polityczny ZSRR był monopartyjny i odrzucał jakąkolwiek inną formę reprezentacji społeczeństwa. Nie było w nim miejsca dla władzy parlamentarnej, tak charakterystycznej dla państw dźwigających się po 1918 r. z okowów carskiej niewoli. W opinii Stanisława Vincenza partia stanowiła o totalitaryzmie swoich struktur oraz czerpała siłę z dogmatów swoich wodzów. Według Vincenza słowa W. Lenina o pogardzie dla „gawarilnych", jak zwykł on określać parlament, stanowiły ideę jej działania[60]. To wielka machina partyjna była dla niepiśmiennych chłopów i robotników, zawiedzionych i sfrustrowanych intelektualistów nadzieją, na podniesienie własnego awansu społecznego. Przez wychowanie obywateli w duchu megalomanii narodowej, czy raczej megalomanii partyjnej, WKP (b) wpływała na olbrzymie masy ufnego i ślepo posłusznego społeczeństwa. Partia bolszewicka dawała bowiem szansę różnym grupom narodowościowym, skupionym w ZSRR na zdobycie zawodu i wykształcenia w wielu dziedzinach życia społecznego. Stanisław Vincenz wspominał w „Dialogach z Sowietami" młodego, ukraińskiego oficera, który służąc wiernie partii zdobył stopień wojskowy, co w tamtych czasach miało niebagatelne znaczenie. Ów oficer, z pochodzenia chłop, napiętnowany przez życie biedą, jak zauważył Vincenz, z prostego pastucha przeobraził się w żołnierza Armii Czerwonej[61]. U tegoż samego autora mogliśmy się doszukać kolejnego przykładu awansu społecznego z ramienia WKP (b), w osobie Machmuda Miszy – biednego Tatara znad Wołgi, który stopień majora Armii Czerwonej zawdzięczał swojej wiernopoddańczej lojalności wobec partii[62].

[58] Melchior Wańkowicz „Opierzona rewolucja", Warszawa 1934, s. 58.
[59] Tamże, s. 58.
[60] Stanisław Yincenz „Dialogi z Sowietami", Kraków 1966, s. 170.
[61] Tamże, s. 64.
[62] Tamże, s. 253.

Partia bolszewicka oddziaływała również na stan świadomości społeczeństwa radzieckiego. Dotyczyło to wielu dziedzin życia społeczno-ekonomicznego, w których obywatel przekonany o wszechobecności partii obawiał się podejmowania jakichkolwiek decyzji. Aleksander Janta-Połczyński stwierdził w reportażu „W głąb ZSRR", iż szarzy obywatele woleli, iż by za nich podejmowano wszelkie, istotne polityczno-ekonomiczne decyzje. Stąd też, partia powoływała szereg przedmiotowych komisji, które odium odpowiedzialności przenosiły z obywatela na grupę komisyjnych ekspertów. W opinii Janta-Połczyńskiego „Komisje po długich naradach powoływały nowe komisje, wszystko w nadziei, że może trzecia albo czwarta ostatecznie weźmie na siebie jarzmo odpowiedzialności"[63]. Z opinii Janta-Połczyńskiego wynikało, że WKP (b) była organizacją biurokratyczną i scentralizowaną, a jej biurokratyzm osiągnął w latach trzydziestych gigantyczne rozmiary. Wspomniane wyżej komisje rzeczoznawców, powstające bez względu na wagę i rozmiary społecznych problemów, poszerzały jej struktury lecz nie przynosiły konkretnych rozwiązań społeczno-ekonomicznych. Dala Janta-Połczyńskiego działacze partyjni, którzy nie mogli znaleźć odpowiednich rozwiązań ekonomicznych dla potrzeb Rosji Sowieckiej, stworzyli dla własnych celów, propagandowy element obronny w postaci tzw. „szkodnictwa". Pojęcie szkodnictwa dotyczyło ukrytych wrogów socjalizmu, z którymi partia prowadziła ciągłą i bezwzględną walkę[64]. Dla partii potencjalnym szkodnikiem mógł być każdy.

Zdaniem Melchiora Wańkowicza partia w tym względzie była nie ubłagana nawet wobec swoich, dawnych przywódców politycznych. Wańkowicz będąc w latach trzydziestych w Moskwie zetknął się z artykułami prasowymi, które w skutek propagandy partii bezpardonowo rozprawiały się z Lwem Trockim. Co więcej, Wańkowicz wskazał na styl owej walki ideowej prowadzonej z dawnym przywódcą, który jego zdaniem zasługiwał na pogardę i był metodą w stylu „...bicia leżącego". W jego mniemaniu partia posługiwała się permanentnym zniesławianiem swoich jawnych i ukrytych przeciwników[65].

Jak już wcześniej wspomniałem partia bolszewicka była organizacja totali-

[63] Aleksander Janta-Połczyński „W głąb ZSRR", Warszawa – Poznań 1933, s. 51.
[64] Tamże, s. 51.
[65] M. Wańkowicz, op. cit., s. 86

tarną, co oznaczało, iż całkowicie podporządkowała swoim celom i strukturom społeczeństwo ZSRR. Ponieważ obszar Rosji Radzieckiej obejmował tereny etnicznie nowe, wobec czego WKP (b) musiała przyjąć odpowiednia politykę narodowościową.

W opinii Aleksandra Janta-Połczyńskiego partia prowadziła „...zręczną i wcale nie głupią..." politykę narodowościową. W tym wypadku twierdził Janta, radziła sobie lepiej niż carska administracji. Janta-Połczyński wskazał na fakt na przykładzie Uzbeków, iż wszelkie formy tendencji państwowotwórczych, które prezentowali, były krwawo tłumione przez Armię Czerwoną[66]. Partyjny reżim wprowadził na terenach nowych etnicznie zasady społeczno-ekonomiczne, które degradowały wszelkie formy odrębności kulturalnej i religijnej[67]. W sferze obyczajowości religijnej Janta-Połczyński wspominał, że partia zniosła religijną żałobę, „...żałobę w Sowietach zniesiono...", zaś zmarłego określano mianem wiernego żołnierza partyjnej idei i podporą socjalistycznego budownictwa[68].

Partia bolszewicka według Stanisława Vincenza zmierzała do ukształtowania „społeczeństwa przyszłości", które zrywając istniejące związki emocjonalno-rodzinne określane przez partyjnych ideologów jako mało mieszczańskie, będzie żyło wielkimi zadaniami partii[69]. Zdaniem Vincenza WKP (b) przez wychowanie „społeczeństwa przyszłości" rozumiała wybiórczość informacji, które mogły dotrzeć do prostych obywateli Rosji Sowieckiej. Istotnym było również to, że i opinia międzynarodowa nie znała prawdziwych realiów sowieckiej rzeczywistości[70]. Ideolodzy partyjni dbali o to, aby informacje na temat procesów politycznych w Moskwie, czy też głodu na Ukrainie nie dotarły do społeczeństwa radzieckiego oraz za granicę kraju. Sprzyjało temu hermetyczne zamknięcie granic z obu stron ZSRR. Stanisław Vincenz sądził, że społeczeństwo polskie – mimo bliskości granic, było również mało zorientowane o sytuacji politycznej w Rosji Radzieckiej. Według niego informacje na ten temat

[66] A. Janta-Połczyński, op. cit., s. 22
[67] Tamże, s. 107.
[68] Tamże, s 211.
[69] S. Vincenz , op. cit., s. 64.
[70] Tamże, s. 86.

docierały tylko przy pomocy poczty pantoflowej[71]. Zdaniem Stanisława Vincenza, partia bolszewicka była organizacją społeczną, która dla swoich partykularnych interesów – pod sztandarami sowieckiej racji stanu, zunifikowała swoich obywateli w jednolita strukturę państwową. Dla partii było to warunkiem „sine qua non", w procesie sprawowania władzy. Jednak według Vincenza dla WKP (b) o jednolitej strukturze państwa stanowiły wszystkie grupy społeczne, z wyjątkiem klasy wyzyskiwaczy tzn. burżuazji. Autor wspominał wzorowo zorganizowana akcję paszportową na polecenie Józefa Stalina, po to „...aby każdy obywatel prócz ciała posiadał jeszcze, dowód sprawdzenia i przydatności państwowej..."[72]. Na podstawie powyższych opinii Stanisława Vincenza, Melchiora Wańkowicza i Aleksandra Janta-Połczyńskiego z całą pewnością można stwierdzić, iż partia bolszewicka nie była organizacją społeczno-polityczną, która reprezentowała rzeczywiste interesy ludzi pracy w Rosji Sowieckiej. Jej struktury były głęboko zbiurokratyzowane, zaś metody i środki, których używała do zdobycia celów politycznych, były niejednokrotnie odmienne od tych jakie deklarowali jej polityczni przywódcy. WKP (b) była partią totalitarną, która zdobywszy władzą w wyniku zamachu stanu, usunęła z życia politycznego inne ugrupowania polityczne. Paradoksem zaś stał się fakt, że jej popularność mimo prowadzonej przez nią działalności, była ogromna.

2. Kult przywódcy – w odbiorze społecznym

„Po śmierci Lenina w Gorki jego ciało przewieziono do Moskwy. Niczym doczesne szczątki świętego w rosyjskiej cerkwi prawosławnej ciało Lenina zostało złożone w szklanej gablocie i umieszczone w mauzoleum na Placu Czerwonym w Moskwie do stałej ekspozycji. Także lokomotywa pociągu pogrzebowego znalazła swoje miejsce w specjalnym muzeum, wystawiona do oglądania przez turystów. W ten sposób ciało wodza i wszystkie rzeczy z nim związane zostały podniesione do rangi świętych relikwii, które zgodnie z intencjami władz miały być czczone przez potomnych"[73]. Powyższa opinia w pełni odzwierciedlała stosunek emocjonalny przywódców partyjnych oraz społeczeń-

[71] Tamże, s. 87.
[72] Tamże, s. 162.
[73] M. Smoleń, op. cit., s. 78

stwa radzieckiego do zmarłego wodza rewolucji, który dla partii bolszewickiej i całego narodu pozostał symbolem nowego politycznego porządku. Czy w Rosji Sowieckiej rzeczywiście rozumiano sens oddawania czci byłemu przywódcy, twórcy NEP-u oraz inicjatorowi nowego socjalistycznego myślenia? Melchior Wańkowicz był odmiennego zdania, co do tej kwestii. W jego opinii prości ludzie zamieszkujący ZSRR nie rozumieli tak na prawdę istoty sprawy. Wańkowicz zwiedzający Moskwę w grudniu 1934 r., widział olbrzymie kolejki ludzi przed mauzoleum Lenina. Autor szczególnie zauważył „...olbrzymów mongolskich w śmierdzących kożuchach...", którzy przypominali raczej zagubionych w mieście buszmenów, aniżeli obywateli rozumiejących potrzebę oddania hołdu zmarłemu wodzowi. Wańkowicz skonstatował, że do niezrozumienia problemu kultu wodza, przyczynił się fakt rzeczywistej odrębności cywilizacyjno-kulturowej między Rosją a pozostałymi republikami[74].

Kwestię kultu wodza poruszył także w swym reportażu Stanisław Vincenz. Jego zdaniem, społeczeństwo radzieckie traktowało miejsce spoczynku Lenina, niczym społeczność głęboko religijnych mahometan – Mekkę[75]. Vincenz był przekonany o wielkiej sile oddziaływania mauzoleum Włodzimierza Lenina na stan świadomości społecznej, która ugruntowała się w przywódcach politycznych partii, zmierzających do wiernego zrealizowania zasad polityki leninowskiej. To właśnie w miejscu jego pobytu, według Vincenza znajdowało się „... źródło zbiorowego oczyszczenia...", które społeczeństwu radzieckiemu pozwoliło realizować cele wytyczone przez partię[76]. Włodzimierz Lenin był jednak martwym symbolem radzieckiego systemu. Dla potrzeb społeczeństwa, partia z Józefem Stalinem na czele wykreowała żywy pomnik socjalistycznego systemu. Mowa oczywiście o Stalinie a właściwie Józefie (Soso) Wisarionowiczu Dżugaszwili. Pochodzenie Stalina owiane było tajemnicą. Wiele faktów z jego życia, propangandyści bowiem przedstawili inaczej.

Stalin urodził się w Gori w Gruzji 21 grudnia 1879 r. Istnieją przypuszczenia, że data jego urodzenia została sfałszowana, a Stalin naprawdę urodził się w 1878 r. Jego ojcem był Wisarion Iwanowicz Dżugaszwili, szewc z za-

[74] M. Wańkowicz, op. cit., s. 60.
[75] S. Vincenz, op. cit., s. 61.
[76] Tamże, s. 61.

wodu i nałogowy alkoholik[77]. Wśród bolszewików panowało przekonanie, iż ojcem nowego wodza był zrusyfikowany Polak, znany odkrywca, generał Mikołaj Przewalski. Józef Stalin poraź pierwszy pojawił się na scenie politycznej w 1905 r. jako delegat Zakaukazia, na I Ogólnorosyjską Konferencję SDPRR. Natomiast od 1906 r. jego losy były ściśle związane z Leninem[78]. Według Stanisława Vincenza, społeczeństwo radzieckie lat trzydziestych przepełnione było głęboką wdzięcznością do Stalina, który uosabiał ideały dobra, miłości i opiekuńczości zarazem, w stosunku do całego narodu.

Stanisław Vincenz wyraził opinię, że dla J. Stalina największą wartością był człowiek i dlatego w Rosji Sowieckiej nikomu nic złego zdarzyć się nie mogło[79]. Istotnym było również to, że Stalin już za swojego życia stał się symbolem doskonałości i boskości. Zdaniem Vincenza, w ZSRR panowało powszechne przekonanie, iż wśród setek tysięcy naukowców tylko on – ojciec narodu był najlepszym interpretatorem marksizmu, był więc niekwestionowanym „...doktorem filozofii..."[80]. Do wielkiego znaczenia J. Stalina przyczyniła się partyjna propaganda, której „cudotwórcza moc" bezwzględnie wpływała na społeczeństwo radzieckie. Choć popularność wodza była tak olbrzymia, to jak zauważył Vincenz, ludzie niechętnie wypowiadali swoje poglądy na jego temat. Szczególnie mocno, zdaniem Vincenza występowało owo zjawisko milczenia w Armii Czerwonej[81]. Myślę, że żołnierze obawiali się ewentualnych represji ze strony kierownictwa armii, które było przecież zbrojnym ramieniem wodza – Stalina oraz partii bolszewickiej. Kult przywódcy czy może używana od niedawna nazwa „kult jednostki" był naturalną emanacją systemu leninowskiego, a nie jak uważają inni wypaczeniem leninowskich norm życia partyjnego i społecznego. Stalinizm wyrażał rządy jednej partii przy pomocy terroru, ideologii oraz gospodarki centralnie sterowanej[82]. W miarę upływu czasu kult Stalina stawał się coraz silniejszy i przeobraził się w obowiązujący wzór hołdu i uwiel-

[77] M. Smoleń, op. cit., s. 76.
[78] Tamże, s. 77.
[79] S. Vincenz, op. cit., s. 59.
[80] Tamże, s. 186.
[81] Tamże, s. 212.
[82] M. Smoleń, op. cit., s. 11.

bienia. Ludowy poeta Kazachstanu Dżambuł Dżubajew tymi słowami wyraził się o wodzu: „Stalin jest głębszy od oceanu, wyższy niż Himalaje, jaśniejszy od słońca. Jest on nauczycielem wszechświata”[83]. Sądzić można, że tak S. Vincenz jak i M. Wańkowicz zgodni byli co do tego, iż społeczny odbiór „kultu wodza” przejawiał różne oblicza, od skrajnego uwielbienia, do niechęci w poruszaniu tematów tyczących się wodza. Bezspornym pozostaje jednak fakt, że zjawisko oddawania hołdu Józefowi Stalinowi osiągnęło gigantyczne rozmiary, co stanowiło o swoistości systemu politycznego Rosji Sowieckiej tamtych dni.

ROZDZIAŁ III

1. Armia

Armia Czerwona była formacją bezwzględnie podporządkowaną kierownictwu partii bolszewickiej. Będąc jej zbrojnym ramieniem stanowiła o sile i stabilności ZSRR. W myśl hasła o rozprzestrzenianiu się rewolucji proletariackiej na cały świat, jej charakter był ekspansywny. Szeregi armii wypełniali chłopi i robotnicy pochodzący ze wszystkich republik państwa radzieckiego[84]. Kierownicze stanowiska w armii zdaniem Stanisława Vincenza, należały do etatowych wojskowych podoficerów i oficerów. Vincenzowi, szczególnie mocno utrwalił się obraz „...dowódców w wątłej budowie ciała...”, która wynikała według niego z niedbałości o odpowiednie wyżywienie żołnierzy. Stanisław Vincenz wyraził również opinię, że ludziom tym nie brakowało uśmiechu na twarzy w trudnych chwilach okupacji Węgier i Polski.

O sile Armii Czerwonej stanowiła zdaniem Vincenza, szeroko spopularyzowana opinia o wyjątkowej karności żołnierzy i doskonałym zaopatrzeniu w broń. Owe spostrzeżenia wyraził autor „Dialogów z Sowietami” przebywając wśród żołnierzy radzieckich na terenach okupowanej Polski i Węgier[85]. Vincenz skonstatował, iż aby armia mogła w sposób perfekcyjny wykonywać swoje zadania, potrzebni byli jej ludzie dbający o moralność żołnierzy. Według niego

[83] J. Smaga, op. cit., s. 122.
[84] M. Smoleń, op. cit., s. 114.
[85] S. Vincenz, op. cit., s. 71.

tymi sprawami zajmowali się dowódcy polityczni, tzw. „politruki". Ich zadanie polegało na przeciwdziałaniu alkoholizmowi, złodziejstwu oraz wandalizmowi w ramach szeroko rozumianej profilaktyki. Warto przypomnieć słowa Vincenza, że „...politruki czyli polityczni oficerowie armii pochodzili z komisarzy politycznych przydzielonych do armii i mieli nadzór polityczny, prawdę mówiąc polityczno-policyjny nad żołnierzami"[86]. Dowódcy polityczni zajmowali się również propagowaniem oświaty i kultury radzieckiej w kręgach żołnierskich. W tym wypadku trafili na podatny grunt, bowiem żołnierze rekrutujący się niejednokrotnie ze społecznych nizin, skłonni byli nabywać encyklopedycznych informacji w jak największej ilości[87]. Zdaniem S. Vincenza analfabetyzm w Rosji Sowieckiej swymi rozmiarami obejmował około 90% ogółu ludności. Dlatego też, żołnierzom organizowano lekcje nauki pisania, prelekcje czy też projekcje filmów propagandowych. Vincenza przebywając na terenach okupowanych Węgier skonstatował, że owe zabiegi kulturalno-oświatowe ze strony dowództwa armii, wpływały dodatnio na poziom codziennego życia żołnierzy. Niestety, brak innych środków oświatowych prowadził do nieefektywności systemu wychowawczego w Armii Czerwonej. Jak słusznie zauważył autor „Dialogów z Sowietami", „...system ten był raczej skierowany do odbioru przez inteligentów, którzy mogliby ewentualnie doszukać się pozytywnych elementów w tak prowadzonej polityce oświatowej w armii, niż prostych żołnierzy stanowiących przecież zdecydowaną większość..."[88]. Według Vincenza indoktrynacja polityczna, która dotyczyła żołnierzy Armii Czerwonej doprowadzała u nich do nienormalnych reakcji i zachowań. Objawiło się to w ślepej i prymitywnej akceptacji tego co radzieckie oraz potępianiu tego, co zachodnie i obce. Żołnierze przepełnieni byli według Vincenza hasłami o wyższości kultury radzieckiej nad innymi kulturami, choć wielokroć starali się upewnić w swoich przekonaniach, co objawiało się w pytaniach typu „Chodzi nam o to, że sowieckie płyty gramofonowe są lepsze niż polskie i zachodnie, czy nie tak? Pytano również o to „...która kultura jest wyższa polska czy sowiecka, a która jest najwyższa, może

[86] Tamże, s. 56.
[87] Tamże, s. 155.
[88] Tamże, s. 155.

francuska...?”[89]. Jednak nawet najwyższy poziom oświaty w armii, co więcej wtłaczana dyscyplina nie były w stanie zdławić żołnierskich patologii. Myślę tutaj o wspomnianych wyżej: złodziejstwie, alkoholizmie oraz wandalizmie, objawiającym się we wściekłej dewastacji mienia ludności cywilnej na terenach okupowanych[90]. Kluczowym problemem były jednak zbiorowe i jednostkowe gwałty żołnierzy radzieckich na kobietach, w miejscach postoju Armii Czerwonej w trakcie działań wojennych. Stanisław Vincenz w trakcie pobytu na Węgrzech w 1944 roku zastał Armię Czerwoną, która lubiła pić alkohol w nadmiernych ilościach, jej żołnierze byli wyjątkowo rozwydrzeni oraz reprezentowali postawę nienawiści do otaczającej rzeczywistości i pogardy dla śmierci[91]. Gwałt był w kodeksie i regulaminie żołnierza Armii Czerwonej objęty najwyższym wymiarem kary – karą śmierci. W zależności jednak od interpretacji samego gwałtu oraz okoliczności, w których mógł się zdarzyć, wyroki sądowe były w swej wielkości zróżnicowane, choć najczęściej – o czym wspominał Vincenz zaniżane, czy wręcz symboliczne. Różne były również opinie oficerów radzieckich na ten temat. Od bezwzględnego potępienia takich czynów, do wręcz tragikomicznych stwierdzeń w postaci „A po cóż ci głupi Węgrzy budują sobie domy na uboczu, jakby chcieli kusić rozbójników...”[92]. Sądzę, iż należałoby się zastanowić nad podłożem owych gwałtów, które bez wątpienia ujemnie wpływały na wizerunek Armii Czerwonej. Vincenz uważał, że było to spowodowane przez nie udzielanie żołnierzom urlopów, a jeżeli już to tylko w wypadkach śmierci najbliższej osoby. Ważnym argumentem świadczącym o poczuciu osamotnienia olbrzymich mas żołnierzy, był brak kontaktu listowego z rodzinami, jak również brak kontaktu z kobietami. Na tym tle dochodziło więc do zaburzeń równowagi psychicznej żołnierzy, którzy swoje problemy topili w różnego rodzaju agresywnych zachowaniach. Władze wojskowe marginalizowały jednak potrzeby biologiczne żołnierzy[93]. W miejsce tego wprowadziły odnowione i staroświeckie wzory dyscypliny, „...sławiąc między innymi osławionego niegdyś w liberalnych

[89] Tamże, s. 155.
[90] Tamże, s. 193.
[91] Tamże, s. 183.
[92] Tamże, s. 186.
[93] Tamże, s. 194.

kołach generała carskiego okresu, który nawet własnego syna kadeta kazał zaaresztować za to, że na stacji kolejowej naprzód przywitał się z matką a potem dopiero zameldował się ojcu generałowi”[94].

Armię Czerwona stanowiły wojska frontowe nazywane linowymi oraz wojska pozafrontowe określane często mianem „łazikujących” czy też „maruderów”. Ze spostrzeżeń Stanisława Vincenza wynikało, że żołnierze wojsk frontowych przekonani o roli, którą spełniają byli otwarci i chętni do rozmów, „...jak by przemawiało do nich bliskie niebezpieczeństwo...”. Wśród nich panowała ogólna wściekłość na wojnę. Ta swoista skłonność do rozmów mimochodem zdradzała pozycje frontowe i rozmieszczenie stanowisk ogniowych. Zdaniem Vincenza, była też pomocna w przybliżeniu stosunków społecznych panujących w Rosji Sowieckiej. Żołnierze wspominali bowiem o deportacji Tatarów krymskich, oraz o walkach ukraińskich chłopów przeciw sowietom[95]. Wojska pozafrontowe siały postrach wśród osób narażonych na bezpośredni kontakt z nimi. Zajmowały się one zastraszaniem i grabieżami ludności cywilnej. Według S. Vincenza były przykładem degradacji wartości żołnierskich panujących w Armii Czerwonej. Wynikały one z niezaspokojonych oczekiwań i niespełnionych obietnic, które rodziły ogólne frustracje, mające swój wyraz w wulgaryzmach np. „Twoja mat”[96], powszechnie używanych przez żołnierzy.

2. Robotnicy

Problemem robotników w ZSRR zajmowali się Melchior Wańkowicz oraz Aleksander Janta-Połczyński. Wańkowicz dokonał wielu cennych spostrzeżeń w reportażu „Opierzona rewolucja”, zaś Janta-Połczyński w reportażu, „W głąb ZSRR”. ZSRR lat międzywojennych był dla Wańkowicza i Janta-Połczyńskiego okresem gwałtownego uprzemysłowienia kraju, wdrażania w życie programu kolektywizacji rolnictwa, w ramach stworzonej przez Lenina Nowej Ekonomicznej Polityki. Wizja przekształcenia Kraju Rad z państwa zacofanego w potęgę przemysłową była bardzo budująca. Ogromne rzesze robotników inspirowały wielkie zadania przemysłowe. Robotnicy, zdecydowanie ludzie

[94] Tamże, s. 199.
[95] Tamże, s. 210.
[96] Tamże, s. 260.

młodzi pracując niejednokrotnie w katastrofalnych warunkach głęboko wierzyli w sens swojej pracy i byli gotowi oddać się jej bez reszty[97]. Aleksander Janta-Połczyński podróżując po ZSRR w latach trzydziestych widział ludzi przepełnionych ogromnym zapałem do pracy w przemyśle, dla których niedogodności życia codziennego nie stanowiły przeszkód. Według niego ludzie radzieccy byli przekonani o możliwościach własnej samorealizacji i urzeczywistnienia ideałów planu pięcioletniego[98]. Jednym z elementów ówczesnej rzeczywistości był kombinat hutniczy w Magnitogorsku na Uralu. Znajdujący się na terenie Uralsko-Kużnieckiego Okręgu przemysłowego, przyciągał tysiące robotników z różnych republik ZSRR. Choć propaganda sowiecka przedstawiała go jako przykład wzorowego przedsiębiorstwa, które z cała mocą dbało o swoich pracowników, to jednak inną opinię wyraził Janta-Połczyński. W reportażu „W głąb ZSRR", Janta przedstawił rzeczywisty obraz Magnitogorska. Reportażysta był na miejscu i widział rzesze brudnych i niedożywionych ludzi, mieszkających w ziemiankach. Ich zawszawione i półnagie dzieci stanowiły dla niego tragiczny przykład tamtych dni. Autorowi głęboko utkwił w pamięci obraz, w którym stara kobieta wyczesywała sobie pluskwy z włosów[99]. W osiedlu robotniczym życie ludzi zagrożone było przez tyfus i głód. Albowiem, zdaniem Janta-Połczyńskiego, racje żywnościowe przedstawiały się w mizernych liczbach, tzn. 600 g. chleba obdzielano 17 osób[100]. O ile w Rosji Sowieckiej w latach dwudziestych występowało duże bezrobocie sięgające około 1,5 mln. osób, to w latach trzydziestych, o których wspominają reportażyści zostało ono zlikwidowane w związku z obowiązującymi wtedy, zasadami planu pięcioletniego[101]. Wspominał o tym A. Janta-Połczyński w reportażu „W głąb ZSRR" w słowach „Pogłębia się fakt, że na każdym miejscu spotyka się tutaj przerost etatów, że biurokratyzm rozrósł się w całej Rosji, do rozmiarów nieprawdopodobnych, że się od ludzi dużo gadając mało wymaga"[102].

[97] M. Smoleń, op. cit., s. 92
[98] A. Janta-Połczyński, op. cit., s. 46.
[99] Tamże, s. 39.
[100] Tamże, s. 41.
[101] M. Smoleń, op. cit., s. 97.
[102] A. Janta-Połczyński, op. cit., s. 43 i 44.

Natomiast Malchior Wańkowicz w „Opierzonej rewolucji" stwierdził, że Rosji Sowieckiej występowało zjawisko nadmiernej ilości osób zatrudnionych w stosunku do istniejącej ilości miejsc pracy. Autor wyraził opinię, że nagminność tego typu metod prowadziła do stworzenia ukrytego bezrobocia, co określił jako typowo rosyjski „sport"[103]. Proces uprzemysłowienia Kraju Rad przyniósł ze sobą nowe formy kultury życia robotników. Według Wańkowicza członkowie klasy robotniczej nosili walonki, zaś kobiety z „upodobaniem" wkładały na siebie kłapouche czapki z królików. Pamiętać należy, iż Wańkowicz zaobserwował ten styl ubierania się w Rosji Sowieckiej, zimą 1934 r. Autor „Opierzonej rewolucji" spostrzegł, że ów schemat ubiorów był jedynie obowiązujący, co stwarzało wrażenie o niemożliwości jakiejkolwiek w nim odmiany[104]. Co więcej, w mentalności moskwian, w opinii Wańkowicza zakorzenił się pogląd, że osoba ubrana inaczej jak np. M. Wańkowicz noszący kapelusz na głowie, stanowiła obraz wroga klasowego znienawidzonego przez obywateli ZSRR[105]. W ZSRR, kraju wielkich inwestycji jak wspominał Wańkowicz, klasa robotnicza wykonywała swoje zadania w myśl hasła Włodzimierza Lenina, które brzmiało: „Dogonić i przegonić kraje kapitalistyczne...". Treść hasła odnosiła się do wprowadzonego w życie przymusowego współzawodnictwa pracy, które miało zmobilizować robotników do wydajniejszej pracy na rzecz państwa radzieckiego. Zdaniem Malchiora Wańkowicza, Moskwa lat 30-tych była ogarnięta chęcią pokazania światu, że i w niej można żyć dostatnio, zaś obywateli motywowano do pracy takim oto stwierdzeniem, sloganem: „Hańba czteromilionowej Moskwie, że musi tłoczyć się w przepełnionych tramwajach..."[106]. Innym przykładem wyścigu przemysłowego z krajami zachodniej Europy była budowa kanału Moskwa – Wołga o długości 128 km. Propaganda radziecka przeciwstawiała czas trwania budowy kanału wynoszący rok, budowie Kanału Sueskiego, który choć nieco dłuższy bo wynoszący 160 km., budowany był przez 10 lat. Autor „Opierzonej rewolucji" stwierdził jednak, że tak prowadzony wyścig pracy obfitował w miliony ofiar

[103] M. Wańkowicz, op. cit., s. 29.
[104] Tamże, s. 41
[105] Tamże, s. 44.
[106] Tamże, s. 135.

ludzkich. Co ciekawe, Wańkowicz w oparciu o obrazy wielkiej industrializacji przypomniał sobie artykuł Gibsona Jurvey – kapitalisty angielskiego, który mówił: „Zapewne to jest najważniejsze, że cała młodzież i robotnicy w Rosji rozporządzają wielką wartością, której niestety brak nam w krajach kapitalistycznych – nadzieją”[107]. Zdaniem Melchiora Wańkowicza wszystkie osiągnięcia industrializacji były efektem zniewolenia 160 mln. ludzi oraz brakiem wolnego rynku gospodarczego[108].

Istotnym jest również fakt, iż w Rosji Sowieckiej, rozbudzono nadzieje na lepsze jutro u ogromnej rzeszy robotników, dla których niekonsekwencja w ich realizacji wytworzyła załamanie nastrojów społecznych. Reportażyści krytycznie odnosili się do sowieckiej rzeczywistości, która nie rozpieszczała soli narodu – klasy robotniczej, stawiając przed nią coraz to nowe wymagania niewiele dając w zamian. Jednak owa klasa robotnicza, była przygotowana na poprawę własnego statusu społecznego, poprzez to, iż jak wspomniał Gibson Jurvey, posiadała szeroko pojętą nadzieję.

ROZDZIAŁ IV

1. Prawo

Rosja Sowiecka w latach międzywojennych była państwem, w którym prawo wielokroć łamano oraz naginano do partykularnych interesów partii bolszewickiej. Opinię taka skonstatował Stanisław Vincenz, który znalazł się po 1939 r. pod jurysdykcją Rosji Sowieckiej[109]. Ciekawym i jakże w pełni oddającym problem postrzegania roli prawa w życiu ludzi radzieckich, stało się stwierdzenie jednego z bohaterów S. Vincenza. Ów bohater stwierdził, że „... obywatele dzielą się na trzy kategorie: na tych co siedzieli, tych co siedzą i tych co będą siedzieć”[110]. W ZSRR przywódcy partyjni wychodzili z założenia jak wspominał Vincenz, że mając w rękach instrument władzy w postaci prawa,

[107] Tamże, s. 137.
[108] Tamże, s. 177.
[109] S. Vincenz, op. cit., s. 122.
[110] Tamże, s. 122.

partia reedukowała i sprawdzała element wrogi klasowo[111]. S. Vincenz uważał, że w Kraju Rad ludzie wykształceni byli uprzywilejowani przez system prawny. Bowiem dla sowieckiego wymiaru sprawiedliwości, to właśnie inteligencją była najbardziej wartościową grupą społeczną. Co więcej, sędzia śledczy był symbolem panującego porządku prawnego, mógł dać wolność bądź ją zabrać. Przypadek S. Vincenza stanowił o łaskawości prawa dla ludzi światłych[112]. Więzień S. Vincenz otrzymał od owego sędziego informacje o swojej ewentualnej przyszłości, która tak oto brzmiała: „U nas pisarze zarabiają znakomicie, gdy przyjedziecie do Moskwy zaraz będziecie mieli auto, a jako pisarz będziecie od razu u nas wielkim człowiekiem"[113] Wobec osób niepewnych politycznie oraz obdarzonych niskim poziomem inteligencji, radzieckie prawo było surowe. Dotyczyło to między innymi policjanta z Wierzchosławic, o którym wspomniał Vincenz. Ów policjant, który system prawno-więzienny znał z autopsji jako jego strażnik, ostro krytykował brak zorganizowanego porządku więziennego.

Zwykł on nazywać to, jak zauważył Vincenz, „partactwem więziennym", które przejawiało się np. w nocnych rewizjach zakłócających spokój więźniów. Jego opinia o tym, że „...więzień ma także swoje prawo..." była według Vincenza nieuzasadnioną pretensją do represyjnego systemu prawnego, dla którego był on obiektem doświadczeń[114]. Radziecki system prawny według autora „Dialogów z Sowietami" oparty był również na kartach zwolnienia, które po opuszczeniu więzienia nie dawały prawa do tzw. „żytielstwa". Były więzień nie mógł więc osiedlać się w większych miastach. Dotyczyło to osób politycznie podejrzanych oraz Żydów[115]. Vincenz zwrócił również uwagę na inny element niedoskonałości radzieckiego prawa polegający na tym, że częstokroć do więzienia trafiały osoby bez jasno sformułowanych zarzutów oraz wyroku sądowego. W krótkich, prostych słowach wyjaśnił mu to jeden z funkcjonariuszy więziennych, który następująco skomentował zwolnienie Stanisława Vincenza z aresztu śledczego: „Widzicie u nas zawsze tak, w końcu dochodzą sprawie-

[111] Tamże, s. 122.
[112] Tamże, s. 125.
[113] Tamże, s. 126.
[114] Tamże, s. 95 i 96.
[115] Tamże, s. 137.

dliwości, wyście niewinni, zatem was zwolnili – wot czto! Był u nas rzadki wypadek, że jednego biedaka oskarżyli fałszywie, całkiem fałszywie. No i siedział niewinnie, po prostu za nic 19 lat. Ale władza sowiecka dojdzie do wszystkiego, w tym wypadku także prawdą wyszła na wierzch, no i zwolnili go"[116]. Zdaniem Vincenza owa sytuacja stanowiła o absurdalności radzieckiego wymiaru sprawiedliwości. ZSRR był państwem gdzie obywatele byli pozbawieni znajomości elementarnych podstaw prawa.

Ludzie radzieccy, co zauważył Melchior Wańkowicz nie byli nawet zaznajomieni ze zwyczajami panującymi w sądzie. Melchior Wańkowicz w czasie pobytu w Moskwie w 1934 roku uczestniczył w rozprawie sądowej. Owa rozprawa wywarła na nim głębokie wrażenie. Wańkowicz był świadkiem sceny, w której zebrani na sali sądowej obywatele na widok wchodzącego sądu nie wstawali. Publiczność jak zauważył, była odziana w kożuchy i czapki na głowie. Istotnym był fakt, że oskarżony ze względu na wygląd zewnętrzny oraz pochodzenie uzyskał przychylność sędziego. Autor „Opierzonej rewolucji" stwierdził, że sędzia zwracając uwagę na niezgodność zeznań płynących z ust oskarżonego, był przy tym speszony[117]. Wańkowicza zdziwił również brak eskorty policyjnej. Bowiem w tym samym czasie przebywało na sali dwóch oskarżonych o przestępstwo kryminalne. Zadziwiającą stała się ich opinia, która brzmiała: „...ot my tu z kolegą z kryminalnej sprawy, ale sądu nie ruszymy..."[118]. Melchior Wańkowicz stwierdził, że wyrażona opinia oskarżonych była wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa dla zebranych w sądzie ludzi[119].

System prawny ZSRR składał się również z prawa cywilnego. Według A. Janta-Połczyńskiego prawo cywilne skierowane było przeciw jakimkolwiek przejawom własności prywatnej. W jego ocenie własność prywatna kojarzyła się w ZSRR ze zgniłym kapitalizmem i wyzyskiwaniem biednych chłopów i robotników. Dlatego też, władze w oparciu o istniejące prawo lokalowe pozbywały się niewygodnych właścicieli. Zdaniem Janta-Połczyńskiego to prawo powodowało, że każda sprzedana nieruchomość stanowiła wkład w rozwój ko-

[116] Tamże, s. 141.
[117] M. Wańkowicz, op. cit., s. 116.
[118] Tamże, s. 124.
[119] Tamże, s. 118.

lejnej pięciolatki. Warto zauważyć jeszcze jeden aspekt funkcjonowania prawa w Rosji Sowieckiej, W opinii A. Janta-Połczyńskiego, ZSRR był państwem, gdzie prawo naj częściej składało się z terminów: nie wolno, nie można, zabrania się[120]. Dotyczyło to sfery życia społecznego i ekonomicznego. Według Janta-Połczyńskiego w ZSRR obowiązywał zakaz fotografowania. Nie wolno było bowiem robić zdjęć ludziom stojącym w kolejkach. Chociaż propaganda sowiecka mocno nagłaśniała istnienie swobód obywatelskich, łącznie z możliwością fotografowania wszystkiego, oprócz obiektów wojskowych. Aleksander Janta-Połczyński zauważył jednak, iż w Rosji Sowieckiej co drugi obiekt był wojskowy, a właściwie cały kraj był jednym, dużym obiektem tego rodzaju[121].

Tak więc, sowieckie prawo było wartością nadrzędną dla społeczeństwa radzieckiego, lecz nie wynikało to z jego doskonałości, a raczej z niezrozumienia jego treści przez prostych obywateli Kraju Rad. Jego charakter był nacechowany sprzecznościami tj. od wielkiej pobłażliwości dla ludzi światłych, do dyskryminacji grup najuboższych i niewykształconych. Słowem radziecki system prawny w swej istocie, nie był równy dla wszystkich lecz wyraźnie, choć wielokroć niejednoznacznie preferował poszczególne warstwy społeczne w ZSRR.

2. Religia

Przed 1917 r. stosunek bolszewików do Cerkwi prawosławnej oparty był na przekonaniu o tym, że państwo nie powinno ingerować w sprawy wyznania swoich obywateli i nie powinno tez finansować działalności religijnej. Wskazywało to wyraźnie na chęć oddzielenia kościoła od państwa. Słynna teza Włodzimierza Lenina jakoby, „...religia była opium dla ludu..." stała się elementem walki propagandowej z Cerkwią o ludzkie umysły[122]. Rewolucja bolszewicka stworzyła sytuację, w której mała, ateistyczna partia zawładnęła chrześcijańsko-muzułmańskim społeczeństwem. Władze dyskryminowały działalność Cerkwi w obawie przed ewentualnym zainspirowaniem przez kościół działań odśrodkowych. Już w 1918 r. na mocy dekretu Rady Komisarzy Ludowych

[120] A. Janta-Połczyński, op. cit., s. 156.
[121] Tamże, s. 194.
[122] M. Smoleń, op. cit., s. 116.

proklamowano rozdział kościoła od państwa[123]. Cerkiew straciła osobowość prawną, co oznaczało jej śmierć na scenie politycznej. Choć zachowała ona prawo do urzędów, to jednak jej dokumenty straciły wartość prawną, a wiernym zabroniono wszelkich świadczeń na rzecz Cerkwi. W latach dwudziestych w ZSRR doszło do pokazowych procesów duchownych. Owe procesy zostały poprzedzone upadkiem istniejącego patriarchatu oraz rozłamem w samej Cerkwi. Wówczas powołano do życia tzw. „Żywą Cerkiew", bezwzględnie podporządkowaną Radzie Komisarzy Ludowych. Na uwagę zasługuje fakt, iż polityka bolszewików wobec Cerkwi była pełna sprzeczności. Kształtowała się w oparciu o istniejąca sytuację społeczno-polityczną[124]. Wspomnieć należy ostre prześladowania duchownych, czy też dewastowanie miejsc kultu, zaś w okresie wojny z Niemcami hitlerowskimi próby dialogu i współpracy Cerkwi z władzami[125].

W opinii Stanisława Vincenza, ludzie wierzący w Boga byli pogardzani przez wszystkie grupy społeczne w Rosji Sowieckiej. Vincenz nabrał owego przekonania po rozmowie z lejtnantem Chmarą w 1944 r., który bardzo krytycznie wyrażał się o osobach wierzących. Jedyną religią, którą uszanowano i pozwolono się jej rozwijać był według Vincenza mahometanizm. Włodzimierz Lenin wspominał o tym w swoim manifeście obiecując wyznawcom Mahometa swobodę wyznania. Zdaniem Stanisława Vincenza był to zabieg polityczny, który miał zjednać bolszewikom olbrzymie masy ludzi z terenów okupowanych przez ZSRR, posługujących się wartościami mahometańskimi[126]. Również Józef Stalin podtrzymywał kwestię poszanowania mahometanizmu w oparciu o swobodę praktykowanie religii, w celu zysków politycznych. Stanisław Vincenz skonstatował, że Rosja była państwem, w którym głęboko wierzono w Boga. Jego zdaniem nawet władzy sowieckiej trudno byłoby to wykorzenić[127]. Autor „Dialogów z Sowietami" wspominał w swoim reportażu opowiadanie Gleba Uspienskiego, „Nowyje wriemienia, nowyje żaboty", w którym autor zwracał uwagę na żywioł chłopski, napędzający według niego siłę religii

[123] Tamże, s. 117.
[124] Tamże, s. 118. i 119.
[125] Tamże, s. 120.
[126] S. Vincenz, op. cit., s. 238.
[127] Tamże, s. 238.

w Rosji. Ta siła, zdaniem Uspienskiego opierała się na wierze będącej w stanie stawić czoła niezmordowanej władzy[128]. S. Vincenz wspominał również w swoim reportażu, że osoby wierzące określane były mianem „tiomnych" – ciemnych. Propaganda radziecka ośmieszała wyznawców prawosławia, traktując ich jako obywateli drugiej kategorii. Osoby wierzące w ochach np. Komsomołu – radzieckiej organizacji młodzieżowej podlegały ciągłej kontroli[129].

Uważam, że w oparciu o spostrzeżenia Stanisława Vincenza można skonstatować, iż w Rosji Sowieckiej religia traktowana była przez władze w sposób koniunkturalny. Tylko zła sytuacja polityczna ZSRR mogła wpłynąć bowiem na polepszenie się stosunków państwa z Cerkwią. Władza radziecka pozbawiając Cerkwie prawno-społecznej sfery wpływów, tak naprawdę utwierdzała jej wyznawców, w większości chłopów w chęci oddania się Cerkwi bez reszty. To wielka wiara owej grupy społecznej była źródłem egzystencji prawosławnej Cerkwi. Na uwagę zasługuje również fakt, że w myśl idei Lenina o preferencjach dla mahometanizmu próbowano poróżnić ze sobą dwa wielkie wyznania, skupione w ramach jednego państwa. Sądzę, że zasada polityczna „divide et impera" została zasiana na odpowiednim gruncie społecznym w ZSRR.

ZAKOŃCZENIE

O Rosji Sowieckiej lat międzywojennych wiele by mówić i rozważać o faktach historycznych ją tworzących. Lecz jedno nie ulega wątpliwości, tzn. złożoność wewnętrznej sytuacji społeczno-ekonomicznej w jakiej znajdował się ZSRR. Owa sytuacja była w centrum zainteresowania Stanisława Vincenza, Melchiora Wańkowicza i Aleksandra Janta-Połczyńskiego. Autorzy wskazali w swych reportażach na swoistość podmiotów życia politycznego ZSRR, na bazie własnych obserwacji i przeżyć. Należy pamiętać o tym, że dotarcie do Rosji Sowieckiej w latach trzydziestych było wyjątkowo trudne, ze względu na jej szczelnie zamknięte granice, co stanowiło o niedostępności a zarazem tajem-

[128] Tamże, s. 240.
[129] Tamże, s. 235.

niczości tego państwa. Reportażyści odsłonili jednak rąbek tajemnicy, która okrywała oblicze ZSRR.

Według nich partia bolszewicka posiadała totalitarny charakter działania oraz głęboko scentralizowane i biurokratyczne struktury. Była wszechobecna i posiadała wyłączność w sposobie kierowania radzieckim społeczeństwem. Co ważniejsze, to jej członkowie wykreowali dla potrzeb socjalistycznego społeczeństwa – wodzą, któremu społeczeństwo oddawało wyrazy hołdu i uwielbienia. Wynikało to z permanentnego wpływu ideologii i propagandy partyjnej na miliony ludzi, którzy wierzyli ślepo w mądrość i wielkość przywódcy, lecz tak naprawdę nie rozumieli istoty problemu.

O rzeczywistości tamtych dni stanowiła również Armia Czerwona ZSRR. Była to formacja wojskowa, która w swych szeregach skupiała ludzi ze wszystkich republik ZSRR, w której krzyżowały się ze sobą różne kultury i cywilizacje, lecz pod przemożnym naciskiem reżimu bolszewickiego stanowić musiała, jednorodną strukturę wojskową. Poziom moralny żołnierzy stanowił o zdegenerowaniu jej struktur, co objawiało się w bezwzględnych zachowaniach w stosunku do ludności na terenach okupowanych. Co więcej, jej wizerunek został ukształtowany przez pryzmat jednostkowych sytuacji, w których Armia Czerwona mogła w pełni zdemaskować swoje prawdziwe oblicze.

W ZSRR w latach międzywojennych poważną siłę społeczną mieli stanowić robotnicy. Choć częstokroć określani byli mianem trzonu państwa socjalistycznego, to w rzeczywistości stanowili posłuszną grupę społeczną, gotową wypełnić każdą normę produkcyjną postawioną przez partię, w ramach kolejnego planu pięcioletniego. Klasa robotnicza lat trzydziestych uległa złudzeniu co do tego, że państwo socjalistyczne po latach komunizmu wojennego zakończonego w 1934 r., przyniesie jej oczekiwany dobrobyt.

Niebagatelną rolę w funkcjonowaniu państwa radzieckiego odegrał system prawny, który spowodował likwidację milionów ludzi, uważanych za wrogów nowego systemu państwowego. Bolszewickie prawo charakteryzował również wrogi stosunek do wszelkich grup posiadaczy majątkowych oraz własności prywatnej, co wynikało z wyraźnie określonej doktryny państwowej. Sowieckie prawo nigdy nie było równe dla wszystkich i wielokroć faworyzowało różne grupy społeczne w zależności od sytuacji politycznej w kraju. Albowiem o sys-

temie prawnym ZSRR stanowiła WKP (b), której wpływ odznaczał swoje piętno na szeroko pojętym charakterze prawa oraz sposobach jego przestrzegania i egzekwowania.

Na uwagę zasługuje fakt, że w Rosji Sowieckiej znalazła swoje miejsce religia. I choć W. Lenin nazwał ją „opium dla ludu", to jednak władza radziecka nie do końca chciała ją wykorzenić ze społeczeństwa. Było to związane z potrzebą prowadzenia przez reżim bolszewicki dialogu z Cerkwią, a po przyłączeniu terenów azjatyckich z mahometanami, w celu uniknięcia konfliktów religijnych. Polityka Lenina, a po jego śmierci polityka J. Stalina prowadziła do zagwarantowania swobód wyznaniowych mahometanom przy jednoczesnym szykanowaniu osób wyznania prawosławnego. Reżim bolszewicki zręcznie wykorzystał zasadę „divide et inpera" w kontekście społeczeństwa dwuwyznaniowego, czyniąc z niego przedmiot manipulacji politycznych.

Uważam, że ZSRR lat międzywojennych był przykładem państwa totalistycznego, w którym władza uosabiana przez WKP (b) była jedynym reprezentantem „woli narodu". Wszechobecność i wszechwładność partii podporządkowała socjalistycznej idei państwa wojsko, klasę robotniczą i prawo. Co zaś tyczy się religii, to była ona niechcianym elementem w wielkiej polityce wewnętrznej i zewnętrznej ZSRR, który w sytuacji zagrożenia bytu państwowego, jak np. wojna ojczyźniana z Niemcami, za jej pośrednictwem odwoływała się do uczuć patriotycznych tkwiących w narodzie. Była więc religia atrybutem politycznym potrzebnym, do zrealizowania socjalistycznych założeń państwa.

BIBLIOGRAFIA

1. Stanisław Vincenz „Dialogi z Sowietami", Kraków 1966.
2. Melchior Wańkowicz „Opierzona rewolucja", Warszawa 1934.
3. Aleksander Janta-Połczyński „W głąb ZSRR", Warszawa – Poznań 1933.
4. Richard Grunberger „Historia Społeczna III Rzeszy", Warszawa 1987, T I i T II.
5. Michał Heller, Aleksander Niekricz „Utopia u władzy", Wrocław 1989.

6. Mieczysław Smoleń „Stracone Dekady – Historia ZSRR 1917–1991", Kraków 1994.
7. Józef Smaga „Narodziny i Upadek Imperium – ZSRR 1917–1991", Kraków 1994.
8. Ludwik Bazylow „ Historia Rosji", Warszawa 1983, T II.
9. Kiriłł Zinowiew „Rosja w przeddzień rewolucji", Warszawa 1986.
10. Piotr Kuncewicz „Leksykon Polskich Pisarzy Współczesnych", Warszawa 1995.
11. Włodzimierz Maciąg „Mały Słownik Pisarzy Polskich", Warszawa 1981.
12. Jerzy Topolski, Aleksander Gęsiorowski „Wielkopolski Słownik Biograficzny", Warszawa – Poznań 1983.
13. Mieczysław Kurzyna „O Malchiorze Wańkowiczu – nie wszystko", Warszawa 1975.
14. Jan Boć „Jak pisać pracę magisterską", Wrocław 1994.

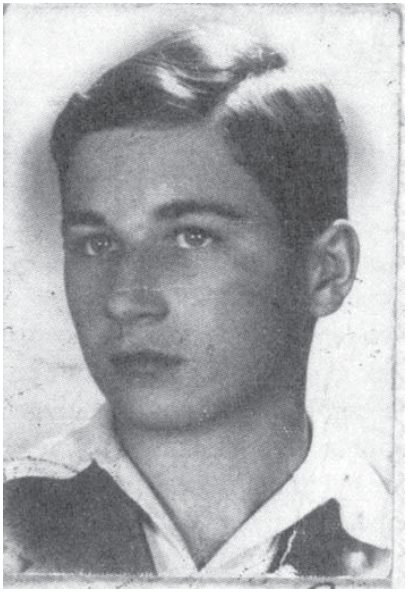
Wojciech Włodarczyk

Wywiady z uczestnikami Powstania Warszawskiego 1944 r. cz. 1

WYWIAD Z PANEM STANISŁAWEM LIKIERNIKIEM

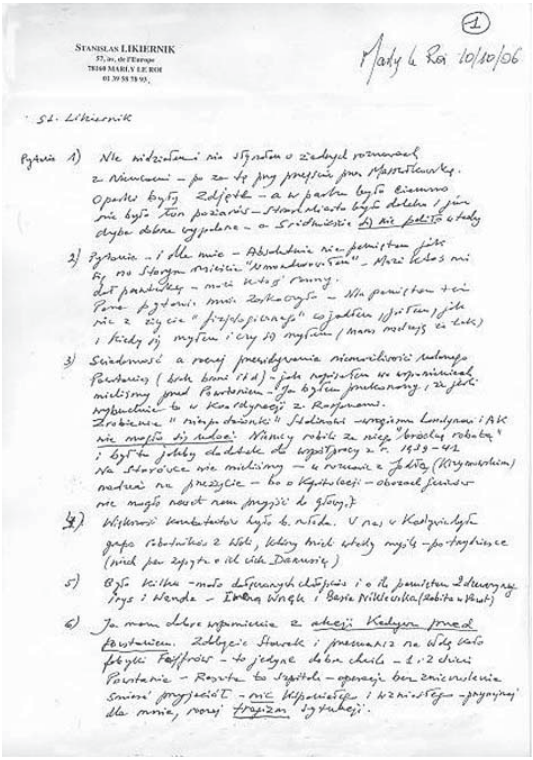
Wywiad został zrobiony korespondencyjnie w formie pisemnej. Podkreślenia w tekście pochodzą od Stanisława Likiernika.

Stanisław Likiernik urodził się 25 czerwca 1923 r. w Garwolinie. Podczas okupacji należał do ZWZ, a następnie uczestniczył w akcjach dywersyjnych i sabotażowych Kedywu Komendy Głównej AK. Jego działalność z tego okresu i z okresu Powstania została przedstawiona w literackiej i fabularnej formie w książce Romana Bratnego „Kolumbowie" (postać Skiernika). W czasie Powstania Warszawskiego jego szlak bojowy przebiegał przez Wolę, Stare Miasto i Czerniaków w szeregach Zgrupowania „Radosław". Trzykrotnie ranny, został odznaczony Orderem Wojennym „VIRTUTI MILITARI" klasy V-ej. Kilkakrotnie w czasie Powstania był o krok od śmier-



Zdjęcie Stanisława Likiernika z legitymacji szkolnej z 1939 r.

ci m.in. wraz z grupą z batalionu „Zośka" przebił się przez Ogród Saski ze Starego Miasta do Śródmieścia. Swoje życie opisał w książce pod wymownym tytułem „Diabelne szczęście czy palec Boży?" W 1946 r. wyemigrował do Francji, gdzie mieszka do dziś. Przez 25 lat zajmował kierownicze stanowiska w firmie Philips. Ożeniony z Francuzką, wychował dwoje dzieci i dochował się trojga wnucząt. Pan Stanisław Likiernik jest członkiem Rady Honorowej Budowy Muzeum Powstania Warszawskiego.



Fragment wywiadu

Wojciech Włodarczyk:

Pozwolę sobie na początek zadać kilka pytań związanych bezpośrednio z Pana wspomnieniami przedstawionymi w książce «Diabelne szczęście czy palec Boży? Zawsze intrygowała mnie sławna akcja przebicia się przez Ogród Saski. W opisie zawartym w książce Aleksandra Kamińskiego «Zośka i Parasol» znajduje się informacja, że oddział powstańczy dwukrotnie przechodził i rozmawiał z pojedynczymi Niemcami zajmującymi stanowiska w Ogrodzie Saskim. Wydaje się nieprawdopodobne, aby Niemcy na widok oddziału powstańczego (mundury brudne, często podarte i pokrwawione, opatrunki na ranach na twarzach, praktycznie każdy z widocznymi ranami, dziewczęta-sanitariuszki wraz grupą żołnierzy) nie powzięli jakichś podejrzeń. Być może bali się zareagować, mając świadomość, że w razie wszczęcia alarmu sami w pierwszej kolejności stracą życie,

przechodziliście przecież w odległości kilku kroków od nich. Czy według Pana jest to możliwe? Czy w Ogrodzie panowały ciemności uniemożliwiające dokładną identyfikację, czy też był on rozświetlony łunami pożarów? Czy opaski były zdjęte, czy też jedynie zawężone, jak podaje Aleksander Kamiński?

Stanisław Likiernik: Nie widziałem i nie słyszałem o żadnych rozmowach z Niemcami – poza tą przy przejściu przez Marszałkowską. Opaski były zdjęte, a w parku było ciemno, nie było łun pożarów. Stare Miasto było daleko i już chyba dobrze wypalone, a Śródmieście się nie paliło wtedy.

– Po zranieniu na Woli przebywał Pan w szpitalach i stracił swój mundur-panterkę. Nie mając na sobie żadnego ubrania, wymusił Pan na siostrze szpitalnej dostarczenie ubrania cywilnego. Następnie brał Pan udział w walkach na Starym Mieście i w przebiciu do Śródmieścia (Powstańcy skorzystali przy tym z niemieckich mundurów, które mieli na sobie),



Fotografia grupy żołnierzy Kolegium A zrobiona na Woli. Stanisław Likiernik stoi w trzecim rzędzie, jako dziewiąty od prawej strony fotografii

a później na Czerniakowie. Czy otrzymał Pan nowy mundur, a jeśli tak, to kiedy – na ten temat brakuje informacji w Pana wspomnieniach?

– Pytanie – i dla mnie. Absolutnie nie pamiętam, jak się na Starym Mieście «umundurowałem». Może ktoś mi dał panterkę, może któryś ranny. Pana pytanie mnie zaskoczyło. Nie pamiętam też nic z życia «fizjologicznego» – co jadłem, piłem, jak i kiedy się myłem i czy się myłem (mam nadzieję, że tak).

– Wspomina Pan o tym, że świadomość klęski Powstania dotarła do Pana pod koniec sierpnia 44 (po powstaniu w Paryżu). Jakie były fazy postrzegania przez Pana Powstania podczas jego przebiegu? Od którego momentu zaczął Pan dostrzegać, że rozwój sytuacji zaczyna zmierzać w złym kierunku? Czy we wrześniu 44, w związku z lądowaniem oddziałów Berlinga, uwierzył Pan-chociaż na chwilę- że nadeszło ocalenie od zagłady?

– Świadomość, a raczej przewidywanie niemożliwości udanego Powstania (brak broni itd.) – jak napisałem we wspomnieniach – mieliśmy przed Powstaniem. Ja byłem przekonany, że jeżeli wybuchnie, to w koordynacji z Rosjanami. Zrobienie «niespodzianki» Stalinowi – wrogiemu Londynowi i AK – nie mogło się udać. Niemcy robili za niego «brudną robotę» i był to jakby dodatek do współpracy z lat 1939–41. Na Starówce nie mieliśmy- w rozmowie z Jodłą (Krzymowskim) – nadziei na przeżycie, bo o kapitulacji, obozach jeńców nie mogło nawet nam przyjść do głowy.

– Jestem zainteresowany wiekiem walczących powstańców. Czy, według Pana obserwacji, w szeregach powstańczych (w oddziałach liniowych) było dużo ludzi w starszym wieku, powiedzmy trzydziestoletnich i starszych? Czy też walczyła głównie młodzież?

– Większość kombatantów była bardzo młoda. U nas, w Kedywie, była grupa robotników z Woli, którzy mieli wtedy, myślę, po trzydziestce (niech pan zapyta o nich Danusię).[Mancewicz]

– Z wielu wspomnień o Powstaniu wynika, że «esprit de corps» oddziałów powstańczych opierał się w głównej mierze na więzach przyjaźni i wieloletniej znajomości. Czy zaobserwował Pan duży napływ ochotni-

ków do oddziałów powstańczych? Czy ochotnicy zintegrowali się dobrze z oddziałami kadrowymi?

– Było kilku (mało) dołączonych chłopców i o ile pamiętam dwie dziewczyny Irys i Wanda – Irena Wnęk i Basia Niklewska (zabita w Powstaniu).

– W Pana książce znajduje się stwierdzenie, że «Powstanie to najgorszy okres w życiu». Jednocześnie, na zakończenie książki, pisze Pan, że «Chwile walki podczas okupacji- gdy czułem się wolny, walcząc o wolność – zostaną wiecznie w mej pamięci, niezatarte i drogocenne». Czy, w związku z tym, Powstanie było dla Pana bardziej wydarzeniem tragicznym i okropnym, czy też przeżyciem wspaniałym i wzniosłym? Jakie uczucie w Panu dominuje, gdy wspomina Pan Powstanie?

– Ja mam dobre wspomnienia z akcji Kedywu przed Powstaniem. Zdobycie Stawek i przemarsz na Wolę koło fabryki Pfeiffrów – to jedyne dobre chwile- pierwszy i drugi dzień Powstania. Reszta to szpitale, operacja bez znieczulenia, śmierć przyjaciół. Nic wspaniałego i wzniosłego – przynajmniej dla mnie, raczej tragizm sytuacji.

– Spodziewam się, że okres wojny wpłynął na Pana życie. Czy często wraca Pan myślą do Powstania i czasów okupacji, czy też są to czasy tak odległe, że myśli Pan o nich tylko od czasu do czasu?

– Ten okres życia jest ciągle żywy i nie do zapomnienia, naturalnie nie do myślenia na co dzień, ale głęboko zakodowany gdzieś w głowie- no i na skórze.

– Prowadzi Pan pogadanki dla francuskiej młodzieży na temat czasów II wojny światowej. Co w Pana wspomnieniach i opowiadaniach wywołuje u tej młodzieży największy oddźwięk i zainteresowanie? Czy młodzież ta jest świadoma wkładu Polaków w walkę z «nazizmem» (tak nazywają hitlerowców we Francji, ale coraz częściej także w Polsce), czy też trzeba jej tłumaczyć elementarne prawdy związane z przebiegiem wojny i okupacji w Polsce? Czy Powstanie w Warszawie kojarzy się im głównie z Powstaniem w Getcie w 1943 roku? Czy dla niektórych fakt istnienia takiego wydarzenia historycznego jak PW jest dużym zaskoczeniem?

– Powstanie w Getcie jest często znane, nasze prawie nigdy, poza osobami specjalnie zainteresowanymi historią, czy Polską. Dużo reakcji na moją książkę: «to były dwa powstania w Warszawie?»

– Jest Pan – obok swojego przyjaciela «Kolumba» Krzysztofa Sobieszczańskiego – jednym z pierwowzorów postaci Skiernika w książce Romana Bratnego «Kolumbowie». Czy Pana związek z tą postacią polega jedynie na tym, że autor powieści wykorzystał Pana przygody, czy też posłużył się również w opisie tej postaci cechami Pana charakteru?

– W powieści Bratnego są moje przygody. Charaktery są mało pogłębione, chyba wszystkich bohaterów książki, która jest bardzo «reportażowa».

– Przed wybuchem Powstania odczuwał Pan zapewne dużą nienawiść do Niemców (szczególnie tych z SS i Gestapo) i to motywowało Pana do działalności konspiracyjnej. Czy Pana nienawiść do Niemców w czasie Powstania jeszcze wzrosła?

– Nienawiść nie wzrosła, bo była u «szczytu» już przed Powstaniem.

– Odnoszę się tutaj do zakończenia Pana książki, w którym podaje Pan w czterech punktach swój życiowy «testament». Czy punkty tego «testamentu» opierają się głównie na przeżyciach z Powstania? Czy Pana popowstaniowe życie we Francji (zajmował Pan wysokie i odpowiedzialne stanowiska), nie miało już większego wpływu na ukształtowanie się Pana osobowości i postawy życiowej? Jednym słowem – czy można przyjąć, że główną lekcję życiową odebrał Pan w Powstaniu Warszawskim?

– Na pewno nie (tylko?) Powstanie – raczej to, co było przed nim. Kedyw, akcje wspólne, absolutna solidarność, koleżeństwo, delegowanie odpowiedzialności- było dla mnie główną bazą mojej postawy życiowej. Powstanie chyba niczego nie dodało, a też sprawiło nastawienie «sceptyczne» do naszych wyższych dowódców, np. atak na Dworzec Gdański, pomysł otworzenia «korytarza» dla Starówki do Śródmieścia, no i na początku – atakowanie bunkrów przez ludzi bezbronnych, to dawało do myślenia, i też wpłynęło na mój stosunek do «hierarchii» przez resztę egzystencji.

– Dla większości młodzieży, Powstanie to jakaś niezrozumiała, historyczna «ramota». U innych ludzi, którzy tym tematem się interesują, nadludzkie czyny Powstańców budzą zarówno podziw, jak i poczucie obcości – trudno zrozumieć w dzisiejszych czasach takie bohaterstwo i poświęcenie. Czytając opisywane nadludzkie czyny, wielu z nas ma niską samoocenę i mówi sobie, że nie byliby do podobnych zachowań. Z drugiej strony, ze wszystkich wspomnień z tamtych czasów – w tym również Pańskich – wynika, że to bohaterstwo i poświęcenie były całkowicie naturalnym odruchem. Czy można przyjąć, że tamte warunki i tamta sytuacja wywoływały spontanicznie takie postawy, czy też tamto pokolenie, do którego Pan należy, było wyjątkowe, również ze względu na patriotyczne wzorce wychowania, którymi się kierowało?

– Nie lubię określenia «bohaterski» itd. W danej sytuacji nie było innego wyjścia. Myślę, że nasze wychowanie – pierwsza generacja w Wolnej Polsce, tradycja walk o wolność ojców i całej generacji Polaków miały na nas wpływ, ale «Solidarność» pokazała, że ludzie potrafią się buntować inaczej, na szczęście bezkrwawo (prawie) też w następnych generacjach. Nie myślę, że byliśmy «wyjątkowi». W rodzimych tradycjach walka, bunt – to umiemy. Żyć w demokracji, być za a nie przeciw, głosować – tego nie umiemy (widzę to co dzień w TV Polonia i płakać się chce).

– Wielu Powstańców twierdzi, że stojąc jeszcze raz przed tym samym wyborem, jak w sierpniu 1944 roku, postąpiliby tak samo, chociaż mają świadomość, że zakończyło się ono klęską. Jakie jest Pana zdanie na ten temat? A może ludzie ci nie uznają Powstania za klęskę?

– Powstanie było zrobione na rozkaz. My byliśmy wojskiem, więc rozkaz się wykonuje (mimo ewentualnych opinii o rozkazodawcy). Naturalnie nie w 100% – tak robili Niemcy – ja nie strzeliłbym np. do dziecka – na jakikolwiek rozkaz.

– W odniesieniu do Powstania spotyka się opinie, że z wojskowego punktu widzenia był to czyn bohaterski, ale pozbawiony szans powodzenia z powodu ogromnej dysproporcji sił. Z kolei przeciwnicy tych opinii

twierdzą, że właśnie z wojskowego punktu widzenia Powstanie było sukcesem (mimo dysproporcji sił, opanowano duże połacie miasta, utrzymano dużą jego część przez ponad 2 miesiące), a przegrało z przyczyn politycznych, nie militarnych (nielojalność sojuszników i zachowanie pół-wroga Stalina). Jakie są Pana poglądy na ten temat? Czy Powstanie to wielki, wręcz nieprawdopodobny sukces militarny, ale zaprzepaszczony w wyniku błędnych politycznych kalkulacji polskiego kierownictwa lub – jak kto woli- w wyniku zdrady sojuszników i ZSRR?

– Powstanie trwało 63 dni. Nasi wodzowie przewidywali 6 dni. Rzeczywiście, to było nie do przewidzenia. Myślę, że Niemcy nie rzucili na nas maksimum swoich sił. Mimo to, te 63 dni były – choć może to było za długo. Podobno były propozycje kapitulacji już w sierpniu. Przy stratach 200 000 ludzi, 20 000 młodych kombatantów, nie pozwoliłbym sobie zakwalifikować tego jako «sukcesu militarnego».

– U wielu byłych żołnierzy, na przykład amerykańskich, walczących w Wietnamie czy Iraku, zaobserwowano nieprzystosowanie społeczne, zaburzenia psychiczne i inne powikłania. Wydaje się, że syndrom ten nie dotyczył Powstańców Warszawskich. Wprost przeciwnie, z pasją włączyli się do zwykłego, powojennego życia, o ile nie zostali, rzecz jasna, poddani stalinowskim represjom. Taką samą postawę reprezentowali ci, wśród nich Pan, którzy wyemigrowali. Ludzie ci okazali się w większości niesłychanie twórczy i potrafili się bez przeszkód zintegrować ze społeczeństwem. Jak według Pana można to wytłumaczyć? Czy wynika to z poczucia dobrze spełnionego obowiązku i świadomości walki o słuszną sprawę, chociaż walka ta zakończyła się militarną klęską (inaczej jest w przypadku żołnierzy amerykańskich, którzy mieli prawo czuć się oszukani przez swoich polityków i wciągnięci w niesprawiedliwą wojnę, odrzuceni przez własne społeczeństwo)? A może nie podziela Pan poglądu, że większość byłych Powstańców miała dobre samopoczucie po klęsce Powstania?

– Zawsze to podkreślam, że my jesteśmy normalni, bez pomocy psychologów. A Amerykanin jest otoczony ich opieką po miesiącu w Iraku. Myślę,

że bronić się, mieć przekonanie o słuszności walki, to co innego niż być okupantem – wtedy ma się problemy...

«Dobre samopoczucie» – nie wiem. Satysfakcję przeżycia – na pewno.



Zdjęcie Stanisława Likiernika z 1946 r.

– Nadal trwają i zapewne zawsze będą trwały spory o sens Powstania. Czy Powstanie należy traktować jako groźne ostrzeżenie, czy też źródło inspiracji i wzór do naśladowania?

– Nie myślę, że Powstanie to wzór do naśladowania. Naturalnie, walka podziemna z Niemcami była dla mnie koniecznością, tak jak dla bardzo wielu rodaków, bo być «niewolnikiem», to bardzo niemiłe. Niestety, Ci, którzy byli w obozach koncentracyjnych, nie mogli tego robić. Ja jestem szczęściarzem- nie tylko ze względu na to, co mi się wydarzyło przez te 5 lat okupacji, ale głównie dlatego, że nigdy nie byłem poniżony, co przez te 5 lat nie było łatwe do uniknięcia. To też może sekret braku «ran» psychologicznych.

– Na koniec, pragnę serdecznie Panu podziękować za udzielenie tego wywiadu. Możliwość żywego kontaktu ze świadkiem tamtych dramatycznych i legendarnych dni to ogromny zaszczyt i emocja porównywalna z rozmową z uczestnikiem sławnej historycznej bitwy, np. pod Wiedniem, Grunwaldem, czy Austerlitz.

– Nie wiem, czy można porównywać nasze wyczyny do bitew jak Wiedeń, Grunwald czy Austerlitz. Myślę, że to nie to samo. Raczej «Powstanie Styczniowe» jest chyba najbliższe naszemu. Choć też było beznadziejne, to myślę, że uniemożliwiło rusyfikację przez te 50 parę lat do roku 1905. Czy nasze coś



Stanisław Likiernik, 2006 r.

przyniosło pozostawiam do dyskusji, choć moją opinię pan zna, ale przestałem dyskutować na ten temat, bo po co. Dodatkowa refleksja: Czesi mieli zupełnie inny stosunek do okupacji, Niemców, czy walk na Zachodzie i pod okupacją. My tak nie umiemy, ale kto ma rację?

Marly Le Roi, 10 października 2006

opracował: Maciej Janaszek-Seydlitz

WYWIAD Z PANEM STANISŁAWEM ARONSONEM

Wywiad przeprowadzony został w Warszawie, 28 listopada 2007 roku, a następnie uzupełniony korespondencyjnie drogą elektroniczną.

Stanisław Aronson, ps. „Rysiek", ur. 6 maja 1925 r. w Warszawie, w rodzinie inteligencji polsko-żydowskiej [ojciec był kupcem i przemysłowcem w Warszawie i w Łodzi]. Po wybuchu wojny przebywał we Lwowie znajdującym się pod okupacją sowiecką. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej przeniósł się wraz z rodziną do warszawskiego getta. Uciekł z transportu kolejowego, w którym znajdowała się jego rodzina, po czym wrócił do Warszawy i wstąpił do AK (luty 1943). Został żołnierzem Oddziału dyspozycyjnego „A" warszawskiego Kedywu. Brał udział w akcjach sabotażowych i dywersyjnych. W czasie Powstania walczył na Woli w szeregach Kedywu Kolegium „A" zgrupowania „Radosław". Ciężko ranny w dniu 9 sierpnia 1944 r., przebywał w szpitalu, prawdopodobnie na Długiej 7, do chwili upadku Starego Miasta. Przeżył wkroczenie Niemców do szpitala, po czym został ewakuowany do szpitala dla rannych ze Starówki mieszczącego się w Instytucie dla Umysłowo Chorych w Tworkach. Po zakończeniu

wojny uciekł z kraju i służył w II Korpusie gen. Andersa we Włoszech, po czym wyemigrował do Izraela. Uczestniczył w kilku wojnach izraelsko-arabskich, otrzymując stopień pułkownika. Mieszka w Tel-Awiwie.

Jest odznaczony Krzyżem Komandorskim Polonia Restituta oraz Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej, dwukrotnie Krzyżem Walecznych, Krzyżem AK, Krzyżem Powstania Warszawskiego, dwukrotnie Medalem Wojska Polskiego.



Stanisław Aronson po zakończeniu wojny

Wojciech Włodarczyk: Czy mógłby Pan na początek, w kilku słowach, opowiedzieć o powodach i celu obecnej Pana wizyty w Polsce?

Stanisław Aronson: Zasadniczo, moja obecna wizyta jest związana z zaproszeniem mnie przez IPN na konferencję «Społeczność żydowska w PRL przed i po kampanii antysemickiej z lat 1967–1968». Zaraz się pan będzie pytał na pewno, co ja mam wspólnego z tym tematem – z Polski wyjechałem zaraz po wojnie i nigdy nie wróciłem. Przygotowałem referat, zatytułowany «W walce o niepodległość Rzeczypospolitej i Izraela», opowiadający o mnie samym i moim życiu. Ma to się odbyć 6 grudnia, ale przyjechałem wcześniej, bo chciałem parę spraw załatwić prywatnych i oficjalnych.

– Czytałem różne artykuły prasowe przedstawiające Pana biografię. Na pierwszy plan wysuwa się fakt, jak wiele wojennych doświadczeń miał Pan w swoim życiu: najpierw II Wojna Światowa z Powstaniem Warszawskim, a potem kilka wojen izraelsko-arabskich, w szeregach armii izraelskiej. Czy może Pan porównać te tak różne wojny Pańskiego życia?

– Trudne to porównanie, bo każda z nich miała zupełnie inny charakter. Może najbardziej zapadła w pamięć II wojna światowa, ale też mocno została

w pamięci wojna o niepodległość Izraela, która była bardzo tragiczna. Liczba ofiar była nieproporcjonalna do liczby ludności – na 600 tysięcy mieszkańców było 7.000 poległych i około 20 tysięcy rannych.

– Chodziło w niej o przetrwanie, tak jak na poprzedniej wojnie, w Polsce?

– Może nawet Powstanie nie było wojną o przetrwanie, bo my nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że wygramy, że Alianci wygrają wojnę i Polska zostanie Polską – nie mieliśmy żadnego pojęcia, że tu będą bolszewicy.

– No tak, ale bolszewicy się zbliżali i musieliście się zastanawiać nad konsekwencjami?

– No, myśmy zastanawiali się, ale nie tak daleko. Myśmy wiedzieli, że będzie niedobrze jak wejdą tutaj Rosjanie, ale do końca sobie nie zdawaliśmy sprawy jak to będzie.

– Liczyliście na jakieś porozumienie polityczne między aliantami?

– Myślało się o jakimś porozumieniu, ale na przykład Rybicki[1] był przeciw powstaniu. Tylko z tego powodu, że – jak sądził – nas wszystkich będą aresztować, nie zostanie komu prowadzić walki i oporu kiedy przyjdą Rosjanie. Rybicki na pewno zdawał sobie sprawę ze stanu uzbrojenia, wyszkolenia i wyposażenia, ale mam wrażenie, że wtedy nikt nie myślał, że to będzie taka długa walka – wszyscy myśleli, że to się skończy w 4-5 dni, tylko ofiarami zostaniemy my, bo nas wszystkich zaaresztują i wywiozą.

– Na tej zasadzie, że po wygranym powstaniu was wszystkich wyłapią?

– Tak.

– Jednak w Powstaniu stało się coś odwrotnego, największe ofiary ponieśli cywile ...

[1] Dr Józef Rybicki ps. „Andrzej" – dowódca Kedywu Okręgu Warszawskiego; przedtem dowódca „Grupy Andrzeja", przekształconej następnie w Oddział dyspozycyjny „A" Kedywu, zwany „Kolegium „A".

– Tak się zawsze dzieje. Politycy robią błędy, a ludność cywilna za to najwięcej płaci. Jak się dziś czyta o ocenie Powstania przez generała Andersa, to lepiej można zrozumieć, jaką rolę odgrywali politycy w decyzji o Powstaniu.

– To co Pan mówi porównuję z wywiadem z Józefem Rybickim zamieszczonym w książce Wojciecha Wiśniewskiego «Rzymianin z AK» [wywiad z 1984 roku] w którym to wywiadzie Józef Rybicki mówił jaką wielką dumę i radość odczuwał z powodu Powstania, dlatego że dane mu było walczyć w tym Powstaniu.

– Ja rozumiem Rybickiego, ale może w czasie Powstania on miał dumę, że w tym bierze udział, skoro to powstanie już wybuchło, ale ja wiem i słyszałem – a to mi opowiadał dziesiątki razy Stasinek Sosabowski: Rybicki był przeciw temu tak jak on sam [Stasinek Sosabowski].

– Pokazuje się więc, że mimo wątpliwości co do celowości Powstania, to jednak sam udział w walce mógł dawać satysfakcję?

– Nie wiem, czy można powiedzieć, że walka, wojna, daje satysfakcję. Może zwycięstwo daje satysfakcję. Wojna – jako wojna – mam wrażenie, że nie daje satysfakcji.

– Jednak w wielu opracowaniach dotyczących Powstania spotykałem się z opisami – nie wiem czy i w jakim stopniu były one «podretuszowane» – wielkiej radości, dumy z walki i z bohaterstwa.

– Te opracowania na pewno były podretuszowane, bo jak można wytłumaczyć społeczeństwu takie olbrzymie straty: zburzona stolica i na końcu klęska i okupacja sowiecka. Nie mam pewności, czy widziałem u moich kolegów wielką radość i dumę. Każdego dnia widzieli swoich przyjaciół rannych, czy poległych.

– Czytałem na Pana temat różne materiały i artykuły, ale nigdzie nie dowiedziałem się w jaki sposób Pan się szkolił. Obsługiwał Pan ciężką – jak na powstańcze warunki – broń, ckm...

– [śmiech i machnięcie ręką] nie było prawdziwego szkolenia... Nas szkolili nasi dowódcy trochę na sucho i w akcjach, ale to nie było jakieś tam «comman-

do» – kurs przez sześć miesięcy. To nie było bardzo poważne szkolenie, bo nie było na to warunków. Może parę razy wyjeżdżaliśmy na szkolenia do lasu. Nasza walka w konspiracji polegała na zupełnie innych teoriach, niż operacja wojskowa.

– A teoria była wykładana na podchorążówce?

– Tak, było trochę teorii Już tak dobrze nie pamiętam. Na kursie mieliśmy książeczkę i z tego myśmy się uczyli na sucho.

– Ale wyszkolił się Pan na dobrego żołnierza?

– Mieliśmy przede wszystkich oficerów rezerwy jako dowódców, którzy nam mówili jak, co i kiedy się zachować. Nasza walka była głównie walką w mieście. Nawet te ataki na pociągi to była walka dywersyjna, walka w miastach. Nie była to walka wymagająca wyszkolenia typowo wojskowego. Trzeba było się kierować «common sense»: na przykład jak zastawić dany budynek.

– Myślenie elastyczne i trochę improwizacji?

– Wszystko to była improwizacja. Dlatego taki człowiek jak Rybicki, który nie był wojskowym, dobrze się nadawał na takie dowództwo, bo trzeba było dużo improwizować. Tak samo w Anglii, to całe SOE to byli przeważnie cywile, oprócz dowódcy Collinsa i kilku oficerów. Całe angielskie intelligence było złożone z ludzi, którzy nie służyli w wojsku. Jak byli w wojsku to mieli tylko jedną linię myślenia i to się nie nadawało do tego typu wojny.

– Właśnie jeżeli chodzi o atmosferę i wzajemne relacje w wojsku konspiracyjnym i powstańczym, czy było salutowanie, meldowanie się itd.?

– Nie, nie.

– Nie było tych czysto formalnych aspektów zachowania?

– Nie.

– Czytałem różne wspomnienia z Powstania. W niektórych były opisywane przypadki dyskusji czy też negocjacji zadań do wykonania między dowódcą – rozkazodawcą i wykonawcą?

– Ja nie pamiętam, żeby u nas były dyskusje.

– Mieliście duże zaufanie do dowódców?

– Tak, oczywiście.

– Wrócę jeszcze do Pana okresu okupacyjnego. Czytałem Pana wspomnienia i nigdzie nie doczytałem się co Pan robił i z czego Pan żył?

– Ja dostawałem pensję, jak zawodowy żołnierz. Myśmy prawie wszyscy dostawali pensję w plutonie «Żbika». Myślę, że około 500 złotych, ale płacili też za mieszkanie.

– Pracy zawodowej Pan nie wykonywał?

– Jakiś czas pracowałem w firmie niemieckiej w dyrekcji lasów. Ale przez krótki czas. Kedyw chciał, żebym miał niemiecką legitymację.

– Czy słyszał Pan o historii powstańczej reduty w Pasażu Simonsa na Starym Mieście?

– Tak.

– Czy to prawda, że Pana dziadek był właścicielem Pasażu?

– Tak. Obaj dziadkowie, ze strony matki Kafeman i, ze strony ojca, Aronson, mieli po 25% własności. Poszedłem tam przed powstaniem do naszego administratora zainkasować trochę forsy. Poszedłem tam z Leszkiem Rybińskim i z Olgierdem. On się przeraził ja przedstawiłem się, że jestem synem Waldemara, czy może bez wyliczenia dać mi jakieś pieniądze... Powiedział: «niedużo mogę Panu dać. Muszę się wyliczać z Niemcami».

– Fałszywe papiery też Pan miał?

– Trzeba było je mieć. Najpierw na nazwisko Żurawski, potem Żukowski. Była kiedyś wsypa na Czerniakowie. Musieliśmy się przeprowadzić nad ranem. Panią Furmankową z Czerniakowa aresztowano po akcji na pociąg pod Skrudą, w której zginął jej syn. Myśmy myśleli, że matkę aresztowali, bo znaleźli

zwłoki syna, a okazało się, że ją aresztowali za handel bimbrem. Ale tego nie wiedzieliśmy i zmieniliśmy adres.

– Czy z getta pamięta Pan wiele? Ile czasu był Pan w getcie?

– Pamięta się obraz tu, i obraz tam. Deportacje zostały mi dość dobrze w pamięci, nie pamiętam, żeby Niemcy do kogoś strzelali w czasie marszu na Umschlagplatz. Oni [Niemcy] dość panowali nad sobą. Oni nie chcieli, żeby były jakieś tam wybryki, panika, żeby się to wyrwało spod kontroli.

– Ogólnie nie zapamiętał Pan szczególnych ekscesów ze strony Niemców?

– Wpierw nie było specjalnych ekscesów. Do 42 roku to Niemcy tak dużo do getta nie wchodzili.

– Dlatego Pan już mówił, że w początkowym okresie getto wydawało się nawet bezpieczniejsze, bo nie było łapanek.

– Tak, ale później jak się zaczęło, to był zupełnie inny obraz. Likwidacja Getta zaczęła się w lipcu 42. Jednego dnia otoczono Getto kordonem wojskowo-policyjnym i zaczęli systematycznie opróżniać całą dzielnicę, prowadzić ludność na Umschlagplatz i stamtąd na zagładę. Niemcy naturalnie ukrywali ten fakt. Oficjalnie była mowa o przesiedleniu.

– Tak więc nikt do końca nie wierzył w tragedię ?

– Nikt nigdy nie wierzy, że umrze, że człowieka zabiją.

– Ale w chwili ucieczki z pociągu to już chyba Pan wiedział przed czym ucieka?

– Też nie wiedziałem, dokąd ten pociąg jedzie. Może też jechał do obozu pracy. Część pociągu jechała do Poniatowa lub do Trawnik, gdzie był obóz pracy. Do końca się nie wiedziało. A jak się wiedziało, to się nie wierzyło.

– Potem, za jakiś czas po ucieczce wrócił Pan na Umschlagplatz w innej roli, jako żołnierz oddziału Stasinka, w dniu 1 sierpnia.

– Jako «gospodarz». Pewnie chce pan zapytać, jak się czułem wtedy?

– Tak

– Nie myślało się o tym. Człowiek z siebie nie robił filozofa. Tak jest, to trzeba zrobić i koniec. Gdyby człowiek zaczął filozofować, to mógłby zwariować.

– Po zdobyciu Stawek był chyba najmilszy dzień Powstania – przemarsz na Wolę w dniu 2 sierpnia?

– Tak, to był naprawdę wielki dzień.

– Wówczas wydawało się, że jednak Powstanie się udało?

– Tak. Przynajmniej jeśli chodzi o nas. Stasinek być może wiedział więcej. A trzeciego dnia to już wiedzieliśmy, że jest niedobrze, o zamiarze wycofania się do Puszczy Kampinoskiej. Najpierw był rozkaz, potem go anulowano.

– Po ciężkim zranieniu na Woli w dniu 9 sierpnia, przebywał Pan do upadku Starówki w szpitalu przy ulicy Długiej. Co Pan zapamiętał z tego okresu?

– Pamiętam, że jak były bombardowania, to kładliśmy się pod łóżkami. Spadały kawałki muru na nas. Było trochę pesymizmu tam. Myśmy mieli nadzwyczajne szczęście, że ci ranni Niemcy, którzy leżeli z nami w szpitalu, nas uratowali.

– Oni wiedzieli, że nie jesteście cywilami, chociaż zaświadczyli to przed tym Niemcami, którzy wkroczyli do szpitala?

– Tak, bo spaliliśmy swoje mundury na dzień czy dwa dni przed wkroczeniem. Ale oni chcieli nas uratować i przyzwoicie się zachowali. Na pewno było niemało Niemców w 44 roku, którzy byli przeciwko tej strasznej wojnie. Nawet jeżeli początkowo 80% Niemców było za tym, to na pewno nie w 44 roku.

– A co Pan myślał i gdzie Pan był, kiedy Powstanie się zakończyło?

– Byłem w majątku pod Krakowem. Myśmy wyszli z Powstania po upadku Starówki, stamtąd do szpitala w zakładzie psychiatrycznym w Tworkach. Piętnastego – szesnastego września obserwowaliśmy zrzut amerykański. Dzień po tym zwialiśmy z tego szpitala. O końcu Powstania dowiedzieliśmy się w mająt-

ku pod Krakowem. Przyszli ludzie wysiedleni z Warszawy i opowiadali. Może nawet z radia się dowiedzieliśmy. Tam, pod Krakowem, była wolna Polska, nie było Niemców. Ale specjalnie tego nie rozpamiętywałem wówczas. Żyło się z dnia na dzień.

– No właśnie, jeżeli chodzi o obciążenia psychiczne jakie powodują przeżycia wojenne, to czytałem niedawno w prasie informację, według której w 2005 roku, wg CBS, zanotowano 6 tysięcy samobójstw wśród byłych żołnierzy amerykańskich walczących w Afganistanie i w Iraku. Zastanawiam się, dlaczego ten syndrom – tak mi się wydaje – nie dotyczył uczestników walk w Powstaniu, mimo jego tragicznego bilansu.

– Trudno w to uwierzyć. Muszę sam sprawdzić tę informację. Jeżeli chodzi o nas, to mam wrażenie, że nie było tego zjawiska, ale też nie wiem, czy ktoś robił statystyki na ten temat.

– Mam jeszcze pytanie związane ze słynną fotografią Pańskiego oddziału...

– Tak, to jest jedna z najsłynniejszych.

– Pamięta Pan w jakich okolicznościach i gdzie doszło do jej zrobienia?

– Tak, świetnie to pamiętam. To było drugiego sierpnia. Po południu. Komorowski przyszedł odwiedzić nasz oddział. Ustawiono nas w szeregu, czy w dwóch szeregach, on przeszedł przez te szeregi i witał się z każdym.

Pytał się paru skąd, gdzie są i tak to było. To był «Bór» Komorowski razem z «Radosławem». Parę zdjęć było wtedy zrobionych przez słynnego fotografa z Powstania – nazywał się Stanisław Kopf.

– W związku z tym zdjęciem nasuwa mi się pytanie dotyczące umundurowania. Macie na sobie umundurowanie w części składające się z «panterek» a w części z uniformów dla załóg niemieckich dział szturmowych. Czemu Pan wybrał ten drugi uniform?

– Nie wiem, podobały się bardziej...



Stanisław Aronson na Woli, 2 sierpnia 1944 r. (drugi od prawej)

– Był Pan inicjatorem i wykonawcą zainstalowania tablicy w trzech językach upamiętniającej uwolnienie przez Pana oddział grupy Żydów, w dniu 1 sierpnia 1944 r. Tablica ta znajduje się kilka metrów od miejsca w którym znajdował się Umschlagplatz, odwiedzanego regularnie przez wycieczki z Izraela. Czy ma Pan informacje jak ta tablica jest odbierana przez gości z Izraela i czy spotyka się z jakimiś komentarzami z ich strony. Słowem – jak jest postrzegana? Czy jej umiejscowienie jest optymalne?

– Moja walka o tę tablicę jeszcze – niestety – nie jest zakończona. Chyba przez większość wycieczek pozostaje niezauważona. Sam kiedyś rozmawiałem z jedną z nich. Rodziny poległych i garstka jeszcze żyjących spotykają się przed tą tablicą w każdą rocznicę Powstania, o godzinie 15.00. Tak też było na 60. rocznicę, kiedy byłem obecny. Nadjechały wtedy 3 autokary z wizytującymi izraelskimi wojskowymi, z przewodnikami, którzy zaprowadzili ich pod pomnik Umschlagplatzu. Przewodnicy naturalnie nie mieli pojęcia, że jest jakaś tablica. Podszedłem do tej grupy, przedstawiłem się i dałem im pełne objaśnienie o zdobyciu pierwszego dnia Powstania tego obiektu i uwolnienia 50 Żydów. Planuję teraz zbudowanie tablicy w bardziej zauważalnej formie, np. głazu, czy kamienia i wiąże się to z obecną przebudową memoriału na dawnym Umschlagplatzu.

– Udzielał Pan wsparcia swojemu koledze z Kolegium A – Stanisławowi Likiernikowi – broniącego Polaków w debacie toczącej się na łamach francuskiej prasy, dotyczącej stosunku Polaków do Żydów w czasie II wojny światowej. W jednej z dyskusji przewodniczący Komitetu Koordynacyjnego Belgijskich Organizacji Żydowskich wyraził opinię, że «wspólnota żydowska w Polsce, licząca 3 miliony osób w 1939 roku liczyła tylko 5 000 ocalonych w 1945. Jest to współczynnik, który nie został osiągnięty w żadnym kraju europejskim, nawet w nazistowskich Niemczech». Dlaczego, Pana zdaniem, pojawiają się tak krzywdzące dla Polski opinie?

– Niestety, po wojnie, nie było nikogo, kto byłby zainteresowany zająć się tą sprawą w Polsce, czy za granicą, mówić uczciwie, co się stało, dawać wiarygodne liczby, nie zamiatać brudu pod dywan. To nie było łatwo przyznać się, że było wiele szuj. Naprawdę, dopiero po książce J.T. Grossa zaczęła się prawdziwa dyskusja i wielkie badania IPN-u. Ostatnio czytałem, że w Warszawie było między 5% do 10% mieszkańców, którzy oficjalnie współpracowali z Niemcami, to znaczy, że było od 50 do 100 tysięcy konfidentów.

To jest bardzo bolesna i skomplikowana sprawa i nie myślę, że jestem kompetentny, by o tym dyskutować. Ale trzeba jeszcze dodać, że jest na pewno część społeczeństwa polskiego, która powinna zrobić sobie rachunek sumienia.



– Na koniec, co by Pan mógł powiedzieć o bilansie Powstania? Mówi się czasami o tym, że Powstanie uratowało nas przed zostaniem siedemnastą republiką, że było i jest powodem do dumy dla kolejnych pokoleń...

– Może tak, to jest pytanie dla politologów, czy psychologów.

Stanisław Aronson dziś

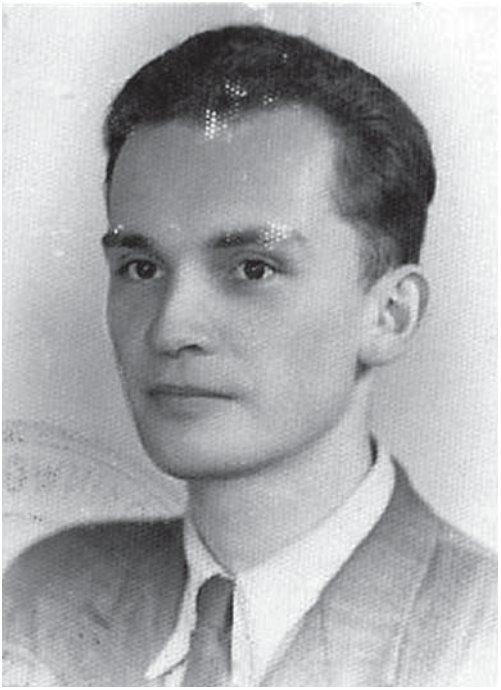
Według mnie za drogo się zapłaciło. Naprawdę klęska... Miasto poszło z dymem...tyle ofiar, tylu zginęło. Ja nie wyobrażam sobie, żeby Polska została siedemnastą republiką jakby nie było Powstania. Co tych Rosjan obchodziło, że tu było Powstanie? Po pierwsze, to im było na rękę, a po drugie, w 1945 roku, Rosjanie nie liczyli się z żadną opinią publiczną.

– Dziękuję za rozmowę

opracował: Maciej Janaszek-Seydlitz

WYWIAD Z PANEM JERZYM KACZYŃSKIM

Jerzy Kaczyński, ur. 1916 r., ps. „Bohdan", por. Armii Krajowej, lekarz, Oddział Kedywu „Kolegium A", Zgrupowanie „Radosław". Odznaczony Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, dwukrotnie Krzyżem Walecznych oraz Medalem Wojska po raz 1, 2, 3 i 4.



Wojciech Włodarczyk: Na początek prosiłbym o przedstawienie Pana lat przedwojennych i początków okupacji oraz tego, w jaki sposób trafił Pan do konspiracji.

Jerzy Kaczyński: Moje lata przedwojenne to gimnazjum imienia Staszica w Warszawie, które ukończyłem, jedno z lepszych państwowych gimnazjów, z tym, że mój przyja-

ciel – bo muszę go wtrącić od razu – Staszek Sosabowski, skończył gimnazjum Mickiewicza. W sumie te gimnazja miały podobny styl, bo były gimnazjami państwowymi. Miały one dobre, bardzo dobre drużyny harcerskie, w których byliśmy. Moją drużyną była 16 WDH – mistrzowska drużyna chorągwi warszawskiej. Trwało to kilka lat, a moim marzeniem było dostać się do marynarki. Niestety, nie dostałem się ze względu na zbyt słaby wzrok. Drugą możliwością było wojsko, które też mnie pociągało. Wobec tego wybrałem coś, co będzie łączyło studia wyższe i wojsko – tak zwaną „sanitarkę", czyli szkołę podchorążych sanitarnych. Tam po raz pierwszy spotkałem się ze Staszkiem Sosabowskim, ponieważ wśród kolegów, którzy byli z prowincji nas kilku warszawiaków od razu się trzymało razem, z tym, że on do nas trafił jako syn późniejszego generała Sosabowskiego, wówczas dowódcy 21 pułku Dzieci Warszawy. Wtedy, kiedy go poznałem, on był pułkownikiem, zresztą to była taka dość surowa postać.

A w podchorążówce, jak to w podchorążówce: chodziliśmy na studia, a jednocześnie ganiano nas na ćwiczenia wojskowe, jak w normalnych podchorążówkach. Marnowaliśmy oczywiście całe urlopy. Podczas gdy koledzy z cywila mieli trzy miesiące urlopu, to my urlopu mieliśmy tylko miesiąc, bo resztę czasu zajmowały obozy. Tak to wyglądało. Dość dobrze szło mi w podchorążówce. Doszedłem do piątego roku medycyny ze stopniem starszego sierżanta podchorążego. Tak samo Staszek i mój trzeci sąsiad – Maciek Zwierz. Pod koniec, w ostatnim roku, połączono nas. To był pewien przywilej, gdyż wszyscy byli w dziewięcioosobowych salach, a myśmy byli w trzyosobowym pokoju, co było bardzo wygodne, bo te duże pomieszczenia były dosyć męczące.

Wojnę we wrześniu 39 roku przeżyłem mając przydział do pociągu sanitarnego w Lublinie, tymczasem tam były już zbombardowane tory i pociągi. Dołączyłem tylko do oddziału, który się wycofywał na wschód.

Koniec wojny zastał mnie w Zamościu, gdzie należałem do oddziału rezerwowego DAK-u, czyli Dywizjonu Artylerii Konnej, którym dowodził porucznik Cisek, bardzo sympatyczny chłopak, rezerwista, podporucznik. I tak dotrwaliśmy do ostatniego dnia. Rozkazano nam okopać się przed Zamościem. Mnie przydzielono do karabinu maszynowego. Mieliśmy nie poddawać się tylko zakończyć na tym działania, ale o świcie przyjechał samochód z ofice-

rami naszymi i sowieckimi. Mieliśmy złożyć broń. W ten sposób znalazłem się w niewoli sowieckiej.

Najpierw uciekłem z tej niewoli, ale ponieważ byłem w mundurze bardzo szybko mnie złapali.

Tak wylądowałem znowu w Zamościu, w więzieniu, gdzie przyglądałem się ze zdumieniem tym wojakom sowieckim, bo oni wyglądali trochę nędznie w porównaniu z nami. Nigdy nie zapomnę takiego momentu, jak po wzięciu do niewoli myłem się przy studni. To była jakaś ukraińska wieś. Miejscowi mówili do nas: „Wy, takie wojsko, poddaliście się takim łachudrom!", co było bardzo bolesne. Z tego więzienia też jakoś udało mi się wydostać szczęśliwie. Tam były jeszcze takie śmieszne momenty jak żołnierz rewidował mnie dokładnie i znalazł maszynkę do golenia w moim chlebaku, która składała się z paru części, jak wiadomo, a jedną część miałem w kieszonce. On zapytał: „Czto eto takoje?". Ja odpowiadam, że do golenia służy. Schował sobie do kieszeni tylko trzonek do maszynki, a ja mu nie dałem pozostałych części. Takie to były śmieszności. W każdym razie jakoś udało mi się stamtąd wydostać, bo podawałem się za szeregowca.

– Nie sprawdzali Panu rąk?

– Miałem dużo odcisków na rękach, bo wiosłowałem przedtem – pływałem na ósemce. A moje ręce oglądali, rzeczywiście. Zobaczyli moje odciski i mówili: „No to ty raboczij, wsio charaszo". Będąc w Zamościu widziałem, jak szła nasza kolumna jeniecka. Stoję, patrzę i widzę, jak idzie mój kolega ze szkoły – z tym że on studiował wojsko w kawalerii – a tu wyglądał jak ostatni dziad, pomimo że był kawalerzystą. W walonkach szedł wówczas. Ja mówię: „Romek, a co ty tu robisz?" A on był podobny do Żyda, bo był Ormianinem z pochodzenia. „Zjeżdżaj stamtąd!" On się wtedy urwał do mnie i poszliśmy na komendę, żeby dostać przepustki. I tam zacząłem tłumaczyć, bo to Żydzi siedzieli wszyscy z czerwonymi opaskami – milicja obywatelska to była – i prosiłem o przepustkę do Lwowa, bo myślałem o przejściu granicy. Oni pytają, czy ja jestem oficerem, ja mówię, że nie, przecież jestem „Riadowoj". Miałem tak zwaną „blaszkę śmierci", czyli metrykę, na której nie było wpisanego stopnia, tylko nazwisko i imię oraz data urodzenia. Pokazałem tę blaszkę, a oni popa-

trzyli na nią. Nie było stopnia, widocznie rzeczywiście „riadawoj". Dostałem przepustkę i stamtąd wyszliśmy.

Przygody były jeszcze długie – nie będę pana tym nudził. Złapano mnie później na granicy rumuńskiej, a miałem przepustkę z konsulatu rumuńskiego z fotografiami, bo konsulat wydawał je za ileś tam złotych. Te przepustki były ważne dopiero na terenie Rumunii. Sowieci złapali mnie na granicy i zaprowadzili na posterunek. Miałem ze sobą fotografię dodatkową, w sumie były dwie fotografie do tej przepustki: jedna luzem, a druga na przepustce. Przepustkę sobie od razu wsadziłem do kieszeni. Zaznaczam, że byłem już w cywilnym ubraniu. Zastanawiam się: „Co z tym zrobić?" Zjeść nie da rady, bo to twardy papier, fotografia sztywna. Zwinąłem to w kulkę i wsadziłem pod szafę o którą byłem oparty. Wchodzi starszy lejtnant, Kozak, nagan zawieszony nisko, i patrzy. Tam było paru takich facetów, też oficerów chyba, ale w cywilu, których złapano w tym czasie, tak że w sumie taki tłumek się tam zebrał, ale on mnie akurat wybrał: „Ty major!"

– „Jaki ja major."

Tamci zaczęli mnie bronić: – „Jaki on major, za młody przecież na majora".

– „Eeee... u was i pułkownicy byli młodzi".

Mówi: – „Ty byłeś w wojsku".

– „Nie, jestem studentem medycyny".

– „Zrewidować!"

Rewidowali Ukraińcy, którzy nie bardzo się orientowali w naszych sprawach, ale znaleźli fotografię.

– „No, to masz przepustkę!"

Na tyle już wiedzieli, że jak mam fotografię, to na pewno do przepustki.

Ja mówię: – „Nie mam".

Pokroili mi wtedy chleb na kawałki, mydło, zaglądali wszędzie, do naga mnie rozebrali, oczywiście. Nie znaleźli. Wrócili do lejtnanta: „Towariszcz lejtnant, taki owaki ...brzydko się wyrażali... ma przepustkę, ale nie możemy znaleźć". No to on stanął tak przede mną, podparł się pod boki i mówi: „Gdzie masz przepustkę?". A ja: „Przecież szukaliście i nie znaleźliście". A myślę sobie: „Jak znajdą tam, pod szafą, to dopiero będę wyglądał!" Popatrzyli jeszcze tu i tam i powiedzieli: „No, charaszo, mołodiec. Charaszo striatił" – co znaczy: „Dobrze schował".

– „Puścić go wolno".

Dostałem przepustkę i jako jedynego mnie z tego towarzystwa puścili. To jest to szczęście o którym pisze Staszek Likiernik w swojej książce „Diabelne szczęście czy palec boży".

Musiałem wtedy wrócić do Lwowa i zdecydowałem, że nie będę więcej próbował przejścia przez granicę. Skończyły się zresztą wszystkie zapasy i zdecydowałem się wracać do strefy niemieckiej.

Granicę przeszliśmy z kumplem, którego spotkałem. Wcześniej znałem go z podchorążówki. Przeszliśmy granicę cały czas w strachu, bo Ukraińcy tam za nami specjalnie nie przepadali, właściwie to różnie bywało. Porozumiewając się częściowo po polsku, częściowo po rosyjsku mówiłem, że ja idę do Germańców, a oni (Ukraińcy) Rosjan nie znosili, natomiast Niemcy byli dla nich dobrzy, tak że jakoś przepuszczali mnie do ostatniej wioski przed granicą. Tam dostaliśmy się do faceta, który przeprowadzał przez granice i on nas przeprowadził za kilka złotych. Na pożegnanie życzył wszystkiego dobrego: „Idite s Bohom!"

W ten sposób dostaliśmy się z powrotem do Zamościa, gdzie wskoczyliśmy do pociągu towarowego, którym dojechaliśmy pod Warszawę. Baliśmy się wjechać do samego miasta. W Warszawie bardzo szybko, bo chyba po miesiącu, dostałem się do Tajnej Armii Polskiej – to była organizacja wojskowa Tokarzewskiego. Później przez bardzo krótki okres czasu byłem w NSZ, czym prędzej zresztą od nich uciekłem i dostałem się nie do AK, bo wtedy jeszcze AK nie było, ale do ZWZ. I tak się ta konspiracja wlokła trochę, aż w 43 roku, w którym trochę żywiej się zrobiło, bo powstała dywersja. Jeśli chodzi o mnie, to ja się dostałem z trzema kolegami do Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej. Główne oddziały to były „Parasol", „Zośka" i „Osa-Kosa".

– Jak przedstawiały się Pana działalność i życie w czasie okupacji?

– Z początku byłem przydzielany do różnych akcji.

Zygmunt Kujawski – „Brom" – dostał się szybko do akcji, bo miał powiązania harcerskie z Zośką, więc on do nich się przyłączył. Ja byłem dołączany do różnych akcji. Nie chwaląc się – proszę mnie źle nie zrozumieć – mówię to dla zobrazowania sytuacji – byłem w odwołanej później akcji na Kutscherę.

Czekałem wtenczas na Placu Teatralnym, ale podjechali do mnie samochodem i powiedzieli, że akcja jest odwołana.

W następnej akcji na Kutscherę brał udział kolega z podchorążówki, Maciek Dworak, czyli dr Maks. Było to dla mnie o tyle szczęśliwe, że on pracował w Przemienieniu Pańskim i zawiózł rannych z akcji do Przemienienia Pańskiego i został w nim od razu, a ja pewnie bym wracał z nimi (*«Sokołem» i «Juno»*), bo pracowałem w Szpitalu Ujazdowskim, to znaczy właściwie Świętego Ducha, ale szczęśliwie to na niego trafiło: zna pan zakończenie tej akcji na Kutscherę- skok do Wisły z mostu Kierbedzia.

Później, jeśli chodzi o ważniejsze akcje w czasie okupacji, to brałem udział w akcji na „Panienkę" (*dowódca wartowni Bahnschutzu na Dworcu Zachodnim, mający na sumieniu śmierć wielu Polaków zastrzelonych z błahych powodów, nazywany ze względu na swą specyficzną urodę «Panienką»*) . To była najbardziej spektakularna akcja w której brałem bezpośredni udział, w obstawie. Pilnowałem grupy robotników do których zagadałem w ten sposób – bo oni chcieli uciekać- „Zaczekajcie chłopcy!" Pokazałem im broń. „Tu jest akcja Polski podziemnej!" Byłem w ubraniu cywilnym i miałem Parabellum. Tak to trwało do końca akcji. W międzyczasie widziałem jak Kolumb i Janek Barszczewski, przebrani za Niemców, prowadzili Antka Wojciechowskiego jako złapanego na torach „bandytę polskiego". Pamiętam, że jeszcze zagadałem do nich: „Kolumb, uważaj na siebie!".

Pożegnaliśmy się, a potem była strzelanina. Jak to później wyglądało, to wiadomo. Chciałem przy okazji sprostować, że tą akcją nie dowodził Stasinek. Stasinek był w tej akcji, ale w zasadzie nie dowodził. Dowodził Kazik (*Kazimierz Jakubowski*), który organizował tę akcję, zresztą – jak się później okazało – na swoje nieszczęście, bo wypuścił jakiegoś Niemca. Ten Niemiec błagał go o darowanie życia, a później go rozpoznał w tramwaju i wydał. (*Kazimierz Jakubowski zginął potem wraz ze swoją żoną w siedzibie gestapo na Szucha, nie wydał nikogo*).

Brałem udział również w akcji na Dürrfelda (*nadzorca warszawskich przedsiębiorstw miejskich, jeden z najbardziej szkodliwych i niebezpiecznych funkcjonariuszy niemieckiej administracji*), ale to nie był zbyt bezpośredni udział, bo czekałem na kolegów na rogu Marszałkowskiej i Wilczej. Ale nieudana była to

akcja, bo Dürrfeld wyszedł z niej tylko ranny, a oni podjechali do mnie i powiedzieli, żeby „zjeżdżać". Nie byłem potrzebny.

Z innych ciekawszych akcji, to brałem udział w akcji „na Spiessa" (*fabryka medykamentów Ludwika Spiessa w Tarchominie, wówczas na odległych peryferiach Warszawy; w wyniku akcji zabrano z zakładu ciężarówkami lekarstwa na sumę 5 milionów złotych; akcją dowodził «Stasinek»*). To była dość interesująca akcja. Jechaliśmy w dwa samochody, w osobowym przebrani za Niemców, a w ciężarówce był kierowca przebrany za Niemca. Reszta była w cywilu. Cały czas udawaliśmy Niemców, to znaczy po niemiecku się wszystko odbywało. Jak żeśmy dojechali do fabryki, to od razu zajęliśmy centralkę telefoniczną i pilnowaliśmy jej, a ten przy centralce miał odpowiadać na telefony, że jest akcja niemiecka i że nic nie może mówić. Ale zdążył zawiadomić Spiessa, który włączył alarm, no i bardzo było „śmiesznie", bo my tu w najlepsze buszujemy, a tu się odzywają syreny na dachach – to było dość głośno. Kolumb wpadł do Spiessa, z rozpędu kopnął go w pewną część ciała, bo był wściekły, szukał wyłącznika alarmu. W końcu wlazł na dach i zerwał przewody, a myśmy się w międzyczasie namyślali, czy zostajemy do końca. W końcu zdecydowaliśmy: zostajemy, Niemcy przyjadą, albo nie przyjadą. Oni nie byli znowu tacy skwapliwi, żeby w nocy jechać na interwencję. Wtedy ja, z Jankiem Barszczewskim, poszliśmy na szosę, żeby pilnować. Gdyby Niemcy przyjechali, to mieliśmy ich zatrzymać. Był w tym wszystkim bardzo „śmieszny" moment, gdy szedł jakiś zapóźniony przechodzień – młody chłopak, pewnie od dziewczyny wracał – i myśmy go musieli zatrzymać. On nie wiedział, czy my jesteśmy Niemcy, czy Polacy. Myśmy mówili: Halt! Hände hoch! i byliśmy uzbrojeni. W końcu okazało się, że nic nie miał przy sobie, ale trzeba go było zaprowadzić na wartownię i zatrzymać, żeby nie zrobił alarmu. Janek został, a ja go odprowadzałem. On po drodze – idiota – łapał mnie za rękę w której miałem broń! Mówię: – „Puść, kretynie, bo cię zastrzelę!"

– Po polsku?

– Tak, po polsku. Puścił i domyślił się w końcu: – „Czy Panowie jesteście nasi?"

– „Tak, nic się nie przejmuj." Zaprowadziłem go na wartownię. Tak to pokrótce wyglądało. Załadowaliśmy dwa samochody, jeden wzięliśmy z fabryki,



Jerzy Kaczyński ze swoją żoną Anną (po lewej stronie fotografii) i jej przyjaciółką. Zdjęcie zrobione w czasie okupacji

ale to było na gaz drzewny – niestety. Wracamy o świcie. Ja siedziałem z tyłu, w ciężarówce, razem ze Stachem Likiernikiem. Tak to wyglądało.

Jeśli chodzi o jakieś inne akcje, to brałem udział we wspólnej akcji z „Zośką" podczas której poznałem bliżej „Morro" (*Andrzej Romocki, wybitny żołnierz i jeden z dowódców w batalionie Zośka», zginął w Powstaniu Warszawskim*). Gadaliśmy całą podróż jadąc kolejką EKD w kierunku Grodziska.

Tak się przedstawia tych kilka obrazów z mojej działalności przedpowstaniowej.

– Z jakim nastawieniem szedł Pan do Powstania? Z entuzjazmem? Ze świadomością, że Powstanie jest ryzykowną operacją?

– Szedłem bez entuzjazmu, ale nie myślałem o powstaniu, że jest to ryzykowna akcja, bo do ryzyka, to myśmy byli przyzwyczajeni. Myślałem o tym, że jest to bezsensowna akcja, że wystrzelają nas wszystkich, a i ludność cywilna będzie ponosiła konsekwencje. Wiedzieliśmy jakie było uzbrojenie tak zwanych oddziałów liniowych – bo nasze było bardzo dobre – ale to było za mało. Ale cóż było robić – nikt nas o zdanie nie pytał. Pytałem zresztą Stasinka: „Co za... nie chcę tutaj używać brzydkich określeń... wymyślili to powstanie, w tej

chwili właśnie, kiedy Rosjanie siedzą pod drugiej stronie i nie mają zamiaru tu przypłynąć". On odpowiedział, a rozumował tak jak ja: „No wiesz, zebrało się paru panów, wypili butelkę koniaku i postanowili – robimy powstanie!".

Tak żeśmy rozmawiali przed powstaniem. Takiego samego zdania jest zresztą dzisiaj Staszek (*Likiernik*). Nie wszyscy podzielają nasze zdanie. Że tak powiem szerokie masy powstańcze nie orientowały się zupełnie w sytuacji. Myślały, że skąd przyjdzie broń – z nieba?

– Jako oddział dywersji Kedywu byliście wojskowo i konspiracyjnie spełnieni jeszcze w akcjach przed powstaniem?

– Byliśmy przede wszystkim zorientowani w sile Niemców. Wiedzieliśmy, że „z czym do gościa"? Pistolety i pistolety maszynowe wobec ich broni pancernej.

– Być może wielu powstańców nie miało wcześniej okazji wykazać się w walce. Dla nich powstanie to była ostatnia okazja, żeby wziąć udział w walce z Niemcami?

– Oczywiście, ale tak jak mówię, nikt nas o zdanie nie pytał.

– Jakie były pozytywne wrażenia – zdarzenia w początkowej fazie Powstania?

– Mój pierwszy dzień powstania to był przydział na Wolę, zdobywanie magazynów na Stawkach. Nasze spotkanie odbywało się na Inflanckiej 5, w Zool Amdt-cie, gdzie przyszedłem około trzeciej, bo większość oddziału była już zgromadzona, brakowało tylko Żoliborza z dowódcą Stasinkiem, który miał przyjechać samochodem i przywieźć mi broń, która była u niego. Niestety, przyjechali, owszem, ale nie dostali się do magazynów broni, bo już tam (*na Żoliborzu*) strzelanina była, tak że ja zostałem bez pistoletu. Dostałem pistolet od „Strażaka" lub „Sikacza" – pierwszorzędny chłopak, był w straży pożarnej w czasie okupacji, bo to była najlepsza funkcja, żeby ocaleć. On miał parę pistoletów, a ponieważ ja się z nim zaprzyjaźniłem trochę w międzyczasie, to on dał mi swój pistolet. Za chwilę, idąc już do akcji, spotkaliśmy patrol granatowej policji – dwóch policjantów. Zaproponowaliśmy im przyłączenie się, ale



Zdjęcie grupy żołnierzy oddziału Kedywu „Kolegium A" zrobione na Woli w pierwszych dniach Powstania. Kobieta w chustce to żona Jerzego Kaczyńskiego, Anna Górska-Kaczyńska.

oni nie chcieli, wobec czego zabraliśmy im czym prędzej broń. Wziąłem VISA z kaburą i z pasem, a ich żeśmy wyrzucili.

Zdobycia Stawek nie będę już opisywał, bo to jest znane. Byli pierwsi zabici Niemcy w czasie powstania. Wzięliśmy do niewoli jeszcze dwóch Ukraińców, czy też Rosjan, którzy tam z nim byli.

Byli też pierwsi ranni od nas: „Supełek", który został ranny w brzuch, miał postrzał brzucha. Antek, który dostał odłamkami własnej filipinki i „Rymwid", który dostał przestrzał nad obojczykiem. Pamiętam dokładnie tę ranę, bo to były pierwsze opatrunki, które zakładałem. Największy kłopot był z „Supełkiem", bo on miał postrzał brzucha, a nie mieliśmy możliwości odtransportowania go do szpitala.

Była noc, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Widzieliśmy pierwsze pożary tak, że trzeba było doczekać ranka. Rano przyjechał oficer od „Radosława" z rozkazem, żeby dołączyć do niego, no więc ubraliśmy się w „panterki" jako pierwszy oddział i zawędrowaliśmy tam, gdzie bazował „Radosław". Myśmy byli jakoby

w jego osłonie, ale on szybko przydzielił część z nas do „Miotły", a część została przy nim.

Dokładnie nie pamiętam daty, ale po kilku dniach dołączyła moja żona, czyli Anulka (*Anna Górska*) i Krysia Dębska, żona „Stasinka". To było chyba czwartego. Natomiast kiedy Danka (*Danuta Mancewicz*) przyszła? Co najmniej dzień później, zdaje mi się, że to było szóstego. „Stasinek" był już wtedy ranny, dostał w twarz. Byłem przy nim, kiedy został ranny, miałem go na rękach i jego pierwsze pytanie było: „Jurek, co z okiem?" Odsłoniłem gałkę oczną – była cała, nie uszkodzona – a on miał tylko jedno oko (*jedno oko stracił w wypadku w dzieciństwie; w drugim oku odkleiła się siatkówka i Stasinek stracił wzrok, do końca życia*). Mówię: – „Czy widzisz?".

– „Nie, nie widzę".

Niedobrze... i w tym momencie on złapał za broń. Ja mu wyrwałem tego VIS-a. Zresztą „skłonnych" do wyrwania mu tego VISa jest paru, między innymi Andrzej (*Andrzej Rybicki, komendant Kedywu Okręgu Warszawskiego*) – nieprawda – nie było go wówczas przy mnie. Było nas tylko dwóch, inni przyszli za chwilę. Ale to nieważne. Dalej, cóż można mówić?

– Chciałem na chwilę wrócić do Stasinka. Czy on wówczas – na początku Powstania – wiedział, że jego ojciec jest dowódcą brygady spadochronowej i czy wiedział, a może domyślał się – o żądaniu dowództwa


LEGITYMACJA Nr. 00260

Nazwisko /BOHDAN/ KACZYNSKI

Imiona Jerzy Ryszard

rok ur. 1916

stopień por. lek.

przydział Grupa Radosław /Sanitariat/

data wystawienia 4.8.1944r.

odcisk palca wskazującego prawej ręki

podpis

Ta legitymacja żołnierza Armii Krajowej, wydana Jerzemu Kaczyńskiemu, przebyła z nim cały szlak bojowy Powstania i przetrwała pobyt w niemieckiej niewoli

Powstania zrzucenia brygady w rejon cmentarzy? Czy Stasinek wiązał z tym jakieś nadzieje?

– Oczywiście, Stasinek wiedział i my wiedzieliśmy, że jego ojciec jest dowódcą Brygady Spadochronowej, ale myśmy nie mieli złudzeń, że oni do nas przylecą. Oczywiście, byłoby bardzo miło ... ale...

– Jak Pan podchodził do takich zdarzeń jak rany i śmierć najbliższych przyjaciół? Jako doświadczony lekarz był Pan na to psychicznie przygotowany i uodporniony?

– Tak samo przygotowany jak na własną. Byliśmy przygotowani, że za chwilę zginiemy. To nie było nic nienormalnego

– Czy może Pan coś powiedzieć na temat ataku na Stawki w dniu 11 VIII, kiedy Pana oddział poniósł poważne straty. Na temat tego jak poważne to były straty, trwają dyskusje (od 8 do 50 zabitych – oczywiście nie tylko z oddziału Kolegium A). Czy zna Pan jakieś fakty dotyczące wysokości tych strat?

– W przeddzień tego ataku na Stawki siedziałem z „Olszyną" (*Wiwatowskim*) – dowódcą wówczas. Gawędziliśmy sobie. On był wówczas adiunktem na Uniwersytecie Warszawskim, na polonistyce. Rozmawialiśmy o bezsensie tego powstania właśnie. Ale o świcie już wyruszyliśmy do natarcia. Nacieraliśmy polem w getcie, które było właściwie całkowicie wyrównane, zarośnięte chwastami, roślinami, kępkami trawy, krzaczkami – żadna to była osłona, a ogień był cholerny, nie można było podnieść głowy, tylko świstało nad nami, świergot się rozlegał. Oddział troszkę zaległ, to znaczy ta część tylnia zaległa, bo nie można się było posuwać do przodu, a pierwsza część poszła z „Radosławem" i z „Nieborą" – dowódcą „Miotły" i oni byli w pierwszej linii. W pewnym momencie padł okrzyk: „Cekaem do przodu!" Chłopaki się trochę załamały i nie bardzo chciały podnieść, tak że niestety ja się musiałem podnieść i wyciągnąć ich z tego dołka, bo i tak właściwie nic nie pomagało siedzenie w tym dołku. Tak więc wypchnąłem ten cekaem do przodu i słyszę okrzyk: „Radosław ranny!" Pobiegłem do przodu i znalazłem „Radosława". Był ranny, miał odłamki pocisku w brzuchu, ale dość powierzchowne na szczęście, był zaszokowany

dość mocno, a „Niebora" zginął w tym szturmie. Pierwsze jego pytanie było" „Co z Nieborą?" Nie chciałem mówić, że tamten zginął. Mówię, że nie wiem. Dałem mu zastrzyk morfiny, zaopatrzyłem ten brzuch, próbowałem go nieść kawałek. Poniosłem go na barana a on był ciężki, ja natomiast nie byłem znowu w takiej błyskotliwej formie, tak że niestety, musiałem go położyć i jakoś ciągnąć dalej. Na szczęście trafił się patrol z noszami. Wziął go na nosze.

Później przechodziliśmy koło Stawek – wtenczas byliśmy zmieszani z oddziałem „Zośki". Ja przebiegałem z majorem Janem, dowódcą, którego znałem z okresu przed powstaniem, kiedy omawialiśmy różne akcje. Biegliśmy na Kaczą. Ostrzał był cholerny – to były działa, albo artyleria, albo granatniki. Przebiegaliśmy od kępki cegieł do kępki cegieł i pamiętam taki widok, do dziś niezapomniany. Przebiegł przed nami jakiś chłopak i dostał odłamkiem w szyję i w tętnicę. Krew sikała dosłownie na dwa metry w górę. Wtedy spojrzeliśmy na siebie z majorem Janem, bo wiadomo było, że sprawa jest beznadziejna, ale podciągnąłem go za murek i założyłem opatrunek, beznadziejny zresztą. Pierwszy patrol sanitarny go zabrał.

Rozpoznawałem naszych poległych tylko po ekwipunku – mieli pourywane głowy. Janka „Strażaka" rozpoznałem po broni, po pistolecie maszynowym, zresztą zniszczonym i po jego „Walterze". „Olszynę" rozpoznałem, bo obok niego leżała jego charakterystyczna czapka, jego cały ekwipunek był dosyć charakterystyczny. Zabieraliśmy im dowody jakie mieli i legitymacje.

Później „wylądowałem" na Starówce. Nie byłem przy samym wybuchu, ale bezpośrednio po wybuchu czołgu-pułapki na Kilińskiego. Tam widziałem piękny kręgosłup, jakby wypreparowany, zakrwawiony i zawieszony na drugim piętrze, na balustradzie, był z czaszką, dosłownie wyrwany z ciała. Był też szereg szczątków na murach.

Mój szef sanitarny z Kedywu major Cyprian Sadowski „Skiba" kazał mi otworzyć szpital „Pod Krzywą Latarnią". Jak było na Starówce, to wszyscy wiedzą. Szpital „Pod Krzywą Latarnią" rozwinąłem bodajże trzynastego sierpnia.

Chłopcy z mojego oddziału ściągnęli tam materace z sąsiednich domów i mieszkań. Były dwa piętra piwnic, ale na dolnym piętrze mieścił się właściciel ze swymi przyjaciółmi alowcami. On należał do AL. Więc oni siedzieli tam na dole, a my trochę wyżej na tym wyższym piętrze podziemi. Nie mam ochoty

specjalnie opowiadać, co tam się działo w tym szpitalu, bo czytał Pan mniej więcej, co tam było (*w powieści Józefa Stompora «Płonące Lazarety»*).

– Jak przedstawiała się organizacyjna strona pracy w szpitalu? Jakie było zaopatrzenie (np. elektryczność – jak się zdaje, na początku, sprzęt, środki lecznicze itp.) Ilu było lekarzy i w jakim systemie pracowali (bez przerwy – oprócz snu? zmianowo?)

– Bez przerwy – jak była chwila czasu, to człowiek drzemał. Ale nie było dłuższej przerwy. Stale przynosili rannych. Zaopatrzenie było stosunkowo niezłe, to znaczy ja miałem dwóch lekarzy do pomocy. Jeden to był mój kolega, Włodek, a drugim był doktor Jagodowski, który był dyrektorem sanatorium w Zakopanem. On się przyłączył w czasie powstania i mnie zaopatrywał we wszystkie leki z aptek łącznie z lekami takimi jak sulfamidy, morfina, opatrunki i tak dalej. Ponieważ on był taki skwapliwy do chodzenia po tych aptekach, byłem zaopatrzony całkiem nieźle: były tego całe fury i opatrunków. Narzędzi miałem trochę swoich w zakresie podstawowym zupełnie i tak się męczyliśmy.

Były cięższe przypadki. Pamiętam jednego rannego. Był to młody mężczyzna, któremu brakowało całego kawałka kości czaszki, ale ciągle nie mógł umrzeć. Niestety, takich przypadków było więcej. Od nas z oddziału przybył jeden ranny o pseudonimie „Żmudzin". Miał postrzał kręgosłupa i paraliż kończyn dolnych z porażeniem pęcherza. Nie oddawał moczu. Musiałem go scewnikować na stałe. On był z zawodu inżynierem. Od niego dostałem zegarek z prośbą o dostarczenie go żonie, która była stomatologiem na Saskiej Kępie. Obiecałem, że oddam – o ile sam wyjdę z tego, bo wtenczas nie było wiadomo oczywiście, jak się to wszystko zakończy.

– Jakie rodzaje zabiegów wykonywano w szpitalu?

– Zabiegi chirurgiczne. Była to zresztą głównie drobna chirurgia. Nie można tam było robić na przykład laparotomii. Przypadki do laparotomii odsyłaliśmy do szpitala na Długą, gdzie był centralny szpital: Długa 7. Mieli tam salę operacyjną itd. Ja tutaj głównie zajmowałem się postrzałami kończyn, złamaniami, drobnymi amputacjami, oczyszczeniem rany, pierwszymi opatrunkami.

– Ilu ludziom (powiedzmy procentowo) można było pomóc, a ilu tylko ulżyć w cierpieniach?

– Pomóc można było przynajmniej pięćdziesięciu procentom rannych. Trzydziestu – dwudziestu procentom – tylko ulżyć.

– Czy może Pan podać kilka przykładów zachowań i postaw rannych. Czy to prawda, że młodzież o wiele lepiej znosiła ból i cierpienie niż osoby starsze, np. czterdziestoletnie, które wpadały w panikę?

– To prawda, z tym że ja miałem prawie samych młodych. To byli chłopcy z oddziałów, tak że u mnie starszych nie było. Starszy to był mój dowódca sanitarny z Kedywu, który miał zapalenie opłucnej. Leżał u mnie pod „Krzywą Latarnią". On był starszy ode mnie o kilka lat, o dziesięć co najmniej, reszta, to byli młodzi i oni świetnie to znosili, właściwie bardzo dobrze.

– Czy ludność cywilna też był leczona w szpitalu?

– Ja nie miałem

– A żołnierze niemieccy?

– Nie miałem. Niemieccy żołnierze byli akurat u „Broma", na Miodowej.

– Wiemy jak wyglądała Starówka po zakończeniu walk – morze ruin. Czy szpital ucierpiał w wyniku bombardowania, czy też piwnice w których był usytuowany wytrzymały naloty?

– Szpital był wypalony i zrujnowany. Natomiast piwnice wytrzymały, tylko były wypalone. Wszystkie zwłoki, które tam leżały, były spalone.

– Czy może Pan opisać w kilku słowach jaka była «aura» dźwiękowa w której Pan pracował w szpitalu? Czy było słychać wybuchy, strzały z broni maszynowej? Czy dźwiękowym tłem były tylko jęki rannych?

– Wszystko to słyszałem, bo okienka wychodziły na ulicę. Strzelanina przez cały czas i bomby. Czekałem tylko, kiedy na nas zrzucą. Było wszystko: strzały z broni maszynowej, jęki rannych oczywiście też, bo to był szpital.

– Jak bardzo był Pan wyczerpany tą pracą?

– Bardzo – na granicy wytrzymałości, z tym że człowiek starał się jakoś zagubić w tej pracy, a to dlatego, że nie liczyłem, że z tego wyjdę. Tą pracą starałem się znieczulić.

– Czy to prawda, że fizyczne zmęczenie spowodowane ciągłą pracą pomagało w tym, że nie było czasu na rozpamiętywanie sytuacji i ewentualne «rozklejenie się»?

– Na pewno tak. Ja – jak już mówiłem – na szczęście miałem broń, więc nie miałem zamiaru się poddawać Niemcom, bo wiedziałem, jaki jest los tych, którzy się poddawali. Broń też była pocieszeniem na okoliczność, że jak nas zasypie, to będzie można strzelić sobie w łeb, bo gorzej już nie mogło być wtenczas.

No i tak było do 30 sierpnia, kiedy zbierali rannych i mieliśmy ich ewakuować kanałami.

Wcześniej jeszcze było przebicie górą. Wyznaczono oddziały, które miały się przebijać i dołączyć do „Zośki" i „Parasola". Nie dotarliśmy na miejsce, nie mogliśmy się przebić przez tłum ludzi. Ulica była kompletnie zablokowana. Całą noc, krok po kroku przez nich się przedzieraliśmy. Kiedy doszedłem do „Radosława" to się okazało, że już pierwszy oddział poszedł z majorem Janem, z którym ja miałem iść. Dlatego ja ze swoim otoczeniem sanitarnym zostałem przy „Radosławie". Później, jak już wspominałem przedtem, była ewakuacja kanałami. Ja wziąłem ze sobą tych rannych, którzy mogli chodzić, wśród nich Krzysia „Kolumba". Droga była niewesoła, bo zapach brzydki i trzeba było brodzić w tym wszystkim, a Niemcy rzucali granaty. Ale doszliśmy jakoś do Wareckiej.

– Ten przemarsz był w ciągu dnia, czy w ciągu nocy?

– W ciągu dnia, rano żeśmy weszli. Tam na Wareckiej wyszliśmy z kanałów i zaskoczenie było kompletne, bo i szyby w oknach były, a ludzie normalnie zachowywali się. To był kontrast szalony, mieliśmy plan dostać się na Mokotowską z żoną, gdzie mieszkaliśmy wówczas. Przenocowaliśmy tam jedną noc, ale to było paskudnie, bo to było piąte piętro i przy bombardowaniu można się

było od razu znaleźć na parterze. W każdym razie, po paru dniach, dostaliśmy rozkaz przejścia na Czerniaków.

– Doszło tam do tak samo zaciętych walk co na Starówce. Jak może Pan porównać obie te dzielnice? Gdzie było gorzej?

– Nie powiem, że gorzej. Wie pan, człowiek się przyzwyczajał do wszystkiego. Myśmy się przyzwyczaili do tego, że nas rąbią bez przerwy, do wybuchów, i do bomb, i do czołgów i do wszystkiego właściwie i do Niemców, którzy szturmowali i do goliatów, które wybuchały. Jak byłem na Czerniakowie, na Okrąg 2, to goliat wybuchł. Tam właśnie rzuciłem ten swój granat. Było to tak, że myśmy obchodzili wówczas moje urodziny, to był siedemnasty września, a siedemnasty września to były moje prawdziwe urodziny, które teraz są czwartego ze względu na różnicę kalendarza.

Siedzieliśmy na parterze i czekaliśmy co dalej. Jak goliat wybuchł, to myśmy się tym tak bardzo nie przejmowali, ale ponieważ Niemcy szturmowali to postanowiliśmy z Zygmuntem włączyć się do akcji i pobiegliśmy na drugie piętro. A na drugim piętrze siedzieli berlingowcy. Myśmy pobiegli pół piętra wyżej i przez okno strzelaliśmy do Niemców, którzy przeskakiwali przez ulicę do naszego budynku. W pewnym momencie odwracamy się w kierunku pokoju obok, który był widoczny przez dziurę w ścianie. Patrzymy – stoi facet w panterce i w czapce polowej, tak jak my. On do nas woła: „*Kameraden, alles in ordnung?*" Jeszcze to do nas nie dotarło na 100%.

Mieliśmy polówki niemieckie. Opaski mieliśmy, ale one były brudne i on ich nie zauważył. A Zygmunt go pyta: „*Kameraden, wer bist du?*" On się w tym momencie zorientował i prysnął, a ja rzuciłem wtedy ten granat i granat odbił się od wystającej cegły, i spadł po naszej stronie. Jak żeśmy się wygrzebali po wybuchu granatu, to poszliśmy na dół zobaczyć, co się dzieje z naszymi sanitariuszkami. Na piętrze już nie było ani jednego z naszych berlingowców – pouciekali, przerażeni, ale nasze towarzystwo siedziało i czekało na nas na dole. Dziewczyny były bezsprzecznie bohaterskie, nie da się tego opisać. Były dzielniejsze niż chłopcy. Wszyscy byli jednakowo dzielni. Mało znam przypadków załamań wśród oddziałów naszych – dywersyjnych. Jeden taki przykład znam, z drugiego szturmu na Stawki, jedenastego sierpnia. Jak się skończył ten

szturm, to ja siedziałem na jakimś rumowisku. Odpoczywałem po zaopatrzeniu „Radosława". Obok nas siedziały dziewczyny i jeden z naszych starszych chłopców. W tym momencie powąchałem go i powiedziałem: „Słuchaj, idź do cholery umyj się, bo nie można przy tobie siedzieć". W jego przypadku stało się to ze strachu, z wrażenia, ale to jeden jest taki wypadek, który utkwił mi w pamięci jeżeli chodzi o objaw fizjologiczny strachu.

– Jak przyjęliście lądowanie berlingowców?

– Myśleliśmy, że dalej będziemy walczyć u ich boku, że wezmą na siebie ciężar walki. Okazało się, że poszedł ten pierwszy rzut i na tym się skończyło. Oni nie umieli walczyć w mieście. To byli chłopcy przeważnie z Lubelszczyzny, dużo akowców też tam było i nie orientowali się zupełnie w realiach walki w mieście. Przeważnie się chowali i nic nie robili. Wtenczas ja bez trudu zdobyłem pepeszę – stała pozostawiona w kącie – i szczęśliwie dotarłem z nią do Mokotowa i Śródmieścia, kanałem oczywiście.

– Po ewakuacji kanałami z Czerniakowa na Mokotów znalazł się Pan ponownie w miarę spokojnej, jak na warunki powstańcze, dzielnicy. Jakie było zachowanie, postawa ewakuujących się żołnierzy, o czym rozmawiali? Pytam dlatego, że według niektórych świadectw, wzbudzali oni na Mokotowie panikę swoim «defetyzmem» i oceną szans Powstania (mówili głośno i otwarcie o «czekającej Mokotów masakrze», podczas gdy na Mokotowie panował jeszcze duch bojowy).

– No tak, tam gdzie myśmy szli, tam za nami szła masakra, dlatego to był niedobry znak dla Mokotowa. Byli zaniepokojeni, że teraz przyjdzie kolej na nich, ale tylko w tym sensie, bo tak to przyjęli nas raczej jak „bohaterów". Pierwsi nam salutowali na ulicy, co było trochę śmieszne.

Niemiła przygoda za to mnie spotkała później w Śródmieściu, kiedy przechodziłem piwnicami, z bronią i w panterce, gdzie spotkały mnie tego rodzaju komplementy: „Wy bandyci, co żeście z nami zrobili?". Ale do tego byliśmy już trochę przyzwyczajeni, chociaż byłem tutaj Bogu ducha winien.

– Na Mokotowie brał Pan udział w jakichś walkach?

– Tam to już – de facto – nie braliśmy udziału w żadnych walkach. Trochę zajmowaliśmy się rannymi i czekaliśmy na koniec.

– Po kilku dniach spokoju, nastąpiło to, co w poprzednich dzielnicach – zmasowany atak Niemców. Zdążył się Pan wówczas ewakuować ponownie kanałami, wraz z oddziałami Radosława. Jak wyglądało ta trzecia już wędrówka kanałami?

– Udało nam się na czas ewakuować do Śródmieścia, na co „Radosław" uzyskał zresztą formalną zgodę. Ewakuowaliśmy się w sposób zorganizowany, nie byliśmy rozbici. Z bronią, ze wszystkim, przeszliśmy do Śródmieścia. Makabryczny był ten kanał, bo po trupach się deptało. Tam było okropnie. Z tych trzech moich wędrówek kanałowych, ta była najgorsza. Tym bardziej, że nie wiedzieliśmy, czy dobrze idziemy, czy źle, chociaż byliśmy już przyzwyczajeni do kanałów, bo większość z nas przechodziła nimi nie po raz pierwszy. Wyszliśmy w Alejach Ujazdowskich i kwaterowaliśmy razem z „Czatą" – nie pamiętam numeru budynku, chociaż widzę go oczami wyobraźni, w Alejach Ujazdowskich, na czwartym chyba piętrze, ale to była już końcówka.

– Co Pan robił do zakończenia Powstania po drugim przejściu do Śródmieścia?

– Wylądowaliśmy na Śniadeckich, przy szpitalu. Byliśmy z naszymi sanitariuszkami, z „Bromem", z „Kolumbem", który zaopatrywał nas w żywność. Chorowałem wówczas na czerwonkę, nie bardzo mogłem jeść i tak doczekaliśmy do kapitulacji i ewakuacji.

– Jakie były Pana odczucia w momencie kapitulacji?

– Ja najchętniej bym się urwał z tej wędrówki do obozu, ale moja żona była wtenczas we wczesnej ciąży i nie mogłem jej zostawić więc doszedłem do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie pójść do niewoli.

Ewakuowano nas do szpitala jenieckiego. Tam byli Rosjanie, Włosi i my. Tam zorganizowaliśmy szpital i sale operacyjne. Operował pułkownik Bendkowski. I tak żeśmy wegetowali, na głodnego. Wyżywienie było fatalne: zupa z pokrzyw, trochę chleba, czasami margaryna, dopóki nie przyszły paczki

alianckie. Wówczas mogliśmy już uchodzić za bogatych jeńców, bo można było za papierosy z paczek kupować chleb od Niemców i jakieś inne jeszcze rzeczy, ale to była końcówka. Moja żona urodziła w szpitalu, cięciem cesarskim, w dodatku w przeddzień kapitulacji i znowu byliśmy „uwiązani". Planowaliśmy z „Kolumbem", że wyrwiemy się do strefy amerykańskiej. Amerykanie podchodzili już tuż, tuż pod nas, i mieliśmy gotowy plan jak będziemy jechać, ale przyszli Sowiety – wojsko radzieckie.

Pamiętam jak dziś: nie chcę tu mówić brzydko, ale tłuszcza jechała na konikach, wozach, wszystko brudne i oberwane, nie sprawiali wrażenia regularnego wojska. Okrzyki były do nas z ich strony, p onieważ dzieci widzieli na ręku – tam parę było porodów w szpitalu jenieckim – „Wot kokoj malienkij powstaniec! Job jewo mat'!" Wiedzieli, że jesteśmy powstańcami, bo oni zajęli obóz. Był potem pewien przykry, pełny napięcia moment, kiedy w pewnej chwili armia, która szła naprzód zaczęła uciekać do tyłu i znowu gnali: konno, furmankami, czym się tylko dało. I do nas krzyczeli: – „Udiraj! Giermancy idut!" No i Niemcy podeszli pod obóz. Nie wiedzieliśmy, co mamy zrobić. Mieliśmy broń odebraną strażnikom niemieckim, ale to była broń, że pożal się Boże! Teraz, jak oni przyjdą, to wiadomo było, że nas wystrzelają, bo oni tak potrafili postępować. Na szczęście nie doszli do nas, bo Rosjanie wyszli z kontruderzeniem i wygonili ich.

Tam żeśmy doczekali do końca i postanowiliśmy wracać do kraju. Zorganizowaliśmy z moim przyjacielem Kumantem i paroma innymi wozy, broń i konie. Kiedyś o tym już wspominałem – miałem zegarek na ręku. Jechałem rowerem za naszą kolumną. Miałem pistolet maszynowy na pasku. Zatrzymało mnie kilku Rosjan, pięciu-sześciu młodych chłopców. Patrzę, że są bez broni i zaczęła się rozmowa: – „ Kto ty jesteś?" i tak dalej, bo ja miałem bluzę angielską na sobie i furażerkę. Mówię, że jestem powstaniec warszawski, ale podobał im się zegarek, oczywiście. W jakimś momencie przestało być miło i oni mówią: – „Sprzedaj nam zegarek!" Ja mówię, że to nie na sprzedaż, że to pamiątka.

– „No, to my ci zabierzemy ten zegarek".

Ja się roześmiałem (widziałem że nie mają broni, przynajmniej na zewnątrz). Podniosłem swój pistolet maszynowy i powiedziałem:

– „Spróbujcie tylko".

– „Nie, my tylko żartujemy".

Tak żeśmy dojechali aż do polskiej granicy, gdzie nas od razu przywitały piękne plakaty: „Zaplute karły reakcji spod znaku AK i NSZ". Nie wiedzieliśmy jeszcze, jakie jest podejście do Akowców, dopiero te plakaty nam to uprzytomniły, bo wcześniej, jak spotkałem wieczorem jakiś sowiecki oddział, to oficer sowiecki ze mną rozmawiał i zaczął mi tłumaczyć: – Wiecie, towarzyszu, tu przed wojną, w Polsce, to pany były same i tylko arystokracja i hrabiowie służyli w wojsku itd."

Wyczułem, co jest grane – to był pierwszy tego rodzaju kontakt – jakiś politruk. O Katyniu też każdy wcześniej słyszał. I te plakaty nas tak troszkę przybiły. Weszliśmy w ten cały „interes".

Ja byłem w dobrej sytuacji, bo mi brakowało dwóch egzaminów do dyplomu, a wszystkie staże miałem już odrobione, a te dwa były celowo zostawione, bo tamte miałem zdane na tajnym nauczaniu. Szybko zdałem te dwa egzaminy.

Jeden z nich zdawałem u profesora Grzybowskiego, którego zamordowało później UB. To był wspaniały facet i nieszczęśliwa rodzina. On był profesorem dermatologii, jego brat był profesorem chirurgii topograficznej, a trzeci brat był za granicą, był profesorem chemii. Jednego brata rozwalili Niemcy w szpitalu na Woli, drugi był poparzony po wybuchu w laboratorium, gdzie przygotowywał materiały wybuchowe i poparzyło go potwornie i był jeszcze ten „nasz" profesor. On działał przez całą okupację na tajnych kompletach medycznych, gdzie zorganizował nam egzamin i tak dalej. Razem z profesorem Orłowskim, który był jednym z najbardziej znanych profesorów medycyny wewnętrznej i który gromadził wszystkie notatki ze zdawanych przez nas egzaminów. To się znajdowało u niego i u profesora Grzybowskiego – nielegalnie.

Jak ja się dostałem do Warszawy, to wszystkie zaświadczenia o zdaniu egzaminów dostałem od nich „od ręki". U Dąbrowskiego zdałem egzamin z medycyny sądowej i z dermatologii. U Grzybowskiego – tego nie zapomnę – byłem trochę zdenerwowany. Byłem w wysokich butach i w spodniach, zielonych, wojskowych. Siadłem i z nerwów założyłem nogę na nogę. On spojrzał na mnie groźnie: – „Kolego, proszę usiąść przyzwoicie. Pan jest na egzaminie." Więc na początku mnie speszył, ale udało mi się z tego wybrnąć i zdałem ten egzamin i dyplom dostałem bardzo szybko.

– Wracając jeszcze do Powstania. Czy fakt, że barbarzyństwo Niemców będzie aż tak wielkie był dla Pana i kolegów zaskoczeniem?

– Przedtem Niemców znałem więc nie była to dla mnie jakaś wielka niespodzianka. Słyszałem, co wyrabiali w czasie Pierwszej Wojny Światowej w Belgii – też się podobnie zachowywali, może nie tak krańcowo jak u nas, ale tutaj to już myśmy mniej więcej się orientowali, co tam dzieje się w Niemczech, a ponieważ nie znałem ich dobrych cech, to ich złe cechy nie były dla mnie zaskoczeniem. Ci, którzy znali Niemców przedwojennych byli zaskoczeni bestialstwem, natomiast dla mnie to było widocznie normalne. Myśmy też nie byli tacy łagodni dla nich -jeżeli tylko mieliśmy okazję, oczywiście.

– Czy mógłby Pan coś powiedzieć na temat zachowania Niemców w walce? Czy, na przykład na Starówce, atakowali w sposób bojaźliwy (czytałem o tego typu opiniach w raportach niemieckiego dowództwa, ale także znam je z niektórych relacji uczestników walk na Starówce), opierając siłę swego ataku na przewadze sprzętowej i ogniowej?

– Nie, oni odważnie nacierali. Dobre wojsko. Bardzo dobre. Gorsi byli własowcy, czy Ukraińcy.

– Czy utrzymywał Pan po wojnie kontakty ze swoimi kolegami z konspiracji i Powstania?

– Chłopaki z Woli (*z «grupy wolskiej» oddziału Kolegium A Kedywu*) przyjeżdżali do mnie po powstaniu przez kilka lat, bo ja mieszkałem wtedy w Radiówku, w charakterze lekarza zakładowego. Miałem tam mieszkanie, to jest miejscowość pod Warszawą, tam jest radiostacja. Przyjeżdżali właściwie co kilka dni, ponieważ oni zawsze lubili wypić, to zawsze z „flaszką". Z nimi utrzymywałem najbliższe stosunki. Ze wszystkimi miałem bardzo dobre stosunki.

Do dziś jeszcze „Medyk" dzwoni do mnie – to był jeden z najmłodszych z naszego oddziału.

– A z Panem Likiernikiem utrzymywał Pan kontakt przez cały okres komunizmu? Czy kontakt wówczas nie był utrudniony?

– Nie. Przyjeżdżał nawet. Jego ocaliła (*w Powstaniu*) przyjaciółka mojej żony (*Irena Minkiewicz*) ze szkoły pielęgniarek. On później z nią utrzymywał kontakt i kiedyś go odwiedziła (bo była w Australii, dokąd wyjechała z mężem). Odwiedziła w Paryżu i razem z nim przyjechała do Polski, po raz pierwszy zresztą.

– Czy doświadczenia lekarskie i życiowe wyniesione z Powstania były później Panu przydatne w dalszym życiu zawodowym i osobistym? A może stanowiły swoistą «zadrę» psychiczną?

– Były przydatne, bo jeśli chodzi o chirurgię, to po powrocie z obozu pracowałem na chirurgii. Byłem asystentem szpitala Spółki Brackiej w Katowicach. Przed powstaniem pracowałem u Świętego Ducha, a ordynator szpitala Spółki Brackiej, który pracował też u Świętego Ducha był ze Śląska i na Śląsku od razu dostał oddział. Zapytałem, czy mnie zechce przyjąć do pracy. Powiedział, że jak najbardziej. Od razu dostałem posadę, z mieszkaniem, ze wszystkim. Przed swoim wyjazdem do Francji był u nas Staszek Likiernik. Pytał, czy możemy mu jakoś pomóc. Moja żona mu pomogła, bo miała kuzynów w Zakopanem. Pożegnał się z nami i poszedł na granicę.

A myśmy tak czekali i myśleli: „Jak tu wrócić do Warszawy?", bo czułem się warszawiakiem – tyle nas wiązało z tym miastem, mimo ruin, ale wszystko tam było nasze i związane z nami. Pewnego pięknego dnia dostałem list od ordynatora ginekologii i położnictwa szpitala Świętego Ducha – później Szpital Wolski. Szwedzi budowali wyposażenie całego oddziału: sprzęt, narzędzia i wszystko. I ten drugi ordynator, który też pracował ze mną za okupacji, proponował, żebym przeszedł do niego, a to dla mnie był raj na ziemi. Podziękowałem panu ordynatorowi z chirurgii po roku pracy i wróciliśmy do Warszawy na gorszych warunkach, oczywiście, bo szpital dysponował niewielką liczbą pomieszczeń mieszkalnych. Myśmy z żoną dostali taki mały pokoik na górze w jednej z klinik i tam zacząłem normalną pracę jako asystent ginekologii i położnictwa. Z chirurgii przerzuciłem się na ginekologię, ale mi to nawet odpowiadało. Jednocześnie musiałem pracować na kilku oddziałach. Pracowałem w szpitalu, miałem etat, pracowałem w pogotowiu jako lekarz specjalista (w pogotowiu położniczo-ginekologicznym), bo potrzebowali lekarzy i na do-

datek jako lekarz zakładowy gazowni warszawskiej, a jeszcze miałem dodatkowe godziny w ambulatorium chirurgicznym w Śródmieściu. Byłem więc zajęty na wszystkie strony, z dyżuru na dyżur, jak nie w pogotowiu, to w szpitalu, a rano trzeba było wstawać do operacji. Trochę było to męczące.

– Jakie, Pana zdaniem, są pozytywne, a jakie negatywne strony Powstania Warszawskiego?

– Znów będę nie na rękę tym, którzy chwalą powstanie. Nie widzę pozytywów – żadnych.

– Niektórzy zwolennicy powstania powołują się na fakt, że uratowany został kręgosłup moralny narodu, że Czesi nie walczyli i ...

– Bzdura. Kompletne bzdury. Tak, Czesi mądrzy, a my nie byliśmy zbyt mądrzy w tym wszystkim. Proszę pana, wyniszczenie ponad 200 tysięcy ludności i około 50 tysięcy żołnierzy, najlepszego elementu jaki był w Polsce wtenczas, bo Warszawa skupiała elementy najbardziej wartościowe z całego kraju: z Poznania, z Wilna, z Pomorza i to wszystko zostało zniszczone i myśmy tych strat już nie odrobili, zresztą widać to do dziś dnia.

– Jak by Pan porównał ludzi ówczesnych i dzisiejszych?

– Niech się pan nie gniewa, bo są wyjątki przecież, ale nie ma żadnego porównania. Przykro mi to mówić, ale – oczywiście, jest dużo wyjątków, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale w sumie to, co się dzieje w tej chwili z tą naszą medycyną – ja w ogóle tego nie pojmuję. To, co się słyszy o młodzieży naszej, to, co się trochę widzi. Mówię o tej bardzo młodej młodzieży, ta agresja...

– Spowodowana chyba narkotykami?

– No więc właśnie. Myśmy nie mieli do czynienia z tymi rzeczami.

– Czy można powiedzieć, że Pana pokolenie było wyjątkowe? W szczególny sposób wychowywane? Że współczesne pokolenie nie zachowałoby się w ten sposób? A może jest tak, jak twierdzi Pan Likiernik, że był to całkiem naturalny odruch, działanie podejmowane w samoobronie?

– Z tym określeniem Staszka nie za bardzo się zgadzam – w „samoobronie" – to nie była „samoobrona".

– Może źle przekazałem myśl Pana Likiernika. Chodziło o to, że sytuacja wymuszała takie zachowania.

– Czy moje pokolenie było wyjątkowe? – nie sądzę. Ale w porównaniu z tym, co teraz się widzi, to powstają pewne wątpliwości. Nie tyle wyjątkowe, ale inne – tak bym to ujął. „Wyjątkowe" to zbyt zarozumiałe stwierdzenie.

– Wyjątkowe może przez to, że żyło w wyjątkowych czasach...

– W tym sensie, to można tak powiedzieć...

– Czy oglądał Pan film «Kolumbowie». Ten film jest oparty na książce, która jest relacją przygód Pana i pańskich kolegów.

– Oglądałem.

– Chciałbym wobec tego zapytać, czy atmosfera tego filmu: zachowanie, gesty, postawa, sposób mówienia... przypominają Wasze zachowanie i postawę?

– Przypominają, tak...

– Czy był Pan po wojnie represjonowany?

– Lekarzy nie było, byli potrzebni. Poza tym, mój ordynator był w PPS. Nosił nazwisko Hanke – z rodziny niemieckiej – ale był lewicujący i miał względy wśród tych wszystkich partyjnych, więc ja w jakimś sensie byłem chroniony przez niego. On wiedział, kim ja jestem, ale był przyzwoity wobec mnie, tak że cały czas mi się jakoś udawało. Z tym, że ta praca jednocześnie na kilku etatach skończyła się raczej źle: wylądowałem później w Zakopanem w sanatorium.

– Do kiedy był Pan aktywny zawodowo?

– Dostałem specjalizację, a później jak wróciłem, to pracowałem w przychodniach. Też jako specjalista, drugiego stopnia. Jakiś czas pracowałem

w charakterze inspektora ginekologii i położnictwa na Pradze Południe. W tym czasie to była nawet dobra praca, bo poznawałem ordynatorów, kolegów itd. Tak to wyglądało... Skończyłem pracę dopiero w 1982 roku. Te ostatnie lata nie były tak aktywne jak przedtem. Siedziałem na cytologii. Przez ostatnie lata zajmowałem się wykrywaniem komórek rakowych, w ramach profilaktyki raka szyjki macicy.

– Przeżył Pan całą epokę walk Polski o niepodległość: od Powstania Warszawskiego do «Okrągłego Stołu». Jak Pan postrzegał różne wydarzenia w historii Polski, które nastąpiły po Powstaniu Warszawskim: Poznań 1956, tak zwaną Odwilż, 1968 rok, masakrę na Wybrzeżu w 1970 roku, Radom 1976, Solidarność i odzyskanie niepodległości w 1989 roku oraz upadek Związku Radzieckiego, a następnie wstąpienie Polski do NATO i Unii Europejskiej?

– Tę epokę przeżyłem od 1939 roku, bo brałem udział w wojnie 39 roku. Z tego, co pan wymienił, to interesująca jest końcówka: upadek Związku Radzieckiego – była to radosna rzecz, całkiem niespodziewana. To, że Polska wstąpiła do NATO, to bardzo dobrze. Jeżeli chodzi o Poznań, odwilż... tak, jak wszyscy... radośnie – w skrócie mówiąc. Jeśli chodzi o okres Gomółki, to nie podzielałem entuzjazmu tych pierwszych dni po przejęciu przez niego władzy.



Jerzy Kaczyński (po prawej stronie) i Stanisław Sosabowski „Stasinek" na Zjeździe Absolwentów Medycyny – zdjęcie zrobione w latach osiemdziesiątych

– Czy są jakieś aspekty Powstania Warszaw-

skiego, które nie zostały jeszcze należycie naświetlone, a może pozostają jeszcze do odkrycia?

– Był taki dobry artykuł – muszę go wyjąć... (*artykuł Pawła Wieczorkiewicza «Obłąkana koncepcja powstania»*). Nic dodać, nic ująć. Mogę panu pożyczyć do skserowania, bo warto.

– Dziękuję za rozmowę.

WYWIAD Z PANIĄ BOBROWNICKĄ-FRICZE

Rozmowę z Panią Barbarą Bobrownicką-Fricze przeprowadziłem pod koniec 2006 roku.

Wojciech Włodarczyk: Proszę powiedzieć kilka słów o sobie i o swojej rodzinie.

Barbara Bobrowiecka-Fricz: Tradycje walki o niepodległość były w mojej rodzinie bardzo żywe. Po powstaniu listopadowym, mój pra-pra dziadek szedł na Syberię piechotą.

Mój pra-dziadek miał w Warszawie, na spółkę z Lilpopem, fabrykę narzędzi rolniczych. Kiedy wybuchło Powstanie Styczniowe, zaczęli wyrabiać broń. Po upadku Powstania, jeden z nich musiał uciekać. Dziadek uciekał przez Zaleszczyki. Opowiem przy okazji tę znaną w mojej rodzinie historyjkę. Czekał tam na pociąg, a po peronie chodził żandarm. Nasza rodzina była rodziną gawędziarzy i wesołków. Dziadek podszedł do żandarma i zaczął z nim rozmawiać. Na pociąg trzeba było dość długo czekać, więc mieli czas, żeby się zaprzyjaźnić. W pewnym momencie żandarm pyta: „Proszę Pana, czy Pan zna takiego Bobrownickiego?"

– „No, oczywiście!"

– „To Pan mi go wskaże?"

– „Oczywiście!"



Barbara Bobrownicka jako nastolatka

Chodzili i szukali tego Bobrownickiego, aż dziadek wsiadł do pociągu i odjechał. Wyjechał do Londynu i głodował, co bardzo źle świadczy o Lilpopie, bo mu nie pomagał. Później dziadek budował kanał Sueski. Potem, w Paryżu, był autorem wynalazków, które do tej pory są złożone w bibliotece na wyspie św. Ludwika. Przyjechał do Polski chyba w 1904 roku, kiedy przyszedł telegram z Paryża, żeby dziadek przyjechał realizować swoje wynalazki, ale on już nie żył.

Inny dziadek, po kądzieli, Ferdynand Borkowski, miał majątek pod Wilnem. Miał tam hodowlę wyścigowych koni. Kiedy wybuchło Powstanie (styczniowe), dziadek – ponieważ babcia umarła – miał dwoje małych dzieci i nie mógł uczestniczyć w Powstaniu. W tym majątku było 4 tys. hektarów, dziadek opiekował się rannymi, ukrywał ich i dożywiał. Po klęsce Powstania, Rosjanie zabrali dziadkowi majątek i dali jakiemuś generałowi, który przyjechał do dziadka i powiedział: „Niech pan gospodarzy, ten majątek mi nie jest potrzebny".

Po 20 latach generał przyjechał raz jeszcze do Rodziewicz i powiedział: „Niech pan sprzeda Rodziewicze, bo nie ręczę za swojego syna."

Wszędzie są różni ludzie. Za sprzedany majątek dziadek kupił inny majątek, nazywający się Todość, koło Grodna. Skąd taka dziwna nazwa? Otóż Pani Grabowska, żona morganatyczna króla Stanisława Augusta miała duże wymagania i kiedy kupił jej majątek, powiedział:

„To dość!"

Ja urodziłam się w Dębicy pod Rzeszowem, w 20 pułku ułanów, gdyż mój ojciec, Teofil Bobrownicki-Liebchen, był rotmistrzem w tym pułku. Wcześniej był legionistą i pozostał zadeklarowanym piłsudczykiem, stąd moje spojrzenie

na świat było spojrzeniem tego obozu politycznego. Byłam pierwszym dzieckiem, które tam się urodziło. Pięć pierwszych lat mojego życia spędziłam w Dębicy. Ojciec walczył na froncie polsko-bolszewickim w 1920 roku, a potem był historykiem. Pisał historię wojny 1920 roku. W czasie ostatniej wojny, cały nasz dom spalił się, ale moja córka znalazła w Bibliotece Narodowej broszurkę stanowiącą szkic do pracy pt. „Marsz znad Wieprza". To jest bardzo ciekawa publikacja. Przed wojną jeździł też jako dziennikarz do Rumunii, na Węgry, do Czechosłowacji, robić propagandę antybolszewicką. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta i był „na celowniku" Rosjan, do tego stopnia, że w Rumunii został aresztowany i musiała go ambasada wyciągać z kłopotów. Pisał artykuły do „Polski Zbrojnej" i prowadził w radio pogadanki na temat przygotowania do obrony przeciwlotniczej. Był niespokojnym duchem i wiecznie robił jakieś głupstwa, a Wieniawa-Długoszowski go bronił. Obaj byli wesołkami. Nie było to dla rodziny korzystne, ale dla niego – tak. Podczas okupacji, ojciec był dziennikarzem w Podziemiu.

Moja matka kończyła Akademię Sztuk Pięknych i malowała. W 1920 roku poszła na front jako ochotniczka i tam się rodzice poznali. Była to bardzo piękna kobieta, co doceniłam dopiero wtedy, gdy dorosłam. Po zawarciu małżeństwa przebywała głównie w domu i malowała. Wszystko się spaliło w czasie wojny. Miała zdolności portretowe. Po wojnie, po śmierci ojca, dorabiała malowaniem portretów, bo to była jej pasja życiowa. Ja utrzymywałam się przez dłuższy czas po wojnie z robienia wycinanek.

Teraz opowiem o moim bracie, Jędrku. Był on niezwykłą osobowością, coś w rodzaju Kmicica. Miałam nawet list od jego kolegi, który napisał, że to był najdzielniejszy człowiek jakiego w życiu spotkał. Ja właściwie nic nie wiedziałam o niebezpieczeństwach na jakie był narażony. Myśmy sobie nic nie opowiadali, żeby nie denerwować się wzajemnie i rodziny. Konspiracja była nie tylko na zewnątrz, ale także wobec własnej rodziny. Nie wiedziała, było łatwiej: mniej nerwowo.

Śmierć mojego brata nastąpiła w skandalicznych okolicznościach. Był aliancki zrzut broni koło Błonia, czy pod Łowiczem – nie pamiętam. Jędrek właśnie zrobił prawo jazdy i miał prowadzić z kolegą samochód ciężarowy z ładunkiem ze zrzutu, między innymi, z czterema karabinami maszynowymi. On

sam był uzbrojony w jedenastostrzałową belgijską „efenkę" i w granaty. Jechali nocą i w pewnym momencie zderzyli się z niemieckim samochodem. W samochodzie za nim jechali jego dowódcy. Nigdy nie należało jeździć na akcję ze starszymi dowódcami, którzy siedzieli za biurkiem! Mój brat miał pod sobą trzy sekcje. Oni nigdy martwego kolegi nie zostawili, nie mówiąc o rannym koledze.

W wyniku zderzenia, kolega siedzący na miejscu przy kierowcy zginął na miejscu. Niemcy naprzeciwko jechali na wygaszonych światłach, chyba coś szmuglowali, dlatego po zderzeniu uciekli. Mój brat został ranny na szosie.

Myśmy nie znali przebiegu wydarzeń. Do mojej rodziny, do domu, przyszła starsza kobieta, która powiedziała, że Jędrek zginął pod Miłosną i tam został pochowany. Nie tylko skłamali, ale i zmienili miejscowość. Ja wtedy mieszkałam w Alei Niepodległości. Ojciec zadzwonił do mnie, aby mnie o tym zawiadomić, ale ja miałam intuicję i wiedziałam, że brat nie zginął. Zaczęliśmy robić własne dochodzenie. Okazało się, że był wypadek pod Błoniem. Pojechałam tam z przyjaciółką, Halinką Adamowiczową, i poszłyśmy na posterunek policji.



Od lewej: Halina Adamowiczowa, Irka Czechowska (zginęła razem z Marią Bobrownicką w Powstaniu Warszawskim w okolicach Dworca Gdańskiego), Danuta Mancewicz, Barbara Bobrownicka, Andrzej Englert

Tam nam opowiedzieli o zdarzeniu i o tym, że brat leżał na szosie. Był czas – 17 godzin – żeby pojechać na miejsce i zabrać go. Ale jadący z tyłu dowódcy uciekli i dali nam znać, że Jędrek zginął. Pamiętam jak siedzimy na posterunku, a tam taka brązowa plama. Ja się pytam:

– „Dlaczego tu tak brudno?"

A oni odpowiadają:

– „To jest krew pani brata".

– „I nie daliście mu nawet poduszki?"

Wtedy podali adres lekarza, który po niego przyjechał. Ten lekarz od razu mnie rozpoznał, bo my byliśmy podobni do siebie. Od niego dowiedziałam się, że przyjechali Niemcy i zawieźli Jędrka do separatki do Pruszkowa. Pojechałam wtedy z Halinką do Pruszkowa, ale jego już tam nie było.

Byłyśmy w sumie w dwóch miejscowościach, nazwy drugiej z nich nie pamiętam i z każdej go zabierano. Niemcy wiedzieli, kogo mają w ręku – odkryli ładunek w samochodzie – i szukali dla rannego separatki. Nie znali jednak jego prawdziwego nazwiska, gdyż miał przy sobie fałszywe papiery na nazwisko Andrzej Jastrzębowski.

Po trzech tygodniach znalazł się na Pawiaku. Był ranny w głowę i leczyli go. Jędrek był bardzo silny, tak że wyszedł z tego. Lepiej byłoby, żeby on tam wtedy umarł. Stasinek Sosabowski pomagał w ratowaniu go. A Halinka wpadła na pomysł, że mu na Pawiak poślemy zarazki tyfusu. Niemcy się bardzo bali tyfusu. Plan był taki, że jak go będą Niemcy wieźli do szpitala, to zostanie odbity przez kolegów z Kedywu. To był grudzień 1943. Więc poszła Halinka do łaźni chemicznej, nazbierała wszy i zaniosła do szpitala chorych na tyfus. W probówce zabrała wszy, żeby posadzić je na ciele chorego na tyfus, a zakażone wszy miały być dostarczone Jędrkowi do więzienia. Ale strażnik nie mógł się do niego dostać. I to się zmarnowało. Halinka poszła znowu do szpitala i przygotowałyśmy następną porcję zakażonych wszy. Mieszkaliśmy wtedy w Alei Wojska. Nie miałam nic do jedzenia. Poszłam zjeść jakieś ciastko, które kosztowało 20 groszy. W ciastkarni leżała gazeta „gadzinówka". W tej gazecie była lista powieszonych na Lesznie wśród których był mój brat, noszący – jak wspomniałam wcześniej – fałszywe nazwisko Andrzej Jastrzębowski.



Barbara Bobrownicka z siostrą Marią. Zdjęcie zrobione na Nowym Świecie podczas okupacji.

Koleżanka, która była przy egzekucji powiedziała mi, że Jędrek skopał tego Niemca, który chciał go powiesić. To miejsce jest naprzeciwko sądów.

Taka jest historia mojego brata, zaś moja siostra – Maria – zginęła w Powstaniu. Miała 18 lat i pracowała jako sanitariuszka. Ja przyszłam na Starówkę za późno, żeby ją chronić, bo ona niczego się nie bała. Ale mnie słuchała, bo ja byłam od niej o 3 lata starsza. Komendantka wysłała ją na Żoliborz i słuch po niej zaginął. Prawdopodobnie zginęła, wraz z dwiema dziewczynami, gdzieś koło Dworca Gdańskiego.

– Na reprodukowanym niżej zdjęciu widać Panią w towarzystwie brata Jędrka i Danuty Mancewicz. O bracie już Pani opowiedziała, proszę teraz powiedzieć kilka słów o Pani długoletniej przyjaciółce.

– Przyjaźnimy się już 64 lata. Poznałyśmy się jeszcze przed Powstaniem. Aktor Henryk Ładosz prowadził ognisko przy RGO, gdzie zajmował się rozwojem kulturalnym młodzieży i tam się poznałyśmy. Danuta Mancewicz wciągnęła mnie do konspiracji. Kiedy zaproponowała mi wstąpienie do konspiracji, przeraziłam się okropnie – bałam się – ale wstydziłam do tego przyznać. Na IV kolonii na Żoliborzu złożyłam przysięgę i doznałam dziwnego uczucia: tak, jakby spłynęły ze mnie wszystkie strachy, czułam fizyczny odpływ strachu po złożeniu tej przysięgi. To dziwna historia. Nie bałam się już później, chociaż przeżyłam różne „przygody" w czasie okupacji. Obie przeżyłyśmy. Danusia była w jedynym oddziale, który przebił się ze Starówki górą, przez Ogród Saski, w nocy z 30 na 31 sierpnia 1944 roku.



Na warszawskiej ulicy podczas okupacji. Barbara Bobrownicka (po prawej stronie zdjęcia) w towarzystwie Danuty Mancewicz i brata Jędrzeja

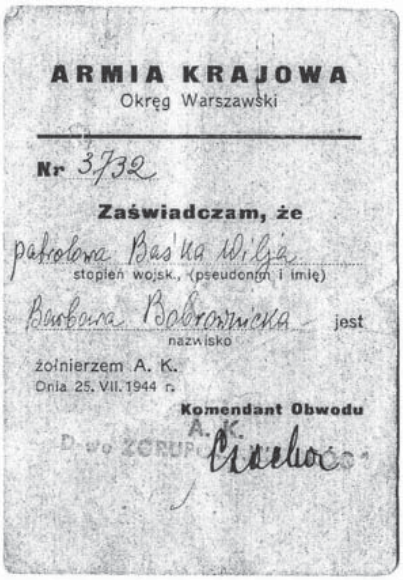
– Czym jeszcze – oprócz działalności konspiracyjnej- zajmowała się Pani podczas okupacji?

– Najpierw fascynowała mnie literatura, ale zmieniłam zainteresowania i poszłam do profesora Kotarbińskiego, na filozofię. Kiedy Kotarbiński musiał się ukrywać, skończyła się dla mnie również i filozofia. Chciałam mieć szersze horyzonty i poszłam do podziemnej szkoły nauk politycznych. Wcześniej zrobiłam maturę. Jednak nie chciałam być politykiem.

– Z jakim nastawieniem szła Pani do Powstania?

– Z radością – to było coś wspaniałego! Nie zastanawiałam się nad tym, czy powstanie się uda: tak daleko myślą nie sięgałam. Widziałam, jak Niemcy szli pokonani i pobandażowani. Miałam 22 lata i pstro w głowie. Nie widziałam oznak tego, że Niemcy nie są jeszcze pobici. Miałam tyle pracy. Musiałam zawiadomić tylu ludzi. Wciągałam ciężki rower na 4 piętro i zawiadamiałam. Zawiadamiałam, żeby wzięli żywność na trzy dni, bo za 3 dni powstanie się skończy.

– Jak zareagowaliście na odwołanie pogotowia do Powstania?


ARMIA KRAJOWA
Okręg Warszawski

Nr 3732

Zaświadczam, że

patrolowa Basia Wilga
stopień wojsk., (pseudonim i imię)

Barbara Bobrownicka jest
nazwisko

żołnierzem A. K.
Onia 25. VII. 1944 r.

Komendant Obwodu
A. K.

Legitymacja żołnierza Armii Krajowej, wydana Barbarze Bobrownickiej na kilka dni przed wybuchem Powstania

– Byliśmy oniemiali, wręcz oburzeni – to przecież była straszna dekonspiracja. Wszyscy brali żywność w pakunkach. Było to widać. Pamiętam uczucie zdumienia, kiedy okazywało się, że ten i tamten są z nami w konspiracji, że jest również nasz sąsiad, że jest nas tylu...

– Co Pani zapamiętała z pierwszych dni Powstania?

– Zacznę od wyjaśnienia, że Powstanie zaczęłam w Śródmieściu. Mój oddział był od początku na Starówce, ale ja zostałam pożyczona przez doktor Joannę ze Śródmieścia, bo lubiła mnie. Pamiętam ją: jasną blondynkę, uśmiechniętą. To był dobry człowiek. Przypadłyśmy sobie do gustu od razu. Myślałam o niej prawie jak o mojej matce. Wzięła mnie, bo tworzyłam dobrą atmosferę, byłam wesołkiem. Myślała, że będę z nią do końca powstania. Nie wiedziała że zginie za kilka dni.

Pamiętam moment wywieszenia biało-czerwonej flagi na Prudentialu. Najpierw chłopcy ściągnęli flagę niemiecką. Pamiętam jak w szale ją deptali. Postanowiliśmy z niej uszyć opaski. Wszystkie dziewczyny z tą opaską zrobioną z hitlerowskiej flagi, oprócz mnie, zginęły. Nie mogę powiedzieć, że opaska przyniosła pecha. Gdy później, po Starówce, wróciłam do Śródmieścia, to znalazłam swój grób. Wtedy powiedzieli mi, że będę długo żyła.

Zaczęłam powstanie na placu Dąbrowskiego 2/4. Byłam przy pierwszym ataku na Pastę, bardzo nieudanym, tragicznym. Późno zaczęliśmy ten atak. Oni strzelali do nas z góry jak do kaczek. Ulica była tam wąska i ci nasi ranni chłopcy siedzieli lub leżeli po bramach, a myśmy biegały na głos ich jęków i zbierały tych rannych chłopaków. Byłyśmy skulone, bo był ostrzał.

Nasz sanitariat w Śródmieściu znajdował się na placu Dąbrowskiego, pod numerem 2/4. Wysoki ośmiopiętrowy dom, w formie czworoboku. Wcześniej byli w nim uwięzieni folksdojcze, którzy zbiegli i dali znać Niemcom. Niemcy rzucili bardzo precyzyjnie bomby z samolotu.

Wszystko się zawaliło. Zginęły moje dwadzieścia cztery koleżanki, razem z doktor Joanną. Znaleziono moją opaskę i dlatego uznano, że ja też tam zginęłam. Wtedy też powstał mój grób, o którym już mówiłam.

Byłam tam, kiedy wszystko się waliło. Zerwały się przewody z wodą, a moje koleżanki, ranne, tonęły i chciały, żebym je ratowała, wyciągała, ale nie mogłam. Byłam taka przerażona! Zresztą, jak mogłam ratować, kiedy wszystko było tam zawalone, w piwnicy, Wyszłam z piwnicy i zobaczyłam schody. Myślałam o tym, że one tam są i że się nie walą! Wtedy się dowiedziałam, że włosy stają dęba, nie tylko w literaturze! Naprawdę można odczuć jak na głowie cebulki stają z przerażenia.

Potem, kiedy zostałam sama, bo mój oddział zginął w całości, kazali nam pójść do PKO. Powiedzieli, żeby iść do schronu. A ja do schronu nie poszłabym już za żadne skarby świata. Raptem usłyszałam: „Starówka!". Tam był mój pierwotny oddział i tam była moja siostra. Poszłam na Starówkę.

– Który to był dzień?

– Na pewno przed 5–6 sierpnia, było jeszcze połączenie Śródmieścia ze Starówką.

– Jakie były najważniejsze etapy Pani walki i pracy na Starówce?

– Na początku miałam wyrzuty sumienia, że opuściłam ten gorący odcinek, którym było Śródmieście. Na Starówce początkowo było spokojnie, ale jak zaczął się niemiecki atak, to od razu był gwałtowny i zmasowany. Byłam w Zgrupowaniu „Roga", a moja kompania nosiła numer 101. Porucznik „Szczerba" – Zygmunt Blisiewicz, aktor wileński, był naszym dowódcą plutonu. Potem, po wojnie, popełnił samobójstwo w Niemczech.

Jestem pełna uznania dla tych chłopców, dla ich odwagi i szlachetności. W mojej kompanii byli ludzie już zaprawieni w walce. Pochodzili z różnych dzielnic. Nawiasem mówiąc, to był dobry pomysł, żeby nas rozdzielić od swoich, bo inaczej nie można by chyba tego przeżyć.



Koledzy Barbary Bobrownickiej ze 101 kompanii. Zdjęcie zrobione w Śródmieściu przez Sylwestra Brauna, pod koniec września 1944 roku

Stosunki w moim oddziale były doskonałe. Tylko jedna osoba – komendantka – mi dokuczała, ale to też z mojego powodu – odmówiłam rozkazu przejścia na Kilińskiego i powiedziałam jej, że jest tchórzem. Chodziło o to, że gdybym wykonała jej rozkaz i opuściła Rynek, to z Kilińskiego nie byłabym w stanie dobiec na czas, aby udzielić pierwszej pomocy. Pozostałam w okolicach Rynku i Katedry do końca Powstania. Byłam tam patrolową. Formalnie podlegałam wspomnianej komendantce, ale faktycznie przebywałam ze 101 kompanią i dla niej pracowałam. Pracowałyśmy też strasznie dla ludności cywilnej.

Byłyśmy jedynym patrolem, który tam był, w okolicach Rynku Starego Miasta.

Wracam do pana pytania, czyli do najważniejszych etapów mojego pobytu na Starówce. Pierwszy chrzest bojowy na Starówce miałam jeszcze przed 13 sierpnia, pamiętnej dacie wybuchu czołgu na Kilińskiego.

Było to wtedy, gdy nastąpił jeden z pierwszych nalotów na Starówkę. Na Piwnej spadły bomby i zwaliły dom. Pamiętam ten niosący się donośny głos: „Sanitariuszki!!!" To było jeszcze przed rozpoczęciem generalnego szturmu na Starówkę.

To, co przeżyłam wtedy na Piwnej było moim chrztem bojowym. Byłam patrolową i zjawiłam się na miejscu z moimi dziewczynkami. Widziałam matki biegające wkoło, oszalałe z rozpaczy, bo tam były ich zasypane dzieci. Nasi chłopcy zaczęli odsypywać gruzowisko, ale to wszystko trwało dla mnie za wolno. W pewnym momencie zdawało mi się, że oszaleję w tym wszystkim. I nagle coś dziwnego się we mnie stało, przeobraziłam się w zupełnie innego człowieka. Ogarnął mnie rodzaj spokoju.

– Na zawsze to już Panią przemieniło?

– Tak. To wtedy stałam się żołnierzem. Przecież nie nadawałam się wtedy na żołnierza. Dawałam walerianę tym szalejącym matkom. Cóż mogłam im poradzić! Odnosiliśmy rannych. To był pierwszy moment. Wkrótce po tym bombardowaniu Niemcy wzięli się za Starówkę.

– Kolejnym ważnym wydarzeniem był wybuch na Kilińskiego w dniu 13 sierpnia?

– Miałam punkt sanitarny w domu Baryczków, pod dwójką. Widzę jeszcze dziś ten jadący czołg – rodzaj tankietki. To był czołg zdobyty przez naszą kompanię. Pamiętam szał radości. Koledzy krzyczą do mnie, żebym dołączyła do nich. W pierwszej chwili chciałam to uczynić, ale miałam zostawić moje dziewczyny? Przecież byłam patrolową.

Podczas przejazdu czołgu nastąpiła zjawiskowa sytuacja: jechał chyba przez Wąski Dunaj i ludzie rozebrali barykadę, ale to było tak, jakby ją ktoś zdmuchnął! Czołg przejechał, po czym barykada stanęła z powrotem. Po tym wróciłam do siebie na kwaterę. W pewnym momencie usłyszałam i poczułam straszną detonację. Byliśmy już przyzwyczajeni do wszelkich pocisków, do dział kolejowych i do pociągów pancernych. Rodzaje broni rozróżnialiśmy po głosie. Wychodzę i widzę nad domami straszny kłąb dymu. Bierzemy nosze, bo coś się stało. Idziemy. Przychodzimy i widzimy górę ludzi, górę rąk i nóg. Ręce. Krew i zabite lub ranne dzieci. Wszystko razem. W momencie wybuchu zebrało się tam dużo ludzi, żeby wysłuchać pod głośnikiem audycji z Londynu. Mnie tam nie było tylko przez przypadek. Na piętrach wisiały oderwane ręce. Widziałam chłopców, którzy oszaleli zupełnie i zbierali głowy do worków i gdzieś je wynosili. I ten za-

pach krwi i tynku nie do wytrzymania! To było straszne. W szpitalu „Pod Krzywą Latarnią" było pełno rannych. Lekarze operowali, a przed wejściem leżała kolejka ludzi. Układaliśmy ludzi w kolejce. Nie wiedzieliśmy, czy oni jeszcze żyją. Pamiętam nieprzytomną małą dziewczynkę, może jeszcze żyła, nic nie mówiła. Lekarze przy świecach operowali tych rannych ludzi i mdleli z przemęczenia.

Wracałyśmy stamtąd nieprzytomne od odoru krwi i od wrażeń. W pewnym momencie widzimy: idzie chłopak po ulicy i śpiewa – upił się. „Takie nieszczęście – mówię – a ty poszedłeś się upić."

– „Bo ja jechałem na tym czołgu i poszedłem na chwilę na kawę."

Takie było jego przeznaczenie: tylko on wyszedł z tego czołgu, a jego koledzy zginęli.

Muszę powiedzieć, że o tych, co mieli zginąć, wiadomo było wcześniej, że zginą. Pamiętam, jak na punkt sanitarny przychodził kolega, który mi opowiadał o rodzinie, o matce. Ja wiedziałam, że to jego koniec. Miałam takie przeczucie, które się sprawdzało, bo miałam tych przypadków dużo. Pamiętam wysokiego Jurka z Marymontu, blondyna, który opowiadał, jak jego matka ciężko pracowała, żeby on skończył studnia. Kiedy go widziałam opowiadającego o tym, jak wróci do domu, to wiedziałam, że zginie.

Ja wiedziałam, w przeciwieństwie do mojego brata Jędrka, który już w 1940 roku zapowiedział, że nie przeżyje wojny, że nie zginę i wszyscy w mojej rodzinie o tym wiedzieli.

I na drugi dzień z tym Jurkiem było tak. Niemcy wstrzeliwali się w Brzozową z Pragi i strzelali z dział do pojedynczych osób. Wzywają nas i mówią, że jest 5 rannych. Jurek, ten który nas wzywał, nie powiedział nam, że tam Niemcy strzelają. Ja prowadzę ten patrol i w pewnym momencie coś mnie tknęło i mówię: „Biegiem!"

Nie wiem dlaczego to powiedziałam. Pocisk rzucił nas na schody, a mnie ocaliło jakieś metafizyczne ostrzeżenie. Potem przyszłam na miejsce. Pięciu chłopaków przed nami szło, wśród nich Jurek. Leżał na stole, a wnętrzności miał na wierzchu.

– Potem, do samego końca Pani pobytu na Starówce, walczyła Pani w okolicach staromiejskiego rynku i Katedry Świętego Jana?

– Tak. Tam byli nadzwyczajni ludzie, o których się nic nie wie. O naszym dowódcy Zbigniewie Blisiewiczu, który był aktorem wileńskim, już wspomniałam wcześniej. Był niezwykłym człowiekiem. Nie można pominąć ludności cywilnej. Za mało się o niej mówi. My byliśmy szczęściarzami, bo byliśmy w akcji, my nie mieliśmy czasu na strach, a oni siedzieli w piwnicy. Na Starówce, piwnice miały grube mury i tam się rodziły dzieci. Tam mojej znajomej urodził się syn, który ogłuchł od bomby. O tym za mało się mówi. Nie było światła, nie było wody. Ja byłam sanitariuszką, a nie miałam wody do rąk. To po prostu trudno sobie wyobrazić. Nie zrobiłam żadnego zakażenia. Zresztą jako sanitariuszka, odnosiłam ludzi do szpitala i szpital się dalej męczył. Moja rola polegała na udzielaniu pierwszej pomocy.

Gasiliśmy Katedrę. Najpierw gasiliśmy, bo potem ją podpalaliśmy. Na Jezuickiej przeżyłam coś strasznego. Zawsze byłam molem książkowym, a tam widziałam jak paliły się białe kruki. Te książki miały po 300–400 lat i nie mogliśmy ich uratować.

Inna historia. Miałam koleżankę, Basię Rankowską, która razem ze mną zdawała maturę. Była zjawiskowo piękna. Wszyscy ją znali z urody, która promieniowała. Basia poszła do Katedry. Chciała zobaczyć rzeźbę, a to był Niemiec i strzelił do niej raniąc ją w brzuch. Była w szpitalu. Jest książka „Wspomnienia lekarzy z Powstania" – polecam.

Doktor Kujawski opisuje, jak Basia była w szpitalu. Była operowana i w tym momencie przyszedł jej narzeczony z kompotem. Dał jej kompot, po czym ona umarła. Ten chłopak, kiedy się dowiedział, że on właściwie ją zabił (najpewniej i tak by umarła, ale to była bezpośrednia przyczyna jej śmierci) skoczył z rozpaczy do Katedry i tam Niemcy go zabili na miejscu. To była forma samobójstwa z jego strony.

– Jak Pani reagowała na widok cierpienia ludzi, którym często nie można było pomóc w sytuacji, gdy powstańcze szpitale mieściły się w piwnicach pozbawionych elektryczności, środków medycznych?

– Byłam sanitariuszką, a nie pielęgniarką. Moja rola polegała na przykład na zatamowaniu krwotoku i odniesieniu do szpitala. W tym względzie posiadałam środki, aby wykonywać swoje zadanie. Gorsze zadanie mieli lekarze

i pielęgniarki, które musiały się zajmować rannymi pracując przy świecach, nie mając w wielu przypadkach odpowiednich środków, ani wystarczających warunków, aby ratować rannych.

Jednym z moich zadań było niesienie rannego, ale i to nie było takie proste: wszędzie były same gruzy, przez które trzeba było iść i nie można było się poślizgnąć, trzeba było tak postawić nogę, żeby rannemu nie zrobić krzywdy. To była bardzo ciężka praca, ale to był również imperatyw uczuciowy: to byli nasi koledzy i jeśli można komuś pomóc, to człowiek nie myśli wtedy o sobie. Człowiek nie myśli, tylko działa. Człowiek jest narzędziem, działa i wierzy, że może pomóc. Nie kalkuluje: „A nuż się uda?". Nie. Myśli: „Ja go uratuję, ja ratuję życie człowieka".

W wielu przypadkach, ranni nam pomagali swoją postawą. Pamiętam przypadek siedemnastoletniego chłopca, któremu zmiażdżyło stopę. Lekarz mu obcinał palce, bez znieczulenia. Ja go trzymałam za rękę. Opowiadaliśmy sobie kawały. To było niesamowite przeżycie. Nie wiem, które z nas bardziej cierpiało. Nie zdawałam sobie sprawy, jak on cierpi, prawda? Ani pisnął. Jeżeli rozpaczali, to było tak w przypadku starszych rannych, na przykład w wieku 40 lat. Oni od razu „odpadali". Ale nasi młodzi byli nadzwyczajni. Tego chłopca spotkałam w Niemczech w obozie jenieckim, kiedy jechał do Polski, już po wyzwoleniu.

– Ja sam boję się nawet myśleć o tym jak zachowałbym się w podobnej sytuacji.

– Gdyby miał pan pięcioletnią zaprawę, gdyby pana nauczono strzelać, gdyby miał pan kolegów, na których można liczyć i którzy panu ufają, to byłby pan innym człowiekiem. Gdyby taka sytuacja teraz się powtórzyła, to wszyscy zrobiliby to samo, co my. Młodzież obecna jest wspaniała. Naprawdę. Ciężko pracująca. My byliśmy lekkoduchami. Kiedy jakieś skrzeczące osoby narzekają na młodzież, to ja bym chętnie je udusiła. Im człowiek sam był bardziej marny, tym więcej marności szuka w innych ludziach. Ja mam tylu wnuków i znam ich kolegów, dlatego mówię: gdyby trzeba było, byłoby tak samo, a może lepiej! Być może częściowo dzięki doświadczeniu, które byśmy im przekazali.

Dzisiejsza młodzież ma inne zadania. Jaka ja byłam? Miałam siedemnaście lat, za rok miałam pójść na pierwszy bal. Wyobrażałam sobie suknię i salę balową w której będę brylować.

To było moje najważniejsze marzenie.

– To jednak nie odbiega od marzeń wielu współczesnych nastolatek. Wystarczy wspomnieć o popularnym w ostatnim czasie programie telewizyjnym «Taniec z gwiazdami».

– Ja nie oglądam telewizji i nie widziałam tego programu. Kiedyś na początku, kiedy była jeszcze czarno-biała, była jeszcze znośna. Teraz to już co innego.

Zaś do balu nie doszło. Wybuchła wojna.

Z Halinką (była w delegaturze rządu) zastanawiałyśmy się, kim byłybyśmy gdyby nie wojna? Rozmawiałyśmy o tym, jak to się człowiek „uczłowieczał" w innym kierunku.

– Sądzę jednak, że nawet gdyby wojna nie wybuchła, to i tak wyrosłaby Pani z marzeń o balach.

– Ależ oczywiście. Chciałam być naukowcem. Dla mnie nauka była wszystkim. Nie chciałam wychodzić za mąż. Ale uczucie przezwyciężyło chęć do nauki.

Wojna nas wychowała. Byliśmy przecież smarkaczami.

– Później, po przezyciach wojennych, życie już niewiele mogło Panią nauczyć?

– W moim przypadku było wprost przeciwnie. Byłam zawiedziona zachowaniem niektórych moich koleżanek, które nie wyrosły z Powstania. Życie jest fantastyczne. Nie wolno, nawet na chwilę, przestać z niego czerpać. Trzeba do końca walczyć i uczyć się. Walczyć – przede wszystkim z samym sobą, bo nam się nie chce, bo w siebie nie wierzymy. W Powstaniu – już opowiadałam – moja walka polegała przede wszystkim na walce z własną słabością, ze strachem.

Szczególnie w moim przypadku, jeżeli udało mi się żyć i przeżyć wojnę, i Powstanie. Staram się jak najwięcej czerpać z życia.

– Czy może Pani podać jeszcze kilka przykładów zachowań ludzi w czasie walk na Starówce, które najgłębiej zapadły Pani w pamięć?

– Jak opuszczaliśmy Jezuicką, o której wcześniej opowiadałam (kiedy płonęły „białe kruki"), trzeba było podpalać domy, żeby Niemcy do nas nie mieli dostępu. Nas było tak niewielu, że nie mogliśmy się bronić inaczej. Brat Basi Rankowskiej, tej która zginęła, zgłosił do „Szczerby", że on sam podpali własny dom, na Brzozowej. Potem musieliśmy podpalić następne domy. Wtedy przyszło dwoje starych ludzi. Dla mnie wówczas oni byli bardzo starzy, ale byli młodsi, niż ja w tej chwili. Byli biedni, tacy mali i mówią do naszego porucznika „Szczerby":

– „Dlaczego chcecie spalić nasz dom?"

A on im tłumaczy i widzę, że ma łzy w oczach. To był szalenie wrażliwy człowiek. A postawa tych ludzi była taka:

– „Musicie palić, to palcie".

To do końca życia się pamięta.

Mam jeszcze jedną historię w związku ze „Szczerbą". Przysłali do nas w odsiecz, bo nas było coraz mniej, grupę porucznika Leśniewskiego z Kampinosu. Nie można przysyłać ludzi z Kampinosu do miasta!

– Nie byli przyzwyczajeni do tych warunków?

– Tak. Dlatego porucznik Leśniewski pił. Była w pewnym momencie akcja Niemców. Nasz porucznik „Szczerba" nie chciał puścić oddziału Leśniewskiego do akcji. A on się bardzo awanturował, uważał się za takiego bohatera itd. „Szczerba" uległ i pozwolił mu pójść do akcji. I pierwsza kula zabiła Leśniewskiego, kiedy się wychylił zza muru. Człowiek był nietrzeźwy, a jego żołnierze tak strasznie skrzywdzili „Szczerbę": po prostu oskarżyli go o to, że przez niego zginął Leśniewski! A ja pamiętam doskonale, jak „Szczerba" nie chciał mu na to pozwolić. Inaczej wyglądała walka w lesie, inaczej tutaj. Później już ludzi Leśniewskiego nie widziałam.

– Skutki ostrzału w warunkach gęstej zabudowy musiały być zwielokrotnione?

– Ale z drugiej strony Starówka dawała zabezpieczenie. Niemcy rzucali „szafy". Miałam punkt sanitarny, pod dwójką, na Rynku Starego Miasta. „Sza-

fy" leciały w naszym kierunku. Były straszne podmuchy. Co przeleciały, to pociski wszystko nam rozwalały i podłogę szorowałyśmy, żeby było czysto. Potem znowu, następne. Kiedyś był taki pocisk, co przyleciał nawet nie wiemy jak. Nagle wszystkie cztery zostałyśmy zamknięte w ubikacji. Nawet nie wiemy, jak żeśmy tam przeleciały, bo każda znajdowała się wcześniej w innym miejscu. Byłam z koleżankami za tymi zatrzaśniętymi drzwiami z jedną myślą: „A jak się nie otworzą?" Ale się otworzyły. Postanowiłyśmy nie myć podłogi i potem ani jedna szafa nie zagrała. Ta podłoga przynosiła nam pecha.

– W odniesieniu do Starówki przyjęło się określenie, że było to «piekło». Zacytować można choćby tytuł książki Podlewskiego «Przemarsz przez piekło». Czym, Pani zdaniem, charakteryzowało się piekło Starówki?

– Ja tego nie mogę określić jako „piekło". Były to poszczególne wydarzenia. To była praca codzienna. Czułam, że jesteśmy potrzebni. Wiedziałam dlaczego to robimy i nie traktowałam tego jako piekło. Traktowałam to jako walkę i obowiązek. Radość, że my się wyzwolimy i nareszcie tych Niemców nie będziemy mieli. Jak opowiadałam, w domu tradycja walki o niepodległość była od pokoleń. Ja wyrosłam w tym klimacie.

– Można było więc do tych warunków się przyzwyczaić. Człowiek nie bał się przez cały czas?

– Powiem coś bardzo dziwnego. Myśmy się tam czuli bezpiecznie. Nie czułam się zagrożona mimo świadomości, że jest nas mało, że jesteśmy zostawieni sami. Znałam każdy kąt. Znałam tych ludzi. Nie byliśmy nadludźmi. Po prostu do pewnych rzeczy się człowiek przyzwyczaja.

– Morale było zatem do końca wysokie?

– Tak. Także ludności cywilnej dodawaliśmy otuchy. Staraliśmy się im pomóc w tym strasznym piekle w którym żyli, w głodzie, zaduchu, ciemnościach. Rola sanitariuszki jest taka, że trzeba pomóc, trzeba ratować, nie można sobie pozwolić na żadne załamania. Nie można wątpić, czy to, co się robi jest skuteczne. Ja się z tym dobrze czułam, jako kobieta. Były inne dziewczyny, które „przelotem" strzelały z pistoletu. Ja do nikogo nie strze-

lałam i chwała Bogu! Nie jestem w stanie wyobrazić sobie człowieka, który pada po moim strzale.

– Czy może Pani opisać swoje ostatnie chwile na Starówce?

– Kiedy zaczęliśmy się wycofywać, ze składu naszej kompanii pozostało na linii 27 chłopaków. W każdej z bram, na Rynku, stało ich po dwóch, rozmawiali szeptem, bo tam były już tysiące Niemców i nie mogli wiedzieć, że tam tylko 27 naszych pozostało, a pozostałe nasze oddziały wycofywały się do kanałów. My trzymaliśmy Rynek i zbliżał się wieczór. Koło domu Baryczków jest drugi dom, nie wiem jak on się nazywa. W nim był usadowiony jeden z chłopców, który miał lkm. On ostrzeliwał wszystkie narożniki, żeby Niemcy mieli złudzenie, że my tam wciąż jesteśmy. W pewnym momencie ten lkm mu się popsuł. Zaczął uciekać. Żołnierz bez broni jest tak bezbronny. To jest dla niego szok. To nie jest oskarżenie z mojej strony. I ja też uciekam przez te ruiny. A miałam tobołek sanitarny, bo już byłam tylko jedna. Wszystkie dziewczyny poszły na Kilińskiego. W pewnym momencie, uświadomiłam sobie, że tam jest tych dwudziestu kilku chłopaków. A na Rynku już zielono od Niemców.

Rzuciłam swój tobołek i biegnę na Krzywe Koło. Tam był oddział AL. Mówię ich porucznikowi, żeby on mi dał ludzi, że musimy strzelać, bo tam są nasi chłopcy. Dał trzech chłopców z karabinami Ja wracałam z nimi. Znowu mi włosy z przerażenia stawały na głowie, ale wiedziałam, że jak ja się cofnę, to oni uciekną. Strach jest okropną rzeczą! Ale trzeba go jakoś trzymać w garści. Każdego ustawiłam w innym oknie. Jak oni zaczęli strzelać, to z kolei Niemcy wpadli w panikę. Myśleli chyba, że przygotowaliśmy zasadzkę. I tak uciekali, tylu ich zabili – moja radość – wstydzę się jej. Niemcy byli tak napięci, nic nie widzieli, że musieli chyba się przestraszyć. Jeden był zabity na siedząco, w deskach. Zielono było od mundurów poległych Niemców. Ja się wstydzę do dziś dnia, że się tak cieszyłam. Zaczęłam krzyczeć jak wariatka, że już Niemców nie ma! Byliśmy tam razem, AK i AL. Nie było żadnych złych stosunków pomiędzy nami.

– Pani dowodziła tym kontratakiem, bo poustawiała na stanowiskach strzeleckich tych chłopców z AL.

– Można tak powiedzieć, gdyż naszego porucznika wtedy nie było, był na jakimś zebraniu. Przyszedł jego zastępca i powiedział, że zostawia mnie jako dowódcę, żebym dowodziła, po czym odszedł.

Po tym zdarzeniu miałam jeszcze inną historię, związaną z kamienicą Baryczków. Mówiłam, że na Starówce nie było wody, że jako sanitariuszka nie miałam czym umyć rąk do opatrunku. Po skończonej akcji, o której mówiłam wcześniej, otworzyłam pokój, a tam po sufit były zapasy wody sodowej. Co to było za przeżycie!

Jeszcze jedno przeżycie z ostatnich chwil na Starówce. Myśmy trzymali przez cały czas Rynek, ze względu na trwającą ewakuację kanałami. Znalazłam pancerfausta. Myślę sobie tak: „My odchodzimy, musimy to schować, bo jakieś dziecko weźmie to do ręki i jeszcze je rozerwie". Poszłam w pobliskie ruiny i szukam miejsca dla schowania pancerfausta, a tam spotkałam dziecko, sześcioletnie, niebieskookie. Do dziś pamiętam tego chłopczyka. On mnie pyta: „Odchodzicie?" Odpowiedziałam mu, że nie. To kłamstwo i te dziecinne oczy pozostały we mnie na zawsze...

Jeszcze jedna rzecz. Kiedy pozwolono nam zejść z posterunku i iść do kanału. Była taka ciemna noc.

– Nie było pożarów – tylko ruiny?Zawsze myślałem, że noc na Starówce musiała wyglądać jak dzień, od pożarów.

– Wtedy była całkowita ciemność. Wcześniej, jak się coś spaliło, to nocą wyskakiwały jęzory ognia – to było niesłychanie malownicze. Starówka była murowana. Pożary były wtedy, jak się deski, które były w środku, paliły. Mury słabo się paliły, ale „wspaniale" przewracały się. Było bombardowanie i dom się rozłamywał, a ściany powoli waliły na ziemię i zostawała góra gruzów.

Posuwając się w ciemności trzymaliśmy się za ręce, żeby się nie pogubić. Na chodnikach stali ludzie, cywile. Myśmy ich nie widzieli, ale wyczuwaliśmy ich wzrok na sobie. W pewnym momencie, któryś z nich się odzywa: – „Zaczynaliście, to nie pytaliście nas. Teraz odchodzicie i też nic nie mówicie."

To były słowa, które zapadały gdzieś głęboko w człowieku i towarzyszyły przez wiele lat.

Na końcu, nie mając gdzie spać, spałyśmy na podłodze. Dostałam wspania-

ły koc, włochaty. Mogłam ten koc na podłodze rozciągnąć i to był mój wielki przyjaciel. Gdy stanęłam przed włazem do kanału, major („Barry") kazał mi go zrzucić. Ja rozumiem, że nie mogłam go wziąć, ale to było tragiczne rozstanie. On leżał tam taki samotny, a ja czułam się jak zdrajczyni. To są trudne rzeczy do zrozumienia!

– Czy po zejściu do kanału odczuła Pani ulgę? Dla niektórych Powstańców to była ulga, gdyż poczuli się bezpieczniej niż na powierzchni, gdzie były strzały itd...

– Ja się nie bałam strzałów, gdyż – jak mówiłam – wiedziałam, że nie zginę. Ja się kilka razy „niewąsko" bałam, opowiadałam już o tym. Bałam się strasznie piwnic, że mnie zasypie, tego się bałam.

Kiedy szliśmy kanałami, to wszyscy byli tak zmęczeni, że wydawało się, że nie przejdziemy. W pewnym momencie mojemu koledze, Wojtkowi Wrońskiemu (potem był prezydentem Toronto) spadł hełm do tego świństwa. Był tak zmęczony, że go podniósł i włożył sobie z powrotem na głowę, razem z zawartością. Wtedy zaczął tak strasznie wymyślać, że nas to wszystko rozbawiło. Zapomnieliśmy o ciszy, która obowiązywała w kanale.

Nasze kanały staromiejskie, to nie były te kanały, które są na filmie Wajdy. Trzymaliśmy się za ręce. Nieczystości sięgały do kostek. Marsz był bardzo nużący, aż w pewnym momencie miałam chęć położyć się w kanale, żeby już nie iść. Było mi wszystko jedno, ale na myśl, że wszyscy po mnie przejdą, to jednak nie mogłam się położyć. Byliśmy tak bezsilni!

Wyciągali nas przy Wareckiej. Nie mogliśmy wyjść o własnych siłach. Pierwsze wrażenie było takie: domy stoją, jest światło! Położyli nas na jakiejś słomie, a byliśmy cuchnący i obrzydliwi. Dali nam soczewicę, czy coś takiego. Następnego dnia już nie było jedzenia i słyszało się, że „Starówka rabuje!" Przecież musieliśmy coś jeść.

Wtedy, w Śródmieściu, była inna sceneria, ludzie też byli inni. Usłyszałam czyjś głos:

– „Przyszliście tutaj, to teraz się wezmą za nas!"

Oni uważali, że my im sprowadziliśmy Niemców na głowę! Nasza walka nie miała dla nich znaczenia.

Leżeliśmy na betonowej podłodze i nie mogliśmy się umyć. Na początku dostaliśmy miskę soczewicy, a potem już nic. Oni nas przyjęli z obowiązku Nie było serdeczności, nie było wspólnego języka.

Tak wyglądały kontrasty między Starówką i Śródmieściem. Później jednak, po bombardowaniu i walkach w początkach września, Śródmieście też wyglądało jak Starówka. Po upadku Starówki, w obronie Śródmieścia, dużą rolę odegrały te zmęczone i wykrwawione oddziały ze Starówki.

– Proszę opowiedzieć, co się z Panią działo później, w Śródmieściu.

– Byliśmy potem w Hotelu Savoy, ale musieliśmy go opuścić, bo strzelali z „szaf" i stamtąd poszliśmy do konserwatorium.

Poszłam wówczas na ulicę Kopernika, bo tam była siostra naszej komendantki. Na trzecim, czy czwartym piętrze były wspaniałe książki. Zakopałam się w tych książkach i zapomniałam o świecie, a wtedy ten dom został zbombardowany. Kiedy się ocknęłam okazało się, że leżę na progu, a pode mną jest przepaść. Cały dom był zburzony i nie wiem jak ja się tam znalazłam, na tym progu, nad przepaścią. Pewnie rzuciły mnie tam podmuchy eksplozji ... Leżałam tam i nie wiedziałam, co mam zrobić. Bałam się ruszyć. W pewnej chwili usłyszałam na podwórku następującą rozmowę:

– „Ja po nią pójdę!"

Wszyscy mu odradzają, że dom się na niego zwali... On jednak poszedł na górę po mnie. Ja byłam tak „niewychowana", że straciłam przytomność. Nie wiem jak ten chłopak mnie zniósł. Podobno ręce miał całe pokrwawione. Nieprzytomny człowiek jest dużo cięższy. Ja tego chłopca nigdy nie widziałam, nie wiem nawet jak miał na imię. Kiedy otworzyłam oczy okazało się, że leżę na psim posłaniu, a nade mną stoi wielkie zwierzę – dog – z takimi mądrymi oczami. I patrzy na mnie. Zazwyczaj pies nie wpuszcza na swoje posłanie obcego człowieka. Ja patrzyłam na niego, a on patrzył na mnie. Nikogo tam nie było oprócz mnie i tego psa.

– Opowiadając o Starówce, podawała Pani przykłady solidarności międzyludzkiej. W tym przypadku mamy przykład solidarności zwierzęcia z człowiekiem. Innym przykładem solidarności ludzi ze zwierzętami są

gołębie na Starówce, przedstawione przez Panią w opowiadaniu pt. «Nasz Maciek».

– Opisałam to, bo był to dla mnie przykład wielkiej przyjaźni i symbiozy. Te biedne gołębie nie wiedziały o moim istnieniu, ale ja wiedziałam o nich. Widziałam te straszne samoloty i porównywałam je do tych słabych, gołębich skrzydełek. Nie wiem, co te głodne ptaki tam znajdowały do jedzenia? Myśmy już dawno nie mieli co jeść.

– Nie polowano na te gołębie?

– Nie.

W.W.: Czytałem, że w Śródmieściu łapano gołębie na pożywienie.

– Nie wyobrażam sobie, aby ktoś z nas na Starówce zjadł gołębia. Jednak później, w Śródmieściu, nasi chłopcy jedli psy, a psy czym się mogły żywić? Chyba tylko trupami. Ale o psie opowiem potem.

– Może na Starówce było lepsze wyżywienie?

– Niektórzy sobie magazynowali „na boku". Woda sodowa, którą znalazłam w ostatnim dniu na Starówce pochodziła z takich zapasów. Zmarnowała się. Nie było już czasu, żeby ją spożytkować.

Nie mieliśmy właściwie czasu na organizowanie sobie jakiegoś wyżywienia Jak patrzę wstecz to się dziwię, że przeżyliśmy. Ale później, w obozie, było jeszcze gorzej i też przeżyliśmy.

Był taki okres, kiedy nie było co jeść. Trzeba było jeść cukier w kostkach przez cały czas Można znienawidzić cukier w kostkach jak jest on tylko do jedzenia.

Wracam teraz do dalszego ciągu moich przeżyć w Śródmieściu. Ktoś później mnie zabrał z psiego posłania, bo miałam ranne kolano i poszłam z nim do konserwatorium. A tam koleżanki mówią: „Nie przychodź, bo będzie bombardowanie". Zawsze tak było, że tam gdzie ja byłam, tam spadały bomby. Wiedziałam, że samoloty za mną „chodzą". Zaraz też się zjawiły i zapaliły budynek konserwatorium. Dwoje naszych kolegów było w którymś z pomieszczeń (kolega z koleżanką). Stukali i walili, żebyśmy ich uwolnili, a myśmy nie



Barbara Bobrownicka (przy kotle) gotuje dla kolegów zupę z mąki kukurydzianej. Okolice Poczty Głównej. Fot: Sylwester Braun

mogli, bo ogień. Wtedy Wojtek Wroński chciał się zastrzelić, ale wyrwali mu pistolet z ręki. Oni się tam musieli spalić. Nie byliśmy w stanie cokolwiek dla nich zrobić. I poszliśmy, a oni musieli tam zostać.

Potem byłam przez tydzień na wypoczynku – z powodu kontuzji kolana – w Śródmieściu Południe u cioci, która miała wyfroterowane podłogi. W tym czasie, Niemcy zdobyli Powiśle i atakowali gwałtownie Śródmieście. Ja wróciłam do mojego oddziału już po zakończeniu największych walk. Przebywałam z kolegami u braci Jabłkowskich na Poczcie Głównej.

Tam miałam następujące zdarzenie.

Przez trzy dni trwało zawieszenie broni. Przyszli wtedy do nas żołnierze niemieccy, to byli właściwie chłopcy. Byli bardzo mili, świetnie nam się rozmawiało. Jak my żeśmy się doskonale rozumieli! Potem, za trzy dni, ponownie zaczęliśmy do siebie strzelać. Jeden z nich opowiadał o sanitariuszce, czy też łączniczce, którą widział w czasie walk, biegła, z opaską na ramieniu, a on nie mógł, nie chciał do niej strzelić. Widziałam tę jego bezradną twarz i do dziś tego człowieka pamiętam. Pierwszy raz widziałam, że Niemiec to może być człowiek.



Barbara Bobrownicka na placówce w Poczcie Głównej z kolegami ze Starówki Fot: Sylwester Braun

Inne charakterystyczne zdarzenie z tego okresu. Wracałam do Śródmieścia Północ ze Śródmieścia Południe. Przede mną szli ludzie, cywile. Nieśli worki pszenicy – nie widać było człowieka, tylko ten worek na nogach. W pewnym momencie ktoś się odwrócił i do mnie: „To przez was!", bo ja miałam przecież opaskę na ramieniu.

– Czy miała Pani panterkę?

– Nie miałam panterki, nie byłam tak uprzywilejowana... byłam w marynarce mojego brata ciotecznego. Przecież w sierpniu, jak szłam na powstanie, to miało trwać trzy dni... I ci ludzie stawiają worki i idą do mnie. Oczy tych ludzi są straszne! Ja się przeciskam do ściany i czuję, że to za chwilę koniec ze mną! W pewnym momencie jakiś głos się odzywa:

– „Ludzie co wam ta dziewczyna zrobiła?"

Nagle opamiętali się i wrócili do swych worków, wzięli je na plecy i poszli dalej. To było pod koniec września, ostatnie dziesięć dni Powstania. Jak przyszłam, to byliśmy koło Brackiej, czy na Brackiej – Bracia Jabłkowscy. Chłopcy zaproponowali: „Jemy psa!" A ja mówię: „Nie! Dla mnie pies ma duszę i psa jeść nie będę!"

Oni robili później taką historię: siadali na kanapie i jak ja przychodziłam, to szczekali i mówili, że mają po dwie dusze. Wtedy im powiedziałam: „Co? Myślicie, że nie zjem?"

Z kluskami to było całkiem dobre jedzenie.

– Moment kapitulacji. Odczucia. Ulga? Przygnębienie?

– Okropne uczucie. Napisałam o tym w pamiętniku. Przede wszystkim pytanie: „Cośmy zrobili?" W walce nie widzieliśmy tych gruzów, tych walących się ścian. A jak nastąpiła cisza i kiedy mogliśmy się za siebie obejrzeć, to pojawiało się pytanie: „Cośmy zrobili?" Właściwie to nie mówię za wszystkich, mówię za siebie. To było tak straszne przygnębienie, bo my nie byliśmy gotowi. W wojnie najgorsza rzecz to kapitulacja. Współczułam dowódcom, którzy musieli podjąć tę decyzję. O kapitulacji napisałam więcej w pamiętniku.

– Później, po kapitulacji, był marsz do Ożarowa.

– To była straszne dlatego, że zjadłam psa. Całą noc byłam ciężko chora. Mój organizm się zbuntował. Świadomość, że zjadłam psa wywołała moją chorobę. Chciałam być taka dzielna przy jedzeniu psa, a chłopcy się ze mnie wyśmiewali. Pies był smaczny, przyrządzony z jakimiś kluskami znalezionymi w piwnicy.

Marsz do Ożarowa. Ludzie żegnali nas, płakali. Przyszliśmy na miejsce dość późno, bo to było ponad 30 kilometrów. A ja do tego wszystkiego nałożyłam sobie na drogę do plecaka książek ciężkich w grubych okładkach.

– Skąd były te książki?

– Z domów w których nie było ludzi. Pamiętam Spinozę. Potem wyjmowałam te książki z plecaka i zostawiałam na drodze. Samotne i opuszczone przeze mnie! Później już właściwie Spinozy nie czytałam.

– Proszę opowiedzieć historię zdjęcia, które reprodukujemy wyżej.

– Po przybyciu do obozu Niemcy kazali nam zrobić zdjęcia. Zdjęcia robili jeńcy francuscy. Wszystkie dziewczyny robiły nadęte miny, wściekłe patrzyły spode łba. A ja mówię tym Francuzom: „Zróbcie mi zdjęcie normalne, to wy-



ślę je do domu". Francuz przyszedł, ja się uśmiechnęłam, a zgorszenie wśród koleżanek było olbrzymie. Jak ja mogłam uśmiechnąć się do tego zdjęcia, robionego na potrzeby Niemców ! Nazywałam się Bobrownicka. Wysłali mi to Francuzi do baraku z prawidłowo napisanym nazwiskiem i później wszystkie mówiły: „Szkoda, że nam to do głowy nie przyszło!"

Nie chciałam, żeby w domu myśleli, że głoduję. Nie chciałam też prosić o przysyłanie razowego chleba, bo jak usłyszą o razowym chlebie, to pomyślą, że umieram z głodu, a oni tam sami nie mają co jeść. Napisałam tylko: „Przyślijcie mi kolorowego papieru, bo jak jechałyśmy pociągiem, to robotnicy wywiezieni na roboty mówili: „Rzućcie adresy, to my napiszemy do waszych rodzin". I ja napisałam. Rodzina była w Zakopanem.

Jakoś nie umarłam z głodu i przeżyłam.

– W przekazanym nam Pamiętniku nie ma opisu Pani przeżyć w niewoli?

– Tak. Przygotuję te wspomnienia później. Mogę opowiedzieć krótko co się działo w pierwszym obozie. Były w nim cztery narodowości. Nasi żołnierze, Holendrzy, Francuzi i Belgowie. Oni byli za drutami. Myśmy szły ledwo, ledwo. Niemcy nam powiedzieli, że będzie obok obóz polskich żołnierzy. Co się z nami stało? Wyprostowałyśmy i sprężyłyśmy się. Szłyśmy z podniesioną głową. To byli polscy żołnierze z września. Byli z nas dumni. Nikt nie miał takich żołnierzy, jak my – walczących dziewcząt. A Francuzi i Holendrzy (to był co prawda Stalag, ale oni dostawali paczki) rzucali nam papierosy, czekola-

dę. Po Powstaniu to był szalony przemarsz. To była nasza defilada zwycięstwa. Byłyśmy wtedy dumne i nie czułyśmy się przegrane.

Jak żeśmy przyjechały, to dostałyśmy prycze z siennikami, koce w poszewkach w kratkę i zupełnie dobre jedzenie. Byłyśmy bardzo zdziwione, że nas Niemcy tak potraktowali. Ale to trwało tylko trzy tygodnie. Jak przyjechał Czerwony Krzyż. A potem na piechotę kazali nam iść do Bergen Belzen.

Dalszy ciąg tej opowieści opracuję we wspomnieniach z niewoli.

– Czym jest dla Pani Powstanie?

– Jest częścią mnie samej. Jestem z nim organicznie związana. Przez Powstanie stałam się innym człowiekiem. Wracam do tamtego uczucia na Starówce, miałam wrażanie jakby jakieś klepki się we mnie przesuwały. Fizyczne doznanie.

A bezpośrednio po wojnie, przez około 20 lat, nie mogłam w ogóle czytać o Powstaniu. Dopiero jak zaczęłam występować w radio, to się powoli w to znowu wciągnęłam.

– Jak może Pani scharakteryzować ludzi z tamtych czasów?

– Byliśmy w Warszawie zjednoczonym krajem. Wszyscy byli wobec siebie życzliwi. Oczywiście, byli szpiedzy, donosiciele, szantażyści, ale też nawet antysemici ratowali Żydów. W tych warunkach było to duchowe odrodzenie, naprawdę! Tylko niektóre osoby zdradzały. Na przykład, nie przypominam sobie, żebym się bała swoich sąsiadów, znajomych, ludzi z tramwaju.

Opowiem przykład tego, jaka była wtedy atmosfera.

Jechałam z Żoliborza do Śródmieścia tramwajem i wiozłam w teczce sześć pistoletów. To była ciężka teczka. Nagle, na wiadukcie przy Dworcu Gdańskim przybiegają nasi gazeciarze i krzyczą: „Łapanka!"

Wszyscy ludzie wychodzą lub uciekają. Ja miałam teczkę pod ławką. Waham się: – „Co ja zrobię, kiedy wysiądę i wpadnę prosto Niemcom w łapy!" Jeszcze tych Niemców nie widać i podchodzi do mnie konduktor. Mówi: „Za 45 minut na Placu Narutowicza".

Zabrał ode mnie tę teczkę i wsadził ją do jakiegoś piasku w tramwaju, do skrzyni i pojechał. Ja wpadam na Dworzec Gdański. Nie mam pieniędzy – bo ja zawsze byłam bez pieniędzy- stoją ryksiarze i mówię do jednego z nich:



Zdjęcie Barbary Bobrownickiej zrobione w okresie służby w YMCA, krótko po zakończeniu wojny

„Proszę pana, nie mam pieniędzy, ale za 45 minut muszę być na Placu Narutowicza".

– „Niech pani wsiada!" – zawiózł mnie za darmo. Zajeżdżam na Plac Narutowicza, widzę pełno tramwajów, jak teraz odnaleźć ten właściwy? Uświadamiam sobie, że nie wiem jak ten konduktor wygląda, a pistolety to były wtedy, w czasie okupacji, duże pieniądze. Kiedy stoję taka bezradna podchodzi konduktor, przynosi moją teczkę i oddaje ją bez słowa. Takie to było zaufanie!

– Dziękuję za rozmowę i za przekazanie nam Pamiętnika, opowiadania oraz za przygotowanie wspomnień z pobytu w niewoli, które istotnie wzbogacą nasze zbiory.

opracował: Maciej Janaszek-Seydlitz

KULTURA

Łukasz Perzyna

Thriller o maju 1926

O „Ambasadorze" Krzysztofa Beśki

Za takie książki nie dostaje się Nagrody Nike. Być może szkoda, że tak jest. Bo chociaż „Ambasador" niby służyć ma głównie rozrywce jak na thriller polityczny przystało – daje się poznać jako proza najwyższej próby, jak najdalsza przy tym od kategorii „zabili go i uciekł".

Krzysztof Beśka, rocznik 1972, kojarzony jest raczej z literaturą z wyższej półki (jak „Wrzawa" czy „Bumerang") i dokładnie w stulecie Przewrotu Majowego ogłasza powieść, która zadowoli zarówno miłośników sensacji, jak warsawianistów – poszukiwaczy utraconych na zawsze w 1944 r. klimatów „Paryża Północy" i wreszcie pasjonatów historii Dwudziestolecia z jej realiami obyczajowymi warszawskich kawiarń z Ziemiańską na czele, kabaretów i teatrów. I snami o potędze, które wprawdzie przetrwały maj 1926 r. – ale kres im nieodwołalnie położył wrzesień 1939 r.

Detektyw Stanisław Stein, bohater walk przeciwko bolszewikom w 1920 r., a wcześniej uczestnik I wojny światowej w szeregach kajzerowskiej armii, co dla akcji „Ambasadora" ma spore znaczenie, skoro akurat w majowych dniach 1926 r. niespodziewanie pojawi się w Warszawie jego niemiecki przyjaciel z frontu – otrzymuje zlecenie z pozoru rutynowe i banalne. Nic nie okaże się jednak takie, jakim nam się na początku wydaje.

Za oknami bowiem gromadzą się i dyskutują podenerwowani ludzie, bo cenzura dopiero co skonfiskowała wywiad Józefa Piłsudskiego dla „Kuriera Porannego", w którym przypisał on ministrom rządu Wincentego Witosa odpowiedzialność za zabójstwo Gabriela Narutowicza, dokonane trzy i pół roku

wcześniej przez prawicowego fanatyka i marnego malarza Eligiusza Niewiadomskiego. Bohaterowie wojny obronnej z 1920 r. stają teraz przeciwko sobie. W kawiarniach orkiestra gra „Pierwszą Brygadę". Napięcie wzrasta. Właśnie zaczyna się Zamach Majowy.

HONOROWA FERAJNA I MOCARSTWA OŚCIENNE

Wprawdzie warszawska ferajna, której nieobce są patriotyczne odruchy (powiązania Polskiej Partii Socjalistycznej z szemranymi potentatami z Kercelaka znamy z „Króla" Szczepana Twardocha, sporo o nich mowa w nie wydanej jeszcze w całości powieści Roberta Bombały, której fragmenty zamieszczaliśmy[1], potwierdza je badacz warsawianista Jerzy Rawicz[2]), ogłasza na te trzy majowe dni, dopóki strzały oddawane na ulicach nie umilkną, zawieszenie broni w swoich dintojrach – ale nie respektują go wcale mafiozi rosyjscy, rekrutujący się z dawnej armii Michaiła Tuchaczewskiego. Po klęsce pod Warszawą latem 1920 r. zamiast wracać do chłodnej i głodnej ojczyzny proletariatu – zdezerterowali i postanowili po swojemu odkuć się na zwycięzcach.

Niemiecki wywiad podobnie jak Rosjanie zainteresowany jest planami nowego polskiego działa, które nieostrożnie nosi przy sobie w zwyczajnej teczce oficer, mający wstydliwe kłopoty z żoną. Zresztą kobiety w tej powieści noszą broń i czynią z niej użytek nie gorzej niż mężczyźni a czasem bardziej zapalczywie. Młode ambitne i wyzwolone Polki stają się też ofiarami intrygi, której celem ma być masowe wywiezienie ich do argentyńskich domów publicznych. Nie tylko maskujący tę operację domniemany ambasador Hiszpanii (gdzie nawet król nosi imię Alfons, bo narratorowi nie jest obce poczucie humoru) – nie okaże się wcale tym, za kogo się podaje.

Poznajemy gości hotelu Polonia, bywalców kabaretów i kawiarni Ziemiańskiej. Ale też chłopa spod Radomia, bezskutecznie poszukującego narzeczonej, co udała się na służbę, a raczej w poszukiwanie lepszego życia do stolicy – oraz cwaniaków, których żywiołem pozostaje wspomniany już Kercelak, nie mający

[1] Por. Robert Bombała. Fragment konspektu książki „Śmierć na ulicy Foksal". „Opinia" nr 145, lato 2024.

[2] Por. Jerzy Rawicz. *Doktor Łokietek i Tata Tasiemka*. WAB, Warszawa 2014.

wprawdzie statusu największego bazaru Europy jak w dobie przełomu ustrojowego Stadion Dziesięciolecia, zachowujący za to niepowtarzalny koloryt wraz z walorem, że dostać tam można wszystko. Nie brak bohaterów pozytywnych. Życie naszemu detektywowi, co jak na jego profesję przystało, nie tylko rozum ma tęgi, ale i mnóstwo szczęścia, ratuje dorabiający w Polskim Radiu do stypendium geniusz i wynalazca, student Politechniki, marzący w te trudne dla demokracji dni majowe o czasach, kiedy możliwa stanie się relacja na żywo z obrad Sejmu. Komu jego postać wyda się nieco przejaskrawiona, temu przypomnę, że to polscy matematycy złamali niemiecki szyfr maszyny kodującej Enigma, z którym daremnie zmagali się mózgowcy z wywiadów potężniejszych od nas aliantów.

Niemało znajdujemy tu intryg do rozplątania, o co niełatwo, gdy wokół świszczą kule. I zwykle konstytutywne dla kryminału pytanie „kto zabił" traci sens, kiedy trup ściele się gęsto, zarówno w powieści, jak w historycznej rzeczywistości maja 1926 r. Chyba, że patetycznie spytamy, kto zabija polską demokrację. Bo to Polak strzela do Polaka w tych smutnych majowych dniach.

Krzysztof Beśka, co u literatów rzadkie, z ewangeliczną skromnością daje nam do zrozumienia, że intryga powieściowa przez niego wymyślona... wcale nie jest najważniejsza. I świat się na niej nie kończy. Dlatego opowieść – której akcja toczy się w 1926 r. – zaczyna się epizodem z innego maja: 1935 r, kiedy to umiera, w rocznicę zamachu, który przeprowadził, sam Józef Piłsudski. Podobnie zgodnie z zasadą kompozycji ramowej ostatnia scena dzieje się też w 1935 r, na cmentarzu, ale już bez związku z Marszałkiem. Oznacza ukłon wobec tradycji i klasyki gatunku, jaki stanowi thriller polityczny – nawiązanie tak przejrzyste do „Dnia Szakala" Fredericka Forsytha, gdzie bohater pozytywny odwiedza grób złoczyńcy, którego uprzednio zabił własnoręcznie. Od dyskretnych i jakby badających stopień wtajemniczenia odbiorcy, kulturowych aluzji aż się roi w „Ambasadorze".

ZAMIAST UŁANA SPOTYKAMY FURMANA

Podobnie wpleciony zręcznie w tok akcji wątek króla kasiarzy Szpicbródki, co po kolejnej odsiadce nie ustatkuje się, bo nawet jeśli kupuje kabaret, to po to,

żeby stamtąd zrobić podkop na użytek następnego skoku – nawiązuje do kultowego musicalu „Hallo, Szpicbródka" sprzed niespełna pół wieku[3].

Wszystko już było? Nie o to chodzi. Szukam w pamięci i nie znajduję wybitnej powieści o Przewrocie Majowym. Autor „Przedwiośnia" Stefan Żeromski znany z krytycyzmu wobec realiów nowego państwa tam objawionego, nie mógł jej napisać, bo zmarł rok wcześniej. Twórca określenia „Piłsudczycy", które stało się tytułem tomu natchnionych opowiadań pisanych w okopach, Juliusz Kaden-Bandrowski swojego niedoścignionego jako powieść polityczna „Generała Barcza" ogłosił w 1923, roku wycofania się Marszałka do Sulejówka, więc nie mógł w nim ująć zdarzeń o trzy lata późniejszych, zresztą nigdy później już ujawnionej w „Barczu" finezji nie powtórzył. Skoro tak, to niech swoje robią twórcy literatury popularnej, zwłaszcza, jeśli wcześniej sprawdzili się jako twórcy dzieł z wyższej półki. Tym bardziej, że z racji wymogów gatunku pozwolić sobie mogą na dużo więcej.

Nie oburza nas więc wcale, gdy narrator „Ambasadora" sprawozdaje nam takie refleksje detektywa Steina, na jakie pozwala mu czas historyczny:

„Która ulica Warszawy będzie nową Somosierrą, a kto nowym pułkownikiem Kozietulskim? Kamiennych wąwozów ci u nas dostatek! – pomyślał trochę z przerażeniem, a trochę, mimo wszystko, z rozbawieniem.

Ech, czasem nachodziły go myśli nieładne, że ta odzyskana niepodległość na nic się nie zdała. Co oczywiste, nigdy słów tych na głos nie wypowiedział (...).

Ale już chyba został zauważony, bo kopyta zmieniły metrum.

– Może podwieźć? – usłyszał starczy głos.

Bo to nie był żaden ułan, ale zwykły woźnica, a koń, stara chabeta, ciągnął wóz"[4].

Furman zabierze detektywa na pokład, jeśli tak się można wyrazić. A zmierza na Kercelak. Z wozem świeżą żywnością wyładowanym. I wyłuszcza naszemu bohaterowi, że za sprawą napięcia tych majowych dni, za dziewięć miesięcy dużo więcej dzieci przyjdzie na świat, niż zwykle o tej porze roku, więc klien-

[3] *Hallo Szpicbródka czyli ostatni występ króla kasiarzy*. Film fab. prod. pol, 1978, reż. Mieczysław Jahoda, Janusz Rzeszewski. Wyk. m.in. Piotr Fronczewski i Gabriela Kownacka

[4] Krzysztof Beśka, *Ambasador*, Wyd. Skarpa Warszawska, Warszawa 2026, s. 216

tów na pewno nie zabraknie. Ani straganiarzom ani oferentom usług detektywistycznych.

Gatunkowo najbliższy okazuje się „Ambasador" „Czarnemu Mercedesowi" Janusza Majewskiego, gdzie tłem podobnie sensacyjnej jak u Beśki intrygi pozostaje z kolei okupacja hitlerowska. Ludzie przecież kochają się, a czasem i zabijają nawzajem dla racji z polityką bezpośrednio nie związanych również w dramatycznych momentach historii. I naprawdę nie zawsze z jej powodu. Co zakrawa na truizm, ale w Polsce wciąż pozostaje warte powtórzenia.

KŁOPOTY DETEKTYWA I SUMIENIE DEMOKRACJI

O poczuciu humoru, właściwym narratorowi „Ambasadora" była już mowa, w taki sposób podsumowuje on kolejne kłopoty detektywa Stanisława Steina: „W tym wypadku wyjściem było albo odnalezienie bezpiecznej kryjówki (oczywiście już bez czyichś głupich żon), albo, no właśnie, jak najszybszy wyjazd z miasta. Może to znak, że powinien w końcu podziękować swojej nowej ojczyźnie i wracać do prawdziwego domu?[5]. Tak kpi sobie narrator ze Steina, a korzystający z niego jako medium Beśka z żałosnej narodowej tromtadracji, która doprowadziła do rozlewu bratniej krwi w maju 1926 r.

Wierzymy temu pisarzowi, odkąd wykazał się odwagą, jako jeden z trzech tylko uczestników życia publicznego w Polsce, którzy podjęli bolesny ale bardzo aktualny temat wykorzystania przez Amerykanów za zgodą rządu postkomunistycznego w Polsce ośrodka w Kiejkutach do torturowania więźniów z Trzeciego Świata, obwinianych o terroryzm ale pozbawionych prawa do sądu. To plama na polskim honorze. Zmierzył się z tą ponurą aferą jej demaskator i dawny bohater wrocławskiej Solidarności Józef Pinior oraz pomimo zaawansowanego wieku filmowiec Jerzy Skolimowski w doskonałym i przejmującym „Essential killing", gdzie znajdujemy poruszającą scenę, w której krew rannego i uciekającego przed pościgiem Afgańczyka spływa na sierść białego konia, którego ten dosiada. Skojarzenie dla nas oczywiste. Trzecim Polakiem, który wbrew zmowie milczenia nie uląkł się demonów Kiejkut, okazał się właśnie prozaik Krzysztof Beśka. W jego „Fabryce frajerów" jeden z adeptów średniej

[5] Ibidem, s. 215

szkoły wojskowej w Olsztynie, po upadku komuny rozwiązanej, bo nikomu już niepotrzebnej – wraca po latach w kajdankach na ojczystą ziemię, konwojowany przez Jankesów do Kiejkut, bo w międzyczasie – nauczony w PRL przez „trepów" przemocy i na zawsze nią zarażony – braterstwo broni odnalazł we wspólnocie z talibami w odległym i wrogim wolnemu światu Afganistanie, jako ich najemnik.

Podobnie „Ambasador" pomimo niezliczonych konceptów sensacyjnej intrygi nie stanie się pogodną opowieścią z happy endem (nawet jeśli bohaterowie, których zdążyliśmy polubić, dożyją do ostatniej strony), bo zbyt dobrze znamy tło tej opowieści. Krzysztof Beśka nie pisze nam historii alternatywnej, lecz po mistrzowsku wyszukuje paradoksy tej rzeczywistej.

Łukasz Perzyna

Poezja, prywatność i wspólnota

O wierszach Włodzimierza Kuligowskiego

Jak przystało na autora przynależącego do poetyckiego pokolenia „Nowej Prywatności" Włodzimierz Kuligowski nawet wielkie doświadczenia historii, walkę o wolność czy zmianę ustrojową, przybliża nam przez pryzmat wspólnot: kolegów z podwórka, z dawnej opozycji czy z tego samego rocznika 1952. Raperzy, przemytnicy czy „gangusy" tak samo zostają bohaterami jego wierszy, jak podążający wilczym śladem Żołnierze Wyklęci ale również zwyczajni sąsiedzi czy drukarze dawnego drugiego obiegu.

Zawieram przymierze ze światem codzienności – powiada nam autor wewnętrzny tej poezji. I wie co mówi ten facet, który za sprawą ekspansywności metody krytycznej Stanisława Barańczaka, a zwłaszcza jego szkicu „Uciekinier z utopii" o Zbigniewie Herbercie, zastąpił trwale podmiot liryczny, znany z opowieści nudnych polonistek, zdolnych nas nie tylko do Herberta, ale jeszcze od niego wybitniejszego Czesława Miłosza zrazić.

Na czym to przymierze, nie boskie przecież, lecz ludzkie, polega? Na pewno nie chodzi o pouczanie innych niczym w „Przesłaniu Pana Cogito" Herberta tak pięknie rezonującym w stanie wojennym. Lecz o podzielenie się z nimi tym, czego poeta Kuligowski, bohater opozycji antykomunistycznej, co dla oceny jego poezji nie ma akurat większego znaczenia, sam nauczył się w decydujących dla Polski momentach najnowszej historii. Zgodnie bowiem z formułą Fiodora Tiutczewa, którą u schyłku PRL sędziwy Igor Newerly obrał za motto swojej wydanej w drugim obiegu opowieści „Zostało z uczty bogów":

„Szczęśliwy, kto oglądał świat
w chwilach przemiany i przełomu

Bogowie go do swego domu
Zaprosili, by do uczty z nimi siadł”[1]

To ocenna alternatywa dla znanego chińskiego przekleństwa „obyś żył w ciekawych czasach”, które zarówno nas jak rodaków Tiutczewa bawi niezmiennie – tak w epoce Leonida Breżniewa jak Władimira Putina.

Od górnolotnych nakazów moralnych Herberta bliższa wydaje się tak twórcy Kuligowskiemu jak autorowi wewnętrznemu jego wierszy bardziej empatyczna, za to mniej wymagająca narracja Czesława Miłosza z „Traktatu poetyckiego” i „Traktatu moralnego”. Drugi z nich kończy się słowami:

„Idźmy w pokoju, ludzie prości.
Przed nami jest
– „Jądro ciemności”[2].

Codzienność i empatia, ludzki czasem prosty wymiar spraw uznawanych za wielkie ale najchętniej ujmowanych z sąsiedzkiej czy rówieśniczej perspektywy, wyznacza siatkę wewnętrznych napięć wierszy Włodzimierza Kuligowskiego, urodzonego w 1952 r, którego – czy się z tego ucieszy, czy nie – zaliczyć wypada do pokolenia Nowej Prywatności wraz z Tomaszem Jastrunem, Antonim Pawlakiem, podobnie zaangażowanymi w ruch podziemnej Solidarności. Co łączy też naszego autora z innymi rówieśnikami jak Stanisław Esden-Tempski, który wiersze też pisał, ale bardziej znany jest jako autor powieści „Postulat 22” (nie trzeba pewnie rozwijać o czym ona traktuje) czy wypowiadający się najpełniej w dramacie scenicznym Władysław Zawistowski. Liczy się oczywiście nie tyle podobieństwo ich antykomunistycznego żaru, lecz wspólnota wrażliwości na to, co wokół. Nie wyzbyli się jej na szczęście z chwilą upadku ustroju, który zwalczali. A pragnąc odróżnić się od pokoleniowych poprzedników, starszej od nich generacji Nowej Fali z PESEL-ami zaczynającymi się od czwórki – nie nadużywali ekskamacji ani imperatywów. Emocji nie zatajają wprawdzie, ale wyciszają je po swojemu. Widać to u Kuligowskiego, dla którego poetycką Agorą staje się raczej podwórko niż plac, wszystko jedno czy ten Zwycięstwa znany z 1979 roku czy Tienanmen w dekadę później: jednego ani drugiego u niego nie znajdziemy.

[1] Por. Igor Newerly, *Zostało z uczty bogów*, NOWa, Warszawa 1986.

[2] Czesław Miłosz, *Traktat moralny* [w:] *Wiersze wybrane*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1980, s. 59.

CO ŁĄCZY GRILLA Z WOJNĄ PEŁNOSKALOWĄ

Poezja Kuligowskiego kwituje powtarzalność, wraz z następstwem pokoleń, nie literackich już, lecz narodowych, pewnych dopełniających się jak w wierszu „Rocznice" (datowanym: wrzesień 2023 r.) sytuacji:

„Obudź się dumny Polaku
Grają tarabany
Znów matki błogosławią synów
co w kolejne maszerują piekło (...)
Bądź waleczny i przezorny
nie daj się zabić kulom
dronom ani plugawym słowom"[3]

Autor wewnętrzny zasadnie skarży się na słowa plugawe, a sam przykładnie waży te, których używa. Fraza „Bądź waleczny.." itd w oczywisty sposób odwołuje się do „Przesłania Pana Cogito" Zbigniewa Herberta, do moralistyki jego „Raportu z oblężonego Miasta", co zapewne tak mnie jak Kuligowskiemu i niejednemu z Państwa dodawał ducha w mroku stanu wojennego, a teraz zestarzał się mocno w odróżnieniu choćby od podobnych wezwań Miłosza, więc tym bardziej warto go zwaloryzować, nawet jeśli oznacza to pewien minimalizm. Zawsze śmieję się, że ten ostatni stanowi po marksizmie-leninizmie i etosie Solidarności trzecią oficjalnie panującą ideologię państwową w powojennej Polsce. Która dla poety Kuligowskiego pozostaje nie „tym krajem", ale miejscem i dobrem nieprzypadkowym, nie tylko dlatego, że przed laty walczył z trapiącą ją dyktaturą i dostał za to Krzyż Wolności i Solidarności, co – jak jeszcze raz powtórzyć wypada, akurat dla oceny pisanej przez niego poezji nie ma najmniejszego znaczenia.

Przy czym imperatyw „Nie daj się zabić..." wydaje się skromnie minimalistyczny właśnie, ale z wygodnej warszawskiej perspektywy, a nie z tej, jaka staje się udziałem rodaka, co wiersze Kuligowskiego choćby za pośrednictwem portalu ihoo.pl czytać będzie we Lwowie[4]. Tak blisko naszej wschodniej granicy.

Niewykluczone, że spokojną lekturę zakłóci mu tam syrena alarmowa,

[3] Włodzimierz Kuligowski, *Rocznice*, „Opinia" nr 143 zima 2023, s. 325.
[4] Ihoo.pl portal Instytutu Historycznego im. Andrzeja Ostoi-Owsianego.

wzywająca do zejścia do schronu. Poeta Kuligowski, nie dlatego wcale, że był w Solidarności Walczącej, lecz z tego powodu, że mądre wiersze pisać potrafi – wydaje się doskonale o tym wiedzieć. Co więcej – sprawia wrażenie, że dba o tego wirtualnego czytelnika, Polaka z dawnych Kresów, co lekturę dokończy, jeśli nie przeszkodzi mu w niej dron irańskiej produkcji typu Szached ani podobna zabawka współczesnych wrogów wolności.

Wzmaga to odpowiedzialność za słowo. Kiedy Adam Zagajewski pisał swoje „Jechać do Lwowa", to chociaż trwał jeszcze komunizm, na zbliżoną aktualizację zawarte w tym tomie wiersze, choć świetne, nie miały co liczyć. Podobna świadomość oznacza jednak dla poety stąpanie po polu minowym. Ryzyko wiąże się z podjęciem tematu, który wymaga nie tylko stosownej powagi, ale i perfekcji. Czytelnik sam oceni, czy Kuligowski temu wyzwaniu sprostał. W moim przekonaniu radzi sobie z nim znakomicie. I co ważne – nie kosztem frazy. Jego poezja nie traci bowiem głębokiego oddechu. Jeśli ktoś preferuje lapidarność E. E. Cummingsa czy zdawkowe sakralizowanie codzienności przez przekaz Jacquesa Preverta, uzna może nawet wiersze Kuligowskiego za nieco przegadane. Ten, na którym teraz się skupiamy cechuje jednak spora doza precyzji.

Za sprawą jednego, zręcznie w nim użytego współczesnego słówka „dron", doświadczenie teraźniejszości – pełnoskalowej wojny za wschodnią granicą, oglądanej w przekazach telewizyjnych i sieciowych oraz przybliżanej nam przez relacje naszych ukraińskich przyjaciół, gości a czasem i podopiecznych – zespala się z dziedzictwem tak innych „gorących" wojen (w tym kampanii wrześniowej i Powstania Warszawskiego), jak pokojowej odysei wielomilionowego ruchu Solidarności z czasów, kiedy jej nazwa własna nie kojarzyła się jeszcze z pazernymi na hajs zawodowymi działaczami związkowymi, wyszarpującymi jak w latach 2015–23 od pisowskich właścicieli nowej Polski lukratywne posady w radach nadzorczych spółek Skarbu Państwa i rozlicznych firm krzaków zwykle z przymiotnikiem „narodowy" w nazwie.

Jedność to ważna, zwłaszcza, gdy – jak w wierszu „Prawdziwy jest tylko popiół":

„(...) Agenci, łotry, fakirzy iluzji
hipnotyzują nienawiścią i blagą,

to znów mamią krainą łagodności
pełną mamony, kiełbasy na grilla,
przaśnej muzyki i beczek z piwem.
Maszyneria historii
zagląda w każdą szczelinę (...)"[5]

Skoro prawdziwy okazuje się tylko popiół – to niewystarczające staje się górnolotne wezwanie Adama Zagajewskiego, o jedno poetyckie pokolenie (Nowa Fala, a nie Nowa Prywatność) starszego niż Kuligowski.

„(...) powiedz prawdę do tego służysz w lewej ręce
trzymasz miłość a w prawej nienawiść"[6]

Podobnie jak w życiu publicznym, tak w poezji – nie wystarczy mieć rację. Trzeba to jeszcze umieć to udowodnić. Kuligowski, w dawnych czasach konspirator tak wytrawny, również jako autor wierszy wydaje się o tym doskonale wiedzieć. Z korzyścią dla ich czytelnika niewątpliwą.

KOLEDZY Z PODWÓRKA

Znajomość kodu kulturowego nie pomaga nam pewnie realnie zwyciężać w konkretnych sytuacjach, ale przynajmniej ułatwia ich zrozumienie. Również wtedy, gdy okazują się niebanalne. Jak u Kuligowskiego właśnie, gdzie bohaterowie – koledzy z podwórka – dorastają wraz z historią, co nie oznacza dostosowania się do jej szablonu:

„(...) Odbijam gumową piłkę,
przez koślawy trzepak
Udajemy z Jankiem K.,
że gramy o milion dolarów
On jest Polakiem, ja Szwabem z NRD
Powietrze tężeje ze strachu od naszych przekleństw (...)"[7]

I uczą się w tej drodze swojej przez historię bohaterowie jak najwięcej, a rolą poezji pozostaje utrwalić to, czego nie znajdzie się w czytankach szkolnych

[5] Włodzimierz Kuligowski, *Prawdziwy jest tylko popiół*, „Opinia" nr 143, op. cit., s. 328.

[6] Adam Zagajewski, *Prawda* [cyt. wg:] *Powiedz prawdę. Antologia poezji Pokolenia 68 1968–81*. Wybór, wstęp i opracowanie: Dariusz Pawelec, Wyd. Wokół Nas, Gliwice 1990, s. 86.

[7] Włodzimierz Kuligowski, *Podwórko i lot...*, „Opinia" nr 156, s. 261.

dla następnych już pokoleń ani w budujących agitkach IPN-u tworzonych na potrzeby ludu pisowskiego:

„(...) Nasyceni tym samym ziarnem –
przemycali buty, dżinsy, handlowali dolarami,
złotem, biżuterią...
wszystkim, czego w komunie brakowało
na czym można było zarobić, za co szło się do więzienia (...)"[8]

Nie tylko warto demistyfikować pseudo-heroiczne legendy, ale gwoli przywoływanej już tu parę razy w cytatach prawdy pamiętać o tym, że to...:

„Dzięki ich pieniądzom ćwierkało wiele powielaczy
jak na wiosnę szczęśliwe wróble, terkotały offsety
niby maszyny do szycia w konspiracyjnej szwalni
A na kradzionym papierze drukowano gazetki
w których pisali o uczciwości i honorze
w większości... konfidenci i późniejsi zdrajcy"[9]

Zostawmy na chwilę tych ostatnich, po co ich po nocy wspominać, jak mawia w „Potopie" miecznik rosieński, kuzyn i opiekun Aleksandry Billewiczówny. Cześć i chwała tej poezji, za to, że ku latom 80. powracając nie zapomina o takich bohaterach historii, których udział w skruszeniu muru okazał się nie mniejszy niż podziemnych drukarzy i pokątnych kolporterów: o cwaniakach kursujących po podzielonej jeszcze Europie w dżinsowych marmurkach prosto z Istambulu i skórzanych kurtkach kupionych gdzieś na bazarze na Węgrzech, co rozregulowali oficjalną socjalistyczną gospodarkę, niosąc zarazem ulgę poszkodowanym przez jej niedobory, za sprawą strumienia niedostępnych inaczej dóbr, co przez ich ręce przeszły, ale w nich długo nie pozostały, skrzętnie na hajs wymienione.

Co dalej stało się z tymi bohaterami? Dobra poezja, a taką pisze Kuligowski, władna jest również na to pytanie odpowiedzieć.

Jedni poginęli, już po ustrojowej zmianie, w porachunkach zorganizowanej przestępczości, bo chcieli „Żyć bogato, z ładnymi kobietami obok / Jak z daw-

[8] W. Kuligowski, *Podwórko...*, op. cit., s. 263.
[9] Ibidem, s. 265.

nych żurnali, mieć dobre auta / niczym amanci w kolorowych filmach / Nigdy nie być głodnym / Jeździć do ciepłych krajów (...)"[10]

Zaraz, zaraz, powie czytelnik bardziej wnikliwy... Przecież „nigdy nie być głodnym" to prawo człowieka, czyż nie tak? A i wyjazd do ciepłych krajów zaliczyć wypada pod naszą szerokością geograficzną i na naszym szczeblu rozwoju gospodarczego do nader oczywistych praw pracowniczych salariatu. I trzeba było aż gangsterem zostawać, żeby móc te prawa realizować w dawnej ojczyźnie Solidarności?

Odpowiedź na to pytanie, dotyczące absolwentów nikomu potem niepotrzebnych zawodowych szkół przyzakładowych, nie należy z pewnością do kompetencji autora szkicu, co kończył Liceum Batorego i jako 19-latek był w Paryżu na stypendium Alliance Francaise. Nie daje jej również poeta Kuligowski, kawaler Krzyża Wolności i Solidarności, zaliczający się jako dawny działacz antykomunistycznego podziemia do obozu zwycięzców historii. Cześć i chwała znowu, tym razem za to, że ten dylemat nam podpowiada. Naprowadza nas po ludzku na to, co nazwać można paradoksem ustrojowej zmiany.

Zbudowany przez zwyczajnych ludzi dziesięciomilionowy ruch nie był w stanie przełamać pogardy dla prostego człowieka, której symbolem w ponad ćwierć wieku po jej zwycięstwie stały się słowa wielokrotnego gościa zjazdów „Solidarności", a ściślej tego, co z niej zostało, Jacka Kurskiego: „Ciemny lud to kupi". Nie kupił, jak pokazała powszechna obywatelska mobilizacja i najwyższa od 1928 r. frekwencja przy urnach 15 października roku pamiętnego 2023, kolejny polski cud po Sierpniu 1980 i 4 czerwca 1989 r. W każdym z tych trzech wypadków zwyczajni Polacy zawstydzili tych, co ich nie doceniali.

Powiodło się również paru kolegom z podwórka, wróćmy więc do Janka, przebijającego tam piłkę przez trzepak, skoro od niego zaczęliśmy, a ściślej zdecydował o tym za nas autor wewnętrzny wiersza Kuligowskiego:

„Janek, nasz herszt podwórkowej bandy jest fachowcem
od kosmosu i zabijania wroga z podwórka
Ma też udziały w firmie Muska
Konta w bankach puchną mu
niby wątroba i kości po wiejskiej zabawie

[10] Ibidem, s. 266.

Jest wart miliony dolarów
Daje pieniądze różnym potrzebującym.
Najpierw ich sprawdza.
Też rodzinom zabitych gangusów –
kolegów z podwórka (...)
choć gardzi banksterami i kuglarzami
inżynierii finansowej
człowiek tajemnica”[11]

Znamy to jeszcze z „Naszej klasy” Jacka Kaczmarskiego, niedawno przywoływanego na łamach „Opinii” jako bezkonkurencyjnie wyrazisty symbol doświadczenia pokoleniowego[12] protest songu, co wygrał w walce o popularność ze wszystkimi wierszami noblisty Miłosza czy Herberta jako autorytetu społecznego. Chociaż tam w pokoleniowej balladzie pojawia się jeszcze Filip, fizyk w Moskwie, co nagrody różne zbiera i jeździ kiedy chce do Polski.

Słusznie ktoś zauważy, że to przeszłość: dylematy z czasów „komuny”, podobnie utrwalone w innym protest songu „Pytania, których nie zadam” Jana Krzysztofa Kelusa i paradoksy ustrojowej zmiany, co nastała już po ich – pozornym przynajmniej – rozstrzygnięciu.

W kraju jednak, gdzie od poetów przynajmniej przez dwa ostatnie wieki, od Adama Mickiewicza po Czesława Miłosza wymagano przewidywania przyszłości, z czego zresztą obaj wymienieni wywiązali się wzorowo – żaden ich składający strofy następca nie wywinie się od podobnego zadania. Nie z tego powodu, że sam jako działacz Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu Solidarności i podwładny Kornela Morawieckiego w SW osobiście co najmniej jedną, tak to nazwijmy, przeliczeniową cegłę z muru berlińskiego wyrwał, zanim ten runął – ale dlatego, że wpisuje się taka rola w pojmowanie poezji w Polsce. Wie o tym świetnie Kuligowski.

DOKĄD DOJDĄ RAPERZY

Przyszłość niosą ze sobą, jak wynika z jednego z najlepszych jego wierszy, tytułowi raperzy. To oni podają ton:

[11] Ibidem, s. 267

[12] Por. Ryszard Czarnecki, *Co zostało z NZS?*, „Opinia” nr 153, zima 2025, s. 87 i nast.

„Idą całą szerokością chodnika
(...) Najwyższy w białym kapturze
trzyma w rękach słowa i rytm (..)
palą jointy i piją czystą wódkę z gwinta.
Tylko patrzeć, jak któryś pomyśli,
Że jest cieniem orła i skoczy w otchłań pięter
albo czarną dziurę...
Lecą bluzgi na policję, wrogów Legii, rząd
kapitalizm (...) i wrogów Polski –
wszystkiego, co jest teraz (..)
Dobrze, że rapują a nie robią bomb ani kusz
co zabijają szybko i dyskretnie”[13]

Skoro „dobrze” – a magicznej wagi tego słowa nauczył wiele lat temu adeptów poezji inny piszący Włodzimierz, Majakowski – to znaczy, że mamy jeśli nie happy end, to przynajmniej pozór szczęśliwego zakończenia.

Nie wiemy jeszcze, dokąd dojdą Raperzy. Nie przesądza o tym również poeta Włodzimierz Kuligowski. Drogowskaz przecież, bo warto przypomnieć znane powiedzenie – sam w pochodzie nie idzie.

Jeśli twórca nas do czegoś przekonuje, to do tego, że nie powinno nam być obojętne, gdzie się w końcu znajdą. Da się pewnie gry słów użyć, że poezja Kuligowskiego również z tego powodu nie pozostawia nas obojętnymi na jej urok, że uczy nas, iż nigdy obojętnym być nie należy. Znów nie ma to wiele wspólnego z patriotycznym życiorysem autora. Dla odmiany przecież przypomnijmy, że Karol May ani razu nie był na Dzikim Zachodzie, który na użytek i pożytek tak wielu już pokoleń dziesięciolatków opisał sugestywnie i pięknie jak nikt inny.

Marne wiersze zwykle skłaniają nie lepsze od nich nauczycielki polskiego do stawiania pytania: co poeta chciał przez to powiedzieć? Dobre za to nie pozostawiają wątpliwości, że ich twórca... ma wiele do powiedzenia. O tym, jak cenną poezję pisze Włodzimierz Kuligowski, świadczy mnogość pytań mądrzejszych od przed chwilą przytoczonego, z jakimi nas ona pozostawia.

[13] Włodzimierz Kuligowski, *Raperzy*, „Opinia” nr 156, s. 249–250.

Nauka

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia”

W grudniu 2021 roku Minister Edukacji Narodowej przydzielił Kwartalnikowi Nurtu Niepodległościowego „OPINIA” 40 punktów naukowych.

Lp.	Unikatowy Identyfikator Czasopisma	Tytuł, numer ISSN/numer eISSN	Liczba punktów	Przypisane dyscypliny naukowe
32650	201466	**Opinia 2352-5725**	40	historia

Zapraszamy do współpracy.

Instrukcja wydawnicza pisma „Opinia”

1. Redakcja ”Opinii” przyjmuje teksty w języku polskim nadesłane wyłącznie drogą elektroniczną, zgodne z instrukcją wydawniczą „Opinii”, w formatach *.doc, *.docx lub *.rtf. W przypadkach szczególnych, po uprzednim uzgodnieniu z redakcją, mogą być dopuszczone inne formy dostarczenia tekstu.

Przesłanie artykułu oznacza, że autor poświadcza, że zapoznał się z zasadami etycznymi obowiązującymi w „Opinii”, a jego tekst spełnia normy w nich zawarte.

Preferowaną objętością dla artykułu naukowego jest 60 tys. znaków, a objętość maksymalna wynosi 80 tys. znaków. Preferowana objętość dla recenzji to 25 tys. znaków, a maksymalna 40 tys. znaków. Objętość liczona jest z włącze-

niem przypisów i spacji, znaków w tabelach, bez bibliografii, streszczeń i podpisów pod fotografiami.

Wiadomość z elektroniczną wersją tekstu powinna zawierać ponadto podpisane skany oświadczeń o oryginalności tekstu i o „ghostwritingu” i „guest authorship”. Papierowe wersje oświadczeń należy przesłać na adres redakcji. Podpisanie oświadczeń oznacza, że autor zapoznał się z klauzulą informacyjną dotyczącą zbierania i przetwarzania danych osobowych oraz dobrowolnie przekazuje dane osobowe i zgadza się na ich przetwarzanie.

Plik zawierający artykuł powinien zostać nazwany według następującego wzoru: nazwisko autora, inicjał imienia, pełny tytuł artykułu (np. Kowalski J., Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza). Plik z artykułem nie powinien w metadanych być podpisany nazwiskiem autora lub innym podpisem pozwalającym na identyfikację autora.

Tekst powinien zostać wykonany z zachowaniem stylu normalnego programu MS Word – bez użycia stylów nagłówkowych, podziałów stron i sekcji – czcionką Times New Roman pkt. 12 w tekście głównym i pkt. 10 w przypisach. Stosujemy przypisy dolne. Interlinia tekstu głównego pkt. 1,5, przypisów pkt. 1.

2. W pliku z artykułem powinny znajdować się w lewym górnym rogu następujące informacje:

pełne imię i nazwisko autora, numer orcid i afiliacja, adres do korespondencji tradycyjnej, adres e-mailowy, numer telefonu. Pod tekstem artykułu powinna znaleźć się bibliografia wykonana zgodnie z modelem bibliografii zawartym w instrukcji wydawniczej „Opinii”.

W osobnym pliku Autor powinien dostarczyć streszczenie artykułu (Nazwa pliku powinna być zgodna z przykładem: Streszczenie i nota, Polska sztuka wojenna w dobie średniowiecza).

Streszczenie w języku polskim powinno mieć objętość do 1,5 tys. znaków. Opcjonalnie Autor może dostarczyć streszczenia w języku angielskim i rosyjskim o objętości do 1,5 tys. znaków każde.

Autor zobowiązany jest również do przygotowania abstraktu o objętości do 500 znaków w jęz. polskim lub angielskim. W pliku powinna znaleźć się również krótka notka dotycząca autora o objętości do 500 znaków oraz słowa kluczowe w języku polskim i angielskim, opcjonalnie rosyjskim.

Niezamawianych tekstów redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów.

Tekst główny:

Zasady opracowania maszynopisu wydawniczego dla wydawnictwa „Opinia”

Część I. Zasady ogólne

A. Tekst główny, wstęp, zakończenie

I. Daty

1. Rozwijamy nazwy miesięcy, skracamy natomiast słowo „rok”:
   • 10 kwietnia 1945 r.; 10 maja br.; w lipcu tr.
2. Stosujemy zapis:
   • w latach dziewięćdziesiątych (nie: w latach 90., w l. 90.)
   • w XX w. (nie: w dwudziestym wieku, w 20. wieku)
   • w drugiej połowie XIX w. (nie: w 2 poł. XIX w.).
3. Daty łączymy pauzą łączącą (półpauzą): 1945–1947. Nie stosujemy tu dywizu (-).

II. Miary, stopnie, tytuły

• Stosujemy skróty słownikowe, takie jak: godz., kg, ha, km, km kw., m sześc., proc., gen., płk, kpt., prof., doc., mgr, dr hab., m.in., tzw., tj., np., itd., itp.
• W przypadkach zależnych stosujemy zapis: płk (= pułkownika), dr (= doktora).
• Piszemy: II Rzeczpospolita Polska, III Rzesza, p.o. delegat

III. Nazwy własne

1. Organizacje i instytucje
   • Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełną nazwę, dalej – ewentualnie skrót. W przypadku nazw powszechnie znanych (np. PRL, ZSRR, PPR, PZPR) dopuszcza się stosowanie skrótów bez ich rozwijania przy pierwszym wystąpieniu.

2. Osoby

- Przy pierwszym wystąpieniu podajemy pełne imię i nazwisko, dalej – samo nazwisko bez inicjału imienia lub imię i nazwisko (dopuszczalne jest stosowanie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia); nie podajemy otczestwa.

IV. Cytaty i tytuły

- Cytaty ze źródeł i literatury przedmiotu podajemy w cudzysłowie, antykwą.
- Tytuły prac naukowych, utworów literackich, muzycznych, dramatycznych, obrazów wyróżniamy kursywą. Nazwy ustaw podajemy bez cudzysłowu, antykwą.2
- Tytuły wystaw, konferencji, sesji naukowych, konkursów podajemy w cudzysłowie, antykwą.

V. Liczebniki

- Piszemy słownie, gdy możemy zapisać jednym słowem, zwłaszcza w odniesieniu do osób. Przy wyliczeniach – cyframi.
- Stosujemy skróty: mld, mln, tys. (jeżeli występują pełne tysiące, w innym wypadku cyframi: 75 345, 43 009).

VI. Wyrażenia obcojęzyczne

- Słowa i wyrażenia obcojęzyczne użyte w tekście polskim zapisujemy kursywą, np.: sui generis, last but not least, ancien régime.

B. Przypisy

I. Stosujemy oznaczenia: ibidem, idem (eadem), passim, op. cit., loc. cit. (kursywą). W bardzo obszernych publikacjach zamiast oznaczenia op. cit. można stosować zapis: inicjał i nazwisko, skrót tytułu..., s. X.

II. Stosujemy skróty: t., cz., z., nr, R., a także pozostałe, jak w punkcie A II.

III. Daty

- Jeśli data jest pełna, miesiąc zapisujemy cyframi rzymskimi: 25 VI 1999 r., jeśli data jest niepełna miesiąc zapisujemy słownie: 25 czerwca, w czerwcu 1999 r.

IV. Odsyłacze

- Używamy skrótów: zob., por., cyt. za:
- Odsyłacze do innych fragmentów tekstu, np.:

zob. dok. nr 24, przyp. 7;

zob. rozdz. II, przyp. 8;

por. s. 38; por. dok. nr 12 i 17.

V. Liczebniki – jak w tekście głównym

VI. Informacje biograficzne

1. Informacje biograficzne zamieszczamy w przypisach. Biogram powinien być zwięzły. W szczególnych przypadkach można biogramy umieścić osobno, np. w części nazwanej „Biogramy”.
2. Kolejność elementów biogramu:
   - Imię i nazwisko
   - Pseudonimy, przybrane nazwiska, przydomki
   - Daty życia
   - Pozostałe informacje życiorysowe
3. Przykłady:

Julian Bartuś „Bojko”, „Julek”, „Zbyszek”, „Romański”, „Krajewski” (1922–1962), żołnierz AK i działacz WiN. Kierownik Rady WiN Przeworsk, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) krakowskiego Wydziału i p.o. kierownik łączności krakowskiego Wydziału. 3Mieczysław Kawalec „Kałuski”, „Żbik”, „Iza”, „Psarski” (1916–1951), oficer AK i działacz WiN. Komendant Obwodu AK Rzeszów, kierownik informacji (wywiadu i kontrwywiadu) Wydziału WiN Rzeszów, zastępca prezesa krakowskiego Wydziału, kierownik Wydziału Wywiadu w IV ZG WiN i p.o. prezes ostatniego zarządu. Aresztowany 1 II 1948 r., skazany na karę śmierci, stracony 1 III 1951 r.

VII. Cytowanie źródeł i literatury przedmiotu

1. Kolejność elementów w opisie cytowanej pozycji bibliograficznej:
   - Inicjał imienia i nazwisko,
   - Dalej jak w opisie bibliograficznym, zob. D. Bibliografia ,
   - Numer cytowanej strony (pomijamy w wypadku dzienników i tygodników); stosujemy skrót s., nie ss.

Przykłady:

J. Kochanowski, W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001, s. 285.

A. Grajewski, Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5, s. 94.

W. Władyka, Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

A. Kaczyński, Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

2. Kolejność elementów w opisie materiału archiwalnego (poszczególne elementy oddzielamy przecinkami):
   - Nazwa archiwum (skrót),
   - Nazwa zespołu archiwalnego (ewentualnie skrót); stosowanie skrótu zesp. dopuszcza się tylko wtedy, kiedy nazwa zespołu jest zapisana cyframi lub symbolami,
   - Sygnatura jednostki archiwalnej; jeśli sygnatura jednostki archiwalnej składa się z kilku symboli, dopuszcza się stosowanie skrótu sygn., wtedy jednak skrót należy stosować konsekwentnie w całej pracy,
   - Opis dokumentu pozwalający na jego identyfikację – rodzaj dokumentu, kto, do kogo (jeśli tytuł dokumentu zawiera te informacje, można się nim posłużyć). Należy podawać pełne imiona nadawców i adresatów, nie inicjał.

     Opis dokumentu (lub przytaczanej relacji) podawany jest antykwą,
   - Data powstania dokumentu po przecinku lub data przybliżona w nawiasie kwadratowym; jeśli nie można ustalić daty, stosujemy skrót b.d.
   - Numer karty (gdy przywoływany jest fragment dokumentu, numer karty, na której znajduje się ten fragment). Jeżeli jednostka archiwalna nie jest spaginowana, używamy skrótu b.p.

UWAGA 1. Jeżeli dokument był opublikowany, powołujemy się na wersję opublikowaną, a nie archiwalną.

UWAGA 2. Cytując dokumenty z Archiwum IPN (i archiwów oddziałów IPN), stosujemy skróty: AIPN, AIPN Bi, AIPN Gd, AIPN Ka, AIPN Kr, AIPN 4 Lu, AIPN Łd, AIPN Po, AIPN Rz, AIPN Wr. W wykazie skrótów rozwijamy je następująco: AIPN – Archiwum IPN w Warszawie; AIPN Bi – Archiwum

IPN Oddział w Białymstoku itd. Nie stosujemy zapisów typu BUiAD IPN,

OBUiAD, OBUiAD Kat, OBUiAD IPN-Wr, AIPN Kraków, OBUiAD Lublin, OBUiAD IPN w Poznaniu, Archiwum IPN Warszawa itd.

Przykłady:

AAN, KC PZPR, XI A/102, List Nikity Chruszczowa do Bolesława Bieruta w sprawie redukcji sił zbrojnych PRL, 12 VIII 1955 r., k. 3.

AAN, KC PZPR, 237/V-757, Notatka dotycząca analizy aparatu partyjnego KW, KP/KM, KD/KZ, [sierpień 1968 r.], k. 10–20.

AIPN Kr, Akta operacyjne, 010/12061, Analiza materiałów sprawy operacyjnego rozpracowania kryptonim „Naprawiacz”, 8 VI 1978 r., k. 37.

AIPN, MSW II, 4183, Notatka ze spotkania wiceministra Franciszka Szlachcica z aktywem SB KW MO w Białymstoku, 13 XI 1962 r., k. 18.

Archiwum MSZ, Zesp. 12, w. 14, t. 331, Raport polityczny poselstwa PRL w Tel Awiwie, 28 III 1956 r., k. 36.

3. Jeżeli w przypisie podajemy kilka źródeł, ich opisy rozdzielamy średnikiem.

C. Wykaz skrótów

1. W wykazie umieszczamy skróty występujące w tekście głównym i przypisach.
2. Podajemy jedynie skróty „rzeczowe” (instytucji, organizacji itp.).

D. Bibliografia

1. Tytuły dzieł obcych podajemy w języku oryginału (z cyrylicy w transkrypcji na łacinkę); opis (red., oprac., t., cz.) w języku polskim; miejsce wydania w tym języku, w jakim zostało podane na karcie tytułowej.
2. Kolejność elementów w zapisie bibliograficznym. UWAGA: kolejność powinna być zachowana bez względu na to, ile elementów zawiera opis.
   a) Wydawnictwa zwarte (jedno- lub wielotomowe; dzieło jednego, dwóch lub trzech autorów; dzieło zbiorowe, tj. więcej niż trzech autorów):
      - Nazwisko i inicjał imienia,
      - Tytuł. Podtytuł (kursywą),
      - Numer tomu i części (z dwukropkiem – t. 1:):
      - Tytuł tomu i części (kursywą),
      - Przekład (tłum.),
      - Współpracownicy (red., oprac.),
      - Które wydanie (jeśli jest istotne),
      - Miejsce i rok wydania (b.m.w., b.d.w., umieszczamy po przecinku),
      - Nazwa serii wydawniczej w cudzysłowie, numer tomu w serii (zapisane w nawiasie),
      - Informacje dodatkowe (np. rkps, mps).5

b) Artykuły w pracach zbiorowych:
- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł (kursywą)
- [w:] (bez poprzedzającego przecinka)
- Dalej jak w opisie bibliograficznym wydawnictwa zwartego.

c) Czasopisma:
- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
- Tytuł czasopisma (antykwą, w cudzysłowie)
- Rok wydania czasopisma (można poprzedzić miejscem wydania, jeżeli jest to konieczne do zidentyfikowania publikacji),
- Część rocznika (numer, zeszyt; numer podwójny: 1/2 , numery kolejne: 1–2),

d) Prasa codzienna:
- Nazwisko i inicjał imienia,
- Tytuł artykułu. Podtytuł (kursywą),
- Tytuł czasopisma (antykwą, w cudzysłowie),
- Data wydania (a nie numer).

Przykłady:

– Kochanowski J., W polskiej niewoli. Niemieccy jeńcy wojenni w Polsce 1945–1950, Warszawa 2001.

– The Kissinger Transcripts. The Top Secret Talks with Beijing and Moscow, oprac. W. Burr, New York 1998.

– Anderson S., A Cold War in the Soviet Bloc. Polish-East German Relations, 1945–1962, Boulder 2001.

– Wołkogonow D., Stalin, t. 2, tłum. M. Antosiewicz, Warszawa 1998.

– Albert A. [Roszkowski W.], Najnowsza historia Polski 1918–1980, wyd. 2, Londyn 1989.

– Dąbrowska M., Dzienniki powojenne, t. 2: 1950–1954, oprac. T. Drewnowski, Warszawa 1996.

– Zakrzewska J., Mołdawa T., Historia sejmu polskiego, t. 3: Polska Ludowa, red. A. Ajnenkiel, Warszawa 1989.

– Dzierzgowska A. i in., Supliki do najwyższej władzy, red. M. Kula, Warszawa 1996.

– Centrum władzy. Protokoły posiedzeń kierownictwa PZPR. Wybór z lat 1949–1970, oprac. A. Dudek, A. Kochański, K. Persak, Warszawa 2000 („Dokumenty do dziejów PRL”, z. 13).

– Gluchowski L., Nalepa E., The Soviet-Polish Confrontation of October 1956. The Situation in the Polish Internal Security Corps, Washington D.C. 1997 („Cold War International History Project Working Paper”, nr 17).6

– Wrzesiński W., Postawy i nastroje Polaków po klęsce wrześniowej na terenie okupacji sowieckiej [w:] Komunizm. Ideologia, system, ludzie, red. T. Szarota, Warszawa 2001.

– Romek Z., Droga Leszka Kołakowskiego ku antykomunistycznej opozycji. Od ortodoksyjnej ideologii ku wolności myślenia, „Dzieje Najnowsze” 1999, nr 4.

– Grajewski A., Oskarżony ks. Franciszek Blachnicki, „Więź” 2001, nr 5.

– Matis J. [Kozłowski M.], Dżuma, „Kultura” (Paryż) 1969, nr 3.

– Władyka W., Robotnicy wyszli na ulice, „Polityka” 2001, nr 26.

– Kaczyński A., Oczyszczanie pamięci, „Rzeczpospolita”, 19 V 2000.

– Nowak M., Wspomnienia z mojej młodości, Kraków 1962, mps w zbiorach Jana Kowalskiego.

– Lityński A., O prawie i sądach początków Polski Ludowej, Białystok, b.d.w.

E. Indeksy

1. W indeksie osób zamieszczamy tylko nazwiska występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści, bibliografii). Nie indeksujemy nazwisk występujących w tytułach książek i nazwach własnych.
2. Od pseudonimów i nazwisk przybranych odsyłamy do właściwego nazwiska za pomocą skrótu: zob. „Mietek” zob. Podhorodecki Tadeusz Szwarc Czesław zob. Naleziński Czesław
3. W indeksie nazw geograficznych zamieszczamy tylko nazwy występujące w tekście głównym i przypisach (bez karty tytułowej, spisu treści,

bibliografii). Nie indeksujemy nazw występujących w tytułach książek i nazwach własnych, miejsc wydania publikacji, nazw państw oraz nazw typu Europa Środkowo-Wschodnia.

Część II. Opracowanie tekstów źródłowych

1. Numer dokumentu
   Wyśrodkowany, kursywa, czcionka wytłuszczona.
2. Nagłówek dokumentu
   Kursywa, obustronnie wyjustowany.
   Nagłówek składa się z daty powstania dokumentu, miejsca powstania dokumentu oraz – po myślniku – regestu dokumentu.
   Data powstania dokumentu ma następujący zapis: rok, miesiąc (słownie), dzień.
   Brakujące elementy daty należy uzupełnić w nawiasie kwadratowym.
3. Ogólne zasady edycji dokumentu
   - Uwspółcześniamy ortografię i interpunkcję tekstu. Odstępstwa od tej reguły wymagają przekonującego uzasadnienia.
   - Stosowane w dokumentach różne sposoby zapisu daty (np. 12.08.1946, 12/8 1946, 12.VIII.1946, 12/8/1946) ujednolicamy następująco: 12 VIII 1946;
     nie zamieniamy na liczbę rzymską nazw miesięcy pisanych słownie.7
   - Wszelkie wyróżnienia w oryginalnym tekście dokumentu, dokonane przez jego twórcę (s p a c j o w a n i e ; WERSALIKI; podkreślenia) oddajemy za pomocą czcionki wytłuszczonej. W uzasadnionych przypadkach dopuszcza się pomijanie wyróżnień (np. nazwisk zapisanych wersalikami w dokumentach proweniencji policyjnej) i zapisywanie tych fragmentów tekstu czcionką podstawową.
   - Nawiasy ukośne // zamieniamy na nawiasy półokrągłe ( ).
   - Skróty słownikowe (ob., np., wg, ww., tj., ...) pozostawiamy bez rozwinięcia.
   - Skróty niekonwencjonalne rozwijamy w nawiasach kwadratowych antykwą
   - Towarzyszące nazwiskom inicjały imion rozwijamy w nawiasach kwa-

dratowych antykwą. Dopuszczalne jest pozostawienie inicjału, jeśli nie znamy pełnego imienia.

- Należy ograniczyć do minimum użycie znaku [sic!]; kwestie wymagające komentarza omawiać w przypisach.
- Opuszczenia pochodzące od wydawcy zaznaczamy trzema kropkami w nawiasie kwadratowym i opatrujemy przypisem tekstowym, na przykład:
  [...] e

4. Układ tekstu dokumentu
   W edycji dokumentu nie odtwarzamy układu graficznego oryginału.
   a) miejsce i data powstania dokumentu – wyjustowane do prawego marginesu
   b) nagłówek nadawcy – wyjustowany do lewego marginesu
   c) nazwa adresata dokumentu – wcięta i wyjustowana do prawego marginesu
   d) tytuł dokumentu – wyśrodkowany
   e) treść dokumentu – obustronnie wyjustowany, akapity zaznaczone wcięciem pierwszego wiersza
   f) podpis pod dokumentem – wyjustowany do prawego marginesu; w wypadku dwóch podpisów – lewy podpis wyjustowany do lewego marginesu, a prawy do prawego.
5. Informacja o miejscu przechowywania dokumentu
   Kursywa, czcionka o 1 pkt mniejsza od tekstu dokumentu, od akapitu.
   Po słowie „Źródło” i dwukropku podajemy: skrót nazwy archiwum, nazwę zespołu archiwalnego (lub jej skrót), sygnaturę jednostki archiwalnej, numer karty oraz informację o formie dokumentu będącego podstawą edycji (oryginał/kopia; rkps/mps).
   W przypadku przedruku zamiast adresu archiwalnego podajemy opis bibliograficzny pierwodruku.
6. Przypisy tekstowe
   Oznaczone literami. Do części odredakcyjnej przypisu stosujemy kursywę, do tekstu źródłowego – antykwę. Numerację przypisów tekstowych rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

Przypisami tekstowymi opatrujemy:

- lekcję wątpliwą;
- lekcję błędną – do tekstu wprowadzamy lekcję poprawną, a niepoprawną umieszczamy w przypisie tekstowym. W wypadku błędu powtarzającego się w całym tekście lub jego większym fragmencie, przypisem tekstowym oznaczamy tylko pierwsze wystąpienie tego błędu. Błędy maszynowe korygujemy bez zaznaczenia;
- brakujące bądź nieczytelne fragmenty tekstu – przypis tekstowy należy ująć w nawias kwadratowy, na przykład: [d];
- niejasności tekstu, błędy składniowe i gramatyczne;
- treść pieczęci, podpisów, rękopiśmienne adnotacje w tekście;
- dopiski, nadpisania, przekreślenia;
- podkreślenia tekstu dokonane przez odbiorcę.

7. Przypisy rzeczowe

Numerowane cyframi arabskimi; antykwa. Umieszczone pod stroną, poniżej przypisów tekstowych. Numerację rozpoczynamy od nowa dla każdego dokumentu.

W przypisach rzeczowych umieszczamy wszelkie merytoryczne komentarze i wyjaśnienia do dokumentu. W razie konieczności opatrzenia lekcji błędnej komentarzem merytorycznym, umieszczamy go – wyjątkowo – w dotyczącym jej przypisie tekstowym.

8. Przykład

Nr 8

1945 luty 27, Białystok – Pismo naczelnika Wydziału Śledczego KW MO w Białymstoku do wojewody białostockiego w sprawie konieczności wzmocnienia posterunku MO w Milejczycach, pow. Bielsk Podlaski

Wydział Śledczy Białystok, dnia 27 II 1945 r.

Wojew[ódzkiej] Kom[endy]

Mil[icji] Obyw[atelskiej]

Do Ob. Wojewody Białostockiego w Białymstoku

Stosownie do polecenia Komendy Głównej [MO] z dnia 16 XII 1944 r. za L. 652 S/44, melduję, że dnia 24 II 1945 r. wieczorem zgłosił się do posterunku MO w Milejczycach leśniczy i jego zastępca z leśnictwa Milejczyce

i oświadczyli, że są posłuchy od rodz[in] Małaszków i Korzeniowskich, mieszk[ańców] wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, że wkrótce ma być napad przez bandę na Pow[iatową] Kom[endę] MO w Bielsku i więzienie w Białymstoku. Również oświadczyli, że przechodząc, czy też przejeżdżając w okolicach wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk, trzeba być ostrożnym, gdyż ta wieś [f] jest zagrożona. Wobec czego komendant posterunku MO Milejczyce prosi o zwiększenie siły oraz większy przydział broni i amunicji, aby można zapobiec wypadkom i zlikwidować bandę, której jest we wsi Lubiejki, gm. Milejczyce, pow. Bielsk.

Nacz[elnik] Urz[ędu] Śled[czego]

chor. S[tefan] Kufer

Źródło: APB, Urząd Wojewódzki w Białymstoku, 285, k. 12, oryginał, mps.

a Poniżej pieczęć prostokątna Urząd Wojewódzki w Białymstoku. Wpłynęło 28 II 1945 r. (datawpisana odręcznie).

b Poniżej odręcznie wpisana sygnatura pisma Nr S. 49/45.

c Tak w tekście.

d Korzeniewskich?

e W oryginale tu i dalej Libiejki. Niewątpliwie mowa o Lubiejkach w pow. bielskopodlaskim, nie zaś o Libiejkach w pow. zambrowskim.

f W maszynopisie dwa słowa przekreślone, niemożliwe do odczytania.

g–g Fragment napisany odręcznie.

h–h Fragment podkreślony odręcznie czerwonym ołówkiem.

i Tak w tekście.

j Powyżej nieczytelny podpis odręczny.

Tu i dalej mowa o Bielsku Podlaskim.

Chodzi o Wydział Śledczy KW MO w Białymstoku.

Podstawą powyższego przykładu jest autentyczny dokument ze zbioru Białostocczyzna 1944–1945 w dokumentach podziemia i oficjalnych władz, pod red. J. Kułaka (Warszawa 1998), który na potrzeby niniejszej instrukcji został odpowiednio spreparowany.

9. Uwagi techniczne

Poniższe porady mają ułatwić użytkownikom edytora MS Word stosowanie

w praktyce zasad edycji dokumentów źródłowych. Ponieważ edytor tekstu nie powinien udawać mądrzejszego od swego użytkownika, przed przystąpieniem do pracy warto wyłączyć następujące opcje:

- Narzędzia→Autokorekta→Autoformatowanie podczas pisania→Stosuj w trakcie pisania oraz W trakcie pisania automatycznie (wszystkie opcje)
- Narzędzia→Opcje→Edycja→Dokonywanie wcięć z lewej klawiszami Tab i Backspace

1) Wstawianie przypisów rzeczowych
   - Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis10
   - W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: Przypis dolny oraz Numerowanie: Automatyczne (lub Autonumerowanie)
   - Wcisnąć klawisz OK
2) Wstawianie przypisów tekstowych
   - Uruchomić polecenie Wstaw→Przypis
   - W otwartym oknie dialogowym zaznaczyć opcje: Wstaw: przypis dolny oraz Numerowanie: Znak niestandardowy
   - W sąsiednim okienku wpisać odpowiednią literę, którą zostanie oznaczony przypis tekstowy
   - Wcisnąć klawisz OK

   W razie konieczności zastosowania „podwójnego” przypisu, obejmującego fragment tekstu (typu: axxxxxa), przypis zamykający należy wstawić zgodnie z powyższą instrukcją, zaś przypis otwierający zamarkować odpowiednią literą we frakcji górnej (polecenie: Format→Czcionka→Indeks górny). Analogicznie za pomocą litery i myślnika we frakcji górnej należy zamarkować część oznaczenia przypisu pod stroną (np. a–a).
3) Prawidłowa numeracja przypisów

   Numeracja przypisów rzeczowych i tekstowych powinna się rozpoczynać od nowa dla każdego dokumentu. Aby to zrobić, należy:
   - Przed przystąpieniem do edycji dokumentów uruchomić polecenie Wstaw→Przypis→Opcje, następnie w otwartym oknie dialogowym na karcie Wszystkie przypisy dolne wybrać opcję Numerowanie: Każda sekcja od nowa. Następnie wcisnąć klawisze OK oraz Zamknij.

- Po każdym zakończonym dokumencie wstawić znak końca sekcji od nowej strony (polecenie: Wstaw→Znak podziału→Typy podziału sekcji:
  Następna strona→OK).

Uwaga: Ponieważ edytor MS Word nie umożliwia rozdzielenia przypisów tekstowych od rzeczowych, pozostaną one „przemieszane”. Zasada umieszczania przypisów tekstowych pod stroną powyżej przypisów rzeczowych będzie mogła zostać spełniona dopiero na etapie łamania tekstu w profesjonalnym programie do składu komputerowego.

4) Wcięcia tekstu

Wszelkich wcięć w tekście (zarówno wcięć pierwszego wiersza akapitu, jak i całych akapitów) należy dokonywać za pomocą tabulatorów, a nie spacji.

Dr Andrzej Anusz

Drugi obieg wydawniczy jako podstawowy element drugiego obiegu politycznego – perspektywa uczestnika

Jerzy Drygalski i Jacek Kwaśniewski na temat cenzury i propagandy władz w PRL pisali: „Wbrew bowiem głoszonym niekiedy opiniom, instytucja cenzury prewencyjnej nie była nigdy podstawowym narzędziem blokady artykulacji w mass mediach. W procesie tym zasadniczą rolę odgrywało bezpośrednie sterowanie treścią przekazu przez aparat partyjny. Cenzura zaś, gdyby próbować najkrócej scharakteryzować jej znaczenie, odgrywała tylko rolę pomocniczą. (…)

Forsowanie w mass mediach wizji harmonijnej relacji społeczeństwo–władza, polegało na preparowaniu obrazu bezbłędnie działającej władzy, świetlanej historii PRL, doskonałych instytucji politycznych państwa socjalistycznego oraz codzienności, którą cechował sukces, zadowolenie i optymizm obywateli. Wizji tej jednak pośrednio i bezpośrednio przeczyło mnóstwo faktów. Aby więc mass media mogły jako całość rzeczywiście zaprezentować obraz harmonii społecznej nie wystarczało mówić, że ona jest i pokazywać ją na specjalnie dobrych przykładach. Trzeba było także usunąć z przekazu malowanego przez mass media to, co obraz ten mąciło i podważało. To właśnie zadanie spoczywało na barkach cenzury. Miała dbać, aby przekaz nie był skażony informacjami podważającymi wizję harmonii społecznej. Nie należy jednak przeceniać znaczenia tej funkcji. Dziennikarze i bez cenzury wiedzieli, jaki obraz rzeczywistości chce zobaczyć w mass mediach ich polityczny dysponent. Cenzura nie była więc tamą zatrzymującą nawałę swobodnej artykulacji, ale ostatnią linią blokady, wyłapującą przede wszystkim nieliczne redakcyjne omyłki i niedopatrzenia. Na przykład w pierwszej połowie roku 1974 ingerowała ona w całej Polsce przeciętnie 38 razy dziennie. Dzieląc tę liczbę przez jej 17 placówek roz-

sianych po kraju, otrzymujemy zaledwie dwie ingerencje dziennie (dokładnie 2,2) na każdy oddział”[1].

Autorzy stwierdzają, że: „Z tego punktu widzenia duża intensywność propagandy nie tyle oznacza szczególne pragnienie partii, aby przekonać społeczeństwo do określonej sprawy, ile równoznaczna jest z jej silnym dążeniem do ścisłej blokady. Natężenie propagandy mierzyć zatem należy nie siłą pedagogicznych skłonności, ale siłą, z jaką partia pragnie zakneblować usta masom. (…)

Centralizacja sterowania prasą w latach 70. była częścią szerszego procesu zachodzącego w aparacie partyjnym. (…) Wszystko to było, jak się wydaje skutkiem realizowania nowej strategii społeczno-ekonomicznej w starych, centralistycznych strukturach politycznych i gospodarczych. Przyspieszenie wzrostu, ekspansja inwestycyjna, próba zmniejszenia luki technologicznej w oparciu o zachodnie kredyty, otwarcie na Zachód, szybki wzrost płac realnych – to wielopłaszczyznowe zdynamizowanie gospodarki powodowało szybki wzrost potencjału gospodarczego, który produkował coraz większą masę informacji i problemów. Ich rozwiązanie wymagało albo przemodelowania systemu kierowania państwem i gospodarką w kierunku demokratycznym i decentralistycznym, albo zwiększenia rozmiarów aparatu centralnego”[2].

Dodają, że: „W wyniku tych wszystkich posunięć RSW pod koniec lat 70. stał się gigantycznym koncernem wydającym 252 tytuły prasowe (11% wszystkich polskich pism), których udział w globalnym nakładzie prasy polskiej wynosi 85%, przy czym w grupie dzienników udział nakładu RSW był jeszcze większy, oscylował wokół 92%. Poza RSW wydawane były tylko pisma katolickie, stronnictw satelickich, wojskowe oraz niskonakładowe periodyki specjalistyczne. (…)

Kolejną domeną RSW był kolportaż. I tu spółdzielnia była, praktycznie biorąc, monopolistą. We własnej sieci kolportażu, liczącej 34 tysiące punktów sprzedaży, rozprowadzała przeszło 1300 tytułów prasy krajowej i 16 tysięcy zagranicznej”[3].

---

[1] J. Drygalski, J. Kwaśniewski, *(Nie)realny socjalizm*, op. cit., s. 180–181.

[2] Tamże, s. 172–176.

[3] Tamże, s. 152.

We wnioskach, do których dochodzą badacze stwierdzają, że: „Ogólnie można stwierdzić, że blokada artykulacji w kanałach przekazujących informację do społeczeństwa osłabiała groźbę rozpadu struktury politycznej dzięki zmniejszaniu napięć powstających wskutek blokowania pozostałych kanałów artykulacji. Działo się tak przede wszystkim dlatego, że sterowanie informacją czyniło społeczeństwo niezdolnym do dokonania samodzielnej, krytycznej oceny rzeczywistości. Wstępnym kierunkiem takiej oceny jest bowiem szeroka baza informacyjna. Na jej podstawie prowadzić można analizę stanu faktycznego, stawiać diagnozy. Zaś dzięki nim społeczeństwo porozumiewa się argumentami i jest zdolne formułować swe postulaty. Spełnienie tych warunków powoduje, że staje się aktywnym uczestnikiem życia politycznego. W przeciwnym razie pozostaje przedmiotem manipulacji, bierną i ubezwłasnowolnioną masą”[4].

Pojęcie drugiego obiegu zrodziło się dla odróżnienia wychodzących w jego ramach druków od publikacji ukazujących się w oficjalnym, pierwszym obiegu. Oczywiście te z pierwszego obiegu musiały mieć zgodę Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, potocznie zwanego cenzurą. Termin drugi obieg nie pojawił się od razu, gdyż jego prekursorzy nie byli jeszcze pewni, czy tworzone przez nich wydawnictwa rzeczywiście rozwiną się do tego stopnia, by mówić o obiegu. Popularnie stosowany jest również przymiotnik bezdebitowy. Debit komunikacyjny był zezwoleniem na rozpowszechnianie w Polsce literatury zagranicznej, termin ten uległ poszerzeniu i obejmuje również druki wydane w kraju poza cenzurą[5].

Badając drugi obieg należy dokonać wyraźnego podziału na jego trzy podstawowe etapy: redakcja, druk, kolportaż. Każdy z nich charakteryzuje się swoją specyfiką i do każdego z nich badacz musi podejść nieco inaczej[6].

Rozwój drugiego obiegu wydawniczego w PRL związany był bezpośrednio z powstaniem opozycji demokratycznej. W sumie w drugim obiegu wydawniczym w PRL ukazało się ponad 6,5 tysiąca wydań książkowych oraz 5,5 tysiąca

[4] Tamże, s. 201.

[5] K. Dworaczek, *Drugi obieg wydawniczy w PRL. Uwagi źródłoznawcze* [w:] *Opozycja i opór społeczny...*, op. cit., tom 1, s. 26.

[6] Tamże, s. 28.

tytułów prasowych[7]. Daty graniczne tej analizy to z jednej strony przełom lat 1976 i 1977 jako moment konstytuowania się pierwszych pism, sieci aktywistów oraz instytucji (reguł i norm) ruchu wydawniczego, a z drugiej – wybory 4 czerwca 1989 r., które mimo formalnego istnienia cenzury (którą zniesiono w formie ustawy 6 czerwca 1990 r.) symbolicznie zakończyły funkcjonowanie drugiego obiegu[8].

Natalia Jarska i Jan Olaszek w swoim opracowaniu w bardzo trafny sposób opisywali rynek podziemnej książki: „Nieoficjalny rynek książki był tak jak cały ruch opozycyjny silnie spluralizowany pod względem politycznym: oferował książki lewicowców, narodowców, księży i ateistów, socjalistów i gospodarczych liberałów. Jednocześnie na rynku niezależnej książki odbijało się napięcie między częścią głównego nurtu opozycji (wywodzącą się z KOR), stroniącą od radykalnie formułowanego antykomunizmu, a działaczami, którzy mieli potrzebę ostrzejszego wyrażenia niechęci do władzy. Wyraźnie oddaje to dwójka najpopularniejszych autorów: Czesław Miłosz i Józef Mackiewicz.

Co istotne, poza wydawnictwami związanymi z jasno określonymi politycznie grupami największe oficyny niezależne nie propagowały spójnego obrazu poglądów politycznych. Ważne było, żeby wydawać to, czego nie ma na rynku i co jest przeciw władzy. Dobrze wpisuje się to w interpretację opozycji jako ruchu w pewnym stopniu nie wprost politycznego, w którym ludzie działają raczej ze względu na wyznawane wartości niż poglądy polityczne”[9].

Niezależne publikacje delegitymizowały komunizm zarówno poprzez swoją treść, jak i przez sam fakt istnienia. Przenosiły do sfery publicznej krytykę systemu dotychczas pojawiającą się głównie w prywatnych rozmowach[10].

---

[7] J. Olaszek, *Drugi obieg wydawniczy w PRL i samizdat w innych państwach bloku sowieckiego: podobieństwa, różnice, wzajemne wpływy* [w:] *Drugi obieg w PRL na tle…*, op. cit., s. 16.

[8] M. Fałkowski, *Ruch społeczny i „podziemny rynek”. O logikach funkcjonowania niezależnego ruchu wydawniczego w PRL (1976–1989)* [w:] *Drugi obieg w PRL na tle…*, op. cit., s. 77.

[9] N. Jarska, J. Olaszek, *Co czytała opozycja? Książki drugiego obiegu jako wyraz tożsamości politycznej, ideowej i kulturowej opozycji w PRL (1976–1988)* [w:] *Drugi obieg w PRL na tle…*, op. cit., s. 159.

[10] J. Błażejowska, *Papierowa rewolucja. Z dziejów drugiego obiegu wydawniczego w Polsce 1976–1989/90*, Warszawa 2010, s. 334.

Bardzo istotny rozwój prasy niezależnej nastąpił w okresie tzw. „karnawału", tzn. legalnego działania NSZZ „Solidarność".

W ciągu kilku miesięcy 1980 roku pojawiło się czterysta nowych tytułów. Jeszcze większy wzrost miał miejsce w kolejnym roku, kiedy ukazywało się już prawie 1900 tytułów. W sumie w latach 1980–1981 wychodziło dwa tysiące tytułów związanych z NSZZ „Solidarność" lub innymi niezależnymi organizacjami związkowymi bądź opozycyjnymi.

W latach 1980–1981 ukazywało się około 90 tytułów prasowych rolniczej Solidarności oraz 260 pism wydawanych przez Niezależne Zrzeszenie Studentów i około 60 innych pism studenckich.

W lipcu 1981 roku status prasy solidarnościowej usankcjonowała ustawa o cenzurze, w myśl której miały jej nie podlegać biuletyny organizacyjne zawierające informacje, w tym i opinie, w sprawach dotyczących działalności statutowej.

W sumie w latach 1980–1981 działało (wydawnictw) co najmniej 160, a efektem ich pracy było ponad tysiąc wydań książek poza cenzurą[11].

Od połowy lat siedemdziesiątych do 1989 roku między opozycją a władzą coraz to pojawiała się delikatna równowaga, wprawdzie burzyły ją takie wydarzenia jak powstanie NSZZ „Solidarność" czy wprowadzenie stanu wojennego, potem jednak powracała. Jej trwałym elementem była obecność wydawnictw niezależnych, niszczonych, ale nie zniszczonych przez aparat represji[12].

Po wprowadzeniu stanu wojennego to właśnie drugi obieg wydawniczy, a nie działalność związkowa, był dla Solidarności podstawową formą istnienia. W tym czasie opozycyjny ruch był już na wyższym etapie rozwoju niż kilka lat wcześniej, to jednak w jakimś stopniu proces tworzenia się jego repertuaru działań musiał się powtórzyć od początku, by dostosować się do nowych okoliczności. To, że przetrwały tylko pewne formy aktywności, w tym wydawnicza, która stała się niemal synonimem podziemnej Solidarności, było wynikiem tej ewolucji. Ruch wydawniczy dobrze wpisywał się w zastane tradycje, dzięki wcześniejszym doświadczeniom w tej dziedzinie był efektywny,

[11] J. Olaszek, *Rewolucja powielaczy. Niezależny ruch wydawniczy w Polsce 1976–1989*, Warszawa 2015, s. 165–195.

[12] P. Sowiński, *Zakazana książka...*, op. cit., s. 38.

a poziom zagrożenia uwięzieniem i represjami ze strony władz okazał się dla jego uczestników możliwy do przyjęcia[13].

Czytelnictwo i produkcja publikacji zakazanych stały się więc głównym sposobem uczestnictwa w Solidarności (do pewnego stopnia ją nawet zastąpiły) zakreślały jej kontur organizacyjny, były niewidzialnym rusztowaniem opozycji – nie istniała ona tam, gdzie nie było choćby gazetki podziemnej, przekazywanej z ręki do ręki.

W połowie lat osiemdziesiątych właśnie w siatce wydawniczej lokowano największe nadzieje na zmiany. Wspomagała ona proces wyłaniania się liderów opozycji, charyzmatycznych przywódców i głównych organizatorów. Dzięki rozwiniętej działalności wydawniczej podział na przywódców i zwykłych działaczy opozycji widać w Polsce wyraźniej niż w innych państwach komunistycznych. Takie centra komunikacyjne były świadectwem mobilizacji społecznej wbrew władzy i poza jej kontrolą, były zalążkami społeczeństwa bardziej demokratycznego, które w sprzyjających warunkach mogłyby stworzyć infrastrukturę komunikacyjną dla ruchu przemian. Taką rolę odegrała bez wątpienia prasa opozycyjna, a w szczególności podziemny „Tygodnik Mazowsze" którego część redakcji przed wyborami 1989 roku zaangażowała się w pierwsze legalne pismo opozycji – „Gazetę Wyborczą"[14].

W latach osiemdziesiątych, kiedy drugi obieg wydawniczy uzyskał najbardziej dojrzałą postać, doszło do twórczego połączenia motywacji wysokich, politycznych i społecznikowskich, z potrzebą zarabiania pieniędzy. Komercyjny charakter dystrybucji sprzyjał takiemu myśleniu. Nie mogło być zresztą inaczej: czasochłonna, ryzykowna, wymagająca coraz większych kwalifikacji praca musiała być opłacana. Etos ustępował profesji, rewolucja przechodziła w rutynę. Utrata pełnej czystości ideowej dała temu ruchowi nowy, silny impuls, nowe poczucie sensu. Z tym wiązało się wejście w jego szeregi nowych ludzi i duża odporność na represje władz[15].

Zakazane książki stawały się termometrem opinii społecznych. Wzrost ich produkcji oznaczał odnawianie się opozycji, spadek – jej słabnięcie. Zdynami-

[13] A. Mielczarek, *Drugi obieg wydawniczy…* [w:] *Drugi obieg w PRL na tle…*, op. cit., s. 68.
[14] P. Sowiński, *Zakazana książka...*, op. cit., s. 283–284.
[15] Tamże, s. 279.

zowały działanie opozycji. Pogłębiły kryzys władzy, choć – trzeba cały czas pamiętać – docierały jedynie do mniejszości Polaków. Odgrywały rolę w niszczeniu mitów, symboli i rytuałów komunistycznych, w radykalizacji politycznej społeczeństwa, w krystalizowaniu się i różnicowaniu koncepcji programowych opozycji.

Uformowana między innymi pod wpływem lektur zakazanych elita opozycyjna okazała się w chwili przełomu na ogół prodemokratyczna, pokojowo nastawiona i umiarkowana. Opowiedziała się przeważnie za negocjacjami, a nie bardziej rewolucyjną zmianą systemu w 1989 roku[16].

Drukarze i kolporterzy na pewno należeli do najczęściej prześladowanych w stanie wojennym i latach późniejszych, choćby dlatego, że to ruch wydawniczy – a nie strajki i manifestacje – szybko stał się głównym frontem walki.

W 1987 roku MSW szacowało, że podziemie zużywa około tysiąca ton papieru rocznie.

Dystrybucję nielegalnych wydawnictw można porównać do krwiobiegu. Bibuła to krew, której stały dopływ był konieczny do życia całego organizmu opozycji. Zasięg publikacji drugiego obiegu określał jego siłę i wielkość. Ten informacyjny obieg łączył różnorodną polską opozycję w całość albo w większe fragmenty, jako że bibuła krążyła często ponad podziałami wewnątrz opozycji.

Bez kolportażu istnienie polskiego podziemia nie byłoby możliwe. Stał się on podstawą na jego przetrwanie w dość dobrej kondycji, na zapewnienie ludziom stałego zajęcia, a grupom opozycyjnym samowystarczalności finansowej[17].

Działalność drugiego obiegu wydawniczego poddana była od samego początku swego istnienia represjom ze strony władz.

Według szacunków SB z 1978 r. udawało się jej przejąć jedynie 20–25% drugoobiegowej produkcji, co oznacza, że pomimo strat 75–80% bibuły trafiało do czytelników.

Optymalnym rozwiązaniem byłoby oczywiście posiadanie agenta w redakcji. Bezpieka zdołała kogoś takiego umieścić w „Opinii Krakowskiej" (Krzysztof Gą-

[16] Tamże, s. 295.
[17] Tamże, s. 194–213.

siorowski – TW „Jerzy Rawicz"), „Aspekcie" (Andrzej Mazur – TW „Wacław"), „Indeksie" (Lesław Maleszka – TW „Ketman"), niemniej podobnych przypadków nie było zbyt wiele[18].

Funkcjonariusze SB szacowali, że mniej więcej jedna trzecia nakładu podziemnych pism drukowana jest na tzw. dojściach, czyli w państwowych zakładach i punktach poligraficznych. Jednak z uwagi na dużą liczbę zakładów tego typu SB nie była w stanie tego procederu zahamować.

Według wyliczeń SB w połowie lat osiemdziesiątych w inwigilację podziemnych wydawców zaangażowanych było maksymalnie 3 tysiące osobowych źródeł informacji, z czego mniej więcej połowę stanowili tajni współpracownicy.

Przykładowo – do czerwca 1985 r. nie przekroczono liczby 500 podsłuchów telefonicznych i 126 podsłuchów instalowanych w mieszkaniach. Dokument, z którego pochodzą te dane, zawiera również szacunki liczebności opozycji w końcu 1984 r.: 1611 aktywistów, 1848 kolporterów, 703 łączników, 289 drukarzy oraz 9607 osób „wspierających", w sumie niewiele ponad 14 tysięcy „ludzi podziemia"[19].

Mimo represji niezależny ruch wydawniczy trwał, dla młodszych był zdobyczą ich pokolenia. Powoli stawał się trwałym elementem środowiskowego pejzażu i linią dzielącą ich od reszty świata. Dawał nawet energię do pisania, napędzał ich życiowo, wciągał niczym wir[20].

Dla niektórych był próbą stworzenia takiego kawałka rzeczywistości, gdzie obowiązywałyby reguły inne niż te w upaństwowionym społeczeństwie. Próba ta w dużym stopniu się udała, choć autor określenia „upaństwowione społeczeństwo", Winicjusz Narojek, zauważał, że izolacjonizm i odcięcie się od świata państwowych instytucji było w PRL w praktyce niemożliwe[21].

---

[18] G. Waligóra, *Służba Bezpieczeństwa wobec niezależnego ruchu wydawniczego w latach 1976–1980* [w:] *Drugi obieg w PRL na tle…*, op. cit., s. 398–406.

[19] G. Wołk, *Służba Bezpieczeństwa wobec pism i wydawnictw drugiego obiegu w latach 1980–1990* [w:] *Drugi obieg w PRL na tle…*, op. cit., s. 423–426.

[20] P. Sowiński, *Tylko nie obojętność. Autorzy książki zakazanej 1977–1989* [w:] *Opozycja i opór społeczny...*, op. cit., tom 1, s. 62.

[21] M. Fałkowski, *Biznes patriotyczny. Historia Wydawnictwa CDN*, Warszawa–Gdańsk 2011, s. 209.

Warto zauważyć, że wokół niezależnych czasopism krystalizowały się ośrodki polityczne. Jakub Karpiński pisał na ten temat:

„W latach 1976–1980 formowały się ugrupowania lub tendencje skupione wokół czasopism niezależnych, między którymi można było spostrzec różnice tematyczne lub różnice w wyborze tradycji. Zdarzały się polemiki, można było odczuć animozje, jednak do wyraźnego wypowiedzenia i nazwania różnic ideowych nie dochodziło. Różnicom personalnym lub towarzyskim próbowano czasem nadać postać różnic ideowych, jednakże cele i sposoby działania były w znacznej mierze wspólne”[22].

Również w późniejszym okresie nieformalne grupy współdziałania tworzyły się wokół podziemnych czasopism i wydawnictw. Solidarność w stanie wojennym, a także w okresie po jego formalnym zniesieniu stała się federacją względnie niezależnych grup i porozumień[23].Opozycja w dużym stopniu uległa decentralizacji, specjalizacji i zróżnicowaniu[24].

Redakcje pism wydawanych poza cenzurą pełniły niekiedy funkcje ugrupowań politycznych[25].W czasie kryzysu poszczególnych środowisk opozycyjnych kluczowe znaczenie dla ich spoistości zaczęła odgrywać redakcja związanego z tym ugrupowaniem czasopisma[26].

Do książek i czasopism doszły niezależne publikacje elektroniczne: wydawnictwa kasetowe i wideokasetowe. Rozpowszechnianiu się kaset sprzyjała łatwość ich kopiowania i pracochłonność kontroli nagrań. W przypadku rewizji policyjnych łatwiej było funkcjonariuszom SB zidentyfikować wydaną bez pozwolenia książkę, niż odróżniać, która z taśm magnetofonowych zawiera treści nieprawomyślne[27].

W drugim obiegu wydawniczym granice między literaturą w Polsce i na emigracji zatarły się jak nigdy dotąd. Wydawnictwa podziemne niejedno-

[22] J. Karpiński, *Wykres gorączki...*, op. cit., s. 399.

[23] Tamże, s. 472.

[24] Tamże, s. 502.

[25] J. Karpiński, *Trzecia niepodległość. Najnowsza...*, op. cit., s. 279.

[26] T. Ruzikowski, *Międzyzakładowy Robotniczy Komitet „Solidarności”. Relacje i dokumenty*, Warszawa 2015, s. 34.

[27] J. Karpiński, *Wykres gorączki...*, op. cit., s. 467.

krotnie rywalizowały o pierwszeństwo publikacji z wydawnictwami emigracyjnymi.

Już od połowy lat 70. książki Instytutu Literackiego w Paryżu stały się najważniejszym i najbogatszym źródłem wznowień oraz przedruków dla niezależnej prasy i wydawnictw. Bibliografia przedruków książkowych z lat 1977–1990 obejmuje 1073 pozycji[28].

W celu sformalizowania współpracy z największym wydawnictwem drugoobiegowym – Niezależną Oficyną Wydawniczą – Instytut Literacki w Paryżu zawarł w październiku 1981 roku umowę o przekazaniu jej praw wydawniczych i autorskich przynależnych Instytutowi oraz reprezentowaniu go w sprawach wydawniczych na terenie kraju[29].

Warto wspomnieć, że w 1987 roku ukazało się w Polsce aż 26 wydań przedruku wywiadu, jakiego pułkownik Ryszard Kukliński udzielił paryskiej „Kulturze". Była to najczęściej wydawana publikacja zwarta w całej kilkunastoletniej historii drugiego obiegu wydawniczego[30].

Model działania paryskiej „Kultury", tzn. połączenia sfery polityki z literaturą, co było jedną z najbardziej charakterystycznych cech tego miesięcznika[31], znajdował wielu naśladowców w kraju.

Jerzy Giedroyć, spytany w 1986 roku, w czterdziestolecie założenia Instytutu Literackiego, czym dla niego jest „Kultura": pismem, wydawnictwem czy też ośrodkiem politycznym, wybrał tę trzecią odpowiedź[32].

Zagadnienia krajowe, stosunek władz partyjnych do środowisk opozycyjnych, rozwój i działalność samej opozycji, pozycja Kościoła katolickiego w Polsce i jego udział w walce o prawa obywatelskie oraz sytuacja społeczno-gospodarcza zdominowały tematykę polityczną poruszaną na łamach „Kultury" po 1976 roku. Sprawy emigracyjne zostały wyraźnie przesunięte na dalszy plan, a omawiane były w miesięczniku Giedroycia głównie w kontekście kontaktów

[28] M. Tyrchan, *Paryska „Kultura" wobec konfliktów politycznych w Polsce (1976–1989)*, Poznań 2011, s. 33.

[29] Tamże, s. 260.

[30] J. Błażejewska, *Papierowa rewolucja…*, op. cit., s. 294.

[31] M. Tyrchan, *Paryska „Kultura"…*, op. cit., s. 36.

[32] M. Fałkowski, *Biznes patriotyczny…*, op. cit., s. 100.

ośrodków emigracyjnych z krajem. „Kultura" przekształcała się praktycznie w emigracyjną trybunę opozycji krajowej, odgrywającą rolę jej nieformalnego ambasadora w świecie zachodnim[33].

Po powstaniu Solidarności w sierpniu 1980 roku paryska „Kultura" nie mogła już utrzymywać dotychczasowej roli głównego emigracyjnego ośrodka kreującego projekty ideowe, które miały być realizowane przez uczestników życia politycznego w Polsce. Wybrała wobec tego status bacznego i życzliwego obserwatora krajowej sceny politycznej oraz bezstronnego „moderatora" licznych dyskusji programowych toczonych w środowiskach opozycji demokratycznej, inspirującego je do ujmowania określonych zagadnień krajowych w szerszej płaszczyźnie międzynarodowej. Głównym adresatem pisma stawał się w tej sytuacji z oczywistych względów odbiorca krajowy, dla czytelnika emigracyjnego „Kultura" pozostawała natomiast najważniejszym i najaktualniejszym prasowym źródłem informacji o wydarzeniach w Polsce[34].

Instytut Literacki w Paryżu zajmował się również przesyłaniem do kraju zakazanych wydawnictw. Był jednym z ogniw sieci instytucji i osób zajmujących się wysyłką i rozdawnictwem książek, która obejmowała w latach 1956–1991 kilkadziesiąt punktów (przynajmniej 40–50) w Europie Zachodniej[35]. Do czytelników w Polsce w tym okresie różnymi drogami dotarło około 4 milionów książek i czasopism[36].

Jest to liczba imponująca, świadcząca o skali tego przedsięwzięcia.

Niezależne wydawnictwa oprócz pomocy rzeczowej otrzymywały od instytucji zachodnich wsparcie finansowe. Szacuje się, że wyniosło ono około 20 milionów dolarów[37].

Rola drugiego obiegu wydawniczego jako elementu drugiego obiegu politycznego jest trudna do przecenienia. Jan Skórzyński zwracał uwagę na funkcję bibuły w procesie tworzenia kontrelity: „Ruch wydawniczy poza zasięgiem

[33] M. Tyrchan, *Paryska „Kultura"*…, op. cit., s. 171.

[34] Tamże, s. 172.

[35] M. Choma-Jesińska, *Wolne słowo z Zachodu. Projekty dystrybucji książek za żelazną kurtyną na przykładzie Polski (rekonesans badawczy)* [w:] *Drugi obieg w PRL na tle*…, op. cit., s. 500.

[36] Tamże, s. 512.

[37] B.B. Fischer, *Przed erą Internetu, Facebooka i Twitera: CIA, „Solidarność" i drugi obieg wydawniczy* [w:] *Drugi obieg w Polsce na tle*…, op. cit., s. 545.

cenzury w obydwu postaciach: twórców i odbiorców, formował opozycyjną kontrelitę, czyli grupę ludzi myślących politycznie, zdolną do formowania programu i kierowania oporem. O wiele trudniejsze byłoby powstanie takiej grupy bez narzędzia komunikacji, jakim były czasopisma. Zarówno pisma informacyjne, jak i te, które zajmowały się refleksją polityczną, publikowały idee polityczne, koncepcje i pomysły. To się zaczęło już w czasach korowskich, w 1977 roku. Bez drugiego obiegu przyjęcie koncepcji politycznych formowania warunków kapitulacji systemu, pokojowe wyjście z komunizmu byłoby dużo trudniejsze"[38].

Andrzej Friszke z kolei podkreślał: „W moim przekonaniu bibuła tworzyła opozycyjną sieć.

Obieg wydawniczy łącznie z kolportażem de facto tworzy organizację. Wiadomo, że się różnimy w różnych sprawach, ale drugi obieg definiuje te różnice oraz to, co jest wspólne. Według mnie rola organizacyjna prasy była gigantyczna, przede wszystkim prasy informacyjno-publicystycznej na poziomie masowym, choć na poziomie elitarnym też, dla trochę innych ludzi"[39].

[38] *Drugi obieg w Polsce na tle…*, op. cit., s. 566–567.
[39] Tamże, s. 577.